



Tanner Janet



W jej cieniu

„Daily Mail”, lipiec 1967

TRAGEDIA NA JACHCIE U WYBRZEŻY WŁOCH

- FINANSISTA I BYŁA MODELKA

ZGINĘLI W NIEWYJAŚNIONEJ EKSPLOZJI

Jeden z najzamożniejszych finansistów i przedsiębiorców amerykańskich oraz znana była modelka zniknęli bez wieści. Zachodzi podejrzenie, że oboje zginęli na luksusowym jachcie, na którym wczoraj doszło do wybuchu przy zachodnim wybrzeżu Włoch. Greg Martin, znany jako człowiek wspierający finansowo rozmaite wielkie przedsięwzięcia, wraz z Paulą Varna, piękną byłą modelką, żoną jednego z wiodących projektantów światowej mody - Hugona Varna - spędzali urlop w willi pana Martina w pobliżu Positano, nad zatoką Salerno. Kiedy pod koniec dnia jacht nie wrócił do portu, zaniepokojeni pracownicy willi zaalarmowali policję. Policja łączy zniknięcie Pauli Varna i Grega Martina z eksplozją na morzu, o której wcześniej tego dnia meldowali rybacy. Przeprowadzono poszukiwania we wskazanym przez rybaków kwartale i wyłowiono szczątki jachtu Lorelei; nie znaleziono jednak rozbitków. Czterdziestoletni pan Martin nie ma żony ani dzieci, ale dwudziestodziewięcioletnia Paula - inspiratorka sukcesów Hugona Varna - Jest matką czteroletniej Harriet.

„Daily Mail”, styczeń 1990

WSKRZESZENIE UMARŁEGO!

FINANSISTA UPOZOROWAŁ WŁASNĄ ŚMIERĆ

- TWIERDZI PEWNA KOBIETA

Wybitny amerykański finansista, którego uznano za zmarłego na skutek eksplozji na jachcie u zachodnich wybrzeży Włoch, przez ponad dwie dekady oszukiwał świat - tak twierdzi kobieta, która przez całe dwadzieścia lat, od czasu Jego „śmierci”, żyła z nim w nieformalnym związku. Zaginięcie Jachtu oraz zniknięcie dwojga przebywających na nim ludzi - Grega Martina i pięknej byłej modelki Pauli Varna, żony współnika Martina i światowej sławy projektanta mody, Hugona Varna - były wówczas wydarzeniem, o którym prasa rozpisywała się szeroko. Choć wyłowiono z morza szczątki rozerwanej łodzi, zwłok Pauli Varna i Grega Martina nie odnaleziono.

Tymczasem Maria Vincenti, córka bogatego włoskiego fabrykanta tekstyliów, poinformowała australijską policję w Sydney, że człowiek, z którym dzieli luksusowy dom w Darling Point, znany wspólnym przyjaciółom oraz ludziom interesu jako Michael Trqf-ford, jest właśnie Gregiem Martinem. Maria Vincenti powiedziała: „Eksplozja na jachcie została ukartowana i pomyślana tak, by uratować przed krachem impertum finansowe Martina, jego samego zaś przed bankructwem. Wszystko zaczęło mu się walić na głowę, więc postanowił zacząć życie od nowa”.

W 1967 roku Martin zostawił w Stanach sieć skomplikowanych intryg finansowych - długów, podejrzanych interesów i matactw, które z pewnością doprowadziłyby go na ławę oskarżonych, gdyby nie zdążył „zginąć”. Teraz roszczenia jego byłej kochanki zmusiły policję dwóch

kontynentów do intensywnych poszukiwań. Czyżby po dwudziestu latach sprawiedliwości miało stać się zadość?

RRS

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Tom O'Neill wszedł przez obrotowe drzwi; po lodowatym powietrzu poranka oiało go niemal duszne ciepło budynku. Na zewnątrz Londyn trząsał się z zimna mroźnego stycznia, ale tu w holu towarzystwa ubezpieczeniowego British and Cosmopolitan Insurance z wielu dobrze ukrytych otworów wentylacyjnych buchało gorące powietrze, nagrzewając każdy zakamarek pomieszczenia.

Tom rozpiął płaszcz, włożył rękę do kieszeni ciemnego garnituru, który na własny użytek nazywał „miejskim mundurkiem”, i wyłowił z niej kartę identyfikacyjną. Błysnął nią strażnikowi. Nie lubił garniturów, a jeszcze bardziej krawatów. O wiele lepiej czuł się w dzinsach i swetrze albo w starej znoszonej kurtce pilota, odziedziczonej po ojcu, który w czasie wojny latał na Spitfire'ach. To właśnie wkładał na siebie, kiedy tylko nadarzały się stosowne okazje. Praca detektywa towarzystwa ubezpieczeniowego pozwalała mu na to czasami, ale były też sytuacje, w których musiał ubierać się staranniej. Wizyta w centrali jednego z towarzystw, które w pilnej potrzebie korzystały z jego usług, należała do jednej z nich.

Nie czekając na znak strażnika, przeszedł do korytarza, gdzie mieściło się sześć szybów windowych. Jedna z wind właśnie zjechała na parter. Tom wszedł do kabiny za dwiema młodymi urzędniczkami i nacisnął guzik oznaczony liczbą piętnaście. Bardziej czuł na sobie, niż widział pełne aprobaty spojrzenia dziewczyn, ale nie zwrócił na nie specjalnej uwagi. Miał dobrze ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, gęste, wijące się kasztanowe włosy, a po irlandzkich przodkach odziedziczył intensywnie błękitne oczy. I choć do końca nie rozumiał

dlaczego, tak jest, zdążył się już przyzwyczać do faktu, że zwykle podoba się kobietom. Jednak kiedy co rano, przy goleniu, patrzył na siebie w lustrze, nie widział w nim odbicia szczególnie przystojnego faceta. Nos miał zbyt szeroki i troszkę przetrącony - pamiątka po rozkładającym lewym prostym, którym jako piętnastolatek oberwał na ringu - a brodę o mało regularnej linii. Ale skoro kobietom podobał się właśnie taki, więc owszem, odcinał od tego kupony. Nie można powiedzieć, by jako dojrzały dwudziesto-dziewięcioletni mężczyzna nie poznał bliżej kilku pań.

Dziewczyny wysiadły na dwunastym piętrze, a potem winda z cichym szmerkiem dowiozła go na piętnaste. Kiedy się otworzyły drzwi kabiny, Tom wyszedł na korytarz wyłożony grubą szarą wykładziną. Podobnie jak na dwunastym piętrze, którego ściany mignęły mu, gdy urzędniczki wysiadały z windy, i tutaj korytarze pomalowane były bladożółtą farbą, tyle że dodatkowo zdobiły je liczne obrazy. Nie były to co prawda dzieła starych mistrzów, ale i nie tanie reprodukcje, jakich pełno u Bootsa; przedstawiały sceny z polowań, statki, piękne zachody słońca nad zatoką - kto wie czy nie St. Ives? Jednym słowem były dokładnie takie, jakich można oczekiwać na dyrektorskim piętrze wielkiej europejskiej spółki.

Tom minął je bez zainteresowania i zmierzał wprost do drzwi na dalekim końcu korytarza. Zastukał energicznie i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

Sekretarka za biurkiem podniosła pełne wyrzutu spojrzenie, potem na widok Toma rozjaśniła się, a lekki rumieniec zabarwił jej policzki.

- Tom!

- Cześć, Lucy! Rozumiem, że Wielki Biały Wódz chciał się ze mną widzieć.

- A jakże. Powiem, że już jesteś. - Nacisnęła brzęczyk. - Pan O'Neill już przyszedł, panie Swansborough. - Podniosła wzrok; w jej oczach pojawił się lekki zawód. - Wchodzisz, Tom.

- Dziękuję. - Skinął głową.

Odprowadziła go spojrzeniem do gabinetu szefa i westchnęła. Jak to

się dzieje, że ci wspaniali mężczyźni przechodzą przez sekretariat jak burza, podczas gdy inni, tacy jak na przykład Vic Tatum - tłustawy, z wiecznie spoconymi dłońmi, pracownik Marine Claims - zawsze się koło niej płaczą, ślinią się nad nią, przymilają się i pozwalają sobie na niedwuznaczne uwagi, które, gdyby tylko chciała, z powodzeniem mogłyby się stać podstawą do oskarżenia o napastowanie seksualne!

- Chodź, Tom! Chodź, chodź! - Robert Swansborough uniósł się odrobinę z fotela i wyciągnął rękę. Był dużym, nalanym mężczyzną o tysiąjących skroniach i wysuniętej szczęce, pod którą zwijały się trzy fałdki tłuszczu - nie wyglądał przy tym na tłuściocha, lecz na człowieka, który ma władzę. Przypomina zawodnika rugby z drugiej linii, pomyślał Tom. Swansborough rozgrzany ciepłem gabinetu siedział już bez marynarki, ale jego biała koszula była wprost nieskazitelna i kiedy wyciągnął dłoń, Tom dostrzegł błysk złotych spinek na sztywnych mankietach.

- Dostałem wiadomość, że chcesz mnie pilnie widzieć.

- Tak jest. Zdejmij płaszcz, Tom. Bardzo proszę. Tu z każdym dniem robi się coraz goręcej. Otworzyłbym okno, ale... - Machnął ręką w kierunku dwóch wielkich szklanych ścian gabinetu. Za nimi - spowijając całunem dachy budynków - wisały sine chmury, przez które przebijała zimna poświata, spływając na ulice Londynu i rzekę w oddali.

Stąd, z piętnastego piętra, rozciągał się panoramiczny widok - niestety tego ranka nad wyraz przygnębiający.

Tom zdjął płaszcz i powiesił go na bogato rzeźbionym wieszaku przy drzwiach.

- W czym rzecz, Roger? Ktoś znowu chce cię zrobić w konia?

- Uśmiechnął się bez humoru. Praca nauczyła go cynizmu.

Swansborough skrzywił się.

- Wcale nie chce, Tom. Tym razem mamy do czynienia z *fait accompli*. I udała się naprawdę duża sztuka. Zerknij na to. - Na wytłaczanej skórze kryjącej blat biurka leżała poranna gazeta. Popchnął ją do Toma i postukał wypielegnowanym paznokciem w artykuł. - Pamiętasz historię Martina? Nie, nie możesz tego pamiętać. To było

dwadzieścia lat temu, kiedy ty jeszcze latałeś w krótkich gatkach. Przy włoskim brzegu wyleciał w powietrze pewien luksusowy jacht. Na pokładzie było dwoje ludzi. Greg Martin, właściciel rozmaitych interesów, wielki finansista, który maczał palce w tylu sprawach, że zanudziłbyś się na śmierć samym myśleniem o nich, i kobieta, Paula Varna, żona Hugona Varny, projektanta mody. Łódź wyleciała w górę w naprawdę wielkim stylu. Nigdy nie znaleziono niczego zasadniczego; tylko kilka drobnych szczątków. Wszyscy przyjęli, że podobnie jak jacht, dwoje przebywających na nim ludzi też przeniosło się na inny, lepszy świat.

- A jacht, jak się domyślam, ubezpieczało British and Cosmopolitan.

- Tak jest. Ale nie tylko jacht. Paula Varaan i Greg Martin wykupili u nas polisy na życie. I to nie byle jakie, co możesz sobie łatwo wyobrazić. Gna była jedną z najbardziej wziętych modelek - same jej nogi ubezpieczyliśmy na okrągłą pięciocyfrową kwotę, a on ubezpieczył się tak wysoko, że jego śmierć bez wątpienia doprowadziłaby mniejsze towarzystwo do gruntownej ruiny. Taa... tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty rok był ciężki dla naszej firmy. Ale na tym to przecież polega. Tak właśnie działamy. Podejmujemy ryzyko i w końcu wszystko jakoś leci... O ile wszyscy grają zgodnie z przyjętymi zasadami.

- Ale tym razem ktoś się najwyraźniej wyłamał? - spytał Tom. Próbował czytać gazetę do góry nogami, jednak bez powodzenia.

Roger Swansborough zacisnął mocno pięść i rąbnął nią z takim hukiem w biurko, że w wielkiej kryształowej popielniczce zadzwoniły spinacze do papieru.

- No właśnie. Wypłaciliśmy całą kwotę przewidzianą w polisie na wypadek śmierci Martina, a tymczasem wygląda na to, że drań żyje sobie w najlepsze w Australii. I to bardzo dostatnio.

Tom gwizdnął cicho.

- Przez całe dwadzieścia lat? Jesteś pewien, że to on?

- Z całą pewnością on. Mieszka w Sydney pod przybranym nazwiskiem, jako Michael Trafford, z dziedziczką włoskich fabryk materiałów, niejaką Marią Vincenti. Naturalnie sam jest z pochodzenia

Włochem. Mam wrażenie, że nazywał się kiedyś Martino, ale w ramach amerykańskiej odrzucił ostatnią literę i stał się panem Martinem. O ile mi wiadomo, urodził się w Stanach, jako obywatel amerykański.

- Dlaczego więc ubezpieczył się w British and Cosmopolitan? Swansborough wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Przypuszczam, że ten drań musiał mieć naprawdę niezłe przemyślane powody. Jeszcze ci tylko powiem, że zostawił po sobie niezły galimatias finansowy. Od lat chodził po cienkiej linii i w każdej chwili groziło to śmiercią lub kalectwem.

Tom sięgnął po gazetę. Przejrzał szybko artykuł i stwierdził, że w ogólnym zarysie odpowiada historii dopiero co zasłyszanej od Swansborougha, a potem zaczął pilnie oglądać zdjęcie zamieszczone obok. Widział troje ludzi. Mężczyznę o szczupłej twarzy, trochę tysięjącego, w rozpiętej koszuli, o szyi oplecionej złotymi łańcuchami; kobietę z fryzurą i chustką na głowie w stylu Grace Kelly - zdecydowanie piękną, mimo zdjęcia kiepskiej jakości - i faceta o typie Włocha; jego twarz częściowo zasłaniały duże przeciwsłoneczne okulary.

- To Greg Martin? - zapytał, wskazując na ciemnowłosego mężczyznę.

- Tak. Z państwem Varna. Na wycieczce, która pewnie nie skończyła się żadną katastrofą - odparł Swansborough cynicznie. - Z tego, co o nich wiem, w tamtych czasach były to postacie znaczące na scenie międzynarodowej. Oczywiście, z chwilą gdy zrobił fortunę, Varna zaczął prowadzić samotnicze życie. Są tacy, którzy twierdzą, że nigdy nie przeboleł śmierci żony, chociaż ożenił się ponownie. Z młodszą siostrą Pauli, niejaką Sally, zresztą.

- Hm... - Tom przyglądał się uważnie fotografii. - Jak widać, nieźła z niej laseczka... I w czasie wypadku byli z Martinem sam na sam. Coś tam się między nimi działo?

- Varna twierdził, że nie. Mówił, że żona potrzebowała odpoczynku, a on akurat nie mógł się wtedy wyrwać. Martin, poza tym, że był jego współnikiem w interesach, był również przyjacielem domu. Varna utrzymywał, że cieszył się, oddając żonę w bezpieczne ręce. Ale możesz

mieć na ten temat inne zdanie. A właśnie... Ona była Angielką. Może dlatego wybrali naszą firmę?

- Wątpliwy to dla was zaszczyt, skoro skończyło się tak, a nie inaczej - zauważył Tom cierpko. - A zatem British and Cosmopolitan zostało wycyckane na niezłą fortunę i równo zrobione w konia. Jak to się, do cholery, stało? Mówiłeś, że badano okoliczności wypadku.

- Oczywiście, że tak. I cholernie dokładnie, jak widać. - Swansborough poklepał grubą teczkę z aktami, leżącą przed nim na biurku. - Ale nie było jak tego ugryźć. Łódź poszła w drobny mak, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Rybacy zgłosili eksplozję, a jeszcze przez długie miesiące potem ludzie wyławiali szczątki *Lorelei* z morza. Nie znaleziono rozbitków, a świadkowie przysięgali, że tego dnia widzieli Paulę i Grega na pokładzie jachtu. Martina dobrze znano w porcie i zatoce, a Paula rzuciła się w oczy. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Gazety pisały o wielkiej tragedii, co sam stwierdzisz, kiedy je przeczytasz. „Finansista i była modelka giną w nie wyjaśnionym wypadku”. Oczywiście pisano głównie o modelce. Piękna kobieta, znana na całym świecie żona utalentowanego projektanta... Była to wspaniała gratka dla dziennikarzy, zwłaszcza dla tych, którzy gonią za sensacją. Sławna kobieta, w dodatku matka. Państwo Varna mieli małe dziecko. Dziewczynkę - wówczas czteroletnią. Taka historia to istna manna z nieba.

Tom kiwnął głową.

- Wyobrażam sobie. Wobec tego nie tylko agenci towarzystwa ubezpieczeniowego obniuchiwali sprawę ostro, ale i cała prasa. A mimo to Greg Martin sfingował własną śmierć naprawdę całkiem niezłe. Ale co z tą piękną kobietą? Co z panią Varna? Przypuszczam, że odszkodowanie dostało się rodzinie pani Pauli, co? Paula zginęła, czy może też gdzieś żyje pod przybranym nazwiskiem?

Swansborough zamknął z hukiem teczkę z papierzyskami i popchnął ją w stronę Toma.

- Właśnie to dla mnie sprawdzisz, Tom. Właśnie to w rogu „cesarskiego salonu” hotelu Intercontinental w Paryżu Harriet Varna,

oparta o bogato rzeźbiony filar, uważnie wpatrywała się w wizjer aparatu fotograficznego. Z takim skupieniem koncentrowała się na tym, co fotografowała, że niemal nie zdawała sobie sprawy z pełnej napięcia atmosfery, jaka panowała w pomieszczeniu - ta atmosfera wibrowała między ścianami w weneckim stylu a bogato zdobionym rokokowym sufitem. Nie czuła gorąca sali, nie zauważała reflektorów oświetlających modelki Saint Laurenta, które z wdziękiem sunęły po stumetrowym wybiegu i prezentowały szykowną kolekcję wiosenną.

Jedynie nieustanne trzaski migawek aparatów zgromadzonej armii fotografów i gwałtowne burze oklasków przerywały ciszę styczniowego popołudnia, Yves Saint Laurent bowiem, jako jeden z ostatnich projektantów w starym stylu, nie życzył sobie zakłócać pokazu żadnym podkładem muzycznym. Pod koniec lat sześćdziesiątych krzyknął co prawda, że elegancja i szyk w modzie umarły, po czym zajął się projektowaniem odzieży, nie kreacji, ale dwadzieścia lat później powrócił na scenę w dawnym stylu i w atmosferze nostalgii olśnił publiczność. Dawna arystokracja finansowa i nuworysze zgodnie tłoczyli się wokół wybiegu, z zachwytem chłonąc elegancję, styl, atmosferę podniecenia - wyciągali ręce po szykowne kreacje *haute couture*, bowiem każda posiadana suknia, dopasowywana indywidualnie w czasie długich, masochistycznych spotkań po pokazie, jest dla nich wyznacznikiem społecznego prestiżu.

Teraz zainteresowane panie siedziały na ustawionych w rzędy połączonych krzesłach, wyściełanych miękko czerwonym aksamitem, i z obojętnymi minami notowały uwagi na programach, udając, że nie dostrzegają trzaskających aparatów, które nierzadko zwracały się także w ich stronę. W końcu pokaz dla fotoreporterów się odbył. Na drugi dzień fotografowie zwrócą obiektywy na damy z najelegantszych sfer z całego świata, na znudzone damy trudniące się działalnością charytatywną, żony wielkich rekinów biznesu, sławne aktorki scen i ekranu oraz na pojawiające się czasem europejskie księżniczki. Aktorkom naturalnie wypożyczano często kreacje bez żadnych opłat, żeby pokazywały się w nich publicznie i reklamowały dom domy. Były

też takie panie z wyższych sfer, które nie zniżały się do przybycia na pokazy i zamiast tygodniami przesiadywać w Paryżu w czasie kolejnych sesji, zamawiały kreacje z nadsyłanych kaset video. Im bardziej paryscy projektanci usiłowali je ściągnąć, by obejrzały kolekcję, z tym większym uporem trzymały się zacisza swoich domów. Ale i tak pośród anonimowego a majątnego tłumu wiele tu było twarzy pięknych i znanych - redaktorzy pism poświęconych modzie i ludzie, których siła nabywczą mogłaby zachwiać niejednym imperium. Choć tak naprawdę żaden dom mody nie liczył na zyski z pokazów w *haute couture*, lecz traktował je wyłącznie jako ogromnie drogą reklamę i wydarzenie czysto prestiżowe.

Harriet skierowała obiektyw w zupełnie inną stronę. Wymierzyła go w tył salonu, gdzie stały szwaczki i dziewczyny zatrudnione do kontaktów z prasą. Zbite w małe grupki, zdenerwowane, spięte, oglądały kreacje, przy których pracowały, które opisywały i reklamowały wcześniej; patrzyły na swoje dzieło, kiedy modelki prezentowały suknie na wybiegu, zbierając burze braw.

Jedna z nich zainteresowała Harriet szczególnie. Była to drobna dziewczyna o równo przystrzyżonych krótkich włosach i twarzy tak pełnej wyrazu, że odbijało się na niej każde uczucie, które wszystkie po kolei przeżywały - nawet najmniej liczące się midinetki, podszywające brzegi, mocujące haftki, upinające dodatki i przyszywające je do sukien ścięciem tak drobnym, że niewidocznym dla oka. Harriet wstrzymała oddech obserwując dziewczynę przez wizjer, przerażona, że przegapi ten właściwy moment. Potem, kiedy śmiała, lecz romantyczna suknia z granatowej jedwabnej krepy pojawiła się na wybiegu, nastąpiła ta wyczekiwana chwila. Twarz dziewczyny ożyła, jej oczy zaśniły; uniosła ręce do rozchylonych warg w geście ni to zachwytu, ni oszałamiającej radości, a potem zaczęła bez pamięci bić brawo. Harriet naciskała migawkę raz po raz. Doskonale! Doskonale! Na to właśnie czekała. Na tę żywiotową, niewymuszoną, absolutnie naturalną reakcję kopciuszka, który ogląda swe bajeczne dzieło. W świecie, gdzie wszystko jest wyreżyserowane, zachowanie dziewczyny stanowiło podmuch świeżego

powietrza. Harriet czuła, jak i ją ogarnia fala autentycznego podniecenia i triumfu.

Jeszcze przez jakiś czas nie odrywała oka od wizjera; za długo już zajmowała się tym zawodem, żeby pozwolić radości zepsuć następne dobre ujęcie. Jednak instynktownie wiedziała, że ma już to co trzeba - ramy, które dadzą właściwą głębię i charakter reportażowi z pokazu *haute couture*. Wypuściła z rąk aparat fotograficzny, który zawisł teraz swobodnie na pasku oplatającym jej szyję. Przetarła zmęczone oczy, wsunęła palce pod gęstą jasną grzywkę, przyciętą tuż nad brwiami.

Modelki wychodziły na wybieg jedna po drugiej, porażająco eleganckie; ruszały się z wystudiowaną gracją, pod którą kryły nerwy napięte jak postronki. Co chwila rozlegały się brawa przy akompaniamencie strzelających migawek, ale Harriet nie zwracała już na to uwagi. Oparła się o filar.

Suknie, choć bardzo piękne, nie interesowały jej wcale. Wyrosła wśród pięknych ubrań, strojona od najwcześniejszych lat wedle najlepszych wzorów mody, godzinami wystawała cierpliwie przy przymiarkach sukni na na bale - maturalny i ten pierwszy dorosły - i nienawidziła tego z całej duszy. Ubrania to piękna rzecz, składały się na świat jej ojca i Harriet dobrze wiedziała, że wszystkie przywileje, z jakich korzysta, zawdzięcza właśnie ciuchom i oszałamiającemu sukcesowi, który dzięki nim osiągnął ojciec. Ale i tak nic ją nie obchodziły. Chyba że wyglądały pięknie na zdjęciach. Tylko zdjęcia liczyły się naprawdę. A w aparacie miała teraz całe królestwo piękności.

Rozejrzała się, dumając czy zdoła uciec stąd niezauważenie. Oczywiście, wołało to o pomstę do nieba, ale Harriet wiedziała, że pokaz potrwa jeszcze dobrą godzinę - Saint Laurent znany był ze skłonności do robienia długich przedstawiń - potem zaś zrobi się potworne zamieszanie i ścisk. Przez chwilę stała niezdecydowana, lecz w końcu poddała się wrodzonej niecierpliwości i wymknęła się cichutko do wyjścia. Wszyscy patrzyli na wybieg i zdawało się, że nikt nie zauważył jej ucieczki, poza wysoką siwowłosą kobietą w mundurku bileterki, która, pełna wyrzutu, sunęła w jej stronę.

Harriet w teatralnym geście przycisnęła dłoń do ust.

- Nie czuję się najlepiej - szepnęła niedoskonałą francuszczyzną.

Kobieta czym prędzej odstąpiła. Fotoreporterzy, *cochons!* - pomyślała ze wstrętem. Dziewczyna pewnie wypita za dużo wina przy obiedzie.

Kiedy Harriet wyszła na rue Castiglione, owionęło ją ostre, lodowate powietrze, które odebrała jak silny policzek. Podniosła aparat i zasunęła zamek niebieskiej narciarskiej kurtki aż pod samą brodę; postawiła kołnierz, żeby ochronić uszy. Pasemka włosów wplątały się jej pod kurtkę, więc niedbałym ruchem wyciągnęła je na zewnątrz. Skłębity się nieporządnie wokół regularnej twarzy. „Powinnaś co jakiś czas chodzić do fryzjera i zrobić porządek z tą twoją szopą na głowie” - bez przerwy upominała ją Sally, żona ojca, ale Harriet nie miała czasu na fryzjerów i równie mało wagi przykładła do fryzury co do swoich ubrań. Poza tym włosy podobały jej się właśnie takie. Taką nieposkromioną „szopę” mogła bez kłopotów umyć co rano i nie przejmować się żadnym układaniem. Włosy po prostu wysychały na głowie, i już. Ile czasu musiałyby zmarnować codziennie, gdyby zdecydowała się na jakąś wymuskaną fryzurkę i musiała o nią pedantycznie dbać!

Znaleźć telefon - myślała teraz, idąc szybko ulicami Paryża. Spuściła głowę, zmagając się z kąsającym wiatrem. Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy powiem Nickowi, co dla niego mam. Ustalimy, czy mam mu przesać ten ostatni film pocztą, czy przywieźć go do Londynu osobiście.

Odczuła nowy przyptyw radości. To jej pierwsze zadanie dla „Focus Now”, nowego ilustrowanego pisma pod redakcją Nicka. Pierwsze zadanie i absolutna bomba! Czuła to w kościach. Już sobie wyobrażała ułożenie materiału. „Nieznana strona świata mody” - tak zatytułowała roboczo fotoreportaż, gdy omawiała go z Nickiem. I tak jak powiedział, nikt nie był bardziej do tej roboty predestynowany niż ona.

- Wszystkie pisma i gazety we wkładkach przeznaczonych dla kobiet przedstawiają tradycyjne reportaże ze zdjęciami wybranych kreacji - mówił, szarpiąc w zamyśleniu rudawą bródkę, porastającą kwadratową szczękę. - Chciałbym zamieścić coś innego. Trzeba to sobie jasno powiedzieć: „Focus Now” ma być pismem innym.

Kiwnęła wtedy głową. Znała Nicka od lat. Poznała go, kiedy przyjechała do Londynu do kuzyna, Marka Bristowa, syna Sally. Dopiero co zaczęła zajmować się fotografią zawodowo; nie związana z żadną gazetą czy pismem, miała jedynie talent, dużo samozaparć i najlepszy aparat na świecie, który - jak sobie wyobrażała - miał jej pomóc w karierze. W tamtych czasach Nick pracował jako redaktor działu dla wielkiej spółki wydającej rozmaite pisma. Poznali się, polubili i dogadali natychmiast. A kiedy Nick został z czasem zastępcą naczelnego, potem zaś naczelnym w kolejnych pismach, zawsze gdy tylko miał okazję znajdował dla niej pracę. Łączył ich nawet pewien przerywany romans i Harriet podejrzewała, że Nick jest w niej zakochany, choć sama nie żywiła wobec niego głębszych uczuć. Nie traktowała poważnie ani jego, ani innych mężczyzn. W każdym razie nie spotkała jeszcze nikogo specjalnego.

- Mam wrażenie, że mnie wykorzystujesz, Harriet - powiedział jej kiedyś pół żartem, pół serio.

- Oczywiście, że tak! - odparła tym samym tonem. - Czy nie po to w końcu ma się przyjaciół?

- Przyjaciół! - Prychnął, a jego lekko szkocki akcent sprawił, że zabrzmiało to dość grobowo. Poczuli wtedy wyrzuty sumienia.

Ale niezależnie od niedoskonałości, jakie dostrzegła w Nic-ku-kochanku, był przecież świetnym redaktorem. Naprawdę świetnym. Jego talent i pracowitość zostały nagrodzone, kiedy Paul Leeman, tytan wśród wydawców, postanowił wypuścić nowe pismo - „Focus Now”. Nick został redaktorem naczelnym, a gdy opowiadał Harriet o nowej pracy, dała się porwać jego entuzjazmowi.

- Pamiętasz pismo „Picture Post”, Harriet? Nie, chyba nie. Jesteś na to za młoda. Nie było cię jeszcze na świecie, kiedy je wydawali, poza tym wychodziło tu, w Anglii.

- Ale oczywiście słyszałam o nim - zaprotestowała. - Moja mama była Angielką, jeśli sobie przypominasz. A to pismo zresztą to już klasyką. Choć, prawdę mówiąc, jako Amerykanka muszę ci zwrócić uwagę, że moim zdaniem wszystkie takie pisma były jedynie imitacją

„Life'u”.

- Dobra. W każdym razie Paul sądzi, że nadszedł czas, żeby wypuścić nowy tytuł, podobny w charakterze. Głównie fotoreportaż. Zrobić mniejszy nakład niż niedzielnych dodatków i skupić się bardziej na zdjęciach niż na słowie. Będziemy opowiadać historie obrazkami i nie zapomnimy nadać temu społecznej wymowy. Ale bez względu na to, jak ostatecznie będzie wyglądać, musi być przede wszystkim inne. Ma być zupełnie świeżym spojrzeniem na świat. I tu masz wielką rolę do spełnienia.

- Bardzo ekscytujące. Ale ta robota kojarzy mi się bardziej z dziennikarzem niż z reporterem. Myślisz, że sobie poradzę? - Mimo całej wiary w siebie, mimo tego, że od najmłodszych lat kąpała się w luksusie i niczego jej nie brakowało, wciąż miała nowe pomysły na to, jak udowodnić sobie, ojcu, znajomym, całemu światu, że sama z siebie też jest coś warta. Nawet wtedy, kiedy człowiek rodzi się wśród zbytku i życie samo układa się dobrze i bez komplikacji, czasem ma się ochotę stworzyć coś tylko własnymi rękami i krzyknąć: „Proszę, tego mi nie podano na talerzu, to moje dzieło!”

- Wiem, że sobie poradzisz. Robisz świetne fotografie, czego najlepszym dowodem są twoje zdjęcia z ostatnich pięciu lat. Brakowało ci tylko okazji, żeby nadać pracy indywidualne piętno. A teraz, w „Focus Now”, masz wielką szansę. Jestem zupełnie spokojny, że za chwilę będziesz miała mnóstwo własnych pomysłów, ale na początek daję ci coś, na czym się znasz jak mało kto - zrób mi reportaż z pokazów mody.

- Świat mody! - Parsknęła ironicznie. - Znowu same nadziane flądry, których szafy pękają w szwach od nadmiaru nie noszonych sukien. Moda! Jedna baba głupsza od drugiej, a każda za wszelką cenę chce prześcignąć sąsiadkę. Mały rozumek nie pozwala zainteresować się niczym na serio, więc z nudów jedna z drugą musi ładnie wyglądać.

- Przestań - przerwał jej Nick, bez uśmiechu. - Oboje wiemy, że moda to coś więcej. To wielki przemysł. I tam też można podpatrzeć rzeczy, które nigdy nie oglądają światła dnia. Znajdź je, Harriet. Podle olśniewającym błyskiem kreacji i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Dam

sobie głowę uciąć, że zdobędziesz taki materiał, który wystarczy nie na jeden, a na kilka reportaży. Wręcz na całą serię. Ale zacznij od Paryża. W końcu dla większości ludzi Paryż jest w tych sprawach nadal pępkiem świata, słońcem, wokół którego krążą satelity.

- No cóż, na pewno nie chciałabym robić Siódmej Alei.

- Więc nie rób. W każdym razie nie zaczynaj od niej. Pomyśl o Koreankach albo o Arabkach z bogatego Kuwejtu, które kupują suknie wyłącznie dla własnej przyjemności, a potem chowają wspaniałe kreacje pod czarną abayą, bo przecież nie mogą się pokazywać inaczej... To już będzie zupełnie coś innego niż to, do czego przyzwyczały się czytelniczki. Moglibyśmy zrobić z tego naprawdę wspaniały numer! Weź się do roboty i przywieź mi świetny reportaż.

No i rzeczywiście się wzięła. Zrobiła też naturalnie całą rolę zdjęć wyłącznie z samego pokazu. Wypstrykała cały film na stroje, strzelając grzecznie migawką do taktu innym reporterom, którzy cykali zdjęcia pod dyktando redaktorów działów mody. Ale to właśnie nietypowe, zaskakujące ujęcia miały nadać pieprzyk reportażowi. Takie jak te z małą midinetką, rozentuzjasmowaną widokiem sukni, przy której się dobrze napociła.

Harriet podciągnęła rękaw kurtki i spojrzała na zegarek. Zawsze wolała męski zegarek o wyraźnym, surowym cyferblacie - był to Philippe Patek na skórzanym pasku - od ozdobnego Cartiera, подарowanego jej kiedyś przez ojca. Cartiera nosiła tylko wtedy, gdy okoliczności zmuszały ją do występowania w eleganckiej sukience. Postanowiła, że dojdzie do hotelu i stamtąd zatelefonuje do Nicka. Potem zadzwoni na lotnisko, dowie się, kiedy są najbliższe loty, i sama zawiezie zdjęcia do Londynu. Chciała być świadkiem chwili, kiedy fotografie wyjadą z ciemni. Poza tym cieszyła ją myśl, że wreszcie zobaczy Nicka. Uniosła rękę, żeby przywołać taksówkę, ale, jak zwykle o tej porze dnia, Paryż pędził przed siebie na złamanie karku. Wtem ujrzała budkę telefoniczną i doszła do wniosku, że jednak musi natychmiast porozmawiać z Nickiem i powiedzieć mu, że skończyła robotę. Podbiegła do budki, niespokojna, że ktoś ją uprzedzi i, co typowe dla Francuzów, będzie gadał i gadał w

nieskończoność. Nerwowo grzebała w kieszeniach, szukając drobnych i usiłując przypomnieć sobie kierunkowy do Londynu oraz bezpośredni numer telefonu na biurku Nicka - chciała ominąć wiecznie zajętą centralę.

„Nigdy nie wyrośniesz z tego dziecięcego nawyku robienia pięciu rzeczy naraz” - powiedziała kiedyś Sally. Ona działała bez emocji. Wydajnie. Skutecznie. I choć Harriet za żadne skarby świata nigdy by się do tego nie przyznała, to rzeczywiście przy żonie ojca wciąż czuła się dzieckiem.

Za drugą próbą udało jej się uzyskać połączenie i usłyszała dzwonek telefonu, a zaraz potem spokojny głos Nicka, w którym pobrzmiwał szkocki akcent.

- Nick Holmes. Słucham.

- Nick? To ja, Harriet. Skończyłam już i mam absolutnie oszałamiające ujęcia! Wracam do hotelu i jeżeli dopisze mi szczęście, jeszcze dziś wieczorem przylecę do Londynu. Możemy się zobaczyć jutro z samego rana, albo nawet dziś wieczór, jeśli chcesz.

Nastąpiła krótka, dziwna cisza. Harriet poczuła ukłucie niepokoju. Nick zazwyczaj tak chętnie się z nią spotykał, że musiała się od niego wręcz odganiać. A tu proszę, teraz, gdy wprost kipiała chęcią podzielenia się z nim uwagami o skończonej pracy, wcale nie brzmiał zachęcająco.

- Chyba że jesteś już zajęty - dodała pośpiesznie.

- Nie. I bardzo się cieszę, że już skończyłaś. - Cóż miała znaczyć ta dziwna nuta w jego głosie? Zupełnie nie w jego stylu.

- Ja też. Miałaś rację. To, że znam cały ten światek od podszewki, bardzo mi pomogło. Hm, więc...

- Harriet, przeglądałaś dzisiaj prasę? - przerwał. Roześmiała się krótko.

- Chyba żartujesz! Urabiałam sobie dziś ręce do łokci.

- Powinnaś rzucić okiem.

- Po co? Chyba nikt mnie jeszcze nie ubiegł, co? A może...? No nie! Paul nie wycofał się chyba z „Focus Now”?! Hej!

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy.
- No więc o co chodzi, Nick? Kończą mi się monety... Desperacko przeszukiwała kieszenie, ale zanim cokolwiek znalazła, usłyszała metaliczny brzęk przerwane połączenia. - Nick? - Za późno, słuchawka była głucha. Zaklęta, z hukiem ją odwiesiła i jakiś czas wpatrywała się w aparat. Co on, do cholery, chciał jej właściwie powiedzieć? Powinna jeszcze raz się dodzwonić do niego, czy może jednak kupić jakąś gazetę? Poczwała dym Gauloisa i zorientowała się, że jakiś mężczyzna stoi za nią i niecierpliwie przytupując, czeka na wolny telefon. To przeważyło. Podjęła decyzję. Minęła mężczyznę, omal go nie potrącając, i dziarskim krokiem podeszła do najbliższego straganu z gazetami, za którym siedział zziębnięty sprzedawca.

Widziała wyłącznie francuskie gazety. Zwymyślała się w duchu za to, że nie opanowała francuskiego zbyt dobrze. A mogła! Nie brakowało jej ku temu okazji, ale nie pracowała nad tym zbyt usilnie. Teraz jednak nie miała najmniejszej ochoty walczyć z obcym językiem i po francusku szukać czegoś... zupełnie nie wiadomo czego. Nagle dojrzała zepchnięte na tył straganu tytuły angielskich i amerykańskich gazet. Wczorajsze, nie daj Boże? Nie, dzisiejsze. W każdym razie przynajmniej te angielskie. Wskazała palcem jedną z nich i wyciągnęła resztki drobnych. Cofnęła się pod wejście do metra i osłonięta od lodowatego wiatru, rozłożyła gazetę.

Od razu zobaczyła właściwy artykuł. Zamieszczona obok fotografia wprost skoczyła jej do oczu. Tata... Mama... I... ten mężczyzna... Czuła, że ogarnia ją drżenie.

NIEOCZEKIWANY POWRÓT Z ZAŚWIATÓW! SFINGOWAŁ WŁASNĄ ŚMIERĆ - TWIERDZI PEWNA KOBIETA

Oparła się o ścianę. Chciała znaleźć jakiś spokojny zakątek, ale wiedziała, że się stąd nie ruszy, dopóki nie przeczyta do końca.

Kiedy skończyła czytać, aż dyszała z emocji. Oderwała wzrok od gazety i niewidzącym spojrzeniem omiatała ludzi spieszących na stację metra. Potem znów patrzyła w gazetę. Samochody z rykiem pędziły ulicami, klaksony trąbiły, ale ona tego nie słyszała. Zapomniała nawet o

bezcennych rolkach filmu w aparacie na szyi i tych wetkniętych w kieszenie kurtki. Należały do kogoś innego; stanowiły część innego świata, innego życia.

Greg Martin, wspólnik ojca, żyje.

Ledwie go pamiętała, rzecz jasna. Był rozmazaną postacią z przeszłości. Prawie się o nim w domu nie mówiło, chyba że przy tych nielicznych okazjach, kiedy wspomniano o nieszczęśliwym wypadku. Tym strasznym wypadku, który pochłonął życie Martina i jej matki, gdy Harriet miała raptem cztery lata. A kłopoty finansowe ojca, których główną przyczyną - jak podejrzewała - był właśnie Greg Martin... na ten temat nie padło nigdy ani jedno słowo. Zdarzenie było tak tragiczne, tak potwornie bolesne, że ojciec po prostu wymazał je z pamięci - przynajmniej tak to wyglądało na zewnątrz.

Harriet przycisnęła dłoń do ust i zamknęła oczy. Teraz ulicę przepętnił zapach perfum, niesionych podmuchami wiatru - perfumy były najwyraźniejszym wspomnieniem związanym z matką. Taki szczególny zapach... Niezapomniany, lekki, drażniący i słodki. Przypominał aromat ogrodu w letni wieczór. Wspomnienie tych perfum po dziś dzień miało wielką moc wywoływania łez w oczach Harriet. A przecież dawno już zapomniała twarz matki.

Mamo! Mamo... Dlaczego odeszłaś? Nocami płakała w poduszkę, łkając w dziecięcej nadziei, że łyzy sprawią cud i znów wszystko będzie jak dawniej - że rano zobaczy matkę.

Ale naturalnie nic podobnego się nie stało. Matka zginęła w czasie eksplozji luksusowego jachtu. Tak jej tłumaczono. Z biegiem czasu pogodziła się z tym, przyjęła do wiadomości, że mama nigdy nie wróci. Choć co jakiś czas wracał ból i trwało to dłużej, niż można było oczekiwać. I smutek. Zwłaszcza nocą.

Ale teraz...

Jeśli Greg Martin żyje, to przecież możliwe, że i... Czy jest szansa, choćby cień szansy, że mama też nie zginęła?

Ta perspektywa omal nie zwała jej z nóg. Długie minuty stała pogrążona w chaosie rozpędzonych myśli. To wszystko nie ma sensu.

Żadnego. A jednak czarno na białym widziała najlepszy dowód tego, że nie wszystko jest takie, jak się dotąd wszystkim wydawało. Po raz pierwszy od lat zatęskniła za domem, i to nie za Nowym Jorkiem, a za tym małym mieszkankiem w Londynie, gniazdkiem, które po swojemu uwiła. Byle jak złożyła gazetę, wrzuciła ją do torby i mechanicznym krokiem weszła na stację metra. Być już w domu. Najszybciej, jak się da. Nagle tylko to miało dla niej znaczenie. Wrócić do siebie. Dopiero wtedy, być może, będzie mogła przemyśleć wszystko na spokojnie i postanowić co dalej.

Sally Varna wstała w wannie, z niechęcią wyłaniając się z delikatnie pachnącej piany, i sięgnęła po wielkie różowe ręczniki kąpielowe, przygotowane dla niej przez pokojówkę. Potem podeszła do niskiego stołeczka i usiadła, przyglądając się sobie w lustrach, którymi wyłożone były dwie przeciwległe ściany łazienki.

Widziała przed sobą gładką twarz, nieco zaróżowioną rozgrzewającą kąpielą. Nikt patrząc na nią nie dałby jej czterdziestu sześciu lat. Ta twarz, poprawiona nawet najlepszymi kosmetykami świata, nie mogłaby uchodzić za piękną, tym niemniej... Zupełnie nieźle, jak na brzydkie kaczątko, pomyślała Sally, uśmiechając się cierpko pod nosem. Uniosła ramię i odgarnęła rozjaśnione pasemka włosów, opadające na uszy. Tak, drobniutkie blizny prawie już zniknęły. Chirurg nie kłamał. Nikt nie musi się dowiedzieć, że poddała się zabiegowi kosmetycznemu. Chyba że sama zechce o tym mówić. Dlatego właśnie rozsądnie zdecydowała się na *facelifting* wcześniej, zanim naturalne zmarszczki i obwisła miejscami skóra staną się nazbyt widoczne. W końcu zawsze uchodziła za osobę rozsądną. Przynajmniej rozsądną, jeśli już nic innego dobrego nie da się o niej powiedzieć.

Rozsądna Sally. Sally, „ta rozsądna”. Tak właśnie mówiono o niej w dzieciństwie, kiedy porównywano ją z siostrą, Paulą. „Sally jest mądrą dziewczynką. Naprawdę ma głowę na karku”. Tak mówili ludzie. A tymczasem tak naprawdę chcieli przecież powiedzieć, że Paula jest ślicznym dzieckiem, podczas gdy ona, Sally, wygląda bardzo przeciętnie. Musieli jednak jakoś ją pochwalić, znaleźć w niej jakąś zaletę. Chcieli jak

najlepiej, tyle rozumiała, ale i tak bardzo ją to bolało. Nie chciała być ani rozsądna, ani zdolna. Chciała być tak piękna jak Paula. Oddałaby wszystko za to, żeby choć troszkę upodobnić się do siostry, której wielka uroda przyciągała i hipnotyzowała wszystkich dokoła. Ale gdy włosy Pauli lśniły i podskakiwały sprężysto - sprawiały wrażenie, że rozświetla je słońce - jej były proste i bure. Paula miała cudne, przejrzyste, zaskakująco zielone oczy, ona zaś - bardzo zwyczajne, piwne. Niby podobna do Pauli, a przecież inna. Toporniejsza, o cięższej sylwetce, toporniejszych rysach twarzy... Nie była gruba, a jednak na tyle masywna, że przy siostrze zawsze się czuła niezręcznie - miała wrażenie, że jest za duża. A przecież starsza o dwa lata Paula przerastała ją o całe dziesięć centymetrów.

- Mamo, dlaczego nie wyglądam jak Paula? - pytała jako pięcioletnia dziewczynka, wpatrując się z żalem w swoje odbicie w lustrze. Ale matka, sama zafascynowana faktem, że urodziła oszałamiającą piękność, nie potrafiła dać zadowolającej odpowiedzi.

Dziewczynki dorastały i nic się nie zmieniało. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, zawsze wiedziała, że nie ma najmniejszych szans konkurować z Paulą, a to bardzo odbierało jej wiarę w siebie. Dlatego odnosiła wrażenie, że ci, którzy ją widzą po raz pierwszy, szepczą zdumieni gdzieś za jej plecami: „To ma być siostra Pauli? To małe kaczątko? Chryste Panie, siedziała chyba w ostatnim rzędzie, kiedy Pan Bóg rozdawał urodę!” Fakt, że niewiele znała takich dziewcząt, które mogłyby dorównać Pauli, niewiele zmieniał. One nie musiały żyć u boku bogini, nie musiały konkurować z żywą legendą.

A mimo to Sally uwielbiała Paulę. Kiedy koleżanki - zazdrosne o urodę jej siostry i o to, że dzięki niej przed Paulą otwiera się tyle drzwi, zazdrosne zwłaszcza o chłopców, którzy wciąż ją otaczali - pozwalały sobie na kąśliwe uwagi, Sally zawsze stawała w jej obronie. Nikt nie wierzył, że uroda Pauli miała w pewnym sensie znaczenie drugorzędne - siostra była dla niej po prostu bóstwem na piedestale. Więc kiedy Sally przekonała się wreszcie, że w uwagach dziewczyn jest jednak sporo prawdy - zresztą przyjęła to do wiadomości tylko w cichości ducha -

przeżyła duży wstrząs.

Teraz wstała. Ręcznik opadł na podłogę; narzuciła na plecy jedwabne kimono. Cieniutki jedwab przywarł do ciała. Znów spojrzała w lustro. Lata kontrolowanej diety i ćwiczeń już dawno wyszczupliły jej sylwetkę. Ciało miała jędrne i zwarte, a przecież natura obdarzyła ją hojniej krągłościami niż Paulę. I tak samo jak twarz, ciało przeczyło upływowi lat. W niektórych dziedzinach okres, kiedy żyła w cieniu siostry, wydawał się straszną prehistorią, w innych zakończył się raptem wczoraj. Wiedziała, że urodą nigdy nie dorastała siostrze nawet do pięt, ale w końcu prezentowała światu nie najgorszą imitację Pauli. I miała wszystko, o czym dawniej marzyła. Ba, więcej! Ten apartament przy Central Park South, ranczo w Kolorado, posiadłość w Montego Bay, prywatny odrzutowiec do dyspozycji, środki, by kupić wszystko, czego dusza zapragnie. Nieźle jak na dziewczynę, która wyrosła w dzielnicy komunalnych domków.

Przede wszystkim jednak była żoną męża Pauli. A to już najlepszy dowód na to, że nie musiała mieć wobec siostry aż tak straszliwych kompleksów niższości.

Tylko jedna tajemnica kładła się głębokim cieniem na życiu Sally, cieniem, którego nie mogły przegnać ani pieniądze, ani żadne luksusy. Ta tajemnica znów zajęła jej myśli, ale już po chwili Sally, wprawiona wieloletnią praktyką, odegnała od siebie czarne chmury i przeszła do garderoby. Dziś, u boku Hugona, spędzała wieczór z ważnym senatorem. Senator zazwyczaj zapraszał osobistości z showbiznesu i Sally nie mogła się zdecydować, co na siebie włożyć. Podeszła do jednego z drążków na wieszaki, które ciągnęły się wzdłuż wybijanych jedwabiem ścian, i zatapiając bose stopy w grubym kremowym dywanie zdjęła czarną suknię, by ją do siebie przymierzyć. Suknia miała mały, okrągły, wykładany kołnierzyk i proste eleganckie rękawy, zakrywające nadgarstki. Za to z tyłu rozcięta była od kołnierzyka do bioder i zakończona bardzo śmiałą, bardzo krótką spódniczką. Gdyby do tego włożyła brylantowe kolczyki i bransoletkę od Van Cleefa, wyglądałaby oszałamiająco. Tak - pomyślała - włożę czarną, albo tę z aksamitu w

kolorze truskawek...

Ktoś wszedł do sypialni za garderobą. Sally odwróciła się i wciąż trzymając przy sobie suknię, z niezadowoleniem zmarszczyła czoło. Ile razy pouczała pokojówki, żeby jej nie przeszkadzały, bo bardzo ceni sobie spokój! Plącząca się pod nogami służba była akurat jedną z tych rzeczy, do których za nic nie mogła się przyzwyczaić. Bardzo to miłe, kiedy zrzuca się z siebie bieliznę ze świadomością, że ktoś zatroszczy się o to, by wszystkie szmatki, wyprane, wyprasowane i pachnące wróciły na czas do szuflady. Jeszcze milej, kiedy nie trzeba się kłopotać sprząaniem ze stołu czy zmywaniem, ale w tym wiecznym kręceniu się pokojówek, cichaczem wykonujących swoje obowiązki; było coś, co ją wciąż niepokoiło.

- Kto tam? - zawołała podniesionym głosem.

Drzwi do garderoby otworzyły się i ze zdumieniem ujrzała w nich Hugona. Uniósł podczernione brwi - teraz wreszcie wyraźnie odznaczały się na skórze. Nie spodziewała się męża w domu wcześniej niż za godzinę. O tej porze dnia siedział zazwyczaj w biurze przy Siódmej Alei 550.

- Hugo! Co tu robisz tak wcześnie?

Do garderoby wszedł średniego wzrostu mężczyzna w sile wieku. Miał na sobie szary garnitur i biały golf. Kiedy się do niej odwrócił, w świetle zapalonych górnych lamp dostrzegła, że jest blady i ma zapadnięte policzki - widać było niezauważalne zwykle zmarszczki, które wiodły od nosa do ust, i błyszczące jak w gorączce oczy.

- Co ci jest? Nie jesteś czasem chory?

Nie odpowiedział. Stał tylko i patrzył, jakby się nie mógł zdecydować, od czego zacząć.

- Hugo! - Zaniepokojona zbliżyła się do niego krok.

- Greg Martin żyje. Zastygła w bezruchu.

- Co mówisz?

- Greg Martin żyje. Mieszka w Australii. Nie zginął w czasie wybuchu *Lorelei*. Cały ten wypadek był ukartowanym przedstawieniem.

- O Boże!

- Właśnie. Sam w pierwszej chwili nie mogłem w to uwierzyć. Ale sprawdziłem, co mogłem, Sally. Nie ma Wątpliwości, że to prawda. Czułem, że muszę wrócić do domu natychmiast i jak najszybciej ci o tym powiedzieć. Bo ty przecież wiesz, co to znaczy. Ty wiesz. Skoro Greg żyje, to może Paula też?

- O mój Boże! - powtórzyła.

W pokoju nagle pociemniało, jakby ktoś wyłączył światło. Przez chwilę zastanawiała się, czy czasem nie zemdleje. Stała sztywno, jakby wrosła w ziemię. Kurczowo ścisnęła sukienkę. Patrzyła na męża, a wokół walił się cały świat.

Zawsze wiedziała, że wcześniej czy później taki moment nadejdzie. I właśnie nadszedł, ale wcale nie była przygotowana na to lepiej niż pięć, dziesięć czy piętnaście lat temu.

W Londynie zaczął sypać śnieg. Pierwsze duże płatki stopniały na chodnikach; teraz padały gęściej i szybciej. Śnieg gromadził się na zewnętrznych parapetach, w szczelinach i zakamarkach ulic, a samochody zamieniały go na jezdniach w błoto.

Teresa Arnold siedziała w małej pracowni na najwyższym piętrze, starego magazynu przy Whitechapel i drżała z zimna. Podkreśliła przenośny piecyk gazowy. W gruncie rzeczy nie było ją na to stać. W dodatku, kiedy trzeba było wymienić butlę z gazem, nie mogła jej sama wtachać na trzecie piętro i musiała prosić o pomoc któregoś ze znajomych chłopaków. Jednak gdy marzła aż tak strasznie, jej palce zamieniały się w białe, pozbawione czucia, obce ciału wateczki. Nie mogła wtedy pracować, a przecież musiała, jeśli chciała skończyć kolekcję na czas.

Roztarta zziębnięte dłonie, żeby pobudzić krążenie krwi, i nachyliła się nad planszami rozłożonymi na stole. Postanowiła nie myśleć o zimnie i skupić się na pracy. Projekty muszą być dobre - nie, dobre to mało, wprost sensacyjne! - bo inaczej zawiedzie wszystkich, którzy w nią wierzą: niewielką ekipę krojczyń i szwaczek, przyjaciół z akademii, którzy wpadali do niej co jakiś czas, żeby zaproponować pomoc i podtrzymać na duchu, a przede wszystkim matkę, która zastawiła dom pod kredyt

bankowy. To miał być zastrzyk gotówki, dzięki któremu Teresa mogłaby rozpocząć karierę.

Westchnęła. Zimno wywoływało w niej depresję i tłumiło wszelki optymizm. Jakież to wszystko wydawało się kiedyś łatwe. I jakie ekscytujące! Kiedy skończyła wydział projektowania odzieży na akademii sztuk pięknych, całą swoją dyplomową kolekcję zaniosiła do Lady Jane, małego, lecz ekskluzywnego butików na West Endzie. Tam powitano ją wręcz entuzjastycznie. Wtedy wierzyła, że świat leży u jej stóp, a ona zrobi oszałamiającą karierę. Rozgrzana sukcesem, postanowiła ustawić się w życiu jako niezależna, samodzielna projektantka. Ale wszystko okazało się daleko trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Może dlatego - myślała - że w fazie planów wspomagał ją Mark Bristow, dynamiczny młody człowiek, jeden z kierowników agencji reklamowej, którego poznała i pokochała, kiedy szukała pracy w Somerset. Mark, choć był Anglikiem, spędził tyle czasu w Stanach, że zdążył wchłonąć w siebie typowo amerykańską mieszaninę entuzjazmu i energii. Nie tylko wchłonął, ale nią wprost emanował. Zachęcał Teresę, chwalił, potrząsał nią kiedy trzeba, wspierał i obdarzał miłością, a dzięki temu uczuciu nawet w najczarniejszych chwilach wątplenia Teresa umiała się unieść nad problemy i triumfalnie podźwignąć z rozpacz. To Mark namówił ją, żeby zwróciła się do banku o kredyt. Mark zasugerował, że razem z dawną przyjaciółką, Lindą George, która kończyła studia ekonomiczne w tym samym czasie, kiedy Teresa robiła swój dyplom, powinny zespolić siły i stworzyć wspólny interes - Linda miała zajmować się stroną finansową i handlową. To Mark natchnął ją taką wiarą w siebie, że pozwoliła matce zastawić dom jako zabezpieczenie kredytu, a przecież wcześniej nie chciała na to przystać, choć dobrze wiedziała, że nie ma innej możliwości. Lecz przede wszystkim Mark sprawiał, że czuła się kochana i wyjątkowa. „Jestem z ciebie dumny, moja pani” - powiedział kiedyś, a ona jaśniała ze szczęścia i ukrywanego, kipiącego w niej podniecenia, które brało się z wiary, że kiedyś podbije świat.

Ale teraz Marka już nie było. Zniknął z jej życia nagle, bez wyjaśnień. I chociaż bardzo się starała, nie mogła tego przeboleć. Dlaczego?

Dlaczego? Dlaczego? - pytała siebie raz po raz. Dlaczego tak się skończyło? Przecież byliśmy sobie tak bliscy! Kochaliśmy się! Takie raptowne zakończenie w ogóle nie przeszło jej przez myśl: Ale nie potrafiła znaleźć na to pytanie żadnej rozsądnej odpowiedzi. I niezależnie od tego, co sobie wymyślała po drodze, fakt pozostawał faktem: Mark odszedł i nie miał zamiaru wrócić. Zaczęła się z tym już godzić, ale wciąż za nim tęskniła. Ból spowodowany odejściem Marka wracał i nie pozostawał bez wpływu na losy firmy - zupełnie jakby wraz ze łzami wypłynęła z niej cała wiara w siebie.

Kiedy Mark był przy niej, wszystko wydawało się możliwe. Bez niego wszelkie czary prysły, a w życie wkradła się nuda. Nawet w pracę. Żeby nie wiadomo co robiła. Teraz kłopoty narastały jeden za drugim. Właściciele kilku sklepów i butików wykazali zainteresowanie jej projektami, ale przecież trzeba było jeszcze uszyć projektowane ubrania. Musiały być nowatorskie, w dobrym gatunku, ale, by nie odstraszyć nabywców - niezbyt drogie. Właściwie pod wieloma względami było to błędne koło. Wszystko kosztowało o wiele więcej, jeśli szyci się tylko kilka sztuk. Na samo rozkręcenie produkcji potrzebny był kapitał i wiele punktów zbytu. Poza tym wciąż prześladowała ją myśl, że jeśli powinie się jej noga, matka straci dach nad głową.

Teresa rozpaczliwie potrzebowała sponsora. Kogoś, kto zabezpieczy ją finansowo, gdy ona będzie tymczasem tworzyła. Ale żaden dzin nie chciał wyskoczyć z butelki, bez względu na to, jak mocno pocierała magiczną lampę. Linda też szukała jakichś rozwiązań. Miejmy nadzieję, że szybko coś znajdzie - myślała Teresa ponuro. Bo jeśli nie, nie wiem jak długo to jeszcze zniosę.

Usłyszała odgłos kroków na nadwerężonej zębem czasu klatce schodowej. Oderwała wzrok od plansz i wbrew woli obudziła się w niej drobna, choć bezzasadna nadzieja. Tak się jakoś działo, że za każdym razem, gdy słyszała kroki na schodach, zastanawiała się, czy to czasem nie Mark. Może wróci równie nieoczekiwanie, jak nagle od niej odszedł? W chwilę później nadzieja jednak zgasła. W drzwiach stanął wysoki, młody człowiek w znoszonym dwurzędowym palcie i brązowej czapce ze

skóry.

- Weasel! Cześć! - Uśmiechnęła się; chciała ukryć przed nim rozczarowanie - A co ty tu robisz?

Właściwie nie czekała na odpowiedź. Weasel był jej dobrym kumplem z akademii i często wpadał bez zapowiedzi.

- Cholera, ale tu zimno, Terri. - Tupał nogami w ciężkich sznurowanych martensach. Jego oddech skraplał się w obłok białej pary.

- Nie musisz mi o tym mówić! - prychnęła. - Nastaw czajnik, jeśli masz ochotę na kawę.

- Pewnie, że mam. Ty zresztą też, ale nie tu. Chodź, zabieram cię do tej małej kawiarenki obok. Jak ona się teraz nazywa?

- „U Mario”. Chyba. Ciągłe zmieniają nazwę. Ale nie mam teraz czasu, żeby wyjść. Czeka na mnie robota. Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na życie towarzyskie i nieróbstwo.

- Nie bądź taka bezczelna, moja droga! Któregoś dnia docenisz moje rzeźby. Sama zobaczysz! Tymczasem postanowiłem trwać w dobrym zdrowiu, żeby móc się w pełni cieszyć sukcesem, kiedy przyjdzie pora. I tobie radzę to samo.

- Ale muszę to skończyć.

- Nigdy nie skończysz, jak się nabawisz zapalenia płuc. No chodź już. Wkładaj płaszcz. O, nawet nie musisz go wkładać, co? Idziesz teraz ze mną i oświadczam, że nie przyjmuję odmowy.

- No dobra, dobra. Przestań się szarogęsić. - Teresa sięgnęła po grubą, robioną na drutach chustę i omotała ją wokół ramion. Jak Weasel zauważył, płaszcz miała od dawna na sobie, żeby tak nie marznąć. Wyłączyła piecyk - trzeba oszczędzać gaz! Zgasiła światło i wyszła na klatkę.

- Nic nie drgnęło, co? - zapytał, kiedy schodzili po koślawych schodach, po omacku omijając spróchniałe deski.

- Niestety.

- Uważaj, ślisko! - ostrzegł przecinając podest pokryty śniegiem sypiącym przez rozbity lufcik.

- Wiem, wiem. Że też musieli zabić okna dyktą! Tak tu teraz ciemno.

Weasel już stał na dole i otwierał przed nią drzwi na ulicę.

- Wiesz, czego ci trzeba, moja projektantko roku 1991?

Przyzwoitego miejsca do pracy.

- Trzeba mi głównie cudu!

W rynsztoku leżała poranna gazeta. Rozdeptany śnieg i błoto częściowo zasłaniały nagłówek: „POWRÓT Z ZAŚWIATÓW...”

Weasel kopnął ją czubkiem buta na grubej podeszwie. Teresa nawet jej nie zauważyła.

RRS

Rozdział drugi

Taksówka pędziła ulicami Kensigtonu, reflektorami rozświetlając mrok. W pewnej chwili Harriet przysunęła się do szyby dzielącej ją od kierowcy i powiedziała:

- Tutaj proszę.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Harriet spojrzała na licznik i podała taksówkarzowi banknot.

- Dziękuję. Reszty nie trzeba. - Wsiadła na zaśnieżony chodnik i wyciągnęła z auta bagaż. Wreszcie w domu! Dzięki Bogu!

Niemal biegła. Miała mieszkanie na parterze w starej kamienicy, która już dawno przeżyła dni swojej świetności. Pokonała trzy schodki, stanęła pod drzwiami i kiedy włożyła klucz w zamek, usłyszała za sobą kroki, a potem męski głos:

- Przepraszam panią!

Odwróciła się zaskoczona i trochę niespokojna.

- Słucham.

- Harriet Varna? - Głos brzmiał poważnie i pewnie, ale nie złowieszczo. Męski płaszcz z uniesionym kołnierzem wyglądał solidnie, a mimo to niepokój Harriet jeszcze się nasilił.

- Kim pan jest?

- Jestem Tom O'Neill z towarzystwa ubezpieczeniowego British and Cosmopolitan. Zaglądałem tu wcześniej, ale bez powodzenia. Widziałem, że mieszkanie jest ciemne. Miałem już wracać, kiedy podjechała taksówka.

- Dziękuję panu, ale niepotrzebne mi żadne ubezpieczenie. - Pchnęła drzwi i wyjęła klucz z zamka. - A teraz przepraszam pana...

- Nie sprzedaję polis. Chcę z panią porozmawiać o zupełnie innych sprawach. Chciałem pomówić o Pauli Varna. To chyba pani matka.

Harriet zeszywniała, zaskoczona i wściekła na siebie - powinna się domyślić, o co chodzi, kiedy tylko wspomniał, że reprezentuje towarzystwo ubezpieczeniowe. Jakoś w ogóle nie przyszło jej to do głowy. Oczywiście że w związku z wypadkiem musiało być jakieś dochodzenie. Ale przez całą drogę do Londynu Harriet była zbyt mocno zaabsorbowana własnymi uczuciami, żeby rozważać, kto mógł na tej sprawie skorzystać finansowo.

- Tak, Paula Varna była moją matką - przyznała dziwnie rozdrażniona. - Wolalabym jednak dziś wieczór z panem nie rozmawiać. Z nikim nie chcę rozmawiać. Dopiero co przyleciałam z Paryża i jestem bardzo zmęczona.

- To nie potrwa długo - nalegał bez śladu zrozumienia w głosie. - Zadam pani tylko kilka pytań i zaraz sobie pójdę.

- Panie O'Neill...

- Może będzie łatwiej, jak wejdziemy do środka? - Znowu ten władczy ton.

Harriet najeżyła się.

- Nie mam zwyczaju wpuszczać do mieszkania nieznajomych. Zwłaszcza o tej porze. Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się pan podaje?

- Proszę, to moja legitymacja. - Podsunął jej plakietkę, na którą ledwie rzuciła okiem. Jakoś dziwnie nie miała wątpliwości, że niejaki Tom O'Neill jest rzeczywiście detektywem zatrudnionym przez British and Cosmopolitan. Niemal żałowała, że tak jest.

- Więc niech pan wejdzie.

Prowadziła go przez hol klatki schodowej - osobiście ozdobiła go wazonem z suszonymi kwiatami i starymi, ale jeszcze dobrymi chodnikami, które kupiła za bezcen na jakiejś imprezie dobroczynnej. W świetle żarówek korytarza stwierdziła ze zdumieniem, że O'Neill jest dużo młodszy, niż zakładała, widząc jego obszerny płaszcz. I o wiele przystojniejszy. Właściwie nie taki znów przystojny. Trudno było go tak określić. Ale z całą pewnością męski, o zdecydowanych, nieregularnych rysach twarzy, pełnej, nieco wystającej dolnej wardze i bardzo

niebieskich oczach. Odwróciła się do niego plecami. Otwierała drzwi do mieszkania i czując miłe ciepło wnętrza, pogratulowała sobie w myślach przezorności - nie wyłączyła grzejników. Jakoś nie mogła się dziś nigdzie rozgrzać, nawet w samolocie. Miała potworną ochotę na coś mocniejszego, na ratującą w niedoli szklaneczkę szkockiej, ale nie wypadało jej pić samej, a Tomowi O'Neill nie miała zamiaru nic proponować.

Włączyła światło, rzuciła torbę na stół i gwałtownie obracając się do mężczyzny, stanęła do niego twarzą.

- Słucham pana.

- Jak już mówiłem, chciałbym porozmawiać o pani matce. -

Przyglądał się jej niepokojąco uważnie; jego nieprawdopodobnie niebieskie tęczówki skierowane były wprost w oczy Harriet.

- Reprezentuję towarzystwo, które wystawiło polisy na życie zarówno pani matce, jak i panu Martinowi, że nie wspomnę o ubezpieczeniu jachtu, więc sama pani rozumie, że chciałbym się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło wtedy na morzu.

- Obawiam się, że nie mogę panu w tym pomóc. Miałam cztery lata, kiedy mama zginęła.

Coś zawisło między nimi w powietrzu. Czują to przez skórę, widziała to w lekkim uniesieniu ciemnych brwi mężczyzny, w skrzywieniu kącika ust.

- Kiedy ostatni raz widziała pani matkę? - zapytał, nagle przerywając ciszę.

- Mówiłam już... Kiedy miałam cztery lata. Przyszła wieczorem do mojej sypialni, żeby mi powiedzieć dobranoc... - Zawiesiła głos; wróciło kolejne wspomnienie... Tego samego wieczoru trochę później słyszała podniesione głosy w pokoju matki. Na bosaka przeszła przez hol, zajrzała przez uchylone drzwi... Oczy Harriet pociemniały. Bystry detektyw od razu to zauważył.

- I co? - drążył. - I co było dalej?

- Powiedziałam panu, że więcej jej nie widziałam.

- Ale coś się wtedy zdarzyło.

- Nic się nie zdarzyło. Na litość boską...

- Co mówiła? Wtedy, kiedy się przyszyła pożegnać? Zachowywała się jak zawsze?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Mama była zawsze... mamą. Poza tym nie sądzę, żeby to, co mi mówiła, mogło pana interesować.

- Obawiam się, że ćwierć miliona funtów szterlingów, wypłacone pani rodzinie z tytułu ubezpieczenia na życie, niestety musi mnie interesować. - Podeszedł do małego stolika i wziął do ręki zdjęcie w srebrnych ramkach, wykonane w atelier fotograficznym. - Kiedy zrobiono to zdjęcie?

Harriet nagle miała tego dość.

- Niech pan to odłoży! - warknęła.

- To pani matka, prawda?

- Tak, owszem. A skoro już o tym mówimy, to tę fotografię zrobiono, zanim się urodziłam. W czasach, kiedy mama pracowała jako modelka. Była jedną z najbardziej wziętych modelek. Tyle chyba pan wie. Ale nie ma pan prawa węszyć wśród moich osobistych pamiątek! Nawet policjant nie ośmieliłby się tu grzebać bez nakazu! A pan jest tylko prywatnym detektywem. Nie muszę z panem w ogóle rozmawiać.

Zupełnie nieporuszony, oderwał wzrok od zdjęcia.

- Tak się jakoś składa, że ludzie, którym zadaję pytania, tracą nad sobą kontrolę właśnie wtedy, kiedy chcą coś ukryć - zauważył gładko.

- A co to, do licha, ma znaczyć?

- Jestem pewien, że sama pani znajdzie odpowiedź na to pytanie.

- Nie, nie znajdę. Niech mi pan to sam powie! Oskarża mnie pan o udział w spisku, tak?

- Czteroletnią dziewczynkę? Uchowaj Boże! Niemniej wygląda na to, że Greg Martin, ten sam, który towarzyszył pani matce na jachcie podczas eksplozji, kiwał nas równo przez dwadzieścia lat. Okazało się w końcu, że siedzi sobie w Australii, prawda?

- Jestem pewna, że pan wie o tym więcej niż ja. Ja wiem dokładnie tylko tyle, ile można wyczytać w gazetach.

Znów uniósł brwi na znak uprzejmego zdziwienia.

- Doprawdy? To musi być dla pani bardzo stresujące przeżycie. Pominęła milczeniem tę niby grzeczną, ale kąśliwą uwagę.
- O ile mi wiadomo, nikt jeszcze nie stwierdził z całą pewnością, że ten wspomniany mężczyzna jest rzeczywiście Gregiem Martinem.
- Rzeczywiście. Trzeba to dopiero ustalić. Ale zakładając, że to istotnie on, musimy bardzo dokładnie sprawdzić, co stało się z pani matką. W końcu ona też mogła przeżyć wypadek.

Ostatnie słowa ugodziły Harriet. Z trudem przełknęła ślinę. Czuła w gardle pęczniejącą i dławiącą gulę. W gruncie rzeczy mówił tylko głośno o tym, o czym ciągle myślała. I właśnie tym ten chłodny, obcy człowiek tak bardzo wytrącał ją z równowagi.

- A jeśli nie zginęła, to gdzie, do licha, jest?
- Tego właśnie muszę się dowiedzieć. Za to mi płacą. Miałem nadzieję, że pani mi jakoś pomoże. Ale skoro słyszę, że pani o niczym nie wie, muszę szukać sobie innych dróg. Pewnie potrwa to trochę dłużej, ale... - Uśmiechnął się, a jego pewność siebie wywołała w Harriet nową falę niechęci. - Obiecuję pani, że rozwiklam zagadkę.
- Wobec tego proponuję, żeby od razu wziął się pan do dzieła - odparła. Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. - Dobranoc panu.
- Dobranoc. Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić czas. Nie odpowiedziała. Stała w drzwiach, dopóki nie zniknął.

Potem oparła się o framugę. Poczowała, że chociaż wciąż ma na sobie kurtkę, trzęsie się z zimna. Oderwała się od drzwi, podeszła do starej, masywnej serwantki i wyjęła z niej butelkę whisky oraz szklanekę. Nie rozcieńczony alkohol zapiekł ją w gardle. Oplotła dłońmi szklaneczkę i niewidzącym wzrokiem patrzyła przed siebie.

Czy to możliwe, że matka żyje? I czy ona, Harriet, chce, żeby tak było? Naturalnie pierwsza odpowiedź brzmiała: „Tak! O tak!”, ale prawda była o wiele bardziej skomplikowana. Jaka kobieta dobrowolnie zostawiłaby męża i dziecko i pozwoliła, żeby opłakiwali jej śmierć? Na pewno nie ta cudowna matka, której obraz stworzyła sobie mała osierocona dziewczynka. Nagle ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich godzin Paula stała się jej bardziej obca, niż była przez te całe

dwadzieścia lat, kiedy uważano ją za zmarłą. Piękna twarz z fotografii, kilka mglistych wspomnień, zapach perfum... Matka była taka, jaką sobie Harriet wyśniła. Teraz po raz pierwszy trzeba było stawić czoło fragmentom rzeczywistości, być może zniekształconym - obrazom, jakie powstają wtedy, gdy blask słońca odbija się od powierzchni wody. Ale z mgły wyłaniała się inna, nowa postać, jakże różna od bajkowej księżniczki, którą na własny użytek wymyśliła sobie Harriet.

Jak mogłaś zrobić coś takiego, mamó? - pytała bezgłośnie i nie znajdowała odpowiedzi. Fotografia była wszystkim, czego się mogła uchwycić. Nie znała kobiety ze zdjęcia.

Czekały ją długie godziny bezkresnej nocy i samotności. Gardziła sobą za słabość, ale sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer Nicka. Przez długą chwilę nie odbierał telefonu. Poczucie osamotnienia potęgowało się. Nie było go w domu. I właśnie kiedy już miała zrezygnować, usłyszała znajomy głos i lekko szkocki akcent.

- Nick - bąknęła ze ściśniętym gardłem.
- To ty, Harriet? Wróciłaś.
- Tak. Przed chwilą. Już myślałam, że nie ma cię w domu.
- Słucham muzyki. Troszkę za głośno ją podkręciłem. W pierwszej chwili nie słyszałem dzwonka.

W tle słyszała *Trubadura* Verdiego.

- Nick, czy mógłbyś...? - zaczęła niepewnie.
- Chcesz, żebym przyjechał?
- A możesz? Wiem, że jest późno, ale...
- Będę za dwadzieścia minut.
- Och, Nick! Strasznie ci dziękuję!
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł cierpko. Za rzadko mnie o to prosisz.

- I na litość boską... - wpatrywała się w niemal pustą butelkę szkockiej - przywieź coś do wypicia.

Zanim Nick przyjechał, zdążyła się umyć i przebrać w czystą bawełnianą bluzę, choć zajmowanie się tak przyziemnymi czynnościami zdawało jej się wysiłkiem ponad siły. Kiedy usłyszała jego samochód

przed domem, była już spokojniejsza, przynajmniej zewnątrz. Otworzyła drzwi nieco nonszalancko - w każdym razie miała nadzieję, że tak to właśnie odebrał.

- Cześć! Przepraszam, że tak cię ciągnę po nocy.

- Drobiazg. - Pocałował ją lekko w usta i wszedł do mieszkania. Był drobnym, trzydziestokilkuletnim mężczyzną o włosach koloru piasku, ubranym w ciężkie czarne palto, pod którym miał sweter i sztruksowe spodnie. Z jednej z przepastnych kieszeni wyciągnął butelkę szkockiej i postawił ją na stole.

- Napitek. Zgodnie z zamówieniem. Rozumiem, że jesteś w potrzebie.

- I to jakiej! Co za dzień! Jesteś wspaniały, Nick. - Przyniosła swoją szklaneczkę. - Bądź tak dobry i nalej mi, kiedy zdejmiesz płaszcz. A ty? Też się napijesz?

- Dotrzymam ci towarzystwa. Ale nie mogę pić dużo, skoro mam wsiąść do samochodu. - Domyśliła się w tym pytaniu. Zlekceważyła je. Z przyzwyczajenia postanowiła zachować dystans, nawet w chwili słabości.

- Mam zdjęcia, Nick. Kilka z nich jest naprawdę ekstra. - Zirykowało ją drżenie, które słyszała w swoim głosie.

- Świetnie. - Rzucił płaszcz na oparcie krzesła i zajął się nalewaniem szkockiej. Patrząc Harriet prosto w oczy, wyciągnął do niej szklaneczkę. - Nie zaprosiłaś mnie tu przecież na rozmowę o zdjęciach. Przyznaj to, Harriet. Chodzi o tę... drugą sprawę. Przypuszczam, że posłuchałaś mojej rady i przejrzałaś jakąś gazetę.

- Tak. - Wychyliła łyk szkockiej, a potem wpadła na pomysł. - Przyniosę trochę lodu.

Kiedy wróciła z kuchni, siedział wygodnie na sofie. Podeszła do niego i przycupnęła na małym pufie u jego nóg.

- Miałam tu już wizytę detektywa z towarzystwa ubezpieczeniowego.

Uniósł brwi.

- Tak szybko? Nie tracą czasu.

- Właśnie. Sądzę, że tak, jak mówił ten facet, skoro stawką jest ćwierć miliona funtów, nie mogą sobie pozwolić na zwłokę. Ale... nie było to przyjemne. Zwłaszcza że dopiero co wysiadłam z samolotu.

Zaczęła mu opowiadać o spotkaniu z panem O'Neillem. Nie wspomniała tylko o tym, jakie to w niej wywołało emocje, ale Nick znał ją zbyt dobrze, żeby dać się nabrać.

- Było to ponurawe, co?

- Tak... No wiesz... Cholera jasna! Przecież to bezczelność! Najpierw sugerował, że jestem zamieszana w jakieś finansowe matactwa, a potem, że mama nas zwyczajnie zostawiła. Owszem, towarzystwo miałoby się znacznie lepiej, gdyby pan O'Neill zdołał udowodnić, że nasza rodzina bezprawnie przyjęła pieniądze... Ale, do diabła, on mówił o mojej matce!

- O Harri, moja kochana Harri... - Wyciągnął ramiona, podniósł ją i objąwszy posadził obok siebie na sofie. - A co ty o tym myślisz?

- Co ja myślę? Myślę oczywiście, że ona nie żyje. Nie zrobiłaby nam czegoś takiego... - Głos jej się załamał. - Nie, prawdę mówiąc, jemu tak powiedziałam, ale w głębi serca sama nie wiem. Naprawdę sama nie wiem.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Wyrwała się z jego uścisku.

- Oczywiście, że ma!

- Dlaczego? Przez ostatnie lata żyłaś przecież bez niej.

- Nie w tym rzecz.

- Coś ci powiem. Z tego może wyniknąć jakaś bardzo denerwująca historia.

- Już jestem zdenerwowana - przyznała. - W każdym razie, prędzej czy później będę musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Ten Tom O'Neill na pewno nie odpuści. Nieźle się już przyssał. Będzie kopał i drążył aż do skutku. Chryste, co to za praca! Co za cholerna, brudna robota!

- Nie różni się aż tak bardzo od pracy dziennikarza - zauważył chłodno. - No cóż, Harri, możesz zrobić dwie rzeczy. Albo będziesz siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, co on robi, albo sama rozejrzysz się na własną rękę.

- Nie wiem. Nie wiem, czy chciałabym się rozglądać.
- Miałem cichą nadzieję, że zrobisz mi z tego maleńki reportażyk - powiedział nieśmiało.
- Z czego konkretnie?
- To już zależy od ciebie. Ale w czasie ostatniej wycieczki nie doleciałaś do Kuwejtu. Nie trafiłaś na bazyry Korei, nie dotarłaś do fabrykantów w Hongkongu. Być może podróż na wschód dobrze by ci zrobiła.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu, potem Nick spojrzął znacząco na butelkę.

- Mogę sobie nalać jeszcze trochę, czy będę dziś wracał do siebie? Roześmiała się krótko, ale jej śmiech przypominał szloch.
- Och, Nick, co ja bym bez ciebie zrobiła?
- Pierwszy raz przyznałaś, że jestem ci potrzebny. Na ogół świetnie sobie radzisz sama.

Milczała.

- No więc? - naciskał. - Mogę wypić czy nie?

Sięgnęła po butelkę i sama napełniła jego szklanekę do połowy.

- Napij się, Nick. I proszę... żebyś dziś ze mną został.

Z początku spała ciężkim, męczącym snem, wymuszonym kilkoma szklaneczkami szkockiej. Raptem zbudziła się gwałtownie, roztrzęsiona, z głową pełną chaotycznych myśli.

Wysunęła się z uścisku Nicka. Nawet nie drgnął. Jakże nienawidziła spać w jego ramionach! Kochać się z nim było bardzo przyjemnie, miło, choć może nie ekstatycznie, ale potem... Potem musiała odzyskać znów własną przestrzeń.

Jestem okropna - myślała czasem. Bezwstydnie go wykorzystuję i bardzo się za to nie lubię. Tylko że on sam jest sobie winny. Pozwala mi na to. Gdybym była mężczyzną, przepędziłabym siebie na cztery wiatry. I to galopem.

Tego wieczoru nie wgłębiała się w takie rozważania. Miała inne problemy.

Wysunęła się spod kołdry, naciągnęła na siebie ciężki męski szlafrok z

wetny i ciasno go zawiązując, podeszła do okna. Przestało już padać, niebo było czyste i czarne, miejscami upstrzone gwiazdami. Po drugiej stronie okna, pod parapetem, widziała obłe kształty białych doniczek, w których latem hodowała petunie i geranium, żeby ożywić szarość za oknem. Mur ogradzający podwórko też bielił się śniegową czapą. Niby dobrze znany, swojski widok, a jednak jakoś się zmienił od wczoraj. Tak jak wszystko inne. Wszystko uległo metamorfozie od czasu, gdy przeczytała artykuł w gazecie. Czuła, że nic w jej życiu nie jest już takie jak dotąd.

W pewnym sensie Nick miał oczywiście rację, mówiąc, że w gruncie rzeczy prawda nie zmienia niczego. Nie było już odwrotu - nie sposób napisać sobie nowego scenariusza na to, co dawno minęło. Z dziecięcą zdolnością przystosowywania się do nowych warunków szybko pogodziła się ze stratą matki, która i tak była tylko pięknym dodatkiem w jej życiu, pojawiającym się czasem gdzieś na horyzoncie. Sally wypełniła tę lukę z nawiązką.

Dopiero teraz, kiedy jako osoba dorosła spoglądała wstecz, mogła naprawdę docenić to, co dotychczas traktowała jako rzecz naturalną i naturalnie jej należną. Kiedy dowiedziała się o wypadku, Sally była przy niej. Pocieszała ją, tuliła, ocierała łzy. Promieniowała ciepłem, które koito śmieszne małe dziecięce odęcia, tonowało złośliwe uwagi, od jakich nie stroniła w odruchu samoobrony. Sally umiała kochać i mocno chodziła po ziemi. Był to pewnie skutek takich, a nie innych warunków życia w dzieciństwie. A jej cechy przeszły poważną próbę ognia, kiedy urodziła i wychowała nieślubnego syna, w czasach gdy takie rzeczy wywoływały skandal. Dla Harriet była zastępczą matką, a kiedy wyszła za Hugona, pozycja Sally umocniła się na tyle, że czteroletnia dziewczynka poczuła się całkiem bezpieczna i kochana. Choć wokół roztaczał się wielki, elegancki świat mody i dużych pieniędzy, w kręgu najbliższych osób Harriet znaleźli się tylko ojciec, Sally i nieślubny syn Sally, Mark Bristow.

Mark kształcił się w Anglii i tam postanowił zostać. To właśnie z jego powodu Harriet postanowiła przyjechać do Londynu, choć ostatnio

bardzo rzadko się tu spotykali. Pracował w reklamie. Prowadził agencję reklamową razem z Tobym Rogersem, lecz jakoś tak się paradoksalnie składało, że większość ubiegłego roku Mark spędził w Stanach. Teraz też tam był w interesach. Gdyby nie to, pewnie zadzwoniłaby do niego zamiast do Nicka. A może wcale nie? W pewnym sensie Mark był za bardzo „domowy”, za blisko tego świata, który właśnie teraz zatrząsł się w posadach. Ale tylko w pewnym sensie, bo tak naprawdę żył własnym życiem.

Nick poruszył się pod kołdrą, szukając Harriet po omacku. Znieruchomiła pod oknem, nie chcąc, by się obudził. Wołała, żeby nie wiedział, że znowu się wymknęła. Ale już po chwili usłyszała zachrypnięty szept:

- Harri? Gdzie jesteś?
- Tutaj - syknęła. - Śpij, śpij.
- Dlaczego wyszłaś z łóżka? Zaziębisz się.
- Nie. - Jego troskliwość wywoływała w niej irytację. A czy nie tego chciała? Przecież o to jej właśnie chodziło: żeby ktoś, komu na niej zależy, się o nią zatroszczył. Dlaczego więc fakt, że Nick nie śpi, że z nią rozmawia, odczuła jako zagrożenie własnej prywatności?
- Wracaj do łóżka, kochanie.
- Dobrze mi tu.
- Wcale nie, do cholery! - Wyskoczył z pościeli i krzyknął: - Chryste, co za lodówka! Nie masz tu jakiegoś piecyka?
- W sypialni nie. Tak się zdrowiej śpi.
- Zdrowiej! Można złapać zapalenie płuc! - Chwycił ją i wciągnął z powrotem do łóżka. Opatulił szlafrokiem, otulił kołdrą. Nie sprzeciwiała się, choć irytowało ją to coraz bardziej. Nie mogła przecież najpierw go prosić, by został, a potem się na niego wydzierać. Leżała sztywno, kiedy przytulił się i ogrzewał ją własnym ciałem.
- Rozmyślałam sobie - mruknęła mu w ramię.
- Nie teraz - zaprotestował. - Będzie na to dużo czasu jutro.
- Nie będzie. Już się zdecydowałam, Nick. Muszę sama spróbować dociec prawdy. Jeśli mama żyje, muszę ją znaleźć. Jeśli nie...

Nie odpowiadał.

- Wracam do domu. Pierwszym wolnym lotem - oznajmiła. -

Przepraszam cię.

- Nie trzeba. Przypuszczam, że musisz to zrobić.

- Tak.

- Pamiętaj tylko o jednym: weź ze sobą aparat. Roześmiała się cicho.

- Och, Nick! Z ciebie zawsze i wszędzie wychodzi dziennikarz.

- Zawsze. - W zaspanym głosie usłyszała nutkę żalu. Rozgrzewała się, ogarniała ją senność. Podjęła jakąś decyzję:

Przez chwilę była spokojniejsza.

- Dobrze. Wezmę aparat.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Nie wiedziała, że chodzi mu nie tyle o następny reportaż, ile raczej o to, żeby mogła czymś zająć myśli. Podróż w przeszłość. Niespodzianki czyhały za każdym zakrętem, niektóre pewnie dość denerwujące. Nick, wiedziony niezachwianym dziennikarskim instynktem, miał przeczucie, że ta podróż może być dla Harriet wstrząsem.

Rozdział trzeci

Wysoko w dwudziestopięciopiętrowym budynku przy Alei Mody 550, czyli w pępku nowojorskiego centrum wzornictwa, Hugo Varna siedział przy biurku i bawił się bezmyślnie zabawką, którą dostał w zeszłym roku od Sally pod choinkę. Właściwie głupia rzecz - myślał - trzy złote kulki na sprężynach, które uderzając o siebie kolejno, wprawiają się w nieprzerwany ruch. Trzymał to głupstwo na biurku jedynie po to, żeby sprawić żonie przyjemność, Ale dziś, kiedy nie potrafił się skupić na niczym, nie mógł powstrzymać się od dotykania kulek. Stukały o siebie irytująco. W końcu zdenerwowany odsunął je na kraniec blatu. Okręcił się na obrotowym fotelu i wpatrzył w panoramę Manhattanu.

Salę wystawową Hugona Varny zajmowały całe piętro budynku i z chwilą, gdy potencjalna klientka wysiadła z mosiężnej windy, wkraczała w świat nieposkromionego luksusu. Podłogę olbrzymiego holu pokryto wykładziną w najsubtelniejszym odcieniu zieleni; zieleń ścian była jeszcze delikatniejsza - na pierwszy rzut oka można by sądzić, że to niemal biel - a żaluzje w oknach miały idealnie stonowaną barwę mchu. Skąpe umeblowanie podkreślało rozmiary przestronnego holu. Stało tam raptem kilka małych, nowoczesnych stolików z wielkimi popielniczkami z dymnego szkła, przy każdym z nich dwa albo trzy niskie krzesła, całą zaś ozdobę holu stanowiły wielkie bukiety z suszonych paproci i liści w brązowożółtej tonacji. Z chytrze ukrytych głośników płynęła muzyka tak cicha, że prawie niesłyszalna, ledwie drażniąca ucho i kojąca duszę - dyskretnie stwarzała atmosferę spokoju i odpoczynku.

Pastelowy, cichy hol stanowił oazę ciszy pośród zgiełku centrum świata mody. Na ulicach ryczały samochody, ale subtelna muzyka

podkreślała panujący tu spokój. Na zewnątrz unosił się ciężki odór spalin, smażonych pączków, hamburgerów od MacDonalda, gnijących śmieci i potu, a tu roztaczał się zapach leciutki jak mgiełka, zapach najdelikatniejszego *pot-pourri* - suszonych kwiatów i goździków - równie dyskretny jak płynąca z głośników muzyka.

Nawet rozgorączkowana atmosfera budynku przy Siódmej Alei 550 omijała piętro Hugona Varny. Tutaj sprzedawcy i sprzedawczynie sunęli po salach z wdziękiem przypominającym bardziej nastrój Paryża, nie Nowego Jorku. Jakimś cudownym sposobem modelki tego domu mody nawet po długich sesjach mierzenia ubrań, upinania i drapowania materiałów potrafiły wyglądać elegancko i jak z reklamy. A kiedy trzeba było przenieść w trakcie roboty nowy strój z sali do sali długimi zielonymi korytarzami, wkładano go do szarych bądź czarnych toreb, żeby ustrzec kreację przed ciekawskimi „szpiegami”. Taką operację przeprowadzano sprawnie i - jak to Hugo nazywał - „z klasą”.

- Najprostszą rzecz można wykonać z klasą - instruował swoich pracowników, gdy tylko dopatrzył się jakiejś niedoskonałości. - Trzeba utrzymać odpowiedni poziom. - Ta dbałość o poziom przysporzyła mu klientek z najlepszego towarzystwa i doskonałych pracowników.

Hugo był zdyscyplinowany, elegancki, czarujący i rozsiewał wokół subtelny wdzięk europejskiej odmienności, która częściowo brała się z faktu, że miał ojca Bułgara. Ale tak naprawdę tę swoją inność zawdzięczał przede wszystkim wielkiemu talentowi.

Teraz, po latach, uważał wszelkie korzyści, jakie wynikły z jego talentu za zupełnie oczywiste. Dwadzieścia lat zasiadania na Olimpie zrobiło swoje. Hugo przyjmował więc zaszczyty i pieniądze jako najnaturalniejszą rzecz na świecie. Od czasu do czasu tylko popadał w zadumę i zaczynał się zastanawiać, co też właściwie tu robi, w tym świecie dostatku i elegancji, pośród bogatej, sławnej oraz wpływowej klienteli i przyjaciół.

Całkiem niezła kariera, jak na syna ubogiego i nielegalnego imigranta. Całkiem niezłe jak na chłopaka, który wychował się w podejrzanej dzielnicy miasta.

- Skąd właściwie jesteś, Hugo? - zapytała kiedyś w trakcie wywiadu Margie Llewellyn, królowa programów telewizyjnych „Rozmowy przy kawie”. A on zahipnotyzował miliony telewidzów historią swego życia. Ojciec Hugona, marynarz, w poszukiwaniu lepszych perspektyw wślizgnął się na statek, kiedy w latach dwudziestych Bułgarii groziła wojna domowa. Przybrał nazwisko Varna od nazwy portu, z którego wypłynął. Od chwili, gdy osiadł w Stanach, cały czas żył w strachu przed deportacją i ten lęk prześladował go całe życie - jeszcze długo po tym, kiedy przestał już być rzeczywistym zagrożeniem. Dlatego starszy pan Varna nigdy nie cieszył się w pełni sukcesem syna, gdyż osiągnięcia Hugona wywoływały zainteresowanie jego rodziną, to zaś była ostatnia rzecz, jakiej sobie życzył.

Hugo bez najmniejszego zażenowania opowiadał w trakcie programu Margie Llewellyn o latach, kiedy się bawił na ulicach Bronxu, i o tym, jak mimo nie sprzyjających warunków rozwinął w sobie talent do rysowania i projektowania strojów. Ojciec był jedynym mężczyzną w jego rodzinie. Chłopca otaczały same kobiety - matka, trzy siostry, babka ze strony matki, najróżniejsze ciotki i kuzynki, z których wszystkie oprócz matki stawały na głowie, żeby się ubrać z klasą. Z klasą biedaków - jak to później określił. Hugo interesował się tym bardziej, niż ojciec uznawał to za stosowne dla dziecka w tym wieku, zwłaszcza dla chłopca. Kiedy zaś Leonie, najstarsza siostra Hugona, została przyjęta jako pomoc w zakładzie krawieckim, jego fascynacja ubraniami bardzo się nasiliła. Od szkicowania sukienek, które szyła Leonie, do projektowania własnych wzorów dzielił go mały krok. Kończąc szkołę średnią wiedział dokładnie, co chce w życiu robić. Siostry - wszystkie już wówczas pracowały - wspierały go finansowo, kiedy zapisał się do Nowojorskiej Szkoły Wzornictwa Przemysłowego. Były niezwykle zadziwione tak utalentowanym bratem, ale i bardzo z niego dumne.

Po ukończeniu szkoły Hugo najmował się do kiepsko płatnych prac przy Siódmej Alei i jego początkowy optymizm w zderzeniu z banalną rzeczywistością zaczął z wolna przygasać - robił wykroje z paskudnych materiałów, które po niezbędnej obróbce trafiały z rąk

fabrykantów-dusigroszy do klienta. Ale mimo wszystko ciągle się czegoś uczył. Wreszcie nadszedł moment, kiedy przestało go interesować projektowanie dla innych. Zaczął tworzyć własne wykroje w domu na kuchennym stole i dawał je do szycia siostrze i jej koleżankom z zakładu krawieckiego.

Taka sytuacja nie mogła trwać w nieskończoność. Któregoś dnia pracodawca Leonie zwałchał pismo nosem, wylał ją z pracy i jeszcze zadzwonił do Victora Nicholsona, głupiego producenta, choleryka z natury, u którego Hugo właśnie wtedy pracował. Zdenerwowana Leonie bezskutecznie usiłowała skontaktować się z bratem i ostrzec go przed niebezpieczeństwem. Hugo dowiedział się, że coś w trawie piszczy, dopiero kiedy został wezwany do zabałaganionego, przesiąkniętego stęchłym dymem tytoniowym gabinetu Nicholsona. W momencie gdy wszedł do pokoju, wiedział, że coś się stało. Nicholson nie czytał jak zwykle o tej porze komiksu, lecz chodził nerwowo tam i z powrotem niczym lew po klatce. Jego nalana twarz i gruba szyja wyglądały jak dwa balony nad przybrudzonym kołnierzykiem białej koszuli. Kiedy Hugo wszedł do środka; Nicholson obrócił się na pięcie i z hukiem, mało nie przewracając krzesła, opadł na siedzenie.

- Co się do cholery, dzieje ty zaszary wszarzu, co? Chcesz mnie zrujnować, hę?

Zaskoczony Hugo patrzył na niego oniemiały. Nicholson pochylił się nad blatem biurka, złapał go za kłapy i przyciągnął do siebie.

- Nie stój tak, jak jakaś zaszara Shirley Tempie! Wiesz, o czym mówię. Oszukiwałeś mnie, ty śmierdzielu! Płacę ci tu za jakieś marne odpadki, a ty tymczasem sprzedajesz innym swoje lepsze wzory!

Wreszcie Hugo zrozumiał. Zaczął się trząść. Nie dlatego, że bał się fizycznej przemocy ze strony dwa razy większego od siebie Nicholsona, ale dlatego, że świat nagle zaczął się wokół niego walić. Zaryzykował i został przyłapany.

- Rozumiem, że chce pan, żebyśmy odszedł - powiedział z największą godnością, na jaką go było stać; leżał wyciągnięty na biurku z nosem ledwie piętnaście centymetrów od nie dojezionej pizzy i tekturowego

kubka kawowej lury.

- Jasne! I mało tego! - Nicholson puścił wreszcie Hugona i popchnął go tak mocno, że chłopiec mało nie upadł. - A teraz posłuchaj. Tylko słuchaj mnie dobrze! Oskarżę cię, Varna. Założę ci sprawę w sądzie o każdy cent, który zarobiłeś na lewo, i o każdy projekt. Wszystko należy do mnie. Podpisałeś ze mną kontrakt, nie zapominaj o tym!

Hugo pociągnął nosem z oburzenia. Choć na myśl o sprawie w sądzie oblał się zimnym potem, poczuł nagłą determinację - pewnie taką samą, jakiej doświadczył ojciec, gdy postanowił zakraść się na statek i szukać lepszego życia.

- Niech pan traci pieniądze na prawników, skoro pan chce
- odparł. - Zrobi pan z siebie głupca. To są moje projekty, zrobione w moim prywatnym czasie i wykonane przez moich pracowników! A pan i tak nigdy by z nich nie skorzystał. Mają za dużo klasy dla kobiet, które u pana kupują to gówno!

Nicholson tak poczerwieniał, że Hugo zląkł się, że grubas dostanie ataku serca.

- Wynoś się! - wrzasnął Nicholson. - Zabieraj stąd dupę! Jasne? Wynocha!

I Hugo wyszedł. Wyszedł z tego nędznego biura, by nigdy już tam nie powrócić. To była najważniejsza rzecz, jaką zrobił w życiu. Tak mówił w programie Margie Llewellyn. A naród - w tym wiele sławnych, eleganckich, stojących na świeczniku kobiet - całym sercem przyznawał mu rację.

Nicholson nie wprowadził swojej groźby w czyn, ale przez wiele tygodni Hugo czekał w napięciu, czy nie dostanie wezwania z sądu. To doświadczenie nauczyło go jednego: nie wolno pracować dla typów pokroju Nicholsona.

Podjął pierwsze próby rozpoczęcia kariery jako samodzielny projektant i właściwie od razu odniósł pierwsze sukcesy. Zachęcany i wspierany przez Leonie, najął się do pracy jako nocny szatniarz w restauracji. Za zarobione pieniądze kupił parę leciwych maszyn, które natychmiast ustawił pod ścianą w matczynej bawialni. Niebawem pokój

zaczął tętnić pracowitym warkotem maszyn, kiedy Leonie i koleżanka zszywały skrojone kawałki. Przy tym akompaniamencie Hugo rozkładał swój warsztat i pracował nad nowymi wzorami.

Historia mało olśniewających początków była akurat tą, którą się nigdy nie nudził - mógł o tym opowiadać godzinami, bowiem fakt, że kiedy zaczynał, miał tylko talent i upór, napawał go uzasadnioną dumą. O tym jednak, co nastąpiło potem, po prostu nie chciał mówić. Kiedy Margie napomknęła o jego związkach z Gregiem Martinem, finansistą, który udzielił mu pożyczki, dzięki czemu mógł już przenieść maszyny z bawialni do małej pracowni i wynająć niewielki salonik wystawowy, Hugo nie tyle zaczął kręcić, ile popadł wprost w głuche milczenie.

Bez wątpienia właśnie dzięki Gregowi wszedł do pierwszej ligi. Bez Grega, mimo wielkiego talentu, mógłby na całe życie ugrzęznąć w małym warsztacie przy chałupniczej robocie. Ale już sama wzmianka o Gregu była dla niego bolesna. Umiejętnie pominął milczeniem pytanie dotyczące byłego współnika i przeszedł do opowieści o Kurcie Eklundzie, geniuszu finansowym, którego zatrudnił po śmierci Grega, gdy wydawało się, że firma stoi na skraju bankructwa. To Kurt wymyślił sprzedaż praw licencyjnych na produkcję odzieży, strojów kąpielowych i plażowych, pościeli, miękkich mebli i biżuterii, opatrzonych znakiem Hugona Varna. Ten manewr nie tylko uchronił go przez ruiną, ale i wzbogacił o pierwszy milion. Z biegiem lat Kurt przestał być jedynie doradcą finansowym, ale stał się najbardziej zaufanym przyjacielem Hugona, który w uznaniu za zasługi obdarował go piętnastoma procentami udziałów w firmie i nigdy tego nie żałował.

Margie nie przyciskała rozmówcy do muru w sprawie Grega Martina, choć instynkt dziennikarski podpowiadał jej, że gdyby zaatakowała ostrzej, program od razu nabrałby dużych rumieńców. Wyczuwała jednak, jak głęboka jest rana Hugona, a ponieważ śmierć pierwszej żony łączyła się właśnie z Martinem, w dbałości o dobry smak postanowiła nie grzebać w tym kawałku przeszłości.

Prawda polegała jednak głównie na tym, że mimo iż Margie Llewellyn była wyrachowaną, pewną siebie dziennikarką - podobnie jak niemal

wszystkie kobiety, które zetknęły się z Hugonem - pozostawała pod jego wrażeniem i chciała się mu podobać. Ta chwilowa słabość niepokoiła ją przez wiele tygodni. Margie zastanawiała się, czy fakt, że odpuściła dyktatorowi mody w trakcie wywiadu i nie zmusiła do wyznania prawdy na temat stosunków łączących Hugona i Paulę Varna z Gregiem Martinem, nie oznacza, że utraciła dziennikarski pazur. Tak czy inaczej, puściła Hugona wolno. Nie mówił więc o swoim byłym współniku. Nawet nie myślałby o nim, gdyby tylko umiał. Kiedy wychodził ze studia po programie, jego sprawnie działający mechanizm obronny znów zadziałał bezbłędnie - Hugo zepchnął bolesne wspomnienia głęboko w mroczne zakamarki umysłu.

Teraz jednak - o zgrozo! - stwierdził, że nie da się uniknąć myślenia o Gregu Martinie. Od chwili, kiedy dowiedział się, że Martin wcale nie zginął, lecz mieszka sobie - i to zupełnie nieźle - w Australii, nie mógł myśleć praktycznie o niczym innym. Żadna z dawno opracowanych sztuczek zamykania oczu na pewne sprawy nie chciała tym razem zadziałać. Cokolwiek by robił, o czymkolwiek by myślał, zawsze kończył dokładnie na tym samym. Zupełnie jak człowiek zagubiony w labiryncie, który raz po raz stwierdza, że znów jest w tym samym miejscu. To było nie do zniesienia - potworne! Czuł, że zaczyna wariować. Nerwy drgały mu do taktu uderzeń złotych kulek i miał wrażenie, że mózg zamienił mu się w breję tak szarą, jak styczniowe niebo nad wieżowcami Manhattanu.

Jego uwagę zajęło zamieszanie przed gabinetem. Usłyszał zdenerwowany głos sekretarki:

- Ja bardzo przepraszam, ale panu prezesowi nie wolno teraz przeszkadzać! Nie wolno tam wchodzić!

- Akurat nie wolno! - Od razu rozpoznał ten głos.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu wpadła Harriet. Za jej plecami sekretarka bezradnie machała rękami.

- Najmocniej pana przepraszam. Nie mogłam jej powstrzymać.

- W porządku, Nancy. To moja córka.

- Och, proszę pana! Tak mi przykro... - wyjąkała, jeszcze bardziej

przerazona popełnioną gafą, niż tym, że ktoś przedarł się przez jej mur obronny pod gabinetem szefa. Nancy Ball pracowała dla Hugona zaledwie od kilku miesięcy, a Harriet nie zaglądała tu już dużo dłużej. Sekretarce zupełnie nie przyszło do głowy, że ta młoda kobieta w narciarskiej kurtce i spłowiałych spodniach wetkniętych za cholewy butów może być córką wielkiego Hugona Varna!

- Nie przejmuj się, Nancy - pocieszył ją. - Przecież nie mogłaś wiedzieć.

Wycofywała się, taksując Harriet spojrzeniem. Sally, żona szefa, była zawsze tak cudownie elegancka i zadbana, a ta dziewczyna... Prawdę mówiąc., wyglądała po prostu byle jak! Żadna kobieta nie przyszłaby do salonu pana Hugona w takim stroju. W dodatku bez makijażu. Córka szefa! No, no, coś takiego!

- Tato, musiałam przyjechać - zaczęła Harriet, gdy tylko drzwi się zamknęły za sekretarką. - Słyszałeś już?

- Tak. - Nawet gdyby nie odpowiedział, na jego twarzy i tak znalazłaby potwierdzenie. Był blady, miał zapadnięte policzki, jakby spał jeszcze mniej niż ona. - Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale bezskutecznie.

- Robiłam zdjęcia w Paryżu. Tam wpadła mi w ręce gazeta... Wróciłam czym prędzej do Londynu, spakowałam jakieś drobiazgi i prosto z lotniska przyjechałam do ciebie.

- Harriet... Tak mi przykro.

- Dlaczego?

- To musiał być dla ciebie straszny wstrząs...

- I dla ciebie! - przerwała mu gorąco. - Tyle czasu... To wprost niewiarygodne. Myślisz, że to prawda?

Rozłożył bezradnie ręce.

- Sam sobie zadaję to pytanie. Ale nie wiem, po co ktoś miałby wymyślić coś takiego.

- Może to jakaś wariacja.

- Może... Ale sama zauważyłaś, że minęło dużo czasu. Większość ludzi już dawno zapomniała, kim był jakiś tam Greg Martin. Nie

wyobrażam sobie, co mogłoby skłonić tę kobietę do zmyślenia takiej historii, gdyby nie było w tym ziarnka prawdy. Przychodzi mi do głowy wielu innych znanych ludzi z niedalekiej przeszłości, którzy by lepiej pasowali do takich bajdurzeń. Poza tym... - Umilkł i przez chwilę patrzył na złote kulki na biurku, a potem podniósł wzrok i spojrzał córce w oczy. - Jeśli zajrzeć w przeszłość, to to, że znała Grega jest bardzo prawdopodobne. Widzę tu pewien związek.

- Znałeś ją? - zapytała Harriet ze zdumieniem.
- Nie, ale słyszałem o jej rodzinie.
- Kim ona jest? W gazecie pisali, że to Włoszka.
- Zgadza się. Jej rodzina zajmowała się produkcją tekstyliów. Mieli zakłady i fabryki nad jeziorem Como. Greg robił jakieś interesy we Włoszech niedługo przed... przed wypadkiem. Niewykluczone, że dobijał targu z rodziną Vincenti i przy okazji poznał Marię. Na pewno zawrócił jej w głowie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Wygiął wargę w gorzkim uśmiechu. - Podobał się paniom.

Harriet puściła aluzję mimo uszu.

- Ale, tato! Minęło dwadzieścia lat! Jeśli to prawda i on żyje, to gdzie się podziewał tyle czasu?! I dlaczego miałby udawać, że zginął?

- Bo tak mu pasowało, jak sądzę. - Hugo przesunął palcem pod kołnierzykiem koszuli. Jakoś drapał go ten kołnierzyk i dusił, choć koszulę uszyto z najdelikatniejszej bawełny. - Zostawił tu bardzo zagmatwane sprawy, Harriet.

- Chcesz powiedzieć, że miał kłopoty finansowe?

- I to jeszcze jakie! O tak, wpuścił się w interesy przekraczające jego możliwości. Sugerowano też, że brał udział w jakimś grubym szwindlu. Najlepsi nowojorscy specjaliści strawili długie miesiące, żeby to wszystko rozsuptać, i w końcu odkryli gęstą sieć długów i coś tam jeszcze gorszego. Co tu się wtedy działo! - Oczy pociemniały mu na wspomnienie. - Przez jakiś czas myślałem, że ze mną już koniec. I gdyby nie Kurt, na pewno poszedłbym na dno. Wyciągnął mnie z tego. To jego zasługa, bez dwóch zdań. I dzięki Bogu! A jeśli chodzi o Grega...

Przypuszczam, że byłem niezłym głupcem, że mu w ogóle ufałem, ale

jestem w końcu projektantem, a nie księgowym. I nie ja jeden dałem mu się nabrać. Nie ja jeden... Wielu było takich, których nieźle naciągnął, mimo że mieli większe doświadczenie w tych sprawach niż ja. O tak, gdyby Greg był na miejscu, kiedy sprawa wybuchła, czekałaby go tu kompletna ruina, a może nawet więzienie. Bez wątpienia zniknął w samą porę.

Harriet milczała jakiś czas i w zamyśleniu gryzła czubek kciuka. A więc... Greg to oszust, niemal przestępca. Powinęła mu się noga i omal nie pogrążył przy tym wielkiego talentu jej ojca... Właściwie podejrzewała to od dawna, ale jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że śmierć Martina była mistyfikacją. Jednak niezależnie od faktu, jak ważne to było kiedyś, teraz nie miało już przecież najmniejszego znaczenia. Ojciec przetrwał tę burzę z pomocą i przy wsparciu Kurta. Nikt o nic go nigdy nie oskarżył. Zarzucano mu tylko naiwność, a teraz należał do najwybitniejszych projektantów w Nowym Jorku. Poza tym sprawy finansowe nigdy jej specjalnie nie zaprzątały. Inne aspekty życia i śmierci wydawały się Harriet o wiele ważniejsze.

- Ale Greg to tylko połowa historii, prawda tato? Zmrużył powieki; wokół jego oczu pogłębiły się drobne zmarszczki.

- Co masz na myśli?

- Och, tato! Dobrze wiesz, co mam na myśli! Mama... Unikał jej spojrzenia.

- A co ma być z mamą?

- Tato, wyjdź wreszcie z tej swojej skorupy! Doskonale wiem, jak świetnie umiesz ukrywać różne rzeczy, jeśli nie chcesz, żeby świat się o nich dowiedział. Ale one przecież wciąż istnieją i nie znikną tylko dlatego, że ty tego chcesz.

- Twoja matka nie żyje - powiedział bezbarwnym głosem.

- Na pewno? - Potrząsnęła głową powoli. - Nie wiemy tego na sto procent, prawda? Już nie. Żyliśmy dotąd w głębokim przekonaniu, że ani on, ani ona nie przeżyli eksplozji *Lorelei*. Teraz okazuje się, że to nieprawda. Jeśli ta Maria Vincenti wie co mówi, to Greg najwyraźniej ocalał. Dlatego powtarzam: co stało się z mamą?

- Harriet... - Ze znużeniem oparł się o biurko. Nie patrzył na córkę. - To było tak dawno temu.

- A co to za różnica? Dwadzieścia tygodni, dwadzieścia miesięcy czy dwadzieścia lat? Pytania są wciąż te same. I trzeba znaleźć na nie odpowiedź. Jeśli my ich nie postawimy, zrobi to za nas ktoś inny. Towarzystwo ubezpieczeniowe już się zabrało do roboty. Jeden z ich detektywów odwiedził mnie w mieszkaniu, jak tylko wróciłam z Paryża. Pytał, kiedy ostatni raz widziałam mamę.

Na jego twarzy odmalowało się oburzenie.

- Dranie! Zawsze się bałem właśnie czegoś takiego. Więc oni sądzą... Tak, na pewno tak sądzą... I co mu powiedziałaś?

- Że nie widziałam jej od tamtego dnia, rzecz jasna. Ale teraz to już za mało, prawda? Na litość boską co się wtedy stało, kiedy jacht wyleciał w powietrze?! I co było potem? Nie chcesz wiedzieć? Tato, przestań zajmować się tą zabawką i wreszcie mnie posłuchaj!

Wyprostował się. Obrócił się do niej gwałtownie, podobnie jak zrobił to tyle lat temu, gdy miał przed sobą Victora Nicholsona. Zniknęła jego niepewność i opanowanie. Oczy Hugona rozbłyły tłumioną pasją i bólem.

- Nie, Harriet, to ty mnie posłuchaj! Są takie sprawy, których lepiej nie ruszać, takie rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć!

- Ale ten wybuch mógł nie być przypadkowy - upierała się. - Myślałeś o tym? To by tłumaczyło, dlaczego Greg żyje, chociaż z jachtu zostało tylko kilka drewnianych szczap! A jeśli to, co mówisz o jego finansach jest prawdą, to miał sto powodów, żeby upozorować własną śmierć i rozpuścić się potem we mgle. Ale jego cudowne ocalenie i tak nie wyjaśnia nam kwestii, co się stało z mamą!

- Twoja matka nie żyje.

- To ty tak mówisz. Zupełnie jakbyś chciał w to wierzyć.

- Może tego chcę - odparł zmęczonym głosem. - Może wolę to niż wiedzieć, że tak po prostu zniknęła i chciała, żebyśmy uznali ją za zmarłą?

- Ale, tato...

- Jak byś się czuła, gdybyś odkryła, że to właśnie prawda? Że mogła cię zostawić, ciebie, wówczas czteroletnią dziewczynkę, i że nie miała ochoty cię nigdy oglądać? Czy chciałabyś to usłyszeć?

- Nie, oczywiście, że nie!

- Istnieją takie sprawy, które ukrywałem przed tobą, bo nie chciałem, żebyś się o nich dowiedziała, Harriet. Ale widzę, że teraz nie ma co dłużej milczeć. Poza tym jesteś już dorosłą kobietą i sądzę, że prędzej czy później i tak dowiesz się prawdy, jeśli nie ode mnie, to od kogoś innego. Twoja matka miała romans z Martinem. Zupełnie oszalała na jego punkcie. Kiedy wyjeżdżała za nim do Włoch, wiedziałem, że postanowiła zostawić nas i żyć u jego boku. Dlatego to, co się zdarzyło na jachcie, z mojego punktu widzenia nie miało dla nas znaczenia. To, czy zginęła na łodzi czy nie, dla mnie praktycznie było już bez konsekwencji. Dla mnie umarła z chwilą, kiedy wyszła z domu i zamknęła za sobą drzwi.

Harriet podeszła do okna i wyjrzała przez szybę. Wieżowce Manhattanu niemal sięgały stalowego nieba. Daleko w dole, przy przecznicy Siódmej Alei, stał wysoki pomnik Pracownika Przemysłu Odzieżowego. Z tej perspektywy był dziwnie zniekształcony, wokół cokołu zaś, nie zważając na zimno, siedzieli mali jak mrówki włóczykije i bezdomni. Harriet długie minuty wpatrywała się w ten obrazek niewidzącym wzrokiem.

To nie fakt, że ojciec wyjawiał wreszcie prawdę, wstrząsnął nią do głębi. Oficjalnie utrzymywano zawsze, że Greg był bliskim przyjacielem domu, ale ona, już jako dziecko, widziała i rozumiała dużo więcej. A dzieckiem przestała być dawno temu - może nawet już wtedy, kiedy jako czteroletnia dziewczynka stanęła cichutko pod uchylonymi drzwiami sypialni... Nie, to nie to. Zszokowała ją postawa ojca. „Dla mnie umarła...” - powiedział i Harriet nie miała wątpliwości, że tak właśnie było. Przyzwyczaiła się do jego strusich manewrów - po prostu chowa głowę w piasek i nie myśli o sprawach niemiłych czy denerwujących. Lecz mimo wszystko... Harriet leciutko potrząsnęła głową - nie mogła uwierzyć, że potrafi być taki zimny i zasadniczy.

- Mogłabym dostać coś do picia?
- Kawę? Zadzwońię po Nancy.
- Nie. Coś mocniejszego. - Roześmiała się krótko. - Nie patrz tak na mnie, tato. Dla ciebie to wczesne popołudnie, ale dla mnie już wieczór i koniec długiego dnia.
 - Whisky? Bourbon? - zapytał, otwierając elegancką, lakierowaną na czarno szafkę.
 - Whisky. Najlepiej szkocką, jeśli masz. A może wywijasz szmaragdową flagą i popierasz wschodzących polityków irlandzkich, wywodzących się z linii, którą tu, w Stanach, jesteśmy skłonni uważać za najbardziej zbliżoną do królewskiej?
 - Mam naturalnie irlandzką whisky, ale i szkocką oczywiście. - Nalał jej trochę i podał szklaneczkę. - Nie będę udawał, że to mi się podoba, Harriet. Wiem, że jesteś dorosła, ale ci, którzy weszli na mało ukwieconą ścieżkę wiodąca wprost do kliniki Betty Ford, są też dorośli.
 - Tato! - Wywróciła oczami.
 - Wiem, wiem. Zachowuję się jak zrzedzący ojciec. Ale widziałem już takich, którzy stopniowo ześlizgiwali się w dół, ludzi z najelegantszego towarzystwa, gwiazdy, wdowy po znanych politykach...
 - Nieprzystosowani do życia.
 - Nie bądź taka pewna. Alkohol jest bardzo zdradziecki.
 - Dobrze, tato. Przyjęłam do wiadomości. Żałuję, że poprosiłam cię teraz o whisky. Ale jak już mówiłam, nie przestawiłam się jeszcze na amerykański czas. Ale kiedy to zrobię, przysięgam uroczyście, że nie wezmę do ust kropli alkoholu przed kolacją. Tyle tylko, że... - Urwała, żeby wychylić trunek do dna, i postawiła szklanekę na biurku. - Tyle tylko, że chyba nie zdążę się w pełni przestawić.
Nie potrafił ukryć rozczarowania.
 - Wracasz do Londynu?
 - Nie. Jeszcze nie. Najpierw jadę do Australii.
 - Do Australii?! Kiwnęła głową.
 - Tak. Mam zamiar spróbować odnaleźć Grega Martina.

założonymi rękami i udawać, że nic się nie stało. To dla mnie bardzo ważne i dla ciebie, mimo wszystko, też. Rozmawiamy w końcu o mamie, nie o jakiejś obcej osobie, której nazwisko znamy z sensacyjnych artykułów prasowych. A tyle jest nie wyjaśnionych pytań związanych z jej śmiercią czy... zniknięciem. Jeśli Greg Martin żyje, to jest zapewne jedyną osobą na świecie, która może odpowiedzieć na te pytania.

- Ależ, Harriet, przecież wygląda na to, że on znowu zniknął. Skoro policja nie może go znaleźć, to jakim cudem tobie ma się to udać? A jeśli go w końcu znajdą, wpakują do aresztu i nie zamienisz z nim już ani słowa.

Zacięła usta w uporze. Tę minę znał od dawna.

- Może masz rację, ale i tak muszę spróbować. Być może nie chcesz znać prawdy. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie, ale ja muszę wiedzieć. Chcę się dowiedzieć, co się naprawdę stało. Do licha, dowiem się tego, i już!

Potrząsnął głową.

- I niby co dobrego ma z tego wyniknąć, Harriet? Jeśli ona żyje i ty ją jakoś odnajdziesz, czy myślisz, że w ten sposób odzyskasz matkę? Nic podobnego! Ale mówię ci całkiem szczerze: uważam, że ona nie żyje. Tyle czasu w to święcie wierzyłem...

- Skoro tak, to tym bardziej trzeba poznać prawdę - zauważyła spokojnie.

- Po co? Co za różnica?

- Bo wygląda mi na to, że Greg ukartował ten wypadek. Chciał, żeby świat uznał go za zmarłego. Z tego, co twierdzi ta kobieta i co sam mi mówiłeś, wygląda na to, że to bardzo prawdopodobne. Ale kiedy wypływał z portu, mama była razem z nim na jachcie. Co do tego nie ma chyba dwóch zdań, prawda? Więc jeśli Greg przeżył, a mama zginęła, to chyba sam rozumiesz? On ją po prostu zamordował!

- Harriet, na litość boską!

- Przykro mi, tato, ale takie są fakty. I całkiem realna możliwość. I dlatego właśnie, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię, odnajdę Grega Martina.

W oczach ojca ujrzała zadumę. Nagle się postarzał. Spostrzegła, że bardzo się zmienił, od kiedy widziała go ostatni raz. Może posunął się tak od wczoraj? Nigdy nie był wysokim mężczyzną, ale teraz jakoś dziwnie zmałał, a nad bawelnianym golfem pojawiły się mocno napięte mięśnie szyi. Objęła go.

- Nie chcę cię denerwować, tato, ale muszę to zrobić. Zrozum to... - Przerwała, słysząc brzęczyk na biurku. Odsunął się od niej i przycisnął guzik.

- Słucham, Nancy. O co chodzi?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedł pan O'Neill i twierdzi, że reprezentuje towarzystwo ubezpieczeniowe British and Cosmopolitan. Mówi, że musi się z panem zobaczyć.

- To ten sam, który niemal na siłę wszedł za mną wczoraj do mieszkania - powiedziała Harriet ponuro. - Co on robi w Nowym Jorku?

- Najwyraźniej przyjechał, żeby się ze mną zobaczyć - odparł Hugo sucho. Uśmiechnął się z wysiłkiem i Harriet struchlała widząc, jak bardzo jest wykończony i stary.

- Zostaw go mnie, tato. Ja to załatwię.

Tom O'Neill czekał w sekretariacie, przyglądając się jednemu ze zdjęć zdobiących ściany. Patrzył na Renę, ulubioną modelkę Hugona - miała na sobie luźny trencz narzucony na dopasowaną koszulę i zamszowe spodnie.

- Panie O'Neill naprawdę chciałabym, żeby nie zawracał pan teraz głowy mojemu ojcu. Nic więcej panu nie powie ponad to, co sama wczoraj panu mówiłam. Oboje wierzymy, że moja matka nie żyje od dwudziestu lat.

- Być może. - W świetle dnia jego czy były jeszcze bardziej niebieskie i czujne; przypominały lodowate wody oświetlonego słońcem fiordu. - Ale obawiam się, że i tak muszę z nim porozmawiać.

- Proszę pana, ojciec nie jest w najlepszej formie - protestowała Harriet. - Powinien pan raczej wybrać się do Australii i porozmawiać z tą kobietą, Marią Vincenti, zamiast nas tutaj niepokoić.

- Tam się wybieram w następnej kolejności - odparł bez zajknięcia.

- Ale tymczasem jestem tutaj. Może więc zechce pani powiedzieć ojcu...

- Panie O'Neill, mówię panu...

- Przestań mnie tak chronić, Harriet. - Hugo stał w drzwiach gabinetu. - Wiem, że chcesz jak najlepiej, ale im szybciej będziemy mieć to już za sobą, tym lepiej dla nas wszystkich. Porozmawiam z panem O'Neillem. Nie mam nic do ukrycia.

- Tato!

- Jedź do domu, Harriet. Zobaczymy się przy kolacji. I powiedz Sally, że być może trochę się spóźnię.

- Tato!

- Proszę, niech pan wejdzie, panie O'Neill.

Drzwi zamknęły się za nimi i Harriet mogła już tylko patrzeć na nie bezradnie. Do diabła, ten człowiek zasłużył sobie na zażalenie we właściwych instancjach i jeśli tylko zdenerwuje jej ojca, już ona dopilnuje, żeby nadać sprawie odpowiedni bieg!

Wciąż kipiąc gniewem na arogancję niejakiego O'Neilla, obróciła się na pięcie i wyszła z biura.

Rozdział czwarty

W sypialni trypoziomowego mieszkania ojca przy Central Park Harriet przebierała się i przygotowywała do kolacji. W domu, w Londynie, rzadko zwracała sobie głowę takimi drobiazgami, ale tutaj tego od niej oczekiwano. Weszła zatem pod prysznic i wrzuciła dzinsy do kosza na brudną bieliznę; wiedziała, że pokojówka zabierze je, włoży do pralki i następnego ranka przyniesie świeże i odprasowane. Nałożyła luźny jedwabny żakiet, bluzkę i spodnie z jedwabiu - strój na tyle prosty, że nie sprawiał jej przykrości, a jednak dość elegancki, by ucieszyć ojca i Sally.

Była wykończona i niewyspana. Piekły ją oczy; z utęsknieniem zerknęła na szerokie, wygodne łóżko, na którym leżała zdobiona koronkami, brzoskwiniowa pościel z jedwabiu. Och, żeby tak już zwalić się pod kołdrę i zapomnieć o wszystkim! Ale na odpoczynek trzeba było poczekać jeszcze kilka godzin.

Czy ojciec już wrócił? Niepokoiliła się i chciała go widzieć, kiedy tylko przyjedzie z biura. Musiała na własne oczy zobaczyć, w jakim jest stanie po przeżyciach związanych z rozmową z detektywem. Ale kiedy wyszła na schody i spojrzała w dół, dostrzegła, że drzwi do gabinetu ojca wciąż stoją otworem, a dom pogrążony jest w ciszy. Wróciła do siebie. Powiedział, że może przyjść trochę później. Postanowiła więc rozkoszować się jeszcze kilkoma chwilami samotności i jakoś wziąć się w garść. Jej sypialnia była jedynym miejscem w tym luksusowym mieszkaniu, gdzie mogła być w pełni sobą.

Co w tym bezwstydnie luksusowym domu wywołuje w niej takie skrępowanie? - pytała się raz po raz. Większość ludzi skakałaby z

radości, mogąc cieszyć się na co dzień takim otoczeniem. Jeden z najlepszych dekoratorów wnętrz dostał *carte blanche*, kiedy dwa lata temu ojciec kupił ten apartament i nadszedł moment, żeby mieszkanie urządzić. I Hugo nie żałował pieniędzy. W pokojach zawisła część jego kolekcji obrazów starych mistrzów - teraz lśniły na tle wybijanych jedwabiem ścian. Półki ozdobiono pierwszymi wydaniem oprawnych w skórę tomów, do których ani Sally, ani ojciec nigdy nie zaglądali, co więcej, nie mieli cienia zamiaru nigdy ich przeczytać. Każdy najmniejszy kącik został wypełniony drogocennymi przedmiotami i *objets d'art*, wystawionymi na smukłych cokolikach. Sofy i fotele były tak głębokie i miękkie, że można w nich było spokojnie zasnąć; kominek wykończono półeczką, którą ojciec osobiście przywiózł z Anglii, a wszędzie stały świeże kwiaty - długie cięte róże, orchidee sprowadzane z Singapuru, żonkile, narcyzy i intensywnie pachnące hiacynty.

Ale ten szyk i wystudiowany komfort wydawały się Harriet sztuczne i przypominały bardziej atmosferę luksusowego hotelu niż domu. Może dlatego - myślała - że nigdy tu nie mieszkałam. Nic, co tu widziała, nie wywoływało w niej wspomnień z dzieciństwa.

Tylko w pokoju, który wybrała dla niej Sally, Harriet znajdowała znajome echo przeszłości i za każdym razem, kiedy wchodziła do sypialni, czuła głęboką wdzięczność wobec ciotki. Tu na górze, dzięki Sally, znalazły się jej ukochane przedmioty. Pamiątki z dawnych lat, z okresu wczesnego dzieciństwa i dorastania: rozety wygrane na zawodach kucyków, suknia z balu maturalnego, stare płyty Osmonda i Jacksona, pierwsze zdjęcia robione własną ręką teraz dumnie ujęte w ramki, zasuszony kwiat - wspomnienie pierwszej prawdziwej randki. Drobiazgi, ale jakie ważne. Małe dowody pamięci i troski - jakże charakterystyczne dla Sally! - które sprawiały, że można ją było kochać i wybaczyć chwilę, kiedy stawała się zrzędliva, krytyczna albo po prostu irytująca. Jak dziś, gdy Harriet zjawiła się bez uprzedzenia.

- Dlaczego nie dałaś nam znać, że przyjeżdżasz? - denerwowała się Sally, gdy siostrzenica wysiadła z taksówki i bezceremonialnie wkroczyła do mieszkania. - Powinnaś nas uprzedzić, kochanie. Mogłam akurat

gdzieś wyjść. Mogło mnie nie być w domu!

- Nie miałam na to czasu - odparła Harriet, cmokając ją w policzek. - No i zresztą tak się akurat złożyło, że jesteś.

- Dziś jestem, ale jutro mam lunch dobroczynny i...

- Jutro mnie tu już pewnie nie będzie. Jestem tylko przelotem.

- Gdybym wiedziała wcześniej! Zaprosiłabym Marka na kolację.

Wiesz, że jest w Nowym Jorku, ale oczywiście postanowił mieszkać z kolegą w jakiejś okropnej norze gdzieś w West Side. Na pewno bardzo chciałby cię zobaczyć.

- Ja jego również. Ale nie po to tu przyjechałam, Sally.

- Więc po co? O nie! Tylko nie mów mi tego! - Sally uniosła wypielęgnowaną dłoń. - Już nie chcę wiedzieć. O niczym innym nie rozmawialiśmy z Hugonem wczoraj cały wieczór. Harriet, przepraszam cię, ale chyba nie zdołam przez to przejść kolejny raz. W każdym razie na pewno nie w tej chwili. I wiesz co, może uda mi się jeszcze ściągnąć Marka? Może jeszcze nie jest za późno, jeśli nie zaplanował na dzisiaj nic innego. Powiem tylko Jane, że będzie nas trójka, może czwórka przy stole...

- Poczekaj, Sally. - Harriet zdołała jej przerwać. - Rozumiem twoją niechęć do rozmów na ten temat, ale przecież nie sposób zepchnąć całą sprawę w niepamięć. To sztuczka taty, do ciebie całkiem nie pasuje.

- Chodzi o to, że nie chcę zamartwiać się sprawami, wobec których jestem zupełnie bezsilna - powiedziała Sally rzeczowo. - Proszę cię, Harriet. Mam tego naprawdę potąd! - Przesunęła ręką pod brodą, potrącając podwójny sznur pereł ciasno okalających szyję. - Nie możemy tego zostawić w spokoju?

Harriet westchnęła.

- Nie, chyba nie możemy. Zanim tu przyjechałam, wpadłam najpierw do taty. I kiedy siedziałam u niego w gabinecie, przyszedł pewien detektyw towarzystwa ubezpieczeniowego, niejaki Tom O'Neill. Ten sam, który wczoraj wieczorem odwiedził mnie w mieszkaniu w Londynie. O ile mogłam się zorientować, w następnej kolejności przyjedzie zapewne do ciebie, więc... - Urwała. Ciotka chwyciła

kurczowo naszyjnik z pereł i mocno pobladła pod starannie nałożonym makijażem. - Sally, źle się czujesz?

- Detektyw z towarzystwa ubezpieczeniowego? - powtórzyła Sally zdławionym głosem.

- Tak jest. Towarzystwo wypłaciło nam wysokie odszkodowanie, prawda? Najwyraźniej nabili sobie głowę, że skoro Greg żyje, niewykluczone, że mama też. Można powiedzieć, że zarzucają nam w związku z tym oszustwo.

- Mój Boże...

- To nie jest koniec świata! - wykrzyknęła Harriet, zirytowana tak niezwykłym zachowaniem ciotki. - Jak powiedział tata, nie mamy nic do ukrycia, o czym pan O'Neill wkrótce sam się przekona i da nam w końcu spokój. Ale to rozgrzebywanie przeszłości jest bardzo nieprzyjemne, zwłaszcza dla taty. Jest naprawdę zdenerwowany.

- A my nie? - spytała Sally cicho.

- Pewnie też, ale dla nas to jednak co innego - odparła Harriet, przypominając sobie, co powiedział ojciec. - Ona w końcu była jego żoną.

- I twoją matką. I moją siostrą.

- Tak, wiem. Ale mimo wszystko... - Sądzę, że musimy zrobić co się da, żeby go podnieść na duchu. Sally, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Sally wpatrywała się gdzieś w przestrzeń i nerwowo skubała perły. Jakiś maleńki mięsień przy jej ustach niespokojnie podskakiwał i powodował widoczne drżenie wargi.

- Wiedziałam, że wcześniej czy później dojdzie do czegoś takiego - szepnęła. - Tego się zawsze bałam.

Harriet nie odrywała od niej oczu.

- Przypuszczam, że to nieuchronne - stwierdziła. - Ale nie ma powodu aż tak się denerwować. Chciałam cię tylko uprzedzić, to wszystko. I prosić, żebyś wspierała tatę.

- Tak. - Sally zapanowała nad sobą. - Pewnie chcesz się wykapać i przebrać. Musisz być zmordowana. Ja tymczasem zadzwonię do Marka. I poproszę Danny'ego, żeby zaniósł ci rzeczy na górę.

- Nie ma potrzeby. Sama dam sobie radę. Nie wołaj go. Danny był szoferem państwa Varna. Harriet chwyciła torbę podróżną i zniknęła. Była zaskoczona reakcją ciotki. Owszem, spodziewała się gniewu. Ale Sally była zupełnie wytrącona z równowagi - inna niż zawsze. Miała typowo nerwicowe reakcje... Tak, Harriet wpadła na to, kiedy stała przed długim lustrem i upychała porządnie wdzianko w spodnie, poprawiała ozdobną klamrę paska, którym opasała biodra. Miała nadzieję, że Sally zdoła jakoś ściągnąć Marka. Miło będzie go znów zobaczyć, poza tym w jego obecności obiad upłynie w miłej atmosferze. Mark jakoś zawsze umiał zachować pogodę ducha, bez względu na okoliczności. Odzywa się w nim wtedy Anglik - skonstatowała w myślach - który nigdy siebie i niczego wokół nie traktuje do końca poważnie.

Gdzieś na dole zadzwonił telefon. Nie zwróciła na to szczególnej uwagi, ale jakieś dwie minuty później rozległo się pukanie do drzwi. W progu stała pokojówka z przenośnym aparatem w ręce.

- Do mnie? - zdziwiła się Harriet. Pokojówka kiwnęła głową. Harriet odczekała, dopóki drzwi nie zamkną się za dziewczyną, a potem z dziwnym niepokojem wcisnęła właściwy guzik. Ostatnie trzydzieści sześć godzin przyniosło jej aż nadto niemiłych niespodzianek.

- Halo!
- Harriet, to ja.
- Nick!
- Cześć. Szykowałem się już do spania, postanowiłem jednak jeszcze się dowiedzieć, co u ciebie słychać.
- Wszystko w porządku.
- A zatem dojechałaś bez przygód. - Głos brzmiał tak wyraźnie, jakby Nick siedział w sąsiednim pokoju, a nie po drugiej stronie oceanu.
- Tak. Widziałam się już z tatą. Niedługo siadamy do kolacji.
- To dobrze. Jesteś pewnie zmęczona.
- Zmordowana.
- Ale poza tym wszystko gra?
- Tak. - Zapadła cisza. Naprawdę nie było już o czym mówić.

- Nie trzymam cię zatem. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że myślami jestem przy tobie.

- Dziękuję, Nick. Jesteś bardzo kochany.

- Dobra, dobra. Pilnuj się, mała. I odezwij się od czasu do czasu. Jak to się działo, że zawsze potrafił w niej wywołać drobne uczucie klaustrofobii?

- Tak. Dobranoc, Nick. Dziękuję za telefon.

Odłożył słuchawkę, a ona przez krótką chwilę poczuła się strasznie opuszczona. Był dla niej taki dobry. Taki troskliwy. Dlaczego nie mogła go wpuścić do tego najtajniejszego zakamarka duszy, skąd czasem wyrwał się krzyk... O co? Ale najwyraźniej nie mogła. Była wdzięczna Nickowi, że jest przy niej. Ale to wszystko. Z chwilą gdy odbierała kolejny dowód jego oddania, przestawał ją interesować. I kropka. Co jest ze mną, do diabła? - pomyślała przetomie.

Zerknęła na zegarek. Do kolacji zostało jeszcze pół godziny. Mogła właściwie już zejść na dół i napić się czegoś z Sally. Sprawdzić, czy ojciec wrócił.

W połowie schodów usłyszała głosy, a przez uchylone drzwi bawialni ujrzała niebieskofioletową sukienkę Sally i wysoką postać młodego, jasnowłosego mężczyzny w rudobrazowej marynarce z zamszu. Serce jej załomotało i puściła się biegiem w dół, rozradowana jak dziecko.

- Mark! Jak to dobrze, że jesteś!

- Hej, powoli! - Odstawił kieliszek i chwycił Harriet w ramiona. - I pomyśleć, że ty też jesteś w Nowym Jorku! Co za gratka dla pismaków!

- Wiem. Ale musiałam przyjechać. Słyszalesz, co się stało?

- Tak. Rozmawiałem wczoraj z Sally przez telefon. Musiało cię nieźle rąbnąć, Pchełko. - Tak ją nazywał, kiedy była mała, a pieśczośliwe przezwisko przyłgnęło do niej na zawsze, choć teraz miała już niemal metr siedemdziesiąt.

- Nas wszystkich. - Spojrzała na Sally, ale ciotka najwyraźniej doszła już do siebie. - Tata wrócił?

- Nie. Mam nadzieję, że będzie niedługo.

- Zostawiłam go z detektywem towarzystwa ubezpieczeniowego -

wyjaśniła Markowi.

- Mark, zrób Harriet drinka - zarządziła Sally. - Powiem Jane, żeby wstrzymała się jeszcze z kolacją. - Wyszła spiesznie, ale Harriet zdołała pochwycić przestrach czający się w jej oczach.

- Czego ci nalać, Pchełko?

- Bo ja wiem? Chyba jednak martini. Tata już mnie obrugał dzisiaj za picie whisky. Jeśli mnie na tym jeszcze raz złapie, dojdzie do wniosku, że zaczynam się staczać.

- Jasne. - Napełnił kieliszek i z uniesioną brwią przyglądał się, jak Harriet pije łąpczywie. - Paskudna historia.

- Tak.

Opowiedziała mu, co się wydarzyło.

- Twoja mama bardzo kiepsko to znosi - powiedziała na koniec.

- Tak, rzeczywiście jakoś ile wygląda. Naturalnie, z tego, co mi wiadomo, była bardzo przywiązana do Pauli. Ale dość tego, porozmawiajmy o czymś innym. Co robiłaś ostatnio?

Zrelacjonowała mu swój pobyt w Paryżu i opowiedziała o kontrakcie z „Focus Now”.

- A co u ciebie? Jak żyje reklama?

- Wprost kwitnie. Mam wrażenie, że właśnie dobiłem niezłego targu.

- Świetnie! - Patrzyła na niego znad krawędzi kieliszka. - Jakoś długo już siedzisz w Nowym Jorku, Mark. Myślałam, że kochasz Londyn.

- Kocham każde miejsce, gdzie można zrobić interes. W tej chwili Nowy Jork.

- To na pewno jedyny powód? Nie próbujesz czasem celowo trzymać się z dala od Londynu?

Przytknął kieliszek do ust.

- Niby dlaczego?

- Przychodzi mi do głowy bardzo wiele powodów. - Spojrzała na niego chytrze. - Ale mam przeczucie, że tu chodzi o jakąś dziewczynę.

W chwili, gdy to powiedziała, wiedziała, że trafiła w sedno. Ujrzała potwierdzenie tego w jego twarzy, choć usiłował ukryć to pod maską

nudy i zniecierpliwienia.

- A skąd taki wniosek?

- Kobięca intuicja. Kto to jest Mark? Co się stało? Musiało ci na niej szalenie zależeć, skoro z jej powodu postanowiłeś wyprowadzić się z Londynu. Zaraz, zaraz... Czy tu nie chodzi o tę młodą projektantkę, co? O tę, która mieszka przy Whitechapel?

Gwałtownie odstawił kieliszek.

- A co ty o niej wiesz?

- Właściwie nic. Ktoś mi tylko mówił, że cię z nią widuje. To o nią chodzi, prawda? Och, Mark, przecież mnie możesz powiedzieć!

- Nie przyszło ci do głowy, Pchełko, że może wcale nie chcę? To, że jesteś moją przyrodnią siostrą, nie daje ci prawa, żeby wtykać nos w moje prywatne sprawy. - Mówił spokojnie, ale Harriet właściwie odebrała ostrzeżenie. Mark, wytrącony z równowagi, potrafił nieźle kąsać, poza tym rzeczywiście miał rację: to nie jej interes.

- Przepraszam.

- Nie ma za co - odparł, ale wciąż był nadęty i zdenerwowany. Ta dziewczyna pewnie dała mu kosza - skonstatowała Harriet w duchu. Bardzo dziwne. Na ogół było odwrotnie.

- Napijemy się jeszcze? - zapytał.

Zawahała się, a potem pchnęła kieliszek w jego stronę.

- Dlaczego nie? Skoro tata uważa mnie za alkoholiczkę, niech wiem przynajmniej dlaczego.

Kiedy Hugo wrócił do domu, usiedli do stołu, gdy tylko się przebrał. Mimo obecności Marka kolacja upływała w ponurym nastroju. Harriet miała wrażenie, że ojciec jest jeszcze bardziej zmęczony i napięty niż kiedy widziała go po południu. Sally, zamyślona, siedziała jak na szpilkach i odprężyła się dopiero wtedy, gdy Hugo stwierdził, że Tom O'Neill jest już na tyle usatysfakcjonowany rozmową, że nie będzie ich nachodził w domu i praktycznie nie musi z nią rozmawiać.

- Mówi, że jedzie od razu do Australii, żeby odnaleźć Grega. Miejmy nadzieję, że na tym to się skończy. Choć, w gruncie rzeczy, wątpię.

- Dlaczego? Dlaczego w to wątpisz? - dopytywała się Sally. Harriet

zauważyła, że drżą jej ręce.

- Bo ten drań nie odpuści, jak długo będzie miał chociaż cień nadziei na odzyskanie swojego ćwierć miliona.

- Więc daj mu te pieniądze - zaproponowała Sally. - Naprawdę warto, Hugo. Wtedy się go wreszcie pozbędziemy.

- Gdyby na tym miało się skończyć, zrobiłbym to bez chwili namysłu. Ale to po prostu wyglądałoby na przyznanie się do winy. A prędzej skonam, niż to zrobię, bo przecież nie mam nic do ukrycia.

- Sydney, New South Wales - powiedziała Harriet bez związku. - Spojrzeli na nią pytająco. - Tak sobie tylko głośno myślę.

- Mam nadzieję, że porzuciłaś już tę zwariowaną myśl, żeby szukać Grega na własną rękę - powiedział Hugo ostro.

- Nie. Wcale nie. Przepraszam, tato, ale nie umiem na to spojrzeć tak jak wy. Nie jestem w stanie pogrzebać tej sprawy i udawać, że nic się nie stało. Chcę poznać prawdę.

- Na litość boską, Harriet! Nie zrobisz chyba aż takiego głupstwa... - Sally znów pobladła. - Przecież nie chcesz zobaczyć się z Gregiem!

- To marnowanie czasu. Jeśli już go mają, co całkiem niewykluczone, i tak nie pozwolą ci go zobaczyć - zauważył ojciec.

- Chcę spróbować.

- Skoro tak, to mogę powiedzieć jedno: miejmy nadzieję, że nie zraziłaś sobie tego detektywa z kretesem - odezwał się Mark sucho. - Jeśli rzeczywiście chcesz odnaleźć Grega, ten facet jest twoją szansą. Powinnaś go skłonić, żeby przyjął cię na asystentkę albo na kogoś w tym rodzaju.

- O Boże, Mark! Czy ty nigdy nie przestaniesz żartować?

- Wcale nie żartuję. Mówię zupełnie poważnie. Jemu z pewnością umożliwią kontakt z Martinem. Ten O'Neill to w końcu zawodowiec.

- Nie poprosiłabym go o pomoc, nawet gdybym tonęła, a on był moim jedynym ratunkiem! - wykrzyknęła Harriet z mocą.

W tym momencie Sally przewróciła kieliszek. Wino rozlało się po pastowanym stole i czerwoną strużką spłynęło na jej niebieskofioletową spódnicę. Zerwała się gwałtownie i usiłowała osuszyć plamy serwetką.

- No nie! Zmarnowałam sukienkę! Muszę ją zdjąć natychmiast i dać Donnie, żeby przepłukała... - Wybiegła z jadalni.

- Sally jest w strasznym stanie - zauważył Mark. - Ta historia wyprowadziła ją całkiem z równowagi. Zupełnie nie panuje nad sobą.

- To takie dziwne? - warknął Hugo. - Moim zdaniem, każdy przeciętnie wrażliwy człowiek zdaje sobie z pewnością sprawę, że to rozgrzebywanie przeszłości musi być dla nas bolesne. Jakby przeżywanie tego...

Harriet podniosła się od stołu.

- Pójdę zobaczyć, co tam się dzieje. Nie będę już więcej jadła. Naprawdę nie jestem głodna.

- Nie ty jedna - rzucił ojciec.

W sypialni Sally zdołała jakoś zdjąć z siebie sukienkę, choć ręce jej tak drżały, że z trudem rozpięła suwak. Wreszcie kopnęła fatałaszek, opadła na łóżko i ukryła twarz w dłoniach.

Boże wszechmogący, czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Czy naprawdę jeszcze przedwczoraj wszystko układało się miło i normalnie? Czy jeszcze przedwczoraj planowała kolejne lunche dobroczynne, układała terminarz przyjęć, chodziła na zakupy, plotkowała z przyjaciółkami i patrzyła na życie z satysfakcją - bo choć czasem odczuwała samotność i pustkę, to przecież osiągnęła wszystko, o czym kiedyś marzyła? Teraz z każdego kąta wyzierały duchy przeszłości i szyderczo śmiały jej się w nos. Czuła, że zaczyna wariować, nie i zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi uchylły się leciutko.

- Sally? - To była Harriet. W niedużej szparze między drzwiami a framugą zobaczyła jej zaniepokojoną twarz. - Nic ci nie jest?

- Nic. - Z trudem wzięła się w garść i podniosła sukienkę z podłogi. - Co za niezgraba ze mnie!

- Jesteś zdenerwowana. Daj, zaniosę ją Donnie, a ty tymczasem się ubierz.

Sally oddała sukienkę. A potem, bez zastanowienia, wypaliła:

- Naprawdę chcesz pojechać do Australii, Harriet?

- Tak.

Ciotka złapała ją za ramię.

- Nie jedź, kochanie! Bardzo cię proszę! Może się tak zdarzyć, że natkniesz się na coś, o czym wcale nie chciałybyś wiedzieć.

Harriet ściągnęła brwi w zdumieniu.

- Tata mówił coś bardzo podobnego. Oboje się boicie, że mogę nagle odkryć, że mama żyje, tak? - Sally milczała. - Nie sądzisz chyba, że mogłaby zrobić coś takiego? Nie myślisz przecież, że mogłaby tak sobie zniknąć i zostawić nas wszystkich w przekonaniu, że umarła, co?

Przez chwilę Sally nie odpowiadała.

- Twoja mama potrafiła być bardzo zdecydowana, kiedy czegoś naprawdę chciała - odparła w końcu, unikając wzroku Harriet. - Zazwyczaj w ten czy w inny sposób dopinała swego.

- Chcesz powiedzieć, że jednak tak myślisz... Sally, do cholery, przecież była twoją siostrą!

- Tak - szepnęła Sally. - Była moją siostrą. Podeszła do jednej z szaf i zaczęła przesuwac wieszaki.

- Wracaj do nich, Harriet. Nic mi nie jest. Zaraz do was przyjdę.

Przez chwilę Harriet stała niezdecydowana, w końcu kiwnęła głową.

- Skoro twierdzisz, że nic ci nie dolega.

- Czuję się zupełnie normalnie. No, a teraz zmykaj!

Drzwi zamknęły się za Harriet, a Sally wciąż przesuwala wieszaki, usiłując odnaleźć sukienkę z białej bawełnianej kory w beżowe gałazki - teraz już pewnie pożółkła i zupełnie nie na miejscu pośród eleganckich i modnych strojów. Powinna była pozbyć się jej już lata temu, ale nie potrafiła się z nią rozstać. Tak bardzo uwielbiała tę sukienkę, taka dorosła się w niej kiedyś czuła! Zsunęła ją z wieszaka i przymierzyła do siebie. Miała wrażenie, że z lustra znów patrzy na nią czternastoletnia dziewczyna. I kiedy tak stała trzymając przy sobie sukienkę, ogarnęła ją fala wspomnień... Nie wszystkie były miłe. Właśnie tę sukienkę miała na sobie, kiedy po raz pierwszy ujrzała siostrę w nieco bardziej rzeczywistym świetle. Kiedy stanęła oko w oko z prawdą, dziś równie nieprzyjemną jak wtedy.

- Och, Paulo! - szepnęła i nagle łzy spłynęły jej po policzkach,

złobiąc ścieżki w starannie dopracowanym makijażu. - Co się z tobą stało? I, wielki Boże, co stało się ze mną?!

Stała zupełnie bez ruchu; splecionymi rękami przytrzymała w pasie sukienkę i wspominała.

Cześć druga

Rozdział piąty

Wchodząc po schodach Sally słyszała ściszone głosy i chichoty dochodzące z sypialni, którą dzieliła z siostrą. Wiedziała, co oznaczają. Paula przyprowadziła do domu swoją przyjaciółkę, Luise, i teraz obie zatopiły się w rozmowie starszych dziewcząt. W takich chwilach Sally czuła się przy nich jak intruz, i to bardzo niezdarny i dziecinny. Zawahała się, miotana sprzecznymi uczuciami. Hamowała ją nieznośna nieśmiałość, która zawsze ogarniała Sally w obecności Luise, ale równocześnie pragnienie, żeby uczestniczyć w rozmowie siostry i jej przyjaciółki, choćby jako nieproszony milczący widz, pchało ją naprzód. Jak zwykle przeważała fascynacja światem niemal dorosłych dziewczyn. Przemierzyła hol, pokryty linoleum, na którym równomiernie rozmieszczono kawałki wykładziny, które matka nazywała „dywanikami przeciwpoślizgowymi”. Otworzyła drzwi do sypialni i wkroczyła do środka.

Dwie pary oczu spojrzały na nią oskarżycielsko. Paula, ubrana w obcisłe spodnie do pół łydki i trykotową koszulkę odstaniającą jedno ramię, leżała wsparta na łokciu na wykładanej kafelkami podłodze przed kominkiem i paliła papierosa, wydmuchując dym w otwór paleniska, a Luise, tylko w kuszącej bieliźnie z czarnej koronki, spoczywała na łóżku, energicznie przyciskając do ud aparat do masażu, który wyglądał jak szczotka zakończona gumowymi wypustkami.

- Sally! Co tu robisz? - ostro zapytała Paula.
- To jest również mój pokój - odparła urażona siostra. - Mogę tu wchodzić, kiedy mi się podoba.
- Przeszkadzasz nam! Idź na dół i posłuchaj radia.
- Nie nadają nic ciekawego. Chciałam wziąć jakąś książkę.
- Więc pospiesz się i zostaw nas w spokoju!
- Ależ, *cherie*, nie traktuj jej tak surowo! - odezwała się Luise. Wciąż masowała przyrządem nogi, które według niej były za grube. Była Francuzką z wielkim temperamentem, co bez wahania potwierdziły każdy zamieszkały w okolicy mężczyzna między czternastym a osiemdziesiątym czwartym rokiem życia. Wielu z nich przekonało się o tym osobiście, a reszta miałyby na to ochotę. Luise przyjechała tu w ramach wymiany studenckiej. W rodzinnym Nimes przygotowywała się do zawodu nauczycielki angielskiego i roczny pobyt w Anglii był częścią studiów. Prowadziła lekcje francuskiego w miejscowej szkole średniej. Blisko zaprzyjaźniła się z Paulą, uczennicą najstarszej klasy. Kiedy tylko nie była zajęta uwodzeniem i dręczeniem jakiegoś nieszczęsnego młodego człowieka, nie rozstawiała się z przyjaciółką. Razem wypijały niezliczoną ilość filiżanek espresso przy dźwiękach piosenek Elvisa, Cliffa i Tommy'ego Steele'a, płynących z szafy grającej w kawiarni Czarny Kot, szalały na skuterze Luise marki Lambretta albo po prostu spędzały popołudnia malując sobie nawzajem paznokcie, regulując pincetką brwi i na wszelkie inne sposoby starając się poprawić wygląd, żeby w jeszcze bardziej zabójczy sposób działać na płęć przeciwną, chociaż i tak odnosiły w tej dziedzinie niewątpliwe sukcesy.
- Nie jesteś miła dla siostrzyczki! - upomniała Luise przyjaciółkę. - Sally, nie stój w drzwiach, wejdź do środka. Szybko zamknij drzwi, bo na dole poczują dym z papierosa.
- O, nie! - zapiszczała Paula. - Mama mnie zabije, jak się dowie, że palę. Spróbuj tylko jej powiedzieć, Sally, to najpierw ja zabiję ciebie!
- Nic jej nie powiem. Ale i tak poczuje dym.
- Nie poczuje. Dmucham prosto w kominek. Jeśli chcesz zostać, nie wolno ci nikomu powtórzyć, o czym tu rozmawiamy. Mów dalej Luise.

Opowiadałaś mi o Rogerze Clarke'u. To chyba ostry zawodnik? Wszyscy tak mówią.

Luise zachichotała.

- Tak mu się wydaje. - Mówiła z wyraźnym francuskim akcentem. - Kilku rzeczy mogłabym go nauczyć. Cały czas myśli tylko o tym, jak mi włożyć rękę pod bluzkę albo spódnicę, ale chyba posikałby się ze strachu, gdybym pozwoliła mu na coś więcej.

- A pozwoliłabyś?

- Może tak, a może nie. - Luise jeszcze raz z rozmachem uderzyła aparatem do masażu w udo i usiadła. - No, teraz lepiej. Chcesz spróbować, Paula?

- Nie, przez ten masaż masz całe nogi czerwone.

- To zaraz zniknie. A poza tym wolę mieć czerwone niż grube. Ty nie jesteś gruba, co, Paula? - Spojrzała zazdrośnie na długie, szczupłe i kształtne nogi w obcisłych rybaczkach. - A ty, Sally? Może spróbujesz?

- Nie zachęcaj jej - ostrzegła Paula.

- Dlaczego nie? Czy Sally też nie mogłaby ładnie wyglądać? - Zwróciła się do młodszej z sióstr, która klęczała w kącie, obok półek z książkami, starając się nie rzucać w oczy: - Chodź no tutaj, niech ci się przyjrzę. Masz grube nogi, tak jak ja. My, tłuścioszki, powinnyśmy sobie pomagać.

Sally nie wiedziała, czy ma się cieszyć, że Luise zwróciła na nią uwagę, czy złościć, że nazwała ją tłuścioszką. Nie była gruba, ale Luise przecież również nie, więc chyba nie było powodu, żeby się gniewać.

Zdjęła bawełnianą spódnicę i szeroką, falbaniastą halkę ze sztywnego nylonu, którą nosiła pod spodem. Obie części garderoby leżały teraz na dywanie jak wielki raniony motyl. Usiadła na łóżku i starała się nie krzywić, kiedy Luise natarła jej uda kremem i z zapałem przystąpiła do masażu.

- Luise, w co się ubierzesz na sobotnią zabawę w klubie młodzieżowym? - zapytała Paula. Zgasiła papierosa i ukryła niedopałek w blaszanym pudełku po tabletkach, które służyło jej za popielniczkę.

- Sama nie wiem...

Starsze dziewczęta znów pogrzyły się w rozmowie, która dotyczyła wyłącznie ich spraw, a Sally zagryzała wargi, dzielnie znosząc uderzenia aparatu do masażu. Bardzo żałowała, że nie idzie razem z nimi na zabawę do klubu. Nie tylko poczułaby się równie dorosła, jak Paula i Luise, ale w dodatku Pete Jackson, w którym beznadziejnie się kochała, na pewno się tam zjawi.

Pete był w tej samej klasie co ona i za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, przebiegał ją dziwny, nieznany dreszcz. Czasami wydawało jej się, że chłopak patrzy na nią jakoś tak szczególnie i być może ją lubi, jednak ani razu się do niej nie odezwał i Sally zaczęła się obawiać, że nigdy tego nie zrobi. Może gdyby się spotkali poza klasą, bez szkolnych mundurków, poza zasięgiem czujnych oczu nauczycieli w zaplamionych kredą togach, coś by się odmieniło.

- Myślisz, że mama puściłaby i mnie? - zapytała?

- Nie sądzę - odparła szybko Paula.

- Będzie tam ktoś, kto ci się podoba? - domyśliła się Luise, a Sally poczerwieniła. Francuzka zwróciła się do Pauli: - Powiemy twojej mamie, że zaopiekujemy się Sally. Wtedy pozwoli jej iść, prawda?

- Nie! - zaprotestowała. I tak miała wrażenie, że większość życia musi poświęcać na opiekowanie się młodszą siostrą, więc nie zamierzała psuć sobie zabawy w sobotni wieczór. W klubie miał się zjawić chłopak, który wpadł jej w oko, Jeff Freeman, i Paula obmyślała już plany, jak go odbić jego stałej dziewczynie. Obecność Sally strasznie utrudniłaby sytuację. - I tak nie ma w co się ubrać - dodała zjadliwie.

- W takim razie coś jej pożyczę. Mamy mniej więcej te same wymiary, prawda? Zrobię z niej taką piękność, że żaden chłopak się jej nie oprze. - Przesunęła aparatem po wewnętrznej części uda i nagle Sally nie czuła już bólu. Krawędź przyrządu otarła się o jej krocze i ogarnął ją słodki, gwałtowny dreszcz, który poruszył jedwabistą strunę biegnącą gdzieś w głąb duszy, gdzie budziło się niejasne podniecenie za każdym razem, kiedy myślała o Pecie. Kiedy Luise odsunęła się, Sally miała ochotę wyrwać jej aparat i przycisnąć go mocno do tajnych zakamarków ciała, ale nie śmiała. Leżała na łóżku i myślała, jak to byłoby

cudownie, gdyby Pete ją zauważył. Zawsze wydawało się jej to niemożliwym do spełnienia marzeniem, ale teraz, kiedy Luise mówiła o tym tak chłodno i rozsądnie, nagle stało się całkiem realne.

Ku irytacji Pauli, Louise zdołała namówić Grace Bristow, żeby pozwoliła młodszej córce pójść na tańce. Sally triumfowała, ale kiedy nadeszła sobota, była niemal chora z podniecenia i lęku.

Dlaczego nie jestem bardziej podobna do Pauli - żałośnie pytała się w duchu. Gdyby tylko mogła zgubić trochę dziecinnej pulchności i ułożyć fryzurę w prawdziwym salonie fryzjerskim! Tymczasem włosy obcinała jej Ivy Tucker, która mieszkała przy tej samej ulicy i zajmowała się fryzjerstwem, żeby zarobić na drobne wydatki. Niełatwo też było zrzucić zbędne kilogramy, kiedy mama karmiła ją tuczącymi, domowymi potrawami - gulaszem, kluskami, mięsem zapiekany w cieście i słodkimi deserami. Na prawdziwego fryzjera nie było ich stać. Sally wiedziała, że matka z trudnością wiąże koniec z końcem, ponieważ ojciec pracował jako pomocnik elektryka i zarabiał tylko dziewięć funtów i dziesięć szylingów tygodniowo. W przeciwieństwie do Pauli, nie miała sumienia domagać się luksusów, na które nie mogli sobie pozwolić. Zbyt często widziała, jak matka, z troską marszcząc czoło, rozdziela tygodniówkę ojca na trzy części i wkłada pieniądze do słoików oznaczonym nalepkami „Czynsz”, „Światło” i „Węgiel”. Nie raz zdarzało się, że Grace Bristow odliczała drobne na funt parówek, by przekonać się, że wystarczy jej zaledwie na pół funta - dwie dla ojca i po jednej dla Pauli i Sally, a dla niej do ziemniaków pozostawały tylko resztki, które przywarły do dna patelni.

Kiedy dorosnę, postaram się, żeby zawsze mieć pieniądze na cały funt parówek i jeszcze na jajka - myślała Sally, ale nigdy nic nie mówiła. Nie chciała jeszcze bardziej martwić udręczonej kłopotami matki.

O czwartej przyjechała Luise i zaparkowała skuter przed drzwiami Bristowów. Mieszkali w domu komunalnym, bliźniaku, dzięki czemu zaliczali się do wyższej klasy niż mieszkańcy szeregowych budynków. Był to ładny, tynkowany dom, wybudowany po wojnie. Z tyłu i od frontu miał spory ogród, wewnątrz mieściły się trzy sypialnie i łazienka.

Należała do niego również ubikacja na zewnątrz, szopa na węgiel i przybudówka. Sally uwielbiała ten dom. Zanim się tu sprowadzili, mieszkali razem z dziadkami i było im bardzo ciasno. Dziadkowie zamienili salon na parterze w sypialnię, żeby dziadek nie musiał wspinać się po schodach i nadwerężyć schorowanych nóg. Natomiast sypialnię przemienili w salon i wstawili do niego stół, krzesła oraz kredens, który po ślubie kupili sobie rodzice, chociaż nie mieli jeszcze własnego domu. Kiedy Paula i Sally nastawiały nakręcany gramofon i słuchały płyt, dziadek stukał laską w sufit sypialni, żeby ściszyły muzykę.

Po tym wszystkim dom komunalny wydawał się Sally szczytem luksusu. Hodowała króliki w klatce ustawionej za grzędami kapusty i kępami rabarbaru. Wcale jej nie przeszkadzało, że w zimowe wieczory musi myć się w misce ustawionej na arkuszu szarego papieru przed kominkiem w salonie, ponieważ w łazience nie było ogrzewania.

Luise niosła dużą torbę, którą przywiozła zawieszoną na rączce skutera. Paula i Sally wprowadziły przyjaciółkę prosto do sypialni.

- Oto sukienka dla ciebie - oznajmiła Francuzka, odpakowując z bibułki kreację i rozkładając ją, lekko zmiętą, na łóżku. - Podoba ci się?

- Och, tak! - jęknęła Sally. Suknia była piękna, uszyta z białej kory w fioletoworożowe kwiatuszki. Miała głęboko wycięty dekolci, krótkie bufiaste rękawy i szeroką spódnice zebraną w trzy falbany.

Następnie z torby wyłoniła się halka z cienkiego, sztywnego nylonu mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy, złożona z wiele większej ilości marszczonych falbanek niż ta, którą Sally po każdym włożeniu starannie prała w wodzie z cukrem. Potem rozradowanym oczom dziewczyny ukazał się zalotny, biały gorsecik na fiszbinach, ozdobiony koronką.

- Ona nie może tego włożyć! - wykrzyknęła zgorszona Paula. - Jest o wiele za młoda. A poza tym i tak się w to nie zmieści.

- Oczywiście, że się zmieści. Na mnie pasuje. Do tej sukienki trzeba mieć wąską talię. Dlaczego nie miałyby włożyć gorsetu?

- Mogłaś pożyczyć go mnie - oświadczyła z irytacją starsza siostra.

- Nie, przyniosłam go dla Sally. Proszę, przymierz.

Sally wstrzymała oddech, kiedy Luise zapinała mnóstwo drobnych

haftek, i starała się nie zwracać uwagi na małe wałeczki tłuszczu, które powstawały poniżej i powyżej gorsetu.

- Teraz halka. - Rozległ się przyjemny dla ucha szelest. - I sukienka... No, jak ci się podoba, Sally?

Sally przechyliła lustro na toaletce, żeby obejrzeć najpierw górną, a potem dolną połowę swojej sylwetki.

- Cudownie... Ale co z butami? Moje są niezgrabne i brzydkie. Luise znów zajrzała do torby.

- *Voila!* - zawołała wyjmując parę białych sandałów zapinanych na paski.

Sally wcisnęła w nie stopy i znów obejrzała się w lustrze. Niewiarygodne! Niech no tylko Pete ją zobaczy! Z pewnością poprosi ją do tańca. Przecież w tej sukni wygląda tak pięknie.

- Teraz włosy - powiedziała zdecydowanie Luise. - Zmoczmy je i zakręcimy na papiloty. Akurat zdążą wyschnąć na czas.

I rzeczywiście. Po zdjęciu papilotów włosy wyglądały jak zwichrzona strzecha i Sally aż pisnęła z przerażenia, ale kiedy Francuzka przyczesła je nieco szczotką i natapirowała grzebieniem z długą rączką, dziewczyna zobaczyła, że jej przystrzyżoną według szkolnych wymogów fryzura zamieniła się w masę wdzięcznych loczków.

Paula i Luise również wyglądały ślicznie. Paula miała na sobie białą bluzkę z wyciętym łódkowato dekoltem i jaskrawoturkusową spódnicę z pełnego koła. Luise ubrała się w obcisłą sukienkę, która uwydatniała wszystkie jej krągłości, nie zostawiając żadnego pola wyobraźni. Mimo to pierwszy raz w życiu Sally czuła, że pod względem wyglądu może współzawodniczyć ze starszymi dziewczętami jak równy z równym.

- Po tańcach macie wrócić prosto do domu. I nie rozdzielajcie się - upomniała Grace.

Paula złożyła usta w ciup i z irytacją odrzuciła głowę w tył, ale Sally nie zwróciła uwagi na grymasy siostry.

O wpół do dziesiątej zabawa rozkręciła się na dobre. W odróżnieniu od zwykłych potańcówek, które organizowano co dwa tygodnie, dochód z tej imprezy miał być przeznaczony na cele dobroczynne. Zamiast

gramofonu do tańca przygrywał trzyosobowy zespół. Podawano też „prawdziwe jedzenie”, które przez całe popołudnie przygotowywał komitet organizacyjny - kanapki z pastą rybną, parówki zapiekane w cieście i kostki sera na wykałaczkach, ozdobione kawałkami ananasa.

Pauli i Luise powierzono sprzedaż losów loterii, krążyły więc po sali, flirtując bezwstydnie i mówiąc chłopcom, że losy są po osiem pensów za sztukę, ale lepiej będzie pójść na całość i kupić cały bloczek za dwa szylingi. Oczywiście większość chłopców oznajmiała ze znaczącym uśmiechem, że wolą „pójść na całość”, i za każdym razem dziewczęta udawały, że taka odpowiedź wydaje się im szalenie dowcipna i oryginalna, chociaż trochę nieprzyzwoita. Tak samo się zachowywały, kiedy po raz dwudziesty słyszały pytanie, czy przypadkiem one same nie są nagrodą w tej loterii.

Sprzedawanie losów dało Pauli możliwość zastawienia sideł na Jeffa Freemana. Oczekwała aż Jean, jego dziewczyna, wyjdzie do ubikacji, i ruszyła do ataku. Flirtując uwodzicielsko doprowadziła do tego, że wymógł na niej wspólny taniec w zamian za kupno dwóch bloczków. Wtedy bez najmniejszych skrupułów wcisnęła w ręce Sally koszyk z pieniędzmi i pozostałe losy i pozwoliła chłopakowi zaciągnąć się na parkiet, teatralnie przy tym protestując. Kiedy Jean wróciła z ubikacji, po Pauli i Jeffie nie zostało już ani śladu - po tańcu wymknęli się niezauważeni przez jedno z szeroko otwartych wyjść awaryjnych na tyły klubu, gdzie zapuszczały się tylko romansujące parki.

Pół godziny później wciąż ich nie było. Kiedy Sally sprzedała wszystkie losy i zaczęła szukać siostry, zrozumiała, co zaszło. Znowu usiadła na jednym z twardych krzesel o prostych oparciach, które stały pod ścianami sali. Czuła się okropnie. Dla niej wieczór nie ułożył się tak, jak sobie w głębi serca planowała. Kilku chłopców zapraszało ją do tańca, ale odmówiła w obawie, że straci szansę na taniec z Pete'em. Jednak on, mimo pożyczonej od Luise sukienki, wcale nie zwracał na nią uwagi. Raz miała wrażenie, że idzie w jej stronę, i z podniecenia serce zaczęło bić mocniej, ale chłopak minął ją obojętnie i podszedł do baru, w którym sprzedawano tylko napoje bezalkoholowe. (Jedyna skrzynka piwa,

ukryta pod ladą, przeznaczona była dla zespołu). Łzy kłuły Sally pod powiekami, więc utkwiała wzrok w podłodze.

- Zatańczysz? - zapytał jakiś głos. Podniosła oczy i zobaczyła przed sobą chłopaka w marynarce z aksamitnym kołnierzem, wąskich spodniach rurkach i butach na grubej podeszwie. Jego wysmarowana brylantyną grzywka opadła na błyszczącą od potu twarz.

Miała już odmówić, kiedy spostrzegła Pete'a. Tańczył z inną. Serce jej się ścisnęło, ale jakoś zdołała wstać z krzesła. Chłopak chwycił jej dłoń spoconą ręką. Tańczyła półprzytomna ze smutku, nie zauważając nawet, że muzyka z rytmicznego rocka zmieniła się w „przytulany kawałek”. Kiedy przygały światła i chłopak przyciągnął ją do siebie, nie chciało jej się nawet protestować, chociaż brzydził ją odór piwa w jego oddechu - gdzie on je kupił? - wymieszany z ostrą wonią potu. Chłopak wziął bierność Sally za przyzwolenie. Spocone ręce zawędrowały tuż pod pierwszą falbanę sukienki. Przyciskał biodra do jej ciała, tak że wyraźnie czuła wypukłość między jego nogami.

Nagle poczuła, że ma tego wszystkiego dosyć. Chwyciła go za rękę i oderwała je od swoich pośladków. Odwróciła się na pięcie i uciekła z parkietu, przepychając się między przytulonymi parami. Skierowała się do damskiej ubikacji, niewielkiego pomieszczenia z wieszakami na ścianach, popstrzonym przez muchy lustrem, brudną, popękaną umywalką i dwoma kabinami. Nie zwracając uwagi na dziewczęta malujące się przed lustrem, wbiegła do jednej z kabin, zatrzasnęła za sobą drzwi i się o nie oparła. Co za klęska! Żeby chociaż mogła natychmiast wrócić do domu i ukryć się tam na zawsze! Niestety, obiecała, że będzie trzymać się Pauli, i jeśli wróci sama, narazi się na mnóstwo kłopotliwych pytań i oskarżeń. Na podłodze zastukały obcasy i ktoś pchnął drzwi kabiny.

- Cholera - odezwał się jakiś głos. - Obie zajęte.
- Nic nie szkodzi, zaraz się zwolnią.
- Nie mam czasu. Muszę zaraz wrócić na salę i odnaleźć Jeffa.

Niedługo odchodzi mój ostatni autobus, ale przed wyjściem muszę jeszcze porozmawiać z Jeffem. W końcu przecież to mój chłopak.

- Podobno. Chociaż powiem ci, że wcale mi się to nie podoba. Sally stała bez ruchu.

Rozpoznała głosy.

To była Jean, dziewczyna Jeffa, i jej przyjaciółka, Peggy.

- Na twoim miejscu nie wybaczyłabym mu tego - oświadczyła oburzona Peggy. - Nie pozwoliłabym, żeby mnie tak traktował.

- To nie jego wina. Wszystko przez tę Paulę Bristow, wstrętną jędzę. Za kogo ona się uważa? - Jean podniosła głos. Słychać było, że jest bliska łez.

- Nie denerwuj się, Jean. On nie jest tego wart. Ani ona. Wcale się nie szanuje. Pozwala chłopakom na wszystko. Dlatego tak na nią lecą. Spytaj tylko mojego brata. Opowie ci takie rzeczy, że włosy staną ci dęba. Ona nie ma dumy. Niczym się nie przejmuję.

Sally zaczęła trząść się z gniewu. Zapominając o własnym zmartwieniu i upokorzeniu, energicznie otworzyła drzwi kabiny.

- Uważajcie, co mówicie o mojej siostrze!

Przez chwilę dziewczęta patrzyły na nią zaskoczone. Peggy pierwsza odzyskała równowagę.

- To wszystko prawda! - stwierdziła wyzywająco. - A ty wcale nie jesteś od niej lepsza. Pozwoliłabyś każdemu chłopakowi, żeby cię obmacywał. Widziałam cię przed chwilą z Garym. Wkładał ci rękę pod spódnicę!

- Jesteś zazdrosna! - krzyknęła Sally. Twarz jej poczerwieniła. Odepchnęła dziewczyny i podeszła do kosza na śmieci, stojącego pod umywalką. Był wypełniony zużytymi numerkami z szatni, podartymi papierowymi ręcznikami, kawałkami zabrudzonej pudrem waty i strużynami z ołówków do brwi. Podniosła kosz i bez namysłu wysypała jego zawartość prosto na głowę Peggy. Wypadła z ubikacji i mrocznym, wąskim korytarzem wybiegła w ciemność nocy.

Dobiegające z klubu odgłosy wesolej zabawy działały jej na nerwy, a widok stojących pod ścianami obściskujących się par niemal doprowadzał do łez. Co za wieczór! Nie dość, że Pete jej nie chciał, to jeszcze usłyszała, jak Jean i Peggy wygadują takie okropne rzeczy o Pauli.

To drugie chyba sprawiło Sally większą przykrość, ponieważ w głębi duszy wiedziała, że ta zła opinia o siostrze jest bardzo bliska prawdy.

Po raz pierwszy w życiu poczuła, że z jej ideału zerwano zasłonę i patrzy teraz na rzeczywistą postać, która kryła się w pięknym ciele. Zobaczyła Paulę oczami innych, którzy nie patrzyli na nią przez pryzmat siostrzanej miłości. Paula była flirtiarą. Naprawdę sądziła, że jest lepsza od reszty dziewcząt.

I była zdecydowana zrobić wszystko, żeby dopiąć wyznaczonego sobie celu. Zwykle jej się to udawało.

- Cholera! - zaklęła pod nosem Sally. Ukryta w mroku, wiedząc że musi odczekać co najmniej pół godziny, zanim zacznie szukać siostry i nakłaniać ją do powrotu, zaczęła płakać.

Rozdział szósty

Po trzech tygodniach udręki Sally obudziła się pewnego ranka i stwierdziła, że już nie jest zakochana. Zaskoczyło ją i rozczarowało, że żołądek nie podchodzi już do gardła, kiedy Pete na nią spogląda. Nawet miłość bez wzajemności jest lepsza niż żadna. Dwa tygodnie po tym wstrząsającym odkryciu stanął przed nią i jękając się wydusił z siebie zaproszenie do kina. W nadziei, że ogień miłości znów zapłonie, Sally przyjęła zaproszenie. Przekonała się, że od Pete'a zalatuje mydłem karbolowym, co bardzo ostudziło jej zapał. Kiedy całował ją w ciemnościach, pocałunki okazały się tak mokre i śliskie, że miała tylko ochotę wyjąć chusteczkę i wytrzeć usta.

W ciągu następnego roku Sally zakochiwała się i odkochiwała chyba z pół tuzina razy. W każdym przypadku zakończenie było równie niepomysłne. Kilku chłopców chciało się z nią umawiać, ale nigdy ci właściwi, z którymi ona miałaby ochotę się spotykać. Zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że dwoje ludzi zakochuje się w sobie jednocześnie i z wzajemnością. To cud, że wielu parom to się udaje - i to na czas wystarczająco długi, żeby się zaręczyć i pobrać. Może inne dziewczyny mają więcej szczęścia niż ona albo po prostu są mniej wybredne.

Pauli z pewnością nigdy nie przydarzały się takie kłopoty. Miała cały tłum chłopaków i bez względu na to, jak źle ich traktowała, zawsze inni stali w kolejce, tylko czekając na jej znak. Ale przecież Paula jest taka śliczna. Wystarczy, że spojrzy na chłopaka, a on już traci dla niej głowę -

myślała znękana Sally.

Wiosną, kiedy skończyła szesnaście lat, zdarzył się cud. Na imię mu było Edward Blake i miał dziewiętnaście lat - prawdziwy dorosły mężczyzna! Poza tym był olśniewająco przystojny.

Nastał początek sezonu tenisowego. Jako członkini drużyny szkolnej Sally zostawała na korcie po lekcjach i trenowała. Pewnego popołudnia, po wyjątkowo długim treningu, musiała wracać do domu późniejszym niż zwykle autobusem. Przebiegła przez boisko, obciążona torbą i raketą tenisową. Autobus już ruszał, kiedy wskoczyła. Wewnątrz panował tłok, a konduktor był w złym humorze.

- Trzymać się, ruszamy! - zawołał i nacisnął guzik dzwonka. Sally chwiejnie przeciskała się środkiem, starając się nie uderzać pasażerów raketą.

- Daj raketę, pomogę ci - odezwał się męski głos. Odwróciła się i stwierdziła, że patrzy prosto w czyjeś zdumiewająco niebieskie oczy. - Tutaj jest wolne miejsce - ciągnął nieznajomy, usuwając się, żeby dać jej przejście.

Usiadła, postawiła torbę na kolanach i ukradkiem zerknęła na chłopaka. Gęste jasne włosy, wspaniała cera - ani jednego pryszczka - i te niebieskie oczy! Sally czuła, że ciepła fala podniecenia wpęta jej na policzki. Nagle zdała sobie sprawę, że ma na sobie kraciastą, szkolną sukienkę i beret, który według regulaminu trzeba było nosić zawsze i wszędzie poza terenem szkoły. Za złamanie tego przepisu groziła surowa kara. Winowajczyni musiała nosić znienawidzone nakrycie głowy przez cały dzień - podczas lekcji, w przerwie na lunch, bez żadnego wyjątku. Dotychczas Sally udało się uniknąć tej hańbiącej kary. Jednak wtedy z chęcią zniosłaby każde poniżenie, gdyby tylko potrafiła tak zdjąć beret, żeby nie wyglądało to na ostentacyjne podrywanie nieznajomego chłopaka.

- Nigdy cię w tym autobusie nie widziałem - odezwał się. Sally poczuła, że palą ją policzki. Modliła się w duchu, żeby się nie zaczerwienić.

- Wracam dzisiaj później. Grałam w tenisa.

- Teraz wszystko jasne. - Przesunął raketę, która wbijała mu się w kolano. - Często grasz?

- Kiedy tylko mogę.

- Dobrze ci idzie?

- Nieźle, biorąc pod uwagę, że miałam kiepski początek. W pierwszej klasie kazali mi zbierać piłki z kortu, a nie znałam zasad. Ciągłe rzucałam piłki niewłaściwemu zawodnikowi. Za każdym razem, kiedy mi się wydawało, że wszystko pojęłam, zmieniał się serwis. Potem wystali mnie, żebym przyniosła piłkę, która wpadła do ogródka dyrektora szkoły. Bałam się zapukać do drzwi i poprosić o pozwolenie, ale jeszcze bardziej przerażała mnie perspektywa powrotu na kort. Znowu zrobiłabym z siebie idiotkę. W rezultacie resztę popołudnia spędziłam ukrywając się za grządką groszku.

Roześmiała się. Pomyślała, że chłopak ma miły uśmiech. Rozmawiali, dopóki Sally nie zorientowała się, że autobus dotarł do jej przystanku. Wstała z miejsca.

- Tutaj wysiadam. Wręczył jej raketę.

- Kiedy się znowu zobaczymy?

- Och! - Wiedziała, że jej policzki są teraz ognście czerwone. - Nie wiem...

- Wsiadasz, czy nie? - wrzasnął konduktor z palcem na guziku dzwonka.

- Możesz przyjechać do Bath? Spotkamy się w sobotę. Bądź na przystanku o wpół do ósmej - powiedział chłopak.

- Tak, dobrze... - Potykając się ruszyła do drzwi zupełnie oszołomiona. Wróciła do domu jak na skrzydłach, ale w miarę jak zbliżała się sobota, Sally wpadała w coraz większe zdenerwowanie. Do Bath pojedzie autobusem, ale jak wróci do domu? Gdzie zabierze ją nieznajomy? W co się ubrać? Nie znała nawet imienia chłopaka, ale wiedziała, że tym razem to na pewno jest miłość!

Problem stroju rozwiązała łatwo. Luise wróciła już do Nimes, ale zostawiła białą sukienkę jako prezent pożegnalny i nawet bez ściskającego talię gorseciku była to najpiękniejsza kreacja Sally. Założyła

do niej białe sandały i ażurowy biały sweter, który zrobiła jej na drutach matka.

Piętnaście po siódmej wysiadła z autobusu na przystanku w Bath, zamartwiając się, że chłopak wystawi ją do wiatru. Ale on już czekał. W szarym garniturze i białej koszuli wydał się jej jeszcze bardziej przystojny.

- Chciałabyś pójść na tańce do klubu Regency? - zapytał.

- Och, tak, tylko muszę zdążyć na ostatni autobus. Odchodzi za piętnaście jedenasta...

- Nie martw się, dopilnuję, żebyś zdążyła - obiecał.

Klub Regency był kiedyś teatrem wodewilowym. Teraz znajdował się tu bar z napojami alkoholowymi i dwa barki z koktajlami mlecznymi - jeden na parterze, drugi na piętrze. Nad parkietem tanecznym wisiała kula z małych lustrzanych płytek. Wzdłuż trzech boków sali biegła wąska galeria, z której można było obserwować tańczących słuchając zespołu - prawdziwego zespołu, złożonego przynajmniej z dwunastu muzyków ubranych w jednakowe marynarki i muszki. Niekiedy w Regency występowali znani wykonawcy - Kenny Ball i Ted Smith, Acker Bilk i zespół The Temperance Seven. Dzisiaj jednak grali miejscowi artyści. Od dźwięków ich muzyki cała sala drżała.

Sally zostawiła torebkę w szatni i spotkała się z Edwardem w barku na piętrze. Czekał już tam na nią koktajl truskawkowy. Sączyła go przez słomkę i ciekawie rozglądała się po sali. Klub jeszcze się nie zappełnił, ale zauważyła, że chłopcy zbierają się w jednym końcu, pod galerią, a dziewczęta po lewej, przeciwnej stronie. Krążyły między rozstawionymi tam stolikami i krzesłami, plotkując i chichocząc. Starły się udawać, że wcale nie czekają na zaproszenie do tańca. Kilka dziewcząt tańczyło razem, jak na imprezach w klubie młodzieżowym. Tańczono tutaj „prawdziwe” tańce - walce, fokstroty i tanga. Kiedy Edward zaprosił ją na parkiet, z wdzięcznością pomyślała o szkolnych lekcjach tańca na sali gimnastycznej, na które chodziła z taką niechęcią, i o pani Smart, nauczycielce gimnastyki, która w rytm muzyki pokrzykiwała „wolno, wolno, szybko, szybko, wolno”.

Edward tańczył dobrze, prowadził pewnie i już po chwili przytulił ją mocno do siebie. W przeciwieństwie do Pete'a ładnie pachniał - Sally rozpoznała Old Spice'a. Kiedy przywarł do niej biodrami, dotyk ją podniecał, a nie odrażał, jak to było w przypadku tamtego modnisiaka z klubu młodzieżowego. Nad ramieniem Edwarda zerknęła na zegar wiszący nad drzwiami. Wskazówki przesuwwały się tak szybko, a ona nie chciała jeszcze wracać do domu.

W końcu nie mogła już dłużej zwlekać. Do odjazdu autobusu zostało tylko dziesięć minut! Odebrała torebkę z szatni. Trzymając się z Edwardem za ręce, pobiegli na przystanek. Kiedy tam dotarli, zobaczyli tył autobusu znikający w głębi ulicy.

- Co ja teraz zrobię! Mama mnie zabije! - krzyknęła Sally.
- Nie martw się. Znajdziemy taksówkę - uspokoił ją.

Sally pomyślała ponuro, że nigdy więcej już jej nigdzie nie zaprosi. Jednak w drodze na postój zapytał:

- Mogłabyś przyjechać w tygodniu? Poszlibyśmy do kina. Z radością się zgodziła.

Edward z góry zapłacił taksówkarzowi i Sally przebyła drogę powrotną w różowej mgiełce szczęścia. Kiedy samochód zatrzymał się przed domem, firanka w oknie zafalowała i na progu stanęła matka.

- A co to się stało, że wracasz do domu taksówką?
- Edward mi zafundował.
- Edward? Widocznie nie ma co robić z pieniędzmi.
- Chciał tylko mieć pewność, że bezpiecznie dotrę do domu -

odparła z satysfakcją Sally.

Pierwszy raz w życiu czuła, że prześcignęła Paulę, której nie zdarzyło się wrócić do domu taksówką!

Sally nigdy jeszcze nie przeżyła tak wspaniałego lata. Dwa razy w tygodniu jeździła do Bath na spotkania z Edwardem, chociaż od tamtego wydarzenia zawsze pilnowała, żeby zdążyła na ostatni autobus. Chodzili do kina, czasami przesiadywali w kawiarni trzymając się za ręce albo spacerowali po parku. W niedziele prawie zawsze szli na tańce.

Żyła niczym w radosnym wirze, a jej szczęście mąciło tylko jedno

pytanie: jak daleko może się posunąć. Po kilku pierwszych randkach, kiedy Edward całował ją, tulił i dotykał piersi jedynie przez bluzkę, zaczął wsuwać jej rękę pod ubranie. Chociaż Sally czuła się trochę winna, że mu na to pozwala, lubiła dotyk jego palców na nagim ciele i sutkach. Jednak kiedy próbował włożyć rękę pod wykrochmalone halki, starała się go powstrzymać.

- Proszę, przestań - błagała, chwytając dłoń Edwarda.
- Dlaczego? - pytał, sięgając coraz dalej.
- Dlatego.

Nie zważał jednak na protesty i nie chcąc dłużej doprowadzać do przykrej szarpaniny, Sally doszła do wniosku, że lepiej będzie ulec i pozwolić mu włożyć rękę pod bieliznę. Z początku nie było to zbyt nieprzyjemne, ale wkrótce Edward wsunął palec w głąb jej ciała, a to bolało. Czuła dotkliwe, ostre drapanie, jakby ktoś rysował paznokciem po naprężonej folii. Kiedy ją tak dotykał, ulatywało całe romantyczne rozmarzenie, które wzbudzały w niej pocałunki. Myślała tylko o tym, kiedy wreszcie skończy i znów ją mocno przytuli. Dotyk jego muskularnego ciała przez warstwy ubrania o wiele bardziej ją podniecał niż ten natarczywy, szorstki palec.

Potem zapragnął, żeby dotykała wypukłości pod jego spodniami. Pierwszy raz zdarzyło się to w kinie. W ciemnościach, pod osłoną których całowali się i przytulali - Edward cały czas trzymał dłoń pod jej bluzką - tak że nie miała pojęcia, o co chodzi w wyświetlanym filmie, wziął jej rękę i naprowadził na swoje podbrzusze. Sally niemal krzyknęła, kiedy poczuła pod palcami naprężony, podłużny kształt. Odsunęła dłoń, ale Edward natychmiast znowu ją tam umieścił.

Czego od niej oczekiwał? Wzięła głęboki oddech i nie poruszając się chwyciła w rękę sztywną wypukłość. Nie potrafiła się zmusić, żeby ją gładzić lub uciskać. Mimo to Edward był chyba zadowolony. Całował ją z zapałem i tak już pozostało do końca filmu, kiedy rozbłyły światła, a bileterki zaczęły krążyć między rzędami foteli z tacami pełnymi lodów.

Sally siedziała z rękami splecionymi na kolanach. Spoglądała w dół, żeby sprawdzić, czy wszystkie guziki bluzki są zapięte. Nie śmiała

popatrzeć Edwardowi w oczy. Pomyślała, że być może wszyscy ludzie na świecie robią takie rzeczy. Jednak na samo wspomnienie oblewała się rumieńcem.

Jednego była pewna - kochała Edwarda, co oznaczało, że nadal będzie mu na to pozwalając, bo inaczej znajdzie sobie kogoś innego. Chłopcy już tacy są. Tak przynajmniej twierdziły szkolne koleżanki. Cały kłopot polega na tym, że jeśli pozwala się na zbyt wiele, można zyskać opinię „łatwej”, a wtedy mówią o tobie tak, jak dziewczyny w klubie o Pauli, tylko że kiedy robią to chłopcy, jest to o wiele bardziej bolesne. Jednak jeśli na nic nie pozwalasz, żaden chłopak nie będzie sobie na dłużej zawracał tobą głowy. Ten problem burzył szczęście Sally, ale jednego była pewna - zgodzi się na wszystko, żeby tylko zatrzymać przy sobie Edwarda.

- Sally, chcę żebyś coś dla mnie zrobiła - powiedziała Paula. W jej głosie brzmiał znajomy ton, pół przymilny i pół rozkazujący.

W Sally zamarło serce. Taki ton zapowiadał kłopoty.

- Co? - zapytała trochę wojowniczo.

- Sally! - Paula spojrzała na siostrę z urazą. - Nieczęsto cię proszę o jakąś przysługę. Czy nie pożyczyłam ci w zeszłym tygodniu kolczyków, kiedy wybierałaś się na randkę z Edwardem?

- No, dobrze. Czego chcesz?

- Pomóż mi się wymigać od niedzielnej wizyty u babci. Raz na dwa tygodnie, w niedzielne popołudnia, dziewczęta szły na podwieczorek do małego domu starszej pani Bristow, w którym kiedyś mieszkały. Sally dość lubiła te wizyty, ale Pauli nie wystarczało cierpliwości do rozmów z babcią, która miała staroświeckie, skostniałe poglądy i łatwo było ją zaszokować. Nie znosiła też przymusu jedzenia sałatki z szynką, chleba z masłem, rolady owocowej i sałatki z puszkowych owoców ze śmietanką, którą babcia szczodłą ręką nakładała starszej wnuczce na talerzyk, ponieważ jej zdaniem była o wiele za chuda.

- Ależ, Paula! - zawołała Sally z wyrzutem. - Wiesz, jak babcia wyczekuje naszych wizyt. W dodatku rodzice wyjeżdżają w sobotę na wakacje i przez dwa tygodnie nie będą mogli jej odwiedzać.

- Właśnie o to chodzi. Powiesz babci niewinne kłamstewko, a ona nigdy nie dowie się prawdy.

- Jakie niewinne kłamstewko? Paula zrobiła przebiegłą, lisią minę.

- Najpierw pomyślałam, że mogłabyś powiedzieć babci, że złapałam gdzieś katar. Wiesz, jak ona się boi przeziębień. Ale to takie nudne i w dodatku mamy środek lata. Powiesz jej, że w drodze do niej złamałam obcas.

- Przecież będzie się spodziewała, że zmienisz buty i przyjdiesz później - odparła rozsądnie Sally.

- Możesz dodać, że przy okazji skręciłam kostkę - wymyśliła na poczekaniu siostra.

- Ale dlaczego nie chcesz odwiedzić babci? - zapytała Sally.

- To nudziarstwo. Wszystkie moje przyjaciółki siedzą w tym czasie w kawiarni.

- Nie będę dla ciebie kłamała tylko dlatego, że chcesz iść do kawiarni - sprzeciwiła się Sally. - Prawdę mówiąc, w ogóle nie lubię dla ciebie kłamać. Jeśli nie chcesz iść z wizytą, sama musisz powiedzieć o tym babci.

- Cóż, jeśli tak stawiasz sprawę... - odparła Paula z chytrą miną. - Mogę powiedzieć mamie, co wyprawicie z Edwardem w kinie.

- O co Ci chodzi? - zapytała Sally, ale szkarłatny rumieniec w oszałamiającym tempie zalewał jej szyję i policzki.

Paula uśmiechnęła się. Zakłopotanie siostry sprawiło jej przyjemność. Uwielbiała też czuć, że ma władzę.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz! Ale jeśli chcesz wiedzieć, to w zeszłym tygodniu Valerie Mitchell siedziała niedaleko od was. I zapewniam cię, że była bardzo zgorszona.

Valerie Mitchell mieszkała na sąsiedniej ulicy i jeździła do pracy tym samym autobusem co Paula. Tak naprawdę powiedziała tylko: „Twoja młodsza siostra jest już całkiem dorosła, co? Przynajmniej na tyle, żeby dobrze się bawić w ostatnim rzędzie w kinie”. Nie dodała nic więcej. Jednak Sally o tym nie wiedziała, więc cierpiąca katusze.

Boże, skoro taka Valerie była zgorszona, to może rzeczywiście

posuwa się zbyt daleko! Jeśli Paula opowie wszystko matce, to przyjdzie jej umrzeć ze wstydu!

- Mama pewnie nie pozwoli ci dłużej spotykać się z Edwardem, jeśli się dowie, na co sobie pozwalasz - stwierdziła niedbale Paula. -

Oczywiście, jeśli w niedzielę opowiesz babci o moim złamanym obcasie, mama o niczym się nie dowie.

- Czasami cię nienawidzę - powiedziała Sally. - Żałuję, że jesteś moją siostrą. Wcale nie jesteś miła.

Paula z zadowoloną miną wzruszyła ramionami.

- To nieważnie, czy ktoś jest miły - odparła. - Najważniejsze, żeby zdobyć to, co się chce. A mnie się to uda, prawda?

Sally skinęła głową.

- Tak - powiedziała słabym, nieśmiałym głosem. - Chyba tak.

Przecież zawsze ci się to udaje.

Chociaż Sally wciąż rozmyślała, czy może się posunąć dalej w znajomości z Edwardem, to jednak kiedy to się wreszcie stało, wcale nie była przygotowana. Znajdowali się w ciemnym zakątku za parkową muszlą koncertową. Szybko odbyli wszystkie etapy pieśczęt, włącznie z całowaniem i przytulaniem się do siebie niczym w tańcu, które Sally najbardziej lubiła. Tego wieczora Edward podwinął jej spódnicę niemal do talii, więc uściski były jeszcze przyjemniejsze, ponieważ wypukłość pod jego spodniami ściślej przylegała do jej ud i wywoływała w Sally większe podniecenie. Była tak podekscytowana, że nie zauważyła, jak Edward szamoce się z własną odzieżą, dopóki nie poczuła na sobie dotyku mokrego, lepkiego ciała, które napierało na nią i ocierało się o nogi. Serce podskoczyło jej do gardła jak oszalone.

- Edward, przestań! - wydyszała.

Chyba jej nie słyszał. Kotęsał się i jęczał, oddech miał ciężki i urywany.

- Edward! - zaprotestowała, starając się wyswobodzić z uścisku.

Wyczuła czubek czołka pod majteczkami i wiedziała, że nie powinna do tego dopuścić. To było nie tylko żenujące, ale wręcz niebezpieczne.

Opuściła ramię, żeby go odepchnąć, ale on chwycił jej rękę i zacisnął wokół swojej nabrzmiałej męskości, zmuszając ją, żeby poruszała dłońią

w górę i w dół. Kiedy poczuła pulsowanie naprężonego' penisa, niemal zaszlochala na głos ze strachu, ciekawości i podniecenia. Teraz przynajmniej nie znajdował się między jej nogami. Nagle poczuła, że gwałtownie zadygotał. Na dłoń Sally wytrysnęła ciepła, lepka ciecz. Jednocześnie Edward zadrżał i ugryzł ją w szyję. Stała bez ruchu, nie wiedząc co robić. Po chwili chłopak się odsunął, sięgnął do kieszeni po chusteczkę, wytarł siebie i dłoń Sally. Potem cisnął chusteczkę w krzaki.

- Nie mogę jej zabrać do domu - oświadczył z nerwowym śmiechem.

Sally również była zdenerwowana. Opuściła spódnicę i wygładziła ją na udach. Kiedy wreszcie odważyła się spojrzeć na Edwarda, z ulgą stwierdziła, że zapiął już spodnie. Nagle zapragnęła, żeby ją pocałował i przytulił. Wydawało jej się, że w ten sposób wszystko znowu byłoby w porządku. Ale on już się nią nie interesował.

- Pora na autobus - stwierdził.

Nie wiedzieć czemu, Sally chciało się płakać. Kiedy szli ulicami, trzymał ją za rękę, jednak ona nie czuła w tym geście ciepła, którego tak bardzo potrzebowała. Noc była pogodna, wielki księżyc odbijał się w ciemnych wodach rzeki Avon. Pomyślała, że powinna czuć się jak romantyczna bohaterka powieści, a jednak tak nie było. Ogarnął ją smutek, głębszy niż kiedykolwiek.

- Zobaczmy się o tej samej porze w sobotę, tam gdzie zwykle - powiedział Edward, szybko cmoknął ją w policzek i popchnął na schodki autobusu.

W drodze do domu Sally czuła na sobie spojrzenia współpasażerów i zastanawiała się, o co chodzi. Dopiero kiedy dotarła na miejsce i przejrzała się w lustrze na korytarzu, dostrzegła na szyi wielką malinkę. Szybko zakryła ją kołnierzykiem. Diabli wiedzą, jak ukryje ją jutro w szkole, zwłaszcza że ma gimnastykę. Może użyje pudru albo fluidu?

Była jeszcze bliższa łez. Kochała Edwarda. Ale dlaczego to wszystko musi być takie brzydkie i skomplikowane? Dlaczego doprowadzał to tego, że czuła się tak okropnie zawstydzona i zepsuta?

Wciąż jeszcze przeglądała się w lustrze, sprawdzając, czy nie zostały jakieś inne ślady, które mogłyby zdradzić naturę jej dzisiejszych poczynań, kiedy drzwi od saloniku się otworzyły i ze srogą miną pojawiła się w nich matka.

- Sally, natychmiast tu przyjdź - poleciała.

Zadrzała. O Boże, wszystko się wydało! Ale kto mógł zobaczyć ją w parku i tak szybko opowiedzieć o wszystkim rodzicom? Wygładziła nerwowo spódnicę i pomodliła się w duchu, żeby nie było na niej żadnych plam, które przeoczyła. Potem przemierzyła hol i weszła do saloniku.

Od razu wiedziała, że sprawa jest poważna, bo ojciec jeszcze nie spał. Musiał wstawać wcześniej rano i zwykle był już w łóżku, kiedy wracała ostatnim autobusem z Bath. Ale dzisiaj jeszcze się nie położył; siedział w fotelu i widać było, że wcale nie jest z tego zadowolony, a matka stała przed kominkiem ze splecionymi ramionami i wściekłym wyrazem twarzy. Sally bała się teraz nie na żarty.

- Ładne rzeczy, moja panno - zaczęła srogo. - Chciałabym wiedzieć, dlaczego beczelnie okłamałaś babcię, kiedy wyjechaliśmy z ojcem na wakacje.

Sally była tak zaskoczona, że patrzyła na matkę nie mogąc wydusić słowa.

- W dodatku było to głupie kłamstwo! - ciągnęła z wściekłością Grace. - Powiedziałaś, że Paula złamała obcas! Kiedy tylko babcia mi to opowiedziała, od razu wiedziałam, że to nieprawda. Ona też się domyśliła, albo przynajmniej miała jakieś podejrzenia. Dlaczego to zrobiłaś? Wiesz, że nie pozwolę, żebyś kłamała.

- Ja... Paula mi kazała - wyjąkała zdruzgotana Sally.

- O, tak! Z pewnością nie wymyśliłaby takiej nedorzecznej historyjki, bo wie, że babcia nie dałaby się nabrać. Nie wierzę ci.

- Ale tak było. Kazała mi to powiedzieć.

- Już rozmawiałam o tym z Paulą - oświadczyła surowo Grace. - Wyjaśniła mi, że tego dnia źle się czuła. Właśnie to miałaś powiedzieć babci.

- Nie.

- Znowu kłamiesz, Sally. Sądzę, że chciałaś przedstawić siostrę w złym świetle. Skłamałaś, żeby się wydawało, że Pauli nie chce się iść z wizytą. Wstyd mi za ciebie, naprawdę. Nie! - Uniosła palec, uciszając córkę, która miała zamiar zaprotestować. - Nie chcę już słyszeć ani słowa. Ale obiecuję ci, że jeśli jeszcze kiedykolwiek skłamiesz, a szczególnie tak złośliwie, znajdę sposób, żeby cię ukarać. Długo mnie popamiętasz. Teraz idź spać.

Sally odeszła, zadowolona, że czerwony ślad na szyi nie został zauważony, ale jednocześnie oburzona niesprawiedliwym oskarżeniem.

Paula leżała już w łóżku i czytała jakiś romans.

- Właśnie dostało mi się za to, że okłamałam babcię! - krzyknęła do niej Sally. - Musisz powiedzieć mamie, że to ty mnie do tego namówiłaś.

Siostra nawet nie oderwała wzroku od książki.

- Niby dlaczego? - zapytała.

- Bo to niesprawiedliwe! Rodzice myślą, że to zrobiłam, żeby ci zaszkodzić. Musisz powiedzieć im prawdę.

- Nic nie powiem. Przecież sama bym wtedy oberwała, prawda? Zostaw tę sprawę w spokoju, Sal.

- Ale dlaczego ja mam za to odpowiadać?

- Bo jesteś głupia.

- A ty jesteś wstrętną, samolubną krową i nienawidzę cię! Boże, jak ja cię nienawidzę!

Rozległo się głośne walenie w drzwi i matka zawołała rozzłoszczonym głosem:

- Przestańcie się kłócić! Zachowujecie się jak dwie przekupki.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę! - wysyczała Sally szeptem.

- Siedź cicho, Sally. Nie słyszałaś, co mama mówiła?

- Nigdy ci tego nie wybaczę! Nigdy!

Jednak chociaż kipiła gniewem, wiedziała, że nie dotrzyma tej obietnicy. Jutro o tej samej porze o wszystkim już zapomni i wybaczy siostrze.

Paula nie mogła nic na to poradzić. Była, jaka była. Inni mogli mówić,

że jej nienawidzą i pewnie rzeczywiście tak czuli. Ale nie Sally. Cokolwiek zrobiła jej siostrą, choćby najbardziej podłego, fałszywego czy samolubnego, Sally zawsze w końcu znajdowała dla niej jakieś usprawiedliwienie. Czyż nie od tego są siostry?

Rozdział siódmy

Od czasu ukończenia szkoły Paula pracowała w jednym z wielkich domów towarowych w Bristolu i bardzo to lubiła, chociaż dojazdy zajmowały jej wiele czasu, a bilety autobusowe pochłaniały dużą część skromnej pensji. Jednak dla Pauli dział konfekcji damskiej był prawdziwą jaskinią Alladyna, wypełnioną cudownymi skarbami.

Uwielbiała wieszaki pełne wspaniałych kreacji - starannie skrojonych kostiumów, naszywanych paciorkami sukni wieczorowych. Oszalałamiły ją jedwabie, koronki i delikatne wełny. Przede wszystkim jednak przyciągały jej uwagę futra. Kiedy tylko nadarzała się okazja, wymykała się do przymierzalni i wkładała coraz to nowy strój. Była tak wysoka i szczupła, że wszystkie kreacje prezentowały się na niej doskonale, a pozostałe ekspedientki aż jęczały z zazdrości. To przecież niesprawiedliwe, żeby ktoś wyglądał tak wspaniale w każdym stroju!

Paula nie podzielała ich opinii. Według niej najbardziej niesprawiedliwe było to, że na kobietach, które stać na zakup drogich ubrań, wcale nie wyglądają one dobrze, podczas gdy ona, tak wspaniale wydobywająca cały urok z każdej kreacji, nawet korzystając ze zniżek dla personelu, musiała oszczędzać całymi tygodniami, żeby sprawić sobie najtańszą sukienkę. Niejeden raz się zdarzało, że strój, który sobie upatrzyła, zniknął z wieszaka i ginął w wielkiej torbie z błyszczącego kartonu z rączkami z ozdobnego sznurka, w które pakowano zakupy.

Obiecała sobie, że pewnego dnia będzie wystarczająco bogata, żeby sobie kupować, na co tylko przyjdzie jej ochota - nie tylko ubrania, ale również biżuterię i perfumy, buty z prawdziwej skóry i najlepsze kosmetyki - koniec z tanimi wyrobami od Woolwortha!

Dom towarowy Jenkinsona mieścił się we wspaniałym starym budynku w samym sercu Bristolu. Jedną trzecią najwyższego piętra zajmowała restauracja - Palm Court. Panowała tu atmosfera elegancji i spokoju. Małe stoliki nakrywano koronkowymi obrusami, a wokół podwyższenia, które mogło służyć za estradę dla orkiestry ustawiono palmy w wielkich donicach. Gości obsługiwały kelnerki w schludnych czarnych sukienkach, białych czepeczkach i fartuszkach. Niezmiennie największy ruch panował tu w porze porannej kawy i popołudniowej herbaty, kiedy klientów kuszą wielkim wyborem małych ciasteczek i rogalików oraz jeszcze ciepłymi babeczkami, podawanymi na srebrnych półmiskach z przykrywkami. Goście stanowili wdzięczną widownię i pewnej wczesnej jesieni, w drugim roku pracy Pauli w domu towarowym, kierownictwo zdecydowało się sprowadzić modelki, żeby demonstrowały nowe stroje na nadchodzący sezon. Pokazy urządzało, kiedy w restauracji znajdowało się najwięcej pań, które miały konta u Jenkinsona i nie rozstawały się ze swoimi książeczkami czekowymi.

Miejscowa agencja dostarczała modelek na odbywające się dwa razy w tygodniu pokazy, a Pauli zlecono pomoc w przygotowaniu występu. Kiedy przybyły dziewczęta, Paula z zaskoczeniem stwierdziła, że mimo pozornej dojrzałości nie były od niej wiele starsze. Patrzyła, jak wychodzą na salę w pierwszej części prezentacji, i czuła dreszczyk podniecenia. Jeśli one mogą to robić, to dlaczego nie ona? Była równie wysoka, kreacje prezentowały się na niej tak samo pięknie, a urodą być może przewyższała te profesjonalistki. Ubierając modelki starała się do nich zagadywać i pytała, jak to się stało, że trafiły do tej pracy, ale dziewczęta nie zachowywały się zbyt towarzysko, jakby uważały rozmowę ze zwykłą ekspedientką za coś poniżej ich godności. Paulę to drażniło, ale nie peszyło. Wrodzona pewność siebie sprawiała, że nic nie było w stanie jej dotknąć.

Pewnego dnia jedna z modelek, spiesząc do przebieralni, poślizgnęła się i skręciła nogę w kostce. Wykrzywiając twarz z bólu, kuśtykała niezdarnie, a pani Freer, odpowiedzialna za zakupy nowych kolekcji, wpadała w coraz większy gniew.

- Nie pokazaliśmy jeszcze tego jasnoniebieskiego kostiumu. Bardzo mi zależało, żeby go dzisiaj zaprezentować. Jest taki drogi, że im prędzej znajdzie się na niego chętny, tym będę spokojniejsza.

Paula, która zapinała właśnie suknię koktajlową na jednej z modelek, zadrżała z emocji.

- Niech mi pani pozwoli go włożyć! - zaproponowała. - To mój rozmiar. Mogłabym być modelką. Jestem tego pewna.

Pozostałe dziewczęta spojrzały na nią z niechęcią, ale nie zwracała na nie uwagi.

- Dobrze - zgodziła się pani Freer po chwili wahania. - Przymierz go. Hmm. Dobrze na tobie leży. Ale trzeba ci trochę podmalować oczy niebieskim cieniem, żeby podkreślić kolor kostiumu. Nie wiem też, czy kapelusz utrzyma się na tej fryzurze.

Do pracy Paula splotała włosy we francuski warkocz. Teraz je rozplotła i związała na karku apaszką. Kapelusz pasował doskonale. Nałożyła trochę cienia na powieki, pociągnęła tuszem rzęsy i zawirowała przed panią Freer.

- Dobrze wyglądam?

- Tak. Nie spiesz się, dobrze. Idź wolnym krokiem. Pozwól klientkom obejrzeć cię ze wszystkich stron. Jeśli zechcą, mogą dotykać materiału. I na miłość boską, nie wpadnij na jakiś stolik albo na którąś z kelnerek...

- Wiem, wiem - odparła niecierpliwie. Czyż od długich tygodni nie obserwowała modelek i nie marzyła o tym, żeby robi to co one? Kiedy wyszła na salę, serce biło jej szybciej z podniecenia, ale pokryła to spokojnym uśmiechem. Poruszała się z naturalnym wdziękiem; lekkim krokiem krążyła między stolikami, podchodziła do gości, którzy wykazywali zainteresowanie kreacją, i wykonywała przed nimi dodatkowy obrót; rozpinąca obcisły żakiecik i zastygała w pełnej gracji pozie z ręką na biodrze, lekko podrzucając potęgą żakietu, żeby pokazać

bluzkę. Widziała, że tak robią profesjonalne modelki. Tak świetnie się bawiła, że pozostała na sali dłużej niż powinna, i wróciła do przebieralni dopiero kiedy dostrzegła w drzwiach panią Freer, która ze wściekłą miną dawała jej znaki. Paula miała uczucie, że frunie w powietrzu.

- Co za dużo, to niezdrowo! - syknęła pani Freer, kiedy dziewczyna przechodziła obok. W przebieralni modelki znacząco odwróciły się do niej plecami, rozzłoszczone faktem, że niewykwalifikowanej ekspedientce pozwolono wkroczyć na ich terytorium. Jednak ku triumfalnej radości Pauli kostium został kupiony natychmiast po odwieszeniu na miejsce - żona prawnika, która wstąpiła na kawę, wręcz się w nim zakochała, chociaż trzeba było poszerzyć spódnicę i skrócić o pełne dziesięć centymetrów, żeby pasowała na jej przysadzistą figurę.

- Dobrze się spisałaś - przyznała niechętnie pani Freer, ale zaraz dodała: - Tylko niech ci to nie przewróci w głowie.

Przemawiała do głuchych uszu. Paula już wiedziała, co zrobić.

Następnego wolnego od pracy dnia zrobiła staranny makijaż, włożyła swój najelegantszy kostium - tanią wersję tego, który demonstrowała na pokazie w restauracji - i wsiadła do autobusu do Bristolu. Agencja modelek mieściła się w wysokim starym budynku w dzielnicy Clifton i Paula wydała sporą sumę ze swoich oszczędności na taksówkę, żeby przynajmniej zjechać z szykiem na miejsce. Żołądek kurczył się jej nerwowo, kiedy naciskała dzwonek, ale postanowiła, że nie da nic po sobie poznać.

Arlene Frampton-Cox, szefowa agencji, kiedyś sama była modelką i wciąż można było się tego domyślić. Była wysoka, zadbana, miała stalowosiwe włosy, gładką twarz o wydatnych kościach policzkowych i onieśmiałający sposób bycia. Kiedy wprowadzono Paulę do biura, Arlene podniosła wzrok znad stosu fotografii ułożonych na jej biurku i spojrzała na gościa z lekkim zniecierpliwieniem.

- Słucham?

- Chcę zostać modelką - oświadczyła wprost Paula. - Czy może mnie pani wpisać do swojej kartoteki?

Szefowa obejrzała ją od góry do dołu wprawnym okiem. Chociaż się z

tym nie zdradziła, dziewczyna jej się spodobała.

- Czy masz jakieś przeszkolenie?

- Żadnego - przyznała Paula. - Ale w zeszłym tygodniu u Jenkinsona zastępowałam jedną z pani dziewcząt. Kostium, który pokazałam, został natychmiast sprzedany.

Czerwone usta Arlene nieco się zacisnęły. Nie lubiła amateerek, szczególnie takich, którym się wydawało, że dorównują doświadczonym profesjonalistkom.

- Przykro mi, ale niestety nie przyjmuję nie wyszkolonych dziewcząt. Ta praca wygląda na łatwą, ale trzeba wiedzieć, jak chodzić, siadać, obracać się czy zdejmować płaszcz.

Paula się wystraszyła. Sądziła, że wie, jak robić takie rzeczy, ale przy tej onieśmielającej kobiecie czuła się jak niezdarne, speszzone brzydkie kaczątko.

Usta Arlene lekko drgnęły, ale Paula tego nie zauważyła.

- Oczywiście, jeśli chcesz się tego nauczyć, to możesz zapisać się na moje lekcje dla przyszłych modelek - ciągnęła gładko szefowa. - Zwykle dziewczęta potrzebują dwunastu godzin, ale dla wyjątkowo uzdolnionych wystarcza osiem. Dwa razy w tygodniu korzystam z sali w Grand Hotelu, we wtorki i czwartki. Osobiście prowadzę zajęcia. Tylko w ten sposób mam pewność, że moje uczennice zostaną odpowiednio przeszkolone.

- A jeśli zapiszę się na te lekcje, przyjmie mnie pani?

- Jeżeli będziesz robiła postępy, zastanowię się nad tym. -

Stalowszarcie oczy jeszcze raz oszacowały Paulę. - Ile masz wzrostu?

- Metr siedemdziesiąt siedem.

- Jakie wymiary?

- Osiemdziesiąt cztery - pięćdziesiąt cztery - osiemdziesiąt dwa.

- Za duży biust - stwierdziła krótko Arlene. - Ale chyba jakoś temu zaradzimy. Będziesz nosiła obcisły gorset zamiast zwykłego stanika. Już tak robiliśmy.

Paula się wzdrygnęła. Dotychczas bardzo się martwiła, że jest „za płaska u góry”. Teraz niespodziewanie usłyszała, że będzie musiała ukryć

te i tak niezbyt obfite krągłości, i wcale jej się to nie spodobało. Jednak była zbyt zdeterminowana, żeby się łatwo zniechęcić.

- Kiedy mogę zacząć? - zapytała.

Po raz pierwszy od początku rozmowy Arlene uśmiechnęła się lekko.

- Przyjdź we wtorek na zajęcia, a ja dopilnuję, żeby wpisano cię na listę - powiedziała.

Modelka? - powtórzyła z przerażeniem Grace, kiedy Paula zawiadomiła ją o swoich planach. - Coś podobnego! Co też ci strzeliło do głowy?

- Dlaczego nie miałabym zostać modelką? - upierała się Paula. - Mam odpowiednią figurę. Pani Frampton-Cox to przyznała. I chcę to robić! To wspaniała praca!

- Już masz dobrą pracę.

- Nieprawda. To jest ponure, męczące zajęcie. Chciałabym robić coś niezwykłego.

- Ale praca modelki! Co też ludzie na to powiedzą? Zawsze byłam z ciebie taka dumna. Teraz nie będę mogła nikomu spojrzeć prosto w oczy.

- Niby dlaczego? - odcięła Paula. - Będę demonstrowała stroje, a nie robiła strip-tease.

- Tak to się zwykle zaczyna - oznajmiła ponuro Grace.

- Chodzi mi o życie, jakie będziesz prowadziła. To nie jest zajęcie dla młodej dziewczyny. Prawda, Reg? - zwróciła się do męża, który czytał gazetę, delektując się kieliszkiem wina po zasłużonym obiedzie.

- Wydaje mi się, że nic jej nie grozi - odparł łagodnie. Grace westchnęła zrezygnowana. Czy Reg niczego nie traktował poważnie? Przecież powinien dostrzec moralne zagrożenie, jakie stwarza wejście w kapryśny świat mody.

- Nie obchodzi mnie, co o tym sądzisz. I tak zostanę modelką - oświadczyła Paula, a Grace bezradnie potrząsnęła głową. Paula wyglądała na delikatną, spokojną dziewczynę, ale kiedy coś sobie postanowiła, nikt nie potrafił wybić jej tego z głowy, a już szczególnie nie tak słaba kobieta jak Grace. Zawsze taka była, nawet jako mała

dziewczynka.

- Cóż, mam nadzieję, że będziesz na siebie uważała i nie zapomnisz, jak cię wychowaliśmy - ostrzegła córkę.

Paula uśmiechnęła się, promienna i radosna - znów udało jej się postawić na swoim. Nagrodziła swoją matkę żywiołowym, chociaż dziwnie bezosobowym uściskiem.

- Nie zapomnę. A kiedy stanę się sławna, będziecie ze mnie dumni - zapewniła.

Już po ósmej lekcji Arlene poprosiła Paulę, żeby zaczekała chwilę po zakończeniu zajęć.

- Jeśli jesteś zainteresowana, mam dla ciebie pracę - oznajmiła zwięźle.

- Naprawdę? - Serce Pauli podskoczyło z radości. - To znaczy, że pani uważa, że się nadaję? - zapytała ostrożnie. Lekcje bardzo jej się podobały, ale przede wszystkim dowiedziała się na nich, jak niewiele potrafi, co trochę zachwiało jej pewność siebie. Poza tym wciąż bała się onieśmielającej pani Frampton-Cox.

- Nieźle sobie radzisz - przyznała Arlene, ukrywając rosnące podniecenie, z jakim obserwowała Paulę przez ostatnie kilka tygodni. Ta dziewczyna miała w sobie coś - oprócz naturalnej gracji i wyjątkowej urody, oprócz szczupłej, długonogiej sylwetki, która była jakby stworzona do tego zawodu, było w niej coś niezwykłego, coś, co sprawiało, że wyróżniała się spośród innych dziewcząt w grupie i przyciągała, tak że nawet osoba tak cyniczna jak Arlene nie potrafiła oderwać od niej wzroku. Prawdę mówiąc, czasami obawiała się, że zaniedbuje pozostałe uczennice, bo chociaż cały czas przemawiała do całej grupy, wydając polecenia i zwracając uwagę na niedociągnięcia, to bez przerwy kątem oka spoglądała na Paulę. Stała odczuwała tę samą radość ze wspaniałego odkrycia, jaka ogarnęła ją, kiedy dziewczyna pierwszy raz zjawiała się w agencji.

Bez wątpienia mogła zostać modelką najwyższej klasy. Potrzeba jej było trochę praktyki tutaj, na prowincji, tylko tyle, żeby nabrać ogłady i pewności siebie, ale nie za dużo, bo mogłaby popaść w rutynę. A

potem...

Tak, mogłabym zdobyć dla niej pracę w Londynie - myślała Arlene, z trudem ukrywając uniesienie. Każdy byłby zachwycony, mając taką modelkę, nawet najstynniejsze domy mody. Od takiej myśli mogło zakręcić się w głowie. Chociaż sama była kiedyś znaną modelką, Arlene nigdy nie wspięła się na najwyższe szczyty kariery. Teraz myśl, że uczennica i protegowana mogłaby tam dotrzeć, przyprawiała ją o dreszcz podniecenia.

Spojrzała na dziewczynę, która stała przed nią w pełnym napięcia oczekiwaniu.

- To będzie pokaz na cele dobroczynne - wyjaśniła. - Organizują go dwa wielkie domy towarowe z Bristolu. Odbędą się dwie próby, jedna w sobotę poprzedzającą pokaz, druga po południu w dniu występu. Oczekuję, że zjawisz się punktualnie i przyniesiesz kilka własnych par butów. Domy towarowe zapewnią biżuterię i dodatki. Pokaz wyznaczono na czwartek wieczór. Będziesz wtedy wolna?

- Och, tak! - zapewniła bez tchu Paula. Już zastanawiała się, jak rozwiązać praktyczne problemy. Czy ma odpowiednie buty, a jeśli nie, to czy stać ją na zakup nowych? W czwartek zwykle pracuje, ale może tym razem uda jej się dostać zwolnienie? Będzie żebrać, kraść albo pożyczać, ale zdobędzie pieniądze na buty, a jeśli nie dadzą jej wolnego w czwartek, i tak nie pójdzie do pracy, choćby mieli ją zwolnić. Przecież ma zamiar zostać zawodową modelką i na pewno dopilnuje, żeby nic jej w tym nie przeszkodziło.

Rozdział ósmy

Edward kupił samochód - starego, ale wciąż jeszcze wyglądającego imponująco Forda Zephyra. Kiedy Sally wysiadła z autobusu, czekał na nią, opierając się o maskę i paląc, papierosa. Wyglądał jeszcze przystojniej niż zwykle, jak młody światowiec.

- No, i jak się podoba? - zapytał.
- Piękny! - jęknęła zachwycona Sally.
- Możemy się wybrać na przejażdżkę. Zobaczymy, jak się zachowa na drodze - zaproponował.

Sally chętnie się zgodziła. Przejazdka w samochodzie własnego chłopaka wydawała się jej szczytem marzeń. Żałowała tylko, że nikt znajomy nie widział jej, jak wsiadała.

Ford miał szerokie przednie siedzenie. Pachniał ciepłą skórą i zastarzałym dymem z papierosów. Edward zabrał Sally na wycieczkę po Bath - może i on miał nadzieję, że zobaczy go ktoś znajomy. Potem pojechali na wieś. Było pogodnie, ciepłe jesienne popołudnie i chociaż zaczynało się już ściemniać, drzewa wciąż wyglądały wspaniale. Żółte i czerwone cienie mieszały się z zielenią liści. Kiedy jechali po wiejskich drogach, Sally siedziała wyprostowana obok kierowcy i czuła się jak królowa.

Po godzinie jazdy Edward zatrzymał samochód na dziedzińcu

wiejskiego pubu.

- Słyszałem, że to miłe miejsce - powiedział. - Wszystkie najlepsze puby są poza miastem.

Wnętrze było bardzo malownicze i przytulne. Na belkach wisiły połyskujące końskie uprząże, a na ścianach umieszczono narzędzia rolnicze. W wielkim kominku w rogu płonął ogień. Znaleźli drewnianą ławkę w kącie i wcisnęli się tam z drinkami. Edward zamówił duże piwo, a Sally słodki koktajl z szampana w ładnym kieliszku, ozdobionym tańczącym jelonkiem z niebieską kokardą na szyi.

Edward otoczył ją ramieniem i poczuła dreszczyk podniecenia, płynący gdzieś ze środka. Siedziała nieruchomo i cieszyła się chwilą. Zastanawiała się, dlaczego nie czuła się tak samo, kiedy Edward próbował posunąć się dalej. Kiedy myślała o rzeczach, które razem robili, podniecenie narastało w niej jeszcze bardziej, tak że miała wrażenie, jakby prąd elektryczny przepływał przez główne nerwy ciała. Jednak rzeczywistość była zupełnie inna. Cudowne dreszcze zniknęły i pozostawało jedynie uczucie paniki. Myślała tylko o tym, w jaki sposób powstrzymać Edwarda, nie wywołując wybuchu złości. Po wszystkim miała wrażenie, że spotkał ją zawód. Chciała, żeby ją przytulił, całował i pieścił jak małą dziewczynkę. Nie, „pieścił” to było nieodpowiednie słowo. Oznaczało właśnie to, co robili, a ona z pewnością nie chciała, żeby Edward ją pieścił, a jeszcze bardziej nie lubiła pieścić jego. Pomyślała ponuro, że coś z nią jest nie tak.

- To jest życie, co? - zapytał obejmując ją lekko. - Co za dzień!

- W domu mieliśmy dzisiaj małe święto - oznajmiła Sally. - Moja siostra wystąpi jako modelka na pokazie dobroczynnym. Mówiłam ci już, że bierze lekcje, prawda?

- Tak, mówiłaś.

Rzecz jasna, Sally często opowiadała o Pauli. Przecież była z niej bardzo dumna, a poza tym rozmawiając o pięknej siostrze i jej emocjonującym życiu, czuła, że również należy do tego lepszego, piękniejszego świata. Edward nie poznał jeszcze Pauli.

- Wygląda na to, że dobrze sobie radzi - stwierdził.

- Tak. Odbędzie dopiero połowę kursu, a już ją wybrano do tego pokazu. Myślę, że zrobi karierę. Z pewnością na to zasługuje. - Sally nabiła na wykałaczkę wisienkę, która pływała w koktajlu, i wsunęła ją do ust.

- Gdzie się ten pokaz odbędzie? - zapytał Edward.

- W Bristolu. Dlaczego pytasz?

- Nie sądzisz, że moglibyśmy tam pójść, żeby jej było różnie? Sally była tak zaskoczona, że mało nie zakrztusiła się wisienką.

Nie przypuszczała, że mężczyźni interesują się modą.

- Teraz, kiedy mam samochód, to nie będzie trudne - ciągnął Edward. - Moglibyśmy potem odwiedzić twoją siostrę do domu, oczywiście jeśli zechce.

- Tak, moglibyśmy - przytaknęła zadowolona Sally. Świadomość, że to ona ma chłopaka z samochodem napawała ją dumą. Tym razem dla odmiany to ona była lepsza od siostry!

Dokończyli drinki i wyszli. Zapadły już całkowite ciemności. Noc była aksamitnie czarna, tylko gwiazdy migotały na niebie. Sally usiadła w samochodzie tuż obok Edwarda. Prowadził otaczając ją ramieniem. Nie wiadomo jakim cudem udawało mu się zmieniać biegi prawą ręką.

Kiedy byli blisko domu, nagłe zjechał w boczną drogę i wyłączył silnik. Przyciągnął do siebie Sally i zaczął ją całować. Otoczyła jego szyję ramionami, z zadowoleniem czując pierwsze ułucia podniecenia. Jednak po krótkiej chwili ręce Edwarda rozpoczęły zwykłą wędrówkę po jej ciele, wsuwały się pod bluzkę, rozpiwały stanik, podciągały spódnicę aż do talii i starały się zsunąć z niej majteczki. Sally całą siłą przyciskała się do fotela i zwieriała nogi, ale jak zwykle to on w końcu wygrał i wkrótce musiała się schylić, żeby podnieść majtki z podłogi i uchronić je przed zdeptaniem.

- Chodźmy na tylne siedzenie. Tam będzie nam wygodniej - zaproponował.

- Nie! - zaprotestowała Sally, wiedząc, jakie czyha tam na nią niebezpieczeństwo. - Powinniśmy już wracać do domu. Mama spodziewa się, że wrócę ostatnim autobusem.

Edward nie zwrócił uwagi na protesty. Udało mu się tak ułożyć, że mógł całować piersi, teraz nagie, ponieważ stanik znajdował się już na wysokości jej talii, i jednocześnie nie wyjmować ręki spod ud.

Dotyk warg na sutkach poruszył coś w Sally i chociaż szorstki palec Edwarda nadal drażnił ją nieprzyjemnie, zaczęła się trochę rozluźniać. Oparła głowę o oparcie fotela w rogu przy oknie. Uczucie było niezwykle przyjemne. Edward zmienił nieco pozycję; najpierw ugryzł ją w szyję, potem całował ją w usta, siłą rozwierając językiem jej wargi. Czuła smak papierosów i piwa, ale to również ją podniecało. Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale nagle stwierdziła, że leży rozciągnięta w poprzek przedniego siedzenia, a Edward na niej pół klęczy i pół leży. Zrozumiała, że to, co czuje między nogami, to nie jest palec. To było gładkie, większe i gorętsze, i nie drapało boleśnie, lecz sprawiało przyjemność. Ostrożnie przywarła ciaśniej do chłopaka. Czuła narastające pragnienie, rodzące się gdzieś we wrażliwym miejscu między udami. Znowu lekko się poruszyła. To było miłe, bardzo miłe. Edward nadal ją całował, obracając językiem w jej ustach, ale mogła myśleć tylko o tym, co dzieje się między nogami. Przypominało to trochę doznania podczas tańca, tylko było jeszcze przyjemniejsze.

- Och, Sally! - wyszeptał, oddychając nieregularnie. Potem nagle opadł na nią i uczucie przyjemności gdzieś przepadło, zastąpione nie przez ból, ale przez dziwne wrażenie wypełnienia. Sally znowu się przestraszyła. Chciała, żeby przestał, a jednocześnie pragnęła, żeby robił to nadal, w nadziei, że wróci to rozkoszne uczucie, jakie owładnęło nią przed chwilą. Miała też niejasną świadomość, że doszli do punktu, z którego nie ma już odwrotu - teraz, kiedy pozwoliła mu w siebie wejść, nie mogła już krzyknąć, żeby przestał, albo zacząć się z nim szamotać.

Po kilku minutach gwałtownych ruchów Edward wydał z siebie zduszony okrzyk, wydobywający się gdzieś z głębi gardła, i odskoczył od niej. Rozciągnął się za kierownicą i z zamkniętymi oczami, ciężko oddychając, przyciskał do siebie chusteczkę. Sally leżała bez ruchu, obserwując go w świetle księżyca. Była oszołomiona, jakby to, co przed chwilą z nią zrobił, sparaliżowało nie tylko ciało, ale również zmysły.

Napięcie jej nie opuszczało. Nie poczuła satysfakcji ani przyjemności. Miała wrażenie dojmującej pustki. Nagle zdała sobie sprawę, jak nieelegancko wygląda, rozciągnięta na siedzeniu, z zadartą na biodra spódnicą i stanikiem wystającym z rozpiętej bluzki. Usiadła, wygładziła ubranie, a Edward opuścił zaparowane okno samochodu i cisnął chusteczkę w żywopłot.

- Jeśli dalej tak pójdzie, wkrótce nie zostanie ci ani jedna chustka - powiedziała i zachichotała zawstydzona. Co za głupia uwaga.

- Nieważne - odparł wyniośle.

Przysunął się, żeby ją pocałować, a Sally przywarła do niego z nadzieją, że czuły dotyk poprawi jej nastrój. Jednak Edward odsunął ją od siebie i uruchomił silnik.

- Lepiej odwiozę cię do domu.

Sally znów miała ochotę się rozplakać. Chyba coś z nią jest nie tak. Posunęli się tak daleko, jak to możliwe, a ona wciąż nie czuła tego, co powinna - uniesienia, zadowolenia, bliskości. Teraz, kiedy było już po wszystkim, Edward odszedł od niej gdzieś daleko, jakby była obcą osobą, którą z grzeczności podwozi do domu.

Przez resztę drogi poprawiała ubranie, upewniając się, że po dotarciu do domu będzie przyzwoicie wyglądała. Podniosła kołnierzyk bluzki, żeby zasłonić szyję, gdzie z pewnością wykwitła kolejna malinka.

- Zobaczymy się w niedzielę, jak zwykle? - odezwał się Edward, kiedy zatrzymali się przed domem.

Sally skinęła głową. Narastało w niej poczucie zawodu. Miała nadzieję, że teraz, kiedy Edward ma samochód, a w dodatku sprawy między nimi zaszły tak daleko, przyjedzie po nią pod drzwi. Nie chciała jednak sama tego proponować.

Zatrzasnąwszy drzwi Forda dostrzegła poruszające się firanki w oświetlonych oknach okolicznych domów. Cóż, przynajmniej odwiózł ją do domu i wszyscy sąsiedzi zobaczyli, że ma chłopaka z samochodem.

Idąc na chwiejnych nogach do drzwi, zdała sobie sprawę, że to musi jej wystarczyć.

Na pokazie mody Sally i Edward siedzieli na składanych, płóciennych

krzesłach w pierwszym rzędzie. Metr przed nimi zaczynało się podwyższenie, platforma z nagich desek, na którą prowadziło przysłonięte kurtyną wejście. Sally wpatrywała się w kurtynę i zastanawiała się, co też się za nią dzieje. Zapewne panował tam chaos. Paula powiedziała jej, że w imprezie weźmie udział dwanaście modelek, a każda z nich zademonstruje co najmniej dziesięć strojów. Sto dwadzieścia kreacji, nie wspominając o butach, kapeluszach i rękawiczkach. Jak oni się w tym wszystkim nie pogubią? Ubierając się na randkę Sally nigdy nie mogła znaleźć odpowiedniego paska, zawsze ginął jej gdzieś jeden but albo okazywało się, że w pończosze poleciało oczko. Sto dwadzieścia różnych strojów - co za koszmar!

Rozejrzała się po widowni. Publiczność schodziła się na miejsca w kilkusobowych grupkach. Zwykle były to eleganckie kobiety w kostiumach i sukniach z miękkich, lejących się materiałów. Sally długo się zastanawiała, co na siebie włożyć. Tak się bała, że zawiedzie Paulę. W końcu zdecydowała się na koszulową bluzkę i wąską spódnicę, a siostra pożyczyła jej popelinowy jasnoniebieski prochowiec z kołnierzem z miękkiego szarego baranka. W tym stroju czuła się dobrze. Kiedy zatapiała podbródek w futrze, rozkoszowała się jego wspaniałą miękkością i wierzyła, że wśród tych eleganckich kobiet prezentuje się zupełnie dobrze.

Ucichła łagodna muzyka i rozległ się pełen oczekiwania cichy gwar, który również umilkł, kiedy kurtyna się rozstąpiła i na podium ukazał się konferansjer w smokingu i czarnej muszce.

- Panie i panowie, witam na naszym pokazie! - zagrzmiął. Rozległ się gwizd źle wyregulowanej aparatury i Sally skrzywiła się zażenowana.

Na wybiegu pojawiła się pierwsza modelka. Wyglądała tak pięknie, tak niewiarygodnie elegancko, że Sally nie mogła uwierzyć, że jej własna siostra bierze udział w tym ekskluzywnym pokazie. Ale kilka minut później ujrzała ją tuż przed sobą - wysoką i śliczną w obcistej zielonej sukience *boucle* i w dopasowanym do niej żakiecie.

- To ona! To Paula! - syknęła, z podniecenia niemal spadając z krzesła.

- Naprawdę? - wyszeptał oszołomiony Edward.
- Tak. Czy nie wygląda wspaniale?

Ktoś za nimi znacząco chrząknął, więc ucichli, ale Sally miała ochotę krzyknąć na całą salę: „To moja siostra!”. Mało nie pękła z dumy. Była szczęśliwa i podekscytowana, więc nie przyszło jej nawet do głowy, że powinna się zaniepokoić wstrząsającym wrażeniem, jakie Paula wywarła na Edwardzie.

Za kulisami Paula zsunęła z siebie sukienkę i sięgnęła po kolejny strój, wiszący na odpowiednim wieszaku. Dziewczyna, która pomagała jej się ubierać, zapięła suwak. Paula zrzuciła z nóg zamszowe pantofle i włożyła czółenka z krokodylowej skóry. Szybko przeczesawszy grzebieniem włosy - do tej kreacji nie potrzebowała kapelusza - sięgnęła po dobraną do butów kopertową torebkę i ruszyła do drzwi, przy których Arlene szybko sprawdziła, czy wszystko jest w porządku.

Paula nigdy jeszcze nie czuła się tak bardzo w swoim żywiole. Oczy błyszczały jej z podniecenia. Początkowe zdenerwowanie zupełnie ją opuściło, chociaż wciąż jeszcze wydawało się jej dziwne, że stąpa po deskach wybiegu, a nie po wyłożonej dywanem podłodze sali w Grand Hotelu. Arlene lekko pchnęła podopieczną, dając znać, że już czas, i Paula wyszła na scenę. Nie mogła się doczekać, kiedy znowu stanie w świetłach reflektorów i wszystkie oczy zwrócą się w jej stronę.

Kiedy sunęła po podwyższeniu, dostrzegła Sally i Edwarda. Podczas pierwszego wyjścia widziała tylko morze anonimowych twarzy, bo skupiła całą uwagę na własnych ruchach. Teraz na chwilę zatrzymała wzrok na siostrze i jej towarzyszu. Sally jaśniała dumą, a Edward wciąż miał ten sam wyraz lekkiego oszołomienia na przystojnej twarzy.

Nieżyły - pomyślała Paula - zupełnie nieżyły. Udało ci się, mała siostrzyczko.

Nie odważyła się patrzeć na nich zbyt długo, ponieważ bała się, że pomyli krok albo zapomni o którejś pozycji, ale mina Edwarda jeszcze bardziej pogłębiła jej zadowolenie. Obracała się wolno, czując na sobie jego spojrzenie, które działało na nią niczym zastrzyk adrenaliny. Nigdy jeszcze nie czuła się tak dobrze! Pragnęła, żeby to trwało wiecznie.

Niestety, zaraz będzie musiała wrócić za kurtynę. Ostatni obrót, zatrzymana poza i wyjście. Ale zostało jeszcze osiem kreacji do pokazania. Paula obiecała sobie, że zademonstruje każdą z nich najpiękniej, jak tylko potrafi.

Podobało ci się?

- Och, tak. Paula, jesteś wspaniała!

Pokaz się skończył, widzowie przeszli do sali bankietowej, gdzie podejmowano ich szampanem, kanapkami i przekąskami. Paula, ubrana we własny elegancki kostium z czarnej delikatnej tkaniny, wyłoniła się z garderoby, żeby się przywitać z Sally i Edwardem. Wciąż jeszcze krew pulsowała jej szybciej w żyłach, adrenalina dodawała energii, oczy jej błyszczały, a na policzkach wykwitał całkiem naturalny urzekający rumieniec.

- Zobaczyłaś coś, co miałabyś ochotę kupić?

- Jasne. Wszystko! Ale dobrze wiesz, że mnie na to nie stać. A poza tym przyszedłam tutaj, żeby obejrzeć ciebie.

- To nie na mnie miałaś patrzeć, tylko na kolekcję - powiedziała otwarcie Paula.. Kątem oka obserwowała Edwarda. Tak, okazał się dokładnie tak przystojny, jak się jej wydawało, kiedy patrzyła na niego z wysokości estrady. W dodatku miał samochód! Całkiem niezłe. Co prawda - jak dowiedziała się od Sally - był tylko zwykłym urzędnikiem, pracował w jakimś biurze, więc nie stanowił dla Pauli wymarzonej zdobyczy, ale niezłe się prezentował. I pomyśleć, że taki chłopak umawia się z jej młodszą siostrą. Ten fakt godził w poczucie własnej wartości Pauli. W jednej chwili się zdecydowała. Tak naprawdę nie bardzo jej na nim zależało, ale chciała sobie udowodnić, że Edward, mając wybór, będzie wolał ją od Sally.

Uśmiechnęła się do niego i zauważyła, że jego zainteresowanie wzrosło. To było tak niewiarygodnie łatwe. Równie łatwe, jak odebranie dziecku cukierka. Takie porównanie doskonale opisywało tę sytuację.

- Sally mówiła, że mogłabym się wcisnąć do twojego samochodu - zagaiła, trzepocząc rzęsami.

- Dlaczego „wcisnąć”? - zaczęła Sally zakłopotana, ale nagle urwała.

Edward nie słuchał. Żadne z nich nie zwracało na nią uwagi. Wpatrywał się w jej siostrę z wyrazem twarzy, który wcale się Sally nie podobał. Poczowała, że coś ją ściska w żołądku.

- To duży samochód - dokończyła speszona.
- Czy naprawdę nie sprawię ci kłopotu? - zaszcebiotała Paula.
- Jasne, że nie. I tak miałem odwieźć Sally do domu.
- Powiedział to tak, jakby Sally była paczką, którą musiał dostarczyć

pod wskazany adres.

- Zaraz wrócę. Zabiorę tylko swoje rzeczy... - Paula zniknęła za wahadłowymi drzwiami. Edward długo za nią spoglądał. Wyglądał tak jak wszyscy mężczyźni, którzy znaleźli się w jej pobliżu. Sally zrobiło się słabo.

- Co będziemy robili w sobotę? - zapytała, chwytając Edwarda za ramię. Miała nadzieję, że odpowiedź ukoji jej niepokój.

- Co? Eee... nie wiem. Jakie plany ma twoja siostra? Może wybralibyśmy się gdzieś we trójkę. Mogłoby być przyjemnie.

Zależy komu - pomyślała Sally.

Wróciła Paula, niosąc małą walizeczkę modelki, którą musiała kupić za własne oszczędności i wyposażyć w kosmetyki, buty i zapasowe pary rajstop.

- Właśnie proponowałem Sally, żebyśmy w sobotę wybrali się gdzieś razem - powiedział Edward. - W grupie byłoby nam weselej.

- Jaka szkoda! W tym tygodniu jestem zajęta - odparła Paula, ale jej oczy mówiły: „Nieźle posunięcie, Edwardzie. Spróbuj kiedyś jeszcze raz. Kto wie?”

- Jesteś gotowa? - zapytała Sally. Popołudnie straciło dla niej cały urok. Miała tylko ochotę wrócić do domu i schować głowę pod poduszką.

W sobotę Edward się spóźnił. Sally szalała z niepokoju. Nigdy jeszcze jej nie zawiódł. Może coś mu się stało? Czekwała w nieskończoność. Od czwartku nie opuszczała ją uczucie, że przeżywa jakiś koszmar na jawie. Teraz stało się ono jeszcze silniejsze. Kiedy już zastanawiała się, czy nie wsiąść do najbliższego autobusu do domu, Edward się pojawił. Pobiegnęła

mu na spotkanie, z radości kręciło jej się w głowie, ale on niejasno tłumaczył przyczynę spóźnienia i zachowywał się chłodno i obojętnie. Nie potrafiła przebić tej ściany chłodu. Wiedziała, że coś jest nie tak, ale nie rozumiała co. Nawet się nie zdziwiła, kiedy powiedział, że w przyszłym tygodniu jest bardzo zajęty i nie będą mogli się spotkać. Kiedy w powrotnej drodze do domu zatrzymał samochód, Sally niemal się na niego rzuciła. Dzisiejszego wieczoru chętnie pozwoliłaby mu na wszystko, żeby tylko sprawy między nimi układały się tak jak przedtem. Jednak Edward wcale nie był nią zainteresowany.

- Kiedy się znowu zobaczymy? - zapytała doprowadzona do ostateczności.

- Odezwę się - odparł wymijająco i Sally wreszcie musiała przyznać sama przed sobą, że to już koniec.

Tej nocy zasnęła płacząc. Zastanawiała się, gdzie popełniła błąd. Wydawało jej się, że nie przeżyje, jeśli już nigdy nie zobaczy Edwarda. Doszła do wniosku, że rzucił ją, ponieważ tak niechętnie pozwalała mu się kochać. Wszyscy wiedzą, że tego właśnie chcą chłopcy. Gdyby tylko zachowywała się bardziej ulegle, wykazała więcej zapału. A tak zapewne znużyła go nieustanna szarpanina i znalazł sobie chętniejszą dziewczynę. Mimo tego, co wydarzyło się na pokazie mody, aż do następnego ranka nie podejrzewała, że siostra ma z tym coś wspólnego.

Paula, skubiąc razową bułkę posmarowaną niskokalorycznym dżemem, odezwała się beztrąsko:

- Nie zgadniesz, kto odwiedził mnie wczoraj w domu towarowym. Twój chłopiec, Edward! Wiesz, że chciał się ze mną umówić?

Sally zaczęła drżeć.

- I co odpowiedziałaś? - zapytała.

- Oczywiście wyjaśniłam mu, że nie mogłabym się umówić z twoim chłopakiem - odparła Paula, z przebiegłą miną obserwując siostrę. -

Powiedziałam mu, że ponieważ spotyka się z moją własną siostrą, taka rzecz nawet nie wchodzi w grę. Naturalnie, próbował mnie przekonać.

Twierdził, że między wami nie ma nic poważnego i że ty o tym wiesz. Ale i tak pozostałam nieugięta. - Zmrużyła oczy. - Wciąż z nim chodzisz,

prawda?

- Sama nie wiem - przyznała znękana Sally.
- Co za drań! - zawołała Paula, ale wyglądała na zadowoloną.
- Ty... nie umówiłabyś się z nim, prawda? - zapytała Sally, czując do siebie obrzydzenie za to, że nadal zależy jej na Edwardzie.

- Och, Sally! Za kogo ty mnie uważasz?

Sally nie odpowiedziała. To, co musiałaby powiedzieć, nie spodobałoby się siostrze.

Edward nigdy więcej się nie odezwał. Sally bardzo z tego powodu cierpiała, przekonana, że to ona jest wszystkiemu winna - i oczywiście piorunujące wrażenie, jakie wywiera na mężczyznach Paula. Nie mogła się nadziwić, że ta znajomość skończyła się tak nagle, bez słowa wyjaśnienia ze strony Edwarda. Chociaż miała złamane serce, czuła, że zrobiła z siebie idiotkę i nie stanęła na wysokości zadania. Nigdy jednak nie dowiedziała się, czy Edward zdołał przekonać Paulę, żeby się z nim spotkała, szczególnie teraz, kiedy był już wolny. Nie chciała tego wiedzieć.

Kilka miesięcy później, kiedy wybrała się z koleżankami na sobotnią zabawę do Regency, niemal zderzyła się z nim na schodach. On tylko spojrzał na nią speszony, rzucił szybkie „cześć” i poszedł dalej, jakby byli dalekimi znajomymi. Podczas tego wieczoru widziała go jeszcze kilka razy, jak tańczył z różnymi dziewczynami, mocno je przytulając. Starannie unikał jej wzroku.

To było ich ostatnie spotkanie.

Rozdział dziewiąty

Paula, mam dla ciebie bardzo ważne zadanie - oznajmiła Arlene Frampton-Cox. Wsunęła cieką cygaretkę do szylkretowej fifki i zagłębiła się w fotelu, patrząc na Paulę, która elegancko założywszy nogę na nogę siedziała na krześle dla gości po drugiej stronie biurka.

Z dumą właścicielki Arlene pomyślała, że Paula wygląda teraz jak najbardziej wzięta modelka. Długie włosy w kolorze połyskliwego złota zaczesana gładko do tyłu i związała na karku kokardą, a nałożony ze znanstwem makijaż podkreślał klasycznie piękne rysy twarzy. Świetnie skrojony kostium nosiła z szykiem, jakiego od niej oczekiwano. Dobry kostium był mundurem pracującej modelki. Paula kupowała teraz dwa w każdym sezonie, dobierała do nich doskonale dopasowane dodatki, kapelusze, torebki i buty. Dzisiaj włożyła jasnozielony, z luźnym, prostym żakietem i wąską spódnicą. Miała też na sobie bluzeczkę bez rękawów z materiału z zielono-białą kratką, z którego również wykonano podszewkę i szerokie wyłogi żakietu. Całości dopełniały buty i torebka z czarnej lakierowanej skóry, białe rękawiczki i długa spacerowa parasolka, starannie wsunięta w ozdobiony futerkiem pokrowiec. Arlene pomyślała z satysfakcją, że tak zadbana i od stóp do głów wypielęgowana dziewczyna jest gotowa ruszyć na podbój świata.

Uważała Paulę za coś, co sama stworzyła. Owszem, dostała w ręce odpowiedni materiał na modelkę, ale przecież to właśnie ona dostrzegła wyjątkowość tej dziewczyny. Jej zasługą była przemiana długonogiego źrebaka w smukłego, pięknego konia wyścigowego.

- Co to za zadanie? - Głos Pauli brzmiał teraz spokojnie i dystyngowanie. Jedenaście miesięcy pracy wśród modelek zatarło jej prowincjonalny akcent z Somerset. Zawsze uważnie słuchała wymowy Arlene i pracowała nad tym, żeby jak najlepiej ją imitować. Bardzo podziwiała swoją szefową i wciąż jeszcze trochę się jej bała.

- Dom Mody Mattli rozszerza działalność. Nie będzie się zajmował wyłącznie *haute couture*. Chce opracować tańszą kolekcję i Taylor, jeden z domów towarowych w Bristolu, przygotowuje pokaz, żeby zareklamować tę nową linię *pret-a-porter* - wyjaśniła Arlene. - Poproszono mnie, żebym zapewniła im modelki, i chciałabym, żebyś ty była jedną z nich.

- Mattli! - powtórzyła z zachwytem Paula. Za nazwą Dom Mody Mattli kryło się pracujące razem małżeństwo, które znalazło się wśród dziesięciu najlepszych projektantów na liście Stowarzyszenie Londyńskich Projektantów Mody. Co więcej, *madame* Mattli była Francuzką, i choć trudno uznać ten fakt za jej zasługę, dodawało to splendoru, bo czyż Paryż nie jest światową stolicą mody?

- *Madame* Mattli osobiście przybędzie do Bristolu - ciągnęła Arlene. - Taylor ma wiele gotowych kreacji, ale ona dodatkowo przywiezie z Londynu nowe, specjalnie na ten pokaz. Wyznaczę do tej pracy tylko najlepsze z moich dziewcząt. Nie możemy sobie pozwolić na żadne niedociągnięcia. Jestem pewna, że na ciebie mogę liczyć.

- O, tak - odparła Paula. Z trudem tłumiała podniecenie. - Może pani na mnie liczyć!

Madame Mattli wyglądała niemal dokładnie tak, jak ją sobie Paula wyobrażała - drobna, zadbana kobieta, od której aż promieniowała elegancja i francuski szyk. Ciemne, przyprószone siwizną włosy, ostrzyżone przez Vidala Sassoona, opadały na ramiona. Ubrana była w doskonale skrojony czarny kostium, rozjaśniony tylko wąską białą

wstawką pod szyją.

W przymierzalni u Taylora doglądała swoich dzieł tak troskliwie jak kwoka kurczątki i chociaż Paula była onieśmielona obecnością wielkiej projektantki, od razu ją polubiła. *Madame* Mattli miała pedantyczną naturę, wzbogaconą wielką porcją artystycznego temperamentu, przez co przypominała napiętą sprężynę, która w każdej chwili może wystrzelić, jeśli choćby najmniejszy drobiazg nie spełni jej oczekiwań. Jednak miała również miłą twarz i głębokie, spostrzegawcze spojrzenie.

W połowie dnia, po pierwszych pokazach, kiedy garderobiane wyszły na szybki lunch, a modelki, które nie śmiały nic jeść podczas pracy, pokrzepiały się filizankami czarnej kawy, *madame* Mattli odwołała Paulę na bok.

- Chciałabym z tobą porozmawiać, moja mała.

Żołądek podjechał Pauli do gardła. Czyżby zrobiła coś nie tak?

- Obserwowałam cię, jak pracujesz - zaczęła bezpośrednio projektantka. Jej akcent przypominał Pauli Luise. Może dlatego od razu polubiła *madame* Mattli, choć tak bardzo ją onieśmiała. - Doskonale się nadajesz na modelkę *haute couture*. Jesteś odpowiednio zbudowana.

- Dziękuję - odparła słabo Paula. *Madame* Mattli lekceważąco machnęła ręką.

- Nie dziękuj mi. Nie powiedziałam tego po to, żeby cię wbijać w dumę. Wręcz przeciwnie. Prawdę mówiąc, niedługo zwolni się u mnie miejsce dla modelki. Wydaje mi się, że potrzebuję właśnie kogoś takiego jak ty. Chciałabym, żebyś się przeniosła do Londynu i pracowała u mnie.

Ponad ramieniem *madame* Mattli Paula zauważyła Arlene, która ją obserwowała z lekkim uśmiechem na ustach. Wystarczająco dobrze znała szefową, żeby odgadnąć, o czym teraz myśli. Nie chciała tracić Pauli, jednej ze swoich najlepszych modelek, ale już cieszyła się częścią sławy, która przy tej okazji splotła i na nią. Przecież to ona osobiście wyszkoliła modelkę dla jednego z najlepszych londyńskich domów mody. Już wcześniej wiedziała o wolnej posadzie u Mattli i miała nadzieję, że Paula otrzyma propozycję jej objęcia. Było to potwierdzenie

słuszności wyboru Arlene.

- Więc jak? - zapytała *madame* Mattli.

- Czy zostawi mi pani trochę czasu do namysłu? - śmiało zapytała Paula.

- Trochę. Ale zbyt długo nie zwlekaj. Moja obecna modelka odchodzi pod koniec miesiąca, a jest wiele dziewcząt, które z radością wykorzystają taką szansę.

- Nie wątpię. Ale mimo wszystko nie mogę podjąć takiej decyzji bez zastanowienia - odparła Paula z godnością.

Jednak w środku wszystko w niej aż piszczało z radości. Czas do namysłu? Nie potrzebowała nawet ułamka sekundy. Zdecydowała się, kiedy tylko *madame* Mattli złożyła jej propozycję. Oczywiście, że zostanie stałą modelką Domu Mody Mattli!

Miesiąc później Paula, ubrana w nowy elegancki tweedowy kostium i starannie do niego dobrane buty, wsiadła do pociągu do Londynu, żeby rozpocząć nowe życie. Miała ze sobą walizeczkę z kosmetykami i nowiutką walizkę podróżną z kremowej skóry.

Na początek zamówiła sobie miejsce w schronisku YWCA. Nie tak wyobrażała sobie swoje londyńskie mieszkanie, ale łóżko w schronisku było tanie, a poza tym zatrzymując się w Ywce uspokoiła nieco Grace, która uważała Londyn za jaskinię grzechu, gotową wchłonąć jej niewinną córeczkę.

Ze schroniska było tylko kilka przystanków metrem na South Audley Street, gdzie mieścił się salon sprzedaży *madame* Mattli. Paula przekonywała się, że to jeszcze jeden punkt na korzyść schroniska, które znienawidziła od pierwszego wejrzenia. Dzielita mały, spartański pokój z dwoma dziewczętami, z którymi nie miała nic wspólnego. Obie pochodziły z północy i mówiły z akcentem; Paula rozumiała je tylko z najwyższym trudem. Śniadanie trzeba było robić we wspólnej kuchni, do łazienki czekać w długiej kolejce i wracać do pokoju o ściśle określonej godzinie, po której frontowe drzwi zamykano na cztery spusty. Paula nie miała najmniejszego zamiaru znosić takich ograniczeń przez dłuższy czas. Na razie jednak musiała się dostosować. Przynajmniej znalazła się

w Londynie, centrum brytyjskiej mody.

W Domu Mody Mattli panowała zupełnie inna atmosfera niż w schronisku. Był połączeniem zakładu krawieckiego i szkoły dla dziewcząt. Kiedy Paula pierwszy raz nacisnęła dzwonek i weszła przez frontowe drzwi do eleganckiego starego domu, gdzie mieściły się sale pokazowe i salon sprzedaży - nie było tu osobnego wejścia dla pracowników - miała wrażenie, że wkroczyła do pałacu z marzeń.

Podłogi pokryto puszystymi dywanami. Szerokie schody prowadziły na piętro, do sal pokazowych i labiryntu pracowni krawieckich. Choć załony i obicia mebli były lekko spłowiałe, jakby najlepsze czasy miały już za sobą, to wszystko tutaj wykonano z najlepszych jedwabi i aksamitów, każdy kąt był czysto wymieciony, wszystkie meble codzienne polerowano i nigdzie nie można było dostrzec ani pyłku, nie wspominając już o pajęczynach. Salon sprzedaży, ani duży, ani mały, urządzono w stłumionej, szarofiołkowej tonacji, żeby nie odwracał uwagi od strojów. Stał tu niski stół i cztery lekkie krzesła o szarofiołkowych obiciach i cienkich pozłacanych nogach. Kryształowy żyrandol zawieszono tylko dla efektu - oświetlenie, w którym pokazywane kreacje miały wyglądać jak najkorzystniej, było jasne, ale dyskretne. Wzdłuż ścian ustawiono wieszaki z gotową konfekcją.

W przeciwieństwie do eleganckich sal frontowych, pracownie na zapleczu wrzały pracą niczym ul. Krojczynie, specjalistki od przymiarek, krawcowe i ich pomocniczki pracowały z niewiarygodną szybkością.

Paula miała się wkrótce przekonać, że tak właśnie działa cały świat mody - panował tu ciągły wyścig z czasem, trzeba było na czas przygotować kolekcje albo dokonać poprawek w jakiejś kreacji na indywidualne życzenie klientki, która swoje zamówienie uważała za pilniejsze i ważniejsze od wszystkich pozostałych.

Zadziwiła ją surowe środki ostrożności, jakie podejmowano, żeby projekty na nadchodzący sezon do końca pozostały tajemnicą - okna na tyle budynku wyposażono w grube kraty, a pierwszą rzeczą, którą musiała zrobić po rozpoczęciu pracy, było podpisanie zobowiązania, że nie pisnie ani słówka o nowych kreacjach, jakie tu widziała.

Drugiego dnia pracy *madame* Mattli zaprowadziła Paulę do salonu Vidala Sassoon, żeby ostrzyżono jej włosy według najnowszej mody. W przeciwieństwie do innych projektantek, *madame* nie żądała, żeby wszystkie jej modelki miały ten sam kolor włosów, ale wymagała identycznych fryzur. Kiedy Vidal Sassoon odłożył grzebień i nożyczki, długie, jasne loki Pauli zamieniły się w krótką, geometryczną fryzurkę i dziewczyna nie poznała własnego odbicia w lustrze. Wśród sławnych i bogatych pań, które przyszły do salonu na strzyżenie, farbowanie i czesanie, Paula rozpoznała piosenkarkę Dusty Springfield z dużymi, mocno umalowanymi oczami i wargami pociągniętymi perłową różową szminką. Przez ciało Pauli przebiegł dreszcz podniecenia. Zrozumiała, że wkroczyła do świata, gdzie tylko rzeczy w najlepszym gatunku są wystarczająco dobre. Bardzo jej to odpowiadało.

Zadaniem Pauli było demonstrowanie próbek różnych kolekcji. Przechadzała się wolno przed klientkami, które siedząc na eleganckich krzeselkach o złoconych nogach wpatrywały się krytycznym i doświadczonego okiem w każdy szczegół garderoby. Czasami przychodziły same, niekiedy jednak przyprowadzały ze sobą jakiegoś mężczyznę, który - jak się domyślała Paula - miał zapłacić rachunek. Pojawienie się znanej twarzy zawsze wywoływało podniecenie wśród dziewcząt. Wszystkie marzyły o znalezieniu bogatego męża. A jeśli w dodatku miałby tytuł jak Ali Khan albo byłby gwiazdą filmową jak Omar Shariff, tym lepiej!

Jednak nie wszystkie obowiązki Pauli były tak przyjemne i eleganckie. Przez długie godziny, kiedy nie było klientów, musiała pomagać personelowi w łatwiejszych pracach. Załatwiała sprawunki, parzyła herbatę, pruć szwy i zakładki, czasem nawet przyszywała guziki i haftki, kiedy już nauczono ją, jak należy to prawidłowo robić. Paula nie bardzo radziła sobie z igłą, ale nauczyła się uważać na to, co robi, żeby nie wzbudzić gniewu krawcowych.

Musiła też nauczyć się nowych sztuczek, które każda modelka powinna znać - jak zdejmować płaszcz, zsuwając go ostrożnie z ramion, tak żeby rękawy układały się równo i ani razu nie ukazała się jego

wewnętrzna strona, ponieważ próbki bardzo często nie miały podszewek. Wymagało to całych godzin ćwiczeń; paradowała więc po korytarzu schroniska, a inne dziewczęta patrzyły na nią, jakby podejrzewały, że zwariowała.

Chociaż Paula bardzo lubiła swoją pracę, czuła się samotna. Nawet najbardziej lubiane, sympatyczne dziewczyny szybko przekonywały się, że w londyńskim światku modelek, gdzie panuje ostrzejsza konkurencja niż na prowincji, przyjaźń się nie liczy w walce o najlepsze zlecenia i najbogatszych, najprzystojniejszych mężczyzn. A Paula nigdy nie była lubiana. Koleżanki modelki nie darzyły jej sympatią z powodu wyjątkowej urody i wyniosłego sposobu bycia, więc nigdy nie próbowały się do niej zbliżyć, chyba że z konieczności. Natomiast krojczynie i szwaczki po długim dniu pracy spieszyły wracały do domu, do rodzin i narzeczonych. Większość wolnego czasu Paula spędzała samotnie, oglądając wystawy sklepowe, wysiadując w kinach, gdzie czasami po dwa razy oglądała te same kreskówki, pijąc niezliczone filiżanki espresso w kawiarniach i barach. Jej ulubionym lokalem był barek w domu towarowym Fenwicks przy Bond Street, ponieważ spotykali się tam ludzie związani ze światem mody.

Pewnego dnia, po kilku miesiącach pracy w Domu Mody Mattli, Paula poszła tam w przerwie na lunch na zwyczajową kawę i sałatkę z białym serem, które stanowiły podstawę jej diety, ponieważ musiała zachować szczupłą jak trzcinka figurę. Zniosła tacę do kasy i otworzyła torebkę w poszukiwaniu portmonetki. Nie znalazła jej. Gorączkowo przeszukała torbę i kieszenie, ale bez powodzenia.

- Przepraszam, chyba zgubiłam portmonetkę... - wyjaśniła.

Dziewczyna przy kasie patrzyła na nią chłodnym wzrokiem. Paulę zalał palący rumieniec. Czy ją okradziono? Nie, pamiętała, że płaciła za toaletę w Mattli. Pewnie wtedy portmonetka wypadła jej z torebki. Bez niej nie może teraz zapłacić za kawę i sałatkę.

- Jakież kłopoty? - odezwał się obok niej męski głos. - Nie martw się. Ja to załatwię.

Paula odwróciła się z wdzięcznością i zaskoczona aż jęknęła, kiedy

rozpoznała szczupłą postać w czarnym golfie i obcisłych spodniach.

- Nie wierzę własnym oczom! Gary Oliver! Co ty tu robisz?

- Pewnie to samo, co ty. Zbieram siły, żeby dokończyć pracowity dzień. Pozwól, że zapłacę, a potem razem zjemy lunch i porozmawiamy. Chyba że jesteś tutaj z kimś umówiona.

- Nie, nie jestem. - Paula zabrała tacę i stanęła z boku, żeby poczekać. Z radości na widok znajomej twarzy dostała rumieńców. Gary Oliver był projektantem, młodym i bardzo utalentowanym. Poznała go jeszcze w Bristolu, gdzie przyjechał, żeby nadzorować pokaz urządzony przez znaną firmę odzieżową, Carnega, dla której pracował jako młodszy projektant. Przez cały tydzień ściśle współpracowali, dzielili termosy gorącej kawy i paczki papierosów. Paula polubiła drobnego człowieka, który z samej swojej natury nie stanowił dla niej wyzwania ani zagrożenia. Jej zdaniem, Gary powinien urodzić się jako dziewczyna, ponieważ był od niej o pół głowy niższy, miał jasne, kręcone włosy, błękitne jak u dziecka oczy, ocienione gęstymi, długimi rzęsami, których zazdrościły mu wszystkie kobiety.

- Usiądziemy w rogu? - zaproponował. Poszedł przodem, z gracją kołysząc wąskimi biodrami w opiętych spodniach, żeby nie wpaść na gęsto ustawione stoliki.

Postawili tacę na stole.

- A więc co robisz w Londynie. Oczywiście, oprócz gubienia portmonetek. - Uśmiechnął się do niej łobuzersko.

Opowiedziała mu o najnowszych wydarzeniach.

- A ty? - zapytała. - Nie pracujesz już dla Carnegi? Potrząsnął głową. Na jego policzkach ukazały się dołeczki.

- Nie. Teraz pracuję w Domu Mody Oliver.

- Dom Mody Oliver...? Aha! - Zapiszczała z radości, kiedy zrozumiała, co chciał powiedzieć. - Własna firma? Zacząłeś pracować jako niezależny projektant?

- Tak. Na razie to oczywiście nic wielkiego, ale wiele może się wydarzyć. Odziedziczyłem trochę pieniędzy po śmierci babci i postanowiłem, że zrobię z nimi coś pożytecznego.

- Czy to nie jest trochę ryzykowne? - zapytała Paula. Wzruszył wąskimi ramionami.

- Może. Ale chciałem się usamodzielnic. Projektowanie ubrań dla Carnegi było bardzo przyjemne i nie zaprzeczam, że nieźle zarabiałem, ale wolę mieć swobodę, robić to co chcę, i... umieszczać własne nazwisko na metkach. Nawiązałem wiele kontaktów, ludzie mnie znali, kiedy pracowałem dla Carnegi, i wszyscy bardzo mnie do tego namawiali. Postanowiłem więc się przenieść do Londynu i otworzyć własny salon. Prawdę mówiąc, właśnie oglądałem pewien lokal na South Audley Street, niedaleko od Mattli. Jeśli uda mi się go wynająć, będziemy sąsiadami.

- Jaki ten świat mały! O niczym nie wiedziałam! - powiedziała Paula, zdziwiona, że dotychczas nie dotarły do niej żadne wiadomości. W światku mody najcichsze pogłoski rozchodziły się jak dźwięk tamtamów po dżungli. Rzecz jasna, dotychczas Gary był jedynie projektantem z prowincji. Ale teraz, kiedy przeniósł się do Londynu, jego nowy dom mody będzie wkrótce na ustach wszystkich.

- Nie możemy się stracić z oczu - rzekł Gary kończąc butkę z serem. - Obiecuj, że do mnie zajrzysz, kiedy znajdziesz czas.

- Obiecuję. Pomijając wszystko inne, jestem ci winna kawę.

- Zgadza się. Zdaje się, że nie dam rady cię namówić, żebyś w ramach zwrotu długu zaczęła u mnie pracować? Szukam kilku dobrych modelek. Niestety, nie mógłbym ci płacić tak dobrze jak Mattli, przynajmniej na razie. Może kiedyś...

Paula roześmiała się.

- Wcale tak dużo nie zarabiam! Kiedy zapłacę za pokój w Ywce, kupię konieczne kosmetyki i ciuchy, niewiele mi zostaje. Szukam bogatego męża, żeby mnie od tego wszystkiego uwolnił.

- Nie wątpię, że pewnego dnia go znajdziesz. Tymczasem nie zapominaj o przyjaciółach, dobrze?

- Nie zapomnę - obiecała, zerkając na zegarek. - Muszę już uciekać.

- Ja też. Bardzo się cieszę, że cię spotkałem.

Razem doszli do South Audley Street, klucząc wśród tłumów, które

zapełniały chodniki podczas przerwy na lunch. Stanowili oryginalną parę, ona - wysoka i piękna dziewczyna, on - drobny, chochlikowaty człowieczek, który nie wyglądał na swoje dwadzieścia sześć lat.

Przed wejściem do Domu Mody Mattli Paula przystanęła i szybko serdecznie go uścisnęła.

- Dzięki za lunch, Gary. Życzę ci szczęścia w nowej firmie! -

Podniosła rękę i zacisnęła kciuk.

Odstonił zęby w uśmiechu.

- Szczęście bardzo mi się przyda. Nie zapomnij mnie odwiedzić, dobrze? Będę na ciebie czekał.

- Nie zapomnę. Na razie! - zawołała i zniknęła za wspaniałymi frontowymi drzwiami starego budynku.

Madame Mattli była wściekła. Paula nigdy jeszcze nie widziała jej tak rozżłoszczonej.

- Słyszałam, że cię widziano, jak wchodziłaś do Domu Mody Oliver - powiedziała. Jej nienagannie uszmkowane wargi zaciskały się z gniewu w cienką linię.

Stojący obok niej *monsieur* Mattli, niewysoki mężczyzna przypominający z wyglądu Greka, starszy od żony o jakieś dziesięć lat, również trząsł się z oburzenia.

- I to nie raz - dodał. To, że wtrącił się do rozmowy, było tak niezwykle, że Paula spojrzała na niego zaskoczona. Choć często pojawiał się u boku żony, to *madame* Mattli prowadziła negocjacje, wydawała polecenia i zabawiła rozmową klientki, więc Paula nie była pewna, jaka jest jego rola w interesach.

- Gary Oliver to mój przyjaciel - odparła wojowniczo. Szefowa prychnęła ze złością.

- Nie płacę ci za to, żebyś przyjaźniła się z właścicielami konkurencyjnych firm.

- On nie jest konkurencją... - Paula urwała. Wydawało się jej niedorzeczne, że taki żółtodziób jak Gary może stanowić zagrożenie dla słynnej firmy. Jednak w świecie mody, gdzie toczy się ostra walka o sukces, szybko pnący się w górę projektant budzi strach, a nazwisko

Gary'ego już stawało się znane.

- Wiesz, jak wielką wagę przykładamy do całkowitej lojalności naszych pracowników - ciągnęła *madame* Mattli. - Nasze nowe projekty są ściśle tajne. Och, Paula, jak mogłaś!

- Przecież nigdy nie pisnęłabym słówka o tym, co tu widzę! - zaprotestowała Paula.

Madame znowu prychnęła.

- Jak mogę być tego pewna? Nawet jeśli nie zrobisz tego celowo, zawsze istnieje ryzyko, że coś ci się niechcący wyrwie.

Najniebezpieczniejsze są rozmowy w łóżku.

- Rozmowy w łóżku! - powtórzyła oszołomiona Paula. Chociaż Gary był jej bliskim przyjacielem, nigdy nie wspominała mu nawet słowem o nowych kolekcjach, przygotowywanych przez *madame* Mattli. Sam pomysł, że mogliby prowadzić „rozmowy w łóżku” wydał jej się absurdalny. Między nimi nigdy do czegoś takiego nie doszło i nie dojdzie. Gary nie interesował się kobietami. Z pewnością dostrzegał to każdy, kto choć raz go spotkał.

- Musisz przestać go odwiedzać - oznajmiła stanowczo *madame*. - Albo mi to obiecasz, albo niestety nie będziesz mogła dłużej u mnie pracować. Przrzeknij mi natychmiast, że już nigdy nie spotkasz się z Garym Oliverem.

Paula zaczęła drzeć na całym ciele. Praca w Domu Mody Mattli była jej całym życiem. Jednak pozwolić tak sobą dyrygować, zwłaszcza że nie zrobiła nic złego, oznaczało przyznanie się do winy. Nie mogła też znieść myśli, że znów miałaby zostać skazana na całkowitą samotność w wielkim mieście. Jej znajomość z Garym była dla niej czymś zupełnie nowym. Swobodna przyjaźń z mężczyzną, który niczego od niej nie oczekuje była czymś, czego dotychczas nie zaznała. Okazało się, że ta przyjaźń znaczy dla niej więcej, niż podejrzewała.

- Nigdy nie zawiodłam pani zaufania i nigdy tego nie zrobię. Ale nie może pani ode mnie oczekiwać, że wyrzeknę się przyjaciół - oświadczyła Paula.

- Obawiam się, że w tym wypadku mogę.

- Nie obiecuję pani, że nigdy nie spotkam się z Garym.
- Dobrze. - W oczach *madame* widać było cień smutku, ale jej usta nadal układały się w zdecydowaną linię. - Przykro mi, że muszę cię utracić. Jesteś dobrą modelką i pasowałaś do mojego stylu. Ale nie zostawiłaś mi wyboru. Już nie masz tu po co wracać. Natychmiast skontaktuję się z agencją i poproszę, żeby kogoś przystąpił na twoje miejsce. I ostrzegam cię, że jeśli któraś z moich kreacji albo cokolwiek, co by ją przypominało, pojawi się wśród strojów Olivera, zaskarżę go do sądu i zażądaję takiego odszkodowania, że twój mały przyjaciel pójdzie z torbami. Czy wyraziłam się jasno?

Paula wciąż jeszcze bała się *madame* Mattli, a w dodatku była bliska łez. Jednak postanowiła, że nie da nic po sobie poznać.

- Tak, proszę pani. Przykro mi, że muszę odejść, ale zapewniam panią, że o nic takiego nie musi się pani martwić.

Salony pokazowe w Domu Mody Oliver były mniejsze i skromniejsze niż u Mattli, ale wszystko tu pachniało nowością. Załony były jasnoszare, a meblowanie stanowiły ultranowoczesne czarne sprzęty i ozdoby ze lśniącej nierdzewnej stali.

Kiedy Paula się tu zjawiała, Gary był w pracowni; upinał właśnie na kształt sarongu długi zwój różowego szyfonu na jednej z modelek. W ustach trzymał mnóstwo szpilek.

- Co tutaj robisz? - zapytał nie poruszając wargami.

Paula przysiadła na skraju stołu do krojenia. Starła się wyglądać bez troski.

- Odeszłam od Mattli - oznajmiła.

Gary przez chwilę na nią spoglądał. Szpilki wyleciały mu z ust i wbiły się w czarny sweter. Potem zdjął z modelki szyfon i upuścił go na podłogę. Dziewczyna stała bez ruchu, czekając na instrukcje. Miała na sobie tylko stanik i pończochy.

- Na razie skończymy, Klaudio - powiedział Gary. - Może zaparzyłabyś filiżankę herbaty dla mnie i dla Pauli?

Dziewczyna włożyła szlafrok i ruszyła do drzwi. Po drodze spojrzała przez ramię na Paulę, która bez trudu spostrzegła w jej oczach nietajoną

wrogość. Dlaczego wszystkie kobiety tak jej nienawidzą, nawet jeśli wcale jej nie znają? Wzruszyła ramionami. Cóż, powinna się już przyzwyczaić...

Gary wziął ją za ramię i zaprowadził na niską kanapę.

- O co tutaj chodzi, skarbie. Naprawdę odeszłaś od Mattli?

- Naprawdę. - Opowiedziała mu, co się wydarzyło, i Gary spurpurowiał.

- Chryste Panie! To znaczy, że jej zdaniem ty dla mnie szpiegowałeś! Jeśli zaskarży mnie do sądu, będę zrujnowany. A nawet jeśli tego nie zrobi, to ktoś tak potężny jak ona z łatwością może bardzo mi zaszkodzić.

- Ależ Gary, przecież ja dla ciebie nie szpiegowałam! Nie zdradziłam ani jednego szczegółu z kolekcji Mattli.

- My dwoje to wiemy. Ale co będzie, jeśli zaprojektowałem coś podobnego? To się zdarza co sezon, przez zupełny przypadek. Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że takie zbiegi okoliczności są możliwe. Zawsze wtedy padają oskarżenia o piracką działalność i plagiaty, chociaż na nic nie ma konkretnych dowodów. A jeśli ona potrafi dowieść, że ty i ja...

- Bzdura! Nie zrobiliśmy nic złego.

Zdenerwowany Gary przeczesał dłonią czuprynę jasnych włosów,

- Musisz mi opisać całą kolekcję Mattli. Każdy szczegół.

- Gary! - zaprotestowała zgorziona Paula. - Jesteś prawdziwym artystą! Nie możesz podkradać jej pomysłów!

- Nie, wariatko, nic nie chcę podkradać. Wręcz przeciwnie. Chcę przejrzeć swoje projekty i upewnić się, że ani jeden kołnierz, ani jeden najdrobniejszy szczegół mankietu nie przypomina jej kreacji, żeby nie mogła mnie oskarżyć o plagiat. O, Chryste! Co będzie, jeśli się okaże, że któraś z moich najważniejszych kreacji jest podobna do jej projektów? Na przykład ta piękna suknia wieczorowa z wiśniowej koronki. Może dojść do tego, że będę musiał od nowa opracować całą kolekcję!

- Na litość boską, przestań panikować! - powiedziała Paula, chociaż sama zaczynała wpadać w popłoch. - Jestem pewna, że nie masz się o co

martwić.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - odparł przerażonym głosem. Wróciła modelka, niosąc filiżanki z herbatą. Wciąż wrogo spoglądała na Paulę spod gęstwiny sztucznych rzęs. Najwyraźniej obwiniła Paulę za tak nagłe przerwanie popołudniowej pracy i dramatyczną zmianę nastroju szefa.

- Ta dziewczyna jest okropna - stwierdziła Paula, kiedy znowu zostali sami. - Jestem pewna, że twoje kreacje nie wyglądają na niej tak pięknie, jak powinny. Ma taką naburmuszoną twarz, że się dziwię, jak możesz z nią pracować.

Gary wyglądał na przygnębionego.

- To najlepsza modelka, na jaką mogłem sobie pozwolić...

- Bzdura! - stwierdziła energicznie Paula. - Poza tym, teraz masz mnie, więc możesz się jej pozbyć.

- Co chcesz powiedzieć? - zapytał ze zmartwioną miną małego chłopca.

- Przecież ci mówiłam, że odeszłam od Mattli. Będę pracowała dla ciebie.

- Och, Paula! - Gary miał jeszcze bardziej zafrasowaną minę. - Wiesz, że dałbym sobie uciąć rękę, żeby mieć taką wspaniałą modelkę jak ty. Ale już powiedziałem, że mnie nie stać, żeby ci płacić tak, jak na to zasługujesz. Tak będzie jeszcze długo. Upłynie sporo czasu, zanim wyrobię sobie markę, więc nie wiem jak...

Paula uśmiechnęła się. Po raz pierwszy doświadczyła, jak smakuje władza. Podobnie się czuła, kiedy mężczyźni na nią patrzyli i pragnęli jej, ale tym razem wiedziała, że nie o to chodzi. Między nią a Garym nie było seksualnego pożądania i nigdy nie mogło być. Mimo to ogarnęło ją podniecenie. Czuła się silna, prawie wszechmocna i trochę szumiało jej w głowie, jakby wypita za dużo wina. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Zapłacisz mi, ile będziesz mógł - powiedziała. - Kiedyś dojdiesz na szczyt, jestem tego pewna, i wtedy zażądaj zwrotu długu.

Tymczasem... pomogę ci. Czy nie po to są przyjaciele?

Spojrzał na nią niemal z uwielbieniem w oczach i Paulę ogarnęło

jeszcze większe poczucie władzy. Była pewna, że Gary zostanie kiedyś sławnym dyktatorem mody. O tak, jak to będzie miło wiedzieć, że słynny projektant jest ci winien dozogoną wdzięczność.

- Zobaczysz, że razem dokonamy wspaniałych rzeczy - oświadczyła z zadowoloną miną.

- Jeśli przedtem nie wylądujemy w sądzie...

- Nic takiego się nie stanie. - Poczucie władzy dodało jej pewności siebie. - Więc jak, pozbędziesz się tej dziewczyny? Najlepiej, jeśli zrobisz to od razu. Kuj żelazo póki gorące.

Na jego łagodnej twarzy pojawił się wyraz cierpienia. Paula westchnęła i potrząsnęła głową.

- Jeśli nie masz ochoty tego zrobić, to chyba muszę cię wyręczyć - powiedziała z fałszywą niechęcią.

- Naprawdę możesz? - zapytał z wdzięcznością i Paula niemal roześmiała się w głos. Z przyjemnością oznajmi tej zarozumiałej krowie, że już tutaj nie pracuje!

W tym momencie podjęła decyzję. Od dzisiaj Gary będzie prowadził firmę pod jej dyktando. A ona ma zamiar rozkoszować się każdą chwilą!

Rozdział dziesiąty

Gary, najwyższy czas, żebyś zatrudnił sekretarkę - powiedziała Paula spoglądając na stos nie załatwionej korespondencji, wysypującej się z drucianego segregatora na czarny lakierowany blat stylowego biurka. - Spójrz tylko na ten bałagan!

Gary się skrzywił.

- Wiem, wiem. Ale nie ma tu nic ważnego. Wszystkie ważne papiery są tutaj. - Wskazał na inny druczany segregator i na długi metalowy szpikulec na podstawce. - I jakoś z pomocą Bobby'ego udaje mi się prawidłowo wypełniać księgi rachunkowe. - Bobby był przyjacielem Gary'ego, a może nawet kimś bliższym, jak podejrzewała Paula. Przychodził do firmy na kilka godzin tygodniowo, pomagał śledzić stan konta firmy, płacić rachunki i wypełniać formularze finansowe.

- Nie możesz liczyć na to, że Bobby zawsze będzie ci pomagał - upomniała go Paula. - Na początku świetnie zdawało to egzamin, ale firma za bardzo się rozrosła, żeby sobie pozwalać na takie amatorskie podejście do księgowości. Potrzeba ci fachowej pomocy, i to szybko, zanim zbankrutujesz, pójdziesz do więzienia za uchylanie się od płacenia podatków albo utoniesz w morzu papierów.

- Pomyślę o tym - obiecał Gary, pochylając się nad szkicownikiem,

żeby nakreślić jakiś nowy projekt, który właśnie wpadł mu do głowy.

- Nie ma o czym myśleć, trzeba działać - powiedziała. Stała za jego plecami, żeby spojrzeć na szkic krótkiej wieczorowej sukni z wyszywanym paciorkami stanikiem i falbaniastą spódnicą z koronkowej siatki. - Prawdę mówiąc, znam osobę, która świetnie by się do tej pracy nadawała.

Gary nakreślił kilka ostatnich linii na projekcie i z łobuzerskim uśmiechem spojrzał na Paulę.

- Mogłem się spodziewać, że chodzi tu o coś więcej niż tylko o wykład na temat stanu mojego biurka. No, dobrze, kto to jest?

- Moja siostra, Sally. Skończyła właśnie roczny kurs w szkole dla sekretarek i bardzo chce się przenieść do Londynu. Ma wszystkie konieczne kwalifikacje. Umie stenografować, prowadzić księgowość, zna się na ekonomii, a zajęcia z pisania na maszynie ukończyła z wyróżnieniem. Jest również bardzo praktyczna. W mgnieniu oka uporządkowałaby ci biuro.

- Praktyczna? Twoja siostra?

- Nie jesteśmy do siebie podobne - przyznała Paula.

- Zdaje się, że nie - zakpił Gary. - Księgowość, pisanie na maszynie...

Nie macie chyba ze sobą wiele wspólnego, skarbie?

- No więc jak? - nalegała Paula. - Co powiesz? Musisz szybko się zdecydować, bo mama zmusi ją, żeby zaczęła pracować w admiralicji czy innej podobnej instytucji. Mam ją sprowadzić, żebyś mógł ją poznać?

- Dlaczego nie - odparł Gary łaskawie. Tego ranka dyrektor banku zawiadomił go, że firmie przyznano nowy kredyt na rozwój nowej linii produkcji gotowych strojów. Wydanie części tych pieniędzy na profesjonalną sekretarkę z pewnością będzie dobrą inwestycją. - Dajmy sobie spokój z formalnościami, skarbie. Jeśli jest taka dobra, jak mówisz, zatrudnij ją. Nie chcę marnować czasu na niepotrzebne rozmowy wstępne. - Wstał i zdjął z półki beke beżowego szafonu i koronki w kolorze kawy z mlekiem. - Teraz bądź aniołkiem i chodź tutaj. Upnę to na tobie. Chciałbym zobaczyć, czy rzeczywiście wygląda tak dobrze, jak sobie wyobraziłem...

Z uśmiechem, który zawsze wykwitał na jej twarzy, ilekroć postawiła na swoim, Paula spełniła jego życzenie.

Od pierwszej chwili, kiedy stanęła pod szerniącą od dymu szklaną kopułą dworca Paddington, Sally pokochała Londyn.

To pewnie dlatego, że od dawna chciałam tu zamieszkać - myślała pochylając głowę, żeby nie zderzyć się ze straceńczo pikującym gołębiem. Ojciec i matka próbowali ją do tego zniechęcić. I tak już byli niezadowoleni, że miasto, które uważali za jaskinię występku, wchłonęło jedną ich córkę. Utrata drugiej była nie do pomyślenia. Jednak Sally nie uległa. Londyn oznaczał dla niej lepsze, światowe życie. Chciała podążać tam za Paulą, żeby trochę splendoru, który otaczał siostrę, spłynęło również na nią. Z podobnej przyczyny, chcąc poczuć się jak elegancka Francuzka, kilka lat temu pożyczyła od Luise sukienkę na tańce w klubie młodzieżowym.

Marzyła o tym, zmagając się z niezrozumiałymi zygzakami stenografii Pitmana i łamiąc paznokcie na metalowych, okrągłych klawiszach starej maszyny do pisania Imperial, którą sprytnie ukryła pod blatem szkolnej ławki. Marzenia dodawały jej siłę. Z uporem pokonywała tajemnicze znaczki i odporne klawisze. Teraz okazało się, że warto było walczyć. Stała na peronie, podniecona i zdenerwowana. Czuła się tak, jakby miała za chwilę skoczyć z wysokiej skały w nowy i nieznaną świat,

Paula wyszła po nią na dworzec i zawiozła taksówką na South Kensington, gdzie teraz mieszkała. Sally miała dzielić z nią pokój. Choć zdawała sobie sprawę, że podróż taksówką to typowa dla Pauli rozrzutność, była trochę rozczarowana. Bardzo chciała przejechać się metrem. Upomniata się jednak, że będzie jeszcze po temu niejedna okazja. Być może Paulę stać na taksówkę, ale ona z pewnością nie będzie mogła sobie na nie pozwolić.

Mieszkanie było małe - praktycznie jeden pokój. Umeblowanie stanowiły zniszczona rozkładana kanapa, stół, krzesła i stara maszynka do gotowania. Paula mogła korzystać z kuchni i łazienki, do których klucz trzeba było odbierać od właściciela domu mieszkającego w suterenie. Mieszkanie rozczarowało Sally. Nie pasowało do jej

wyobrażeń o światowym życiu. Nie pasowało też do nich nie ścielone od rana łóżko, pobrudzona zastygłym tłuszczem i plamami z przypalonego mleka kuchenka ani ciężkie, stare i wypłowiałe meble.

Dziwne, że Paula, zawsze tak nieskazitelnie ubrana, nie miała nic przeciwko temu, a nawet w ogóle zdawała się nie zauważać panującego wokół bałaganu i brzydoty. Powiedziała Sally, że bardzo się cieszyła ze znalezienia wolnego pokoju właśnie tutaj. Było to dla niej bardzo wygodne, ponieważ Gary wynajmował większe mieszkanie piętro niżej i większość czasu spędzała właśnie tam.

Kiedy tylko przybyły na miejsce, sprowadziła siostrę na dół, żeby przedstawić ją przyjacielowi. Razem usiedli do kolacji złożonej ze smażonej ryby i frytek, które Gary kupił na wynos w pobliskim barze. Paula zjadła tylko kilka listków sałaty i trochę białego sera.

- Czy on naprawdę jest... inny? - zapytała Sally siostrę, kiedy znów znalazły się na górze. Nigdy przedtem nie spotkała homoseksualisty.

- Tak.

- I nigdy ci się nie narzuca ani nie próbuje zaciągnąć do łóżka?

- Jasne, że nie.

- Sypia z chłopakami?

- Tak przypuszczam. Szczerze mówiąc, nigdy o nim w ten sposób nie myślę. Jest po prostu moim przyjacielem. Co robi w łóżku, to nie moja sprawa ani twoja.

Sally nic nie odpowiedziała, ale aż wzdrygała się z niesmakiem, kiedy wyobrażała sobie, że ten schludny, szczupły, zniewieściały Gary chodzi do łóżka z chłopakiem i robi tam... sama nie wiedziała co. Wkrótce jednak zaczęła rozmyślać o pilniejszych sprawach, na przykład gdzie umieścić swoje rzeczy. Co prawda Paula opróżniła dla niej parę szuflad i dała trochę miejsca na ukrytym za zastoną drążku, gdzie wieszała swoje kostiumy i suknie, ale nie było tam wystarczająco dużo miejsca nawet dla skromnej garderoby Sally.

- Jestem pewna, że Gary pozwoli ci trzymać część ubrań w swoim mieszkaniu - oświadczyła Paula. - Ma mnóstwo wolnego miejsca.

Poprosiła o to przyjaciela, który oczywiście jak zwykle uległ jej

namowom. Sally mogła powiesić płaszcze i zakłady w jego szafie.

Taka sytuacja niezbyt jej odpowiadała. Chociaż lubiła Gary'ego, wciąż czuła się nieswojo w jego obecności. Miło się dla niego pracowało. Był wdzięczny, że uwolniła go od nawału papierkowej roboty, więc w wielu sprawach pozostawiał jej wolną rękę i zwykle odnosił się do niej życzliwie, chyba że zdenerwowały go wymagania któregoś z klientów. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Paulę i jej szefa łączy tak bliska przyjaźń, w pewnym sensie o wiele bliższa niż ta, która łączyła obie siostry. Przy nich Sally często miała wrażenie, że jest intruzem. Poza tym nadal fascynował ją i nieco degustował fakt, że Gary jest „inny”.

Często myślała sobie, że pewnie jest staroświecka. Przecież Paula w jego obecności zachowuje się swobodnie. Nigdy jeszcze jej takiej nie widziała, czy to w towarzystwie kobiety, czy mężczyzny. Dlaczego ona nie może reagować tak samo? Mimo wszystko nie potrafiła zmienić nastawienia.

Z początku Pauli podobało się, że może oprowadzać siostrę po mieście. Pokazywała jej atrakcje turystyczne i swoje ulubione miejsca. Czuła się przy tym jak światowa dama. Jednak po pewnym czasie doszła do wniosku, że to wcale nie jest takie zabawne, a w dodatku wiele kosztowniejsze niż spędzanie czasu w towarzystwie jednego z licznych mężczyzn, którzy zabiegali o jej względy. Mijał szósty tydzień pobytu Sally w Londynie, kiedy postanowiła to zmienić.

- Co byś powiedziała na wyprawę do nocnego klubu? Zjedlibyśmy kolację, potańczyli - zagadnęła siostrę pewnego wieczoru. - Rozmawiałam o tym z Grahamem. Powiedział, że przyprowadzi znajomego, żebyś miała towarzystwo. - Graham był o dziesięć lat starszy od Pauli i handlował używanymi samochodami w Clapham. Paula mierzyła o wiele wyżej, ale akceptowała go, ponieważ był przystojny, szczodry, lubił żyć na wysokiej stopie i z racji prowadzonych interesów przyjeżdżał na randki coraz to nowym, eleganckim samochodem.

- Nie mam w co się ubrać - odparła Sally słabym głosem.

Ogarnęło ją zdenerwowanie, chociaż od dawna bardzo chciała zobaczyć, jak wygląda nocne życie Londynu.

- Bzdura! Jak możesz tak mówić. Przecież jesteś prawą ręką projektanta mody!

Gary dał się przekonać i zgodził się, żeby Sally wzięła sobie jedną z próbek z kolekcji na bieżący sezon. Była to prosta suknia z jedwabiu w morskim kolorze, która bardzo podobała się Sally, chociaż akurat ten model sprzedawał się źle. Na Sally, tęszej o jeden rozmiar od modelek, suknia opinała się kusząco i ujawniała wszystkie krągłości, chociaż została poszerzona, na ile tylko pozwalały zakładki przy szwach. Trzeba ją też było skrócić o kilka centymetrów.

- Dlaczego jestem taka niska i gruba? - jęczała Sally.

- Wcale nie jesteś niska ani gruba - pocieszył ją Gary. - Tylko wszystkie modelki to takie tyki grochowe.

Powiedział to tak szczerze, jakby rzeczywiście wolał pełniejszą figurę, jeśli w grę nie wchodzi względy profesjonalne. Sally poczuła do niego żywszą sympatię. Miło było słyszeć komplementy z ust mężczyzny, który z całą pewnością nie mówił ich po to, żeby zaciągnąć dziewczynę do łóżka!

W sobotnie popołudnie Sally znów ogarnęło zwątpienie. Nigdy nie lubiła randek w ciemno. Ktoś zawsze był na nich rozczarowany. Poza tym, jak można swobodnie rozmawiać z mężczyzną wiedząc, że twoje towarzystwo zostało mu narzucone i że zabawia cię tylko z obowiązku? Jednak było już za późno, żeby się wycofać.

Kiedy pojawili się partnerzy na wieczór, Sally spotkała miłą niespodzianka. Przeznaczony dla niej Tony okazał się wysokim, szczupłym mężczyzną, o gęstych, ciemnych wijących się włosach. W smokingu i koszuli z żabotem prezentował się wyjątkowo przystojnie. Zerknęła na niego kątem oka, kiedy siedzieli obok siebie na tylnym siedzeniu niebieskiego Jaguara, którym przyjechał Graham. Całkiem niezły! Co do Tony'ego, to jeśli nawet był rozczarowany, wcale nie dał tego po sobie poznać. Prawdę mówiąc, z uznaniem spoglądał na krągłe kształty Sally, doskonale odcinające się pod obcisłym jedwabiem, i jeszcze zanim wyjechali poza Londyn, sięgnął po jej dłoń i położył sobie na nodze.

Chociaż bardzo pochlebiało jej zainteresowanie Tony'ego, cieszyła się, że nie jest z nim sama. Był o wiele starszy niż chłopcy, z którymi dotychczas się umawiała.

Położony za miastem klub był dla Sally zupełnie nowym doświadczeniem. Od stolika widziała oświetloną reflektorami rzekę. Gdzieś za nimi do tańca grała orkiestra, a parkiet był niemal tak duży, jak cała sala balowa w Regency. Wszyscy mieli na sobie stroje wieczorowe i tym razem Sally nie zazdrościła siostrze, ponieważ Tony zachowywał się wyjątkowo szarmancko i dbał, żeby się dobrze bawiła. Pili szampana i zaczynało jej trochę szumieć w głowie. Podczas tańca Tony mocno ją przytulał. Oparła głowę na jego ramieniu, a zapach wody po goleniu i lekka woń cygara jeszcze bardziej ją oszołomiły.

Kiedy nadeszła pora odjazdu, Tony pomógł Sally założyć etolę i otoczył ją ramieniem. Dreptała obok niego, postukując wysokimi obcasami. Od świeżego powietrza dostawała zawrotów głowy. Na tylnym siedzeniu Jaguara zaczął ją całować, ale ona wyswobodziła się z uścisku i spojrzała z zakłopotaniem na Paulę i Grahama. Jednak siostra przytuliła się ciasno do swojego towarzysza, który szybko i wprawnie pokonywał zakręty. Przechył samochodu rzucił Sally z powrotem w ramiona Tony'ego. Znów ją pocałował, tym razem inaczej. Nikt jeszcze nie całował jej tak mocno. Czuła, że jego wargi usiłują ją wchłonąć, co było lekko podniecające, ale równocześnie wprawiało w przerażenie. Kiedy wsunął jej język do ust, z trudem mogła oddychać. Ręce Tony'ego zawędrowały pod jedwabną suknię i rytmicznie, pewnie ugniatały piersi. Nie wiedziała, jak go powstrzymać, żeby nie przyciągnąć uwagi Pauli. Czuła się złapana w pułapkę i bała się teraz nie na żarty. Zastanawiała się, czego ten mężczyzna od niej oczekuje. Wieczór stracił cały urok i powoli zmieniał się w jakieś ponure widowisko.

Kiedy znaleźli się z powrotem na Kensington, odetchnęła z ulgą, ale nie na długo, ponieważ dotarło do niej, że reszta towarzystwa nie uznała tego wieczoru za skończony.

- Może kawy? - zaproponowała Paula, kusząco machając kluczami przed nosem Grahama. Wszyscy wysiedli z samochodu i wspięli się po

schodach na piętro.

Paula zniknęła w małej kuchence, Graham podążył za nią, a Sally została sama z Tonym. Bez żadnego wstępu zaciągnął ją na kanapę i wsunął rękę pod wąską suknię. Sally się opierała. Chyba bardziej bała się tego, że podrze jej kreację niż jego natarczywych palców.

- Co jest, mała? O co ci chodzi? - wyszeptał.
- Oni tu za chwilę wrócą! - odparła również szeptem. Roześmiał się.
- Nie wrócą. Mamy co najmniej pół godziny.
- Pomogę siostrze zaparzyć kawę. - Wyswobodziła się i wyszła na

korytarz. Drzwi kuchni były niedomknięte. Pchnęła je lekko i zamarła w bezruchu. Paula opierała się o zlew. Spódnicę miała podwiniętą aż na biodra i rozłożone nogi. Graham pochylał się nad nią, zatopiwszy twarz w jej drobnych piersiach. Chociaż stał tyłem do Sally, wiedziała, że ma rozpięte spodnie.

Jęknęła cicho i wycofała się z kuchni. Rumieniec zalał jej policzki. Choć to niedorzeczne, była wstrząśnięta. Przecież wiedziała, że Paula... szczerze obdarza wszystkich swoimi wdziękami, wiedziała to od lat. Ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć ją w kuchni, w takiej pozycji, bezwstydnie robiącą to na kuchennym zlewie...

Tony wyszedł za nią na korytarz. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że uśmiecha się drwiąco. Już nie wydawał się jej przystojny, a jedynie obleśny. Wpadła w popłoch. Widziała tylko jeden sposób ucieczki.

- Muszę na chwilę zejść na dół - wyrzuciła.

Biegając po schodach zauważyła smugę światła wokół drzwi Gary'ego i nagle zatęskniła za jego niezobowiązującym towarzystwem. Zdała sobie sprawę, że właśnie to Paula w nim cenila. Przy nim można było czuć się swobodnie. Nigdy nie zachowałby się tak jak Tony, nawet by mu to nie przyszło do głowy.

Zapukała i poruszyła klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Gary? - zawołała. - Jesteś tam?

Odgłosy wewnątrz mieszkania potwierdziły jej nadzieje, jednak upłynęła dłuższa chwila, zanim drzwi, zamknięte na łańcuch, uchyliły się na kilka centymetrów i Gary wyjrzał przez szparę.

Zauważyła, że miał na sobie szlafrok i wcale nie ucieszył się na jej widok.

- Gary, czy mogę wejść? - zapytała.

Zaczerwienił się. Teraz nie tylko nie było na jego twarzy entuzjazmu, ale malowało się zakłopotanie i fałsz.

- To nie jest odpowiednia... - zaczął.

- Gary! Z kim rozmawiasz? - W głębi pokoju rozległ się zirytowany męski głos.

- To Sally, z góry - wyjaśnił Gary.

- Na litość boską, czy nie możesz się jej jakoś pozbyć? Gary zarumienił się jeszcze bardziej.

- Przepraszam - powiedział bezradnie. - Nie jestem sam i...

- Nic nie szkodzi - wymamrotała Sally. - To ja przepraszam, że przeszkadzam.

Odwróciła się zażenowana. Oczywiście znała prawdę o Garym, ale mimo to była wstrząśnięta, kiedy praktycznie rzecz biorąc złapała go na gorącym uczynku, tak jak przed chwilą Paulę i Grahama.

Weszła do małej ubikacji, zamknęła drzwi i usiadła na rozklekotanej desce. Miała mdłości i zaczęła się nad sobą użalać. Co się ze wszystkimi dzieje? Czy ludzie mają tylko jedno w głowie - seks? Wszyscy oprócz niej. Może to nie reszta świata jest dziwna. Może to ona jest odmieńcem? Co się z nią, do diabła, dzieje? Pewnie jest oziębła. Nigdy nie będzie normalna. Ale jeśli takie zachowanie uchodzi za normalne, to ona wcale nie chce taka być. To okropne. Miała zamęt w myślach.

Po jakimś czasie usłyszała kroki i stukanie do drzwi.

- Sally, jesteś tam? Nic ci się nie stało? - zawołała Paula niskim, zaniepokojonym głosem.

- Nic mi nie jest - odparła.

- W takim razie wychodź stamtąd. Zadygotała.

- Nie chcę.

- Nie bądź głupia! Co się dzieje? Otwieraj! Z niechęcią posłuchała siostry.

- Co ty tu robisz? - zapytała rozwścieczona Paula. - Wszyscy

czekają, aż zwolnisz toaletę. Zachowujesz się jak dziecko! - Włosy miała potargane, szminkę rozmazaną. Już nie wyglądała elegancko. Raczej jak jakaś zużyta rzecz - pomyślała smutno Sally.

- Gdzie jest Tony? - zapytała.

- Poszedł do domu. Powiedział, że popsutaś mu cały wieczór i że jesteś zwykłą podpuszczalską. Sally, jak mogłaś?

- To raczej ja powinnam cię o to zapytać! - rzuciła Sally przez szczękające zęby. - Widziałam cię w kuchni. Budzisz we mnie wstręt.

- Przynajmniej nie jestem głupim dzieciuchem. Na litość boską, wyjdźże wreszcie z tej ubikacji. Nikt cię nie zgwałci.

Nie mając innego wyboru, Sally posłuchała siostry. Jednak w połowie drogi na górę poczuła w ustach smak przetrawionego szampana, gorzki jak żółć, i biegiem wpadła do kuchni, gdzie gwałtownie zwymiotowała.

Rozdział jedenasty

Pewnego jesiennego poranka Gary wypadł jak bomba ze swojej pracowni. Był bardzo podniecony. Planowano właśnie doroczny prywatny pokaz, organizowany przez Stowarzyszenie Londyńskich Projektantów Mody, charytatywną imprezę dla zaproszonej publiczności, wśród której zwykle znajdowali się członkowie rodziny królewskiej. W tym roku Dom Mody 01iver po raz pierwszy miał wystąpić tam ze swoją kolekcją.

- Jak ci się to podoba, skarbie? - zapytał podekscytowany, wirując z Paulą po pokoju i w dzikim tańcu przewracając stalowe krzeselka. - Udało się! Tylko pomyśl! Wystąpisz przed Królową Matką!

- Gdybym została u Mattli, również wystąpiłabym przed Królową Matką - zauważyła Paula. - I to już w zeszłym roku. Dom Mody Mattli zawsze bierze udział w tych pokazach.

- Przestań się popisywać, skarbie. Nie pozwolę, żebyś zepsuła mi całą radość. Udało mi się i teraz mam zamiar usunąć wszystkich w cień!

- Tylko żartowałam. - Pocałowała go. - Cieszę się razem z tobą. Kiedy to się odbędzie?

- Na początku grudnia, w Crush Bar, w gmachu Covent Garden.

Cholera, czy zdążę ze wszystkim na czas?

- Oczywiście, tylko przestań skakać i zabieraj się do roboty! -
Siedem kreacji! Siedem wspaniałych kreacji! Muszą być

doskonałe. - Zwrócił się do Sally: - Połącz mnie z *madame* Fontaine,
dobrze? Muszę z nią natychmiast porozmawiać. - *Madame* Fontaine
była modystką, u której Gary zamawiał kapelusze do swoich strojów. -
Potem zadzwoń do Courtauldsa. Zamówiłem u nich materiał w jodełkę i
jeszcze go nie przysłali. Nie zapomniałaś wystać zamówienia, co?
Biżuteria. Pomyślmy o biżuterii. Chyba zwrócę się do Aspreya albo
Davida Morrisa. Trzeba zacząć od samej góry...

- Skoro już mówimy o zakupach, to zamów kilka kanapek - dodała
Paula. - Jeśli nie postawimy Gary'emu talerza pod samym nosem, to
zupełnie zapomni o jedzeniu!

Sally kiwnęła głową i zrobiła notatkę w brulionie, z którym się nie
rozstawiała. Przyzwyczała się już do ciągłego zamieszania i nawet
zaczynało jej się to podobać. Wiedziała, że jest dobrą sekretarką, i
zdawała sobie sprawę, jak bardzo Gary na niej polega. Dodawało jej to
poczucia własnej wartości. Może nigdy nie będzie tak piękną i światową
dziewczyną jak siostra i nie nauczy się przyciągać mężczyzn tak jak ona,
ale znalazła swoje miejsce w życiu i w pewnym sensie czuła się równa
Pauli.

Szare dni listopada minęły jak z bicza strzelił. Na Oxford Street
zapalono już świąteczne oświetlenie, ale wszyscy w pracowni byli zbyt
zajęci, żeby to zauważyć. Gary pracował bez wytchnienia i od całego
personelu oczekiwał tego samego. Jednak wyczerpani pracownicy,
choć późno, to jednak co noc wracali do własnych łóżek, a Gary
często z tego rezygnował. Zaczął sypiać na kanapie w małym
pomieszczeniu na zapleczu pracowni, częściowo po to, żeby pracować,
dopóki zupełnie nie opadnie z sił, a częściowo ze względu na
bezpieczeństwo projektów.

- Gdyby ktoś teraz wykradł moją kolekcję, chyba bym zwariował -
powiedział do Pauli, a ona była skłonna mu uwierzyć. Nerwy miał
napięte jak struna. Oscylował między uniesieniem, paniką i

przygnębieniem, kiedy dręczyła go nawracająca koszmarna wizja, w której jego kreacje zostają przyjęte nie entuzjastycznym aplauzem, ale milczeniem lub tylko chłodnymi, grzecznościowymi brawami. Zawsze był szczupły, a teraz jeszcze stracił trzy kilogramy. Zdarzało mu się wybuchać histerycznym krzykiem lub nawet płakać, jeśli ktoś wypowiedział choćby jedno niewłaściwe słowo.

Kiedy stało się to pierwszy raz, Sally była zażenowana, za drugim razem zdenerwowała się, a za trzecim zaczęła poważnie się martwić. Co zrobią, jeśli Gary się załamie? Jednak zawsze po filiżance czarnej kawy, pocieszającym uścisku Pauli albo po zjedzeniu jednego z czekoladowych ciasteczek, które dla niego trzymali w specjalnej puszcze, Gary brał się w garść i znów wracał entuzjazm, graniczący z desperacją.

Kiedy nadszedł wielki dzień, musieli stawić się w Covent Garden na próbę o szóstej rano. Gorączka przygotowań sięgnęła szczytu. Asystenci reżysera uwijali się wokół z kartkami pełnymi notatek, floryści dokonywali ostatnich poprawek w olbrzymich bukietach zdobiących wnętrza, a powietrze co chwila przeszywał mechaniczny pisk aparatury nagłaśniającej albo kilka taktów donośnej muzyki, kiedy firma Strand Electrics testowała urządzenia.

Na scenie trwały próby Royal Ballet, ale ku rozczarowaniu Pauli modelkom zabroniono wstępu na widownię.

- Jak myślisz, może udałoby nam się tam zakraść w czasie przerwy na lunch? - zapytała siostrę.

Sally spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Jeśli nas złapią, to nas zabiją.

- Warto zaryzykować. Spróbujmy.

Częściowo dlatego, że była przyzwyczajona do słuchania poleceń Pauli, a częściowo z powodu dziwnego poczucia odpowiedzialności za upartą siostrę i chęci dopilnowania, żeby nic złego się jej nie stało, Sally uległa. Obie zakradły się na górę pod jedną z łóż i uchyliły drzwi z obawą, że ktoś spojrzy w ich stronę i zobaczy smugę światła. Potem na czworakach weszły do środka. Zamknąwszy ostrożnie drzwi uniosły się na kolana i patrzyły tuż nad balustradą na magiczną scenę poniżej.

Kiedy znowu wezwano je na próby, chaos był już jakby trochę mniejszy.

- Ciekawa jestem, czy Królowa Matka zdaje sobie sprawę, ile musimy się nacierpieć, żeby przygotować ten pokaz? - pożałowała się Pauli jedna z modelek, masując obolałe stopy po kolejnym przejściu po wspaniałych, wysokich schodach prowadzących na podium.

- Sama na pewno też musi się sporo napracować - odparła Paula, która zawsze uważała, że uśmiechanie się, machanie do tłumów i ściskanie niezliczonych rąk jest co najmniej tak męczące jak praca modelki. - Jutro o tej porze będzie już po wszystkim. Lepiej ciesz się występem, póki jeszcze możesz!

Wśród gości zaproszonych na ten wieczór do Crush Bar był pewien młody amerykański projektant, który wywołał wielkie poruszenie w nowojorskim świecie mody.

Hugo Varna miał już nazwisko, z którym trzeba było się liczyć. Był właścicielem salonu przy Siódmej Alei, jego kreacje ukazywały się regularnie na łamach „Vogue'u” i „Women's Wear Daily”, a w dodatku został uznany za najciekawszego od lat projektanta mody, razem Geofrreym Beene, Oscarem de la Renta, nowym współpracownikiem Elizabeth Arden, i z Billem Blassem, który zmienił *image* sieci domów towarowych Rentnera na bardziej współczesny i elegancki, a niedawno został zastępcą dyrektora tej spółki. Hugo Varna miał tylko trzydzieści trzy lata, ale już otaczała go aura sukcesu, dzięki której nikt już nie zauważał, że wcale nie jest przystojny. Był niskiego wzrostu - mierzył jedynie metr sześćdziesiąt osiem, a w kowbojskich butach na wysokich obcasach, które tak lubił, metr siedemdziesiąt trzy. Miał przedwcześnie wyłysiałe czoło i lekko spłaszczony rysy twarzy, które odziedziczył po ojcu, więc na pierwszy rzut oka wydawał się bardzo przeciętny. Jednak niezwykła osobowość i żywiołowa energia, z którą mógł przenosić góry, sprawiały, że nikt, nawet wrogowie - a kilku posiadał - nie uważali go za tuzinkowego człowieka.

Chociaż spędzał życie w otoczeniu pięknych kobiet, nie ożenił się, więc czasami szeptano, że jak wielu dyktatorów mody może być

biseksualistą. Jednak w rzeczywistości po prostu nie miał czasu na związki z kobietami. Hugo żył i oddychał pracą. Świat mody był dla niego wszystkim. Utrzymywał stosunki towarzyskie z wieloma ludźmi, ponieważ było to konieczne dla przyciągnięcia jak największej rzeszy klientów, ale poza tym cały czas spędzał w swoim studio, które znalazł przy pomocy Grega Martina, przyjaciela i doradcy finansowego. Po proszonych obiadach i balach, na które chadzał dla reklamy, a nie dla przyjemności, wracał do mieszkania i samotnie kładł się do łóżka.

Dwa razy w roku odwiedzał Paryż, żeby obejrzeć najlepsze projekty sezonu, ale poza tym prawie nie wyjeżdżał ze Stanów. Rzadko robił sobie wakacje - tylko kiedy był już bardzo zmęczony - i spędzał je na słonecznej Florydzie lub w zaciszu wiejskiego domu w Nowej Anglii, który kupił, żeby mieć tam kryjówkę przed światem. Jednak kiedy poranną pocztą otrzymał zaproszenie na królewski pokaz, poczuł wielką pokusę wyjazdu.

Jak wszyscy Amerykanie, Hugo był zafascynowany brytyjską tradycją i perspektywa spędzenia wieczoru w towarzystwie Królowej Matki i księżniczek poruszyła romantyczną stronę jego natury, chociaż wiedział, że będzie mógł oglądać te arystokratki tylko z daleka. Pomyślał, że być może powinien przyjąć zaproszenie, żeby obejrzeć nowe pomysły brytyjskich projektantów. Nawet sam przed sobą nie chciał przyznać, że trochę kierował nim snobizm. A poza tym wśród zaproszonych firm zauważył Dom Mody Oliver. Hugo poznał Gary'ego, kiedy młody Anglik przyjechał do Nowego Jorku jako student Royal College. Szybko się zaprzyjaźnili. Teraz był ciekaw, jak mu się powodzi.

Przyjął zaproszenie i pierwszego grudnia wylądował na lotnisku Heathrow. Samolot przedarł się przez szare, ciężkie chmury i kiedy Hugo wyszedł z budynku lotniska, zimny wiatr cisnął mu tuman kurzu prosto w twarz. Przez chwilę żałował, że tutaj przyjechał. Ciśniej otulił płaszczem szczupłe ciało. Lepiej by zrobił, gdyby pojechał na Florydę i trochę wygrzał się w słońcu, żeby nabrać sił przed srogą zimą, której spodziewano się Nowym Jorku. Jednak teraz było już za późno, żeby się wycofać, więc powinien jak najlepiej wykorzystać tę wyprawę.

Pojechał taksówką do Hiltona, gdzie miał zarezerwowany pokój. Jutro zwiedzi miasto, a potem złapie najbliższy samolot do Stanów. Może jeszcze mu się uda spędzić kilka dni na Florydzie przed powrotem w kierat codziennych zajęć.

Patrzył na przesuwane się za oknem taksówki szare, ponure ulice Londynu i wcale się nie spodziewał, że wkrótce jego uporządkowany świat stanie na głowie i nic już nie będzie takie jak przedtem.

Paula spłynęła po schodach do sali Crush Bar w jednej z pierwszych kreacji Gary'ego - pięknej wieczorowej sukni z szafirowogranatowego brokatu, nazwanej Premiere. Rozległy się entuzjastyczne brawa. Za kulisami wciąż panował zorganizowany chaos, ale nic z niego nie przenikało do sali, gdzie zebrali się goście, wszyscy w wieczorowych strojach. Paula była zdenerwowana i napięta jak greyhound przed wyścigiem, ale nie dawała nic po sobie poznać. To był najważniejszy z jej dotychczasowych pokazów i wszystko musiało być wykonane perfekcyjnie, ze względu na Gary'ego i na nią samą.

Sally zakradła się za kulisy. Wstrzymała oddech, patrząc na występ Pauli. Była równie zachwycona elegancją i szykiem siostry jak wtedy, gdy pierwszy raz oglądała jej pokaz. Teraz była jeszcze bardziej zdenerwowana, ponieważ udzieliła jej się gorączka przygotowań, a poza tym zdawała sobie sprawę, ile rzeczy może się nie udać.

Siedzący w piątym rzędzie Hugo również wstrzymał oddech. Wiedział, że to nie piękno błyszczącej sukni przyciągnęło jego uwagę. Wszystkie pokazywane uprzednio stroje były wybitnie piękne, każdy zaprojektowano z myślą o konkretnej okazji i każdy na swój sposób się wyróżniał. Jednak ani jeden nie wywołał w nim takiej reakcji. Czuł się tak, jakby pierś przygniatała mu ciężka, kamienna płyta.

Nie, to nie suknia tak podzielała - to dziewczyna, która ją demonstrowała. Hugo patrzył, niezdolny oderwać od niej wzroku, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Szybko przejrzał program wieczoru. Wymieniono w nim imiona modelek, wszystkich czterdziestu, ale nie opisano ich w żaden inny sposób. Kilka imion było mu znanych, ale inne... Renata, Julia, Diana, Christine, Virginia - dwie Virginie.

Nieznajoma mogła być każdą z nich. Zamknął program, starając się skupić na następnej kreacji - kloszowej sukni wieczorowej o nazwie Crush Bar, zaprojektowanej przez Normana Hartnella, ale cały czas wyczekiwał chwili, kiedy dziewczyna znów się pojawi. Widział tylko jej piękną twarz o czystych rysach i lśniące złote włosy.

Chyba oszalałem - powtarzał sobie w duchu. Mam trzydzieści trzy lata, a zachowuję się jak uczeń! Nic to jednak nie zmieniło. Dłonie mu zwilgotniały, a w skroniach huczała krew. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek odczuwał coś podobnego z powodu dziewczyny, z wyjątkiem tej małej Włoszki... Jak ona miała na imię? Może Maria? Było to w jego rodzinnej dzielnicy Bronx i miał wtedy dwanaście lat. Zupełnie o niej zapomniał, aż do tej chwili, kiedy zalała go fala uczuć, których nie doświadczał od ponad dwudziestu lat.

Modelki wchodziły, defilowały po wybiegu, zastygały w wystudiowanych pozach. Kolory i fasony zmieniały się jak w kalejdoskopie, ale Hugo obserwował pokaz tylko w nadziei, że znów zobaczy tajemniczą dziewczynę. Wreszcie się zjawiała w wełnianym płaszczu, którego pomidorowoczerwony kolor podkreślał złotą barwę jej włosów. Hugo nie wiedział dlaczego, ale trochę przypominała mu tęczę. Wyszła na podium kolejny raz, w jaskrawozielonej sukni koktajlowej i futrze z norek. Ze ściśniętym żołądkiem Hugo zdał sobie sprawę, że już jej więcej nie zobaczy, przynajmniej nie na tym wybiegu. Pokazała wszystkie swoje kreacje. Jak w transie obserwował ostatnią część widowiska, zatytułowaną „wielki finał”, w której paradowały modelki ubrane w najdziwniejsze przebrania i maski. Każdy strój był sponsorowany przez któregoś z członków Stowarzyszenia Londyńskich Projektantów Mody - kuśnierzy, modystki, fundację Berlei lub producenta rajstop, firmę Aristoc. Hugo nic nie zauważał. Myślał tylko o dziewczynie. Jakie to szczęście, że pracuje akurat dla Gary'ego. Łatwiej będzie ją poznać. Jednak nawet gdyby pracowała u kogoś, kogo nie znał, i tak by nie zrezygnował. Podjął już decyzję. Nic go nie powstrzyma. Musi ją zdobyć. Po raz pierwszy w dorosłym życiu Hugo Varna się zakochał. Było to niezwykle i trochę niepokojące przeżycie.

Paula, ktoś bardzo chce cię poznać, skarbie - powiedział Gary. Sukces jego kolekcji i szampan, którego tu nie szczędzono, wywołały rumieniec na jego policzkach.

- Kto taki? - zapytała Paula bez zdziwienia, sącząc musujący trunek. Po pokazie zawsze znalazł się ktoś, kto chciał poznać modelkę.

- Hugo Varna. Przyjechał tutaj ze Stanów.

- No, dobrze. - Paula o nim słyszała, bo kto w świecie mody nie znał tego nazwiska?

- Tylko uważaj - ostrzegł ją Gary. - Zdaje się, że zrobiłaś na nim wielkie wrażenie. Obawiam się, że zechce cię porwać i wywieźć do Nowego Jorku, żebyś dla niego pracowała.

- Mylisz się - odezwał się jakiś głos tuż obok Pauli. - Nie chcę jej porwać, Gary. Chcę się z nią ożenić.

To przestaje być zabawne - oświadczyła surowo Sally, wchodząc do małego pokoiku z jeszcze jednym naręczem czerwonych róż. - Znowu kwiaty! Już przedwczoraj zabrakło nam wazonów, zresztą i tak nie byłoby gdzie ich ustawić. Nawet posłaniec ma już dosyć. Powiedział, że dłużej nie zniesie tego wspinania się po schodach trzy razy dziennie. Prosi, żebyś wreszcie uszczęśliwiła tego biedaka i się z nim umówiła.

- Niby dlaczego miałabym to zrobić. Wyraźnie widać, że to wariat - odparła chłodno Paula.

- Zwariował na twoim punkcie. Musisz się z nim spotkać, choćby po to, żeby mu zakazać przysyłania kwiatów. Nasz pokój wygląda jak jakaś wystawa ogrodnicza.

- To przecież nie moja wina - zaprotestowała rozzłoszczona Paula. - Nie mogę odpowiadać za wybryki każdego wariata w Londynie.

- To prawda. Ale ten tutaj to wyjątkowy okaz! - Sally zaniosiła najświeższy bukiet do kuchni, wrzuciła do zlewu i odkręciła wodę. W głębi duszy wiedziała, że jej irytacja w dużym stopniu wywołana jest zazdrością - jej nikt nigdy nie przysłał kwiatów, nawet jednego marnego goździka - a Paula praktycznie tonęła w najbardziej egzotycznych odmianach singapurskich orchidei, delikatnie pachnących białych frezji i naręczach czerwonych róż na długich łodygach. W dodatku to przecież

grudzień! - Nie przeczytasz nawet liściku? - zapytała.

- Nie. Rozległ się donośny dzwonek.

- O, mój Boże! - jęknęła zdenerwowana Paula. - To do frontowych drzwi. Będziesz musiała otworzyć, Sally.

- Dlaczego ja? To na pewno do ciebie.

- Nie mogę tak się pokazać. - Paula miała na sobie stary wełniany szlafrok w kratę i była jeszcze nie umalowana. - Otwórz, bądź aniołem. Jeśli to następne kwiaty, każ je odesłać do szpitala albo gdzie indziej.

Sally westchnęła.

- Twoja służąca miałaby ciężki los. Szybko zbiegła na dół. Po chwili wróciła. - To nie kwiaty? - zdziwiła się Paula.

- Nie. Przesyłka polecona. Ale, rzecz jasna, do ciebie. - Wręczyła siostrze małą kwadratową paczuszkę, zawiniętą w ozdobny papier. Paula zerknęła na przytwierdzoną do niej karteczkę.

- To znowu on. Co tym razem przysłał? - Rozerwała papier, otworzyła pudełko i jęknęła z zachwytu. - O, Boże!

Wewnątrz znajdowała się para brylantowych kolczyków, ułożona na granatowym aksamicie. Perfekcyjnie oszlifowane kamienie odbijały światło z wiszącej pod sufitem lampy.

- Nie wierzę własnym oczom - zawołała oszołomiona Sally. - On chyba naprawdę zwariował.

- W każdym razie łatwo nie daje się zniechęcić. - W oczach Pauli pojawiły się dziwne błyski, jakby refleksy odbite od brylantów.

- Chyba masz rację. Teraz muszę się z nim umówić. Choćby po to, żeby mu powiedzieć, że nie mogę przyjąć takiego drogiego prezentu.

Pewnie mi nie uwierzysz, jeśli ci powiem, że takie zachowanie jest dla mnie nietypowe - powiedział Hugo. Jedli kolację w Savoyu. Między nimi na stole leżało pudełeczko z kolczykami.

Paula uśmiechnęła się.

- Wierzę ci. Nawet milionera nie byłoby stać na robienie takich prezentów każdej napotkanej dziewczynie. No, może jakiś multimilioner mógłby sobie na to pozwolić... - dodała, szacując go wzrokiem z nadkieliszka szampana.

- Z pewnością nie jestem multimilionerem - stanowczo oświadczył Hugo. - Może kiedyś nim będę, ale jeszcze nie teraz. Jednak kwiaty na ciebie nie działały, więc postanowiłem podarować ci coś bardziej osobistego. - Usta mu drgnęły i Paula domyśliła się, że ma do czynienia z człowiekiem o silnej osobowości.

- Rzecz jasna, nie mogę ich zatrzymać - powiedziała, zebrawszy wszystkie siły.

- Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? Ponieważ... - Urwała. Nie była w stanie podać ani jednego powodu.

- Od wieków piękne kobiety przyjmują prezenty od wielbicieli. Ciesz się nimi.

- Mnie nie można kupić - oświadczyła ostro.

- Nigdy tak nie myślałem. Bóg mi świadkiem, że nie zamierzałem cię tym podarkiem urazić.

- Więc po co go przysłałeś?

- Chciałem, żebyś miała takie kolczyki.

- Ale dlaczego?

- Być może to głupio zabrzmiało, ale nagle zrozumiałem, że zarabianie forsy wcale nie jest przyjemne, jeśli nie ma się jej na kogo wydawać. Jesteś piękną dziewczyną. Powinnaś mieć piękne rzeczy. Przyznaj, że Gary nie płaci ci wystarczająco dużo, żebyś sama mogła kupować sobie brylanty, więc przyjmij je ode mnie. Co w tym złego?

- Cóż... - zaczęła z wahaniem Paula, udając, że się namyśla.

- Pozwól, że ci je założę. - Pochylił się nad stolikiem i odpiął jeden z kolczyków ze sztucznych szafirów, które włożyła na dzisiejszy wieczór. Na jego miejsce założył jej brylantowy. Jego palce były chłodne i pewne.
- Czy nie czujesz się lepiej, mając świadomość, że to, prawdziwa biżuteria?

Leciutki uśmiech rozchylił usta Pauli. Z pewnością czuła się teraz doskonale. Ten prezent dawał jej o wiele więcej satysfakcji niż świadomość, że Gary ma wobec niej wielki dług do spłacenia. Żaden mężczyzna nie starał się o Paulę z taką determinacją i to dodatkowo

uderzało jej do głowy.

- Chyba nie dosięgnę do drugiego ucha - powiedział. - Musisz sama założyć.

Paula uśmiechnęła się szerzej. To była gra, a kolczyki służyły za pionki. Jeśli weźmie drugi z nich i założy, da mu do zrozumienia, że przystępuje do rozgrywki.

Wolno, niemal leniwie, nie spuszczać wzroku z Hugona, zdjęła szafirowy kolczyk i położyła na stole obok talerza. Potem równie wolno i z namysłem przypięła brylant.

Przez długą chwilę siedzieli bez ruchu, wpatrzeni w siebie. Paula poczuła, że gdzieś w środku budzi się w niej pewien rodzaj podniecenia. Brylanty, szampan i mężczyzna, który by ją rozpieszczał, psuł i się nią opiekował - wszystko to znalazło się teraz w zasięgu ręki. Przecież tego zawsze pragnęła.

Hugo nakrył jej leżącą na stole dłoń swoją. Nie próbowała się odsunąć. Jego oczy wciąż wpatrywały się płomiennie w twarz Pauli.

- Mądra dziewczyna. - Ironiczną nutę w jego głosie łagodził uśmiech. - Nie pożałujesz tego, Paula. Zadbam o to. - Urwał i po raz pierwszy spojrzał na menu. - Chyba powinniśmy coś zamówić. Proponuję wędzonego łososa, a potem stek, nie dosmażony. Tak?

- Tak - odparła.

Gary patrzył na nią rozszerzonymi oczami, z miną człowieka, któremu właśnie grunt usunął się spod nóg.

- Paula, ty chyba nie mówisz poważnie! Naprawdę wyjeżdżasz do Stanów? Ostrzegałem cię przed Hugonem, prawda? Co ja, do cholery, bez ciebie zrobię?

- Chciałaś powiedzieć, że nie wiesz, czy uda ci się znaleźć modelkę, która zechciałaby dla ciebie pracować za takie marne pieniądze. - Uniosła brwi, napawając się poczuciem władzy, jakiego zawsze doświadczała, kiedy przypominała mu o zaciągniętym wobec niej długu.

- Och, Paula... - Zatraskał się. - Wiem, że nigdy nie będę w stanie ci się odwdziaczyć, ale...

- Nie mówmy o tym, Gary - przerwała mu nagle zniecierpliwiona.

Gra z Garym miała się ku końcowi. Dostarczyła jej już dość rozrywki. Czas rozpocząć nową grę, dużo bardziej emocjonującą. Mimo to nie mogła się powstrzymać i dodała: - Jeśli kiedyś będę czegoś potrzebowała, wiem, do kogo się zwrócę. Chyba nie zabraknie mi pieniędzy. Hugo jest bardzo bogaty. Ale czasem miło jest odebrać dług od starego przyjaciela.

- Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Będzie mi ciebie brakowało. Jesteś pewna, że się nie rozmyślisz i nie wyjdiesz za mnie, a nie za niego?

Roześmiała się. Ostatnimi dniami śmiała się częściej niż kiedykolwiek w życiu. Nie znaczy to, że Hugo ją rozśmieszał. Był mocny, podniecający i energiczny, ale nie zabawny. Śmiech brał się ze szczęścia, które ją przepełniało, uczucia, że stoi na progu nowego, cudownego świata.

- Wyjść za ciebie, Gary? To chyba nie najlepszy pomysł.
- Dlaczego nie?
- Sam dobrze wiesz. Ja, tak samo jak ty, potrzebuję mężczyzny. Na zawsze zostaniemy przyjaciółmi, ale małżeństwo nie wchodzi w rachubę.
- Pewnie masz rację. - Gary wyglądał na zasmuconego. - Szkoda. To byłoby miłe i takie nieskomplikowane. Ja projektowałbym dla ciebie wspaniałe kreacje, ty przyrządzałaś mi grzanki z serem i...
- Małżeństwo nie tylko na tym polega.
- Tak. To dziwne, ale nigdy się nie spodziewałem, że Hugo... - Urwał i odwrócił głowę. - Naprawdę zawrócił ci w głowie?
- Tak.
- Kiedy nastąpi ta wielka uroczystość?
- Za dwa tygodnie, w Caxton Hall.
- Jestem zaproszony?
- A jak ci się wydaje? Jeśli Hugo cię nie poprosi, żebyś został jego drużbą, to podprowadzisz mnie do ołtarza i oddasz panu młodemu.
- Ja miałbym cię oddać, skarbie? To chyba żart. Przecież nigdy do mnie nie należałaś.

Kiedy zjawili się na stopniach Caxton Hall, ona, piękna modelka, on -

ślyny amerykański projektant - czekali na nich reporterzy z całego świata. Flesze błyskały wokół jak mieniające się confetti, a tłum ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o Hugonie Varna i Pauli Bristow, zebrał się, żeby zobaczyć, co to za znane osoby wywołały takie zamieszanie.

- Może to Adam Faith? - zapytał ktoś.
- Nie. On chyba już jest żonaty.
- Nie wiem, ale tacy ludzie rozwodzą się i żenią na okrągło, więc

trudno za tym nadążyć.

- Wydaje mi się, że to jakaś gwiazda filmowa. Jak ona się nazywa? No, wiesz... To ta, co grała w filmach Alfreda Hitchcocka.

- Głupstwa gadasz. To na pewno nie ona.

Chociaż nie wiadomo było, kto to jest, wszyscy się zgadzali, że panna młoda jest piękna. Prawdę mówiąc, zbyt piękna dla takiego niepozornego mężczyzny. Przystanęła na chwilę, śliczna i promienna w sukni i żakiecie z jedwabiu w kolorze kości słoniowej i w wielkim kremowym kapeluszu, trzymając pod ramię nowo zaślubionego męża. Potem odwróciła się i rzuciła ślubny bukiet z kremowych orchidei prosto w wyciągnięte ramiona dziewczyny w modrym płaszczu i kapelusiku ozdobionym woalką.

Sally chwyciła kwiaty. Z bukietem w ręku czuła to samo, co nie raz z przeszłości. Znowu przypadło jej w udziale trochę elegancji i sukcesu siostry.

Ukryła twarz w wonnych płatkach, zamknęła oczy i w duchu wypowiedziała życzenie.

Marzyła o tym, żeby pewnego dnia wszystkie te wspaniałe prezenty od losu, które tak łatwo dostawały się Pauli, należały również do niej. Chciała być piękna, uwielbiana i szczęśliwa. Chciała sama odnieść sukces i zdobyć sławę, a nie tylko świecić odbitym światłem, jak księżyc. Pragnęła kiedyś wyjść z cienia siostry. Wypowiadając te życzenia nie miała pojęcia, że ich spełnienie będzie ją tak wiele kosztowało.

Rozdział dwunasty

Sally bardzo tęskniła za Paulą. Radość z tego, że miała dla siebie cały pokój, szybko przybladła. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że siostra jest jej najbliższą towarzyszką. Dobrze było mieć dodatkowe szuflady na ubrania i całą kanapę dla siebie, nie budzić się już zepchniętą na sam jej skraj albo nakrytą jedynie skrawkiem kołdry, cudownie nie musieć więcej zbierać i myć rozstawionych po całym pokoju filiżanek po kawie albo wypełnionych niedopałkami popielniczek. Jednak w czystym, uporządkowanym mieszkaniu było coś ponurego i Sally zaczynała wpadać w przygnębienie. Cieszyła się, że praca zajmuje ją dwanaście godzin na dobę, ale i tu nie było tak jak dawniej, odkąd Paula odeszła.

Sally chciała się zaprzyjaźnić z innymi pracownikami Gary'ego, ale fakt, że jest siostrą Pauli, bardzo jej w tym przeszkadzał. Widocznie koleżanki z pracy uważały, że „kto z kim przestaje, takim się staje”, jakby powiedziała jej matka. Modelki, które teraz, kiedy Paula wyszła za mąż za Hugona Varna, jeszcze bardziej jej zazdrościły, nie ufały Sally, a kobiety z pracowni krawieckiej uważały ją za snobkę. W dodatku nadal

nie czuła się przy Garym zupełnie swobodnie.

Doszła do wniosku, że powinna znaleźć nową pracę, taką, która pozwoliłaby jej zacząć od początku i dała okazję do poznania nowych ludzi. Świat mody jest taki przytłaczający - miło będzie się z niego wydostać i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. W Londynie było wiele miejsc pracy dla wykwalifikowanej sekretarki.

Kiedy Sally wręczyła Gary'emu rezygnację, wyraził żal, ale nie namawiał jej, żeby została. Pomyślała, że być może czuł się w jej obecności równie skrępowany jak ona.

Agencja, która zatrudniała sekretarki wysyłane na zastępstwa do różnych firm, przyjęła ją z otwartymi ramionami. Ale Sally wkrótce odkryła, że taka praca również zbyt jej nie odpowiada. Miała wysokie kwalifikacje i doskonale sobie radziła, ale nie lubiła częstych zmian. Woląca stale używać jednej, znanej sobie maszyny do pisania i denerwowało ją, że ciągle musi się przyzwyczajać do nowych metod prowadzenia kartotek, odmiennej organizacji biura czy upodobań szefa. Niektórzy lubią różnorodność, ale Sally co tydzień przeżywała stresy, które wiązały się ze zmianą miejsca pracy, i nie dostrzegała w tym żadnych dobrych stron. Chociaż ciągle spotykała nowych ludzi, nigdy jednak nie zagrzała miejsca na tyle, żeby się z kimś naprawdę zaprzyjaźnić.

Pewnego ranka w sobotę, pod koniec lata, wróciła właśnie z cotygodniowej wyprawy na zakupy i do samoobsługowej pralni, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Postawiła torby na krześle i otworzyła.

Stojąca w progu dziewczyna wydała się Sally znajoma, ale przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ją widziała.

- Cześć! Jestem Laura-Jo. Niedawno się wprowadziłam do mieszkania na dole - powiedziała dziewczyna i Sally skojarzyła fakty.

Kilka miesięcy temu Gary wyprowadził się do innego mieszkania, bardziej odpowiedniego dla znanego projektanta mody. Od tego czasu Sally widywała jakąś młodą parę wchodzącą i wychodzącą z mieszkania, ale teraz zdała sobie sprawę, że lokatorzy musieli się zmienić. Pewnie spotykała tę dziewczynę na schodach i dlatego teraz jej twarz wydała się

znajoma.

- Słuchaj, dzisiaj wieczorem urządzam parapetówkę - ciągnęła szybko Laura-Jo. - Jeśli masz ochotę przyjść, to serdecznie zapraszam. Pomyślałam sobie, że lepiej zaprosić wszystkich sąsiadów, niż potem wysłuchiwać ich skarg na hałasy. - Sally wyraźnie teraz słyszała w jej głosie amerykański akcent. Teraz wiem, dlaczego jest taka przyjazna i bezpośrednia - pomyślała.

- Znalazłaś się daleko od domu - powiedziała głośno.

- Tak. Zrobiłam sobie przerwę w nauce i zamierzałam przez rok podróżować po Europie, ale siedzę tu już od dwóch lat! - Roześmiała się.

- Może wejdiesz? Napitybyśmy się kawy - zaproponowała Sally. Od razu polubiła tę dziewczynę i nie chciała stracić okazji na nawiązanie bliższej znajomości.

Laura-Jo spojrzała na zegarek i zabawnie wykrzywiła twarz.

- Dlaczego nie? Inni mogą poczekać.

- Moja siostra wyszła za mąż za Amerykanina - powiedziała Sally, kiedy już usiadły z kubkami kawy przy stole, na którego blacie widać było powypalane ślady po gorących garnkach.

- Naprawdę? Skąd jest ten Amerykanin?

- Z Nowego Jorku. Oboje tam teraz mieszkają.

- Świat jest mały. Czym on się zajmuje?

Sally zawahała się. Nie chciała zepsuć tak obiecującego spotkania chwając się sukcesem siostry.

- Prowadzi jakieś interesy - odparła wymijająco. - A tak przy okazji, nazywam się Sally. Sally Bristow.

- A ja Laura-Jo Bayne. Chyba już ci się przedstawiałam, prawda?

Gawędziły przez godzinę. Kiedy Laura-Jo wychodziła, Sally wiedziała, że pójdzie na parapetówkę i że zyskała nową przyjaciółkę. Pomyślała, że wreszcie jej los odmienił się na lepsze.

O dziewiętej trzydzieści przyjęcie rozkręciło się na dobre i Sally świetnie się bawiła. Przyjaciele Laury-Jo zachowywali się bardzo bezpośrednio, Amerykanie traktowali Sally jak starą przyjaciółkę. Jedynym zgrzytem było to, że Laura-Jo powiedziała wszystkim, że siostra

jej sąsiadki ma męża Amerykanina, i ukrycie całej prawdy wymagało od Sally wielkiej pomysłowości. Kiedy siliła się na wymijające odpowiedzi na pytania, którymi zasypywał ją jakiś wyjątkowo dociekliwy gość, nagle usłyszała szept tuż przy uchu:

- Ich uda ci się oszukać, ale ja nie dam się nabrać.

Odwróciła się i zobaczyła młodego człowieka, który uśmiechał się do niej znad szklanki z piwem.

Na pierwszy rzut oka tak bardzo przypominał Edwarda, że Sally poczuła ucisk w żołądku. Po chwili zauważyła różnice. Miał bardziej pociągniętą twarz i lekko łysiał na skroniach, co jeszcze bardziej podkreślało wysokie czoło i wydatny nos - klasycznie grecki, a może rzymski? Sally nie była tego pewna. Miał jaśniejsze i głębiej osadzone oczy. W jego głosie słyszało się lekki akcent z północy. Nie, widać było, że to nie Edward, ale wystarczająco go przypominał, żeby przywołać wspomnienia z dawnych lat i wzbudzić w Sally sympatię. Nie pamiętała już, jak bardzo Edward ją skrzywdził. W myślach pozostały jedynie dobre chwile.

- Nie dasz się nabrać? - powtórzyła z uśmiechem. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Daj spokój. Trudno jest ukryć związek ze znaną osobą. Zdajesz sobie sprawę, że większość obecnych tu facetów pospadałaby z wrażenia z krzesel, gdybyś zdradziła, kim jest twoja siostra. A dziewczyny oszalałyby, wiedząc, że twój szwagier to Hugo Varna.

- Ciii! - syknęła Sally, przykrywając mu usta dłonią. - Proszę, nic nikomu nie mów. Wszyscy widzą we mnie tylko siostrę Pauli, a ja chcę być sobą.

Wziął ją za rękę i spojrzał na nią prowokacyjnie.

- Dobrze, będę milczał. Ale musisz za to zapłacić.

- Ciekawe jak?

- Nie wolno ci ode mnie uciec. Jesteś tu najładniejszą dziewczyną, wiesz o tym?

- Doprawdy? Umiesz prawić komplementy, co? - Starła się, żeby jej ton brzmiał cynicznie, ale w głębi duszy było jej przyjemnie.

- To szczerą prawdą. No, nie rób takiej miny. Przecież nie raz już ci to mówiono.

- Właśnie, że nie.

- Nie wierzę. O! Masz pustą szklankę. Co ci podać? Co pijesz? Nie pamiętam, jak się nazywasz.

- Sally. A już myślałam, że wszystko o mnie wiesz.

- Wiem wszystko, co potrzeba. Jesteś piękna, Sally, i bardzo skromna. Mam zamiar odprowadzić cię do domu.

Roześmiała się głośno.

- Nie będziesz musiał iść daleko. Mieszkam na górze.

- Ach, tak. - W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

- W takim razie weźmiemy sobie coś do picia i pójdziemy do ciebie.

Tam na pewno jest spokojniej.

- No wiesz! - Jednak nie mogła się na niego gniewać. Był tak zniewalająco bezczelny... tak podobny do Edwarda.

Wypili jeszcze kilka drinków. Powiedział jej, że nazywa się Stuart i pracuje w firmie handlującej artykułami papierniczymi. Odwiedzał biura, sprzedając im towary, i jednocześnie zbierał zamówienia na firmowe kalendarze reklamowe. W mieszkaniu Laury-Jo zrobiło się teraz tłoczno i hałaśliwie. Powietrze było niebieskie od dymu. Ścisnięci w kuchennym kącie wciąż rozmawiali, ale ramię Stuarta otaczało ją w talii, a jego usta coraz bardziej zbliżały się do ucha Sally. Wcale nie protestowała. Wręcz przeciwnie - bardzo jej to odpowiadało.

Pomyślała, że to ironia losu, albo raczej przebłysk szczęścia. Podczas długich, samotnych nocy zdecydowała, że kiedy tym razem pozna jakiegoś mężczyznę, który choć trochę się jej spodoba, nie będzie się opierała. Opór nie jest najlepszym sposobem na zdobywanie przyjaciół i wpływów, raczej wręcz odstrasza ludzi. Siedziała kiedyś ubrana w stary wełniany szlafrok Pauli i opłowywała paznokcie, rozmyślając o wszystkich znajomościach, które zniszczyła przez zbyt pruderię. Kiedyś wydawało jej się, że mężczyźni nie szanują dziewcząt, które „to robią”. Gorzkie doświadczenie przekonało ją, że jest inaczej. Nie znosili dziewczyn, które „tego nie robią”, ponieważ w zasadzie trudno było

wyznaczyć jakąś granicę, na której można by się zatrzymać, zadowolając obie strony. Piękne aktorki, jak Grace Kelly, mogły na scenie grać chłodne i nieprzystępne damy - normalna dziewczyna zachowująca się taki sam sposób w żadnym towarzystwie nie miałaby szans na powodzenie. Jednak kiedy okazywało się komuś ciepło i sympatię, a potem nie pozwalało na „te rzeczy”, natychmiast zyskiwało się opinię podpuszczalskiej. Chociaż Sally od dawna nie była dziewicą, zachowywała się tak, jakby była. Postanowiła, że czas zrezygnować z niektórych zasad i zobaczyć, jakie to przyniesie, rezultaty.

Decyzja rozstania się z niewinnością to jedna sprawa, ale wykonanie to już zupełnie inna rzecz. Sally bardzo się tym martwiła - i ten fakt dodatkowo ją denerwował. Paula nigdy nie miała takich wątpliwości, a nawet jeśli je miała, nigdy tego nie okazywała. Sally natomiast od czasów szkolnych wstydziała się rozmawiać o swoich rozterkach i problemach seksualnych. Nawet przyznanie się do tego, że je odczuwa, wydawałoby się jej porażką.

Teraz, kiedy ręka Stuarta niepostrzeżenie zaczęła pieścić jej pierś, Sally poczuła, że zalewa ją oszałamiająca fala pożądania. Może tym razem wszystko będzie dobrze i uda jej się zapomnieć, że jest dziewczyną z małego miasteczka. Zacznie się cieszyć swobodą i cielesnymi przyjemnościami.

- Pójdziemy? - zapytał szeptem Stuart. Gorący oddech owionął jej szyję. Po karku przebiegły ciarki.

Bez słowa skinęła głową. Poczula się zepsuta i pozbawiona wstydu - i to było wspaniałe. Przeprowadził ją przez zadymioną kuchnię. Ludzie się rozstępowali, żeby dać im przejście. W głowie jej szumiało, chociaż, jak sądziła, nie wypita zbyt dużo.

- Powinnam podziękować Laurze-Jo - powiedziała, kiedy doszli do drzwi.

- Zrobisz to innym razem. - Chwycił ją wargami za ucho, aż poczuła miękkość w nogach. - Laura-Jo jest zajęta. Zrozumie.

Wyszli na korytarz, oświetlony nagą żarówką. Stuart przyparł ją do ściany, objął dłońmi pośladki i przycisnął do siebie. Poczula, że jest

napreżony i gotowy.

- Jesteś piękna. - Pocałował ją, wiodąc ustami po szyi i znów wracając do ust. - Jesteś bardzo piękna, Sally. - Te słowa upajały jak wino. Obwodził rękami kontury jej ciała, a ich ciepło zdawało się przepalać jedwabną sukienkę. Sally jęknęła z pożądania.

- Chodźmy na górę.

Właśnie na to czekał. Objęci, chwiejnie wspinali się po schodach. Pod drzwiami znów przyparł ją do ściany i podniósł jej sukienkę na tyle, że mógł przesuwając palcami po gładkim ciele wewnętrznej strony uda nad pończochami. Westchnęła i lekko rozsunęła nogi, a on włożył palec pod cienki jedwab. Jakie to szczęście, że miała na sobie pas do pończoch, a nie te obrzydliwe pasomajtki, które nosiły niektóre dziewczęta. Delikatnie, badawczo zataczał palcem małe kółka. Poczuł, że zadrżała. Znów ją pocałował, rozchylając wargi językiem, wsuwając go i wyjmując z jej ust w takt ruchów palca. Ciało Sally zaczęło się poruszać w nieświadomym rytmie, więc przerwał, widząc, że dziewczyna dochodzi już do szczytu.

Zauważywszy, że już jej nie pieści, zdziwiona Sally otworzyła oczy. Była gdzieś w innym świecie. Pragnęła, żeby ta chwila trwała wiecznie.

- Wejdźmy do środka - wyszeptał niecierpliwie Stuart.

- A, tak... - zgodziła się bez oporu. Niezgrabnie odszukała w torebce klucz i otworzyła drzwi. Weszli do środka i Stuart znów zaczął ją pieścić, zanim miała czas oprzytomnieć i zmienić zdanie.

Kanapa była już rozłożona. Sally pomyślała o tym wcześniej, bo doszła do wniosku, że po przyjęciu miło będzie od razu położyć się spać. Opadli na pościel. Kiedy ściągał z niej majteczki, ruchami ciała pomagała mu pozbyć się niewygodnej bielizny. Poczuła na udzie jego gorącą twardość. Nagle znalazł się w niej. Nie doświadczyła bólu ani niczego nieprzyjemnego. Była wilgotna i gotowa na przyjęcie mężczyzny. Poruszał się energicznie, a ona przywarła do niego całym ciałem. Po raz pierwszy w życiu to doświadczenie było dla niej miłe. Nagle odsunął się od niej. Na brzuch wyprysnął wilgotny strumyczek. Ogarnęło ją dojmujące poczucie zawodu. Przywarła do Stuarta, chcąc przywołać

ekstazę, jaka jeszcze przed chwilą ją ogarniała. Wsunął rękę między jej uda. Sally ocierała się o nią, mając świadomość jedynie własnego narastającego podniecenia. Przecież to niemożliwe, żeby było jej coraz rozkoszniej i rozkoszniej... A może tak? Rozchyliła usta w niemym krzyku. Wstrząsnęły nią fale dreszczy. Pięknie... pięknie! Och, jak pięknie! Potem znowu spłynęła z obłoków na ziemię, spadała coraz niżej i niżej... aż wróciła do rzeczywistości.

- Co myśmy zrobili? - zapytała w popłochu.

- Wszystko w porządku.

- Jesteś pewien?

- Jasne, że tak. Tu masz dowód. - Ujął dłoń Sally i przycisnął do jej brzucha. Szybko cofnęła ją zawstydzona i trochę przerażona tym, że wszystko dokonało się tak szybko i łatwo.

- Napijesz się kawy? - zapytała. Pytanie wydało jej się zupełnie nie na miejscu, ale nie potrafiła wymyślić nic innego, żeby przywrócić normalność.

- Chętnie.

Wstała i ukradkiem wytarła się halką, nie patrząc na Stuarta. Postawiła czajnik na gazie, a kiedy wróciła do pokoju, Stuart siedział na kanapie jak ktoś, kto wpadł na kawę, i z roztargnieniem przeglądał czasopismo leżące obok na stoliku.

- Więc jak, Sally, kiedy się znowu zobaczymy? - zapytał. Zalała ją fala szczęścia. Tym prostym pytaniem sprawił, że znów poczuła się dobrze.

- Jestem trochę zajęta - skłamała, postanowiwszy w duchu zachować swój nowy sposób bycia. - Może pojutrze?

Na twoim miejscu uważałabym na tego Stuarta Harrisa - powiedziała Laura-Jo. - Mówią, że to pies na baby.

Piły w kuchni kawę. Sally zazdrościła sąsiadce, że ma kuchnię tylko do swojej dyspozycji.

- Nie znam go zbyt dobrze - ciągnęła Laura-Jo. - Tak naprawdę, to jest znajomy znajomego, ale słyszałam...

- Jestem pewna, że to przyzwoity facet - odparła Sally z zadowoloną

miną. - Spotkałam się z nim parę razy i zrobił na mnie dobre wrażenie.

- No cóż, tylko uważaj na siebie. - Laura-Jo wzruszyła ramionami. Spełniła swój obowiązek i ostrzegła koleżankę. Sally jest dorosłą dziewczyną i nie można wtrącać się do jej życia. Laura-Jo wiedziała też, że jeśli ktoś ma taki wyraz twarzy jak teraz Sally, niewiele do niego dociera.

- Proszę, zjedz ciasteczko. Sama upiekłam. - Popchnęła talerzyk z czekoladowymi ciastkami w stronę Sally. - Są prawie takie same, jak piekła moja mama.

Sally wzięła jedno. Od kilku tygodni całkiem przestała zawracać sobie głowę liczeniem kalorii i kontrolowaniem wagi. Miała zbyt wiele innych spraw na głowie. Na przykład miłość.

Przeważnie spotykała się ze Stuartem co wieczór i kochali się niemal równie często. Prawie zawsze było to równie cudowne jak za pierwszym razem, czasami nawet piękniejsze, ponieważ już się nie wstydziła ani nie martwiła, czy postępuje właściwie. Stuart był ostrożny - mówił jej, że „uwaga” - i Sally zastanawiała się, dlaczego kiedyś się bała czegoś, co jest takie cudowne. Co więcej, Stuart zaczął napomykać o małżeństwie. Uważała to za bezsporny dowód, że nieprawdziwe są staromodne opinie, jakoby mężczyźni nie żenili się z dziewczętami, które „to robią”. Zresztą nie potrzebowała już żadnych dowodów. Kiedy Stuart po raz pierwszy wspomniał o ślubie, siedzieli w małym pubie Kensington, gdzie występowali tancerze flamenco. Sally nie wyobrażała sobie bardziej romantycznej scenerii na oświadczyń. Wokół rozbrzmiewała wspaniała, dzika muzyka, rytmicznie stukwały wysokie obcasy i kastaniety.

Sally wyciągnęła się na kanapie, bezgranicznie szczęśliwa. Już zaczęła planować uroczystości ślubne. Postanowiła, że odbędą się w rodzinnym miasteczku, w miejscowym kościele, a nie jak ślub Pauli, w Caxton Hall. Ona będzie miała na sobie długą do ziemi suknię jak z romantycznego snu i welon. Może Hugo coś dla niej zaprojektuje. Paula mogłaby być starościna, a Laura-Jo druhną, bo przecież to dzięki niej się poznali. Może nawet pojedą do Ameryki na miesiąc miodowy. Wszystko to zdawało się snem, podniecającą cudowną bajką. Pragnęła tak śnić

wiecznie.

Sally była zmartwiona. Siedziała skulona na kanapie z kalendarzem na kolanach i robiła pospieszne obliczenia. Czyżby się pomyliła? Nie, miesięczka spóźniła się o trzy tygodnie. Ostatnim razem również wystąpiła później, a kiedy ku nieopisanej uldze dostrzegła na bieliźnie znajome plamy, krwawienie okazało się dziwnie krótkie i skąpe - parę godzin ostrego bólu brzucha, kilka lekko przybrudzonych tampaksów, i to wszystko. Jeszcze bardziej złowróbnym sygnałem były nabrzmiałe, bolesne piersi i, co ważniejsze, od dwóch dni nawiedzały ją poranne mdłości. Dzisiaj w pracy mało nie zemdląca. Oparła głowę na maszynie do pisania i głęboko oddychając czekała, aż pokój przestanie wirować wokół niej, ale mdłości trwały cały czas. Czuła je nawet teraz, jak ciężki kamień zalegający w jej ciele, nie dający zapomnieć o złych przeczuciach.

To niemożliwe, żebym zaszła w ciążę - myślała znękana. Stuart zawsze tak bardzo uważał! Mimo że cały czas odsuwała od siebie tę myśl, w głębi duszy już wiedziała, że to się stało.

Jeszcze przez tydzień modliła się, żeby wszystko się okazało fałszywym alarmem. Co rano budziła się z nadzieją, która natychmiast bladła przy pierwszej fali mdłości. W końcu nie mogła już dłużej znieść napięcia i wybrała się do lekarza. Bez zdziwienia, chociaż z ciężkim sercem, wysłuchiwała potwierdzenia swoich domysłów.

- Tak, będzie pani miała dziecko - powiedział lekarz, prostując się po badaniu. - Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że za sześć miesięcy.

Sally leżała nieruchomo na kozetce. Chociaż spodziewała się takiej wiadomości, kiedy ją wreszcie usłyszała głośno wypowiedzianą, poczuła wstrząs.

- Nie ma żadnych wątpliwości? - zapytała drżąco.

- Żadnych. Jeśli pani chce, zrobię test, ale jestem pewien, że wynik będzie pozytywny. - Lekarz był Szkotem. Jego miękki głos opływał Sally jak górski strumień. Odwrócił się, żeby umyć ręce, a ona zeszła z kozetki i stanęła boso na zimnej podłodze gabinetu.

- Nie jest pani zameżna, prawda? - zapytał, spoglądając na nią

badawczo przez ramię.

- Nie - odparła trochę zaczepnie. - Ale niedługo wychodzę za mąż.
- Dobrze. Bardzo dobrze. Proszę zadzwonić do mojej sekretarki za jakieś trzy dni i odebrać wynik testu. Niech się też pani umówi na następną wizytę.

Sally skinęła głową. Czuła się tak, jakby tonęła w morzu. Wszystko wokół przestało być realne.

Po wyjściu z gabinetu długo spacerowała. Ostry listopadowy wiatr hulał po ulicy, rozwiewając smutne, opadłe liście. Obok nie kończącym się strumieniem przejeżdżały samochody. Sally włożyła ręce do kieszeni i nic nie widząc szła przed siebie ze spuszczoną głową.

Ciąża. Nie będzie uroczystego ślubu w bieli i beztrudnej podróży poślubnej po Stanach. Rodzice będą wstrząśnięci i rozczarowani. Bała się chwili, kiedy stanie przed nimi z tą wiadomością i doświadczy na sobie ich potępienia. Jeszcze bardziej, choć nie wiedziała dlaczego, bała się powiedzieć o tym Stuartowi. Dotychczas jeszcze mu nie zdradziła swych obaw. Zatrzymała je dla siebie, ponieważ ubranie ich w słowa uczyniłoby je bardziej realnymi. Poza tym obawiała się reakcji Stuarta. Teraz nie mogła już dłużej zwlekać i chować głowy w piasek. Trzeba szybko coś zaplanować. Jeśli od razu zaczną działać, może jednak uda się zorganizować uroczysty ślub w białej sukni. Nie będzie pierwszą panną młodą, która pójdzie do ołtarza ukrywając pod koronkowymi falbankami pęczniący brzuch. A jeśli plotkarki będą szeptać za jej plecami, to co z tego? I tak mieli się ze Stuartem pobrać, a że stanie się to szybciej, niż przewidywali... cóż, po prostu będą musieli trochę zmienić plany.

Trzymając rękę w kieszeni płaszcz ukradkiem dotknęła brzucha. Wciąż był całkiem płaski, chociaż ostatnio zauważyła, że spódnice w talii stały się ciaśniejsze. Dziecko. W głębi jej ciała zaczynało się nowe życie - już się zaczęło. Dziecko. Prawdziwe, żywe stworzenie z małymi rączkami i nóżkami, z doskonale uformowanymi paluszkami. Chłopiec czy dziewczynka? Będzie podobne do niej czy do Stutarta? Prawdę mówiąc, nie miało to dla niej znaczenia. Pomyślała o jedynym niemowlęciu, jakie widziała z bliska, które urodziło się kiedyś w sąsiedztwie ich

komunalnego domu. Pamiętała otaczający je zapach pudru, jedwabiste włoski i niebieskie oczy, ufnie się w nią wpatrujące bez zmruczenia powiek. Przypomniała sobie, jaka ogarnęła ją wtedy czułość do dziecka, które przecież było cudze. To będzie jej własne - jej i Stuarta. Może ciąża nie jest takim wielkim nieszczęściem, tylko zdarzyła się w nie najlepszym momencie.

Sally podniosła głowę i rozejrzała się. Gdzie, u diabła, zawędrowała? Przeszła chyba całe kilometry. Ulicą jechała taksówka, więc podniosła rękę i przywołała ją. Nadal wszystko wydawało się jej nierzeczywiste.

Lepiej weź się w garść - nakazała sobie w duchu.

- Gdzie jedziemy? - zapytał taksówkarz. Patrzył na nią podejrzliwie.
- Do South Kensington - odparła. - I proszę się pospieszyć.
- Ciąża? - powiedział Stuart. - Jesteś w ciąży? Chyba żartujesz.

Siedzieli w swojej ulubionej hinduskiej restauracji. Złożyli już zamówienie, ale jeszcze nie podano potraw. Na twarzy Stuarta malowało się niekłamanie powątpiewanie. Mówił tak głośno, że na pewno słyszano go przy sąsiednich stolikach. Sally zaczęła żałować, że nie zaczekała z tą wiadomością do powrotu do domu, ale po chwili namysłu doszła do wniosku, że teraz, kiedy była już pewna, nie potrafiłaby milczeć ani chwili dłużej.

- Ciii! Cała restauracja cię słyszy - ostrzegła go.
- A czego się spodziewałaś? - Skrzywił się, ale zniżył głos. - Jak miałbym zareagować? Cięża!
- Nie ma wątpliwości. Lekarz zrobił mi test i dzisiaj odebrałam wynik. Jestem w trzecim miesiącu.
- Cholera jasna.

Podszedł kelner, niosąc zamówione curry. Sally utkwiała wzrok we własnych dłoniach, ciasno złożonych na kolanach, podczas gdy on zręcznie ustawiał półmiski i talerz frytek, które zamówił dla siebie Stuart.

- Czy jeszcze czegoś sobie państwo życzą? - zapytał kelner, starannie wymawiając słowa. Uśmiechał się od ucha do ucha. Sally zastanawiała się, czy usłyszał słowa Stuarta. Nawet jeśli tak, jego

znajomość angielskiego była pewnie tak słaba, że nic nie zrozumiał. Kelnerzy w tej restauracji zmieniali się bardzo szybko, wszyscy byli młodymi ludźmi, przybyłymi prosto z Indii

- zapewne bratankami, kuzynami i dalszymi krewnymi właściciela.

Dla każdego praca tutaj była tylko wstępem do nowego życia w nieznanym kraju.

- Mamy wszystko, co potrzeba - niecierpliwie odparł Stuart. Po odejściu kelnera mówił dalej: - Zjedzmy i wynośmy się stąd. Na litość boską, Sally! Dlaczego musiałaś zepsuć taki smaczny posiłek?

- Przepraszam... - Podniosła widelec i przesuwiała po talerzu ziarnka ryżu. Wiedziała, że nie będzie w stanie przełknąć ani kęsa. - Musiałam ci powiedzieć. Już nie mogłam dłużej w sobie tego dusić.

Nic nie odpowiadając, wysypał talerz frytek na ryż z curry. Jego twarz przybrała kamienny wyraz.

- Stuart! Powiedz coś, błagam! Spojrzał na nią z niechęcią.
- Co mam powiedzieć?
- Nie wiem... - odparła bezradnie. - Nie spodziewałam się, że tak zareagujesz...

- Aha! Pewnie myślałaś, że będę skakał z radości. Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. A w ogóle to nie wiem, po co mi o tym powiedziałaś. Przecież to nie moje dziecko, prawda?

- Stuart! - Przystała dłużyć widełcem w ryżu i spojrzała na niego przerażona. - O czym ty mówisz? Oczywiście, że twoje!

Prychnął z niedowierzaniem i niechęcią.

- Na miłość boską, zacznij jeść. Wszyscy się na ciebie gapią - pouczył ją.

Twarcz ją paliła. Zakłopotanie jeszcze bardziej pogłębiało cierpienie.

Próbowała jeść, ale nie mogła. Żołądek po prostu odmawiał posłuszeństwa. Zerknęła na Stuarda. Wyglądał jak jakiś nieprzyjazny, obcy człowiek. Teraz wiedziała, dlaczego tak bała się tej rozmowy. W głębi serca się spodziewała, że właśnie tak zareaguje. Już dawniej dostrzegła przebłyski jego zimnej, nieugiętej natury, skrywające się pod pogodnym, ciepłym sposobem bycia. Co dziwniejsze, chyba właśnie

przyciągała ją do niego świadomość, że jest w nim coś nieznanego, trochę mrocznego, coś co sprawiało, że ich związek był tak podniecający. Kochała go. Myślała, że jakoś da sobie z nim radę. Teraz już nie była taka pewna.

W milczeniu skończył posiłek, a Sally zmusiła się, żeby przełknąć kilka kęsów.

- Nie będziesz więcej jadła? - To jedyne, o co zapytał. Potrząsnęła głową. Wzniósł oczy do nieba, przywołał kelnera i zapłacił rachunek. Potem wyprowadził Sally na ulicę, gdzie zostawił samochód. Usiadła przygarbiona na miejscu obok kierowcy. Stuart patrzył prosto przed siebie. W żółtawym świetle ulicznych latarni jego profil rysował się twardo, wyniośle i nieubłaganie.

- Stuart... proszę...; Odwrócił się do niej.
- Oczywiście, pozbędziesz się tego. Żołądek podjechał jej do gardła.
- Nie! - zaprotestowała wstrząśnięta.
- W takim razie, co masz zamiar zrobić?
- Co ja mam zamiar zrobić? Przecież to powinna być nasza wspólna decyzja. - Patrzył na nią kamiennym wzrokiem. - Stuart, czy ty mówisz poważnie? Naprawdę nie wierzysz, że to twoje dziecko? Jak coś takiego mogło ci nawet przyjść do głowy?

- Przecież wiem, że uważałem. Nagle się rozżłościła.
- Widocznie niewystarczająco. Jak śmiesz mnie oskarżać, że pozwoliłam komu innemu...

- A skąd mam wiedzieć, że tak nie było?
- Skąd? Przecież mnie znasz. Kocham cię. Mamy się pobrać.

To tylko trochę przyspieszy ślub. Wiem, że nie tak sobie wszystko zaplanowaliśmy, ale przecież i tak mieliśmy założyć rodzinę, prawda? Po prostu stanie się to trochę wcześniej.

- Akurat.
- Co chcesz powiedzieć?
- Chryste, Sally! Nie mam najmniejszego zamiaru pakować się w ojcostwo.

- Ale teraz nie mamy innego wyboru. Chyba to rozumiesz.

- Mamy wybór. Usuń ciążę.

- Co ty mówisz? Nie mogłabym tego zrobić! Zabić własne dziecko? Nasze dziecko? Poza tym, i tak bym nie wiedziała, jak to załatwić.

Przecież to nielegalne.

- Są sposoby.

- Nie mogłabym!

- Jeśli nie potrafisz, to oddaj dziecko do adopcji.

- Nie! - To był jakiś koszmar. Zły sen. Zaraz się obudzi. - Proszę cię, przestań. Pobierzmy się. Jakoś damy sobie radę. Innym ludziom się to udaje.

- Ja nie jestem taki jak inni. Jeśli myślisz, że wezmę sobie na głowę żonę i nie chciane dziecko, to bardzo się mylisz. Jest zbyt wiele rzeczy, których chciałbym najpierw dokonać. - Uruchomił silnik. - Jeśli byłaś taka głupia, żeby zająć w ciążę, to teraz sama musisz sobie z tym kłopotem poradzić. Mnie w to nie mieszaj.

Nie potrafiła odpowiedzieć. Tak mocno drżała na całym ciele, że słowa nie wychodziły jej z gardła. Zatrzymał samochód przy krawężniku pod jej domem, ale nie wyłączył silnika.

- Nie wejdiesz na górę? - zapytała, nienawidząc siebie za ten pokorny, błagalny ton. Jednak nie umiała się powstrzymać. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna i przerażona, więc wbrew logice trzymała się nadziei, że jeśli usiądą razem i spokojnie porozmawiają, wszystko da się jeszcze naprawić. - Proszę... Chociaż na chwilę... - błagała.

Stuart niecierpliwie położył nogę na gazie.

- Nie dzisiaj. Chyba pójdę się upić. Dowiem się, gdzie można zrobić skrobankę, i zadzwonię do ciebie.

- Serdeczne dzięki, Stuart! Serdeczne dzięki! - Z oczami pełnymi łez gniewnie trzasnęła drzwiami samochodu. Jednak nawet teraz miała straceńczą nadzieję, że Stuart zmieni zdanie i pójdzie z nią na górę. Nie zrobił tego. Samochód ruszył z warkotem, a ona została sama na smaganej wiatrem ulicy.

- Kochanie, może rozsądniej byłoby usunąć ciążę? - powiedziała Laura-Jo. Postawiła filizankę kawy przed Sally, która oparła głowę na

rękach siedziała po drugiej stronie stołu. W miłym głosie Amerykanki słysząc było troskę. Od kiedy tydzień temu dowiedziała się o problemie Sally, nie była w stanie o niczym innym myśleć. Mężczyźni! Potrafią zachować się jak ostatnie świnie. Sama czuła się w jakimś sensie odpowiedzialna. Przecież to na jej przyjęciu Sally poznała Stuarta.

- Nie, nie zrobię tego - oświadczyła uparcie Sally. - Nie chcę się narażać na zabieg u jakiegoś pokątnego partacza.

- Są inne miejsca. Sporo by cię to kosztowało, ale przecież siostra chyba pożyczycy ci pieniądze? Nikt nie musiałby o tym wiedzieć. To tylko kilka dni w klinice. A do karty wpisaliby zapalenie wyrostka robaczkowego albo coś w tym guście.

Sally potrząsnęła głową.

- Nie o to chodzi. Odkryłam, że mam moralne zasady, których wcale u siebie nie podejrzewałam. Nie mogę zabić własnego dziecka.

- To jeszcze nie dziecko.

- Dla mnie tak. Ono żyje. Czuję je, o tutaj. - Przycisnęła dłonie do brzucha. - Wiem, że to tylko kruszyna, ale już je czuję. Gdybym je zabiła, nie mogłabym z tym dalej żyć.

- Kochanie! - Laura-Jo przysunęła krzesło i usiadła obok Sally. - W takim razie, co zrobisz?

- Nie wiem. Cały czas mam jeszcze nadzieję, że Stuart zmieni zdanie.

- Po tym wszystkim przyjąłabyś go z powrotem? - zapytała przyjaciółka.

Sally skinęła głową. Łzy zalśniły jej w kącikach powiek.

- Ciągle go kocham. Możesz powiedzieć, że zwariowałam, ale on naprawdę nie jest taki zły.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Po prostu się wystraszył. Może kiedy otrząśnie się z szoku...

Laura-Jo westchnęła. Nie chciała zdradzić Sally, że osobiście rozmawiała ze Stuartem, próbując go namówić, żeby spełnił swój obowiązek. Powiedział jej szorstko i dobitnie, żeby się nie wtrącała. Była teraz pewna, że Stuart nie zmieni zdania. Spojrzała na Sally, na jej

poszarzałą twarz i wielkie, ciemne sińce pod oczami. Widać było, że przeżywa piekło.

- Jeśli nie chcesz usunąć ciąży, póki nie jest za późno, to lepiej zacznij o siebie dbać, bo inaczej nie wiadomo, co może się z tobą stać... i z dzieckiem. Lepiej będzie zasięgnąć czyjejs porady. Potrzebujesz pomocy, Sally.

Miesiące upływały wolno, równie koszmarne i nierzeczywiste jak na początku. Sally pracowała, dokąd tylko była w stanie, ukrywając rosnący brzuch pod luźnymi bawełnianymi sukienkami, chociaż dopiero w szóstym miesiącu jej ciąża zaczęła być widoczna. Udało się jej uniknąć wizyt w domu. Ojciec i matka o niczym jeszcze nie wiedzieli i chciała, żeby tak pozostało. Laura-Jo załatwiła Sally wizytę u opiekunki społecznej. Choć niechętnie, dziewczyna się zgodziła - trzeba było działać rozsądnie. Ukrywanie się i udawanie, że nic się nie stało, nie zmieni rzeczywistości.

Pracownica opieki społecznej okazała się rzeczową kobietą w średnim wieku, o potarganych siwych włosach.

- Nie ma możliwości, żebyś wyszła za mąż za tego człowieka? - zapytała.

- Nie - odparła Sally. Od tygodni nikt nic o Stuarcie nie słyszał. Po tym okropnym wieczorze Sally spotkała się z nim kilka razy, ale zachowywał się tak samo wrogo jak przedtem. Dał jej adresy, pod którymi można było dokonać aborcji, ale kiedy stanowczo odmówiła, wymyślał ją. Krążyły pogłoski, że wyjechał za granicę, i Sally powoli zaczęła godzić się z myślą, że wszystko między nimi skończone. Została sama, zdana na własne siły.

- Zamierzasz zatrzymać dziecko czy oddać je do adopcji?

- Nie wiem.

- Przedyskutujmy to. Żadna z tych możliwości nie jest prosta.

Samotne wychowywanie dziecka stwarza wiele problemów. Jestem pewna, że zdajesz sobie z tego sprawę. Adopcja też nie jest łatwym wyjściem. Jest wiele par, które z radością przyjmą nieślubne dziecko i dadzą mu wspaniały dom. Być może dla dziecka byłoby to najlepsze. Ale

nie wyobrażaj sobie, że dla ciebie będzie to łatwe. Więzy macierzyńskie są bardzo mocne.

- Chyba nie mam wyboru, prawda? - zapytała Sally.
- Czy rodzina by ci pomogła?
- Nie chcę wracać do domu. - Sally nie powiedziała, że rodzice nic nie wiedzą.

- W takim razie najlepiej będzie załatwić ci miejsce w domu matki i dziecka. Będiesz mogła tam mieszkać przynajmniej przez sześć tygodni po porodzie. Spotkasz dziewczęta w podobnej sytuacji i będziesz miała możliwość się przekonać, jaki jest twój stosunek do dziecka. Do tego czasu nie należy podejmować żadnych wiążących decyzji.

Sześć tygodni z dzieckiem! Po sześciu tygodniach na pewno nie będę w stanie nikomu go oddać - myślała Sally. Zdała sobie sprawę, że nieświadomie już podjęła decyzję.

- Nie chciałam iść do domu matki i dziecka - oświadczyła. - To brzmi jak więzienie. Chciałabym teraz zdecydować. Czy nie mogę oddać dziecka do adopcji, nawet go nie oglądając?

- Nie pochwalamy takich praktyk - powiedziała surowo kobieta. - Zawsze wynikają z tego problemy. Przygniotłoby cię poczucie winy, że odmówiłaś dziecku najbardziej podstawowej formy miłości. Widziałam już wiele dziewcząt, które po takiej decyzji trafiły do szpitali psychiatrycznych. Cokolwiek zadecydujesz, moim zdaniem powinnaś spędzić z dzieckiem co najmniej dwa tygodnie.

Sally mechanicznie kiwnęła głową.

- Dobrze. Ale chciałam, żeby zostało zaadoptowane najszybciej, jak to możliwe.

Pracownica opieki społecznej spojrzała na nią potępiająco. Jej oczy mówiły: „Pamiętaj, że cię ostrzegłam”.

- Zapiszę o tobie kilka informacji, żeby je przekazać agencji adopcyjnej. Czy masz jakieś życzenia, jeśli chodzi o religię? - Sally patrzyła na nią nie rozumiejąc, o co chodzi, więc dodała niecierpliwie: - W jakiej religii ma być wychowane dziecko? Jakiego jesteś wyznania?

- Anglikańskiego - odparła Sally, która od dziesięciu lat nie była w

kościelnie.

- Dobrze. Skontaktuję cię z Anglikańskim Towarzystwem Adopcyjnym - powiedziała kobieta. - Udzielę ci takich samych rad jak ja.

Odsunęła od siebie filizankę, stojącą między papierami na biurku, i uśmiechnęła się bezosobowo. Sally zrozumiała, że rozmowa dobiegła końca.

Dziecko urodziło się w maju i kiedy tylko Sally je zobaczyła, od razu wiedziała, że bez względu na trudności, w żadnym wypadku się z nim nie rozstanie.

Leżała w szpitalnym łóżku, wyczerpana po wielogodzinnym porodzie i obolała od świeżo założonych szwów. Piersi jej nabrzmiały, chociaż dostała zastrzyk powstrzymujący laktację. Pragnęła tylko, żeby pielęgniarka znów pokazała jej dziecko. Synek był taki słodki. Miał wilgotną główkę, trochę zniekształconą po ucisku podczas porodu, duże niebieskie oczy i maleńki nosek. Kto powiedział, że noworodki są czerwone, pomarszczone i brzydkie? Mark wcale taki nie był. Wyglądał pięknie i uwielbiała go od pierwszego wejrzenia.

Mark. Chociaż wcześniej zdecydowała się oddać dziecko do adopcji, wybrała dla niego imię, nie tyle po to, żeby mu je nadać, ale żeby nie pozbawiać go indywidualności. Chłopiec miał nazywać się Mark, a dziewczynka Sara. Przez chwilę była przerażona, kiedy powiedziano jej, że urodziła chłopca. Towarzystwo adopcyjne znalazło dla niej parę, która czekała na dziewczynkę. Zaraz potem odczuła wielką ulgę. Nikt nie będzie na nią naciskał. Gdyby urodziła dziewczynkę, byłoby to tak, jakby wypełniała zamówienie tej nieznanym pary. Chłopiec należał do niej, i tylko do niej. Kiedy leżała z nogami w strzemionach, rozciągnięta jak patroszona kura, na fotelu ginekologicznym, a lekarz „robił z nią porządek”, jak nazywano tu zakładanie szwów, doznała chwilowego uczucia triumfu. Po raz pierwszy cieszyła się, że Stuart ją opuścił. Nie chciała z nikim dzielić się dzieckiem, nawet z nim. Zwłaszcza z nim!

Następnego dnia odwiedziła ją Laura-Jo, obładowana kwiatami, czekoladkami i winogronami. Po drodze na oddział zajrzała do sali noworodków i zobaczyła Marka.

- Jest cudowny! - opowiadała z entuzjazmem.
- Wiem - odparła Sally z zadowoloną miną. - Nie sądzisz, że to najpiękniejsze dziecko na całej sali? Mówią też, że jest bardzo grzeczny. Nawet kiedy inne dzieci płaczą, on nie chce się do nich przyłączyć.
- Nigdy go nie oddasz - domyśliła się Laura-Jo.
- Nie - potwierdziła Sally. - Wiem. Nie rozumiem, jak mogłam nawet o czymś takim pomyśleć.

Laura-Jo uśmiechnęła się. Ona również zakochała się w Marku.

- W takim razie wszyscy będziemy musieli ci pomóc - oznajmiła.

Sally od początku wiedziała, że to nie będzie łatwe. Kiedy początkowa euforia osłabła, pojawiły się problemy. Trzeba było zawiadomić rodziców. Stawianie ich przed faktem dokonanym było wiele gorsze niż stopniowe oswajanie z prawdą. Jednak kiedy otrząsnęli się z szoku, błagali córkę, żeby wróciła do domu i pozwoliła sobie pomóc w wychowaniu syna. Sally odmówiła. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała niezależności. Uprosiła właściciela domu, żeby pozwolił jej zatrzymać pokój do czasu, kiedy Markowi będzie potrzebne więcej przestrzeni do biegania, i załatwiła opiekunkę do dziecka. Laura-Jo i jej przyjaciółki spełniały role honorowych cioci i rozpieszczały Marka do ostatnich granic, ale Sally, wyczerpana po nieprzespanych nocach i długich, pracowitych dniach, wiedziała, że odpowiedzialność spoczywa na niej, i tylko na niej. Przez wiele lat nie będzie miała życia towarzyskiego, czasu dla siebie ani pieniędzy. Nie zainteresują się nią żadni mężczyźni, oprócz tych, którzy uważają samotną matkę za łatwą zdobycz. Być może już nigdy nie znajdzie się człowiek, który chciałby się z nią związać i wziąć odpowiedzialność za cudze dziecko. Na tę myśl Sally wzruszyła ramionami. Niech tak będzie. Nic ją to nie obchodzi. Od mężczyzn nie zaznała niczego oprócz krzywd. To banda samolubnych sukinsynów. Teraz Mark jest wszystkim, czego pragnie. Będzie dla niego bardzo dobrą matką.

Czasami, kiedy znajdowała się na skraju załamania, pocieszała ją jedna triumfalna myśl.

Nareszcie w czymś cię prześcignęłam, Paula! Wreszcie w czymś

jestem lepsza!

Cześć trzecia

Rozdział trzynasty

Tom O'Neill przyjechał do komendy policji dokładnie dwie minuty przed umówionym spotkaniem. Został wprowadzony do słonecznego gabinetu, gdzie światło, przenikając przez żaluzje, tworzyło jasne poprzeczne smugi. Szef policji wstał zza biurka i wyciągnął rękę.

- Dzień dobry, panie O'Neill. Robert Gascoyne. Czym mogę służyć? Tom uścisnął wyciągniętą dłoń.
- Jestem bardzo wdzięczny, że zechciał mi pan poświęcić czas. Jak już wspomniałem przez telefon, pracuję dla towarzystwa ubezpieczeniowego British and Cosmopolitan. Towarzystwo to wypłaciło wysokie odszkodowania w związku ze śmiercią Grega Martina i jego towarzyszką Pauli Varny, którzy zginęli w czasie eksplozji jachtu w sześćdziesiątym siódmym roku. Teraz, rzecz jasna, chcielibyśmy

wiedzieć, czy nie padliśmy czasem ofiarą oszustwa. Z tego, co wyczytaliśmy w prasie, wygląda, że niestety tak. O ile dobrze zrozumiałem, jakaś kobieta zgłosiła się do pana, żeby złożyć skargę. Z tego, co powiedziała, wynika w miarę jasno, że niejaki Greg Martin żyje. Ta pani nazywa się Maria Vincenti, jeśli dobrze pamiętam, i mieszka w Darling Point.

- Maria Vincenti. Owszem. Może pan spocznie, panie O'Neill. Komendant policji, Robert Gascoyne, był dużym, opalonym mężczyzną; w jego sposobie bycia nie było nic charakterystycznego. Urodził się i wychował na nizinnej, płaskiej jak stół, farmie w okolicach Echuka, w Victorii, ale od trzydziestu lat mieszkał w Sydney, albo pod Sydney, a nieco pogardliwy stosunek sydneyczyków do niego, przybysza z zewnątrz, załazł mu nieźle za skórę i ochłodził i tak już powściągliwy sposób bycia. Tymczasem australijskie słońce spaliło mu skórę na brąz. Poza tym praca w policji New South Wales nauczyła go cynizmu; teraz, gdy zbliżał się do emerytury, marzył tylko o tym, żeby jak najwięcej czasu spędzać na łódce, łowić ryby, a za całe towarzystwo mieć mewy i kilka puszek piwa. Jeśli chodzi o ludzi, mógł się bez nich obyć. Przez ostatnie trzy dekady tyle widział draństwa na tym świecie, że wystarczy mu tego już do końca życia. Oszuści, krętacze, drobni przestępcy, mordercy - z wszystkimi się zdążył zetknąć, z każdym się rozprawiał. Przegranych rozpoznawał na kilometr i do nich zaliczył też Marię Vincenti, tę Włoszkę, która przyszła do niego z mocno naciąganą historią o reinkarnacji niejakiego Grega Martina. Tak, pani Vincenti dostała od życia po nosie, mimo że pławiła się w luksusie i ponoć miała odziedziczyć we Włoszech fabryki tekstylne warte ogromną fortunę. Przegrana baba. Co gorsza, pijaczka. Gascoyne nie szanował ludzi, którzy nie znali w picu umiaru.

- O ile dobrze zrozumiałem, Maria Vincenti twierdzi, że żyła z Gregiem Martinem przez ostatnie dwadzieścia lat - powiedział Tom, kładąc na biurku teczkę z aktami.

- Tak twierdzi - przytaknął komendant bez przekonania. W oczach Toma pojawił się błysk czujności.

- Pan jej nie wierzy?

- Gdybym wierzył we wszystko, co mówili mi ludzie, od kiedy pracuję w policji, nie siedziałbym tu za tym biurkiem - odparł Gascoyne bez uśmiechu. - Niech pan spojrzy na to z innej strony. Ze sprawami takimi jak ta zawsze łączy się wiele szumu, więc zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce zdobyć sobie trochę sławy i rozgłosu. Ileż to razy, na przykład, przychodziły tu najróżniejsze typy, żeby mi opowiedzieć, jak to widzieli Lorda Lucana! A jeśli chodzi o tę panią Vincenti, czy panią Trafford, bo twierdzi, że tak się ostatnio nazywa, naprawdę trudno ją uznać za rzetelnego świadka. Przypuszczam, że jeszcze jej pan nie widział, co? - Tom potrząsnął głową. - No cóż, kiedy ją pan pozna, zrozumie pan w czym rzecz. Ma kupę forsy, naprawdę kupę. Całe życie w ten czy w inny sposób ściągała na siebie uwagę. Przyzwyczała się do tego, a tu nagle koniec! Pije jak smok. Poza tym kipi pretensjami do Michaela Trafforda, swojego konkubina. Czy pan wie, do czego jest zdolna zawiedziona kobieta? Niech mi pan wierzy, że nie jest pierwszą, która chce urządzić facetowi piekło po to tylko, żeby się na nim zemścić.

- Więc nie wszczął pan żadnych poszukiwań?

- Tego nie powiedziałem. - Komendant przeczesał palcami rzednące włosy. - Wie pan co? Powiem panu szczerze i obydwaj zaoszczędzimy sobie sporo czasu. Jest w tej historii parę zastanawiających szczegółów, których prasa nie zdążyła jeszcze wywęszyć. To, z czym przyszła do nas pani Trafford, nie było wyłącznie oskarżeniem, że facet ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem. To tylko część sprawy. Reszta jej oskarżeń nakłada na nas obowiązek wdrożenia śledztwa, niezależnie od faktu, czy wierzymy w zasadność jej zarzutów czy nie. Ale zanim opowiem panu o tym, musi mi pan obiecać, że potraktuje pan te informacje jako bardzo poufne. Nie chciałbym przeczytać o naszej rozmowie w jutrzejszej porannej prasie.

- To się rozumie samo przez się - odparł Tom urażony. - Nie lubię ryszotkowej prasy równie gorąco jak pan.

Gascoyne skinął głową.

- Doskonale. Pani Vincenti zjawiła się u nas, ponieważ uznała, że jej

życie jest w niebezpieczeństwie. Twierdzi, że doszło do zamachu na nią i że zaaranżował go jej nieformalny mąż.

Tom gwizdnął.

- Wynajął kogoś do mokrej roboty? Po co miałyby to robić?

Komendant rozsiadł się swobodnie w fotelu i jakiś czas toczył w palcach ołówki.

- Jak już mówiłem, pani Vincenti jest bardzo bogatą kobietą.

Wyobrażam sobie, że tę posesję w Darling Point kupili za jej pieniądze i właśnie dzięki zasobom pani Vincenti byli w stanie żyć na najwyższym poziomie przez tyle lat. O, wszyscy dokoła ich znali i traktowali jako parę małżeńską. Wiedzieli, że Traffordowie zupełnie nie liczą się z groszem. Michael Trafford zajmował się sprzedażą nieruchomości, był też finansistą. Pewnie w rok zarabiał więcej niż ja przez dziesięć lat, ale prawdziwe pieniądze wносиła głównie ona. Teraz wygląda na to, że on przygruchał sobie młodszą panienkę i chce z nią założyć dom. To oczywiście duży cios dla biednej Marii, ale patrząc na nią, trudno się Traffordowi dziwić. Tylko, rzecz jasna, to ona siedzi na forsie. Gdyby od niej odszedł, odciąłby sobie znaczne źródło dochodu. Poza tym, nie robiąc z tego tajemnicy, sporządziła testament na jego korzyść. Wobec tego, zgodnie z tym, co mówi nasza Maria, Trafford postanowił odzyskać wolność i zdobyć bogactwo, które by mu przypadło, gdyby pani Vincenti jakimś dziwnym trafem akurat zmarła wcześniej.

Tom pokiwał głową w zamyśleniu.

- Dramatyczna opowieść. Co się stało, że nabrała podejrzeń?

- Kilka tygodni temu omal nie wpadła pod samochód. Była tym wtedy wstrząśnięta, ale puściła incydent w niepamięć, choć, jak twierdzi, „Trafford zachował się dziwnie”. To jej słowa. Potem zaczęła podejrzewać, że ktoś ją śledzi, i któregoś wieczoru, kiedy Trafford wypuścił się na miasto w interesach z jakimś znajomym, a pokojówka akurat miała wolny dzień, pani Vincenti zobaczyła, że ktoś kręci się po jej ogrodzie. Potem ten ktoś zadzwonił do jej drzwi, ale Maria nie otworzyła, tylko dała znać na policję. Jeden z moich ludzi pojechał do niej, ale nic nie odkrył. Stwierdził tylko, że pani Vincenti jest śmiertelnie

przerazona. Opowiadała potem, że Trafford wrócił do domu po północy. Przyprowadził swojego znajomego. Jej zdaniem sprowadził go po to, żeby mieć świadka, kiedy znajdzie zwłoki. Maria utrzymuje, że był jak rażony gromem, kiedy zobaczył ją żywą. Jak tylko kolega wyszedł, rozpętała się potworna awantura. Trafford spakował manatki i wyszedł z domu z walizką. Od tamtej pory już go nie widziała.

- A co Trafford na to?

- Ha! Tego właśnie nie wiemy. Nie mieliśmy okazji jeszcze z nim rozmawiać. Maria nie wie, dokąd wtedy poszedł, a w biurze albo rzeczywiście też nie mają pojęcia gdzie jest, albo nam nie chcą powiedzieć.

- Ale szukacie go?

- Postępowanie w toku. Jednak na pana miejscu nie podskakiwałbym jeszcze z uciechy. Ten facet może być na dobrą sprawę wszędzie. Australia to duży kraj, panie O'Neill.

- Zauważyłem - powiedział Tom sucho. - A tak, poza protokołem, jakie ma pan przeczucia? Myśli pan, że ona mówi prawdę?

Gascoyne wzruszył ramionami.

- Dziwniejsze rzeczy widziałem. Ale we mnie zawsze siedzi stary cynik. Ktoś taki jak Martin miałby żyć pod naszym nosem jako nielegalny imigrant przez dwadzieścia lat?! Jakoś trudno to przełknąć. A tak prywatnie powiem panu, że ta baba to niezła histeryczka. I za dużo pije. Ale jak już mówiłem, musimy wdrożyć postępowanie pod zarzutem usiłowania zabójstwa. Na mój nos jednak nie znajdziemy tu nic oprócz małżeńskich niesnasek. Facet ją zostawił. Do tego to się sprowadza. A ona nie może, albo nie chce, się z tym pogodzić, ot co.

- Jak ta historia trafiła do gazet?

- Ona im powiedziała. Była chyba mocno zawiedziona, że po jej zgłoszeniu nie zaczęliśmy latać nerwowo jak z pieprzem.

- Ale nie mówiła im o zamachach?

- Nie. Najwyraźniej nie.

- To dziwne, nie uważa pan?

- Niekoniecznie. Trudno przewidzieć, jak zachowa się kobieta tak

niezrównoważona jak Maria. Na pewno bardzo się boi, co do tego nie mam wątpliwości. Tak czy owak, narobiła w końcu wystarczająco dużo szumu. Połowa australijskich sępów rozsiadła się przy Darling Point. Musieliśmy ustawić policjanta pod drzwiami jej domu, żeby powstrzymał co bardziej energicznych dziennikarzy. Najpierw narozrabiała jak trzeba, a potem zaczęła się skarżyć, że zakłócają jej spokój.

- A więc dopięta swego - mruknął Tom w zamyśleniu. - Zdobyła sobie ochronę policji.

- Dość bezpardonowo, powiedziałbym.

- Ale skutecznie. Nawet najbardziej napalony wariat nie spróbuje jej teraz tknąć, kiedy przed domem sępi połowa światowej prasy, a pański człowiek broni wejścia do domu. - Wstał. - Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić tyle czasu, panie komendancie. Dziękuję też za szczerość.

- Pan i tak będzie go szukał na własną rękę? Tom kiwnął głową.

- Jest kilka spraw, które muszę rozwikłać. Mam nadzieję, że nie uzna pan, że depczę panu po piętach. Muszę przekonać się na sto procent, czy ta historia jest rzeczywiście tylko wytworem wyobraźni Marii Vincenti. Rozumie pan, że w przeciwieństwie do pana, mam akurat wiele powodów, by życzyć sobie, żeby pan Michael Trafford i Greg Martin okazali się tą samą osobą. Zbierając wszystko razem, mógłbym powiedzieć, że mam milion powodów.

Gascoyne wyciągnął rękę.

- No cóż, życzę powodzenia. Chciałby jeszcze tylko wyrazić nadzieję, że jeśli wytropi pan coś, o czym powinniśmy wiedzieć, będzie pan równie szczery wobec mnie, jak ja wobec pana.

- Oczywiście. - Tom uściśnął dłoń komendanta. - Będę w kontakcie. I jeszcze raz dziękuję za pańską pomoc.

Kiedy wyszedł z gabinetu, Gascoyne w zamyśleniu jeszcze kilka chwil wpatrywał się w zamknięte drzwi. Czyżby pomylił się co do Marii Vincenti? Czyżby nie była to tylko czcza gadanina? No cóż, gdyby nawet, to przecież wiedział, że Tom O'Neill na pewno wygrzebie dokładnie wszystko, co trzeba. A jeśli nie...?

Gascoyne przyjrzał się górze raportów na biurku i westchnął. Przez chwilę żałował, że nie jest już młody jak Tom, lecz stary, zmęczony i przywalony kupą papierzysk, które mają niewiele wspólnego z prawdziwą pracą w policji. Ale była to tylko przelotna myśl. W swoim czasie pracował na linii frontu. Teraz pragnął tylko jednego - zamknąć drzwi biura po raz ostatni w życiu, wsiąść na łódkę i wreszcie zacząć wędkować.

Taksówka zjechała w dół wzgórza nad Double Bay, a potem znów zaczęła się wspinać w kierunku luksusowych domów, które niczym klejnoty zdobiły wzniesienie Darling Point. Słońce paliło bez litości; strumienie błyszczącego złota przebijały czyste australijskie powietrze. Niebo było agresywnie niebieskie i zdawało się, że wisi tak nisko, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by go dotknąć. Daleko w dole osrebrzone morze lśniło tym samym odcieniem błękitu.

Harriet siedziała obok taksówkarza i ścisnęła torbę na kolanach. Sydney - miasto srebra i błękitu. Ta niemal bolesna jasność była pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, kiedy Boeing 747 zbliżał się do lądowania. Zatoka, Harbour Bridge i wielopłaszczyznowy dach opery przechwytywały i odbijały blask słońca, zamieniając go w kalejdoskop jasności. Mimo całego zaferowania czuła, że robi to na niej duże wrażenie. Bo któż widząc tę olśniewającą srebrzystość pozostałby obojętny? Jednak po nocy spędzonej w Hiltonie australijski spektakl stracił na wyrazie, zepchnięty w kąt przez inne, ważniejsze sprawy. Gdyby odwiedzała ten kraj jako turystka, mogłaby się upajać i rozkoszować widokami. Gdyby przyjechała tu jako reporterka, szukałaby nowego spojrzenia na Australię. Ale przyleciała tu w zupełnie innej roli. Sydney było dla niej miastem, gdzie wreszcie, po dwudziestu latach, miała szansę poznać losy matki.

Przesunęła się trochę na siedzeniu. Coś ścisnęło ją w żołądku; jedwabna koszula, mokra od potu, przykleiła się do karku i winylowego fotela. Posesje, które mijali, były duże, imponujące, wzniesione według przemyślanych architektonicznych projektów. Zbudowane z czerwonej cegły albo okładane lśniącymi białymi płytkami wyglądały jak wielkie

lukrowane weselne torty; każdy z domów miał werandę, a przed nią ogród pełen róż i nagietków. Tego się, oczywiście, należało spodziewać. Ten Greg Martin, który przerzucał miliony dolarów - czasem, rzecz jasna, nielegalnie - musiał mieć wszystko co najlepsze, a Maria Vincenti, Maria Trafford, czy jak tam się teraz nazywała, była w końcu pełnoprawną dziedziczką wielkiej fortuny. Pieniądze nie stanowiły dla niej najmniejszego problemu. Może właśnie dlatego byli w stanie żyć tutaj w nie zakłóconym spokoju przez niemal ćwierć wieku? Bogactwo zapewnia ludzki szacunek, jak by to powiedzieli cynicy.

Daleko w dole, za srebrzystą smugą po zatoce kręciły się jachty z Rushcutters. Spoglądając na nie, Harriet odczuła kolejny skurcz żołądka. Może jeden z nich należy do Grega Martina, zgodnie z zasadą, że kto raz pływał po morzu, ten na zawsze zostanie żeglarzem? A może po tamtej eksplozji zdecydował, że jego noga więcej nie postanie na pokładzie jachtu? Nie, niemożliwe. Gdyby nawiedzały go przykre wspomnienia, nie kupiłby sobie domu z widokiem na morze i to niezależnie od prestiżu, jaki wiązał się ze wspnianym otoczeniem. Wymyśliła następny dowód - jakby w ogóle trzeba było ich szukać - że nic go nie przesładuje: przecież eksplozja u wybrzeży Włoch nie była wcale wypadkiem!

Gwałtownie odwróciła wzrok, a potem siłą woli znów spojrzała na wodę. Zanim to wszystko się skończy, będzie się pewnie musiała zmierzyć z czymś dużo bardziej bolesnym niż widok kilku luksusowych jachtów. Skoro nie jest na to przygotowana, powinna odwieść na kołku dalsze poszukiwania, wrócić do domu i zakopać głowę w piasek, tak jak to robią Sally i ojciec. Nie, Harriet nie miała zamiaru wracać.

Zmrużyła oczy przysłonięte ciemnymi okularami. Zdumiewał ją stosunek ojca i Sally do tej historii, ich lęk, że przez dwadzieścia lat misternie tkana sieć zostanie nagłe zdarta i obnaży przeszłość, cokolwiek by w niej było. Takiej reakcji mogła spodziewać się po ojcu - zawsze udawał strusia, gdy tylko w grę wchodziły niemiłe fakty, które wolał omijać z daleka. Harriet rozumiała, że nie chce rozdrapywać starych ran. Widziała, ile w nim jeszcze bólu. Być może właśnie to tłumili w Hugonie wszelką ciekawość, jaką odczuwałby w innych

warunkach. Ale Sally...? Jej Harriet zupełnie nie rozumiała. Przecież ciotka powinna, tak samo jak ona, chcieć się dowiedzieć, czy mama żyje czy nie. Jeśli żyje, to się z nią zobaczyć, jeśli nie, to dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość i żeby człowiek, który spowodował jej śmierć, został właściwie ukarany. Ale Sally okazywała jeszcze więcej niechęci, by zmierzyć się z duchami przeszłości, niż ojciec. I do samego końca błagała Harriet, żeby nigdzie nie jechała, niczego nie szukała.

- Rozgrzebywanie przeszłości nie ma żadnego sensu - mówiła. - Ona nie żyje i, na litość boską, niech spoczywa w spokoju!

Spod wypracowanego makijażu przebijała upiorna bladość skóry i sińce pod oczami - najlepszy dowód bezsennych nocy.

- Przepraszam cię, Sally - odparła na to Harriet. - Nie mogę tak po prostu wrócić do Londynu i udawać, że nic się nie stało. Zresztą i tak ten przeklęty detektyw nie pozwoli jej spoczywać w spokoju, dopóki się nie dokopie prawdy. Ty może gotowa jesteś dowiedzieć się o tym z drugiej ręki, ale ja nie mam takiego zamiaru! Była moją matką i chcę być na miejscu, blisko, jeśli on ją znajdzie.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Sally, splatając dłonie, by opanować ich drzenie.

- Najpierw pojedę do Sydney, żeby porozmawiać z Marią Vincenti. Jeśli to prawda, że żyła z Martinem przez dwadzieścia lat, to musi coś wiedzieć.

- Skąd wiesz, że zechce się z tobą spotkać?

- Spotka się ze mną na pewno - odpowiedziała Harriet, zaciskając usta w wąską linię.

Kiedy jednak znalazła się w Australii, straciła tę niezachwianą pewność. Po przyjeździe usiłowała z hotelu dodzwonić się do Marii, lecz przestraszona Włoszka po chwili odłożyła słuchawkę. Może Maria nie zechce jej wcale przyjąć? Może już jej dopiekło to zamieszanie, które wywołała? A może po prostu nie chce oglądać córki byłej kochanki mężczyzny, z którym przeżyła aż dwadzieścia lat. Jest w końcu Włoszką, a jak wiadomo Włosi słyną z temperamentu i zazdrości. Kto wie, czy nie lepiej zjawić się bez zapowiedzi? Postanowiła więc wykorzystać tę samą

taktykę, której Tom O'Neill użył wobec niej. Działać z zaskoczenia. Jeśli nawet nie będzie to zbyt miłe, to trudno.

- Jest pani reporterką? - spytał taksówkarz i wyrwał ją z głębokiego zamyślenia; głową wskazywał aparat, sterczący z nie domkniętej torby. - Dla kogo pani robi? „Sun”? „News of the World”? Czy dla prasy amerykańskiej?

- Nie przyjechałam tu po zdjęcia. Roześmiał się.

- Jeszcze trochę, a udałoby się pani mnie oszukać. Choć prawdę mówiąc, większość z was nie próbuje tego w ogóle ukryć.

- Kto taki?

- *Paparazzi*. Chryste, panienko. Dobra pani jest, nie powiem. Naprawdę życzę powodzenia. A w tym tłumie, który już tam przesiaduje, przyda się pani łut szczęścia. No, jesteśmy na miejscu. Widzi pani, co miałem na myśli?

Wzięli ostatni zakręt i Harriet zrozumiała. Kiedy opuścili ruchliwe centrum miasta, jechali wyłącznie cichymi, spokojnymi uliczkami. Teraz jednak zobaczyła przed białą dużą posesją nieprzytomnie zatłoczoną ulicę. Niektórzy z dziennikarzy stali w grupkach i palili, inni siedzieli na krawężniku w cieniu drzew, opierając aparaty na kolanach. *Paparazzi* - przedstawiciele światowej prasy - czekali, aż choćby na chwilę ukaże im się kobieta, która po dwudziestu latach zdecydowała się wystawić Grega Martina.

- Cholera! - burknęła Harriet. Taksówkarz znów się roześmiał.

- A czego się pani spodziewała, co? Że będzie pani jedyna? Nie wiem, co ten facet zrobił, dwadzieścia lat temu za bardzo byłem zajęty swoimi sprawami, żeby się przejmować tym, co wypisują w gazetach. Ale jak widać, musiał nieźle narozrabiać. - Zatrzymał samochód i nie wyłączał silnika. - Dalej już nie da rady.

Harriet z niedowierzaniem omiotła tłum spojrzeniem. Co za małpi gaj! Nawet jakiś policjant stał pod drzwiami domu! Nie miała najmniejszych szans przedrzeć się obok niego. Ten gliniarz, podobnie jak przed chwilą taksówkarz, weźmie ją za kolejną reporterkę.

- Gdzie jest najbliższy telefon? - spytała.

- Nie wiem. Chce pani, żebym się rozejrzał?

- Tak... Nie. - Nie chciała odbywać tak delikatnej rozmowy z publicznego telefonu i niepokoić się, że zanim zdąży wytłumaczyć, o co chodzi, zabraknie jej drobnych. - Niech mnie pan odwiezie z powrotem do hotelu.

Popatrzył na nią jak na wariatkę, a potem wzruszył ramionami.

- Jak pani sobie życzy.

Kiedy już zaczął zawracać, Harriet zaczęła gwałtownie przywoływać się do porządku. Tchórz! Wymyśliła sobie kolejny powód, żeby uniknąć spotkania z Marią Vincenti. Kolejny pretekst, żeby odsunąć od siebie chwilę prawdy. Czy po to przeleciała pół świata, żeby się poddać przy pierwszych trudnościach?

- Stać! - krzyknęła ostro.

Zahamował, potrząsając głową. Jeśli miał jeszcze jakieś wątpliwości, teraz z pewnością się ich wyzbył. Wariatka! Ale tacy byli wszyscy *paparazzi*. I nic dziwnego. Co to za sposób zarabiania na życie!

Harriet grzebała w torebce, szukając kawałka papieru i długopisu. Znalazła notes, w którym zapisywała szczegóły robionych zdjęć - kartki miały nadruk firmy wywołującej fotografie. Niedobrze. To ją zaszufadkuje jako kolejną reporterkę i jeśli Maria nigdy o niej wcześniej nie słyszała, nabierze słuszných podejrzeń. Wepchnęła więc notes do torebki i wyrwała kartkę z kalendarza. Nie było to idealne rozwiązanie, ale nie znalazła nic lepszego. Przez dobrą chwilę zastanawiała się, co chce powiedzieć, a potem zaczęła szybko pisać. Kolejne przeszukiwanie torebki zaowocowało dokładnie tym, co trzeba - wyciągnęła z niej starą kopertę zaadresowaną do siebie na londyński adres. To posłuży za dowód identyfikacyjny. Wetknęła przed chwilą napisany liścik do środka.

- Niech pan czeka! - rzuciła taksówkarzowi. - Jeżeli ten list nie poskutkuje, będzie mi pan potrzebny.

Wywrócił oczami.

- Ale jeśli nie robi to pani różnicy, niech mi pani zapłaci od razu. Tyle, ile mam teraz na liczniku.

- Dobrze, dobrze... - Dała mu pieniądze, a potem ruszyła ulicą. *Paparazzi* ożyli nagle jak marionetki w czarodziejską noc - zaczęli się przepychać, tłoczyć, robić szum. Harriet nie zwracała na nich uwagi. Jakiś sprytny facet oderwał się od grupki dziennikarzy i pobiegł do taksówki - pewnie chce się dowiedzieć o niej czegoś od kierowcy. Hm, niedobrze. Jeśli taksówkarz nie będzie trzymał języka za zębami - a kilkaset dolarów pozbawi go skrupułów - dojdą do tego, że zatrzymała się w Hiltonie. Ale przynajmniej nie zna jej nazwiska. Cóż, przy najdrobniejszej zapowiedzi kłopotów po prostu wyprowadzi się stamtąd i znajdzie inne miejsce.

Kiedy weszła przez bramę na zwirowaną ścieżkę, podszedł do niej policjant.

- Przepraszam, ale weszła pani na teren prywatny. Proszę czekać z innymi na ulicy. Choć właściwie zupełnie nie wiem na co.

- Nie jestem z prasy. - Wyciągnęła kopertę. - Czy zechce pan to przekazać pani Trafford?

Miał niewyraźną minę.

- To sprawa osobista. Jestem absolutnie pewna, że pani Trafford zechce się ze mną spotkać - oznajmiła najbardziej autorytatywnym tonem i z ulgą przyjęła fakt, że policjant wyciągnął rękę po list.

- Dobrze, ale proszę zaczekać przed bramą, dopóki nie pozwolę pani wejść do środka.

- Nie życzę sobie, żeby mnie pan traktował jak kryminalistkę! Skoro tak nalegała, ustąpił. Było w niej coś. Nie bardzo umiał to nazwać, ale przypuszczał, że dałoby się to zamknąć w kilku słowach: ta dziewczyna miała po prostu klasę. Tak, miała klasę. To odróżniało ją od zgrai na zewnątrz, z której każdy reporter chwyciłby się dowolnej sztuczki, byle tylko przedrzeć się jakoś do środka i wyrwać dla siebie sensację.

- Niech pani tu zaczeka. Tylko bez numerów - ostrzegł. Czekała, oglądając dom.

Był wielki, zbudowany w stylu kolonialnym - miał olbrzymią werandę i bogato zdobione balustrady. Ale żaluzje zostały spuszczone do połowy - okna przypominały wpół przymknięte oczy; nic nie zdradzały. Czy

Maria obserwuje ją teraz? Możliwe. Ta myśl wytrąciła Harriet z równowagi. Wetknęła ręce w kieszenie spodni, specjalnie, jakby nigdy nic. Narzuciła sobie spokój, powstrzymała się od nerwowego dreptania czy spacerów.

Wreszcie, po nieskończonej długiej chwili, policjant wyszedł przed dom. Serce skoczyło jej do gardła. Co zrobi, jeśli okaże się, że Maria ją odprawia? Odejście będzie sromotną porażką. Co gorsza, będzie musiała przyznać przed samą sobą, że przyjechała tu zupełnie na darmo.

Z twarzy policjanta nie mogła nic wyczytać.

- No i? - zapytała.
- Przyjmie panią. Może pani wejść.
- Dziękuję. - I nagle się przestraszyła, tak samo jak w taksówce.

Rzeczywiście chciała poznać prawdę? Czy nie wygodniej było pozostać w niewiedzy? Raz wykopane z przeszłości nieprzyjemne fakty nie dadzą się już pogrzebać. Będzie musiała żyć z nimi aż do końca dni.

Odrzuciła głowę w tył. Włosy związane na karku podskoczyły buńczucznie. A kimże, do diabła, jest ta cała Maria Vincenti? Minęła policjanta i weszła do domu.

Matko Przenajświętsza - mruknęła Maria cicho.

Wychyliła szklaneczkę Bloody Mary i podeszła do barku, żeby nalać sobie następnego drinka. Maria Vincenti, niska, pulchna kobieta, z ciężkim biustem i szerokimi biodrami - typowa Włoszka w średnim wieku.

Nigdy nie była piękna, ale dwadzieścia lat temu, dzięki jej dużym piersiom, pełnym ustom i ciemnym, błyszczącym oczom mężczyźni widzieli w niej kobietę zmysłową. Ostatnio jednak określano ją innym słowem. Mówiono o niej „ropucha”. Zbyt rozpasanie żyła, żeby zachować ten łatwo zanikający śródziemnomorski wdzięk; za wiele w jej życiu było namiętności, za dużo makaronu, a od pewnego czasu również za dużo alkoholu. Wszystko to sprawiło, że ślady bujnego życia odznaczyły się mocno na jej nalanej twarzy, a ciało obrosło tłuszczem.

Znów przechyliła szklaneczkę. Upiła łyk tak łapczywie, jakby ten łyk miał uratować jej życie, potem zerknęła na zagryzoloną kartkę

wydartą z kalendarza. Matko Przenajświętsza, po co rozpętała tę burzę? Czuję, że policja nie wierzy w jej opowieść, za to prasa czepiła się jak pijany płotu. I jeszcze ten detektyw z towarzystwa ubezpieczeniowego. Jakże on się nazywał...? Tom O'Neill? Zadawał dociekliwe pytania. Teraz z kolei ta dziewczyna. Już żałowała, że zgodziła się ją przyjąć. Ale za późno na zmianę decyzji. Dziewczyna pewnie już wchodzi. Maria zmięta kartkę w dłoni i wrzuciła ją do kosza na śmieci. Ręka jej drżała.

Córka Pauli. Paula Varna. To dopiero nazwisko sprzed lat! Tyle lat starała się o niej nie myśleć, a mimo to jakże wyraźnie ją teraz widziała - piękną, wysoką, jaśniejącą. Tak, Paula miała wszystkie atuty, których los poskąpił Marii. Ale jaka z niej była dziwka! - pomyślała z goryczą. Miała swojego męża, lecz to jej nie wystarczało, i tak prowokowała Grega... To prawda, że nie trzeba go było specjalnie namawiać. Paula... Dziwną kombinacją małej dziewczynki i *femme fatale*. Poczuli bolesny skurcz żołądka. Mocno zacisnęła dłoń wokół szklaneczki, tak mocno, że aż jej pobielwały kostki.

Paulo Varna, mam nadzieję, że smażyysz się teraz w piekle! Gdyby nie ty, wszystko inaczej ułożyłoby się między Gregiem a mną. Ty suko! Głupia, zepsuta, namolna mała suko!

Kiedy minęła fala nienawiści, Maria ściągnęła ciemne brwi w zdumieniu. Gorycz. Tak, to mogła zrozumieć. Cień Pauli wisiał nad nią w końcu przez ponad dwadzieścia lat. Ale ta zazdrość? Przecież Greg zostawił Paulę dla niej. Przecież oboje wszystko razem obmyślili... Więc dlaczego...?

Bo sama wiesz w głębi serca, że cię nie wybrał z miłości. Zdecydował się być z tobą tylko dla pieniędzy. Tak, dla pieniędzy. One zawsze były jego bogiem, im składał ofiary na ołtarzu. Gdyby Paula miała dostęp do takiego bogactwa jak ty, gdyby mogła go nim obsypać i zapewnić mu komfort, wtedy, być może, wybrałby całkiem inaczej. Maria od lat wiedziała, co Grega do niej przyciąga. Z początku się tym nie przejmowała - Bóg i ksiądz pleban, który odbierał jej spowiedź, wiedzieli o tym najlepiej. Ale z biegiem czasu narastało w niej rozgoryczenie. Gruboskórność i chciwość Grega stopniowo wypaliły w niej to obsesyjne

uczucie, którym go długo darzyła, aż wreszcie zostały w niej tylko nienawiść i rozpacz. A teraz wszystko to omal jej nie zabiło!

Maria połknęła kolejny łyk wódki, tym razem czystej, bez soku - w szklaneczce pobrzękiwały tylko kostki lodu. Alkohol palił jej przętyk i żołądek i drobnymi szpilkami rozgrzewał krew.

Na dźwięk pukania do drzwi odwróciła się. Pokojówka odstąpiła, a dziewczyna, którą Maria ujrzała w progu, z powodzeniem mogła uchodzić za Paulę sprzed dwudziestu lat. Nie była tak wysoka, ale miała te same piękne ciemnozłote włosy, czyste, regularne rysy twarzy, a pod kremową jedwabną koszulą i spodniami z lnu smukłą lecz kształtną figurę. Maria odniosła wrażenie, że na chwilę serce w niej zamiera i wszelkie podejrzenia, że manewr z córką Pauli jest tylko chytrą sztuczką, przysły jak bańka mydlana.

To była córka Pauli, ponad wszelką wątpliwość.

- Harriet Varna - wydusiła z siebie, a ton jej głosu mówił sam za siebie. - Cóż za niespodzianka. Proszę, niech pani wejdzie.

Dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć.

Po rozświetlonym ogrodzie wewnątrz domu, za spuszczoneymi do połowy żaluzjami, było prawie ciemno, ale kiedy wzrok Harriet przyzwyczaił się już do mroku, dziewczyna objęła spojrzeniem meble z trzciny i ratanu, mnogość poduszek w kolorze kukurydzy i błękitu, podłogę wyłożoną kafelkami w stylu śródziemnomorskim - zastaną dywanikami i chodniczkami. Z tego, co dało się zobaczyć od zewnątrz, można było wnosić, że i wewnątrz będzie bogate, a za każdym elementem wykończenia będą stały ogromne pieniądze - ale, jak się okazało, były to „stare” pieniądze. Jeśli Harriet oczekiwała krzykliwego, błyszczącego szyku, jaki mógł charakteryzować amerykańskiego finansistę, to tu go z pewnością nie znalazła.

Wyciągnęła rękę.

- Pani jest oczywiście... Przepraszam, czy mogę mówić „pani Trafford”?

Maria nie ujęła wyciągniętej dłoni.

- Wolalabym, żebyśmy zapomniały o Traffordzie. Mam zbyt wiele

nieprzyjemnych skojarzeń. Nie ma już zresztą powodu, żeby unikać mojego prawdziwego nazwiska Vincenti. Czym mogę pani służyć?

- Proszę mi mówić Harriet. Wiem, że jestem intruzem, ale musiałam przyjechać. Jak pani na pewno wie, moja matka była w Stanach przyjaciółką Grega Martina. Płynęła z nim na jachcie tego dnia, kiedy doszło do eksplozji.

- Podobno.

Harriet spojrzała na nią czujnie.

- Co pani przez to rozumie?

- Nic. Proszę mówić dalej.

- No cóż, zawsze wierzyłam w to, że zginęli razem. Teraz, gdy pani twierdzi, że Greg żyje...

- Bo żyje. - Maria roześmiała się krótko. - W każdym razie żył, kiedy widziałam go tydzień temu. - Uniósł szklanekę do ust i przechylił ją mocno; zadźwięczały częściowo rozpuszczone kostki lodu. - Żyje, a jakże, i nie zmienił się ani na jotę. Owszem zmienił nazwisko i wygląd, ale w środku siedzi ten sam stary Greg. Oszust, kłamca, kobieciarz... może nawet morderca. - Podeszła do barku, żeby napełnić szklanekę. - Napije się pani, panno Varna?

Harriet potrząsnęła głową. Jeśli cokolwiek mogło ją ostrzec przed skutkami nadmiernego picia, to nie uwagi ojca, a widok tej kobiety, która chłoneła wódkę jak bibuła atrament.

- Za wcześnie jak na panią, co? A filiżankę kawy? Wy, Amerykanie, pijecie kawę na okrągło, prawda? - Przywołała dzwonkiem pokojówkę.

- Kawa dla gościa. - Stała pod oknem, wyjrzała na zewnątrz i z niecierpliwością machnęła w kierunku drogi przed domem - Ci cholerni reporterzy! Właściwie przypuszczałam, że pani też jest dziennikarką i wymyśliła pani taką sztuczkę po to, żeby się dostać do środka. Oni się nie poddają. Można by pomyśleć, że nie mają już nic lepszego do roboty. Wtykali mi nawet karteluski pod drzwi, obiecywali pieniądze, żebym im tylko opowiedziała swoją historię! Pieniądze! Mnie chcieli skusić pieniędzmi! Mogłabym z powodzeniem sto razy kupić i sprzedać wszystkie ich gazety!

- Nie wymyśliłam sztuczki, żeby panią nabrać. W ogóle nie nabieram ludzi.

Maria ściągnęła górną wargę.

- Ha! A to pewna odmiana po mamusi, co?

- Nie wiem. Miałam zaledwie cztery lata, kiedy stało się to... co się stało.

Maria odwróciła wzrok. Coś na kształt wyrzutów sumienia dotarło do niej przez opary alkoholu. Naturalnie, dziewczyna była wtedy jeszcze bambino.

Pamiętała jej zdjęcia z gazet - pulchne policzki, złote kędziory, króciutka sukienka z falbankami, białe podkolanówki. Harriet Vama, biedna bogata dziewczynka, bez matki. Cóż, Paula powinna brać to pod uwagę, zanim zaczęła motać całą sprawę, uprawiać niebezpieczną grę.

- A więc nie widziała jej pani później - zauważyła bezbarwnym głosem.

- Oczywiście, że nie. Gdyby było inaczej, nie przyjeżdżałabym tutaj, prawda? - odpowiedziała ostro Harriet. Potem szybko zerknęła na Marię, sprawdzając, czy aby jej nie obraziła. Ale nie dostrzegła we Włoszce żadnej zmiany. - Pani Mario, przyszło mi do głowy, że skoro Greg Martin nie zginął w czasie eksplozji, to może moja matka też żyje. Nie wiem, co się naprawdę stało tamtego dnia. Nie mogę tego sobie poukładać. Jeszcze... Ale pani przecież rozumie, że muszę chociaż spróbować odkryć prawdę. I pomyślałam, że może pani będzie w stanie mi pomóc.

Maria obracała szklanekę w dłoniach. Co ta dziewczyna mogła wiedzieć? Może się pewnie domyślać, że jej matka była kochanką Grega Martina. To chyba jest wystarczająco jasne. Po cóż inaczej jechałaby z nim do Włoch? Właśnie, dlaczego w ogóle pojechała? - myślała Maria z wrogością. Gdyby nie to, wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Nie, oczywiście Greg nie traktowałby jej, Marii, wcale lepiej. Nie zdarzyłby się żaden cud i nie byłby jej ani trochę wierniejszy - obrzydliwy wszarz! Ale byłaby jednak spokojniejsza przez te wszystkie lata, nie nękałyby jej takie wątpliwości.

- Nic nie wiem - odparła krótko. - Greg nigdy mi nie mówił, co stało się z pani matką, a ja nie pytałam. Może nie chciałam wiedzieć?

Pokojówką przyniosła kawę, nałala ją do filiżanki i wyszła. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Harriet spróbowała raz jeszcze.

- Skoro Greg żyje, to znaczy, że musiał jakoś uciec z miejsca wypadku. Przecież w ciągu dwudziestu lat wspólnego pożycia na pewno pytała pani, jak mu się to udało.

Maria obróciła się nagle do Harriet.

- Och, doskonale wiem, jak to się udało. - W jej głosie zabrzmiała nuta pełnego goryczy rozbawienia. - Udało mu się, bo ja mu w tym pomogłam.

- Pani?! - Harriet aż podskoczyła ze zdumienia; kawa chlupnęła na spodeczek.

- Tak, taka byłam głupia. Czy pani nigdy nie była zakochana? Nie wie pani, co znaczy stracić głowę dla mężczyzny? Widzę, że chyba nie. Jest pani taka jak Paula. Zimna. Zupełnie inna niż ja. Mam w sobie południową krew i jak kocham, to kocham! No cóż, mam nadzieję, że nigdy się pani nie dowie, jak to jest. Powiem pani tylko, że najgorsza rzecz, jaka się może przydarzyć, to oddać serce mężczyźnie, a potem któregoś dnia stwierdzić, że to skończony skurwysyn.

Harriet odstawiła filiżankę i spodeczek na niski stolik.. Miała wrażenie, że nie utrzyma ich dłużej.

- I co pani zrobiła?

Przez długą chwilę Maria milczała. Tyle lat dochowywała tajemnicy. Nie pisnęła o tym nikomu nawet wtedy, gdy Greg zdradzał ją z innymi, kiedy ją poniżał... Nawet kiedy wdał się w swój ostatni romans z byłą królową piękności i korzystał z jej pieniędzy, by kupować drogie prezenty tej dziwce. Cierpiała - Bóg jeden wie, jak bardzo - lecz nie sprzedała nikomu jego tajemnicy. Milczała i wówczas, gdy podejrzewała, że Greg chce ją zabić, żeby mieć wreszcie swobodny dostęp do jej pieniędzy; milczała, gdy chciał ją porzucić dla nowej ukochanej, a ona, Maria, była już tak przerażona, że wreszcie poszła go zadenunc-jować, jednak o tym nie wspomniała ani słowem. Nie powiedziała nic o swoim

udziale w tym wszystkim. Być może, gdyby to zrobiła, policja uwierzyłaby chętniej w jej opowieść, ale jakoś nie mogła się zmusić... I teraz, nagle, poczuła nieprzepartą chęć mówienia o tym, co zrobiła. Nadeszła pora, by ktoś się w końcu dowiedział, do czego była zdolna dla tego mężczyzny. A któż inny lepiej się do tego nadawał niż córka kobiety, która wniosła w jej życie tyle bólu?

Połknęła duży haust wódki; oczy zalśniły w jej pożółkłej twarzy.

- Dobrze, powiem ci, Harriet Varna. Powiem ci, czy to ci pomoże czy nie. Mam nadzieję, że zatrzymasz te wiadomości dla siebie, ale jeśli nie, właściwie nie będzie to miało specjalnego znaczenia. Skoro w ogóle zaczynam już mówić, równie dobrze mogę opowiedzieć wszystko do końca. Pewnie jesteś za młoda, żeby pamiętać Grega?

Harriet skinęła głową. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Nie pamiętała Grega - stanowił dla niej tylko mglistą postać. Dopiero parę dni temu zobaczyła, jak naprawdę wyglądał. Wszystkie zdjęcia, na których mogła go zobaczyć, zostały skrupulatnie usunięte z rodzinnych albumów, co zresztą zrozumiałe. Ojciec nie chciał oglądać mężczyzny, który odebrał mu ukochaną żonę.

- No cóż, był z niego niezły uwodziciel. Naprawdę czarujący facet. Zawrócił w głowie mnie i wielu innym. Całe swoje królestwo na glinianych nogach zbudował w oparciu o ten wdzięk. Dużo mówił. Mówił o wielkich rzeczach, a ludzie mu wierzyli. Zajmował się różnymi sprawami, ale zachciało mu się mieć swój udział również w świecie mody. Dlatego wyłożył gotówkę, żeby pomóc twojemu ojcu. Ale chciał, żeby wszystko szło we włoskim stylu. Wiedziałaś, że z pochodzenia jest Włochem? Nazywał się Martino, dopiero później zmienił nazwisko na Martin. Wszystko jedno. We Włoszech ludzie działający w modzie prowadzą interesy prawie tak samo jak mafia. Tworzą kartel. Fabrykant materiałów, właściciel zakładów szyjących ubrania i projektant ściśle ze sobą współdziałają, pracują na metkę i ta ma być przebojem. Trzymają w kieszeni czasopisma, które zapewniają im właściwą reklamę. W tamtych czasach interes dopiero się rozkręcał. Ale Greg bardzo chciał się podłączyć. Mój ojciec jest prezesem wielu fabryk tekstylnych. Nasza

rodzina ma wielkie zakłady nad jeziorem Como. Greg zaczął się do niego przybliżać. Tak go poznałam.

Umilkła. Ciasno obejmowała szklaneczkę. Harriet nie przerywała ciszy, w obawie, że jedno jej słowo może na dobre zakończyć rozpoczętą opowieść. Czuła jednak, że akurat teraz Maria mówi absolutnie szczerze, z głębi gorącego południowego serca. Alkohol znacznie rozwiązał jej język; długo powstrzymywane słowa płynęły wartkim potokiem.

Po chwili, nie patrząc na Harriet, wznowiła zwierzenia. Zdawało się, że mówi po prostu do siebie.

- Matko jedyna, jak ja go kochałam! Byłam młoda i głupia, ale przy nim długo nie mądrzałam. Dlaczego kobiety zawsze kochają drani? Ojciec mnie przed nim ostrzegął. Mój ojciec był bystrym przedsiębiorcą i przejrzał go na wskroś. „Trzymaj się z dala od niego” - tak mówił. „Wpakujesz się w kłopoty.” Ale nie posłuchałam taty. Uznałam, że jest stary i stetryczały. Od tak dawna był głową rodziny i tak długo kierował wielkim interesem, że doszłam do wniosku, że z przyzwyczajenia chce też kierować moim życiem. Chce mnie dalej traktować jak dziecko. Przede wszystkim, myślałam sobie jednak, że pewnie zapomni już, co znaczy być młodym i zakochanym. Oszukiwałam ojca. Spotykałam się z Gregiem przy każdej możliwej okazji. A im częściej go widywałam, tym bardziej go kochałam. O, omotał mnie sobie wokół małego palca! Nawet kiedy powiedział mi, że w Stanach wszystko zaczyna mu się walić na głowę, i tak nie przejrzałam na oczy. Tłumaczyłam sobie, że po prostu ma pecha, i za wszelką cenę chciałam przy nim być. A gdy któregoś dnia opowiedział mi o swoich planach i poprosił o pomoc, popędziłam do niego jak na skrzydłach.

Znowu przerwała. Najwyraźniej przeżywała wszystko na nowo. W końcu westchnęła ciężko i potrząsnęła głową.

- Całą tę historię dokładnie zaplanował. Zorganizował sobie fałszywy akt urodzenia i paszport. Chyba zwędził te dokumenty jakiemuś biednemu zmarłakowi. Tak, rzeczywiście był kiedyś jakiś Michael" Trafford. Śmieszne prawda? Nieważne, Greg wykombinował, że najlepiej będzie, kiedy świat uzna, że zginął w wypadku na jachcie.

Miał piękną łódź. Trzymał ją w porcie, niedaleko swojej letniej willi w Positano, nad zatoką Salerno. Nie wiem, jak mógł się zdobyć na zniszczenie tej łodzi - musiał być naprawdę w stanie desperacji, że w ogóle o tym pomyślał. Wymyślił, że popływa kilka dni, zapewni sobie jak najwięcej świadków i na ich oczach któregoś dnia pozegluje na południe, a potem dobieje do jednej z nie uczęszczanych plaż przy Pizzo. Później na automatycznym pilocie odeśle łódź w morze z ładunkiem wybuchowym, który eksploduje po kilku godzinach. Miałam przyjechać po niego do Pizzo i zawieźć go do Rzymu. Stamtąd chciał odlecieć z Włoch z fałszywym paszportem. Poszło jak z płatka. Kiedy rozniosło się, że jacht wyleciał w powietrze, Greg siedział już na pokładzie samolotu do Australii. Czekałam prawie rok, aż sprawa ucichnie, i wreszcie do niego przyjechałam. A kiedy wiadomo już było, że zostaję, powiedziałam rodzicom, że spotkałam mężczyznę, Michaela Trafforda.

Oczy jej błyszczały. Szybko przechyliła szklaneczkę - nie było w niej kropli alkoholu. Podeszła do barku i znów ją napełniła. Harriet patrzyła na Marię oniemiała. Włoszka źle zrozumiała spojrzenie dziewczyny.

- Myślisz, że za dużo piję, co? - spytała ostro, jakby ze złością. - Może i ty byś piła, żyjąc z takim facetem?

- A co się stało z moją matką? - zapytała Harriet. Zupełnie zaschło jej w ustach.

Maria odwróciła się plecami, ale Harriet zdążyła jeszcze dostrzec ból w jej przekrwionych oczach.

- Nic o niej nie wiem.

- Przecież płynęła z nim jachtem! Wszyscy to potwierdzili.

- Mówię, że nie wiem nic więcej - upierała się Maria - Twoja matka nie była częścią planu. Powiedział, że między nimi wszystko skończone. Że pragnie tylko mnie.

- Ale kiedy przeczytała pani w gazetach, że była z nim na jachcie, na pewno pytała go pani o nią! Nie wierzę, że mogło być inaczej - naciskała Harriet.

Na chwilę twarz Włoszki skurczyła się dziwnie - jakby Maria za moment miała się rozplakać - potem jednak stężała.

- Oczywiście pytałam go, co ona tam, u diabła, w ogóle robiła! Powiedział, że nieoczekiwanie zjawiała się Willi tuż przed tym, jak miał wypłynąć. Dzwonił do mnie, żeby mnie ostrzec, że jest pewna komplikacja, ale nie zastał mnie w domu. Więc postanowił działać zgodnie z planem. Mówił, że nie może dopuścić do tego, żeby mu wszystko zepsuła. „Nie mogłem pozwolić na to, żeby zepsuła mi plany”. Tak powiedział.

- Więc wypłynął z nią w morze... Ale co się z nią stało?

- Przysięgam na Boga, że nie wiem - zniżyła głos do szeptu. - Nie przypierałam go do muru. Ale jeśli chcesz wiedzieć, co sobie myślałam przez te wszystkie lata... Obawiam się, że po prostu ją zabił.

Harriet nie mogła wyrzucić z siebie słowa. Drżała. Tak, tego właściwie się spodziewała, ale gdy usłyszała to od Marii, przeżyła wstrząs i wszystko wydało jej się takie melodramatyczne, że wręcz nieprawdziwe.

- Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że nikt więcej o niej już nie słyszał? Nie miała powodu, żeby się ukrywać. Nie chciałam w to wierzyć. Mówiłam sobie, że jestem potworem, skoro w ogóle tak myślę. Mężczyzna, którego kochałam... Ale dzisiaj już wiem, że to człowiek bez najmniejszych skrupułów. W końcu mnie też usiłował zabić, bo nie jestem mu więcej potrzebna. A gdyby Paula żyła, zniszczyłaby mu dobrze zaplanowane życie. Nie milczałaby. Na pewno by nie milczała, wiedząc, że od niej odszedł. Tak, naprawdę sądzę, że w takiej sytuacji Greg jest zdolny nawet do morderstwa.

Harriet przycisnęła dłoń do ust. Tak, jeśli Maria mówiła prawdę - a wszystko na to wskazywało - łamigłówka układała się w całość. Słuszna uwaga - Paula nie miała powodu, żeby się ukrywać. Poza tym, z tak znaną twarzą...

- Mówi pani, że przyjechała pani do Australii rok po nim. - Chwytała się ostatniej deski ratunku. - Czy przez ten rok nie mogli być tu razem?

- Możliwe, ale nie sądzę. To ja zabierałam go z Pizzo. Był sam.

Harriet zacisnęła pięści.

- Gdzie on teraz jest? Włoszka roześmiała się gorzko.

- Gdybym wiedziała, panienko, policja już dawno by go przyskrzypiła. Przynajmniej mam nadzieję. Zaszył się gdzieś z tą swoją ukochaną. Z tą dziwką! No cóż, w każdym razie ode mnie grosza już nie zobaczą. Zmieniam testament. Może to, co zrobił, ujdzie mu jakoś na sucho, ale przynajmniej nie za moje pieniądze!

- Nie ujdzie mu to na sucho. Zrobię wszystko, żeby mu nie uszło.

- Widzę, że nie zna pani Grega Martina. - Zaczynała z wolna bełkotać. Zupełnie tak, jakby opowieść o jej życiu cudem powstrzymywała działanie alkoholu, który teraz dopiero przypuszczał główny atak. - Nie mogę pani już nic więcej powiedzieć, I chcę zostać sama. Więc jeśli pani pozwoli...

- Tak. Dziękuję. - Harriet wyciągnęła dłoń, ale Maria znów jej nie uścisnęła. Nie mogła dotknąć córki Pauli, nawet po tylu latach.

Kiedy dziewczyna wyszła, kobieta chwiejnie podeszła do barku i napełniła szklankę. Pokój niech się kiwa jak łajba w czasie sztormu, co tam! Chciała pić, chciała się zapić tak, żeby już nic nie pamiętać. Po wielkich namiętnościach i cierpieniach zmarnowanego życia, tylko to jej jeszcze zostało.

W Londynie śnieg szybko stopniał na chodnikach i choć następny nie spadł, trudniej było znieść wilgotne, przenikliwe zimno niż wcześniejszy mróz.

Na ostatnim piętrze walącego się domu przy Whitechapel, Teresa Arnold rozmawiała przez telefon z jednym z dostawców tkanin.

- Tak, tak, nadeszła. Ale ma niewłaściwy wzór. Nie, jestem pewna, że podałam dobry numer próbki. Mam go tu teraz przed sobą. Zet dwadzieścia, trzydzieści cztery. Tak, ta jest czarna, z wplecionym białym paskiem. Ta, którą zamawiałam ma nieregularny, wzór. Przypuszczam, że przysłał mi pan Zet dwadzieścia, dwadzieścia cztery. Wie pan, bardzo mi na tym zależy. Jeśli zwrócę panu dzisiaj przesyłkę, czy może mi pan podesłać tę właściwą specjalnym kurierem? Tak? Dziękuję bardzo, będę szalenie wdzięczna.

Odłożyła słuchawkę. Mimo wełnianych mitenek, ręce miała zgrabiące z zimna. Potrząsnęła głową złamana i przez chwilę przyglądała się

młodej kobiecie, która przycupnęła na stołku naprzeciwko, obok piecyka gazowego.

- Powinnam mieć więcej rozumu i nie zamawiać nic przez telefon.. Wystarczy, że jakaś głupia dziewczyna przycisnie niewłaściwy klawisz w komputerze, czy na czymś co tam teraz mają, i od razu dostaję jakiś idiotyczny materiał.

- Takie jest życie - zauważyła prozaicznie Linda George, jej współpracowniczka. - Obawiam się, że masz dzisiaj kiepski dzień, Terri. Mam dla ciebie trochę niemiłych wiadomości. Dlatego tu jestem.

Teresa jęknęła i usiadła obok przyjaciółki przy ogniu.

- Chyba nie chcę wiedzieć.

- Na pewno nie chcesz, ale i tak musisz. *Sister Susie's* splajtowała.

Sister Susie 's była to sieć butików. Dzięki tym sklepom Teresą jakoś jeszcze wiązała koniec z końcem. Właściciele składali u niej wcale pokaźne zamówienia.

- Splajtowali? Chcesz powiedzieć...?

- Komornicy już weszli. Słyszałam dziś rano. Teresie zrobiło się niedobrze.

- Wydawało mi się, że dobrze im idzie! - protestowała słabo.

- Pozory, jak widać. Wiesz, że dla detalistów ostatnie lata były strasznie podłe. Nawet wielkie sklepy przy High Street odczuły ten kryzys boleśnie, więc dla tych, którzy i tak mieli małe zyski, musiało być wprost fatalnie. Tak czy owak, doszłam do wniosku, że nie mogę tego owijać w bawełnę i musisz wiedzieć, jak jest. Dzięki Bogu, nie są nam winni dużo. Wyrwałam im jakieś płatności dwa tygodnie temu, więc nie jest tak najgorzej.

- Ale jak to uderzy w sprzedaż mojej nowej kolekcji! - wykrzyknęła Teresa z niepokojem. - Po co ja dzwoniłam do tego producenta jedwabiu. Połowa zamówienia miała wejść w sklepy *Sister Susie's*. Gdzie ja teraz upchnę tyle towaru?

- Zostaw to mnie. - Linda uścisnęła ramię przyjaciółki. - Nie martw się, Terri. Ty nie możesz zawracać sobie głowy takimi sprawami. Będziesz robić to, w czym jesteś najlepsza. Będziesz tworzyć. Coś

wykombinuję.

- Mam nadzieję. - Teresa chciała nadać głosowi pogodne brzmienie, ale bezskutecznie. - W dwa dni straciłyśmy dwa dobre punkty zbytu, a mnie wkrótce czeka płacenie czynszu. Jeśli opłata bardzo skoczy w górę - a mam takie przeczucie, w końcu słyszę co się dzieje wokół - to będzie to już ostatni gwóźdź do trumny.

- Och, daj spokój! - Linda miała na sobie bardzo szeroką sztruksową spódnicę do pół łydki i buty do konnej jazdy; jednym z nich usiłowała kopnąć przyjaciółkę. - Nie bądź taką straszną defetystką.

Teresa uśmiechnęła się żałośnie.

- To nie ty przesiadujesz tu całymi dniami, marząc do szpiku kości. Zziębnięty człowiek wszystko widzi czarno.

- Ale nie poddasz się, co? Teresa potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Jeśli się nie uda, mama straci dom. Ale, wiesz... czasem czuję, że płynę ciągle pod prąd.

- Uszy do góry. Jesteś genialną projektantką i któregoś dnia świat się o tym przekona. Wystarczy tylko, że jakaś księżniczka zamówi u ciebie suknię ślubną, a wtedy natychmiast wypłyniesz na szerokie wody. Księżę Edward jest wciąż naszą nadzieją. Ciekawe z kim i kiedy się ożeni? No i jest jeszcze lady Sarah Armstrong-Jones. Świetnie by wyglądała w jednej z twoich kreacji.

Teresa roześmiała się głośno.

- To mrzonki. Potrzebne mi czyjeś wsparcie. Potrzebny mi sponsor, który potrząśnie sakiewką.

- Szkoda, że nie ma już Marka Bristowa - powiedziała Linda w zamyśleniu. - On zawsze umiał znaleźć właściwe rozwiązanie. Teresa milczała.

- Och, Terri! - zganiała ją Linda, widząc minę przyjaciółki. - Już chyba do niego nie wzdychasz! Na litość boską, zapomnij wreszcie o nim! Nie jest tego wart.

- Masz rację, nie jest. - Odsunęła się od ognia. Choć z dzinsów bił zapach spalenizny, wciąż było jej zimno. - Muszę jakoś sobie radzić, Lindo. Tylko patrzeć, jak pojawi się tu Weasel i będzie chciał wyciągnąć

mnie na kawę. Odmowa na nic się nie zda.

- Jeszcze jeden wielbiciel.

- Daj spokój - odrzekła Teresa; kiedy było jej zimno, zawsze traciła poczucie humoru.

- Rozumiem, już mnie nie ma. Lecę rozpuszczać wici, że najmłodsza i najbardziej utalentowana projektantka w Londynie poszukuje bogatego sponsora. Kogoś takiego jak Peter Bertelson albo jak ten tajemniczy gość, który pomógł Rifarowi Ozbekowi. Nikt nie wie, kto to jest, nawet sam Rifar. Twierdzi, że nie pamięta jego nazwiska, wyobrazasz sobie? Zdradził tylko tyle, że to jakiś Pakistańczyk mieszkający w Genewie. Pewnie robi w gacie ze strachu, bo jak by się konkurencja zwiedziła, nie daliby facetowi spokoju.

Poprawiła spódnicę i zapięła żakiet z jaskrawoczerwonej wełny obszyty czarną lamówką- jeden z zesztorocznych modeli Teresy. Żakiet leżał na niej jak ulał. Gdyby do niego włożyła krótką czarną sukienkę i buty na wysokim obcasie, wyglądałaby oszałamiająco.

- No to cześć! - powiedziała. - Zobaczmy się jutro? Może wpadniemy wieczorkiem do Chińczyka i kupimy coś na wynos?

Teresa pokręciła głową.

- Nie mam forsy, Lindo. Starczy najwyżej na papkę z soi. To i tak luksus, bo przez cały tydzień jadłam fasolę i ziemniaki w mundurkach.

Stała w zamyśleniu, wsłuchując się w odgłos kroków na drewnianych schodach. Będzie lepiej, musi być lepiej. Na pewno? Jeśli coś się wkrótce nie zmieni, dokąd pójdzie? Donikąd.

Ta myśl ją zmobilizowała i uciekając przed kolejnym atakiem zniechęcenia i rozpacz, usiadła za stołem i wzięła się do pracy.

Rozdział czternasty

Tom O'Neill nie próżnował. Pierwsza wizyta u Marii Vincenti była niemal całkowitą stratą czasu, bo kochanka Trafforda po prostu odmówiła odpowiedzi na pytania udając, że nie rozumie po angielsku. Głupia zagrywka, bo tylko imbecyl by uwierzył, że po dwudziestu latach życia w kraju, gdzie angielski jest językiem urzędowym, nie znała go choćby na tyle, by dogadać się w najprostszych, najbardziej podstawowych sprawach. Ten fakt potwierdził jego podejrzenia, że Maria Vincenti wie o wiele więcej, niż przypuszczał. Postanowił dać jej tymczasem spokój i zaskoczyć ją, kiedy będzie w lepszym nastroju. Miał inne tropy do zbadania. I to liczne.

Najpierw spróbował pójść śladem profesjonalnych zainteresowań „Michaela Trafforda”. Okazało się, że pan Trafford ma rozliczne zainteresowania, a sieć jego oficjalnie zarejestrowanych biur pokrywa całą południową część Australii. Tom wydzwaniał do Canberry, do Melbourne, do Adelaidy i do Perth, ale nie miał szczęścia - za każdym

razem pudłował. Nie, niestety, nie wiedzą, gdzie jest pan Trafford. Nie, ostatnio ich nie odwiedzał i nie zostawił żadnego adresu kontaktowego, a nawet gdyby zostawił, nie mogliby Tomowi pomóc, bo to rzecz poufna...

Tom wiedział, co jest grane. Nieraz się na taki mur natykał, bo jakby na to nie patrzeć, był przecież agentem towarzystwa ubezpieczeniowego, a nie policjantem. Zresztą doszedł do wniosku, że jego rozmówczynie nie kłamią. Michael Trafford - albo Greg Martin - jest człowiekiem nieuchwytnym i przebiegłym.

Podejrzewał, że te wszystkie młode sekretarki, tak poważne, i urzędowe, nigdy Trafforda nie widziały.

Następny ślad okazał się bardziej obiecujący. Otóż nową kochanką Martina była eks-królowa piękności, niejaka Vanessa McGuigan, która na początku romansu nie umiała trzymać języka za zębami i opowiadała przyjaciółom o nowym wielbicielu. Chwaliła się między innymi, że w Darwin, na Terytorium Północnym, powstała spółka zajmująca się budownictwem i handlem nieruchomościami, w której Trafford ma kontrolny pakiet udziałów. Ta informacja bardzo zainteresowała Toma - instynkt mówił mu, że trafił w dziesiątkę. Darwin to miasto przejezdnych, miasto idealne dla tych, którzy robią podejrzane interesy, albo dla tych, którzy muszą się gdzieś przyczaić. Odizolowane od reszty Terytorium, zachowało w sobie atmosferę dawnych pionierskich czasów, mimo że po tragedii z roku 1970 - cyklon Tracy dosłownie zmiotł miasto z powierzchni ziemi - odbudowano je zgodnie z najnowocześniejszymi wzorami i stylami architektonicznymi. Krótko mówiąc, było doskonałym miejscem dla człowieka, który z pewnych powodów chciał na jakiś czas zniknąć. Może Greg wiedział, że prędzej czy później będzie musiał dać z Sydney nogę, i przygotował sobie zaciszną, ale dobrze zaopatrzoną kryjówkę?

Najpierw sprawdził firmę budowlaną. Wśród nazwisk dyrektorów nie znalazł nazwiska Grega Martina ani Michaela Trafforda. Ale na liście figurowało nazwisko Rolfa Michaela! Tom poczuł na karku przyjemne mrowienie, którego doświadczał, ilekroć instynkt podszeptował mu, że

jest na właściwym tropie. Michael Trafford - Rolf Michael. Choć nie miał na to żadnych dowodów, był niemal stuprocentowo pewien, że to jedna i ta sama osoba.

Właśnie wtedy postanowił odwiedzić Marię Vincenti po raz wtóry. Była jeszcze bardziej markotna i przygnębiona i jeszcze bardziej pijana niż za pierwszym razem. Ale powiedziała coś, co go bardzo zaintrygowało.

- Wszystko opowiedziałam jej córce. Jeśli chce pan wiedzieć, co się wtedy zdarzyło, niech pan zapyta tę dziewczynę. Nie mam siły tego powtarzać.

„Jej córce”. Harriet. Harriet jest tutaj, w Sydney. Zamyślony zmrużył oczy. Nie był pewien, jak dalece można im wszystkim zaufać, rodzinie Hugona Varna, a zwłaszcza Harriet, bo ona okazywała mu największą niechęć. Jeśli wierzyć Marii Vincenti, córka Pauli Varna weszła w posiadanie jakichś informacji, niewykluczone, że bardzo ważnych. Jeśli tak, koniecznie chciał wiedzieć jakich.

Ale przedtem musiał pokonać dwie zupełnie niezależne przeszkody. Pierwsza to jak znaleźć Harriet Varna. Po namyśle doszedł do wniosku, że to żaden problem. Ktoś taki jak ona, ktoś dysponujący takimi pieniędzmi, niemal na pewno zatrzymałby się w którymś z najlepszymi hoteli w Sydney: w Regencie, w Hiltonie albo w Sheratonie. Wystarczyło zadzwonić do recepcji, spytać, i sprawa załatwiona. Tak, to proste.

Druga przeszkoda była o wiele trudniejsza - Harriet zachowywała się wobec niego bardzo agresywnie i niechętnie służyła pomocą.

Potań w zamyśleniu policzek. Czas się z nią spotkać, czas przyjąć inną postawę. Wiedział, że jeśli tylko zechce - choć nie tylko wtedy - może wyrzucić na kobietach nieliczne wrażenie i kiedy mu pasowało, zawsze to wykorzystywał. Skoro zawiodła stanowczość i pewność siebie, może nie zawiedzie urok osobisty? A ponieważ Harriet należała do kobiet bardzo atrakcyjnych, pomysł był nader kuszący.

Tom uśmiechnął się lekko i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Ogród botaniczny, kafejka na otwartym powietrzu. Harriet siedziała przy stoliku, obracając w dłoniach szklanekę z zimnym sokiem

pomarańczowym. Była wyczerpana, psychicznie i fizycznie.

Spacer po ogrodzie sprawił jej wielką przyjemność, gdyż tu, pośród egzotycznych palm i drzewek brzoskwiniowych, upał był mniej dokuczliwy. W rozłożystych koronach żółtych tulipanowców ćwierkały srokacze, ibisy stojące na brzegu pobliskiej sadzawki grzebały w mule długimi czarnymi dziobami, a kiedy przemierzała zaciszne alejki, płoszyła stada wróbli i kolorowych papug. Jakie to dziwne, skonstatowała. W domu, w Londynie i w Nowym Jorku, jest teraz zima, a jeszcze kilka dni temu, w Paryżu, musiała nosić botki i narciarską kurtkę, żeby osłonić się przed dokuczliwym wiatrem. Zatoczyła myślą pełny krąg i oto znów siedziała w małej kafejce, po raz kolejny wspominając rozmowę z kochanką Grega Martina.

Czy Maria Vincenti mówiła prawdę? Czy słusznie podejrzewa, że Greg zamordował Paulę? A może jest już tak zgorzkniała, tak otumaniona alkoholem, że nie odróżnia rzeczywistości od fantazji? Niewykluczone, ale przecież nie pije bez powodu, nie bez powodu popadła w otępienie. Była niegdyś dziedziczką wielkiej fortuny, miała u stóp cały świat, miała siłę, żeby przeciwstawić się ojcu i rzucić wszystko dla człowieka, którego kochała. Coś się stało, coś ją odmieniło. Może było tak, jak twierdziła - przez dwadzieścia lat żyła w przekonaniu, że ukochany jest zwyczajnym mordercą.

Sącząc zimny sok Harriet zmusiła się do stawienia czoła wynikającym z tego wnioskowi. Maria utrzymywała, że nie była w stanie zadać Gregowi tego bardzo istotnego pytania; Harriet wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki nie pozna prawdziwych losów matki. Nie ulegało wątpliwości, że kiedy jacht wypływał w morze, Paula żyła. Później już jej nie widziano. Nigdy. Czyżby Greg zostawił ją na pokładzie i zginęła podczas eksplozji? A może już nie żyła, kiedy dobijał do brzegu? To całkiem prawdopodobne. Mogła już nie żyć, mogła stracić przytomność, mogła też leżeć w kabinie, związana i bezradna. Harriet zadrżała - jak potworne przerażenie musiało wtedy ogarnąć matkę. Nie umiała o tym spokojnie myśleć, jednak niepewność, podsycana nie kontrolowaną wyobraźnią rojącą się od oszalałych obrazów, była znacznie gorsza niż

perspektywa odkrycia i zmierzenia się z prawdą.

Problem polegał na tym, że jeśli Maria nie kłamała, odpowiedzi na te wszystkie pytania znał tylko jeden człowiek na świecie - Greg Martin. A Greg Martin zniknął w bezkresnych pustkowiach Australii.

Dopiła sok, przeszła przez ogród, minęła masywny fronton Biblioteki Państwowej i znalazła się na ulicy Macquarie. Stare kolonialne budynki na Macquarie były imponujące i dostojne, ale Harriet nie zwracała na nie uwagi. Przecięła Martin Place, skręciła w George Street i zmierzała w stronę hotelu. Bała się, że przyłazł tu za nią jakiś wścibski dziennikarzyna, ale nie, nie zauważyła nikogo. Mimo to przed wejściem do Hiltona niepewnie się rozejrzała.

- Był do pani telefon - poinformował ją recepcjonista, kiedy odbierała klucze.

Zmrużyła oczy.

- Telefon? Do mnie? - spytała ostrożnie.

Recepcjonista odnotował jej reakcję z mieszaniną ciekawości i zawodowej spostrzegawczości.

- Tak, proszę pani, dzwonił jakiś pan. Nie przedstawił się, ale powiedział, że zadzwoni ponownie.

Trochę jej ulżyło, odetchnęła. Nick - pomyślała - to na pewno Nick. No bo kto oprócz Nicka mógłby tu do niej dzwonić? Chyba że Mark...

W pokoju rzuciła lnianą bluzeczkę i szorty, weszła do łazienki i odkręciła kran. Poprzez szum wody leżącej się do wanny usłyszała dzwonek telefonu. Szybko wróciła do saloniku i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Dzień dobry, mówi Tom O'Neill - usłyszała. - Pewnie nie spodziewała się pani tego telefonu, ale kiedy doniesiono mi, że jest pani w Sydney, pomyślałem sobie, że moglibyśmy się spotkać i wymienić uwagi w interesującej nas sprawie.

Tom O'Neill! Zirytował ją. Niech go szlag trafi! - myślała. Czy nigdy się od niej nie odczepi?

- Nie sądzę, żebyśmy mieli o czym rozmawiać, panie O'Neill - odrzekła chłodno. Niezrażony mówił dalej:

- Sądzę, że oboje poszukujemy tej samej osoby. Moje śledztwo zaczyna przynosić wyniki i ciekawi mnie, jak pani daje sobie radę.

Tuś mi bratku! - pomyślała ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Myślisz, że wpadłam na coś, na co ty nie wpadłeś! Jeśli Maria naprawdę cię splotała, to masz rację, ale jeżeli sądzisz, że podzielę się z tobą uzyskanymi od niej informacjami, to się grubo mylisz!

- Ja też nie zasypiam gruszek w popiele, panie O'Neill - odrzekła. - Ale w tej chwili nie chcę o tym mówić. Chwilę milczał.

- Szkoda. Myślałem, że umówimy się gdzieś na kolację, porównamy wyniki naszych dochodzeń, że ja pomogę pani, a pani pomoże mnie.

W jego głosie usłyszała coś, co ją zaintrygowało. Nie wiedziała, co to jest - może nutka tej jego pewności siebie? Blefował? A może naprawdę wpadł na jakiś ślad?

- Co pan wie? - spytała.

Tom O'Neill uśmiechnął się, ale nie, głosu nie zmienił ani na jotę.

- Żeby się tego dowiedzieć, będzie pani musiała zjeść ze mną kolację, panno Varna. Ale myślę, że to, co mam pani do przekazania, jest tego warte.

- Panie O'Neill...

- Zarezerwowałem stół u Alexandra w Hunters Hill, na ósmą.

Miałem nadzieję, że się spotkamy, ale skoro nie, będę musiał znaleźć sobie inną piękną damę do towarzystwa. - Powiedział to lekko i wesoło, jakby naprawdę tylko się z nią umawiał na randkę, a nie na spotkanie, podczas którego chciał wycisnąć z niej upragnione informacje. - Więc jak będzie, panno Varna? - spytał.

Zdecydowała się. Wciąż nie była pewna, do czego O'Neill zmierza, ale ponieważ nie miała żadnych pomysłów co do dalszego śledztwa, nie mogła stracić takiej okazji. Może dowie się czegoś nowego, a jeśli chodzi o resztę... Doszła do wniosku, że jakoś sobie poradzi.

- Dobrze, panie O'Neill, przyjdę. O ósmej? Hunters Hill - „Francuska Wioska” - to jedno z najekskluzywniejszych przedmieść Sydney. Tu, na wzgórzach półwyspu graniczącego z portem, najlepsi francuscy kamieniarze i włoscy rzemieślnicy wzniesli osiedle luksusowych willi i

wspaniałych domów z piaskowca. Balkony i zaciszne altanki były porośnięte tropikalnymi pnączami; konary wiekowych figowców rzucały cień na chodniki i podjazdy.

Taksówka ominęła łukiem zachodnią część miasta i wjechała na most. Zachodzące słońce skrzyło się w błękitnej wodzie, rozpalając w niej morze płomieni. Taki widok to marzenie każdego fotografika i Harriet żałowała, że nie zabrała ze sobą aparatu. Po chwili słońce utonęło za horyzontem i na port oraz na rozświetlony gmach opery spadł miękki aksamitny całun mroku, dając początek nowemu i jakże kontrastującemu z poprzednim spektaklowi - Sydney nocą.

Restauracja Alexandra - niegdyś wielki sklep, budynek bardzo stary i pięknie odremontowany - mieści się na skraju Hunters Hill. Harriet zapłaciła za kurs i ruszyła do wejścia.

Tom O'Neill, ubrany w koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i luźne spodnie, siedział przy barze oddzielnym od sali jadalnej wspaniałym witrażem i pił aperitif.

Kiedy weszła - nie wiadomo dlaczego trochę zdenerwowana - wstał.

- Witam. Cieszę się z naszego spotkania. Nie byłem pewien, czy pani przyjdzie. Czego się pani napije?

- Campari z wodą sodową. Z lodem, ale bez cytryny, poproszę. Kiedy barman podał jej napój, odzyskała pewność siebie.

- Pańskie zaproszenie bardzo mnie zaintrygowało - powiedziała. - Mam tylko nadzieję, że nasze spotkanie przyniesie korzyść i panu, i mnie.

- Oczywiście. Jak już wspominałem, myślę, że możemy sobie pomóc. Ale czy nie moglibyśmy rozmawiać mniej formalnie? Wolałbym, żeby mówiła mi pani po imieniu.

Skinęła niepewnie głową. Wprawdzie wolałaby, żeby zwracał się do niej po nazwisku, ale nie wiedziała, jak mu to powiedzieć.

Nadskakujący kelner podał menu. Chyba się trochę spóźniłam - pomyślała.

- Zamówimy coś? - spytał O'Neill odstawiając szklaneczkę na blat ręcznie rzeźbionego dębowego baru, który, jak głosił napis,

przywieziono tu z Anglii.

Nie była w najmniejszym stopniu głodna, więc wybrała dania lekkie: ostrygi i kurczaka. O'Neill zdecydował się na krewetki po grecku, pasztecik i na poledwicę wieprzową w sosie Dijonaise. Kelner przyjął zamówienia i odszedł, a oni zostali przy barze sącząc drinki. Później wprowadzono ich do sali jadalnej, gdzie stał mały fortepian, lśniły wypolerowane brązy i rośło tyle liściastych pnączy, że Harriet poczuła się jak w luksusowej cieplarni.

Gdy usiedli przy stole przykrytym koronkowym obrusem, powiedziała:

- Muszę przyznać, że twój telefon bardzo mnie zaskoczył. Jak mnie znalazłeś?
- Wystarczyło trochę pogłówkować. Ująłbym to tak: wiedziałem, że nie zatrzymałaś się w People's Palace.
- Rozumiem.

Harriet, zawsze bardzo drażliwa na punkcie swego pochodzenia, lekko się zarumieniła. Tak łatwo można ją rozgryźć? Lubiała myśleć o sobie jako o zwykłej pracującej dziewczynie, o dziewczynie w dżinsach, z aparatem na ramieniu, ale kiedy przychodziło co do czego, odruchowo wybierała rzeczy najlepsze, tym samym najdroższe. Nagle dotarło do niej, że zwodniczo prosta sukienka, jaką włożyła na spotkanie z O'Neillem

- *Comme des Garçons* - kosztowała ją połowę miesięcznej pensji. Gdyby nie pochodziła z bogatej rodziny, nawet nie śmiałyby o niej marzyć - mogła grać, mogła udawać, że ginie w szarym tłumie, ale prawda była inna. Harriet nie lubiła ostentacyjnych strojów - sukienka sprawiała wrażenie bardzo skromnej - ale czuła, że Tom O'Neill jest znakomitym obserwatorem, że spojrzy na nią tymi swoimi chłodnymi niebieskimi oczyma i przypnie do sukienki metkę z odpowiednią ceną.
- No więc, czego się dowiedziałeś? - spytała szorstko, żeby pokryć zmieszanie.

Tom wbił widelec w krewetkę.

- Wiem, gdzie można znaleźć Grega Martina. Powiedział to lekko,

niemal na odczepnego, ale Harriet była tak zaskoczona, że dostała gęziej skórki, jakby zakończenia nerwów stały się nagle dziesięć razy wrażliwsze.

- Wiesz, gdzie on jest?
- Tak myślę.
- Gdzie?
- Hola, wolnego! - Pokręcił głową. - Nie tak prędko. Teraz twoja kolej.

- Co znaczy moja kolej?
- Czekam na sprawozdanie z postępów w śledztwie. Wzruszyła ramionami.

- Tak naprawdę to niewiele mam do powiedzenia.
- Harriet, sądziłem, że mamy ze sobą współpracować. Co ci powiedziała Maria Vincenti?

Poderwała głowę.

- Na jakiej podstawie przypuszczasz, że coś mi powiedziała?
- Zapewniła mnie, że opowiedziała ci, jak było. To uczciwa

propozycja handlowa, Harriet. Ty mi powiesz, co wyciągnęłaś od Marii, ja ci powiem, gdzie można znaleźć Grega Martina.

Zawahała się. Właśnie tego miała nadzieję uniknąć - nie chciała rozmawiać o tym, czego dowiedziała się od Marii, i po raz pierwszy w życiu zrozumiała, jak musiał się czuć ojciec, kiedy chował głowę w piasek. Rozmowa nadawała sprawie konkretnych wymiarów, wyławiła rzecz z niebytu. Tak - myślała - trzeba przeć naprzód, trzeba pokonać następną przeszkodę i znaleźć Grega Martina. Być może wtedy łatwiej zniesie prawdę skrytą za parawanem lat.

- To bardzo dziwna kobieta - zaczęła ostrożnie.
- Fakt. I bardzo przerażona. To oznacza, że zna tajemnice, których bezpieczniej jest nie znać. Powiedziała ci, jak to zrobić?

Harriet milczała.

O'Neill odłożył nóż i widelec.

- Posłuchaj, wcześniej czy później będziemy musieli sobie zaufać. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Nie były takie zimne jak

przedtem. W jego skupionej, surowej twarzy dostrzegła coś dodającego otuchy. „Będziemy musieli sobie zaufać...” Może ma rację. Sama do niczego nie dojdzie, chyba że zdradzi mu to, czego dowiedziała się od Marii. Tylko czy zdradzić mu wszystko?

- No dobrze - odrzekła. - Maria twierdzi, że Greg zrobił to z jej pomocą. Mówi, że zabrała go z Pizzo i pomogła mu uciec z kraju.

- A co z twoją matką? - spytał nieporuszony.

Spuściła wzrok, ale tuż przedtem dostrzegł w jej oczach wyraz bólu. Obracała w dłoni butkę, kruszyła ją i patrzyła, jak okruchy spadają na talerz. Tom czekał. Kiedy zaczęła mówić, głos miała spokojny i opanowany, ale wiedział, ile ją to kosztuje.

- Maria uważa, że Greg ją zamordował.

- Zamordował? Roześmiała się przeprasząco.

- Wiem, że to brzmi bardzo melodramatycznie, ale musisz przyznać, że takie rozwiązanie pasuje do faktów.

- Moim zdaniem to zbyt pochopny wniosek. Śledztwo dopiero się zaczyna.

Rzuciła butkę na talerz i spojrzała mu w twarz.

- Myślisz, że nie chciałabym w to wierzyć? - spytała żarliwie. -

Pamiętaj, że rozmawiamy o mojej matce. Przez całe życie wmawiano mi, że zginęła, że jestem pólsierotą, rozumiesz? I nagle okazuje się, że Greg Martin żyje, więc przez chwilę łudziłam się, że... To głupie, prawda? Ale tak, naprawdę łudziłam się, że matka zostawiła mnie z wyboru, że nie było jej przy mnie, kiedy jej najbardziej potrzebowałam tylko dlatego, żeby móc przeżyć. Chciałam, żeby tak było, chciałam, żeby żyła! Ale wiem, że tak nie jest. Maria podejrzewa, że Greg ją zamordował, i ja jej wierzę. Nie dlatego, że chcę. To bardzo trudne, to tak, jakbym ją po raz wtóry straciła.

Nagle pomyślał, że Harriet jest taka krucha, taka bezbronna. Dłonie zacisnęła w pięstki, głęboko osadzone oczy zasnuła jej mgła. Przez chwilę prawie wierzył, że mówi prawdę, i poczuł wyrzuty sumienia, że tak ją wykorzystuje. Ale natychmiast wziął się w garść. Harriet to córka Pauli Varna - myślał - a stawką w tej grze jest mała fortuna. On, Tom

O'Neill, miał do wykonania określone zadanie. Nie mógł sobie pozwolić na głupie sentymenty.

- No i tak - powiedziała opanowując zdenerwowanie. - Wiesz już, co wyciągnęłam od Marii Vincenti. Teraz twoja kolej. Gdzie jest Greg Martin?

- Dobra, coś za coś. Myślę, że jest w Darwin.

- W Darwin! To na północy Australii, tak? Dlaczego akurat w Darwin?

- Bo wskazują na to wyniki śledztwa. Lecę tam jutro rano, pierwszym samolotem. Spróbuję go znaleźć.

Nadszedł kelner. Oczekali w milczeniu, aż zbierze talerze ze stołu i przyniesie danie główne. Tom zaczął jeść polędwicę. Harriet siedziała, wbijając w podbródek koniuszki palców.

- Nie jesz? - spytał.

Splotła palce i spojrzała mu w oczy.

- Czy mogłabym... Myślisz, że mogłabym lecieć z tobą?

- Ze mną?

- Do Darwin, żeby odnaleźć Martina. Oczekuję tego spotkania równie niecierpliwie jak ty.

Tom zamyślił się. Wciąż nie był pewien, czy jej ufa czy nie, ale jeśli go nabiera, jeśli zmyśliła tę historyjkę o morderstwie, to niechaj z niej aktorka. Wiedział, że to możliwe. Nieraz spotykał wytrawne aktorki, które ani razu nie postawiły nogi na scenie. Tom O'Neill nie lubił podróżować ze zbytecznym balastem. Ale gdyby polecili razem, miałby ją przynajmniej na oku.

Poza tym... Zerknął na Harriet. Poza tym atrakcyjna z niej dziewczyna, to nie ulega wątpliwości. Wspólna wyprawa nie będzie nieprzyjemnym doświadczeniem.

- Samolot odlatuje wczesnym rankiem. Lepiej zadzwoń na lotnisko i spytaj, czy są jeszcze wolne miejsca.

Kiedy wrócił do hotelu, zadzwonił do Londynu i poprosił do telefonu Karen Spooner, swoją asystentkę.

- Tom? Jak się masz, szefie? Jak tam czarodziejskie Oz? - wyrzuciła

jednym tchem ze sztucznym amerykańskim akcentem.

Tom uśmiechnął się do siebie. Karen oglądała za dużo kryminałów i robiła wszystko, żeby nie wypaść z roli klasycznego detektywa - stąd ten śmieszny akcent i zwyczaj zwracania się do niego per „szefie”. Miała czarne uczesane „na czuba” włosy, wielkie czarne oczy, nosiła czarne skórzane kurtki i obcisłe dżinsy z modnymi rozpruciami na kolanach i siedzeniu. Ale dobra z niej była dziewczyna, bystra i chętna do pracy. Tom ufał jej i wiedział, że Karen poradzi sobie z każdym zadaniem.

- Świetnie. Słuchaj, jutro lecę do Darwin i zabieram ze sobą Harriet Varna.

- Harriet Varna? Córkę Pauli?! - Była trochę rozdrażniona; i chociaż nigdy do niczego jej nie zachęcał, patrzyła w niego jak w obraz, tak jak wiele innych dziewcząt.

Tom wiedział, że lepiej jej niepotrzebnie nie denerwować.

- Spokojnie, nie powiedziałem, że jej całkowicie ufam. Chcę mieć na nią oko, to wszystko. Poza tym myślę, że może się mi przydać. Posłuchaj, chciałbym, żebyś sprawdziła, co robiła rodzina Hugona Varna po eksplozji na jachcie. To nie będzie łatwe, wiem. Niewykluczone, że w ogóle niemożliwe. Od tamtej pory upłynęło już dwadzieścia lat, ale...

- Zostaw to mnie, szefie - odrzekła Karen. Nic nie sprawiało jej takiej przyjemności, jak możliwość stawienia czoła prawdziwemu wyzwaniu.

- Znakomicie. Jak tylko dotrę na miejsce i znajdę jakieś lokum, natychmiast przekażę ci numer telefonu, pod którym będziesz mogła mnie łąpać. Jeśli natrafisz na coś interesującego, natychmiast daj mi znać. Zapomnij o różnicy czasu i bez względu na porę dnia i nocy od razu dzwoń, jasne?

- Jasne, szefie.

Odłożył słuchawkę i zajął się pakowaniem walizek.

Linda wbiegła po schodach do pracowni i lekko zdyszana, krzyknęła:

- Sie masz, Terri. Mam dla ciebie bombową wiadomość.

Załatwiłam!

Teresa podniosła wzrok.

- Co załatwiłaś?
- Umowę! Cudowny kontrakt!
- Jaki kontrakt?
- Siadaj, to ci powiem. Nie, lepiej stój, nie przerywaj pracy. Jeśli to wypali, nie będziesz miała czasu, żeby spokojnie odetchnąć.
- Chryste, powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy nie?
- Dobra, było tak. Szukałam dla ciebie klientów i wydzwaniałam gdzie popadło, „na rybkę”, jak powiadają. Między innymi zadzwoniłam do butiku Cyganka, tak się toto nazywa. Bardzo modny, bardzo ekskluzywny i bardzo, ale to baaardzo drogi sklepik. Nie miałam wielkich nadziei. Właścicielka, parszywa suka, powiedziała, że kupuje tylko od renomowanych projektantów. No jasne, bo wtedy może przyczepić metkę z odpowiednią ceną, a klient nie mrugnie nawet okiem. Ale potem ktoś ją odwołał i pogadałam sobie z jej mężem, a raczej to on zaczął ze mną gadać. Wpadł na chwilę, żeby zobaczyć się z żoneczką. Siedział sobie w kąciuku i słyszał naszą rozmowę. Wygląda na to, że facet pławi się w forsie. Uwierzysz, że kupił tej żonzie butik tylko po to, żeby ją czymś zainteresować?
- Czemu nie. Niektórzy mają szczęście.
- Zobaczysz, trochę szczęścia spłynie teraz na ciebie. Opowiedziałam mu o tobie, o tym co robisz, i wykazał wielkie, naprawdę wielkie zainteresowanie. Przekona żonę, żeby wzięła kilka twoich projektów, i niewykluczone, że da się namówić na mały sponsoring. W przyszłym tygodniu mamy się z nim spotkać i omówić szczegóły.
- Gdzie się mamy spotkać?
- W luksusowej restauracji na West Endzie. Nawet jak nic z tego nie wyjdzie, zjesz przynajmniej porządny posiłek. To chyba lepsze niż fasola i ziemniaki w mundurkach, nie?
- Tak, o ile tylko... - Urwała i zagryzła wargi.
- O ile co?
- Nie wiem. To brzmi zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe.
- Uwierz w siebie, kochana! Brak ci pewności siebie. Kto wie, może to początek wielkiej kariery.

- Może...

Powinna być podekscytowana, pełna entuzjazmu, ale odczuwała tylko coraz większy lęk.

Rozdział piętnasty

Darwin w porze deszczowej.

Słyszała o porze deszczowej, ale nigdy nie zastanawiała się, co to właściwie jest. Teraz już wiedziała. Nie było od niej ucieczki i Harriet wprost nie mogła uwierzyć, jak ktoś - nawet zbiegły skazaniec - może tu żyć z wyboru.

W chwili, gdy drzwi Boeinga 727 stanęły otworem, załała ją fala gorąca - gorąca mokrego i lepkiego, jak w saunie. Z szarych, nisko płynących chmur lały się strumienie wody, która padając na rozgrzaną płytę lotniska natychmiast wyparowywała, tworząc gęste obłoki. Para przesłaniała wszystko - widok miasta, morza, bogatej tropikalnej roślinności i nowoczesnych, strzelistych budynków. Harriet czuła, że ma lepką skórę, oddychała z coraz większym trudem. Kiedyś nie dawała wiary opowieściom, że buty pozostawione w szafce po dwóch tygodniach robią się białe od pleśni. Teraz uwierzyła.

Parne, tropikalne Darwin - przedsionek piekieł. W Paryżu, Londynie i Nowym Jorku marzła, w Sydney smażyła się jak na patelni, a tu, w Darwin, żywcem się gotowała. I to wszystko w ciągu zaledwie kilku dni! Prawie nie spała, długi lot zmęczył ją i rozdrażnił. Siedziała obok Toma, który ze względu na długie nogi wybrał miejsce przy przejściu, i myślała: zwariowałam, nic tylko zwariowałam.

Trochę rozmawiali, trochę drzemali, skubali jedzenie i pili napoje, które serwowano regularnie na każdym etapie podróży, croissanty - świeżutkie i chrupiące - z sokiem pomarańczowym i kawą między Sydney i Brisbane, kawę i herbatniki między Brisbane i Townsville, lunch między Cairns i Darwin.

Kiedy wielki Boeing lądował, by po kilkunastu minutach znów wystartować, próbowała oglądać widoki, ale nie bardzo rozumiała, na co patrzy. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widziała olbrzymie połacie lasów - pewnie przeznaczonych pod wyrąb, bo mocno przerzedzonych i miejscami zbrązowiałych - wysepki soczystej zieleni, które brała za plantacje trzciny cukrowej albo morze, jasnoblękitne, a koło Wielkiej Rify Koralowej zielonkawo brązowe, jak ląd. Wysokość zniekształcała perspektywę, skrzydło zasłaniało widok, więc Harriet w końcu przestała sobie zawracać głowę oglądaniem krajobrazów. Później samolot obniżył lot i utonął w mglistej szarzyźnie wiszącej nad Darwin.

Przepchnęli się przez tłum pasażerów w małym terminalu i wyszli przed dworzec. Upiorna sauna. Chociaż deszcz na chwilę ustał, z góry wciąż lały się potoki wody. Tryskały z rynien, spływały z dachów, z napęczniałych, zwisających ciężko liści bił nieustanny prysznic.

Wzięli taksówkę. Tom zajął miejsce koło kierowcy, jak każe australijski zwyczaj, a Harriet wcisnęła się na tylne siedzenie; torbę z aparatem fotograficznym ustawiła na kolanie.

Dojechali do Telford Top End. W maleńkiej recepcji znów podano kawę, a po chwili zaprowadzono ich do pokoi. Wszystkie mieściły się na parterze, jak w amerykańskich motelach. Były prosto urządzone, ale jasne i czyste. Harriett rzuciła torby na łóżko i podeszła do okna. Stąd rozciągał się widok na basen. Pomyślała, że kąpiel dobrze jej zrobi, że

odpreży ją i złagodzi ból kończyn. Ale znów lunął deszcz i zielonkawa tafla basenu zniknęła za wodną kurtyną. I tak nic z tego - pomyślała Harriet - nie zabrała kostiumu.

Odwróciła się. Łóżko. Wyglądało zachęcająco. Może się na chwilę położyć? Tylko na pięć, góra dziesięć minut; bagaże mogą poczekać. Czemu nie? Zastłoniła okna, żeby nie widzieć szarówki na dworze, i padła na łóżko ukrywając twarz w poduszce. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona. Chyba powinnam była zdjąć sukienkę - pomyślała. Wygniotę ją jak diabli, a Bóg wie, czy mają tu żelazko. Ale nie czuła się na siłach, żeby wstać.

Niech cię szlag trafi, Martin! Ciekawe, czy wiesz, że siedzę ci na ogonie?

I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, bez powolnego odptywania w mglisty niebyt - zasnęła.

Kiedy się obudziła, było już ciemno. Przez chwilę leżała na poduszce, zastanawiając się, gdzie właściwie jest. Gdy watowate kłaczki snu wreszcie zniknęły, usiadła i rozsunęła firanki. W szarej, jakby wypłowiałej poświacie spojrzała na zegarek. Wpół do ósmej?! Niemożliwe! Nie mogła tak długo spać! Ale najwyraźniej spała, ani razu nie zmieniając pozycji. Oblepiony włosami policzek był cały w bruzdach - od tej cholernej poduszki! - a straszliwie wygnieciona sukienka mokra od potu. Co za koszmar! Wściekła na siebie, włączyła elektryczny czajnik i wrzuciła do dzbanka torebkę herbaty. Wstań, obudź się wreszcie! Nie przyjechałaś tu, żeby spać!

Przeczesała mokre włosy i nie zawracając sobie głowy przebieraniem się, wyszła na korytarz i zapukała do drzwi sąsiedniego pokoju. Nie odpowiedział jej nikt. Zapukała ponownie myśląc, że O'Neill też zasnął, ale nie, z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy. Tom musiał gdzieś wyjść.

Wróciła do pokoju. Woda już się zagotowała. Zrobiła herbatę, puściła wodę, ściągnęła niemiłosiernie wygniecioną sukienkę i znów spojrzała na zegarek. Postanowiła wziąć prysznic i zadzwonić do Nicka; pewnie jest już w biurze. Powinna kogoś zawiadomić, że wylądowała w Darwin,

bo gdyby mieli dla niej jakieś wiadomości, nikt by jej tu nie znalazł.

Strumienie wody odświeżyły zaczerwienioną skórę. Umyła włosy i spędziła w łazience więcej czasu, niż zamierzała. Kiedy wróciła do pokoju otulona cienkim bawełnianym szlafrokiem, herbata była już chłodna. Piła ją, wykręcając numer Nicka. Podniósł słuchawkę niemal natychmiast.

- Nick? To ja, Harriet.

- Harriet? Skąd dzwonisz? - Gdyby nie odpowiedział z ledwo uchwytnym opóźnieniem, można by sądzić, że dzieli ich ściana pokoju, a nie pół świata.

- Z Darwin.

- Z Darwin? A co ty, do diabła, tam robisz?

- Próbuję znaleźć Grega Martina. Tom O'Neill, detektyw z towarzystwa ubezpieczeniowego, twierdzi, że Martin się tu ukrywa.

- Tom O'Neill... Czy to nie ten facet, który odwiedził cię w Londynie?

- Zgadza się. Wygląda na to, że idziemy tym samym śladem, ale w różnych kierunkach, więc postanowiliśmy nawiązać współpracę. To chyba jedyne sensowne rozwiązanie. No i namówiłam go, żeby zabrał mnie do Darwin.

- Żeby cię tam zabrał? On ciebie? To do ciebie niepodobne, Harriet.

- Detektyw towarzystwa ubezpieczeniowego może więcej niż ja, przynajmniej czasami.

- Chyba tak - mruknął niechętnie Nick. - Ale myślałem, że za nim nie przepadasz. Pewny siebie i arogancki, tak mówiłaś.

- Zaczynam rozumieć, że są takie miejsca, gdzie arogancja i pewność siebie bardzo pomagają. Zresztą to, że wykorzystuję jego siłę przebicia, nie musi od razu znaczyć, że go lubię. - Usłyszała pukanie. - Zaczekaj chwilkę, Nick.

Podeszła do drzwi i przekręciła klamkę. W progu stał Tom O'Neill. O wilku mowa.

- Wejdz, Tom - powiedziała ogarnięta irracjonalnym strachem. Słyszał, co mówiła Nickowi? - Rozmawiam przez telefon, ale zaraz

kończę. - Wróciła do stolika i odgarniając za ucho mokre włosy, podniosła słuchawkę. - Muszę już kończyć, Nick. Jeśli ktoś mnie będzie szukał, jestem w Telford Top End. Jak się stąd ruszę, dam znać.

- Chcę ci jeszcze powiedzieć, że zdjęcia są sensacyjne, Harriet. Puszczamy je w majowym numerze. Chciałbym zamieszczać je regularnie, dać ci stałą rubrykę, rozreklamować cię wśród czytelników, więc nie trać czasu na grzebanie w przeszłości. A jeśli już musisz w niej grzebać, nie rozstawaj się z aparatem. Góra za miesiąc muszę mieć następne zdjęcia. Inaczej nie zdążymy na czerwiec.

- Boże, Nick, nie wiem, czy dam radę...

- Dasz, Harriet, postarasz się i zdążysz. Nie marnuj tak wspaniałej okazji. To może być szansa, na którą czekałaś.

Zagryzła wargi. Oczywiście miał rację, ale w tej chwili nie mogła uwierzyć, że zdjęcia i kariera były dla niej kiedyś takie ważne.

- Zadzwoń do ciebie, Nick. - Odłożyła słuchawkę i natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Znała to uczucie. Znow źle go potraktowała. Dawał jej szansę, a ona cisnęła mu ją w twarz jak wszystko, co jej oferował.

Podniosła wzrok. O'Neill patrzył na nią i spojrzenie jego głębokich oczu ją zmieszało.

- Niestety zasnęłam - powiedziała. - W ciągu ostatnich kilku dni zaliczyłam tyle stref czasowych, że dosłownie mnie ścięło.

Uśmiechnął się. Ku własnemu zdziwieniu Harriet nagle odkryła, że O'Neill ma bardzo miły uśmiech.

- Trudno cię o to winić. Sam bym się chętnie trochę przespał.

- Ale wykazałeś większe opanowanie.

- Chciałem się jak najszybciej rozejrzeć.

- No i gdzie byłeś?

Nieznacznie zmrużył oczy. Skąd wiesz, że gdzieś byłem, skoro spałaś? - myślał.

- W biurze firmy handlującej nieruchomościami i gruntami. Sądzę, że Martin jest jej udziałowcem.

- I czego się dowiedziałeś?

- Od nich niewiele. Gdybym powiedział, że są skryci i zamknięci jak szczękuje, pochlebiłbym szczęujom. Są o wiele, ale to o wiele bardziej milczkowaci. Tym bardziej wierzę, że jestem na właściwym tropie. No i znalazłem jeszcze dwa inne ślady.

- Jakie?

- Pewna młoda sekretarka, którą tam spotkałem, nie była tak wrogo nastawiona jak współwłaściciel firmy. Szczerze mówiąc, pokładałem w niej wielkie nadzieje. Wieczorem zabieram ją na małego drinka.

- Ach tak... - Nie umiała wytłumaczyć, dlaczego jest tak skonsternowana i dlaczego lepiej nie zamaskowała tej konsternacji.

Usłyszał w jej głosie nutkę rozczarowania i uśmiechnął się lekko.

- Nic się nie martw, najpierw coś zjemy. Nie pozwoliłbym ci jeść samej. Nie tutaj.

- Nie musisz się czuć za mnie odpowiedzialny - odrzekła szybko. - Jestem samodzielna, dam sobie radę.

- Wierzę, ale Darwin to miasto mężczyzn, niezbyt miłe dla samotnej kobiety. Jest tu bistro, dosłownie tuż za rogiem, należy do hotelu. Możemy tam pójść. Przyjdę po ciebie za... powiedzmy za kwadrans.

I zanim zdążyła odpowiedzieć, wyszedł. Pokręciła z niedowierzaniem głową. Jak go opisała Nickowi? Arogancki i pewny siebie? Może trochę przesadziła. Ostatecznie tego wymaga jego praca. Ale na pewno jest apodyktyczny - przywykł wydawać rozkazy i narzucać ludziom swoją wolę. I niezaprzeczalnie atrakcyjny...

Pogrążona w myślach, patrzyła na zamknięte drzwi. Po chwili westchnęła, zrzuciła szlafrok i zaczęła przebierać się do kolacji.

Bistro przypominało bar ze starych, kiepskich czarno-białych westernów. Wzdłuż całego pomieszczenia ciągnęła się lada baru, za którą wisało długie lustro. Stoły z kawałów surowego drewna były przykryte obrusami, na których widniały okrągłe plamy od niezliczonych kufli piwa oraz dziury wypalone niedopałkami papierosów. Obsługa też nie grzeszyła wyrefinowaniem; Harriet i Tom zajrzeli do nader skromnego menu, wybrali, co było do wybrania, wzięli talerze, podeszli

do wąziutkiej wnęki mieszczącej kuchnię, gdzie nad rozżarzonymi do czerwoności rusztami uwijali się spoceni kucharze, i odebrali steki z wielką górą różnego rodzaju sałatek. Jedzenie było pyszne, treściwe i obfite - po raz pierwszy od wielu dni Harriet poczuła, że jest naprawdę głodna, i jadła żarłocznie jak nigdy. *Haute Cuisine* jest w porządku, czemu nie, ale nic nie zaspokoi apetytu tak skutecznie jak stek z grilla i ziemniaki w mundurkach spływające roztopionym masłem.

Idąc z talerzem do stolika, Harriet zrozumiała, co Tom miał na myśli mówiąc, że Darwin jest miastem mężczyzn - bistro należało niemal wyłącznie do nich. Jeśli nie liczyć dwóch kobiet towarzyszących swoim partnerom i dotrzymujących im kroku w picu piwa oraz barmanki, ładnej blondynki w wydekoltowanej bluzce i minispódnicy, Harriet była tu jedyną przedstawicielką płci pięknej. Wszyscy mężczyźni omietli ją pełnym uznania spojrzeniem; ich oczy prześlizgnęły się po świeżo umytych włosach sprężyste podskakujących na karku, po smukłej figurze i strzelistych, kształtnych nogach, które cytrynowe szorty w szarą kratkę ukazywały w pełnej krasie. Ale Harriet mniej uwagi zwróciła na ten męski podziw niż na wzrok barmanki, do której wybrał się Tom, żeby kupić drinki - dziewczyna flirtowała z nim bezwstydnie i kokietowała umazanymi tuszem oczami, rzucając uwodzicielskie spojrzenia spod gęstej, utlenionej grzywki. W barze tak nasyconym mężczyznami jej zachowanie wobec Toma było niemałym wyróżnieniem.

- No i co ty na to? Barmanka jest Angielką - powiedział, kiedy usiadł wreszcie przy stoliku. - To już ostatnia rzecz, jakiej można by się spodziewać w tak zapomnianym przez Boga miejscu.

- I co ona tu robi? - zapytała Harriet.

- Pracuje i jeździ po świecie. Siedzi tu już od pół roku. Zaczęła najpierw u boku krewnych w Tasmanii, potem objechała niemal całą Australię, a jak tylko pogoda pozwoli, wybiera się do Queensland.

- I dobrze.

- Pochodzi z Bristolu, to jeszcze dziwniejsze. Czy twoja matka nie urodziła się tam czasem? - zapytał swobodnie, tonem, jakim przystało pytać w luźnej rozmowie, ale jakiś szósty zmysł kazał Harriet szybko

podnieść wzrok. Pochwyciła uważne spojrzenie Toma i dociekliwie zmrużone oczy.

- Niedaleko od Bristolu, rzeczywiście. - Specjalnie odpowiedziała niejasno. - Czy ta dziewczyna powiedziała ci może, dlaczego ściągnęła do Darwin? Po co tu przyjechała w ogóle, a zwłaszcza w porze deszczowej? Sądziłam, że każdy zdrowy na umyśle człowiek za wszelką cenę unikałby tego miłego zakątka.

Kiedy już zjedli, Tom spojrzał na zegarek.

- Muszę lecieć, jeśli mam się nie spóźnić na spotkanie. Odprowadzę cię do pokoju.

- Nie ma potrzeby. Zostanę tu i wypiję Jeszcze szklaneczkę czegoś mocniejszego. - Pochwyciła jego spojrzenie i wybuchnęła śmiechem. - Jeśli ta twoja Angielka przeżyła tu jakoś o własnych siłach, ja też na pewno nie zginę.. Poza tym... przyszło mi coś do głowy. Chciałabym zrobić kilka zdjęć.

- Zdjęcia z baru?

- Mhm. To w końcu mój zawód, prawda?

- Masz przy sobie aparat? Poklepała torbę.

- Nigdzie się bez niego nie ruszam.

- No dobra. Muszę już iść. Niewykluczone, że wrócę bardzo późno, więc spotkamy się rano.

Patrzyła, jak znika za wahadłowymi drzwiami, a potem rozejrzała się po barze wzrokiem fotoreportera. Nick upierał się, że w ciągu miesiąca musi dostać zdjęcia. Wtedy nie przypuszczała, że jakikolwiek pomysł przyjdzie jej do głowy w ogóle, nie mówiąc już o czymś rzeczywiście dobrym. Ale atmosfera bistro wyzwoliła w niej nową energię - po raz pierwszy od czasu, gdy dowiedziała się o Gregu Martinie, poczuła, że ma ochotę pracować. I dzięki Bogu! Cóż to za ulga móc znowu myśleć o czymś innym niż te pytania, które od kilku dni kłębią jej się w głowie! Wiedziała, że nawet jeśli zaraz wróci do pokoju, i tak długo nie zaśnie, zwłaszcza po takiej przedłużonej drzemce, jaką ucięła sobie po południu.

Wyciągnęła z torby aparat i zawiesiła go na szyi. Tak, znalazła tu świetny materiał - Angielkę za barem w otoczeniu najróżniejszych typów

spod ciemnej gwiazdy, kucharzy spoconych nad rozgrzaną blachą kuchennych pieców, wystrój wnętrza rodem z amerykańskich saloonów. Być może, jeśli nadarzy się okazja, będzie mogła ukazać to na jakimś wyraźnym, nowym tle, bo Darwin i Północne Terytorium zupełnie nie przystawało do wyobrażeń szarego człowieka o Australii. Ludzie zazwyczaj widzieli Australię jako bezkres błękitnego nieba, zalane jasnym słońcem tereny ograniczone linią horyzontu i szerokie złote plaże. Tu, na północy, kontynent jawił się zupełnie inaczej, tu Australia była mokra i błotnista, gorąca jak piekło i zupełnie nie okiełznana.

Harriet wstała. Poczła dreszcz podniecenia, jak zawsze, kiedy wiedziała, że ma dobry materiał. Idąc do baru, czuła na sobie spojrzenia dwudziestu par męskich oczu.

- Cześć, mała! Brak ci towarzystwa?
- Postawić ci drinka, kochana?

Uniosła kącik ust w ledwie widocznym uśmiechu.

- Zgoda, jeśli tylko pozwolicie mi zrobić sobie kilka zdjęć. Ale nie pozowanych! Żadnych wygłupów wszystko ma wyglądać zupełnie naturalnie.

Było już dobrze po północy, kiedy wreszcie wyszła z bistro. Namówienie klientów baru, żeby nie zwracali uwagi na to, że są na muszce obiektywu, i zachowywali się naturalnie, było jak zwykle żmudnym zadaniem, ale w końcu Harriet nie interesowały pozowane zdjęcia. Wreszcie, na swoje szczęście, zobaczyła, że do baru wtacza się barwna postać, do której wszyscy zwracali się „Bluey”. Bluey, w dzinsach i robociarskiej koszuli, był tak ululany w pestkę, że w ogóle nie zauważył aparatu fotograficznego, a nawet gdyby się zorientował w czym rzecz, i tak miałby to w nosie.

- Cholerne burze elektryczne! - zawodził i osłaniał oczy dłonią, kiedy żarówki trzaskały iskrami, a reszta gości i Sandra za ladą tak bardzo bawili się jego zachowaniem, że w końcu zapomnieli o skrępowaniu i zaczęli się zachowywać swobodnie.

Harriet weszła do swojego pokoju. Miała wrażenie, że jest w saunie. Otworzyła na oścież duże balkonowe okno, lecz i tak nie poczuła

powiewu świeżego powietrza.

Sąsiadujący z jej sypialnią pokój Toma O'Neilla był pogrążony w ciemności. Albo Tom już spał, albo jeszcze nie wrócił. Raczej nie wrócił - pomyślała. Chyba że ma zwyczaj sypiać przy ściągniętych zasłonach. Była zawiedziona. Najwyraźniej liczyła na to, że zobaczy go jeszcze przed snem i dowie się, co zdołał ustalić.

Zamknęła okno. Rozebrała się i naga weszła do łóżka, naciągając na siebie tylko prześcieradło. Wciąż za gorąco, żeby zasnąć. Długo przewracała się z boku na bok, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji - ciągle nawiedzały ją ujęcia, które zrobiła w barze. Odnosiła wrażenie, że leży tak godzinami, kiedy wreszcie usłyszała kroki w korytarzu, a potem trzaśnięcie drzwi w pokoju Toma. Hm, nie uświadamiając sobie tego w pełni, chyba właśnie na to czekała.

Bardzo późno wróciłeś, Tomie O'Neill. Mam nadzieję, że znalazłeś co trzeba...

Skóra lepiała się jej od potu i Harriet miała uczucie, że chodzą po niej mrówki. Coś nawaliło w klimatyzacji? - myślała raz po raz. Niemożliwe, że działa jak należy. Postanowiła, że z samego rana złoży skargę w recepcji, choć nie sądziła, żeby to miało dać jakieś wymierne rezultaty. Nie przejmujący się niczym Australijczycy pewnie powiedzą: „Naprawimy to, proszę pani, nie ma sprawy” i nic się i tak nie zmieni.

Nie mogąc wytrzymać dłużej tego lepkiego gorąca, odrzuciła prześcieradło, podeszła do okna i jeszcze raz otworzyła je na oścież. Usłyszała cichutki szept wiatru i westchnęła z ulgą. Tym razem postanowiła nie zamykać okna. Nic jej nie zmusi do zamknięcia go na noc - ani strach przed ewentualnym gwałtem, ani perspektywa morderstwa.

Położyła się na prześcieradle i zapadła wreszcie w ciężki, męczący sen.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Pewnie przynieśli śniadanie. Wieczorem zażyła sobie śniadanie do pokoju. Na specjalnym kartoniku odhaczyła zamówione rzeczy i zawiesiła kartonik na zewnętrznej klamce drzwi pokoju. Kolejne stuknięcie. Walczyła z

resztkami snu, naciągając lekką podomkę o kroju kimona. Ktoś za drzwiami nie miał zamiaru się poddać.

- Dobrze, już dobrze, idę! - zawołała, zastanawiając się, dlaczego kelner nie zostawi po prostu śniadania na wózku.

Otworzyła drzwi. W korytarzu stał Tom O'Neill. Trzymał tacę z francuskimi bułeczkami, różnymi dżemami w małych plastikowych pojemniczkach i kawą.

- Śniadanie, proszę pani.

Wyglądał nader świeżo, jak na kogoś, kto wrócił do hotelu nad ranem i pewnie nie mało pił. Miał na sobie białą koszulkę polo i kremowe płócienne spodnie, spod których wзираły mocno kontrastujące z resztą ubrania granatowe skarpetki frotte.

- Weź to ode mnie, a ja przyniosę swoją - powiedział. - Doszedłem do wniosku, że możemy zjeść razem śniadanie i przy okazji pogadać.

Odstawiła tacę i przeczesła palcami włosy. Wiedziała, że nie najlepiej wygląda.

- No i jak poszło? Czy ta młoda dama w ogóle wie cokolwiek?

- Zdobyłem adres. Wygląda na to, że Vanessa ma tu w Darwin posiadłość. Bardzo drogą i bardzo ekskluzywną, w East Point. A w każdym razie ta posiadłość jest na nią zapisana. Robyn, moja informatorka, twierdzi, że wszyscy tu wiedzą, kto się za tym kryje. Dom i okalający go teren kupił dla Vanessy niejaki Rolf Michael, czyli ni mniej, ni więcej nasz Greg Martin, bo tak się tu teraz nazywa. Oboje z Vanessą szykują sobie wygodne, ciepłe gniazdko, a skoro tak, to znaczy, że Greg Martin wszystko już wcześniej naprawdę dobrze obmyślił.

- Sprytne.

- Ten facet nie jest głupcem - przytaknął Tom. - Niestety, tym razem próżność go zgubiła. Powinien trzymać język za zębami, jeśli chciał tu sobie bezpiecznie siedzieć z Vanessą, najwyraźniej jednak nie mógł odmówić sobie przyjemności paradowania z nią po Darwin Construction. Młoda piękność zawieszona na jego ramieniu wynagradzała mu widać wszystko to, co mu zabrał wiek. Myślę o jego urodzie. Syndrom birbanta. „Nie mogę być jeszcze taki stary, skoro

przygruchałem sobie taką synogarlicę". Nie jest pierwszym facetem, który wpadł w tę pułapkę, i jak sądzę pewnie nie ostatnim. W Darwest zaczęto mleć ozorami, a reszty dokonała poczta pantoflowa.

- Wygląda na to, że bardzo owocnie spędziłeś wczorajszy wieczór.
- O tak. O tak...
- Bardzo późno wróciłeś - zauważyła i natychmiast tego pożałowała.
- A co? Tęskniłeś za mną? - zapytał z zadowoleniem, rozsmarowując

dżem na bułce. - Wydawało mi się, że powinienem zachować się towarzysko. Nie mogłem po prostu wparować, zadać kilka nachalnych pytań i wyjść, prawda?

- Oczywiście, że nie. Nie chciałam cię krytykować... - zaczęła Harriet i urwała, nie kończąc zdania, wstrząśnięta odkryciem, że ilekroć myśli o młodej informatorce Toma, za każdym razem ogarnia ją najzwyczajniejsza irytacja. To zazdrość. Była po prostu zazdrosna. Niewiarygodne! Dotychczas nie zdawała sobie nawet sprawy, że w ogóle go lubi. Odstawiła filiżankę z kawą.

- No więc, jaki jest następny krok? Jedziesz sprawdzić podany adres, tak?
- Chyba tak.
- Weźmiesz mnie ze sobą?
- Jeśli Greg tam siedzi, może być nieprzyjemnie.
- Jeśli spotkam się z nim twarzą w twarz, to pewnie tak. Przymrużył oczy.

- Nie jestem przekonany, że to dobry pomysł. Harriet, ja tu pracuję. Nie chciałbym, żebyś mi w tym przeszkadzała.

- Nie będę.

- Dobra, zgoda. Pod warunkiem, że będziesz się trzymała na uboczu i będziesz milczała. Nie ma mowy o żadnych wybuchach emocji. O żadnych oskarżeniach. Nie możesz się zdradzić, kim jesteś.

Nagle przyszła jej do głowy niemiła myśl, że nawet jeśli sama nie odezwie się słowem, wystarczy, że Greg dobrze się jej przyjrzy, a od razu domyśli się wszystkiego. Matkę znała tylko z fotografii, lecz wiedziała, że jest do niej uderzająco podobna. Odepchnęła od siebie tę myśl. Greg nie

będzie się przecież spodziewał żadnych duchów przeszłości, a jeśli ją jednak rozpozna, to cóż... no to trudno. Zresztą, może się zdarzyć, że pod wpływem wstrząsu, jaki przeżyje na jej widok, zapomni się i opuści gardę? Ale na wszelki wypadek postanowiła nie dzielić się tymi refleksjami z Tomem. Wtedy mógłby jej nie chcieć zabrać ze sobą, a ta wyprawa jest dla niej zbyt ważna. Nie, teraz nie mogła dopuścić do tego, żeby Tom zmienił zdanie.

- Do niczego nie będę się mieszać - przyrzekła.

- To dobrze. W tej sytuacji im szybciej przez to przebrniemy, tym lepiej. Zostawiam cię, a ty się tymczasem przebierz. Ładnie ci w tym kimonie.

Zamknął drzwi za sobą. Harriet drżała jak osika. Zniecierpliwiona swoim zachowaniem, dopiła szybko kawę i weszła pod prysznic.

Ranek był już wilgotny, choć nad purpurowymi krotonami i bananowcami niebo wciąż jaśniało niezmaconym błękitem; promienie słońca przenikały przez rozłożyste konary drzew bunja-bunja. Za kilka godzin gorąca mgła nadciągnie znad oceanu, ciągnąc za sobą chmury, które wyleją z siebie strugi ulewnego deszczu na rozgrzaną, parującą ziemię. Teraz jednak powietrze pachniało słodko czerwonym jaśminem i henną; co pewien czas wiatr przywiewał z sobą lekki zapach bitumicznej smoły.

Tom już poprzedniego popołudnia wynajął samochód - Renault z nałożonymi na przedni zderzak wysokimi kratami, które - jak się zdawało - były obowiązkowym wyposażeniem wszystkich aut w Darwin. Z absolutną swobodą prowadził wóz przez miasto i wjechał na East Point Road. Po lewej stronie wody Fanny Bay błękitniały zupełnie jak niebo; na skałkach nad zatoką bujnie kwitły krzewy bugenwilli.

Darwin w pełnej krasie - myślała Harriet. Takie zdjęcia nadadzą zupełnie nową perspektywę scenom w barze. Ale jej entuzjazm z ubiegłego wieczoru mocno przygasał w obliczu perspektywy, że być może za chwilę spotkają Grega Martina.

Okazało się, że pod adresem, który zdobył Tom, mieści się parterowy bungalow w bardzo angielskim stylu, okolony schludnym, zadbanym

ogrodem. Dom był przyjemny, wygodny, ale trudno go było nazwać luksusowym i nie bardzo przypominał posiadłość, w której Greg dotychczas mieszkał z Marią. Może dlatego że pałac w Sydney został kupiony za pieniądze Marii, a Greg nie chciał ściągać na siebie uwagi tu, pośród mieszkańców Darwin? W ogrodzie pracował stary aborygen, przycinając gałęzie krzaków, które w tych szklarnianych warunkach po wariacku puszczały pędy na prawo i lewo. Spojrzał na przybyszów, uśmiechnął się, ukazując bezzębne dziąsła, i jakby nigdy nic nadal w leniwym tempie przycinał rozbuchane krzaczki.

- Jest ktoś w domu? - zawołał Tom.

Mężczyzna wzruszył ramionami, uśmiechnął się i zniknął za rozłożystym krzewem.

Okna bungalowu były szeroko otwarte, żeby na ile to możliwe, jak najlepiej przewietrzyć dom, zanim się znów zacznie ulewa; drzwi stały otworem. Tom nacisnął dzwonek, a po kilku chwilach w progu stanęła chuda kobieta w płóciennym fartuchu bez rękawów, uzbrojona w ściereczkę do kurzu. Najwyraźniej pomoc domowa.

- Dzień dobry - powitał ją Tom. - Jest może Michael? Na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

- Kto?

- Rolf Michael. Mieszka tu przecież, prawda? Przeczesała palcami włosy związane starą pończochą.

- Pan chyba pomylił adres. Tu nikt taki nie mieszka.

- A Vanessa McGuigan? - Tom się nie poddawał. Mocno poorane czoło kobiety wygładziło się z miejsca.

- O tak, panna McGuigan, tak.

- Jest w domu?

- Nie.

- Wie pani kiedy będzie?

Kobieta bawiła się opaską z pończochy.

- Nie wiem. Raz jest, raz jej nie ma. Ale jedno mogę panu powiedzieć. Długo, tu już nie pomieszka. Dom jest wystawiony na sprzedaż. Panna McGuigan była tu przedwczoraj. „Zadbaj o dom,

Madge", powiedziała mi. „Sprzedaję go." Cholerny pech. Pracuję tu dopiero od trzech miesięcy, a robota jest lekka i łatwa.

Naprawdę łatwa, bo panna McGuigan prawie tu nie bywa. Załatwiło mnie to na cacy, bo znów muszę się rozglądać za nowym zajęciem.

- No tak. A która to agencja wystawia dom do sprzedaży?
- Abbot i Skerry na Smith Street. Pan chciałby może kupić?
- Kto wie - odparł Tom. - Moglibyśmy się może rozejrzeć? Kobieta

się zawahała.

- No nie wiem... Lepiej niech się pan skontaktuje z agentem.

- To by nam zaoszczędziło dodatkowej jazdy - powiedział Tom. - A jeśli kupimy dom, to naturalnie będzie nam potrzebny ktoś do sprzątnia.

Uśmiechnął się do kobiety. Była po czterdziestce i niezbyt urodziwa, ale tak samo podatna na jego męski wdzięk, jak dziewiętnastoletnia recepcjonistka w Darwest.

- Hm, chyba się nic nie stanie... - Ustąpiła w bok, robiąc przejście w progu. - Co chcecie zobaczyć?

Ruszyła przodem, otwierając po drodze drzwi i wymachując tu i tam szmatką od kurzu.

- To jest kuchnia. Całkiem duża, prawda? Lodówka i kuchenka są obudowane, więc będzie je musiała zostawić. A to bawialnia... łazienka jest na końcu korytarza...

Bungalow, w którym nigdy nikt nie mieszkał na stałe, wypełniała zupełnie bezosobowa atmosfera - był zbyt schludny, zbyt uporządkowany. Nic im nie mówił o właścicielach. Tylko w sypialni mogli się doszukać jakichś śladów, że ktoś tu jednak od czasu do czasu mieszka. Na drzwiach wisiało przezroczyste jak mgiełka nocne wdzianko, na toaletce stała butelka perfum i równo poustawiane słoiczki z kosmetykami, a na stoliku nocnym czyjaś fotografia w ramce. Tom wziął zdjęcie do ręki. Harriet zerkając mu nad ramieniem zobaczyła piękną dziewczynę w wieczorowej sukni bez ramion, z włosami, które jasną kaskadą spływały jej na plecy; piękność odstaniała duże zęby, uśmiechając się do mężczyzny w smokingu i w muszce. Greg i Vanessa.

Poczuła jakieś ostre, bolesne ułknięcie. Odwróciła głowę dokładnie w chwili, kiedy kobieta powiedziała z wyrzutem:

- Proszę nic nie ruszać.

Tom odstawił zdjęcie na miejsce.

- Śliczna dziewczyna.

- O tak, nie ma dwóch zdań. - Kobieta uśmiechnęła się kwaśno. -

Wygrała konkurs piękności. Moim zdaniem mogła zdobyć nawet mistrzostwo Australii, gdyby nie zrezygnowała.

- A ten facet? Kto to? - spytał Tom, jak gdyby nigdy nic.

- Narzeczony, rzecz jasna. Woła na niego Mike. Widziałam go tylko ze dwa razy. Prowadzi chyba jakieś interesy. Jest bardzo zajęty i przeważnie go nie ma. A ja tu przychodzę tylko przed południem. A teraz, kiedy widzieliście państwo już wszystko... - Stała w drzwiach i usiłowała nakłonić ich do wyjścia.

- Tak, dziękujemy, że była pani tak uprzejma, pani...?

- Peake. Madge Peake. Proszę państwa, jak państwo już się zdecydują kupić ten dom, to proszę o mnie nie zapomnieć, dobrze? Umiem pracować i można na mnie polegać. Poza tym mieszkam blisko, więc zawsze jak będzie trzeba, mogę przyjść i po godzinach...

Tom nagroził ją szerokim uśmiechem.

- Nie zapomnimy o pani, pani Peake. Nie jesteśmy jeszcze zdecydowani, ale skontaktujemy się z agencją Abbot i Skerry. Tak się nazywają, prawda?

- Tak, Abbot i Skerry. To ładny dom i dobra okolica. - Odprowadzała ich do samego wyjścia; czuło się, że z żalem żegna przyszłych pracodawców. - Może przekazać coś pani McGuigan, jak zadzwoni? Podać państwa nazwisko?

- Skorzystamy z pani rady i resztę spraw będziemy już załatwiać przez agenta - odparł Tom gładko.

Popchnął Harriet ścieżką do furtki. Przy bramie Harriet się odwróciła, żeby ostatni raz spojrzeć na dom, gdzie na progu stała Madge Peake i odprowadzała ich wzrokiem. Harriet sądziła, że nigdy więcej nie ujrzy już tego domu.

- Pięknie to rozegrałeś - powiedziała z uznaniem, kiedy Tom otwierał jej drzwi samochodu. - Zaczynam rozumieć, dlaczego cieszysz się w pracy tak doskonałą opinią,

- Po prostu wykorzystuję każdą możliwą okazję, to wszystko. Ale i tak niewiele więcej wiemy, prawda? Jedyna cenna rzecz to zdjęcie w sypialni. Teraz nareszcie mogę już sobie wyobrazić, jak Martin wygląda dzisiaj, choć ciągle nie mam zielonego pojęcia, jakiego używa nazwiska.

- Masz dobrą pamięć do twarzy? - spytała zapinając pas. - Teraz go jeszcze mam w oczach, ale za kilka dni nie będę już tego zdjęcia pamiętać i przypuszczam, że gdybym spotkała Grega, w ogóle bym go nie rozpoznała.

- Nie polegam wyłącznie na pamięci, jeśli mogę tego jakoś uniknąć - odparł, zawracając dużym łukiem i kierując samochód w stronę miasta. Potem sięgnął do kieszeni marynarki, którą włożył na siebie, jak tylko zajechali pod bungalow. - Mam to, widzisz?

Upuścił coś na kolana Harriet. Małe zdjęcie legitymacyjne w posrebrzanej ramce. Fotografie tego samego mężczyzny, którego oglądali na zdjęciu z Vanessą. Portret Grega Martina.

- Skąd to wzięłeś? - zapytała z wyrzutem.

- Stało na szafce obok tego dużego. Zrobiłem przedstawienie, że niby oglądam Vanessę, a tymczasem zwędziłem małego Martina. Mam tak sprawne palce, że mógłbym chyba zostać iluzjonistą, nie sądzisz?

- Ale to zwykła kradzież! - wykrzyknęła wstrząśnięta.

- Tak - zgodził się z uśmiechem. - Ale w dobrej sprawie.

- Jeśli Vanessa napuści na ciebie policję, nie myśl sobie, że dam się w to wciągnąć! Zaprzeczę wszystkiemu...

- A ja sądziłem, że po to, by złapać Martina, gotowa jesteś na wszystko. No cóż!

Uśmiechnęła się i zerknęła na niego spod oka.

- Niestety masz rację. Jestem tylko wściekła, że sama nie zauważyłam tego cholernego zdjęcia i pierwsza nie wpadłam na to, żeby je ukraść!

W centrum Darwin było bardzo tłoczno. Wyglądało na to, że wszyscy

chcą na gwałt załatwić swoje sprawy, zanim lunie deszcz.

- Gdzież jest ta piekielna Smith Street? - irytował się Tom. Harriet zatopiona w planie miasta, który agencja wynajmu samochodów dostarczyła wraz z wozem, wiodła palcem po mapie.

- Tutaj. Bardzo długa ulica.

- Co to znaczy tutaj? Gdzie teraz jesteście?

- Zwolnij, zaczekaj... Daly Street. Jedź prosto, a na pewno trafimy.

- Akurat! Znajdę jakieś wolne miejsce, zaparkujemy i pójdziemy na piechotę. - Jak powiedział, tak zrobił; zaparkował przy krawężniku. - Chodź.

Wysiedli. Harriet czuła już, jak koszula klei jej się do pleców, mokra w miejscach, którymi stykała się z oparciem fotela. Niezadowolona poruszyła ramionami. Jak ludzie w ogóle mogą pracować w tym klimacie, który wysysa z człowieka dosłownie całą energię? - myślała. Stary Morris, wymalowany krzykliwymi kolorami, przemknął tuż obok nich - z otwartych okien zwisali roześmiani aborygeni, wymachując butelkami i puszkami piwa. Ten widok stanowił częściową odpowiedź na jej nieme pytanie. Niektórzy ludzie po prostu nie pracują wcale. Upijają się i jeżdżą samochodami. I kto im to może mieć za złe?

Zgodnie z tym, co Harriet widziała na planie, Smith Street była długa i prosta. Pracujące dźwigi, wiszące nad dachami domów, wyciągały długie szyje pod szarzejące niebo. Własność Darwest Development? - zastanawiała się w myślach. Najwyraźniej w przemyśle budowlanym siedziały duże pieniądze i tych, którzy restaurowali miasto po przejściu cyklonu Tracy, należało tylko podziwiać. Nowe Darwin zostało starannie zaplanowane. Czuło się w nim miłą atmosferę eleganckich przedmieść. Było dokładnie, takie, jak trzeba - mogło przyciągać ludzi skłonnych inwestować pieniądze, tych, którzy wiedzą, co robić z gotówką. Nie, Gregowi Martinowi nie można było odmówić smykałki do interesów.

Biuro agencji Abbot i Skerry mieściło się między barem szybkiej obsługi a pralnią samoobsługową. W oknach wisały wielkie tablice z fotografiami domów i wystukany na maszynie ofertami. Tom i Harriet przejrzeni je szybko, szukając wśród wystawionych na sprzedaż posesji

bungalowu z East Point, ale go nie znaleźli. Być może nie zdążył jeszcze trafić na szybę.

- Pozwolisz, że sam porozmawiam - odezwał się. - Idź pooglądaj wystawy, kup sobie hamburgera, rób, na co masz ochotę. Spotkamy się tutaj pod biurem za dziesięć minut - zarządził tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Zirytowana takim traktowaniem i wyłączeniem jej z dalszego śledztwa, wiedziała jednak, że nie może mu się sprzeciwić. Chodziła więc po ulicy tam i z powrotem. Dostrzegła kolejną grupkę aborygenów. Kucali pod ścianą, trzymając butelki między kolanami - na ich ciemnych twarzach plątał się nieobecny uśmiech. Cóż my, do diabła, wyprawiamy z miejscową ludnością kiedy przejmujemy jej tereny? - zżymała się w duchu. Albo wtłaczamy ludzi gdzieś do rezerwatów, albo spychamy ich na margines zupełnie obcej im cywilizacji. Wyłowiła z torby aparat fotograficzny. Kilka takich zdjęć rodzajowych na pewno znajdzie miejsce w reportażu; aborygeni będą wdzięcznym tematem i w ogóle nie dostrzegą, że robi im zdjęcia. Schowała się we wnęce drzwi, nasadziła właściwy obiektyw i przez kolejne dziesięć minut pstrykała migawką.

- Oho, już czubka głowy nie widać ci znad pracy - usłyszała głos Toma tuż przy uchu. Była tak zajęta, że w ogóle nie zauważyła, kiedy się pojawił.

- Doszłam do wniosku, że powinnam jakoś wykorzystać ten czas - odparła, zakrywając obiektyw i pakując aparat.

Ujął ją pod łokieć,

- Dobra, panienko, idziemy. Myślę, że ci chłopcy już cię zobaczyli. Czy to oni wierzą, że tracą dusze, jeśli się ich uwieczni na zdjęciu, czy czerwonoskórzy? Bo jeśli to aborygeni, to albo ci zaraz wyrwą ten aparat, albo będziesz musiała słono się okupić.

Zerknęła za siebie. Coś niepokoilo ją w pustych twarzach mężczyzn.

- Wygląda na to, że przydałoby im się parę groszy.

- Od razu wydaliby je na alkohol. Nie odwracaj się, idziemy. - Wciąż trzymał ją za łokieć. Rękaw jego marynarki ocierał się o nagą skórę Harriet. Nagle tylko to czuła i nic więcej. Dotyk Toma wywoływał w niej

coś więcej niż tylko irytację spowodowaną faktem, że znów nią rozporządza.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - zauważyła, próbując ukryć zmieszanie. - Jak poszło?

- Tak sobie. Rzeczywiście, panna McGuigan wystawiła dom na sprzedaż. W agencji nie znają ani Michaela Trafforda, ani Rolfa Michaela. Najwyraźniej dziewczyna zajmuje się wszystkim sama.

- No i gdzie teraz jest?

- W tej chwili nie ma jej w mieście, Ale zapowiedziała im, że wpadnie do Darwin pojutrze. Nie wydaje mi się, żebyśmy do tej pory mogli zrobić tu coś sensownego.

Harriet skrzywiła się.

- Całe dwa dni zmarnowane...

- Nie mamy wyboru. Nie możemy robić tu za dużo szumu i ostrzegać ich przedwcześnie, prawda? Lepiej poczekać i przytapać Vanesę, kiedy się niczego nie spodziewa. Dlatego proponuję, żebyśmy nie plątali się tu niepotrzebnie i odczekali chwilę przed kolejnym natarciem. Co powiesz na wycieczkę w głuchą dzicz?

- W głuchą dzicz!

- Dlaczego nie? To grzech być na Terytorium Północnym i nic nie zobaczyć. Poza tym mogłabyś zrobić świetne zdjęcia.

- Chyba tak. - Jakoś trudno jej było myśleć o tej eskapadzie wyłącznie z pozycji fotoreporterki. Wiedziała, że reaguje po prostu jak kobieta. Dwa dni w dziczy z mężczyzną, który podoba jej się coraz bardziej... mężczyzną, przy którym zapominała, że jedynym powodem uzasadniającym jej pobyt w Australii jest odkrycie prawdy o wydarzeniach sprzed dwudziestu lat.

- No więc? Jedziemy?

Wydawało się jej tylko, czy rzeczywiście mocniej zacisnęła palce na jej łokciu?

- Bo ja wiem... Dobrze.

- Świetnie! Sprawa załatwiona. A teraz, moja pani, czas na kolejną decyzję. Jeżeli się nie mylę, zaraz zaczniesz padać. Znajdziesz w sobie

jeszcze tyle energii, żeby podbiec do samochodu, czy będziemy moknąć?

Pierwsze krople, podobnie jak uderzenie chłodnej wody z prysznica, sprawiały przyjemność, odświeżały.

- A zmoknijmy, co tam!

Kiedy znaleźli się w hotelu, Tom zadzwonił do Londynu.

- Karen? Masz jakieś wiadomości?

- Jeszcze nie, szefie, ale pracuję.

- Grzeczna dziewczynka. Posłuchaj dobrze... Na dwa dni wypuszczam się w busz, na wycieczkę. Jak tylko zamelduję się w jakimś hoteliku, zadzwonię i przekażę ci namiary, gdzie jestem. Nie zapomnij, że chcę wiedzieć wszystko najszybciej jak się da, jak tylko się dowiesz.

- Nie zapomnę. - Umiłła na chwilę. - Ona jest z tobą? - zapytała w końcu. - Harriet Varna.

Tom uśmiechnął się, słysząc jej ton.

- Tak, Karen, jest ze mną. Wszystko idzie zgodnie z planem. Jeśli chcesz zasłużyć na pochwałę, lepiej weź się do pracy z kopyta, bo jak panienka się trochę odstani, być może sam wyciągnę z niej informacje, na jakich mi zależy.

- Możesz, na mnie liczyć, szefie - zapewniła go Karen z mocą. Uśmiechał się, odkładając słuchawkę.

Rozdział szesnasty

Autostrada Stuarta biegnie na południe od Darwin aż do Adelaide. Ponad trzy tysiące kilometrów szerokiej drogi, przecinającej tropikalną roślinność i podmokłe tereny Top End - terytorium pocięte rzekami, wspaniałymi kanionami i skarpami. Później wpada w czerwoną pustynię martwego środka i prowadzi w mniej surowy krajobraz południowej Australii.

Następnego ranka Tom i Harriet wyruszyli czterokołowym pojazdem powszechnie przez miejscowych nazywanym *ute*, na który Tom wymienił wypożyczoną wcześniej „renówkę”.

- Chcielibyśmy pojechać do Alice Springs - poinformował dziewczynę w agencji, schludnie ubraną w obowiązujący w firmie mundurek - czerwoną spódnicę i białą bluzkę z apaszką noszącą znak firmy wypożyczalni.

Dziewczyna spojrzała na niego sceptycznie.

- Pan oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że podróż potrwa co najmniej osiemnaście godzin? - upewniała się. - W dodatku nie sposób jechać nocą. Nikt po ciemku nie jeździ przez Terytorium Północne. Chyba że chce pan wylądować z bawołem na przedniej szybie.

Tom i Harriet wymienili spojrzenia. Jeszcze nie przywykli do bezkresnych terenów Australii.

- Nie będziemy upierać się przy Alice Springs - powiedział ostrożnie. Mamy tylko parę dni. Co pani może nam zaproponować?

Dziewczyna skrzywiła się.

- To nie najlepszy okres na wycieczki. Jeśli chcecie państwo zobaczyć okolicę, lepiej przyjechać tu w porze suchej, ale przypuszczam, że nawet teraz moglibyście pojechać do Katherine. To raptem około trzystu dwudziestu kilometrów stąd. Można obejrzeć wąwóz i Park Narodowy. Wspaniałe krajobrazy, przy dobrej pogodzie. I poziom wody na rzece będzie na pewno wysoki.

- Zobaczymy, jak nam to pójdzie - mruknął Tom.

- To już zależy od państwa. Ale proszę nie zapominać o bawołach. Dużo dróg jest nie grodzonych, a krata na samochodzie nie przyda się wam na wiele, jeżeli wjedziecie w bawoła.

I na państwa miejscu trzymałabym się głównych dróg. Mniejsze drogi są często bitymi traktami i nie są przejezdne w porze deszczu.

- Cóż za krzepiąca panienczka! - wybuchnęła Harriet, kiedy wyszli z biura agencji.

- Przypuszczam, że między innymi na tym polega właśnie jej praca. Podejrzewam, że mają już wyżej uszu idiotów, którzy wpadają w tarapaty w buszu. Nie rozumiemy tego kraju. Gdybyśmy mieli o nim jakieś wyobrażenie, nigdy w życiu nie wymyślilibyśmy przejażdżki do Alice Springs.

Zupełnie jak poprzedniego dnia, poranek wstał błękitny i przejrzysty, chociaż wilgotny. Tom mocno nacisnął pedał gazu i nie oderwał już od niego nogi. *Ute* pomknęło wymarłą autostradą połykając kolejne kilometry. Noonamah, Adelaide River, Pine Creek - to wszystko już mieli

za sobą, a razem z nimi groźnie wiszący deszcz za plecami, który nadciągał z nad morza. Wczesnym popołudniem dojechali do Katherine. Jedyną rzeczą, jaką martwili się pod koniec podróży, to fakt, że trzydzieści kilometrów przed Katherine wskaźnik paliwa pokazywał, że bak jest już pusty, jedyne zaś, co im dokuczało, to lekkie zeszywnienie ciała. Dzięki dużej szybkości i co za tym idzie silnemu podmuchowi wiatru, nie czuli nawet mocno grzejącego słońca; dopiero później Harriet spostrzegła, że ma spalone czoło, nos i ramiona, oraz dekolt w kształcie litery „V” - tam, gdzie promienie słońca wdarły się między rozpiętą bluzkę.

Zimą po Katherine chodziłyby tłumy turystów, o tej porze roku miasto świeciło pustkami. Wybrali hotel w staromodnym, kolonialnym stylu - stał na drewnianych palach i miał wielką werandę. Nie było kłopotów z miejscami. Recepcjonistka - pulchna, ładna kobieta z wielkim bąblem od ugryzienia komara na nadgarstku - zdziwiła się na ich widok.

- Pokój? Oczywiście, nie ma żadnego problemu.

- Dwa pokoje - poprawił ją Tom.

- Mogliśmy pojechać dalej - stwierdziła Harriet, gdy szli wąskim korytarzem za prowadzącą ich dziewczyną. - Do zmroku bylibyśmy już w połowie drogi do Alice Springs.

Tom skrzywił się.

- Miałem dość jazdy jak na jeden dzień. I nie przypuszczam, żebyśmy po drodze do Alice mieli zobaczyć jakiś zaskakująco nowy krajobraz. Tylko pustynia i kurz.

- Mogłam cię zmienić za kółkiem - powiedziała Harriet, zastanawiając się, dlaczego wcześniej mu tego nie zaproponowała.

- Rzeczywiście, mogłabyś to zrobić - zgodził się natychmiast. - Jeśli wybierzemy się gdzieś po południu, możesz prowadzić, a ja sobie odpocznę.

Zamówili chłodne napoje i kilka kanapek w hotelowym barze, a potem resztę dnia poświęcili zwiedzaniu. Ale znów Tom usiadł za kierownicą - ani on, ani ona nie podnieśli więcej kwestii prowadzenia.

Wieczorem zjedli posiłek w małym bistro i byli jedynymi klientami baru, gdzie stoły zastano kraciatymi obrusami. Później siedząc na

werandzie oglądali wschód księżycy - wielka pomarańczowa kula za mgłą parującą znad rzeki ubrała się w lisią czapę. W ciemności słyszeli bzykanie moskitów; nad głęboką, rwącą rzeką głośno cykały świerszcze i skrzeczały żaby.

- Chyba podczas jednej z takich nocy powstała legenda Czasu Marzeń.

- Czasu Marzeń?

- Początków młodego świata. Coś w rodzaju tutejszej wersji Edenu.

- Ach, tak, rozumiem. Czas Marzeń. Podoba mi się - powiedziała Harriet, myśląc, że taka noc jak ta rzeczywiście ma w sobie coś z magii. To nieruchome, nagrzane powietrze, zabarwiona różowością mgła i nie zakłócone niczym odgłosy natury... Tu, pośród drzew gumowych, gdzie między konarami cicho szeptał wiatr, rzeczywistość wydawała się bardzo odległa. Zerknęła na Toma. Siedział swobodnie odchylony na krześle, wsparty stopami o balustradę werandy i odpoczywał. Pomyślała, że zupełnie nie przypomina mężczyzny, który tak natarczywie wypytywał ją o matkę.

Jakby wyczuwając na sobie wzrok Harriet, odwrócił głowę do niej i spojrzał pytająco. Postawiło ją to natychmiast na baczność. Znowu poczuła się nagle zakłopotana, opancerzyła się na wszelki wypadek i żeby ukryć emocje, odwróciła oczy.

- Jestem bardzo zmęczona. Chyba pójdę dziś wcześniej do łóżka.

Zapadła krótka cisza. Przez chwilę liczyła na to, że Tom zacznie ją zatrzymywać. Dostrzegła w jego wzroku coś takiego, co sprawiło, że przez sekundę myślała, że i on czuje to co ona. Ale chwila minęła i Harriet przyjęła ten fakt z dużą ulgą. Nie była pewna, czy jest już gotowa sprawdzać, że jego spojrzenie znaczyło rzeczywiście to, co sobie pomyślała. Nie miała też pewności, czy rzeczywiście chce zmienić charakter ich układu, rozszerzyć go poza ramy tego, co nazywała w myślach wspólnotą interesów. Tak, podobał jej się, trudno się tego wyprzeć, ale naprawdę czuła przemożne zmęczenie, a człowiek w słabej formie fizycznej zawsze ma skłonność do wyolbrzymiania emocji.

- Nie będziesz miał za złe, jeśli pójdę na górę? - spytała wstając.

Miała nadzieję, że jak zwykle panuje nad sobą i nie wypada z roli.

- Zupełnie nie - odparł lekko, swobodnie. - Nie zapomnij o siatce przeciw komarom.

- Nie zapomnę. Dobranoc.

Uniósł dłoń, w kumpelskim geście pożegnania. Ale idąc do drzwi prowadzących do wnętrza hotelu, cały czas czuła na sobie jego wzrok.

Kiedy odeszła, Tom siedział jeszcze jakiś czas na werandzie i obserwując, jak zapada aksamitna noc, rozmyślał o Harriet - po raz pierwszy przyznał sam przed sobą, że bardzo jej pragnie.

Od razu mu się spodobała, od pierwszej chwili. Może nawet bardziej, niż skłonny był przyznać. Bo przecież od samego początku ogarniało go uczucie bardzo zbliżone do zazdrości, kiedy wspominała o swoim wydawcy, Nicku. Nawet głupiec by się zorientował, że Harriet i Nicka łączy więcej niż zwykłe stosunki zawodowe, a Tom miał tego nieodparty dowód. Po tym, jak pierwszy raz ją spotkał pod londyńskim mieszkaniem, zaparkował po drugiej stronie ulicy i przesiedział tam jakiś czas, trzymając dom pod obserwacją - domyślał się, że kiedy wyjdzie, dziewczyna zacznie dokądś dzwonić i bardzo możliwe, że ktoś ją w związku z tym odwiedzi, żeby omówić niedawne wydarzenia. Tym kimś okazał się Nick (Tom ustalił jego tożsamość, namawiając jednego ze swoich kumpli w Metropolitan do sprawdzenia akt - takie pociągnięcie było co prawda wbrew prawu, ale któż mógł się o tym dowiedzieć?), a kiedy bladym świtem Tom odjeżdżał spod domu Harriet, samochód Nicka wciąż stał na ulicy.

Jednak mimo to nie poświęcał jej wtedy więcej uwagi, niż zwykle robi to mężczyzna wobec atrakcyjnej kobiety. Przemknęło mu wprawdzie przez głowę, że chciałby ją mieć w łóżku - ale była to naprawdę bardzo przelotna myśl. Ważniejsza niż takie męskie chętki wydała mu się powierzona praca. Za wszelką cenę chciał dotrzeć do sedna sprawy Martin-Varna, a bliskie kontakty z Harriet umożliwiały lepsze spojrzenie w nieznany mu świat. Podniecony nową zagadką, skłonny był wykorzystać dziewczynę tylko po to, żeby osiągnąć zawodowy cel.

Ale gdzieś po drodze sytuacja uległa zmianie. Kiedy to nastąpiło? Nie

miął pojęcia. Wiedział tylko, że kiedy spojrzał na nią dziś wieczorem, poczuł się tak, jakby go muł zaprawił w żołądek. Na wspomnienie tego uśmiechnął się przelotnie; Co za porównanie! Ale znakomicie oddawało jego odczucia i stanowiło zupełnie nieznaną przeżycie.

Odkąd przeszedł przez wiek dojrzewania i związany z tym okres niepewności, doskonale zdawał sobie sprawę, że jest trakcyjny dla płci przeciwnej. Nader często kobiety same rzucały mu się w ramiona i dlatego - bez zbytnej zarozumiałości - Tom przywykł do łatwych sukcesów, a co za tym idzie traktował je jako chleb powszedni. Ale z jego strony były to tylko przelotne romanse. Nie pamiętał, żeby jakakolwiek kobieta zrobiła na nim takie wrażenie, jakie teraz wywierała na nim Harriet. Czy powodował to sposób, w jaki się nosi, i to, że wygląda oszałamiająco, choć wcale do tego nie przykładada wagi? A może był to efekt niezaprzeczanej pewności siebie, jaka wynika z wychowania w zamożnym i uprzywilejowanym środowisku? Być może to też. A jednak ona miała coś więcej. Był w niej twardy upór, z jakim dążyła do sukcesu na polu zawodowym, a przecież bez najmniejszego wysiłku mogłaby sięgnąć po rodzinne bogactwo. No i pod pozornie twardą skorupą, jaką się otaczała, Tom wyczuwał wrażliwość i miękkość. Za chłodem zaś widział obietnicę ciepła i ukryte pokłady namiętności. Czy Nick wykorzystał ten potencjał? Na myśl o tym Tom poczuł skurcz żołądka. Gwałtownie wstał z fotela.

Tego rodzaju rozważania nie wpływały dodatnio na rozwój i skuteczność śledztwa. Został mu jeszcze jeden dzień, zanim znów ruszy w pościg za Gregiem Martinem. Jeszcze jeden dzień sam na sam z Harriet. Uniósł kącik ust w lekkim półuśmiechu. Miał zamiar wykorzystać ten dzień jak najlepiej.

Okolice Katherine należą do najładniejszej części Terytorium Północnego, a kto wie czy nie całej Australii. Rzeka Katherine, nazwana przez swego odkrywcę na cześć południowoaustralijskiego pastora, Jamesa Chambersa, który sfinansował trzy wyprawy badawcze na terenie Terytorium, omywała piaskowe skały, tworzące trzynaście pięknych wąwozów - ściany niektórych z nich miały po kilka metrów

wysokości. Wiła się obok Smith's Rock i Jedda Rock oraz mknęła wartko przez bujną zieleń Parku Narodowego.

W porze suchej woda tu płynie spokojnie i leniwie, stąd na rzece pojawiają się liczne łodzie obwożące turystów wodnymi kanionami, dzięki czemu odwiedzający ten zakątek Australii mogą w pełni podziwiać piękno wysokich ścian wąwozu. Ale teraz rzeka była niebezpieczna i rwąca, a turystów za mało, żeby organizować wyprawę, dlatego Harriet i Tom zadowolili się wycieczką do Parku i zwiedzaniem wąwozów na piechotę. Nie przeżyli jednak zawodu. Tropikalna roślinność gwałtownie wybujała pod wpływem obfitych opadów. Nieokietznanie krzewiła się wokół starych kanionów i skarp, wpełzała na ciche laguny, gdzie woda była tak przejrzysta, że bez trudu można w niej było oglądać wielobarwne okrągłe kamyczki na dnie, na powierzchni zaś unosiły się lilie wielkości talerzy.

Tu, w spokojnym i chronionym zakątku przyrody, aż się roilo od ptaków - jedwabnice plamiste zrywały się z krzykiem z gniazd uwitych na mokrym roślinnym podłożu, podczas gdy maleńkie ptaszki trzepotały skrzydłami pośród zwisającego bogactwa konarów, podobne do wielkich, kolorowych motyli. I wszędzie naturalnie było mnóstwo papug - różnych barw i gatunków, od kakadu, tych z białymi grzebieniami w kształcie półksiężyców, poprzez rozkrzyczane stada rozelli i tęczowych lory, aż po skrzeczące szare i różowe galahy. Harriet raz po raz naciskała migawkę. Nie sądziła, żeby mogły się przydać do przygotowywanego fotoreportażu dla „Focus Now” - za bardzo pachniały atrakcją turystyczną. Podejrzewała, że pewnie podobne, albo jeszcze lepsze, już dawno opublikował „National Geographic”, ale i tak nie zrezygnowała ze zdjęć - robiła je dla własnej przyjemności.

W hotelu zaopatrzyli się w kanapki, teraz więc usiedli przy lagunie obok niewielkiego wodospadu i jedli świeże bułki z żółtym serem i szynką, soczyste pomidory i banany dostarczane na targ przez miejscowych ogrodników. Słońce przygrzewało mocno, tworząc jasne plamy na kocu, który Tom rozesał w cieniu konarów drzew.

- Mogłabym tu zostać na zawsze - powiedziała Harriet, głośno

wypowiadając myśli. - Co za spokój!

- Akurat! Już za chwilę zatęskniłabyś do codziennego zamieszania i pośpiechu. Spokój jest świetny w małych dawkach, ale przypuszczam, że dla ludzi takich jakich my szybko okazałby się bardzo nużący.

- Chyba tak. Ale teraz wydaje mi się, że nie mogę się nim wprost nasycić. Mam ochotę zostać tu i nigdzie nie wracać.

- A co by na to powiedział Nick? - Nie miał zamiaru wspominać o Nicku, ale słowa jakoś wymknęły mu się same, zanim je zdążył powstrzymać.

- Zdjęcia mogę mu robić równie dobrze tu, jak gdzie indziej - odparła, celowo udając, że nie rozumie, co miał na myśli.

- Nie chodziło mi wcale o zdjęcia. Myślałem o czym innym. W okamgnieniu wróciła jej dawna czujność. Harriet poczuła ją jak swędzącą pokrzywkę na skórze.

- Nick nie miałby tu nic do powiedzenia. Nie jestem jego własnością - odparła.

- Harriet, mężczyzna, który sądziłby, że może cię mieć na własność, byłby skończonym głupcem.

- Nic nie rozumiesz - oburzyła się. - Nick jest moim przyjacielem i przy okazji wydawcą. - Wyciągnęła rękę, żeby zerwać małe kwiatuszki rosnące wśród trawy. - Ty tyle wiesz o mnie, a ja o tobie nic. To niesprawiedliwe.

Poruszył się na kocu.

- Nie mam nic specjalnego do powiedzenia. Mieszkam w okropnie zapuszczonym mieszkanku w Battersea, w dodatku tylko wtedy, kiedy się nie uganiam za kimś po świecie, w związku z taką czy inną robotą.

- Często podróżujesz?

- Czasami. Mówię o wyjazdach zagranicznych. Ale przyznaję, że tak daleko jak teraz jeszcze się nie zapuszczałem. Tylko nie sądzę, żeby cię interesowała moja praca.

- Nie. Chcę usłyszeć coś o tobie. Na przykład, skąd pochodzisz. Tego rodzaju rzeczy.

- Mówiłem już. Battersea.

- Skoro nazywasz się O'Neill, podejrzewam, że mimo wszystko masz jednak coś ciekawego do opowiedzenia.

- No dobrze. Skoro już musisz wiedzieć, to rzeczywiście płynie we mnie irlandzka krew. Przypuszczam, że tobie, Amerykance, pewnie się to podoba.

- Jestem Anglo-Amerykanką i nie ma we mnie ani kawałka Irlandki - przypomniała mu. - Opowiadaj, opowiadaj. Mów, jak to było i gdzie tkwią te twoje korzenie.

- W County Kerry. Ale są głęboko zakopane. Mój pradziadek, a może prapradziadek...? Zawsze mi się to myli. No więc któryś z nich przyjechał do Anglii w czasie głodu ziemniaczanego. Jestem bardziej liverpulczykiem niż Irlandczykiem. Choć pewnie wiesz, że o Liverpoolu mówią, że jest stolicą Irlandii.

- Masz braci albo siostry? - dążyła Harriet.

- Jednego brata. Starszego, bardzo zdolnego i szanowanego, prowadzi badania społeczne. I jedną siostrę, młodszą. Wyszła za mąż, urodziła dwójkę dzieci. Wujek Tom, to ja.

- Ale ty nie jesteś... żonaty?

- Dlaczego tak uważasz?

- Takie odnoszę wrażenie. Widzę, że jesteś wolny, możesz w każdej chwili spakować torbę i wyjechać na drugi koniec świata. No właśnie, nie sądzę, żeby w Battersea czekała pani O'Neill.

Uśmiechnął się.

- Rzeczywiście masz rację. Ale przypuszczam, że zdradziły mnie raczej nie zacerowane skarpetki, a nie ta widoczna gołym okiem wolność. Jestem przekonany, że tak wyzwolona dziewczyna jak ty nie odmówiłaby mężczyźnie pewnej dozy swobody.

- I jak to się dzieje, że znów mówimy o mnie? Rozmawialiśmy przecież o tobie.

- Ty jesteś o wiele ciekawszym tematem.

Spojrzała na niego ostro, nie przygotowana na to, co zobaczy. Leżał niedbale wyciągnięty na kocu, wsparty na jednym łokciu, w wolnej dłoni trzymał puszkę piwa, ale kiedy zetknęli się; spojrzeniami, w jego wzroku

nie znalazła śladu sielankowego; lenistwa. Coś ścisnęło jej krtań, czuła się jak zahipnotyzowana; - za nic na świecie nie odwróciłaby teraz oczu.

- O wiele ciekawszym... - powtórzył. Otoczył ją ramieniem; nawet nie drgnęła. Czuła mrowienie pod skórą, ciepło, które wywoływało dreszcze. Jakaś fala omdlenia zalała żołądek. Przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu. Przez chwilę tak dojmująco czuła jego obecność, jak jeszcze nigdy przedtem. Miała wrażenie, że jakaś jej część stoi z boku i obserwuje Toma, postrzega wszystkimi zmysłami, podczas gdy reszta poddaje się bez reszty intymnemu zbliżeniu. Czuła zapach jego rozgrzanej słońcem skóry. Zarys podbródka, ocienionego odrastającym ciemnym zarostem wydał się jej zaskakująco piękny; musnięcie jego warg na czole obudziło w Harriet burzę namiętności. Nie poruszyła się, a mimo to każdy nerw jej ciała wyrwał się do niego - nie wiedziała dotąd, że można aż tak pragnąć. Całe ciało Harriet ożyło nagle, pragnęło jego dotyku. Przestała myśleć, nie chciała od niego uciekać.

Kiedy pocałował ją w usta, poczuła dreszcz przenikający ją od stóp do głów. Oplotła go ramionami, a kiedy opuszczał ją na koc, czuła pod dłońmi długie, twarde mięśnie pleców Toma. Leżała przygnieciona ciężarem jego ciała i oddając pocałunki, miała bardzo wyraźne wrażenie, że oboje aż skrzą się namiętnością.

Po chwili Tom uwolnił ją od siebie i opierając się na łokciu, spojrzał jej w oczy.

- Miałem na to ochotę, od chwili gdy cię zobaczyłem. Parsknęła wymuszonym śmiechem, gotowa zrobić wszystko, żeby zmniejszyć rozsadzające ją napięcie.

- Co cię powstrzymało?

- W twoim mieszkaniu? W Londynie? Daj spokój, to tak, jakbym dopraszał się o policzek!

- Może i tak - odpowiedziała drżącym głosem.

- Nie wydaje mi się, żebyś mnie wtedy lubiła.

- Ani ty mnie! I mówisz, że chciałeś mnie pocałować, też coś!

- Nie trzeba kogoś lubić, żeby mieć na to ochotę.

- Coś takiego! - Wygięła prowokacyjnie ciało. - A więc wciąż mnie

nie lubisz?

- Nic takiego nie powiedziałem. - Sięgnął po pasmo jej włosów i miał je między palcami. - Jesteś bardzo piękna i masz w sobie coś, co kiedyś nazywano hartem. Zapewne jesteś też utalentowana, a kiedy się rozluźniasz, naprawdę miło jest z tobą.

- To dobrze. - Prowokowała go oczami; chciała, żeby ją znów pocałował.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Uniósł kącik ust w zawadiackim uśmiechu. - Ale jesteś też uparta jak muł i rozpieszczona, a jak cię coś zdenerwuje, potrafisz niezłe kasać.

- Drań! - Uniosła rękę, żeby go uderzyć. Złapał ją za nadgarstek i przygwoździł jej ramię do koca, wysoko nad głową. A potem, powoli, z rozmysłem, nachylał się nad nią, aż wreszcie jego twarz zasłoniła Harriet niebo. Znów poczuła przenikający ich prąd.

Nad nimi zbierały się ciemne chmury, ale ani Tom, ani Harriet tego nie zauważyli. Całował ją głęboko, lecz bez pośpiechu. Jedną dłońią przytrzymywał jej wyciągniętą nad głową rękę, drugą jakiś czas obejmował brodę, potem delikatnie wiódł palcami w dół szyi, dotykał ramienia. Poczuła pierwsze ciężkie krople deszczu na otwartej dłoni, ale nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi. Długie chwile nie odrywali się jeszcze od siebie, pogrążeni w intymnym pocałunku, zbyt zajęci sobą, żeby zważać na to, co dzieje się na świecie. Ale kiedy nadciągnęła burza, lunął deszcz i błyskawice rozcięły niebo, nie mogli już dłużej zwlekać.

Tom zaklął i podniósł się z koca. Koszulę na plecach miał całkiem przemoczoną; materiał już się przylepił do ciała. Harriet nie była aż tak mokra - jego tors osłonił ją przed deszczem, lecz zanim dotarli do *ute*, ona też ociekała już wodą.

- Dzięki Bogu, że aparat był w torbie! - wysapała, a woda strumieniami spływała jej z grzywki na twarz.

Ogromna błyskawica nagle rozświetliła ciemność niemal tak głęboką, jaka nastaje wraz z nadejściem nocy. Deszcz siekł przednią szybę wozu.

- Lepiej zjeżdżajmy stąd! - Tom przekrzyczał łoskot grzmotu. - Bo inaczej utkniemy tu na dobre!

Uruchomił silnik i przejechał kawałek po bitej drodze, która już zaczynała zamieniać się w błoto pod kołami *ute*.

Gwałtowność burzy była przerażająca i mimo dusznego gorąca wewnątrz samochodu, Harriet czuła dreszcze. Oto natura ukazała się im w całym swym surowym, przytłaczającym majestacie.

Samochód podskoczył na wzniesieniu i po jego drugiej stronie opadł w błotnistą maź. Koła kręciły się bezradnie, nie łapiąc przyczepności. Tom mocno przycisnął pedał gazu, silnik zawył, ale samochód nadal stał w miejscu.

- Siądź za kierownicą. - Otworzył drzwi od swojej strony. - Zobaczę, czy mi się uda go popchnąć.

Wyskoczył z auta; błoto lepiło mu się do butów. Przebrnął jakoś na tył *ute*. Harriet przesiadła się na miejsce kierowcy. Mocno wyciągała nogi, żeby dosięgnąć pedałów. Jej sandały też były usmarowane ziemią; między palcami stóp czuła błoto. Tom pchał, ona zaś usiłowała ruszyć samochód i właśnie kiedy już traciła nadzieję, że to się im kiedykolwiek uda, wóz pomalutku ruszył do przodu.

- Jedź! Jedź - krzyczał Tom.

Jechała wolniutko, a on podbiegł kawałek i wskoczył na przednie siedzenie obok niej.

- Chcesz się przesiąść? - spytała.

- Nie, jedź dalej, nie stawaj.

Prowadziła w skupieniu, uważnie omijając błotniste fragmenty drogi. Kiedy dojechali do asfaltowej szosy, burza już prawie ucichła. Błyskawice coraz rzadziej rozcinały niebo, grzmoty zamieniły się w pomruki, a deszcz w gęstą, parującą mgłę.

Harriet zahamowała gwałtownie. Kostki u nóg drętwiały jej od wysiłku - ledwie przecież sięgała pedałów.

- Dzięki Bogu, to koniec! - sapnęła. - Możesz przejąć ster. -

Odwróciła się do Toma i wybuchnęła śmiechem. Włosy wciąż ociekały mu deszczem, twarz i ubranie miał upstrzone plackami błota, które tam, na rozmokłym trakcie, tryskało spod obracających się kół. Ale i tak podobał się jej jak nigdy.

- Śmieję się, śmieję!
- Przepraszam. Tylko że...
- Wiem. Wyglądam jak nieszczęście;

Spojrzała na spódnicę przylepioną do mokrych ud. Zobaczyła własne ubłocone stopy.

- Ja, zdaje się, wcale nie lepiej.
- Ty - zaczął - jesteś najpiękniejszą dziewczyną w całym Terytorium Północnym.

Sięgnął po rękę Harriet i mocno przytrzymał nadgarstek. Znowu ją pocałował.

- Nie, Tom! - ostrzegła. - Pewnie się przykleimy na amen.
 - Nic miłszego nie mogę sobie wyobrazić, a ty? Ona też nie mogła.
- Po jakimś czasie powiedział:

- No to się przesun, a ja poprowadzę.

Po kolacji znowu usiedli na werandzie hotelu. Powietrze przesiąknięte było zapachem mokrych krzewów. Ale tego wieczoru oczekiwanie tego, co się zdarzy, naładowało atmosferę elektrycznością. Czuli to za każdym razem, kiedy ich spojrzenia stykały się ze sobą, a dłonie przypadkiem dotykały. Mimo dzielącej ich odległości, odnosili wrażenie, że w powietrzu trzaskają iskry - zupełnie jak po południu, kiedy szalała burza.

- Może przejdziemy się przed snem? - zaproponował Tom. Główna ulica Katherine, biegnąca nad brzegiem rzeki, była niemal całkowicie wymarła. Okna czynnego baru oświetlały ją w części, ale stacja benzynowa była już zamknięta - dystrybutory, niczym niemi strażnicy, trzymały cichą wartę przed warsztatem i помещением biurowym.

Tom wziął Harriet za rękę. Poczła znowu na dłoni dreszcz iskiei i gorąco ogarniające jej ramię.

Nikt nigdy nie wywoływał w niej takich uczuć, nie sprawił, że drżała z tęsknoty. Pomyślała o Nicku i jego dość żałosnych próbach wywołania w niej żywszej reakcji na pieszczoty, którymi ją obdarzał, ale stwierdziła, że nie jest w stanie przypomnieć sobie jego twarzy. Wydawał się jej teraz taki odległy, zupełnie jakby nigdy nie istniał. I może rzeczywiście, dla niej

nie istniał naprawdę? Co wyzwoliło w niej tak gwałtowne emocje? Może stres związany z przeżyciami minionego tygodnia? Albo to, że znalazła się w innym, obcym kraju? Powód był w końcu nieistotny. Czuła się jak w transie, tyle tylko, że ten trans stał się jej rzeczywistością, a wszystko inne całkiem nieważnym cieniem.

Spacerowali w milczeniu. Napięcie między nimi rosnęło z każdą chwilą, aż wreszcie było już niemal namacalne. Kiedy zdawało się, że nie da się już znieść tego dłużej, Tom wciągnął Harriet w zacienioną wnękę drzwi jakiegoś sklepu i zaczął ją całować. A kiedy przesunął dłonie wzdłuż jej pleców, to wielkie napięcie, które dotychczas tylko wisiało w powietrzu, wybuchnęło w nich burzą pragnienia. Bez słowa zawrócili do hotelu. Zatrzymała się w holu, czekając aż Tom weźmie klucze. Czuła, że rozpala ją nieokiełznana namiętność.

- U ciebie, czy u mnie? - spytał szorstko.
- U mnie. - Wcisnęła mu klucz do ręki.

Otworzył drzwi, a gdy tylko zamknął je za sobą, natychmiast padł sobie w ramiona. Zaczął szamotać się z jej bluzką, gdy tymczasem ona rozpinając guziki jego koszuli.

Nie miała stanika; sterczące sutki walczyły z cienkim jedwabiem bluzki. Uwolnił je, wtulił twarz między piersi, zsuwał z bioder spódnicę. Wygięła ciało w jego stronę, nabrzmięta bólem pragnienia. Wcześniej bezceremonialnie zostawiła mokre ubranie na łóżku, teraz on strącił je na podłogę. Odrzucił koc, uniósł Harriet w górę i położył na chłodnym płóciennym prześcieradle. Czekwała na niego jak w ekstazie - poczuła się nagle opuszczona. Obserwowała, jak Tom się rozbiera, pełnym uwielbienia wzrokiem wpatrywała się w rysunek jego mięśni.

Wyciągnęła ramiona, a on położył się na niej bez żadnych wstępów - już dawno minęli punkt, w którym można by sobie pozwolić na najmniejszą zwłokę. Przez krótki, pełen bolesnego oczekiwania moment napięcie nieprawdopodobnie przybrało na sile, ale zaraz potem Tom już był w niej i nic na świecie nie istniało poza ruchem ich zespolonych ciał.

Zbyt szybko się skończyło. Leżeli spleceni, wilgotni od potu, Tom nadal obejmował jej pierś. Dotknęła jego twardego, muskularnego uda,

rozkoszując się cudownym uczuciem spełnionej namiętności. Jaśniała wewnętrznym szczęściem, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła po zbliżeniu.

Chyba go Kocham! - pomyślała i nagle poczuła potrzebę powiedzenia mu tego, wyszeptania, wykrzyknięcia całemu światu. Ale coś ją powstrzymało - ta Harriet sprzed kilku godzin.

Uczucie, które ją rozsadzało, było nowe, podobnie jak pragnienie, żeby się nim dzielić. Onieśmiało ją, kazało się jeszcze bronić. Lepiej zatrzymać to na razie przy sobie, przytulić do siebie. Później znajdzie wiele okazji, żeby powiedzieć Tomowi co czuje.

Ogarną ją miły bezwład, powieki zaczęły ciężać. Już niemal zasypiała, kiedy zadzwonił telefon.

Zaskoczona, gwałtownie sięgnęła po słuchawkę i usłyszała energiczny głos recepcjonistki, zawadiacko kończący zdania na wysokiej nucie. Jakże tu, w Darwin, inaczej ludzie mówili, niż w grzecznym Sydney!

- Jest może u pani pan O'Neill? Mam dla niego rozmowę z Londynu. Dzwoniłam do niego do pokoju, ale nikt tam nie odbiera.

- Tak, jest u mnie. - Harriet przełożyła słuchawkę do drugiej ręki i podała ją Tomowi.

Zamiast uwolnić ją od słuchawki, Tom wstał i sięgnął po spodnie.

- Odbiorę u siebie.

Jego zawodowy sposób bycia tak bardzo kontrastował z niedawnymi intymnymi chwilami, że przez kilka chwil Harriet czuła się głęboko urażona, że tak brutalnie wyłączył ją ze swoich spraw. Patrzyła, jak zamyka za sobą drzwi, a potem znów przytknęła słuchawkę do ucha, żeby sprawdzić, czy odebrał telefon. Tom podniósł słuchawkę, ale o dziwo! - zamiast głuchoj ciszy u siebie, usłyszała rześki głos dziewczyny o silnym wschodniolondyńskim akcencie.

- Szefie? Tu Karen. Przepraszam, że pewnie nie w porę, ale pan sam mówił, żeby dzwonić bez względu na godzinę.

- Tak jest. Wszystko bardzo w porę.

- Fiu! Dzięki Bogu! Kiedy zdałam sobie sprawę, że jesteś akurat u niej, pomyślałam, że może właśnie trafiłam na moment, kiedy zaczęła

mówić. W końcu dobrze pamiętam, że miałeś ją przytapać, kiedy się rozkrochmali, prawda? Byłeś na dobrej drodze?

- Mniej więcej.

- Hm, tylko ty, szefie, umiesz łączyć przyjemne z pożytecznym.

Może ci już nie zależy na moich informacjach? Może sam dowiedziałeś się od niej czego trzeba?

- Karen - warknął Tom, przywołując ją do porządku - To jest rozmowa międzynarodowa. Każda minuta kosztuje. Jeśli nie chcesz, żebym ci się przejechał po pensji, mów lepiej, co masz do powiedzenia, dobra?

- Dobra, już dobra - mruknęła. - Sprawdziałam, co porabiali państwo Varna, w czasie gdy doszło do wypadku. - W jej głosie słychać było ożywienie. Wyczuł, że czegoś się dokopała, i szósty zmysł, dzięki któremu tak dobrze sprawdzał się w fachu detektywa, zaczął w nim podrygiwać jak drut na minie-pułapce.

- I?

- Wszystko jest mniej więcej tak, jak zakładałeś, tylko że...

- Tak?

- Kilka miesięcy potem Sally, siostra Pauli, pojechała do Włoch. Najpierw, tuż po wypadku, poleciała jak na skrzydłach z domu w Londynie do Stanów. Zabrała ze sobą syna i przeprowadziła się na stałe do Ameryki. A potem całkiem zniemacka wyjechała do Włoch. I to sama!

- Może na własne oczy chciała obejrzeć miejsce, skąd jej rodzona siostra wypląnęła w nieszczęsny rejs?

- Może... Ale Hugo z nią nie pojechał, ani syn. I wcale nie wybrała się do Positano. Z tego, co ustaliłam, wynika, że wylądowała na Wyspach Liparyjskich. To kilka małych wyseppek między Włochami a północną Sycylią.

- Wiem, gdzie to jest - powiedział Tom, nieco zniecierpliwiony. - Tam właśnie Eol, Król Wysp, dał Odyseuszowi wór skórzany z wiatrami, żeby przyspieszyć jego podróż do Itaki.

- Słucham?

- *Odyseja* Homera, nie przerabiałaś tego w szkole? Nieważne, nie

szkodzi, że nie znasz się na kulturze antycznej. W tej chwili bardziej od Odyseusza interesuje mnie pani Sally Varna. Na którą wyspę trafiła?

- Nie wiem - bąknęła Karen. - Nie byłam w stanie tego sprawdzić. Ale jeśli wybrała się tam na urlop, to na bardzo krótki.

Dwa dni później siedziała już w samolocie do Nowego Jorku, a jakiś tydzień potem poleciała do Londynu.

- Do domu?

- Znów nie zabrała dziecka i w Londynie spędziła raptem kilka dni. W ciągu następnych sześciu miesięcy aż trzy razy latała do Londynu.

Zawsze tylko na parę dni.

- Ale nie wracała już do Włoch?

- Z tego, co wiem, to nie. Nie jestem pewna, czy coś ci to da, szefie, ale myślałam, że zechcesz pewnie wiedzieć.

- Dziękuję, Karen. Tak trzymaj - powiedział Tom. Harriet usłyszała trzask przerwane połączenia.

Siedziała przyciskając słuchawkę do ucha, tak zaskoczona, że nie mogła się ruszyć. Nie powinna była podsłuchiwać, rzecz jasna. Powinna była natychmiast odłożyć słuchawkę, jak tylko Tom podniósł swoją. Ale cieszyła się, że tego nie zrobiła. Nic dziwnego, że nie chciał rozmawiać z jej pokojem! Wykorzystywał ją cały czas, a ona, głupia, dała się nabrać jak dziecko! Jakim cudem dała mu się do tego stopnia zawojować? Myślała - naprawdę tak myślała - że Tom czuje do niej to, co ona do niego. Że łączy ich coś niezwykłego, a tymczasem... Jak to nazwała ta wstrętne dziewczucha? Że miał ją przytapać, „jak się rozkrochmali”? No cóż, świetnie mu to szło, trudno zaprzeczyć. A ona zakochała się w nim jak pierwsza lepsza naiwna uczennica!

Nagle poczuła ogarniającą ją furję. Co za grubiaństwo! Z hukiem trzasnęła słuchawkę na widełki. Naciągnęła kimono i chwyciła koszulę Toma, którą w pośpiechu rzucił na podłogę. Wypadła z pokoju i popędziła korytarzem do jego sypialni. Nie pukając, gwałtownie otworzyła drzwi.

Stał odwrócony plecami. Zamyślony, przeczesywał palcami włosy. Na dźwięk z impetem otwieranych drzwi, zaskoczony, odwrócił się od okna.

- Harriet!
- Harriet! Harriet! - szydziła. - Przyniosłam ci koszulę.
- Po co? Już właśnie wracałem...
- Doprawdy? Coś podobnego! Chyba tylko po to, żeby dowiedzieć się, dokąd moja ciotka jeździła zaraz po wypadku.

Szkoda twojego trudu. Naprawdę nic nie wiem, Tom. Naprawdę nie wiem. Od początku grałam z tobą uczciwie. I byłam na tyle głupia, żeby sądzić, że ty też jesteś wobec mnie szczerzy. Ale nie byłeś, prawda?

Chciałeś się tylko mną posłużyć!

- Podśluchiwałaś moją rozmowę?
- Tak, i dzięki Bogu, że to zrobiłam! Nie sądziłam, że można upaść tak nisko, żeby...

- Harriet, na litość boską, to wcale nie tak!

- Nie? Nie udawaj, Tom. Słyszałam, co mówiła ta dziewczyna.

Miałam się tylko rozkrochmalić! Nie zaprzeczyłeś, kiedy to powiedziała. Boże, muszę ci się wydawać skończoną kretynką! Żałuję tylko, że twój plan nie wypalił. To chyba wielki zawód, zważywszy ile pracy musiałeś włożyć w to, żeby go przeprowadzić... - Urwała, trzęsąc się z oburzenia i bólu.

- Harriet, posłuchaj mnie!

- Słuchałam już chyba dość długo, nie uważasz?

- Nie! - Podeszedł do niej i wziął ją za ramiona. - Wszystko źle rozumiałaś.

Wyswobodziła się z jego uścisku.

- Powiedz to swojej asystentce. Zdaje się, że ona też czegoś nie rozumiała. - Rzuciła mu w twarz koszulę. - A teraz idę do łóżka.

Przypuszczam, że spotkamy się rano. I wyobraź sobie, że nadal chcę się dowiedzieć, jak to wtedy było, niezależnie od tego, czy wierzysz w to czy nie. A poza tym, pewnie i tak muszę jakoś wrócić z tobą do Darwin. Ale nigdy, ale to nigdy, Tom, nie próbuj mnie już nabierać! Bo, słowo daję, że to ci się już nie uda!

Trzasnęła mu drzwiami przed nosem. Ale dopiero kiedy zniknęła w swojej sypialni, z jej oczu spłynęły łzy, najpierw gorące łzy wściekłości,

które wkrótce przerodziły się w łzy bólu i żalu za tym, co mogłoby być, a już nie będzie.

Tom zaklął, kiedy trzasnęła drzwiami, i podszedł do małej lodówki, wyładowanej miniaturowymi buteleczkami z alkoholem i wodą mineralną. Nalał sobie whisky.

Ale wpadka! Że też nie sprawdził przed rozmową z Karen, czy nikt ich nie podsłuchuje! Co za niedbalstwo! Podstawowy błąd. Dopuszczyć do tego, bo nie skupił się na pracy jak należy. Myślał głównie o Harriet i o tym, co do niej czuje.

Był to błąd, na który nigdy wcześniej sobie nie pozwolił. Nie pozwolił sobie na to, żeby mieszać uczucia z pracą zawodową, a miarą tego, jak bardzo zajęty jest Harriet, jest właśnie ta wpadka, do której przed chwilą dopuścił.

Cóż, właśnie przez to, że jest w stanie oszołomienia, Harriet usłyszała sporo i nic dziwnego, że teraz jest wściekła. Nie tylko dowiedziała się, że jej ciotka ma na sumieniu jakieś podejrzanе wyjazdy i powroty, ale w dodatku podejrzewa pewnie, że jedynym powodem, dla którego niedawno się z nią kochał, była chęć wyciągnięcia z niej rodzinnych sekretów. Już sam nie wiedział, co w tym wszystkim było dla niej ważniejsze.

Wychylił whisky i doszedł do wniosku, że cała ta historia jest czystą ironią losu. Jeszcze kilka dni temu gotów był posłużyć się Harriet dla dobrej sprawy, ale teraz, kiedy jeszcze czuł przy sobie jej ciepło i namiętność, myśl, że mogłaby uwierzyć, że jest do tego zdolny, wydała mu się wprost oburzająca. A właściwie dlaczego to, do diabła, tak inaczej myślał o niej teraz? Zakochał się, czy co? Jeszcze niedawno parsknąłby śmiechem w nos każdemu, kto odważyłby się powiedzieć, że miłość może spaść tak nagle, tak nieoczekiwanie. Zwłaszcza na niego, a jednak...

- Cholera jasna! - wybuchnął.

Jeszcze raz podszedł do lodówki i wyjął następną buteleczkę. Miał wrażenie, że czeka go bardzo długa noc.

Rozdział siedemnasty

Następnego ranka Harriet nie zjawiała się na śniadaniu. Tom, którego zejście na dół kosztowało bardzo wiele wysiłku - miał potwornego kaca, a chciał wyjaśnić wszystko i naprawić zło

- wypił trzy filiżanki bardzo mocnej kawy i udał się na poszukiwanie Harriet.
- Harriet, możemy porozmawiać? - zapytał, kiedy otworzyła mu drzwi.
- Nie mamy już sobie chyba nic do powiedzenia, prawda? - Była blada, poważna, a pod jej oczami dostrzegł ciemne sińce; najwyraźniej płakała.
- Owszem, mamy. Źle to rozumiałaś, Wiem, że to pewnie brzmiało...

- Zabrzmiało tak, jak miało zabrzmieć. Trudno o wyraźniejszą sytuację. Mimo wszystko nadal wierzysz, że ja i moja rodzina oszukaliśmy twoich klientów, i gotów byłeś nawet mnie uwieść, żeby uzyskać potrzebne informacje. Zupełnie tak samo, jak niechybnie uwiodłeś tę biedną dziewczynę z Darwest Construction! Przykro mi, że w odróżnieniu od niej nie dostarczyłam ci oczekiwanego materiału i tym razem twoje wysiłki spęły na niczym. Ale prawda jest jedna. Ja o niczym nie wiem!

- Wierzę ci.

- Troszkę za późno teraz na protesty, nie uważasz? W końcu zdążyłeś już zrobić ze mnie idiotkę. Na pewno jesteś z siebie szalenie zadowolony. Zawsze udaje ci się godzić przyjemne z pożytecznym? Uważasz pewnie, że wielki z ciebie James Bond, choć jak się nad tym dobrze zastanowić, jemu na ogół udaje się trafić do łóżka przynajmniej z trzema panienkami podczas jednej misji.

- Harriet...

- Co więcej, on umie lepiej pić od ciebie. Wyglądasz okropnie.

- Na litość boską, Harriet! Uwierz mi, że nie po to się z tobą kochałem, żeby wyciągnąć z ciebie informacje!

Stała blada, z przygaszonym spojrzeniem i ciężkimi powiekami - niemal mu uwierzyła. Chciała, jakże bardzo chciała! Ale na własne uszy słyszała całą rozmowę. Nikt jej tego nie przekazał, nie przekreślił po drodze ani nie wyolbrzymił. Nie miała żadnych wątpliwości, że Tom cały plan omówił wcześniej ze swoją asystentką, że dobrze go przygotował. Pewnie się jeszcze chełpił i zaśmiewał do rozpuku. Poczwała narastającą gorycz.

- Dajmy temu spokój, Tom, dobrze? - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

I Tom, któremu łupało w głowie, jakby ktoś zaciskał mu stalową obręcz na czaszce, postanowił na razie odpuścić. Będzie lepsza pora na takie rozmowy, jakieś lepsze miejsce. W końcu będzie miał Harriet przy sobie przynajmniej do czasu, póki nie znajdą Martina. Porozmawia z nią, kiedy poczuje się lepiej. W ten czy w inny sposób przekona ją, że

kochając się z nią, nie chciał jej wykorzystać. Ale teraz marzył jedynie o jakimś ciemnym i bardzo zacisznym miejscu.

- Kiedy wyjeżdżamy? - zapytała. - Chyba zaraz, jeżeli mamy zdążyć do Darwin na porę lunchu, prawda?

- Chyba tak - zgodził się z niechęcią.

Najwyraźniej ani ciche, ani ciemne miejsce nie było mu pisane.

Do Darwin wracali w grobowej ciszy. Deszcz, który tego dnia zaczął się wcześniej nad morzem, wyszedł im na spotkanie i spadł na nich gęstą mgłą na szosie zwanej Track. Tom cały czas cierpiał na straszny ból głowy. Wjeżdżając w chmurę wilgoci, zaklął szpetnie pod nosem. Doskonale rozumiał, dlaczego porę deszczową nazywano tu „okresem samobójców”. W gęstej mgle, w której człowiek dusi się jak w zaparowanej łaźni, każdy najdrobniejszy kłopot z łatwością przybiera rozmiary katastrofy. Skręcił w Telford Top End i zatrzymał samochód przed recepcją.

- Chcesz tu wysiąść? - zwrócił się do Harriet. - Nie ma powodu, żebyśmy zmokli oboje.

Skinęła głową, mimo wszystko wdzięczna mu za troskliwość, i szybko wbiegła do hotelu.

Za kontuarem zastała tę samą recepcjonistkę, która powitała ich pierwszego dnia w Darwin.

- Wycieczka się udała? - zapytała uprzejmie.

- Tak, owszem - odparła Harriet sucho.

- To świetnie. Dostanie pani dzisiaj inny pokój. Zaraz zobaczymy... -

Pogrzebała chwilę w papierach, a potem zmieniła się na twarzy i powiedziała: - Och, omal nie zapomniałam! Jest dla pani wiadomość! Musi pani natychmiast zadzwonić do domu. Dzwoniła niejaka pani Sally Varna. Powiedziała, że to bardzo pilne.

- Kiedy dzwoniła?

- Tego dnia, jak wyjechaliście państwo na wycieczkę. Powiedziałam jej, że nie mamy waszego adresu, ale obiecałam, że przekażę wiadomość, jak tylko pani wróci.

Harriet zmarszczyła czoło i spojrzała na zegarek. Po co Sally miałyby

do niej dzwonić?

- Chyba już za późno, żeby teraz telefonować. W Nowym Jorku dochodzi jedenasta.

- Chyba tak, ale ta pani mówiła, że czeka na telefon bez względu na porę.

Harriet poczuła nerwowe pulsowanie w gardle.

- Może mnie pani połączyć?

- Proszę podnieść słuchawkę w pokoju, a ja tymczasem przygotuję już linię.

W pokoju Harriet, nawet nie siadając, od razu podniosła słuchawkę i niecierpliwie bębniła w nią palcami, czekając na połączenie. Usłyszała dzwonek telefonu i niemal natychmiast potem głos Marka. Jej niepokój gwałtownie przybrał na sile.

Mark rzadko bywał w domu matki, a już na pewno nie o tak późnej porze. Nawet wtedy, kiedy siedział w Nowym Jorku, wieczorami zazwyczaj bawił gdzieś ze znajomymi. Jego pierwsze słowa nie uspokoiły jej wcale.

- Harriet? Dzięki Bogu! Straciliśmy już nadzieję, że się odezwiesz!

- Co się stało, Mark? Co się stało? - pytała zdenerwowana.

- Mam złe wiadomości, niestety. Chodzi o twojego ojca. Miał zawał. Serce Harriet załomotało jak oszałałe. Wyszło jej w ustach.

- Tata? Tata miał zawał serca? Mark, nie chcesz powiedzieć chyba...

- Nie, nie, Pchełko, tata żyje, ale nie jest w najlepszej formie. Był o krok od śmierci, a w tym stanie istnieje ryzyko, że atak się powtórzy.

Podobnie jak to jest z nawrotami wstrząsów po trzęsieniu ziemi, rozumiesz, co mam na myśli?

- Kiedy... Gdzie... Jak to się stało?

- Dwa dni temu. W salonie wystawowym. Mała, uważam, że powinnaś wrócić.

- Oczywiście, że zaraz wracam. Pierwszym wolnym samolotem.

- Dobrze.

- Mark... Uściskaj go ode mnie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, kręciło jej się w głowie. Trzeba zadzwonić

na lotnisko, zarezerwować miejsce w samolocie... Przynajmniej tyle dobrze, że jestem już spakowana - myślała. Mogę od razu jechać. Och, tato, mój biedny tato, przecież wyzdrowiejesz, prawda? Musisz wyzdrowieć!

- Coś się stało, Harriet?

Tom stanął w progu. Widocznie recepcjonistka powiedziała mu o telefonie ze Stanów.

Harriet spojrzała na niego; w silnej postaci Toma, było coś uspokajającego. Ogarnęła ją gwałtowna tęsknota. Tak bardzo chciała się znów znaleźć w jego ramionach. Móc oprzeć głowę na ramieniu Toma, podzielić się niepokojem, pokrzepić tym, że on rozumie jej ból. Ale uraza tkwiła w niej zbyt mocno - niełatwo byłoby pokonać tę barierę.

- Tata... - powiedziała. - Tata miał zawał serca.

- Tak mi przykro... Pewnie chcesz wrócisz najszybciej jak się da.

- Tak. Polecę najbliższym samolotem.

- Mam zadzwonić na lotnisko i sprawdzić połączenia?

- Tom, zrobisz to dla mnie? - Znowu poczuła falę wdzięczności. I tę tęsknotę. Ale nie był to czas ani miejsce, żeby wdawać się z nim w rozmowy o uczuciach, a zanim zdążyła zebrać myśli, Toma już nie było.

Odrzutowiec wystartował z Darwin i niemal w mgnieniu oka znalazł się nad morzem. Harriet patrzyła na zamgloną linię australijskiego brzegu i myślała, że właściwie niewiele zbliżyła się do rozwiązania zagadki z przeszłości, od kiedy przyleciała do Sydney. Ale teraz to nie wydawało jej się takie ważne - w końcu wszystko zdarzyło się dawno temu. Teraz chciała być już w domu, przy ojcu. Uratowali go. O mały włos, a... Rozpięła pas przy fotelu, złożyła dłonie na kolanach i zmówiła cichą modlitwę, w której prosiła Boga, żeby ojciec żył jeszcze, gdy samolot wylądaje w Ameryce.

Rozdział osiemnasty

Fergal Hillyard miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i postawę, która kwalifikowałaby go znakomicie na obrońcę w drużynie rugby w college'u. Jego twarz była męska, przyjemna, a nad nią powiewało długie pasmo jasnokasztanowych włosów, uważnie zaczesane na łysiejącą nieco czaszkę. W ciemnym garniturze, ozdobionym krawatem w widoczne z daleka paski, robił duże wrażenie, kiedy schodził z antresoli po marmurowych schodach restauracji West Endu, gdzie na dole czekały Teresa i Linda. Sprawiał wrażenie biznesmena, któremu się znakomicie powodzi. Linda twierdziła, że Hillyard „tarza się w szmalu”. Miał tyle pieniędzy, że urządził żonie ekskluzywny butik po to tylko, by miała Jakieś zajęcie”. Kelnerzy rzucili

się do niego unizenie, ale odpędził ich gestem, w którym niecierpliwość mieszała się z dziwnym wdziękiem, i zmierzał wprost do stolika, gdzie siedziały obie dziewczyny.

- Przepraszam za spóźnienie. Miałem ważny telefon. Lindo, cieszę się, że cię znów widzę. A pani jest pewnie Teresą. No cóż, moja droga, jest pani równie urodziwa, co utalentowana, jeśli tak mogę powiedzieć. Miło mi panią poznać. - Ujął jej rękę i pocałował.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Teresa, ale mimo jego szarmanckiego gestu, nie poczuła się ani trochę swobodniej. Przytłaczał ją bogaty wystrój restauracji i świadomość tego, że musi na tym obcym facecie zrobić jak najkorzystniejsze wrażenie. Tak wiele zależało od jej dzisiejszego sukcesu. To, czy przetrwa jako projektantka mody, cała jej przyszłość... Jeśli udałoby jej się przekonać Hillyarda, żeby zechciał włożyć w jej warsztat choćby trochę gotówki, to miałyby jeszcze szansę. Mogłaby kupić za to czas, żeby się wreszcie urządzić, przygotować przyzwoitą pracownię, wyposażyć ją w nowe maszyny, zakupić materiały naprawdę najwyższej jakości... A może nawet wynająć salon wystawowy? W przeciwnym razie czekała ją już wkrótce wielka klapa.

Spojrzała na Hillyarda. Usiadł po jej prawej ręce. To Linda go poznała i natychmiast zasięgnęła języka na jego temat. Powiedziała Teresie, że dorobił się na programach komputerowych, wszedł na rynek we właściwym czasie i uchodził za twardego i sprytnego biznesmena oraz za rozpustnego kobieciarza. Powiadano, że dlatego kupił żonie butik, żeby zajęła się swoimi interesami i mniej pilnowała, co naprawdę robi jej Fergal. Słuchając przyjaciółki Teresa uznała, że są to jedynie pomówienia zawistnych ludzi, teraz jednak, kiedy patrzyła na tego mężczyznę, pomyślała sobie, że to niekoniecznie plotki... Od pierwszej chwili, zupełnie bezpodstawnie, wiedziała, że nie będzie go lubić. No bo gdzie też właściwie jest jego żona? Jeśli to jej butik miał odbierać ubrania zaprojektowane przez Teresę, byłoby ze wszech miar rozsądnie, gdyby przyszła tu z mężem.

- Najpierw może zamówimy coś do jedzenia, a potem przejdziemy

do interesów, dobrze? - zaproponował Fergal, otwierając wielką kartę dań, oprawioną w skórę. - Czego się panie napijecie? Może szampana?

Dziewczyny wymieniły spojrzenia. Linda w życiu nie piła szampana; popijała jedynie tanie musujące hiszpańskie wina, ale Teresa... Teresa przypomniała sobie najprawdziwszego szampana i wieczór, kiedy pili go z Markiem przy kominku, wznosili toasty za szczęście, a potem długo w noc kochali się u niego w sypialni... Ogarnął ją trudny do zniesienia smutek.

- Pani projekty zrobiły na mnie duże wrażenie - powiedział Fergal, zwracając się do Teresy. - Jak na osobę tak młodą i stawiającą pierwsze kroki w branży, ma pani świetne wyczucie.

Splonęła się z radości, a jeśli nawet przemknęło jej przez głowę, że człowiek, który zbił fortunę na programach komputerowych nie może się znać na modzie, to szybko tę myśl odepchnęła.

- To ma szansę się sprzedać - ciągnął Fergal. - Zauważyłem kilka drobiazgów, które należałoby jeszcze dopracować...

Jej radość przygasła.

- Jakich drobiazgów?

- Odniosłem wrażenie, że rogi mankietów można by jeszcze poprawić i należałoby bardziej zadbać o metki. Kiedy się chce brać najwyższą cenę za coś, co nie sprzedaje się jeszcze wyłącznie dzięki nazwisku, trzeba zadbać, żeby każdy szczegół był absolutnie bez zarzutu.

- Zgadzam się w pełni - przytaknęła. - Nie zdawałam sobie sprawy, że w moich próbkach modelowych można się doszukać niedociągnięć. Ale skoro pan tak uważa, na pewno to poprawię. Wiem, że nie wypada zastaniać się warunkami obiektywnymi, bo jak wiadomo złej baletnicy... ale chciałabym jednak powiedzieć, że moje maszyny są już cokolwiek archaiczne.... I myślę, że niektóre z moich dochodzących pracowników mają podobne problemy, panie Hillyard.

- Proszę mi mówić, Fergal. - Uśmiechnął się i dłuższą chwilę nie odrywał oczu od jej twarzy. - Rozumiem pani problemy, moja droga. Przypuszczam, że potrzebna pani pewna pomoc, żeby pokonać tego rodzaju kłopoty. Dlatego jestem tu dzisiaj.

- Naprawdę uważa pan... - zaczęła rozentuzjasmowana, a potem nagle urwała. Przed przyjściem do restauracji ustaliły z Lindą strategię. Doszły do wniosku, że byłoby niepolitycznie za bardzo skakać pod sufit. Należało stworzyć wrażenie, że Hillyard ma przed sobą pnącą się w górę uzdolnioną projektantkę i wielce opłacalną inwestycję, nie zaś nieudacznicę, którą należy ratować z opresji. - Potrzebna mi gotówka, panie Hillyard... Fergal...

- Chciała zrobić na nim wrażenie swoją rzeczową otwartością. - Nie będę temu przeczyć. To jedyna rzecz, jakiej mi brakuje. Ale poza tym naprawdę wiem co robię i jestem głęboko przekonana, że jeśli pan albo ktoś inny zechce mi teraz pomóc, na pewno będzie to dla mojego sponsora bardzo korzystna transakcja.

Uniósł kieliszek i spojrzał na Teresę znad krawędzi szkła.

- Ma pani w sobie wielką wiarę. To mi się podoba. Niewykluczone, że będę mógł pomóc. Nie składam jeszcze żadnych obietnic. Przede wszystkim musimy zbadać wszelkie możliwości, prawda? W jakim kierunku chce pani rozwijać pracownię?

- Terri projektuje ubrania dla młodych, wykształconych kobiet - wtrąciła Linda. - Robi ubrania dla wysoko postawionych kobiet, które muszą wyglądać dobrze i na zebraniu zarządu, i na najelegantszym wieczorowym przyjęciu.

Fergal skrzywił usta w źle skrywanym rozbawieniu, ale ledwie raczył spojrzeć na Lindę. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od Teresy, a w jego oczach było coś lubieżnego.

- Chciałbym o planach Teresy usłyszeć od niej samej - zauważył gładko. - Jeśli mam w coś inwestować, muszę dokładnie wiedzieć, co to jest. A więc, Tereso, proszę mi powiedzieć, co pani robi, jeżeli postanowię wyłożyć pieniądze.

Linda, cokolwiek dotknięta, wycofała się z rozmowy. Świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że Fergal ją zwyczajnie ignoruje, a ponieważ to ona zorganizowała spotkanie; czuła się teraz urażona tym wyraźnym pomijaniem jej osoby. Miała jednak dość rozumu, żeby tego nie okazywać. Jeśli tylko Fergal wyłoży gotówkę, to drobiazg, z kim teraz

rozmawia, nie będzie miał znaczenia.

Zaczęli jeść, a Teresa aż do końca posiłku opowiadała o swych nadziejach i planach. Pytania Fergala i jego bystre uwagi wzbudzały w niej otuchę. Hillyard nie znał się pewnie na modzie, lecz bez wątpienia potrafił ocenić dobry styl próbek, a poza tym doskonale wiedział, jak robić pieniądze.

Gdyby tylko zrobił dla mnie to, co zdziałł dla swoich komputerów, przestałabym się wreszcie zamartwiać - myślała już z lżejszym sercem.

Kiedy podano kawę, Linda podniosła się, przeprosiła i poszła do toalety, zostawiając przy stoliku Fergala z Teresą. Wraz z kawą na stół wjechały cudownie smaczne ptifurki i likiery.

- Myślę, że i tak już za dużo wypitam - protestowała Teresa, ale Fergal tak bardzo nalegał, że byłoby niegrzecznie odmówić.

Uniosła do ust słodkie Cointreau, a gęsta ciecz spłynęła jej po gardle, wywołując falę gorąca.

- A więc? - zapytała, patrząc na Fergala znad kieliszka. - Czy przekonaliśmy pana, że warto jest poprzeć niejaką Teresę Arnold?

- Być może. - Zmrużył oczy. Miał twarz zaróżowioną od trunków. Teresa wstrzymała oddech. - Trzeba by jednak wprowadzić kilka zmian, rzecz jasna. Po pierwsze, chciałbym zobaczyć kogoś z doświadczeniem, kto poprowadziłby rachunkowość firmy. Pani przyjaciółka, Linda, jest pełnym zapału, dobrym handlowcem i być może pewnego dnia będzie świetną dyrektorką, ale tymczasem, jeśli zdecyduję się zainwestować w ten interes, wolałbym powierzyć pieniądze nieco sprawniejszym rękóm.

- Nie mogę jej wyrzucić - zaproponowała Teresa. - Jest częścią mojego zespołu, była ze mną od samego początku.

- Na pewno znaleźlibyśmy dla niej jakieś miejsce. Jak już mówiłem, zapewne już wkrótce, kiedy nabierze doświadczenia, może się stać jednym z filarów przedsiębiorstwa.

- Jak wyglądałyby inne zmiany?

- Załóż pani konto w banku, który ja pani wskażę, i przyjmie pani księgowego, którego ja wybiorę.

- Nie widzę problemu, jeśli chodzi o księgowego, natomiast bank

już sobie sama wybrałam... Dostałam stamtąd kredyt pod zabezpieczenie w postaci domu matki.

- Ach tak... - Fergal zmarszczył czoło. Teresie zrobiło się słabo.

Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że ona ma już długi!

O Boże, błagam Cię, żeby się nie rozmyślił!

- No cóż... - zaczął po chwili ciszy - przypuszczam, że moglibyśmy to jakoś załatwić, pod warunkiem...

Zawiesił głos. Teresa gwałtownie podniosła wzrok i zobaczyła, że patrzy na nią tak dziwnie spod zmrużonych powiek...

- Po warunkiem...? - spytała i usłyszała, jak bardzo drży jej głos. Uśmiechnął się leniwie.

- Nie musimy o tym jeszcze na razie rozmawiać, prawda? Niech pani przyjdzie do mnie do biura, a wtedy omówimy szczegóły. Albo jeszcze lepiej... Niech pani wpadnie do mojej kawalerki. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Czuła, jak wali jej serce. Biło głucho, jego uderzenia rozsadały ciało. Znowu zrobiło jej się słabo.

- No... Nie wiem...

- Niech pani nie będzie głuptasem! - Ofuknął ją pewnie i gładko głosem człowieka o dużym doświadczeniu w takich sprawach. - Z całą pewnością będzie się nam dobrze pracowało, stworzymy doskonałą parę. - Wyjął wizytówkę z portfela i podał jej nad stołem. Kiedy nachylił się do Teresy, poczuła nieświeży oddech. - To adres mojej samotni - wyjaśnił. - Wyjeżdżam jutro w interesach na kilka dni do Brukseli. Proszę zadzwonić do mnie w poniedziałek, a ustalimy dogodny termin.

Zaschło jej w ustach, nie mogła wydusić słowa. Zmięta Inianą serwetkę w ciasną kulkę.

- O, wraca już pani przyjaciółka - zauważył Fergal, nie zmieniając tonu. - Sądzę, że się ucieszy, słysząc dobre nowiny.

- Dobre nowiny?

- To, że ja i pani jesteśmy o krok od dobicia targu. - Uśmiechnął się znowu. Po tym, jak raz poczuła jego oddech, miała wrażenie, że czuje go i teraz, ponad stołem. - Myślę, że możemy już za to wypić, a pani?

Wypijmy za wielki sukces najlepszej projektantki w mieście. Za Teresę Arnold!

Uniósł kieliszek i czekał. Podniosła i ona. A więc wyglądało na to, że kłopoty z firmą mają się ku końcowi. Będzie miała teraz pieniądze, które wyprowadzą ją z finansowych tarapatów. I dom matki nie będzie już zagrożony. A dzięki ludziom, których Fergal wprowadzi, będzie mogła nareszcie przestać myśleć o pieniądzach i zająć się wyłącznie projektowaniem, a przecież tylko o tym marzyła. Wszystko leżało zupełnie jak na talerzu. Dostała to, o co się modliła. Nawet więcej. Tylko za jaką cenę?

Spojrzała na gładkiego, lubieżnego mężczyznę i wstrząsnęła nią dreszcz. Nie była wcale przekonana, czy jest w stanie zapłacić aż tyle. Ale czy miała wybór? Gdyby chodziło wyłącznie o jej interes, wiedziałaby, co zrobić. Powiedziała mu, co może sobie zrobić z taką ofertą. Ale tu chodziło o więcej, o coś znacznie więcej.

I znów, jak zwykle, pomyślała o matce, dobrej, kochającej matce, która zaryzykowała wszystko co miała, żeby dać Teresie szansę. Na myśl o tym ogarnęła ją słabość.

Nie mogę jej tego zrobić - powtarzała sobie w myślach. Co się z nią wtedy stanie? Dokąd mama pójdzie?

Powoli - złamana - podniosła kieliszek i stuknęła nim o kieliszek Fergala. Pakt został przypieczętowany. Była wdzięczna, że został jej chociaż tydzień, zanim, zgodnie z umową, będzie musiała wnieść swój udział.

Rozdział dziewiętnasty

Tato? - szepnęła Harriet. - Tato, śpisz?
Przez chwilę nie odpowiadał. Poczwała, że coś dusi ją w gardle.
Wyglądał tak krucho na szpitalnym łóżku. Do ramion podłączone miał plastikowe rurki, a w nogach stał monitor z wykresem pracy serca.

- Tato... - szepnęła jeszcze raz, a on zamrugnął powiekami i otworzył oczy. Najpierw patrzył nieprzytomnie przed siebie, a potem skoncentrował wzrok na niej.

- Harriet? - Jego głos zabrzmiał chropawo, usta miał suche i spękane. - Harriet! - powtórzył głośniej. - Co ty tu robisz? Myślałem, że

jesteś w Australii.

Przyciągnęła krzesło do łóżka i usiadła. Ujęła jego dłoń.

- Wróciłam, jak tylko się dowiedziałam, że tu jesteś. Sally dzwoniła do mnie.

- Sally? - Słyszac wahanie w jego głosie, domyśliła się, że jest odurzony lekarsstwami. - A, Sally... Dobra z niej dziewczyna.

- Jak się czujesz, tato?

- Dobrze, dobrze... Głupio wyszło, co?

Skinęła głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Z rozmów z Sally, Markiem i lekarzem prowadzącym wiedziała, że wcale nie jest dobrze. Ojciec miał szczęście, że w ogóle z tego wyszedł. Gdyby dostał ataku serca na ranczo, albo w którymś ze swoich dalej położonych domów, pewnie nie dałoby się go już uratować. Na szczęście w Nowym Jorku ojciec miał przynajmniej zagwarantowaną natychmiastową pomoc lekarską.

- I pomyśleć, że mam słabe serce! - mruknął Hugo z niedowierzaniem. - Do licha, zawsze myślałem, że jestem silny jak tur!

- Bo jesteś, ale też jesteś człowiekiem - powiedziała łagodnie. - Miałeś ostatnio tyle przeżyć.

Nie odpowiadał przez moment. Zamyślił się.

- Tak... Chyba tak. - Nagle gwałtownie spojrzał jej w oczy; jego ciemne źrenice patrzyły na nią z napięciem. - Jak ci tam poszło, Harriet? Dowiedziałaś się czegoś?

- Porozmawiamy później - zaczęła ostrożnie. - Nie powinieneś teraz zwracać sobie głowy takimi sprawami. Wyzdrowiej najpierw.

- Chcę wiedzieć! Znalazłaś tego drania, Martina? - dopytywał się uparcie.

- Nie. Nie myśl o nim, tato. To było dawno temu.

- Zabrał mi twoją matkę, przecież wiesz o tym - przypomniał sennym głosem. - Dla niego mnie zostawiła. Bóg jeden wie, co w nim widziała. Chyba wdzięk bawidamka. Wdzięk i pieniądze. Zawsze robił wrażenie, że ma kupę forsy.

- Tato...

Ale wydawało się, że teraz nic go już nie powstrzyma.

- Kochałem ją tak bardzo, że oddałbym za nią życie, Harriet. A tymczasem... Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić, wiesz chyba. Nigdy nie chciałem. Ale nie mogłem się powstrzymać. Ta miłość zaczęła mnie nagle dławić. Nie mogłem się powstrzymać...

- Tato, proszę! - błagała Harriet zrozpaczona. - Twój stan się pogorszy!

Konwulsyjnie zacisnął palce na jej dłoni.

- Ale nigdy nie chciałem jej skrzywdzić, Harri, uwierz mi! Chciałem tylko...

Monitor zaczął pisać ostrzegawczo, Harriet poczuła ogarniającą ją panikę. Wyrwała rękę z uścisku ojca i wybiegła na korytarz.

- Siostrzo! Siostrzo! Szybko! Ojciec ma drugi atak! Pielęgniarka minęła ją pędem, a po chwili dołączył do niej

lekarz. Harriet stała bezradnie w progu, przyciskając ręce do ust, i patrzyła, jak pracują w pośpiechu. Po jakimś czasie poczuła, że ktoś łagodnie, ale stanowczo obejmuje ją w talii. Pielęgniarka usiłowała wyprowadzić ją z pokoju.

- Chodź, kochanie - mówiła. - Napijesz się mocnej kawy. Harriet stawiała opór.

- Ale tata...

- Nic tu nie pomożesz, będziesz tylko przeszkadzać. Jest w dobrych rękach, wierz mi.

- Ale... czy wyjdzie z tego?

- Jeśli doktor Clavell go nie uratuje, nikt na świecie tego nie zrobi - powiedziała uspokajającym tonem.

Dopiero kiedy znalazła się sama w przydzielonej rodzinie odrębnej poczekalni i - zapomniawszy o kawie na niskim stoliku - przemierzała ją tam i z powrotem, Harriet zdała sobie sprawę z tego, że pielęgniarka właściwie nie odpowiedziała wcale na pytanie.

Od czasu pierwszego zawału Hugona Sally siedziała w szpitalu dniami i nocami. Po przyjeździe Harriet mogła sobie pozwolić na kilka godzin odpoczynku - powrót do domu, kąpiel, krótką drzemkę we własnym

łóżku i zmianę ubrania. A teraz Harriet zadzwoniła, że nadszedł drugi kryzys. Sally była doszczętnie załamana. Tak, natychmiast wraca do szpitala - powiedziała. Jej szofer musiał dzielnie walczyć z gęstym ruchem na nowojorskich ulicach.

Czekając na Sally i wynik lekarskich zabiegów, Harriet bezustannie odtwarzała w myślach przerwana rozmowę z ojcem - zupełnie jakby odgrywała zadrapaną płytę, na której igła bez końca zacina się w tym samym rowku. Nerwowo chodząc po pokoju, zastanawiała się, o czym z taką udręką myślał, powtarzając te pełne bólu słowa.

W pierwszej chwili sądziła, że mówi o strasznej awanturze, którą jako czteroletnia dziewczynka widziała w sypialni w przeddzień wyjazdu matki do Włoch. Nie zauważyli jej wtedy. Obudziły ją podniesione głosy. Wstała z łóżka, przeszła przez korytarz do sypialni rodziców i stanęła w nie domkniętych drzwiach. Patrzyła na matkę i ojca rozszerzonymi ze strachu oczami. Bardziej się wtedy bała niż kiedykolwiek przedtem w swym niedługim życiu i pewnie długo po tym nie przeżyła tak potwornego strachu.

Oczywiście wówczas nie rozumiała, co się dzieje. Dopiero później poskładała fragmenty tamtej sceny, ale i tak nie wiedziała do końca, ile w tym, co sobie odtworzyła, jest prawdy, a ile jej wyobraźni. Obraz był zniekształcony, zupełnie jak sen, który nagle w jasnym świetle dnia zostaje poddany analizom. Teraz, gdy usłyszała pełne strasliwej udręki wyznanie ojca, pomyślała, że pewnie jednak wszystko odbyło się tak, jak się obawiała.

Naturalnie i to brała pod uwagę, że ojciec obwinia się o śmierć matki. Ale nie powinien! Ona, Harriet, uwalnia go z wszelkiej winy! Czy doszłoby do tamtej nocnej awantury, czy nie, Paula i tak wyjechałaby z Gregiem do Włoch. Przecież do tego się to sprowadzało. Ale ból i smutek płatają figle ludzkiemu sumieniu. Być może ojciec uważa, że gdyby zachował się inaczej, Paula żyłaby do dzisiaj.

„Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić...” Te słowa wciąż odbijały się echem i za każdym razem wzbudzały w Harriet nowy niepokój. Nagle uderzyła ją nowa myśl. Poczowała, że ogarnia ją lodowaty chłód. Odsunęła

tę myśl od siebie. Nie, w ogóle nie będzie rozważać takiej możliwości... Ale myśl wracała, czaiła się w ciemnych zakamarkach mózgu.

„Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić... Ta miłość zaczęła mnie nagle dławić.... Nie mogłem się powstrzymać...”

Harriet, sztywna z przerażenia, zakryła oczy dłońmi.

- Nie! - szepnęła, a jakiś wewnętrzny głos nie szeptał wcale, a krzyczał w niej z całą mocą. - Nie, tato, nie zrobisz tego! Niemożliwe, żebyś mógł przyłożyć do tego rękę! - Ale mimo że przeczyła temu tak żarliwie, straszliwe podejrzenie rozrastało się w niej jak rak.

Asystentka Toma mówiła, że Sally wybrała się do Włoch niedługo po wypadku. Po co? I dlaczego ciotka była tak zdenerwowana, gdy Harriet oznajmiła, że sama chce rozwiązać zagadkę śmierci matki? Czyżby Sally o czymś wiedziała? O czymś, co miało pozostać w ukryciu? Bała się tego, co Harriet może odkryć?

Nie przestawała spacerować po pokoju, maksymalnie spięta, a tymczasem nie chciane myśli atakowały ją ze wszystkich stron. Z całego serca modliła się, żeby ojciec przeżył ten drugi zawał i wrócił do zdrowia, a mimo to czuła, że jakiś ciężki kamień ugniata jej żołądek. Co będzie, jeśli ojciec przeżyje? A jeżeli czeka go następna, nowa męka? I czy to strach przed przyszłością, czy ból związany z tym, co się już wydarzyło, wreszcie przeciążył serce i spowodował te nieoczekiwane ataki?

Wbiła ręce głęboko w kieszenie, aż zaciśnięte paznokcie odznaczyły się półksiężycami na wewnętrznej stronie dłoni. Teraz mogła jedynie czekać.

Hugo czuł, że unosi się nad swoim kruchym ciałem, leżącym na szpitalnym łóżku. Jak przez mgłę zdawał sobie sprawę z tego, że wokół stoją ludzie i coś przy nim robią nerwowo. Wydawali mu się jednak nierealni. To inni, ci, których w szpitalu nie było, mieli więcej wyrazu, ci, którzy nie odstępowali od jego łóżka przez wszystkie te dni, gdy leżał odurzony lekami. Greg Martin - ciemny, krzepki, niemal nieprzyzwoicie przystojny, w białych żeglarskich spodniach i rozpiętym polo - taki jak za dawnych czasów, w dniach swojej młodości. I Paula. Tak, przede wszystkim Paula.

Chryste, jakież ona piękna! - myślał i znów odczuł tę miłość i wszechogarniające go, nie słabnące pragnienie, które mimo upływu lat wywoływała w nim nawet we wspomnieniach. Jakże ją wtedy kochał! Ja bardzo kochał ją dziś, mimo wszystkiego, co się wydarzyło.

Paula... Paula. Budząca pożądanie, chociaż tak nieznośna. Wariował wprost z uwielbienia dla niej... Szalał z niszczycielskiej zazdrości. Nigdy nie należała do niego tak naprawdę, choć była jego żoną. Całe życie brała co chciała, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, a mimo to potrafiła zrobić z niego niewolnika.

Postacie w białych kitlach gdzieś zniknęły, już ich nie widział. Tylko Paula wydawała mu się prawdziwa. Cofnął się z nią w przeszłość i nie wspominał, a naprawdę przeżywał to, co zdarzyło się przed dwudziestu laty.

Część czwarta

Rozdział dwudziesty

Nowy Jork, Nowy Jork! Obudzę się w mieście, które nigdy nie zasypia! - śpiewała Paula. Hugo wyszedł spod prysznic, owinięty w wielki kąpielowy szlafrok z monogramem, uśmiechnął się i odwrócił głowę, żeby nie ulec pokusie i nie zapragnąć jeszcze raz się z nią kochać. Teraz nie było już na to czasu - każda przerwa w toalecie Pauli oznaczała spóźnienie do pracy. Ilość czasu, jaką

spędzała przygotowując się do wyjścia, była jedną z rzeczy, które po czterech wspianych miesiącach małżeństwa zaczynały troszeczkę irytować Hugona. Uważał, że żona jest wystarczająco piękna, żeby pokazać się światu bez śladu makijażu. Jednak nie potrafił się na nią długo złościć. Przecież Paula była przyzwyczajona do tego, że jej kariera zależy od wyglądu. Poza tym był zbyt szczęśliwy, że udało mu się ją zdobyć, żeby krytycyzmem psuć małżeńską idyllę.

Bez wątpienia była to idylla. Paula uwielbiała Nowy Jork. Od pierwszego wejrzenia zakochała się w tym tętniącym życiem, fascynującym mieście. Jej oczy lśniły jak roje światła, odbijające się w ciemnych wodach East River, opływającej Manhattan. Hugo z niemal dziecinną przyjemnością oprowadzał żonę po najciekawszych zakątkach, chociaż ostry lutowy wiatr, hulający między wieżowcami, wzbijał tumany kurzu na chodnikach i rozganiał stada mew nad rzeką. Jaskrawożółte taksówki stanowiły jedyne plamy koloru na tle monotonnie szarych ulic. Pauli bardzo podobały się domy towarowe, szczególnie Bloomingdale, centra handlowe i błyszcząca biżuteria u Van Cleefa. Hugo obiecał, że na każdą rocznicę kupi jej tam jakiś prezent. Przepadała za gwarnym, eleganckim Broadwayem i Central Parkiem, pełnym wypoczywających ludzi.

Nie podobało jej się jedynie to, że musi mieszkać razem z matką Hugona, groźną Martą, i Weroniką, jego najmłodszą siostrą, która w wieku trzydziestu pięciu lat wciąż jeszcze była niezamężna. Po pierwszych sukcesach Hugo zabrał je z Bronxu do swojego pięknego, starego domu w okolicach Wschodniej Sześćdziesiątej ulicy i po prostu nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby poszukać dla siebie osobnego lokum. Stanowili przecież rodzinę, zupełnie naturalne było to, że trzymają się razem, a poza tym, chociaż nie narzekał na brak pieniędzy, nie wiodło mu się na tyle dobrze, żeby mógł bez zastanowienia pozwolić sobie na utrzymanie dwóch domów i zatrudnianie podwójnej liczby służby. Kiedy poprzedniego roku zmarł ojciec, Hugo cieszył się, że jest blisko matki, żeby ją wspomagać w tych trudnych chwilach. Po śmierci tego niedużego człowieka z wielkim charakterem, którego kochała od

pięćdziesięciu lat, załamała się i rozpaczliwie Ignęła do jedyne go syna, tak bardzo przypominającego ojca.

Jednak Paula była przerażona tym, że miałyby dzielić dom z teściową i szwagierką, chociaż Hugo miał w nim własne, osobne apartamenty. Dom był obszerny, ale mimo to przypominał jej dzieciństwo, kiedy to ona, rodzice i Sally byli zmuszeni mieszkać z dziadkami. Nie miała najmniejszego zamiaru znowu znaleźć się w podobnej sytuacji, zwłaszcza że nie lubiła ani Marty, ani Weroniki, a i one za nią nie przepadały. Szwagierką nawet się nie starała ukryć zazdrości, jaką w niej - brzydkiej kobiecie - budziła taka piękność jak Paula. Marta zaś nie godziła się z faktem, że już nie znajduje się w centrum uwagi syna. Życie pod jednym dachem z tymi dwiema kobietami denerwowało Paulę; błagała, prosiła i przekonywała męża, żeby to zmienił. Hugo, chcąc uszczęśliwić żonę, wynajął apartament w Waldorf Towers i jednocześnie szukał dla nich nowego domu.

W końcu znaleźli odpowiednie miejsce - wielki dom, wykładany jasnoszarym marmurem, stojący przy Wschodniej Siedemdziesiątej ulicy. Kiedy tylko Paula go zobaczyła, zapomniała o jego największej - według niej - wadzie, o tym, że dawny dom Hugona znajduje się zaledwie o jedną przecznicę dalej. Niemal jęknęła z zachwytu, gdy przekroczyła imponujące frontowe drzwi i ujrzała wspaniałe schody, przewiezione z Anglii i pieczołowicie zrekonstruowane przez poprzedniego właściciela. Biegała po pokojach jak dziecko. Jej londyńskie mieszkanko zmieściłoby się w niewielkiej części jednego piętra, a były ich tu trzy, nie wspominając o rozległym ogrodzie, w którym jeden ogrodnik znalazłby zajęcie na okrągły rok, a być może czasami musiałby dostać kogoś do pomocy.

W domu był nawet kryty basen, urządzony w największym pokoju, który kiedyś służył za salę balową. Paula nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Po raz setny dochodziła do wniosku, że przyjmując oświadczy ny Hugona podjęła bardzo słuszną decyzję. W Anglii upłynęłyby długie lata, zanim mogłaby sobie pozwolić na taką rezydencję, jeśli w ogóle kiedyś by do tego doszło. Nawet utytułowani

dżentelmeni, z których kilku poznała, mieliby trudności ze znalezieniem środków na utrzymanie takiego domostwa.

Hugo zatrudnił jednego z najlepszych nowojorskich dekoratorów wnętrz i Paula z rozkoszą przeglądała próbki materiałów i farb, które przynoszono jej do wyboru. Spędzała długie godziny przeglądając katalogi i odwiedzała antykwariaty, kupując sprzęty do nowego domu - wszystko, co się jej spodobało, od półmiska na owoce z miśnieńskiej porcelany do biblioteczki w stylu chippendale. Hugo był trochę zaniepokojony wysokością rachunków pojawiających się na jego biurku, ale płacił je z taką samą dobroduszością, z jaką odnosił się do wszystkich spraw dotyczących żony. Meblowanie nowego domu zawsze kosztuje, a on przecież nie był biedakiem. Interes szedł pełną parą, zewsząd napływały zamówienia, więc potrzebował domu, który świadczyłby o jego sukcesie. Co najważniejsze, żona była szczęśliwa. A wyłącznie na tym mu zależało.

Czy wyszłaby za niego, gdyby był imigrantem bez grosza przy duszy jak ojciec? Tego pytania Hugo wołał sobie nie zadawać, ponieważ w głębi duszy wiedział, że nie. Tamtego wieczoru w restauracji powiedziała mu, że nie można jej kupić, ale podejrzewał, że brylanty i zapewnienie, że jeszcze nie raz dostanie od niego taki prezent, zaważyły na decyzji Pauli - tak jak to sobie zaplanował. Zdając sobie sprawę z jej motywów, wcale przez to mniej nie kochał żony. Jeśli pieniądze są ceną, jaką musiał zapłacić za posiadanie choćby części tej wspaniałej kobiety na własność, z radością się na nią godził.

Bardziej martwiło go to, że Paula chce chodzić na wszystkie przyjęcia, na które ich zapraszano - a było ich o wiele za dużo. W obecnych czasach projektanci mody zostali dopuszczeni do najekskluzywniejszych kręgów towarzyskich. Uważano wręcz za konieczne, żeby każdą imprezę dobroczynną, przyjęcie w restauracji, benefis czy bal jakiejś fundacji uświetniała obecność co najmniej jednego z dyktatorów mody - Billa Blassa, Oscara de la Renty lub Hugona Varny. Hugo cieszył się z możliwości zaprezentowania światu swojej młodej, pięknej żony i wszyscy bardzo chcieli ją poznać. Domyślał się, że pewnie właśnie

dlatego zaproszenia nadchodziły tak często. Jednak nie był wielkim entuzjastą życia towarzyskiego, chociaż w niewielkiej dawce było ono konieczne. Zbyt wiele nie przespanych nocy, ciężkostrawne jedzenie i lejący się strumieniami szampan nie służyły mu - musiał mieć jasną głowę i wypoczęte ciało, żeby dobrze pracować. Jednak i w tej sprawie zdecydował się na jakiś czas ulec Pauli. Widocznie bardzo chciała poznać nowych ludzi i zdobyć przyjaciół. Miał tylko nadzieję, że kiedy dokończą urządzenie nowego domu, szybko znużą ją nieustanne wizyty.

Poza tym wkrótce czekał ich dwutygodniowy objazd, po Środkowym Zachodzie. Mieli zawieźć próbne egzemplarze strojów do największych domów towarowych w kilku miastach, gdzie potencjalni klienci, którzy nigdy nie przyjechaliby na zakupy do Nowego Jorku, mogli obejrzeć całość kolekcji, przymierzyć wybrane przez siebie kreacje i zamówić je bez przeszkód, jakie stwarzało dokonywanie zakupów przez pośredników, czasami zbyt ostrożnych i konserwatywnych, kiedy w grę wchodziły nowe, rewolucyjne fasony. Hugo nie lubił objazdów niemal tak samo jak zbyt ożywionego życia towarzyskiego, ale wiedział, że są one ekonomiczną koniecznością i żeby w pełni je wykorzystać, zawsze osobiście brał w nich udział, zabierając ze sobą jedną z najbardziej doświadczonych specjalistek od sprzedaży i dwie najlepsze modelki. W tej podróży Paula miała być jedną z nich - nie potrafił znieść myśli, że mógłby ją zostawić w domu. W dodatku Paula bardzo chciała poznać Amerykę, chociaż ostrzegał ją, że objazd nie jest najlepszą okazją do zwiedzania. Pobyt w jednym mieście niewiele różnił się od drugiego - przyjazd, rozpakowanie, pokaz, sprzedaż, pakowanie i wyjazd w dalszą drogę, a wszystko to w klaustrofobicznej atmosferze niemal identycznych domów towarowych. Hugo wiedział z doświadczenia, jak bardzo jest to męczące. Miał nadzieję, że po zakończeniu wyprawy Paula z radością przystanie na spokojne, domowe życie. A jeśli nie, to będzie musiał jej po prostu wytłumaczyć, że jeśli nadal zamierza tak rozrzutnie gospodarować pieniędzmi, nie może go nakłaniać do zarywania zbyt wielu nocy, ponieważ wtedy nie będzie w stanie wydajnie pracować i tworzyć.

Ogólnie rzecz biorąc, Hugo był bardziej niż szczęśliwy w życiu małżeńskim. A Paula, sądząc po tym, jak śpiewała, przygotowując się do pójścia z nim do pracowni, również była zadowolona.

Poślubna idylla trwała dokładnie pół roku. Hugo, stosując swoją ulubioną strategię chowania głowy w piasek, ignorował pierwsze ostrzegawcze pomruki zbliżającej się burzy, ale pewnego lipcowego ranka zdarzyło się coś, co nie pozwoliło mu dłużej udawać, że nic się nie dzieje.

Siedział w biurze, pogrążony w pracy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Laddie Mitchell.

Laddie był asystentem Hugona od czasu, kiedy firma stała się sławna i właściciel nie nadążał już z samodzielnym wykonywaniem wszystkich projektów. Jak wielu projektantów, Laddie był homoseksualistą, ale w przeciwieństwie do niektórych, nie afiszował się z tym. Z wyglądu przypomina bardziej układnego prymusa z college'u niż zajmującego się modą artystę o nietypowych preferencjach seksualnych. W szetlandzkim swetrze i nieskazitelnie białych żeglarskich spodniach wyglądał też niezwykle młodo. Dopiero z bliska, po dostrzeżeniu głębokich zmarszczek na opalonej twarzy i siwych pasm w krótko przystrzyżonych jasnych włosach, można się było domyślić, że jest o wiele starszy i z pewnością dawno już skończył trzydziestkę, a może zbliża się nawet do czterdziestki.

Hugo nie mógłby sobie wymarzyć lepszego asystenta od Laddiego. Był pracowity i godny zaufania, a co najważniejsze, potrafił tak ukierunkować swój talent, że jego pomysły nie odbiegały stylem od prac szefa. Hugo zostawiał mu szkice do wykończenia albo decyzje o doborze tkanin, wiedząc, że wybór Laddiego będzie mu całkowicie odpowiadał, a dokończony projekt nawet najbardziej doświadczonemu znawcy będzie się wydawał oryginalnym wytworem Hugona Varna. Mimo oczywistych wybitnych zdolności, Laddie był całkowicie szczęśliwy w roli asystenta. Nigdy mu nie przeszkadzało, że jego nazwisko nie pojawia się i nigdy się nie pojawi na metkach. Nie miał też nic przeciwko dostosowywaniu się do stylu szefa. Prawdę mówiąc, brakowało mu pewności siebie i

rozmachu, który jest niezbędny do założenia własnej firmy. Wolał, żeby Hugo przyjmował brawa - i gwizdy - a sam cieszył się wysoką pensją, pozostawiając innym finansowe troski związane z prowadzeniem interesu.

- Czy mogę zamienić z tobą słowo? - zapytał Laddie.

- Oczywiście. Wejdz - odparł Hugo, trochę zaniepokojony poważną miną asystenta. - Siadaj.

Laddie usiadł, ale zaraz wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po gabinecie. Hugo przeraził się, że zdarzyło się coś, co jest zmorą każdego projektanta.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało z nowymi projektami. Nie zostały skradzione, prawda? - zapytał.

Laddie spojrzał na niego zaskoczony.

- Nie, skądże znowu.

- Więc co się stało? Na litość boską, człowieku, po twojej twarzy poznaję, że coś jest nie tak.

- Nie wiem, jak to powiedzieć - zaczął Laddie - ale wśród personelu panuje wielki niepokój.

- Niepokój? Nie mów mi, że znowu chcą podwyżki. Dobrze wiesz, że i tak już płacę więcej niż każdy inny nowojorski projektant, bo chcę zapewnić sobie najlepszych ludzi.

- Nie, nie chodzi o pensje. - Laddie był wyraźnie zakłopotany. - Chodzi o Paulę. To ona niepokoi personel.

Hugo zmarszczył brwi.

- Niepokoi personel? Kogo? Jak?

- Zaczęło się od modelek. Z początku nie zwracałem na to uwagi. Myślałem, że po prostu są zazdrosne. Przecież to Paula wyjechała w objazd i dostała najatrakcyjniejsze pokazy...

- A czego one oczekują? - przerwał mu Hugo. - Przecież to moja żona. Jasne, że pojechała ze mną.

- Jednak nie chodziło tylko o to - ciągnął uparcie strapiiony Laddie. - Paula zaczęła je pouczać i złośliwie krytykować. Nie muszę ci mówić, że amerykańskie modelki są najlepszymi profesjonalistkami na świecie i

bardzo się tym szczycą. Nie podoba się im, że angielska dziewczyna chce nimi rządzić.

- Zwykłe babskie intrygi! - warknął Hugo. - Zgadzam się z tobą, że są profesjonalistkami, inaczej nigdy bym ich nie zatrudnił. Ale są również bardzo niezrównoważone. Większość z nich zażywa prochy na zmniejszenie apetytu, żeby zachować szczupłą figurę. Dzięki Bogu, Paula nie ma kłopotów z wagą! Przez to stają się nerwowe. Obrażają się za najdrobniejsze rzeczy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Uważam, że w tym przypadku mają rację - upierał się Laddie. - W dodatku nie chodzi tu tylko o modelki. Paula chce rządzić resztą personelu. Wszystko krytykuje i zmienia. Kilka razy próbowała dobrać się nawet do mnie. Pracownicy nie wiedzą, jak reagować. Przyzwyczaili się służyć wyłącznie twoich poleceń, moich i Maury Hemingway. - Maura była główną specjalistką od spraw sprzedaży, nieskazitelnie zadbaną matroną o niebieskawosiwych włosach, która pracowała w firmie od początku. - Nie nawykli do tego, że pomiata nimi jedna z modelek. Paula jest jednak twoją żoną, więc nie mogą jej ignorować. Mówię ci, Hugo, że jeśli czegoś nie zrobisz, wkrótce będziesz miał do czynienia z buntem na pokładzie. Hugo trząś się z gniewu.

- Wystarczy, Laddie. Dość już powiedziałeś. Masz rację, Paula jest moją żoną i wobec tego oczekuję, że będzie traktowana z szacunkiem. Rozumiem, że ludzie, którzy od dawna pracują wyłącznie ze mną, mogą do niej odczuwać pewną niechęć. Dziwi mnie tylko, że i ty się do tego przyłączyłeś. Nie spodziewałem się, że przyjdiesz do mnie z donosem na moją własną żonę.

Laddie zacisnął szczęki.

- Robię to z przykrością. Ale doszedłem do wniosku, że powinieneś wiedzieć, co się dzieje, bo inaczej pewnego dnia możesz być bardzo zaskoczony, kiedy połowa personelu odejdzie.

- Nie wygaduj głupstw.

- Włącznie ze mną - dodał asystent. Teraz, kiedy opuściło go zdenerwowanie, był zdecydowany powiedzieć wszystko, z czym tutaj przyszedł. Od tego zależała dalsza sprawna działalność firmy.

Hugo zmrużył powieki.

- Ty chcesz odejść? Naprawdę myślisz o tym, żeby mnie opuścić?

- Nie chciałbym tego - oznajmił spokojnie Laddie. - Bardzo dobrze mi się z tobą współpracuje. Tworzymy zgrany zespół. Ale mogę pracować tylko dla jednego szefa. Do tej pory godziłem się z poczynaniami twojej żony, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że wszystko jest dla niej nowe i szuka tu dla siebie odpowiedniego miejsca. Ale nikomu nie dam sobą pomiatać. Nawet twojej żonie.

- Przykro mi, że tak pojmujesz tę sytuację - powiedział wstrząśnięty Hugo.

- Tak właśnie jest, i pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jak ci o wszystkim powiem. Proszę cię tylko, żebyś otworzył oczy i zobaczył, co się dzieje. Zawsze panowała tutaj dobra atmosfera. Nie chcę, żeby nasza firma zamieniła się w gniazdo os.

Hugo wciąż był zdenerwowany krytyką Pauli, ale szanował swojego asystenta i zachował wystarczająco wiele zdrowego rozsądku, by pojąć, że Laddie nie zdecydowałby się na tę rozmowę, gdyby w jego oskarżeniach nie było prawdy.

- Zdaje się, że Paula szuka swojego miejsca w nowych warunkach - oznajmił pojednawczo. - Znalazła się z dala od domu i wszystko jest tu inne niż w jej rodzinnym kraju. Jestem pewien, że kiedy się tu zdomowi, sprawy przybiorą właściwy obrót. Ale porozmawiam z nią.

Przez chwilę wydawało się, że Laddie wybuchnie pełnym ulgi płaczem. Po chwili przystojna twarz wypogodziła się i tylko skinął głową.

- Dzięki, Hugo. Jestem pewien, że jak to zrobisz, wszyscy poczujemy się lepiej, włącznie z twoją żoną.

Hugo przez cały dzień rozmyślał nad rozmową z Laddiem. Czuł złość i urazę, że ktokolwiek śmiał krytykować Paulę, jednak w skrytości ducha musiał przyznać, że w tym, co powiedział asystent, jest co najmniej ziarno prawdy. Zmiana atmosfery w pracowni nie do końca uchodziła jego uwagi. Wyczuwał tu lodowate podmuchy, mimo sierpniowej fali upałów, jaka panowała w Nowym Jorku. Domyślał się, że pewne cechy charakteru Pauli, które on traktował jak urocze kaprysy, przez innych

mogły być postrzegane jako zarozumiałstwo i władczość.

Dziwiło go, że ktoś pochodzący z tak przeciętnej rodziny potrafi zachowywać się jak księżniczka z królewskiego rodu. Dziwiło go to, ale i fascynowało. To, że uznała za stosowne pouczać ludzi o ich obowiązkach, uważał za wybryki małej dziewczynki, która postanowiła udawać dorosłą. Jednak obiecał Laddiemu, że porozmawia z żoną, więc musiał dotrzymać słowa.

Przeprowadzili się już do domu przy Wschodniej Siedemdziesiątej. Był to jeden z tych rzadkich wieczorów, które spędzali tylko we dwoje. Zjedli kolację złożoną ze smakowitych zimnych mięs, przygotowaną przez nowo zatrudnioną gospodynię, i relaksowali się teraz w ogrodzie, dopijając butelkę szampana Moët et Chandon. Dźwięki muzyki Vivaldiego dobiegały przez otwarte drzwi na taras.

- Kochanie, chciałbym z tobą porozmawiać. - Przynal bliżej krzesło, sięgnął po rękę żony i zaraz poczuł, że coś go ściska w dołku, jak zwykle, kiedy dotykał jej jedwabistej skóry. Paula wyglądała tak pięknie. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zmieniały jej włosy w płynne złoto. Elegancko złożyła długie, nagie nogi, osłonięte jedynie najkrótszą z minispódniczek, żeby wyeksponować miodową opaleniznę. Przez chwilę Hugo miał ochotę zapomnieć o całej sprawie i kochać się z żoną, tutaj w ogrodzie, w powietrzu przesyconym zapachem róż i krzewów. Jednak doszedł do wniosku, że im prędzej uświadomi jej, jaką rolę odgrywa w pracowni, tym lepiej.

- Rozmawiałem dzisiaj z Laddiem - zaczął. - Kochanie, musisz bardziej uważać na to, jak odnosisz się do personelu. Niektórzy są urażeni, że ich pouczasz.

Paula aż drgnęła z oburzenia, ale się opanowała.

- Chcesz powiedzieć, że modelki narzekają. Zawsze to robią. Jestem do tego przyzwyczajona. Dam sobie z nimi radę.

- Wiem, że sobie poradzisz, ale ja nie mogę pozwolić na złą atmosferę w firmie - odparł łagodnie Hugo. - Zresztą nie chodzi tylko o modelki. Nawet Laddie czuje się urażony. Wiem, że wszystko jest tu dla ciebie nowe. Pewnie niektórzy są po prostu o ciebie zazdrośni i dlatego

zachowują się nieprzyjaźnie, ale może byś się trochę pohamowała. Zrób to dla mnie, dobrze?

Paula patrzyła na niego ze stalowym błyskiem w oku.

- Więc za moimi plecami Laddie obgaduje mnie przed tobą?
- Wcale tak nie było, kochanie. Po prostu przekazał mi niepokoje personelu i stwierdził, że nie zawsze jesteś tak delikatna, jak byś mogła.
- I ty mu uwierzyłeś? - Paula szorstko wyrwała dłoń z jego uścisku.
- Laddie to wspaniały asystent - uspokajająco wyjaśnił Hugo. - Mam do niego zaufanie.

- Nawet kiedy opowiada bzdury na temat twojej żony? Jak on śmie! Należy mi się trochę szacunku!

- Oczywiście, że powinni cię traktować z respektem - zgodził się Hugo. - Ale w życiu zawodowym na szacunek trzeba zasłużyć. Nie spiesz się, postępuj ostrożnie, a jestem pewien, że wszystko się dobrze ułoży. Robienie sobie wrogów z personelu nie jest najlepszym wyjściem, uwierz mi.

Paula skoczyła na równe nogi. Była wściekła na Laddiego, a jeszcze bardziej na męża, że dał wiarę jego słowom.

- Dziękuję ci, Hugo, że tak dzielnie mnie bronisz! - krzyknęła. - Jeśli sprawiam takie kłopoty w pracowni, nie będę narażała cię na przykrości i już się tam więcej nie pojawię. Mogę sobie znaleźć inne zajęcia - zakupy, spotkania z koleżankami, imprezy dobroczynne. A kiedy już mi się to znudzi, może poszukam sobie pracy jako modelka u innego projektanta. Wielu chętnie by mnie u siebie widziało. Mogliby się chwalić, że pracuje u nich Angielka, w dodatku małżonka Hugona Varna.

Chwycił ją za nadgarstek.

- Za bardzo się tym przejmujesz. Usiądź, napij się szampana i nie denerwuj się.

Rozwścieczona łagodnym tonem męża wyrwała rękę.

- Dziękuję, nie mam już ochoty na szampana.

Odwróciła się i weszła do domu. W drzwiach niemal się zderzyła z Doris, służącą, która mieszkała u nich na stałe. Dziewczyna była ubrana w elegancką czarną sukienkę i biały koronkowy fartuszek, jak nalegała

Paula.

- Na litość boską, uważaj, co robisz - warknęła Paula.
- Przepraszam panią, ale właśnie miałam powiedzieć, że przyszedł jakiś gość. - Na policzkach Doris wykwitł rumieniec. Widać było, że jest podniecona, jakby ktoś jej powiedział, że ma szansę na główną nagrodę w konkursie.

- Gość? O tej porze? Kto to taki?

- Właściwie przyszedł do pana Varna - wyjaśniła dziewczyna, jeszcze bardziej się rumieniąc. Stłumiła nerwowy chichot. - Mówi, że nazywa się Greg Martin i że jest współnikiem pani męża.

Paula niemal tupnęła nogą z irytacji. Gość, którego trzeba będzie zabawić, był ostatnią rzeczą, na jaką teraz miała ochotę.

Rzecz jasna Hugo zechcę się spotkać ze współnikiem. Grega Martina nie było w Nowym Jorku przez ostatnie pół roku, więc Paula go nie знаła, ale wiedziała od męża, że to jego dobry przyjaciel i partner w interesach. Przy odrobinie szczęścia będzie mogła tuż po przywitaniu wymówić się i pójść do swojego pokoju. Może długa kąpiel przywróci jej dobry nastrój.

Doris czekała niespokojnie, jak wielki czarno-biały motyl schwyty w pułapkę.

- Dobrze, Doris - odezwała się Paula. - Poproś pana Martina.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ty pewnie jesteś Paula - powiedział nieznajomy i wyciągnął rękę. Ujęła ją, zapominając o gniewie. Czuła się dokładnie tak jak wtedy, kiedy w dzieciństwie spadła z drzewa i wciąż obejmując ramionami złamaną gałąź wylądowała na plecach prosto na ziemi. Tak jak teraz straciła wtedy oddech i miała wrażenie, że przepona przykleiła jej się do kręgosłupa.

- A ty jesteś Greg. Wiele o tobie słyszałam.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy. - Jego głos brzmiał

melodyjnie i leniwie. Paula starała się rozpoznać, jaki to akcent, ale nie potrafiła. Nie rozróżniała jeszcze subtelności wymowy i nie potrafiła określić, czy przybysz pochodzi z Bostonu, ze Wschodniego Wybrzeża czy ze Środkowego Zachodu. Natychmiast rozpoznawała jedynie nosowe tony z Bronxu, ponieważ słyszała ich echo w głosie męża, i charakterystyczne, rozciągnięte samogłoski z głębokiego Południa, bo przynajmniej sześć razy obejrzała *Przeminęło z wiatrem*.

- Oczywiście, że same dobre rzeczy! - przytaknęła z uśmiechem.

Dłoń Grega była w dotyku mocna i chłodna; Paula nie chciała jej wypuścić, ale za plecami usłyszała okrzyk męża:

- Greg! Nie wiedziałem, że wróciłeś!

Odstąpiła na bok i patrzyła, jak mężczyźni się obejmują i klepią po ramionach, śmiejąc się jak rozradowani chłopcy. Mimo że Greg po ojcu był w połowie Włochem, przewyższał wzrostem szczupłego Hugona. Paula wyraźnie dostrzegała w nim oznaki śródziemnomorskiego pochodzenia. Miał szerokie ramiona, wąskie biodra, śniadą, opaloną cerę i kruczoczarne włosy. W klasycznej, patrycjuszowskiej twarzy oczy tliły się jak dwa uspięne wulkany. Nos miał lekko haczykowany i zdumiewająco białe zęby.

- Widzę, że poznałeś już moją żonę - domyślił się Hugo. - Paula, to jest człowiek, któremu zawdzięczam sukces. Gdyby nie on, wciąż pracowałbym na starej maszynie do szycia na kuchennym stole matki.

Greg roześmiał się.

- Dobrze wiesz, że to bzdura. Gdybym ja nie zauważył twojego talentu, z pewnością odkryłby go ktoś inny. - Mimo to wyglądał na zadowolonego z komplementu.

- Siedzieliśmy w ogrodzie, Greg. Jest zbyt ładnie, żeby kryć się w pokoju. Otwórzmy jeszcze jednego szampana. Mamy okazję - powrót syna marnotrawnego!

Poprowadził przyjaciela do ogrodu, a Paula podążyła za nimi. Czuła się trochę zaniedbywana. Przyzwyczała się, że każdy poznany mężczyzna poświęca jej niemal całą uwagę, a ten tutaj prawie jej nie zauważał. A tak bardzo chciała, żeby na nią patrzył! Bardzo jej na tym

zależało, nie tylko z powodu urażonej próżności. Drżała na całym ciele. Nic dziwnego, że Doris była taka zarumieniona. Ten mężczyzna miał w sobie coś, co zmieniło Paulę w dygoczącą z pożądania galaretę. Wiedziała, że zrobiłaby wszystko, dosłownie wszystko, żeby Greg spojrział na nią tymi ognistymi ciemnymi oczami, które przeszywały na wylot.

- Kochanie, poproś Doris, żeby przyniosła nam jeszcze jedną butelkę szampana - rzucił Hugo przez ramię i Paulę znów ogarnęła złość. Najpierw udzielił jej reprymendy, jakby była nieposłuszną uczennicą, a teraz rozkazywał jej jak służącej. Jak on śmie!

Kiedy dołączyła do siedzących w ogrodzie mężczyzn, usłyszała, że rozmawiają o interesach, i bardzo ją to zirytowało. Co za nuda! Dolary - miliony dolarów - interesowały ją tylko wtedy, gdy mogła je wydawać. Usiadła na ogrodowym krześle naprzeciw Grega, prowokacyjnie założyła nogę na nogę i obserwowała go spod zasłony długich rzęs. Ku jej rozczerowaniu wciąż nie zwracał na nią uwagi.

- Więc podróż ci się udała? - zapytał Hugo.

- Tak. - Po raz pierwszy, od kiedy Paula pojawiła się w ogrodzie, czarne jak węgle oczy zwróciły się w jej stronę. - Widzę, że twoja podróż też była udana.

Hugo uśmiechnął się.

- Pojechałem obejrzeć pokaz mody, a wróciłem z żoną. Chciałem, żebyś był na ślubie, ale wszystko zdarzyło się tak szybko. Jestem pewien, że kiedyś i ciebie coś takiego spotka!

Greg roześmiał się i z powątpiewaniem machnął ręką.

- Nie ma mowy. Wolę prowadzić życie atrakcyjnego kawalera.

- Ja też tak myślałem. Ale małżeństwo to instytucja, którą poleciłbym ci z całego serca.

Hugo uśmiechnął się szeroko do Pauli.

Akurat - pomyślała - niecałą godzinę temu pouczałeś mnie i krytykowałeś, bo coś ci o mnie naopowiadał twój okropny asystent, a teraz wychwalasz małżeństwo. Niezły dowcip!

Jednak kiedy tylko spojrzała na Grega, złość znowu ją opuściła. Nie

można być w złym humorze, kiedy się spogląda na tę piękną twarz i przystojne, męskie ciało. Spójrz na mnie, Greg! Proszę, spójrz na mnie!

Zapadły ciemności, Hugo włączył łagodne oświetlenie i nadal rozmawiali. Paula niewiele słyszała z rozmowy. Obserwowała obu mężczyzn, czując, jak lekki dreszcz podniecenia przebiega po wewnętrznej stronie ud.

W końcu Greg się podniósł.

- Lepiej już pójdę, Hugo. W przyszłym tygodniu wpadnę do ciebie do salonu. Dokładnie nie wiem kiedy. Mam kilka ważnych spotkań w interesach. Ale będziesz na miejscu?

- Może zjadłbyś kiedyś z nami kolację? - zaproponowała Paula.

Odwrócił się i spojrzał na nią tymi pięknymi, czarnymi oczami. Zdawało jej się, że dostrzegła w nich cień rozbawienia.

- Byłoby miło. Czy mogę kogoś ze sobą przyprowadzić? Nie chciałbym odgrywać roli przyzwoitki, która przeszkadza parze młodych małżonków.

Paula odczuła niemiły ucisk w żołądku. Wiedział! Odgadł, o czym myśli i odtrącił ją!

- Oczywiście, przyprowadź kogoś - odparła gładko.

- Kto to będzie? - zapytał Hugo, najwyraźniej nieświadomy napięcia, jakie wisią w powietrzu. - Która ze znanych piękności jest obecnie w twoich łaskach?

Greg wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Pamiętaj, że długo mnie tu nie było i dopiero dzisiaj wróciłem. Ale jestem pewien, że znajdę kogoś do towarzystwa.

- Nie wątpię. - Hugo roześmiał się i zwrócił się do Pauli: - Greg nigdy nie ma kłopotu ze znalezieniem partnerki. Jego czarny notesik wygląda jak spis najpiękniejszych kobiet świata.

- Tak podejrzewałam - odparła lodowato Paula.

- Dobranoc, Paula. Miło było cię poznać. - Znowu wziął ją za rękę i pocałował w policzek. Krew zatętniła jej szybciej w żyłach.

Kiedy wyszedł, Hugo otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Coś ci powiem, kochanie. Notes Grega jest pełny telefonów

pięknych dziewczyn, ale żadna z nich tobie nie dorównuje.

I chociaż niezły z niego ogier, wcale mu nie zazdrozczę. Pójdziemy do łóżka, co?

Paula, słaba i bezwolna po doznanych wrażeniach, pozwoliła się zaprowadzić do elegancko umeblowanej głównej sypialni i rozebrać. Jednak kiedy leżała w jedwabnej pościeli w łóżku z baldachimem, poddając się pieściztom męża, widziała w ciemnościach twarz Grega. Dotarła do szczytu rozkoszy tylko dlatego, że wyobrażała sobie, jak usta Grega całują ją i piezczą, jego ramiona ją otaczają i to on leży obok i wchodzi w jej ciało, a nie Hugo.

Przez trzy dni Paula nie mogła ani jeść, ani spać. Pierwszej nocy, kiedy Hugo spał przy niej, cicho pochrapując, leżała sztywna i spięta, mimo że przed chwilą się kochali. Całe ciało drżało na wspomnienie o Gregu. W końcu wstała i zaczęła krążyć po domu, dotykając pięknych bibelotów, które sama kupiła, żeby go przyozdobić. Szybko jednak odkładała przedmioty na miejsce, w obawie że wypadną jej z drżących palców i się potłuką.

Przy śniadaniu, skubiąc grzanekę, podczas gdy mąż pochłaniał górę jajek smażonych na szynce, zapytała o Grega.

- Co on właściwie robi? Hugo uśmiechnął się pogodnie.
- Dobrze pytanie. Mówi, że jest finansistą, a pod tym określeniem można ukryć różne grzechy. Zdaje się, że zaczynał od handlu nieruchomościami, a potem zajął się ubezpieczeniami i konsultacjami inwestycyjnymi. Chwycił bardzo wiele srok za ogon, ale szczerze mówiąc, dla mnie liczy się tylko to, że był wystarczająco bogaty i zainteresowany moją firmą, żeby wyłożyć pieniądze i ustawić mnie na drodze do sukcesu. Kiedy potrzebowałem finansowego wsparcia, Greg przy mnie był. Zawsze będę mu za to wdzięczny.
- Sam powiedział, że gdyby nie on, to znalazłby się ktoś inny.
- Możliwe, ale tak się złożyło, że był to akurat on - powiedział Hugo i wypił łyk gorącej kawy. - Nie mam jednak wątpliwości, że Greg to nie anioł i czasami stąpa po bardzo kruchym lodzie. Tak właśnie dorobił się fortuny: ryzykując. I jestem pewien, że kiedy bliżej go poznasz, polubisz

go tak jak ja. W zasadzie nie spotkałem nikogo, kto by go nie lubił. To prawdziwy uwodziciel.

- Tak - odparła Paula i zacisnęła mocno kolana. Pomyślała, że mąż byłby zaszokowany, gdyby wiedział, jak blisko ma nadzieję poznać Grega Martina.

Była nim tak obsesyjnie zafascynowana, że następnego dnia poszła do pracowni z Hugonem, niemal zapominając o rozmowie, którą przerwało nadejście Grega. Zazdrość i intrygi wydały jej się zupełnie nieważne wobec możliwości ponownego spotkania z przyjacielem męża. Prawie podskakiwała ze zdenerwowania na dźwięk zatrzymującej się na ich piętrze windy, ale Greg się nie pojawił. Za każdym razem z kabiny wychodził ktoś inny - handlowiec, przedstawiciel prasowy, modelka, krawczywni albo po prostu jeden z tragarzy, toczący przed sobą wieszak na kółkach z próbkami nowych strojów, które, starannie ukryte w plastikowych torbach, przywożono z portorykańskich warsztatów krawieckich, znajdujących się za rogiem, między Ósmą a Dziewiątą Aleją.

- Czy ustaliłeś już datę kolacji z Gregiem Martinem? - zapytała męża trzeciego dnia, kiedy nie mogła już znieść dłuższego oczekiwania.

- Och, kochanie, zapomniałem ci powiedzieć - odparł Hugo. - Obawiam się, że będziemy musieli to odłożyć. Serce Pauli przestało na chwilę bić.

- Dlaczego? - zapytała drżąco. Nienawidziła się za tę słabość.

- Wyjechał z miasta. I to aż do Teksasu. Przysięgał, że to podróż w interesach, ale osobiście jestem zdania, że kryje się za tym pewna śliczna córka bogatego nafciarza. Wiem, że ostatnio często się z nią spotykał, i pewnie tatuś chciał go obejrzeć.

Paula miała ochotę rozplakać się z zawodu i wściekłości. Tak bardzo oczekiwała chwili, kiedy go znowu zobaczy, że zupełnie załamała ją ta wiadomość. Greg wolał wyjechać do Teksasu z jakąś kobietą, choćby z nie wiadomo jak bogatej rodziny, a przecież wiedział, że ona, Paula, zapraszała go na kolację nie tylko z czystej przyjaźni.

Pewnie teraz się ze mnie śmieje - pomyślała, wspominając, jak na nią spojrział, kiedy zasugerowała wspólną kolację - czarne oczy patrzyły

domyślnie, a usta rozchyliły się w uśmiechu, ukazując białe, wilcze zęby. Jednak mimo uczucia poniżenia i czegoś na kształt przelotnej nienawiści do mężczyzny, który ją upokorzył, czuła do niego równie silny pociąg jak przedtem, a może nawet silniejszy. Paula nie nawykła do porażek. Nowe doświadczenie dodało niespodziewanego smaku tej przygodzie i wzmocniło tylko pożądanie. Któregoś dnia zdobędzie Grega Martina, tak samo jak zdobywała każdego mężczyznę, którego zapragnęła.

Podczas gdy Greg przebywał w Teksasie i Paula nic nie mogła zrobić, żeby schwytać go w sidła, skupiła uwagę na innym problemie. Od kiedy dowiedziała się, że Laddie rozmawiał o niej z Hugonem, postanowiła się na nim odegrać, więc w wolnych chwilach - których miała wiele, ponieważ mąż pracował nad przygotowywaniem kolekcji na nowy sezon - rozważała wiele różnych metod zemsty, jednak wszystkie odrzucała. Zniszczenie szkiców lub próbek Laddiego byłoby zbyt łatwe i prymitywne. Gdyby doprowadziła do jego zwolnienia, zyskałaby tylko krótkotrwałą satysfakcję. Nie, tak naprawdę chciała zdobyć nad nim władzę, ponieważ władza wciąż była tym, co ją najbardziej upajało.

Zdała sobie sprawę, że seks jest tylko jedną z dróg, która do niej prowadzi. Kiedy chłopcy uganiali się za nią, błagając o życzliwsze spojrzenie, to poczucie siły było dla niej najmocniejszym afrodyzjakiem. Szybko zrozumiała, że są inne sposoby zdobywania kontroli nad ludźmi. Na przykład szantaż emocjonalny, który najlepiej działa na najbliższych. Można też się postarać, żeby ktoś czuł się zobowiązany, i zażądać spłaty długu albo wciąż przypominać o zobowiązaniu. Tak było z Garym. Teraz często miała uprzywilejowaną pozycję z tego prostego powodu, że była żoną Hugona. Jednak żadna ze znanych metod na nic się w tym wypadku nie przydawała. Laddie był asystentem Hugona, cieszył się jego szacunkiem i zaufaniem - a na domiar złego Paula wiedziała, że jej nie lubi. Musi być jakieś wyjście - myślała. Laddie na pewno ma jakąś słabość i ja ją odkryję.

Pragnienie zemsty sprawiało, że często odwiedzała pracownię, chociaż nienawidziła panującej tam atmosfery. Teraz, kiedy dowiedziała się, że nie jest lubiana przez pracowników, zauważała każde nagłe

milczenie, które zapadało, kiedy wchodziła do pokoju, i każdą parę oczu, które patrzyły na nią z niechęcią, gdy wychodziła. Co gorsza, musiała gryźć się w język i powstrzymać przed wydawaniem poleceń personelowi, bo inaczej czekała ją kolejna bura od męża. Zdawała sobie sprawę, że wszyscy w firmie, co do ostatniego pracownika, wiedzą, skąd u niej ta nagła zmiana zachowania, więc była wściekła. Upokorzenie i złość dodawały Pauli zapału do poszukiwań najlepszego sposobu zemsty na Laddiem.

Okazja nadarzyła się w sierpniu, pewnego upalnego popołudnia, i to całkiem przypadkowo. Paula była w salonie sprzedaży, kiedy zobaczyła, jak Laddie spieszenie wychodzi ze swego biura. Zdziwiło ją, że rozgląda się z takim niepokojem, jakby chciał się upewnić, czy nikt nie zwraca na niego uwagi. Wyłącznie dzięki intuicji Paula odgadła, że dzieje się coś niezwykłego, i wprawiło ją to w podniecenie. Laddie ruszył schodami w dół - cierpiał na klaustrofobię i bał się zamkniętych pomieszczeń - a Paula szybko zjechała windą i zaczęła, aż się tam pojawi. Nieco zdyszany Laddie wyszedł na ulicę, a ona pospieszyła za nim. Przy krawężniku czekał samochód. Za kierownicą siedział młody, dobrze ubrany, przystojny chłopak. Paula znała jego twarz z licznych spotkań towarzyskich. Ukryta przy wejściu do budynku widziała, jak Laddie obszedł samochód i usiadł na miejscu dla pasażera. Chłopak radośnie odwrócił się do niego, Laddie się pochylił, objął go ramionami i pocałował w policzek. Chwilę patrzyli na siebie, a potem młodzieniec uruchomił auto i obaj odjechali ulicą pełną hałasujących klaksonami samochodów.

Paula stała przy drzwiach i uśmiechała się lekko, rozmyślając nad znaczeniem tej sceny.

Oczywiście od pierwszej chwili, kiedy poznała Laddiego, wiedziała, że jest homoseksualistą, ale zbytnio jej to nie obeszło. W świecie mody było ich wielu, a w dodatku Gary, chyba najbliższy przyjaciel Pauli, też był jednym z nich. Ale chłopak w samochodzie nie był pierwszym lepszym chłopakiem - to był Chris Connelly, syn senatora Jimma Connelly'ego, który, jak głosiła plotka, w przyszłych wyborach zamierzał

ubiegać się o urząd prezydenta.

Drżąc z radosnego podniecenia; Paula patrzyła, jak samochód znika w perspektywie zatłoczonej ulicy. A więc kochankiem Laddiego jest Chris Connelly! Nic dziwnego, że Laddie starał się ukradkiem opuścić biuro. Taki skandal wcale nie pomógłby senatorowi. Zawsze przedstawiano go jako szacownego ojca tradycyjnej rodziny z zasadami. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że jego syn jest homoseksualistą, reporterzy mieliby używanie.

Chris z pewnością zadzwonił do Laddiego i poprosił o pilne spotkanie, gdyż inaczej asystent nigdy nie wyszedłby z biura w środku dnia. Na pewno sądzili, że chwila nieuwagi nie ma żadnego znaczenia. Jak bardzo się mylili!

Paula wróciła do pracowni. Cały czas rozmyślała, jak wykorzystać nowo zdobytą wiedzę. Laddie zniknął na ponad godzinę. Kiedy usłyszała w jego biurze jakiś ruch, zdecydowała się działać. Zapukała do drzwi i weszła.

- Czy wszystko w porządku, Laddie? - zapytała z fałszywą troską.
- Oczywiście, dlaczego miałoby być inaczej? - odparł, ale wyczuła, że nie mówi całej prawdy.
- Zaniepokoiłam się, kiedy zauważyłam, że tak nagle wyszedłeś z biura. A kiedy zdałam sobie sprawę, że to dzwonił Chris i chciał się z tobą natychmiast spotkać, pomyślałam sobie, że masz jakieś kłopoty w życiu prywatnym...

Mówiła szczerym tonem i przybrała zatroskany wyraz twarzy, ale spoglądała na Laddiego ostro i badawczo. Rzecz jasna, ryzykowała, ponieważ nie wiedziała, czy Chris na pewno wywołał go przez telefon, ale kiedy wypowiedziała ostatnie zdanie, odgadła, że się nie myliła. Chłopcęca twarz Laddiego poblądła i teraz malowało się na niej straszliwe przerażenie.

- Och, Laddie! Przepraszam! Czy to jest jakaś tajemnica? - zapytała z symulowanym zakłopotaniem. - Oczywiście zdaję sobie sprawę, że cokolwiek was łączy, musi być utrzymywane w tajemnicy, ze względu na pozycję Chrisa. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, obaj mielibyście

kłopoty. Ale nie martw się. Nikomu nie powiem. Możesz mi zaufać.

Dostrzegła, że na zbiele policzki Laddiego występują czerwone plamy, i znów z rozkoszą poczuła, że ma władzę. Jak on musi się przeklinać za tę chwilę nieostrożności! Teraz już ma go w garści. Laddie więcej się nie ośmieli rozmawiać o niej z Hugonem ani z kimkolwiek innym.

Uśmiechnęła się do siebie. Laddie nigdy się nie dowie, że obiecując dochować tajemnicy, mówiła prawdę. Nie zdradzi jej, ponieważ wtedy straciłaby nad nim kontrolę, a właśnie to dawało taką satysfakcję jak najsilniejszy orgazm.

- Jeśli mogłabym jakoś pomóc, to daj mi znać, dobrze? - oznajmiła słodko.

Kiedy odwróciła się i wyszła, wciąż za nią patrzył przerażony.

Odkrycie, że jest w ciąży, było dla Pauli większym szokiem niż wiadomość z Anglii, że Sally urodziła nieślubnego syna, nie oddała dziecka do adopcji i zamierza sama go wychowywać. Ta nowina zaskoczyła Paulę, ale nią nie wstrząsnęła. Wiadomo przecież, że to te ciche, spokojne dziewczyny wpadają w „kłopoty”, jak określiłaby to matka. Te, które sypiają z wieloma chłopakami, są zbyt doświadczone, żeby wpędzić się w taką sytuację, a jeśli już, to szybko pozbywają się „kłopotu”. To bardzo podobne do Sally, że nie chciała się zgodzić ani na aborcję, ani na adopcję. Kompletna idiotka, zrujnowała sobie życie - pomyślała Paula i natychmiast zapomniała o problemie siostry.

Jednak kiedy lekarz potwierdził, że jest w ciąży, nieopisanie nią to wstrząsnęło. Nie miała zamiaru tak szybko zakładać rodziny - wcale nie była pewna, czy kiedykolwiek to zrobi. Zawsze używała krążka. Z wyjątkiem... tak, pewnego leniwego poranka, w niedzielę, czuła się zbyt ospała, żeby wstać z łóżka i pójść do łazienki. Widocznie ten jedyny raz wystarczył.

Pierwszą reakcją było przerażenie - na wiele miesięcy będzie musiała ograniczyć życie towarzyskie. Zaraz potem zaczęła się martwić o swój wygląd. Jak ciąża wpłynie na ciało? Piersi miała małe, więc nie groziło, że obwisną, ale jeśli stracą jędrność, będą wyglądały jak dwa sadzone jajka.

Była bardzo szczupła, jednak gdy utyje w talii, proporcje figury zostaną zachwiane i zaczną przypominać deskę bez żadnego wcięcia. Obawiała się jeszcze zwiotczonych mięśni brzucha i żyłaków. Wcale nie pocieszał jej fakt, że miliony kobiet znajdują się w tej samej sytuacji i wychodzą z niej bez żadnego niemal uszczerbku. Pauli nie wystarczało, że bez względu na liczbę urodzonych dzieci, zawsze pozostanie atrakcyjną kobietą. Satisfakcjonowała ją tylko absolutna doskonałość. Wiedziała, że kiedy spojrzy w lustro, będzie nienawidziła rosnącego brzucha. Bała się niewygody, porannych niedyspozycji, niestrawności, ociężałych ruchów i wszelkich innych przykrych dolegliwości, które niesie ze sobą ciąża.

Natomiast Hugo, kiedy zakomunikowała mu nowinę, podniecił się jak dziecko czekające na Świętego Mikołaja.

- Nie żartuj ze mnie, Paula - powiedział patrząc na nią z wyrazem twarzy, który zdradzał, że już w połowie jej uwierzył.

- Nie żartuję. Czy mogłabym żartować na taki temat? Ludziom czasami przytrafia się dziecko, szczególnie kiedy kochają się tak często jak my.

- Chyba tak - odparł, wciąż oszołomiony. Z radości nie był w stanie nad sobą panować ani chwili dłużej. Podniósł żonę i zawirował, po pokoju. Równie nagle postawił ją na ziemi, w obawie, że może jej zaszkodzić. - Przepraszam, kochanie, ale to taka cudowna wiadomość.

- Nic nie szkodzi, nie jestem ze szkła - uspokoiła go ze śmiechem. Radość Hugona i jej się udzieliła.

- Musimy to uczcić! Jeden drink ci chyba nie zaszkodzi? - zwrócił się do niej z niepokojem.

- Kieliszek szampana na pewno nie.

- Będę cię teraz rozpieszczał na wszelkie sposoby - powiedział, kiedy już otworzył butelkę i napełnił dwa wysokie kieliszki.

- Dobrze jedzenie, wypoczynek... Oczywiście, natychmiast przestaniesz pracować.

- Zdaje się, że tak - odparła Paula, sącząc szampana. Od czasu, kiedy lekarz potwierdził jej stan, po raz pierwszy czuła się zadowolona.

Ostatnio jedyną przyjemną stroną wizyt w pracowni było obserwowanie, jak bardzo Laddie czuje się skrępowany w jej obecności. Świetnie, że nareszcie zyskała niepodważalną wymówkę, żeby więcej nie pokazywać się w pracy, najwyżej czasami przepłynąć przez salon w jakimś pięknym stroju dla przyszłej matki, których całe mnóstwo na pewno zaprojektuje dla niej Hugo. Jaka szkoda, że najmodniejsze są teraz spódniczki mini - ta długość nie jest zbyt korzystna dla kobiety w ciąży. Jednak Hugo z pewnością wymyśli coś, co będzie i modne, i ładne. Nie wątpiła, że mąż zrobi z niej najpiękniejszą przyszłą matkę w Nowym Jorku.

Może jednak ciąża wcale nie jest taka straszna.

Do czasu urodzenia Harriet Paula jeszcze raz zmieniła zdanie. Na początku miała jednak rację - ciąża jest straszna! W miarę upływu miesięcy z coraz większym niesmakiem patrzyła na swoje ciało. Brzydkie - potwornie brzydkie! Czy kiedykolwiek wróci do dawnego kształtu? A biedna skóra, rozciągnięta jak dziecięcy balonik na rosnącym brzuchu, czy będzie znowu jędrna i gładka? Chociaż dwa razy dziennie wmasowywała w nią olejek migdałowy, nie przestawała się martwić. W dodatku zapach migdałów, który zwykle bardzo lubiła, przyprawiał ją o mdłości. Prawdę mówiąc, każda woń, przyjemna czy nie, wywierała na Paulę ten sam skutek.

- Nie martw się, kochana, trudna ciąża zapowiada lekki poród - pocieszała ją Melanie Shriver, najlepsza przyjaciółka wśród pań, z którymi umawiała się na lunche. Jednak Paula wkrótce miała się przekonać, że to jeszcze jeden babski przesąd, który nie sprawdza się w rzeczywistości.

Poród był długi i trudny. Kiedy w końcu Harriet Bristow Varna z krzykiem pojawiła się na świecie, matka była zbyt wyczerpana, żeby na nią spojrzeć, nie mówiąc już o wzięciu w ramiona. Leżała na łóżku porodowym, wilgotne włosy przyklejały się do woskowobiałej twarzy. Niejasno zdawała sobie sprawę, że wokół dolnej połowy jej ciała uwijają się jacyś ludzie. Czuła tam dziwną lepłą wilgoć i ciepło. Usłyszała, że ktoś wypowiedział słowo „krwotok”, ale wcale się tym nie przeraziła,

tylko ogarnęło ją zniecierpliwienie.

- Proszę leżeć spokojnie. Niech się pani nie rusza - powiedziała zaniepokojona pielęgniarka.

Głupia krowa! Nie mam siły nawet kiwnąć palcem - pomyślała Paula.

Zamieszanie stawało się coraz większe. Słyszała jeszcze więcej głosów.

- Teraz zrobię pani zastrzyk, żeby powstrzymać krwawienie. Igła strzykawki zagłębiła się w żyłę. Pełne niepokoju twarze.

Lepka wilgoć zalewała całe ciało Pauli; czuła ją na ramionach i we włosach. Jednak była zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować.

Wszystko wokół zasnęło się mgłą, twarze pływały w powietrzu, głosy dobiegały gdzieś z oddali.

Nigdy więcej - obiecała sobie Paula, zapadając w miękkie obłoki mgły. Nigdy, nigdy więcej!

Kochanie, obudziłaś się? Ktoś przyszedł cię odwiedzić,

Paula opadła na poduszki i skrycie westchnęła. Od kiedy pozwolono jej wrócić ze szpitala do domu, za odwiedzającymi nie zamykały się drzwi i miała już tego dosyć.

Panie, które poznała na imprezach dobroczynnych i balach różnych fundacji, odwiedzały ją pod pretekstem przynoszenia upominków dla Harriet, ale Paula zgadywała, że niektóre z nich ciekawił nowy dom, a inne chciały się przekonać, jak wygląda młoda matka po tych ciężkich przejściach. Zjawiała się również delegacja z firmy, pod przewodnictwem Maury Hemingway, która przyniosła wielki bukiet kwiatów i kartę z życzeniami, podpisaną przez wszystkich pracowników. Co za hipokryci - pomyślała gorzko Paula.

Najbardziej jednak denerwowały ją matka i siostra Hugona. Nigdy jej nie lubiły, ale teraz najwidoczniej uważały, że mają prawo i obowiązek interesować się żoną Hugona, co Paulę irytowało. Czuła się jak schwytna w pułapkę. Stały nad ozdobioną koronką kołyską, gruchając do dziecka, wygładzając jego kołderkę i zachwycając się, że tak bardzo przypomina babcię Docherty albo ciotkę Sophie.

- Od razu widać, że to nos Dochertych! - triumfalnie stwierdziła

Marta i Paula z trudem się powstrzymała, żeby nie zaprotestować. Nieprawda! To mój nos! Jestem jej matką. Na litość boską, czy nie przyjdzie ci do głowy, że choć trochę jest do mnie podobna!

Marta nie tylko czuwała nad kotyską dziecka, ale również się uparła, żeby siedzieć przy łóżku Pauli jak strażnik, jakby to, że jest babką dziecka, dawało jej prawo nadzorowania jego matki. Nie dawała się wypłoszyć nawet pielęgniarce, którą Hugo zatrudnił do opieki nad „swoimi dziewczętami”, jak nazywał córkę i żonę. Ellie bardzo niepokoiła się, że Paulę zanadto męczy nieustanny korowód odwiedzających.

- Świeżo upieczone matki potrzebują odpoczynku - oświadczyła grzecznie, ale Marty to nie przekonało.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Cztery razy byłam matką. A ty ile masz dzieci, młoda damo? - zapytała z oburzeniem.

Ellie z trudem zachowała spokój.

- W takim razie pani z pewnością wie, jak męczący są tacy goście. Nie chcę, żeby pani Varna znowu dostała wysokiej gorączki. Nie czuje się najlepiej.

Marta głośno pociągnęła nosem, dając do zrozumienia, że uważa takie środki ostrożności za przesadzone.

- Nie jesteśmy gośćmi, tylko rodziną - powiedziała dobitnie.

- Przykro mi, ale doktor zalecił, żeby pani Varna miała absolutny spokój, bo inaczej znów zabierze ją do szpitala. Obawiam się, że musi pani wyjść.

W końcu udało jej się postawić na swoim i Marta z oburzoną miną opuściła pokój. Paula uśmiechnęła się do siebie. Dobrze jest mieć kogoś, kto załatwia takie sprawy, zwłaszcza teraz, kiedy czuje się tak słaba i zmęczona - pomyślała.

Jednak tego wieczora Ellie dostała kilka godzin wychodnego, więc nikt nie protestował, kiedy Hugo oznajmił, że ktoś chce odwiedzić Paulę.

- Och, Hugo, tak źle się czuję. Nie możesz go odesłać? - zapytała.

- To Greg, kochanie - łagodnie powiedział mąż.

Greg. Serce zabiło jej mocniej i nagle całe zmęczenie gdzieś zniknęło.

Nie widziała go od tamtego sierpniowego wieczoru w ogrodzie.

Prosto z Teksasu wyjechał w interesach do Europy, a Paula nawet się z tego ucieszyła, ponieważ wtedy była już w ciąży i nie chciała, żeby Greg oglądał ją w tym niezbyt atrakcyjnym stanie. Chociaż mijały miesiące, nie zapomniała, jak podzielał na nią wspólnik męża. Teraz, kiedy Hugo zapowiedział jego wizytę, wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą, wprawiając Paulę w popłoch.

Nie może jej zobaczyć bez makijażu i z potarganymi włosami! Jednak równocześnie bardzo chciała, żeby przyszedł. Na szyi nerwowo pulsowała jej drobna żyłka, a ręce zaczęły się trząść.

- Witaj, Paula. Moje gratulacje. Jak się czujesz?

Stał w drzwiach, tak samo przystojny jak wtedy, z wielkim bukietem i koszem owoców.

- Całkiem nieźle - odparła, z trudem chwytając oddech. Miała nadzieję, że tego nie zauważył.

- Wyglądasz wspaniale. No, Hugo, stary łobuzie, ani na pięć minut nie mogę cię spuścić z oczu! Kiedy to pierwszy raz zrobiłem, ożeniłeś się, a za drugim zostałeś ojcem!

- Zajęło mi to trochę więcej niż pięć minut - zauważył Hugo z poważną miną. - Nie było cię ponad pół roku.

- Masz rację. W każdym razie, jestem pewien, że gdybym ja został z Paulą sam, zachowałbym się tak samo jak ty. - Spojrzał na nią prowokacyjnie i poczuła, że pałą ją policzki. - To dla ciebie, dla najpiękniejszej matki w Nowym Jorku - powiedział, dając jej kwiaty.

- Dziękuję. Jakie piękne...

Boże, jaka ja jestem głupia - myślała. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna tak na mnie nie działał.

- Zabiorę je, dobrze? - zaproponował Hugo. - Powiem Doris, żeby wstawiła je do wody. Może się czegoś napijemy? Nie sądzisz, że powinniśmy otworzyć butelkę szampana, żeby oblać urodziny dziecka?

- Świetny pomysł - przytaknął Greg. - Wciąż ten sam stary, dobry Hugo. Każda okazja jest dobra, żeby się napić szampana.

- Narodziny naszego pierwszego dziecka to nie była jaka okazja - odezwała się Paula lekkim tonem, kiedy Hugo wyszedł z pokoju. - Nie

chciałbyś zobaczyć Harriet? Śpi, ale... - Wyciągnęła rękę i odchyliła koronkowe zastonki, jednak Greg nawet nie zerknął do kołyski. Kiedy spojrzała na niego pytająco, wciąż jeszcze patrzył na nią, wprawiając Paulę w coraz większe zakłopotanie.

- Wolę oglądać matkę - powiedział niemal bezczelnie. Poczwała, że coś się w niej zaciska i napina.

- Panie Martin...

- Greg - poprawił ją. - Tak, tak. Matki są bardziej interesujące niż dzieci.

Patrzył na nią leniwie, rozbierając ją wzrokiem z białej niewinnej koszulki z jedwabiu. Spoglądał na jej piersi, teraz pełniejsze i bardziej ponętne niż przed ciążą. Paula dostała zastrzyki na powstrzymanie laktacji, ale chyba do końca na nią nie podziałały, bo wciąż czuła, że piersi są ciężkie - i czasem wydobywała się z nich kropelka płynu, plamiąc biały jedwab. Pod spojrzeniem Grega Paula znów się zaczerwieniła i tym razem wiedziała, że rumieniec ogarnia całe jej ciało.

- Wracaj szybko do zdrowia - powiedział tym samym tonem, lekkim i żartobliwym, ale kryjącym podwójną treść. - Tylko czekam, kiedy znowu zaczniesz brać udział w życiu towarzyskim. Dotychczas nie mieliśmy okazji lepiej się poznać. Mam nadzieję, że to nadrobimy tak szybko, jak tylko możliwe.

Nie mogła odpowiedzieć, bo głos uwiązł jej w gardle. Jak on śmie tak się do niej zwracać? W dodatku Hugo jest niemal tuż za ścianą. Ale on przecież nie powiedział nic niestosownego. To tylko spojrzenie i ton głosu nadawały słowom ukryte znaczenie.

- Proszę bardzo! - Hugo pojawił się w pokoju z butelką Moët et Chandon w srebrnym kubełku. - Cały czas trzymam go w lodzie! Co myślisz o moim małym kwiatuszku, Greg? Czy to nie najpiękniejsze dziecko, jakie widziałeś?

- Prawdę mówiąc, jeszcze jej nie obejrzałem - przyznał Greg. Paula znowu odsunęła koronkową zastonkę; miała nadzieję, że udało się jej ukryć podniecenie i zmieszanie. Tym razem Greg zajrzał do kołyski.

Harriet była bez wątpienia pięknym dzieckiem. Paula chyba by nie

zniosta, gdyby dziecko urodziło się brzydkie - czerwone, pomarszczone i tyse. Jednak córka od początku wyglądała ślicznie. Miała gładką twarz aniołka, duże niebieskie oczy i mały nosek. Kształtną główkę pokrywały jasne pasemka jedwabistych włosów.

- Całe szczęście, że nie jest podobna do ciebie, stary - powiedział Greg do przyjaciela. - To wykapana matka. Prawdziwa piękność.

- Cieszę się, że ci się podoba - oświadczył poważnie Hugo. - Wiele o tym myślałem i chciałem cię prosić, żebyś został jej chrzestnym ojcem. - Usłyszał, jak Paula gwałtownie wciąga powietrze, i spojrzał na nią. - Wiem, że o tym nie rozmawialiśmy, kochanie, ale doszedłem do wniosku, że niewiele mielibyśmy do ofiarowania naszemu kwiatuszkowi, gdyby nie Greg, więc tylko do niego mam zaufanie i chciałbym mu powierzyć córkę, gdyby coś mi się stało.

- Hugo, jestem zaszczycony, ale nie powinieneś mi aż tak ufać! - Przeczesał dłonią gęste, ciemne włosy. - Zastanów się jeszcze, stary. Przedyskutuj to z Paulą.

Paula zauważyła, że mąż wprowadził swego przyjaciela w zakłopotanie i ten widok złagodził trochę irytację faktem, że wybrał ojca chrzestnego dla Harriet nie zapytawszy jej o zdanie.

- Ty też to przemyśl - powiedział Hugo, nalewając szampana. - Zdrowie mojej córki! Zdrowie Harriet!

- Zdrowie Harriet! - Greg podniósł kieliszek i dodał: - I zdrowie Pauli!

Ich oczy się spotkały. Dostrzegła w jego wzroku wyzwanie. Serce zaczęło jej mocno bić, a w żołądku poczuła jakiś ucisk. Ogarnęło ją nagłe pożądanie i zaczęła się zastanawiać, jak by to było, gdyby przycisnęła ją do muskularnego ciała, dotknął zmysłowymi ustami i położył szczupłe, smagłe dłonie na jej nabrzmiątych piersiach. Tak bardzo go pragnęła! Całe ciało wyrывało się do niego. Jednocześnie czuła wstyd i upokorzenie, że tak bardzo straciła kontrolę nad własnymi uczuciami.

- Tak, zdrowie Pauli, mojej pięknej żony - zawtórował Hugo, zupełnie nieświadomy jej przewrotnych myśli.

Wiesz, kochanie, już się bałem, że cię straciłem - powiedział Hugo.

Leżał obok Pauli i czule ją obejmował.

Po raz pierwszy wyraził słowami strach, który go przepętnił, kiedy zobaczył żonę po narodzinach Harriet, bladą i wyczerpaną, z zakrzepłą krwią w złocistych włosach i pod paznokciami. Był tak wstrząśnięty tym widokiem, że przerażenie stłumiło nawet dumę z nowo narodzonej córki. Zdał sobie sprawę, że Paula mogła umrzeć i jeszcze nie tak dawno, zanim wynaleziono środki zwiększające krzepliwość krwi, z pewnością straciłby żonę. Życie dosłownie by z niej uszło razem z krwią i pogorszyłaby żalną statystykę - powiększyłaby procent kobiet zmarłych przy porodzie.

Ta myśl była tak straszna, że Hugo natychmiast powziął mocne postanowienie. Nie będzie więcej kusił losu, nie narazi Pauli na takie niebezpieczeństwo dla własnej przyjemności. Gdyby coś jej się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Życie bez niej nie byłoby nic warte.

- Uważam, że nie powinniśmy mieć więcej dzieci - powiedział. Paula poczuła ogromną ulgę.

- Naprawdę nie chcesz mieć więcej? - zapytała udając troskę jak doświadczona aktorka.

- Nie zależy mi na tym - odparł szczerze Hugo. - Mój mały kwiatuszek jest marzeniem każdego ojca. Martwię się o ciebie, kochanie. Wiesz, że jesteś dla mnie wszystkim.

- Tak - wyszeptała i wsunęła mu ręce pod kurtkę jedwabnej piżamy. Była spokojna, ponieważ wiedziała, że jeszcze przez kilka tygodni mąż nie będzie próbował się z nią kochać. - Jesteś dla mnie taki dobry. Wcale na to nie zasługuję.

- Bzdura. To dzięki tobie jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem - szepnął, wtulając twarz w jej włosy. - Nie spodziewałem się nawet, że mogę kogoś tak pokochać. Gdybym cię stracił, nie zniósłbym tego.

Paula leżała bez ruchu.

Hugo bał się o życie żony. Ale nie tylko śmierć mogła mu ją odebrać. W miękkim półmroku Paula obejmowała ramionami męża, ale myślała o Gregu Martinie.



Rozdział dwudziesty drugi

Ze ślicznego niemowlęcia Harriet wyrosła na piękne dziecko. Hugo spędzał z nią każdą wolną chwilę, zabierał na spacerów do Central Parku, czytał książeczki z kolorowymi obrazkami, a czasami sam kąpał dziewczynkę i układał w łóżeczku. Dwie nianie odeszły obrażone, ponieważ, według nich, Hugo za bardzo się wtrącał w wychowanie dziecka, a Paula stała się zazdrosna o to, że mąż zbyt wiele uwagi poświęca swojemu małemu kwiatuszkowi.

Nie wiedziała, że to ich pogarszający się związek sprawia, że Hugo przelewa na córkę całą miłość, której Paula już od męża nie chciała.

Od narodzin Harriet prawie wcale się ze sobą nie kochali. Kiedy dziecko miało sześć tygodni, Hugo podjął pierwszą delikatną, ale pełną namiętności próbę. Jednak Paula leżała w jego ramionach sztywna i zimna.

- Co się stało, kochanie? Jeszcze cię boli? - zapytał głosem ochryłym od tłumionej namiętności.

- Trochę - odparła, wysuwając się z jego objęć. - A poza tym lepiej, żebyś tego nie robił, bo... - Umilkła znacząco.

- Będę uważał, kochanie.

- Wiem, ale... Hugo, ja się boję. Nie chcę znowu zajść w ciążę. Nie zniósłabym tego. I ty też nie. Sam przecież mówiłeś...

- Tak - potwierdził. Ogarnęło go poczucie winy, a pożądanie uleciało jak powietrze z przekłutego balonika.

- Po prostu nie ufam teraz żadnej metodzie antykoncepcji - mówiła dalej Paula, łagodnie, ale stanowczo. - Sam wiesz, co się stało, chociaż używałam krążka. Nic nie jest w stu procentach niezawodne.

- Myślałam, że zaszłaś w ciążę, kiedy nie założyłaś krążka - odezwał się Hugo. - Jestem pewien, że znajdziemy jakiś sposób, pewny przynajmniej w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

- Jak możesz się godzić choćby na najmniejsze ryzyko? - upierała się. - Hugo, a może dałbyś się wysterylizować? Tylko wtedy byłabym całkowicie pewna.

Mimo woli Hugo był trochę zaszokowany. Sam rozważał tę możliwość, ale nie spodziewał się, że Paula ją zaproponuje.

- Kochanie, nad tym trzeba by się poważnie zastanowić.

Powinniśmy to przedyskutować, żeby się upewnić, czy naprawdę jesteśmy na to zdecydowani. Tego nie da się odwrócić, przynajmniej na razie. Lekarze nic nie gwarantują.

- A więc interesowałaś się tym?

- Tak, rozmawiałem z Busterem Hertzem. - Buster był ich lekarzem, wesołym piwoszem z szóstką dzieci, który nie pochwalił pomysłu

Hugona. „Człowieku, dlaczego chcesz to zrobić? Masz dopiero jedno dziecko! - zawołał. - Kiedy będziesz miał sześcioro, jak ja, to dopiero o tym porozmawiamy”.

- Co powiedział? - zapytała niecierpliwie Paula.

Hugo zawahał się. Uznał, że nie jest to odpowiednia chwila na przekazanie następnej opinii Bustera, który stwierdził, że chociaż Paula przeżyła ciężkie chwile, jest młodą, zdrową kobietą i wkrótce zapomni o tych przejściach.

- Buster był temu przeciwny. Uważa, że w naszej sytuacji takie wyjście nie powinno być brane w rachubę.

- Dlaczego nie? Przecież oboje doszliśmy do wniosku, że nie chcemy mieć więcej dzieci.

- Wiem, ale zawsze istnieje możliwość, że zmienimy zdanie. Buster powiedział, że następnym razem nie będziesz miała takich kłopotów.

- Buster powiedział! A co on może o tym wiedzieć? To przecież nie on cierpi przy porodzie, więc nie ma o niczym pojęcia. Inaczej nie narażałby swojej żony na takie męki aż sześć razy.

- Nie twierdzę, że powinniśmy mieć drugie dziecko, tylko że nie możemy pozbawiać się takiej możliwości. A gdyby coś przydarzyło się Harriet... Broń Boże, ale...

- Z Harriet nic się nie stanie - odcięła ostro Paula. - To zdrowe dziecko. Jak coś takiego mogło ci nawet przyjść do głowy?

- Wiem, że to straszna myśl - zgodził się Hugo. - Ale przypuśćmy, że coś by się jej stało, a ja dałbym się zoperować? Kochanie, musimy to przemyśleć, upewnić się, że wiemy, co robimy.

- Ja jestem pewna! - oświadczyła stanowczo. - Myślałam, że ty też, ale zdaje się, że bardziej zależy ci na własnej męskości niż na moim zdrowiu. Cóż, cokolwiek zdecydujesz, ja nie mam zamiaru narażać się na takie ryzyko. Uważam, że dopóki nie podejmieni jakiejś decyzji, powinniśmy mieć osobne sypialnie.

- Nie wydaje ci się, że to dość drastyczna decyzja? - zapytał wstrząśnięty.

- Nie. To całkiem rozsądne. Wiele par małżeńskich sypia w

osobnych pokojach, a my mamy taki wielki dom. - Pauli coraz bardziej podobało się takie wyjście. - Prawdę mówiąc, bardzo bym chciała mieć własny pokój, tylko dla siebie. Jestem pewna, że tobie również by to odpowiadało. Pomyśl, jakie to by było dla ciebie wygodne, kiedy masz dużo pracy. Gdyby jakiś pomysł przyszedł ci do głowy w środku nocy, mógłbyś natychmiast wyskoczyć z łóżka, zanim o nim zapomnisz, i nie martwić się, że mnie obudzisz.

Hugo miał ochotę powiedzieć, że jedynym pomysłem, jaki przychodzi mu do głowy w środku nocy, to kochać się z żoną.

- Sądzę, że powinniśmy to zrobić - stwierdziła stanowczo. - To bardzo cywilizowane wyjście.

- Porozmawiamy o tym innym razem - zaproponował Hugo, w nadziei, że kiedy Paula odzyska siły, zapomni o tej niedorzecznej propozycji. Buster Hertz ostrzegał go przed depresją poporodową. „To wszystko przez te hormony - oświadczył pogodnie. - Całkiem wytrącają kobietę z równowagi. Przez nie zachowuje się zupełnie inaczej niż zwykle. Ale nie martw się, to minie”.

Leżąc obok Pauli, czując ciepło jej ciała, Hugo pocieszał się, że Buster na pewno ma rację, i Paula wkrótce zrezygnuje z tego absurdalnego pomysłu. Ale się mylił. Pewnego dnia wrócił z pracowni i zastał ją pogrążoną w rozmowie z dekoratorką wnętrz. Dyskutowały o tym, jak zamienić część pierwszego piętra w osobny apartament. Hugo rozżłościł się, że Paula podjęła taką decyzję nie pytając go o zdanie, ale uznał, że nic nie zyska robiąc żonie awanturę na oczach obcej kobiety. Wyszedłby na idiotę, a Paula... Cóż, może lepiej jej ulec i przeczekać, jak sugerował Buster. Może dzięki temu szybciej wróci do normalnego stanu.

Jednak znowu spotkał go zawód. Kiedy pokoje były już gotowe, Paula wprowadziła się do nich bez najmniejszego żalu. Szczerze mówiąc, Hugo nie odnosił się już do tego pomysłu z wielką niechęcią, ponieważ ostatnio towarzystwo Pauli straciło dla niego urok.

Nie był pewien, na czym polega zmiana, wiedział tylko, że żona stała się inną osobą. Zawsze zachowywała się chłodno i powściągliwie. Ukrywała prawdziwe uczucia pod lodowatą powłoką wyniosłych, istic

królewskich manier. Jednak teraz wyczuwał w tym coś głębszego. Czasami wydawało się, że Paula odrywa się od rzeczywistości. Odchodziła gdzieś daleko w głąb siebie, gdzie nie mógł do niej dotrzeć. Oczy miała wtedy szkliste i nieobecne, jakby patrzyła na coś, czego inni nie widzą. Niekiedy robiła wrażenie załamanej. Raz znalazł ją całą we łzach i nie potrafiła - a może nie chciała - wytłumaczyć mu, co się stało. Często też zdarzało jej się robić z igły widły, jak powiedziałyby matka Hugona. Chociaż zupełnie nie miała do tego podstaw, twierdziła, że ludzie ją lekceważą, i to ją denerwowało.

Pierwszy raz to zauważył, kiedy pewnego dnia przyprowadziła Harriet do salonu. Miał dużo pracy, więc musiał na chwilę zostawić żonę i pójść do biura. Kiedy wrócił, już wyszła. - Co się stało, kochanie? - zapytał po powrocie do domu.

Paula wzruszyła ramionami.

- Nie miałam ochoty tam zostać. Pracownicy nigdy mnie nie lubili, wiesz o tym dobrze, ale dzisiaj zachowywali się gorzej niż zwykle. Wszyscy o mnie mówili. Spoglądali na mnie ukradkiem i coś szeptali. Bardzo źle się tam czułam.

- Może po prostu zachwycali się Harriet - odparł zaskoczony Hugo. Pauli nigdy nie obchodziło, co inni o niej myślą.

Zauważył też, jak często narzeka, że zostawia ją samą w domu.

- Ciągle pracujesz. Dlaczego musisz tak późno wracać do domu? - pytała zirytowana.

- Kochanie, wiesz dobrze, jak wygląda moja praca. Czasami wszystko wali mi się na głowę.

- A kiedy już zdarzy ci się wrócić wcześniej, to idziesz odwiedzić swoją matkę.

- Starzeje się i ostatnio podupadła na zdrowiu. Chcę się z nią spotykać, kiedy mam możliwość. W końcu nie robię tego tak często! Zawsze możesz iść do niej razem ze mną.

Paula skrzywiła się.

- I miałabym wysłuchiwać jej pouczeń na temat wychowania dziecka? Nie, dziękuję. Twoja matka mnie nienawidzi. Ciągle mnie

krytykuje i wiem, że obgaduje mnie za plecami.

- Obgaduje cię? Co chcesz powiedzieć?

- Słyszałam, jak wygadywała różne rzeczy. Nie wiem, jak możesz tego nie zauważać. To stara, niedobra kobieta.

- Mimo wszystko jest moją matką i zamierzam spędzać z nią kilka godzin tygodniowo, dopóki jeszcze mogę - oznajmił Hugo twardym głosem.

Paula wydeła wargi.

- Chyba już mnie nie kochasz.

- Zaczynasz opowiadać głupstwa - odparł zniecierpliwiony.

- O, widzisz? Już się na mnie gniewasz. - Łzy załśniły w oczach Pauli.

- Nie wiem, co w ciebie wstąpiło. Mówisz, że chcesz, żebym wcześniej wracał do domu, ale kiedy już tu jestem, wcale się z tego nie cieszysz. Masz wszystko, o czym kobieta może zamarzyć, i nie wiem, co jeszcze miałbym zrobić, żeby cię uszczęśliwić. Prawdę mówiąc, chyba sama nie wiesz, czego chcesz.

- Chcę, żeby przestali o mnie mówić.

- Kto?

- Wszyscy.

Zauważył, że Paula znowu pogrąża się w mroczne milczenie, i wziął ją w ramiona.

- Kochanie, musisz się z tego otrząsnąć. Chcesz, żebym załatwił ci wizytę u psychoanalityka? Może gdybyś z kimś porozmawiała...

- Nie! Nie chcę! Nic mi nie jest!

Mimo protestów wyglądała na zagubioną i wystraszoną. Hugo postanowił porozmawiać o tym z Busterem.

Objął żonę i pocałował. Paula nie opierała się, ale kiedy na nią spojrzął, zauważył, że patrzy pustym, cierpiącym wzrokiem na jakiś punkt ponad jego ramieniem.

- Och, Paula! - Znowu ją pocałował. Zaczął ją rozbierać, żeby rozproszyć przygnębienie żony fizyczną czułością. Nie protestowała, ale upłynęło dużo czasu, zanim zareagowała na dotyk Hugona. Nie chcąc dopuścić, żeby znowu pogrążyła się w otchłani smutku, całował jej ciało,

posuwając się w dół, aż dotarł do najbardziej sekretnego miejsca. Zawsze to lubiła, pewnie dlatego, że w ten sposób nie groziło jej zajście w ciążę. Kiedy dotykał językiem miękkich fałdek, zauważył, że Paula zaczyna się rytmicznie poruszać. Kurczowo chwyciła go palcami za włosy. Pieścił ją delikatnie i wkrótce poczuł, że mięśnie na brzuchu i udach Pauli napięły się w gwałtownym skurczu. Nie myślał teraz o własnym pożądaniu, pragnął tylko sprawić żonie przyjemność, dać jej odczuć, jak bardzo ją kocha. Gdy podniecenie Pauli wzrosło, energiczniej poruszał językiem aż w końcu, napięta jak struna, doszła do szczytu.

Kiedy przestała drżeć i wyciszyła się, ogarnęło go poczucie ciepła i zadowolenia. Przysunął się do niej, chcąc teraz zaspokoić własne pragnienie rozkoszy, ale ona chwyciła go za ramiona i odepchnęła.

- Hugo, nie! Nie założyłam krążka...

Chciał powiedzieć, żeby zrobiła dla niego to, co przed chwilą zrobił dla niej, ale nie potrafił. Nie umiał prosić jej o to, czego nigdy nie robiła, tak samo jak nie mógł narzucać się Pauli, kiedy go odpychała, bez względu na to, jak bardzo jej pragnął. W tej chwili gotów był oddać życie, żeby tylko zaczęła pieścić go ustami. Jednak Paula, zawsze taka chłodna i wymagająca, chętnie dla rozkoszy przyjmowała miłość oralną, ale nigdy nie chciała zrewanżować się tym samym. W czasach, kiedy kochali się bez żadnych ograniczeń, nie miało to dla niego znaczenia. Dzisiejszej nocy sytuacja była inna. Miał ochotę szlochać z zawodu i poczucia samotności, ale nawet teraz troska o żonę przyćmiła własne potrzeby. Odsunął się od żony, a kiedy opanował się na tyle, żeby na nią spojrzeć, z przerażeniem zobaczył, że znowu pustym wzrokiem patrzy w przestrzeń.

Po raz pierwszy ogarnęła go złość na Paulę. Niezaspokojona potrzeba zmieniła się w zniecierpliwienie. Miał ochotę zapytać, co się, u diabła, z nią dzieje. Jednak tylko gwałtownie wstał, czując, jak opuszczają go resztki podniecenia. Kiedy wychodził z pokoju, Paula z rozwartymi szeroko oczami leżała bez ruchu, jakby w hipnotycznym transie.

Zagubiony, nieszczęśliwy i zniechęcony Hugo zaczął coraz więcej czasu spędzać z Harriet, przelewając na nią całą miłość, którą Paula

odrzuciła. Uwielbiał córeczkę i prawie nie mógł uwierzyć, że jest ojcem takiego cudownego dziecka. Lubił się z nią bawić. Podrzucał dziewczynkę w górę, aż wybuchiała radosnym śmiechem. W długie, ciepłe wieczory zabierał ją do Central Parku, chociaż niania narzekała, że burzy ustalony rozkład dnia dziecka. Z przyjemnością oprowadzał córkę po mieście, chociaż była za mała, żeby cokolwiek z tego zrozumieć i zapamiętać. To Hugo był przy niej, kiedy pulchnymi nóżkami stawiała pierwsze kroki; wyciągał ramiona, żeby uchronić ją przed upadkiem i podrzucał wysoko, kiedy wreszcie do niego doszła. To on przez niemal godzinę namawiał ją, żeby powtórzyła swoje pierwsze zrozumiałe słowo - „hau-hau”. Niania usłyszała, że dziewczynka tak nazwała wielkiego puszystego psa, z którym najchętniej zasypiała. I to właśnie Hugo czytał Harriet wieczorami książeczki, kiedy tylko wrócił z pracy wystarczająco wcześnie. Nie znosił wieczorów, gdy zbyt późno przychodził do domu i kotary z pokoju dzieciennym były już zaciągnięte, a córeczka leżała w łóżeczku, oświetlonym jedynie małą nocną lampką w kształcie elfa stojącego pod muchomorem, tak że z trudem odnajdował drogę. Cieszyło go jednak, że mała zwykle jeszcze nie spała, ale gdy tylko się nad nią pochylił, ucałował ją, wygładził kołderkę i pogłaskał córkę po jasnych, miękkich włosach, paluszek dziewczynki natychmiast wędrował do buzi, powieki opadały i po chwili Harriet zasypiała, oddychając spokojnie. Wydawało mu się wtedy, że córka czeka na jego powrót do domu.

W takich chwilach wypełniała go ogromna miłość, zalewająca wszystko jak wielka oceaniczna fala i słodka jak najpiękniejsza muzyka. Siadał w półmroku i zastanawiał się, jak to możliwe, że taka mała istotka wzbudza w nim tyle emocji.

Czasami pragnął, żeby żona siedziała tu razem z nim, dzieląc te wspaniałe chwile, ale powtarzał sobie, że w życiu nie można mieć wszystkiego. Paula nie miała zbyt rozwiniętych uczuć macierzyńskich i nie należało oczekiwać, że się zmieni tylko po to, żeby spełnić oczekiwania męża. I tak miał więcej niż wielu mężczyzn, i to z pewnością wiele więcej, niż mu się należało.

Powtarzał sobie, że nie wolno żądać od życia zbyt wiele, żeby nie kusić losu. Dziękował opatrności za to, co zdobył, i starał się zapomnieć, że Paula nie jest taką żoną i matką, jaką sobie wymarzył.

Gdyby Hugo wiedział, jakie myśli kłębią się w głowie żony, nie wykazałby tyle cierpliwości, bowiem Paulę dręczyła jedna obsesja, która opanowała jej ciało i duszę, a tą obsesją był Greg Martin.

Wciąż się zapytywała, co w nim takiego jest, że tak na nią podziałał. Owszem, był przystojny, ale знаła już wielu przystojnych mężczyzn i nigdy nie doświadczyła takiej burzy uczuć, jaka ją ogarniała, kiedy znalazła się w jednym pomieszczeniu z Gregiem. Kiedy na nią patrzył tym głębokim, zniewalającym spojrzeniem, coś ją ścisnęło w żołądku. Gdy jej dotykał, całował na powitanie o ułamek sekundy dłużej, niż było to konieczne, gdy prowadził ją w tańcu na jakimś przyjęciu, czuła że całe ciało wyrywa się do niego, jakby był potężnym magnesem, a ona najdrobniejszym opiłkiem metalu. Kiedyś wyszeptał jej do ucha, że go fascynuje, a ona aż zadrżała z podniecenia. Jednak potem cały wieczór nie zwracał na nią uwagi, zajmując się pięknoscią z Teksasu, z którą stale go teraz widywano, więc doszła do wniosku, że tamte słowa były tylko wytworem rozgorączkowanej wyobraźni.

Czasami miała wrażenie, że Greg śmieje się z niej, lub może z nich obojga, z przyjemnością kusi ją i prowokuje, żeby zrobiła z siebie idiotkę. Taka huśtawka emocjonalna była dla niej bardzo wyczerpująca, wprawiała na przemian w uniesienie i rozpacz, pożądanie i przygnębienie. Nigdy nie była pewna, czego się po nim - i po sobie - spodziewać, ale przez to tylko jeszcze bardziej go pożądała. Jeszcze nigdy w życiu niczego ani nikogo tak mocno nie pragnęła.

Kiedy nachodziła ją tęsknota za Gregiem, zamykała się w sobie i nie chciała z nikim rozmawiać, nawet z Hugonem i z Harriet, ponieważ rozmowa przerywała tylko tok myśli. Paula wiedziała, że obok niej istnieje realny świat, ale miała dziwaczne wrażenie, że ona do niego nie należy.

Czasami Pauli zdawało się, że ten świat niebezpiecznie ją przygniata, a ludzie jej zagrażają. Wiedziała, że nigdy nie była lubiana, ale dawniej

nie przywiązywała do tego wagi. Jeśli ktoś nie akceptował jej osoby lub tego, co robi, to już był jego problem - tak zwykła to określać. Teraz krytyczne uwagi innych osaczały ją i czasami miała wrażenie, że ludzie szepczą o niej za plecami. Te głosy wytrącały ją z równowagi i miała ochotę kazać im zamilknąć, ale tylko zapadała coraz głębiej w jakieś tajne miejsce wewnątrz siebie i pozostawała tam całymi godzinami. Niekiedy bardzo się jej tam podobało, jak w jakiejś cudownej krainie, a czasami czuła się samotna, zagubiona i przybita. Chwilami wydawało się, że ściany zaczynają się przesuwac i zamykają ją w pułapce. Zawsze udawało jej się wyswobodzić i wtedy przez kilka dni znowu była sobą. Jednak nieustannie myślała o Gregu. Zawsze o nim pamiętała. Cokolwiek robiła, stale zadawała sobie te same pytania. Kiedy go znowu zobaczy? Jak się wobec niej zachowa? Tak, Paulę niewątpliwie dręczyła obsesja.

Gary miał przyjechać do Nowego Jorku z kilkudniową wizytą i po raz pierwszy od wielu miesięcy Paula była w stanie myśleć o kimś innym niż Greg.

Nie mogła się doczekać spotkania z Garym. Brakowało jej przyjaźni i uwielbienia, jakim ją otaczał. Ciekawa też była najnowszych plotek z Anglii.

- Musimy wydać dla niego przyjęcie - oświadczyła mężowi. Zdała sobie sprawę, że wizyta Gary'ego przyniesie jej jeszcze jedną korzyść - będzie mogła zaprosić Grega.

- Świetny pomysł. Przygotuj wszystko - zgodził się Hugo, zadowolony, że Paula czymś się żywiej zainteresowała. - Tylko nie zapraszaj zbyt wielu gości. Dwudziestu chyba wystarczy? Nie mam ochoty na wielkie przyjęcie. To takie męczące i nigdy nie ma czasu, żeby z kimś porozmawiać dłużej niż pięć minut.

- Zobaczymy, zobaczymy... - odparła uradowana Paula. - Pomyślałam, że należałoby zaprosić znanych projektantów - Oscara, Billa Blassa i Johna Fairchilda...

- No i oczywiście Grega.

- Naturalnie! Co to by było za przyjęcie bez Grega!

- I Laddiego. Nie zapomnij o Laddiem. Paula zacisnęła usta.
- Czy to konieczne?
- Jest moim asystentem, a poza tym wydaje mi się, że Gary chciałby go poznać.

Paula pociągnęła nosem. Nie chciała widzieć Laddiego w swoim domu, ale nie znalazła sposobu, żeby tego uniknąć. Jednak myśl, że na przyjęciu spotka jednocześnie Grega i Gary'ego nie pozwalała jej długo się dąsać.

Rzuciła się w wir przygotowań i Hugo z radością obserwował zmianę jej nastroju. Od dawna nie widział żony tak szczęśliwej.

W dzień przyjęcia Gary wygospodarował wolną chwilę i umówił się z Paulą na lunch. Długo siedzieli w restauracji, wymieniając plotki i opowiadając o sobie. Dom Mody Oliver dobrze się rozwijał. Do jego klientek należało teraz wiele znanych kobiet, nie wspominając już o pewnej damie z bocznej gałęzi rodziny królewskiej.

- To wspaniale. Duma mnie ogarnia, kiedy pomyślę, że i ja mam udział w twoim sukcesie - powiedziała Paula z łobuzerskim uśmiechem, a Gary, serdeczny i naiwny jak zwykle, z zapałem przytaknął.

- O tak, bardzo mi pomogłaś w najcięższych chwilach. Szkoda, że już dla mnie nie pracujesz... Ale jesteś szczęśliwa, prawda? Nie żałujesz, że wyszłaś za Hugona i wyjechałaś do Stanów?

- Nie! - odparła Paula i w tej chwili nie kłamała. - Muszę już wracać i pilnować, żeby wszystko było gotowe na dzisiejsze przyjęcie. Ty pewnie też masz jakieś pilne spotkanie.

Wróciła do domu w świetnym humorze. Nuciała pod nosem układając kwiaty w wazonach i sprawdzając plan rozmieszczenia gości przy stole - Gary po jej prawej ręce, żeby mogła z nim rozmawiać, a Greg naprzeciwko, skąd będzie ją dobrze widział. Pomyślała, że zapowiada się udane przyjęcie, chociaż mimo zastrzeżeń męża zaprosiła ponad dwadzieścia osób. Dobry nastrój Pauli nie trwał długo.

- Obawiam się, że Greg nie przyjdzie - oznajmił Hugo, kiedy przyjechał do domu z pracowni.

Rozczarowanie Pauli nie miało granic.

- O, nie! Dlaczego?

- Mówi, że interesy mu na to nie pozwolą, ale znając Grega, podejrzewam, że chodzi tu o jakąś kobietę. Nie wiem, jak on to wytrzymuje... - Potrząsnął głową i prychnął rozbawiony.

Przez ponad godzinę, kąpiąc się i ubierając, Paula balansowała na granicy tej tajemniczej, ponurej krainy, która czasem ją wchłaniała. Greg nie tylko się nie zjawił, ale, co gorsza, spędził wieczór z inną kobietą. Ta myśl tak ją dręczyła, że Paula chciała odwołać przyjęcie i po prostu zostać sama. Na to było jednak za późno, a poza tym czuła się zobowiązana wobec Gary'ego. Kiedy nadeszli goście, żaden z nich nie odgadł, że za pogodną miną i ożywieniem Pauli kryje się czarna depresja. Żartowała i śmiała się przy wyśmienitej kolacji, jasna i skrzęcała się dowcipem jak lód na sadzawce w promieniach chłodnego, styczniowego słońca. Jedynie Hugo, który dobrze znał nastroje żony, i niezwykle spostrzegawczy Gary, zdawali sobie sprawę, że to tylko pozory.

- Co się stało? - zapytał Gary, odwoławszy ją na bok, kiedy krążyła wśród gości, starając się sprawiać wrażenie wzorowej pani domu. - Podczas lunchu byłaś naprawdę szczęśliwa, a teraz...

- Teraz też jestem szczęśliwa.

- Nie. Wyglądasz na szczęśliwą, ale to tylko gra. Nie oszukasz mnie. Zbyt dobrze cię znam.

- W takim razie powinieneś też wiedzieć, że są takie chwile, kiedy nie należy zadawać żadnych pytań - odcięła ostro. - Proszę cię, Gary. Kiedyś wszystko ci wyjaśnię, ale nie teraz. Dobrze?

- Dobrze. Jeśli jutro będziesz chciała porozmawiać, wiesz gdzie mnie znaleźć.

Z wdzięcznością ścisnęła ramię Gary'ego. Jaki z niego wspaniały przyjaciel! Tak bardzo jej go brakowało! Może gdyby częściej przyjeżdżał do Nowego Jorku, lepiej by sobie dawała ze wszystkim radę.

Dopiero po dłuższym czasie Paula zauważyła, że Gary dużo uwagi poświęca Laddiemu. Z początku mówiła sobie, że tylko jej się tak zdaje, ale w miarę upływu wieczoru straciła wszelkie wątpliwości. Coś się

między nimi zaczynało.

Krążąc po salonie, ukradkiem ich obserwowała. Niepokój Pauli wzrósł, kiedy zobaczyła, że wychodzą razem na taras. Dotąd udawało jej się trzymać nerwy na wodzy, ale tego było już za wiele. Jak Laddie śmie uwodzić jej najlepszego przyjaciela na jej przyjęciu! Ten wstrętny, podstępny człowiek nie zadowolił się sekretnym romansiem z połową od siebie młodszym chłopcem i teraz zastawiał sidła na Gary'ego. Czuła się zdradzona. Uznała, że Laddie robi jej na złość, i zatrzęsała się z gniewu.

Przez chwilę wyobrażała sobie, jak podchodzi do asystenta męża i przy wszystkich wygarnia mu, co sądzi o nim i o jego zachowaniu. Taki plan był bardzo kuszący, ale silny instynkt samozachowawczy nie pozwolił Pauli wprowadzić go w życie.

Gdyby to zrobiła, byłaby skończona towarzyszko. Nie ocalałaby jej nawet pozycja męża. Nie, jeśli chce się zemścić na Laddiem za ten afront, musi zadziałać subtelniej. Dobrze wiedziała, co zrobić.

Nie zauważona przez nikogo wymknęła się na górę. W sypialni wyjęła mały czarny notes i przerzuciła kartki. Znalazła wreszcie numer, którego szukała. Zachary Rhodes był wścibskim reporterem, który uwielbiał pieprzne historie. Spotkała go kilka razy i wcale się jej nie spodobał, chociaż robił wszystko, żeby się Pauli przypochlebić. Jednak zapisała sobie telefon Rhodesa, jakby wiedziała, że któregoś dnia bardzo jej się przyda.

Usadowiła się w wiklinowym fotelu, wyłożonym aksamitnymi poduszkami, wypita łyk szampana i podniosła słuchawkę.

- Zachary? - odezwała się, kiedy odebrał telefon. - Wiem o czymś, co może cię zainteresować. Pewien homoseksualista, znany w świecie mody, ma romans z chłopakiem, którego ojciec jest bardzo wysoko postawiony.

Przez chwilę trwała cisza.

- Kto mówi? - odezwał się w końcu Zachary.

- O, nie - odparła miękko Paula. - To chyba nieważne, prawda?

Powinny cię interesować tylko nazwiska tych dwóch, o których ci wspomniałam. A oto i one...

Kiedy skończyła, z błyszczącymi oczami odłożyła słuchawkę. Nie musiała już więcej pić, i tak wesoło szumiło jej w głowie.

To prawda, że sekret nie należał już tylko do niej, ale zyskała tak wspaniałe poczucie władzy! Och, Laddie! Będziesz żałował, że mi się naraziłeś i chciałeś uwieść mojego przyjaciela - myślała z maniackim błyskiem w oku.

Zdawało jej się, że zemściła się nie tylko na Laddiem, ale na wszystkich, którzy ją kiedykolwiek zranili - a zwłaszcza na Gregu.

Nazajutrz w gazecie nie było żadnej wiadomości o Laddiem i synu senatora. Następnego dnia też nie, więc chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał Pauli, że Zachary musi sprawdzić wiadomość, zanim ją opublikuje, to czuła się zawiedziona. Co za okropne rozczarowanie rozkładać co rano gazetę i nie znajdować tam interesującej jej sensacji ani nie słyszeć żadnej wstrząsającej nowiny od powracającego z pracy męża. Po tygodniu oczekiwania Paula znów zaczęła popadać w depresję, co bardzo zmartwiło Hugona.

- Słuchaj, Buster, Paula wcale nie czuje się lepiej. Ta depresja poporodowa ciągle nie chce minąć - powiadomił lekarza przy pierwszym spotkaniu.

Buster wyglądał na zaskoczonego.

- W zeszłym tygodniu na przyjęciu wyglądała bardzo dobrze.
- Wiem. Ale to tylko pozory. Martwię się o nią.
- Sądzę, że z tego wyjdzie - pocieszał go Buster. - Ale jeśli chcesz, mogę jej załatwić wizytę u psychoanalityka.

- Paula się na to nie zgodzi. Wściekła się, kiedy jej to zaproponowałem.

- Anglicy nie ufają psychoanalitykom. Wiem o tym. No cóż, musisz uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż sama da sobie z tym radę. Nie martw się! Po prostu nie znasz kobiet, i tyle!

Jednak Hugo nie mógł przestać się zamartwiać. Busterowi łatwo było lekceważyć depresję Pauli - nie widział jej, kiedy zapadała w przygnębienie.

Hugo siedział za biurkiem, obracając ołówek w palcach i myślał o

Pauli, zamiast projektować nową kolekcję. W końcu, jak pomysł na niespotykane śmiałą kreację, nagle przyszło natchnienie.

Poprosi Sally, żeby przyjechała do Stanów na wakacje. Przecież Paula tak się ucieszyła ze spotkania z Garym. Może bliskość siostry pomoże jej wydobyć się z kryzysu.



Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy tylko Sally potwierdziła, że przyleci na miesiąc do Stanów, Hugo wynajął letni dom na Long Island. Lipiec w Nowym Jorku zawsze jest gorący i duszny, więc dziewczęta lepiej wypoczną na pięknych, piaszczystych plażach i wysepkach południowego wybrzeża, gdzie łagodne fale oceanu wpływają do zatok i liżą słoneczne wydmy. Dom, który dla nich wynalazł, znajdował się w Shinnecock Bay.

Była to niewielka, kryta gontem rezydencja z ogrodem różanym i trawnikiem do krokieta, niedaleko klubu tenisowego. Wygodne pokoje z łatwością pomieszczą obie siostry, dzieci i służbę, która z nimi pojedzie.

Zaletą domu było również to, że znajdował się dość blisko i Hugo będzie mógł przyjeżdżać do rodziny na weekend, a czasami, jeśli praca na to pozwoli, również na późną kolację. Uważał to za bardzo ważne; nie zniósłby myśli, że na cały miesiąc miałby się rozdzielić z Harriet. Córka właśnie skończyła rok i zmieniała się z każdym dniem. Tylko z tego powodu odrzucił propozycję Grega, który zaprosił Paulę i Harriet na rejs swoim nowo nabytym jachtem, który stał zakotwiczony we Włoszech, w Palermo. Hugo był tak zajęty, że nie mógłby z nimi jechać. Nie powiedział Pauli o zaproszeniu Grega. Przeczynał, że dowiedziawszy się o utraczonej okazji, wpadłaby w jedną ze swoich depresji. W przyszłości jeszcze nie raz nadarzy się podobna sposobność. Może kiedyś, kiedy Paula wróci do pełnej formy, wszyscy troje wybiorą się w rejs. Taki pomysł spodobał się Hugonowi. Odezwała się w nim żeglarska krew ojca.

Kiedy Sally przybyła do Ameryki, razem z Paulą i dziećmi pojechała do Shinnecock Bay. Hugo proponował, że weźmie wolny dzień i będzie im towarzyszył, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku, ale Sally, kiedy rozmawiał z nią o tym na lotnisku Kennedy'ego, zapewniła, że nie ma takiej potrzeby.

- Twój czas jest zbyt cenny, Hugo. Świetnie damy sobie radę.
- Ale Paula nie jest taka jak dawniej. Martwię się o nią. Dlatego właśnie namówiłem ją, żeby nie wyjeżdżała po ciebie na lotnisko. Chciałem porozmawiać z tobą sam na sam. Paula miewa dziwne nastroje i wtedy trudno się z nią porozumieć. Sama się o tym przekonasz, ale chciałem cię uprzedzić. Buster Hertz, nasz lekarz, uważa, że to opóźniona reakcja po porodzie, ale przecież do tej pory już powinno jej to minąć, prawda?

Sally, która po urodzeniu Marka przeżyła ciężkie chwile załamania, kiedy samotnie walczyła z przeciwnościami losu, zadumała się.

- Chyba masz rację, ale kto wie? Jestem pewna, że miesiąc

zupelnego relaksu i siostrzanych pogawędek bardzo jej pomoże.

Przestań się martwić, Hugo. Zaopiekuję się Paulą.

Hugo skinął głową, zadowolony, że znalazł kogoś, komu może się zwierzyć ze swoich trosk. Przecież Sally jest siostrą Pauli. Zerknął na nią ukradkiem. Siedziała obok niego w wielkiej limuzynie. Wyglądała bardzo ładnie. Dwa lata temu w Londynie był zbyt zafascynowany Paulą, żeby zwracać na nią uwagę, ale zapamiętał ją jako niezdarną młodą dziewczynę, przypominającą wyrosniętego szczeniaka. Teraz była starsza i szczuplejsza, a na twarzy przybyło jej kilka drobnych zmarszczek wywołanych troskami. Emanowała z niej większa niż przedtem ufność we własne siły i to czyniło ją atrakcyjniejszą. W prostej sukni z różowego lnu wyglądała elegancko i świeżo, mimo długiego lotu. Nie wątpił, że Sally da sobie radę z Paulą. Ta myśl dodała mu otuchy.

Paula prawie tak samo ucieszyła się z przybycia siostry jak na widok Gary'ego. Sally zawsze poprawiała jej humor, może dlatego, że zawsze była świadkiem sukcesów Pauli, a Paula lubiła mieć publiczność. Siostry uściskały się na powitanie, a potem Sally przedstawiła Marka, który wstydliwie skrył się za matką.

- To jest twój siostrzeniec. Mark, powiedz dzień dobry cioci Pauli.
- ... dobry - przywitał się posłusznie chłopiec.

Był dużym dzieckiem z jasnymi lokami i twarzączką niemal zbyt ładną jak na chłopca. Pewnie z wiekiem włosy mu pociemnieją i krągłe policzki staną się szczuplejsze, ale tymczasem przypominał botticellovskiego aniołka, kiedy tak stał ubrany w jasnoniebieskie spodenki, pasiasty sweterek, białe skarpetki i wygodne sandały zapinane na guzik.

- Och, Sally! Jaki on duży! - wykrzyknęła Paula. - Dopiero jak na niego patrzę, uświadamiam sobie, ile to czasu minęło. Dlaczego wcześniej nas nie odwiedziłaś?

Sally uśmiechnęła się ponuro. Dotychczas nie zauważyła w Pauli żadnej zmiany. Zachowywała się dokładnie tak samo jak dawniej - myślała tylko o sobie.

- Nie miałam pieniędzy na podróżę przez Atlantyk. Pewnie trudno ci w to uwierzyć, bo żyjesz tu w luksusie, ale ja z trudnością wiązę koniec z

końcem.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś - zdziwiła się siostra. -
Wystałabym ci pieniądze.

- Nie uznaję żebrania - odparła cierpko Sally. - W każdym razie ty mogłaś się wybrać do Londynu. Samoloty latają w obie strony. Ojciec i matka też ucieszyliby się na twój widok.

Oczy Pauli na chwilę spochmurniały, jakby znów zapadła w depresję, ale po chwili uśmiechnęła się.

- Jestem bardzo zajęta. Jak ten czas leci! Najpierw pracowałam, potem urodziła się Harriet i... Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie tu jest tempo życia! Nieustanna gonitwa!

- Gdzie jest Harriet? - zapytała Sally.

- W pokoju dzieciennym. Pójdziemy ją zobaczyć?

Pokój dziecienny! To zupełnie inny świat - pomyślała Sally.

Wspomniała swoje ciasne londyńskie mieszkanie, gdzie łóżeczko Marka stało wciśnięte w kąt naprzeciw jej tapczanu, i opiekunkę, do której codziennie odprowadzała syna, żeby móc pracować.

- Pewnie masz również nianię? - zapytała kwaśno.

- Ależ oczywiście! - Paula pierwsza ruszyła schodami w górę.

Sally zatrzymała się i wzięła na ręce Marka, który był zmęczony po podróży; jego krótkie nóżki nie mogły pokonać stopni.

Harriet jadła właśnie podwieczorek, siedząc za małym dzieciennym stolikiem. Podniosła szeroko rozwarte oczy, kiedy cała trójka wmaszerowała do środka. Na ustach i policzku dziewczynki widać było smugę dżemu. Dziecko wyglądało słodko i ślicznie.

- Jaka ona piękna! - zachwyciła się Sally, stawiając Marka na ziemi.

Chłopiec natychmiast zapomniał o zmęczeniu. Podeszedł do Harriet i łakomie spojrzał na posmarowane masłem kawałki chleba. Ubrudzone dżemem usta dziewczynki rozciągnęły się w uśmiechu. Wyciągnęła do Marka kanapkę. Chłopiec przyjął ją i natychmiast włożył do ust. Widać było, że dzieci od razu się polubiły. Sally i Paula wybuchnęły śmiechem, a Hugo, który obserwował je stojąc w drzwiach, uśmiechnął się z ulgą.

Jego pomysł okazał się bardzo dobry. Sally i Mark będą mieli dobry

wpływ na Paulę i Harriet. Może w końcu wszystko wróci do normy.

Paula poruszyła palcami nóg w ciepłym piasku. Patrzyła, jak drobne ziarenka przesuwają się po pomalowanych czerwonym lakierem paznokciach. Promienie migotały na niebieskiej wodzie. Tuż przy brzegu Mark i Harriet z radością bawili się w piasku, a obok niej drzemał Hugo, nieświadomy, że słońce przypala mu plecy na czerwono.

Był to ich pierwszy weekend w Shinnecock Bay. Hugo wcześniej wyszedł z pracowni, zostawiwszy Laddiego na posterunku, i dołączył do rodziny. Przez cały tydzień ciężko pracował, żeby wyjechać już w piątek, i teraz zmęczenie dawało się we znaki. Paula przeciągnęła się leniwie i spojrzała na siostrę, która z uwagą obserwowała dzieci.

Po tygodniu na słońcu skóra Sally przybrała jasnozłoty kolor, a włosy stały się o kilka tonów jaśniejsze. Dla ochrony włożyła bluzkę na kostium, ale mimo to jej krągłości były wciąż wyraźnie widoczne. Ma ładniejszy biust niż ja - pomyślała kwaśno Paula.

Zauważyła też, że nogi siostry, błyszczące od olejku do opalania, są długie i kształtne.

Muszę uważać - powiedziała sobie, czując lekkie ukłucie zazdrości. Brzydkie kaczątko zmieniło, się w łabędzia. W dodatku jest ode mnie młodsza.

Paula nasunęła głębiej na czoło kapelusz z szerokim rondem. Każdy przecież wie, jak fatalnie słońce wpływa na skórę. Ostatnio myśl o starzeniu się zawisała nad Paulą jak gradowa chmura. Po raz pierwszy zjawiała się wraz z ciążą. Paula czuła się wtedy napuchnięta i brzydka i wtedy to zdała sobie sprawę, że uroda jest przemijająca. Teraz odzyskała zgrabną figurę - dieta, masaże i surowy program ćwiczeń przywróciły sprężystość mięśniom i skórze, ale nie zlikwidowały rozstępów, które wprawdzie nieco zbladły, ale cały czas przypominały Pauli o niewygodzie i brzydocie, które musiała znosić. Niedawno zauważyła maleńkie bruzdy, biegnące od nosa do ust, i drobne zmarszczki w kącikach powiek. Zapewne nikt nie był w stanie ich zauważyć, ale ona wyraźnie je widziała w powiększającym lustrze. Pierwsze oznaki starości. Patrząc na nie Paula czuła, że ogarnia ją strach

i panika. Zaczął się niszczycielski proces. Teraz już będzie prowadziła nieustanną walkę, z góry skazana na klęskę. Żadna kobieta nie lubi myśleć o tym, że kiedyś będzie stara i brzydka, że pewnego dnia niespodziewanie zobaczy swoje odbicie w lustrze i pomyśli: „Ta kobieta w średnim wieku to nie mogę być ja!” Dla Pauli taka perspektywa była po prostu przerażająca. Zwykle udawało jej się odpędzić strach, bo powtarzała sobie, że ma przed sobą jeszcze całe lata młodości. Dzisiaj, kiedy spojrzała na Sally, strach znowu się wyłonił i sprawił, że nagle poczuła niechęć do siostry. Zdawało jej się, że nagle zauważona uroda Sally uszczupla jej własną, jakby Sally ukradła coś, co należało się starszej siostrze.

Paula zacisnęła usta i bezwiednie zaczęła się zastanawiać, jak ukarać Sally, jak ją zranić i upokorzyć.

- Dziwię się, że jeszcze nie znalazłaś sobie męża - odezwała się słodkim głosem. - Czy nikt się tobą choć trochę nie zainteresował, żebyś mogła skłonić go do małżeństwa i dać Markowi ojca?

- Gdyby ktoś taki był, napisałabym ci o tym. - Sally odwróciła się i sięgnęła po buteleczkę z olejkiem Ambre Solaire. - Nie znalazłabym czasu na szukanie męża, nawet gdyby mi na tym zależało.

- Ale powinnaś kogoś mieć - naciskała Paula, udając siostrzaną troskę.

- Po co? Mam dosyć mężczyzn na bardzo długie lata. A poza tym, kto by mnie przyjął z cudzym dzieckiem, które trzeba utrzymać? To ciężkie zadanie. Stuart nie chciał się go podjąć, chociaż Mark to jego syn. Jak mogę się spodziewać, że ktoś obcy okaże więcej odwagi?

- To prawda - przytaknęła skwapliwie Paula. Z każdą chwilą wracał jej dobry nastrój. - Ale przecież musi być ktoś, kto by cię zechciał. Może jakiś starszawy wdowiec z własnymi dziećmi? Albo samotny rozwodnik, tęskniący za życiem rodzinnym? Chyba powinnaś się zapisać do klubu samotnych serc albo się zgłosić do agencji matrymonialnej.

- Dziękuję ci, ale nie chcę nic zmieniać.

- Nie wierzę w to, kochanie. Och, jaka szkoda, że nie mogę nikogo dla ciebie znaleźć. Mogłabyś wtedy zamieszkać w Stanach. Często byśmy

się spotykały, jak za dawnych, dobrych czasów. A każdego lata na dwa miesiące przyjeżdżałybyśmy tutaj. Mówiłam ci już, że Hugo chce kupić dla nas dom na wybrzeżu? On tak mnie rozpieszcza. - Umilkła na chwilę, żeby siostra miała czas porównać swoją i jej sytuację. Potem mówiła dalej: - Cały kłopot w tym, że wszyscy, którzy przychodzą mi do głowy, są już z kimś związani w ten czy inny sposób. - Oprócz Grega - dodała w myślach, ale jego z pewnością ci nie podsunę.

- Czy możemy zmienić temat? - zapytała Sally. - Zobacz, Mark ma kłopoty. Próbuje zbudować zamek z piasku, ale Harriet ciągle mu go burzy. Pomogę mu.

Zakręciła buteleczkę z olejkiem i wstała. Hugo uniósł lekko głowę i leniwie mrugnął do Sally.

Rumieniec, nie mający nic wspólnego z opalenizną, zalał jej policzki. Myślała, że Hugo śpi. Ile usłyszał z rozmowy sióstr? Nic takiego nie powiedziały, ale mimo wszystko zawstydziała się z synem Jimmy'ego Connelly, tego senatora. Wyobrażasz sobie, jaki to skandal i jak Connelly się wściekł. Dotychczas przedstawiano go jako przykładnego ojca rodziny i szanowanego obywatela. Zawsze bardzo pilnował, żeby rodzina nie zepsuła mu tego wizerunku.

- Ojej. To pewnie teraz polecą wióry - stwierdziła Paula.

- Już poleciały. Chris Connelly to wrażliwy chłopak, nie potrafił stawić temu czoła. Popełnił samobójstwo. Wyjechał samochodem na autostradę i wpakował się prosto na dziesięcotonową ciężarówkę.

- O, mój Boże! - zawołała przerażona Paula.

- Straszne, prawda? Biedny dzieciak.

- A może to był wypadek? - zapytała.

- Chodzi ci o to, że był roztrzęsiony i stracił panowanie nad kierownicą? Być może, ale policja sądzi inaczej. Kierowca ciężarówki twierdzi, że chłopak jechał prosto na niego i nic nie mógł poradzić. Cokolwiek to było, wypadek czy samobójstwo, można powiedzieć, że zabił go ten sukinsyn Zachary Rhodes. Nie doszłoby do tego, gdyby nie święstwa, które napisał. Chciałbym dostać tego drania w swoje ręce!

Nerw zadrgał na szyi Pauli. Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl.

- Nie wiesz, skąd ten reporter o wszystkim się dowiedział? - zapytała. - Miał informatora?

- Nic na ten temat nie słyszałem, ale to całkiem możliwe. Ktokolwiek to zrobił, należałoby go obedrzeć ze skóry! - oznajmił Hugo.

Paula drżąc odłożyła słuchawkę. Dlaczego ten głupi dzieciak musiał się od razu zabijać! Nie spodziewała się, że do tego dojdzie. Przez nią zginął młody człowiek.

Jeszcze raz rozważyła całą sprawę i powtórzyła w myślach ostatnie zdanie. Nagle cała okropność sytuacji i poczucie odpowiedzialności za tę tragedię nabrało innej barwy. W Pauli zaczęło się rodzić coś na kształt podniecenia. Słusznie uznała, że ma władzę, kiedy, odkryła tajemnicę Laddiego. Miała w ręku kontrolę nad życiem i śmiercią!

Przestała się bać, że jej udział w skandalu zostanie wykryty. Upojona władzą zaczęła się śmiać. Wciąż zanosiła się śmiechem, kiedy Sally weszła do pokoju.

Sally świetnie się czuła na wakacjach w Shinnecock Bay. Po surowym życiu, jakie wiodła w Londynie, miała wrażenie, że podarowano jej paszport do nieba. Ciepłe słońce i złoty piasek sprawiły, że zapomniała o codziennych kłopotach. Dzień w dzień pływała i grała w tenisa, kiedy tylko zdołała namówić na to Paulę. Z radością patrzyła, że Mark jest rozpieszczany i korzysta z luksusów, których w domu nie potrafiłaby mu zapewnić.

Idyllę mąciła tylko wzrastająca irytacja zachowaniem Pauli. Rzecz jasna, od dzieciństwa się sprzeczały, jak to zwykle między siostrami bywa, ale teraz Sally stwierdziła, że egoizm Pauli i wyniosły, protekcyjny sposób bycia doprowadzają ją do szału. Zastanawiała się, czy siostra zawsze była taka okropna, czy to wygodne życie zepsuło jej charakter. To całkiem możliwe, zwłaszcza że Hugo rozpieszcza ją bez umiaru. Niewykluczone jednak, że Sally dorosła i już nie dawała się zaślepić urodzie siostry. Dostrzegała jej wady i nie była skłonna ich usprawiedliwiać. Co do depresji poporodowej, o której wspominał Hugo, nie zauważyła żadnych jej oznak w ciągu całych wakacji. Prawdę mówiąc, siostra wydawała jej się nienaturalnie podniecona. Raz

zareagowała wręcz histerycznym śmiechem, kiedy Hugo przekazał jej smutną wiadomość o śmierci syna senatora. Jednak od tamtego dnia ani razu nie wspomniała o tej tragedii i nie było widać, żeby się nią przejęła. Gdyby coś tak strasznego zdarzyło się mojemu znajomemu, nie potrafiłabym cieszyć się wakacjami - myślała Sally. Tymczasem Paula wykazała całkowitą obojętność.

W przeciwieństwie do niej Hugo bardzo przeżywał to tragiczne wydarzenie. Kiedy w końcu przyjechał do Shinnecock Bay, wyglądał na zmęczonego i smutnego, jakby żałoba i poczucie winy, dręczące jego asystenta i przyjaciela, udzieliły się również jemu. Mimo to przede wszystkim martwił się o żonę i kiedy zostali z Sally sami, natychmiast zaczął rozmowę o problemach Pauli.

- Poważnie się o nią martwię. Zachowuje się tak dziwnie.

Zauważyłaś jakąś poprawę?

- Moim zdaniem wcale się nie zmieniła. Jest trochę spięta, i to wszystko. - Sally urwała. Zebrała myśli i starała się wyciągnąć jakieś wnioski z zachowania siostry. - Czy Paula przypadkiem nie jest w ciąży?

Hugo spojrzał na nią zaskoczony.

- Dobry Boże, chyba nie! Skąd ci to przyszło do głowy? Sally się zastanowiła.

- Jest w niej coś takiego... sama nie wiem, jakby skrywana radość. A może tak mi się tylko zdaje.

Hugo uśmiechnął się.

- Bardzo bym się cieszył, gdyby zaszła w ciążę, ale Paula wcale nie przyjęłaby tego z radością. Niestety, nieodwołalnie zdecydowała, że nie chce mieć więcej dzieci.

- Zamierzasz się z tym pogodzić? - zapytała Sally, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Kocham ją - odparł szczerze. - Zależy mi na tym, żeby była szczęśliwa.

- Wiem o tym, Hugo. - Sally pomyślała, nie po raz pierwszy, że siostra ma w życiu wielkie szczęście.

Do końca wakacji krótkotrwały skandal związany z samobójstwem

Chrisa Connelly'ego ucichł i Laddie wrócił do pracy, żeby otrząsnąć się z tragedii.

Paula pożegnała siostrę zalewając się teatralnymi łzami, chociaż, prawdę mówiąc, wcale nie było jej przykro, że muszą się rozstać. Cztery tygodnie w towarzystwie jednej osoby to aż nazbyt dużo, szczególnie jeśli ta osoba dobrze cię zna i jest w stanie przejrzeć twoje gierki. Poza tym Sally stale przypominała jej o przeszłości i o tym, że kiedyś była zwykłą dziewczyną z komunalnego osiedla. Paula bez sentymentu wspominała swoje skromne początki i starała się o nich nie myśleć. Chciała być znana jako była ceniona modelka i żona sławnego dyktatora mody.

W Nowym Jorku wciąż było trochę pusto - wiele osób z towarzystwa, spędziwszy część letnich wakacji w nadmorskich domach, wyjechało do Francji, Szwajcarii, Toskanii lub żeglowało na luksusowych jachtach, które nazywali łodziami. Mimo to na Paulę czekało mnóstwo zaproszeń na lunche i przyjęcia. Dostała też olbrzymi bukiet kwiatów do Grega z karteczką, na której napisał: „Witaj w domu”.

Paula zachwyciła się tym miłym gestem, a jeszcze bardziej ucieszyła ją przyniesiona przez Hugona wiadomość, że teksańska piękność zmęczyła się już próbami zaciągnięcia Grega do ołtarza i wyjechała wraz z przyjaciółmi rodziny ojca na długie wakacje do Francji. Paula miała błogą nadzieję, że teraz, kiedy horyzont się przejaśnił, wreszcie uda jej się wyrzucić na Gregu odpowiednie wrażenie. Zaczęła przeglądać zaproszenia.

Pamiętając, jak niewiele osób ją lubi, Paula nie przestawała się dziwić, że ludzie tak często zapraszają ją i Hugona do siebie. Tak niedawno projektantów mody traktowano na równi z rzemieślnikami - teraz żadne ważne przyjęcie nie obeszłoby się bez obecności Hugona Varna. Oczywiście pomagał w tym fakt, że Paula była Angielką - wśród nuworyszy bez tradycji panował powszechny snobizm i chętnie gościli w swoich domach kogoś ze „starego świata”. Paula nie miała jednak wątpliwości, że panie domu wysyłają im zaproszenia w nadziei, że w „Womens Wear Daily” ukaże się fotografia z podpisem: „Gospodyni

przyjęcia włożyła na tę okazję kreację od Hugona Varna. Na zdjęciu widzimy ją pogrążoną w rozmowie z projektantem".

Paula domyślała się, że przed ślubem zaproszenia napływały do Hugona jeszcze liczniej. Wiele pań z towarzystwa było słomianymi wdowami, ponieważ ich mężowie długie godziny trudzili się w bankach i na polach naftowych, żeby zarobić kolejny milion dolarów dla swoich żon. Takie kobiety bardzo sobie ceniły nieżonatych mężczyzn. Jednak nawet teraz, kiedy Hugo nie był już kawalerem, zaproszenia stale napływały i rozsądek nakazywał Pauli przyjmować chociaż część z nich. Zdjęcia z kronik towarzyskich, o które zabiegały panie z society, były również doceniane jako bezpłatna reklama przez właścicieli wielkich sklepów przy Piątej Alei, które sprzedawały kreacje Hugona. Były one więcej warte niż zdjęcia w magazynach mody. Wszystkie Amerykanki chciały naśladować stroje pań z towarzystwa, z nadzieją, że w ten sposób i one do niego wejdą.

Paula przeglądała zaproszenia, trochę poirytowana, że podczas jej nieobecności Hugo w ogóle się nimi nie interesował. Niektóre terminy już minęły i pomyślała ponuro, że znowu będzie musiała pisać listy z przeprosinami. Na pewno ją obwinia za brak wcześniejszej odpowiedzi - przecież zawsze tak się działo. Nawet teraz zdawało jej się, że z rogów pokoju dobiegają szepty: „Jaka nieuprzejma! Nie wiem, co ten Hugo Varna w niej widzi!” Starła się nie słuchać i dalej sortowała zaproszenia.

Niemal na dnie stosu znalazła jedno, które ją ucieszyło. Robert Dudley, znany adwokat, wydawał przyjęcie na cześć swojej narzeczonej, Cassidy Wells. To brzmiało interesująco!

Cassidy była aktorką, która odniosła już kilka kasowych sukcesów. W tym roku nominowano ją nawet do Oscara. Poza tym, że świetnie grała, była obdarzona wybitną urodą. Miała płomiennorude włosy i zielone kocie oczy. Wyglądała wspaniale w każdym stroju - nawet jako postać filmowa z czasów prehistorycznych, kiedy musiała założyć bury, bezkształtny worek, wzbudziła zachwyt całej ekipy. Jednak kreacje Varny szczególnie podkreślały jej urodę i Hugo dowiedziawszy się, że

aktorka lubi jego styl, postanowił to wykorzystać. Dawał jej duże zniżki przy zakupach ekskluzywnych egzemplarzy, a nawet dla reklamy pożyczał niektóre suknie. Paula kilka razy spotkała Cassidy i polubiła ją - mimo popularności dziewczyna nie była zmanierowana, miała poczucie humoru i w przeciwieństwie do wielu aktorek nie myślała wyłącznie o sobie i swojej karierze. Nawet noszenie kreacji Hugona było dla niej zabawą. Wybierała nowe suknie podniecona jak mała dziewczynka, której matka pozwoliła dobrać się do swojej szafy.

Kiedy zaręczyła się z adwokatem, niektórzy ze zdziwieniem unosili brwi, ale przeszłość Cassidy była tak samo jasna i niewinna jak jej piękna twarz, więc wkrótce plotkarscy reporterzy zrezygnowali z poszukiwania jakiejś skazy w życiorysie aktorki i pogodzili się z faktem, że Cassidy zostanie żoną bardzo wpływowego człowieka.

Paula doszła do wniosku, że właśnie to zaproszenie warto przyjąć. Nie potrafiła się oprzeć mieszaninie hollywoodzkiej elegancji i świata prawniczego. Wpisała datę do kalendarza i odłożyła zaproszenie na bok. Choć Hugo jest bardzo zajęty, już ona dopilnuje, żeby znalazł czas i zabrał ją na przyjęcie Cassidy i Roberta.

- Kochanie, nie możemy tam pójść - powiedział Hugo. - Chyba pamiętasz, że to dzień urodzin mamy.

- Urodziny twojej matki - powtórzyła głucho Paula. - Akurat tego dnia, co przyjęcie Cassidy.

- Czy to takie nieprawdopodobne? Przecież nie wymyśliłem tego, żeby ci dokuczyć - tłumaczył cierpliwie Hugo. - Chyba pamiętasz datę urodzin mojej matki.

- Jakoś, wyleciała mi z głowy. I niby dlaczego miałabym o niej pamiętać? Dla mnie to nie jest ważne.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Paula. - Głos męża stał się trochę chłodniejszy. Nigdy nie pogodził się z faktem, że jego żona i matka za sobą nie przepadają. - Mimo to myślałem, że będziesz o tym pamiętała. Wiesz przecież, że zawsze w dzień urodzin mamy idę do niej na kolację. To będzie rodzinne spotkanie, a nie kolejne przyjęcie, na które tak często chadzamy.

- To nie jest zwykłe przyjęcie, tylko impreza na cześć Cassidy. Zresztą i tak już przyjął zaproszenie. Musimy tam iść.

Hugo zacisnął usta.

- Przepraszam, ale w tym wypadku nie mogę ci ulec.
- Wolisz swoją matkę ode mnie?
- Nie opowiadaj bzdur. Nie mam jednak zamiaru sprawić jej przykrości z powodu jakiegoś eleganckiego przyjęcia. Matka ostatnio choruje. Być może to jej ostatnie urodziny. Chcę, żeby tego dnia czuła się szczęśliwa.

Paula niecierpliwie prychnęła.

- Twoja matka świetnie się trzyma. Za dziesięć lat tak samo będzie wodziła cię za nos.

Hugo spojrzał na nią lodowatym wzrokiem. Jak każdy dobry syn, nie znosił krytyk pod adresem matki.

- Rozumiem, że nie pójdziesz tam ze mną.
- Oczywiście, że nie. - Jednak zimny wzrok męża zbił ją z tropu. Ostatnio bardzo źle znosiła wszelkie oznaki dezaprobaty. Przymilnie objęła męża. - Jeśli już musisz iść na tę kolację, to czy nie mógłbyś trochę wcześniej wyjść? Twoja matka nie jest nocną sową. Kiedy kolacja się skończy, przyjęcie dopiero zacznie się rozkręcać.

Spojrzał na jej niewinną twarz i zmiękł. Tak bardzo ją kochał! Jej okropne zachowanie nie miało znaczenia, wystarczyło, że popatrzył w te piękne, niebieskie oczy, a natychmiast znajdował dla Pauli jakieś usprawiedliwienie. Zrobiłby dla niej wszystko - może oprócz sprawienia zawodu matce w dzień urodzin. Paula miała rację. Został zaproszony na siódmą, a najpóźniej o jedenastej matka będzie miała ochotę pójść spać. Hugo od razu włożył smoking - matka będzie się czuła uhonorowana. Potem po prostu wróci do domu po żonę i razem pojedą na przyjęcie do adwokata.

Położył rękę na ramieniu Pauli, dusząc w sobie pragnienie przytulenia żony i obsypania jej pocałunkami.

- Dobrze, kochanie. Zgadzam się na takie wyjście. Jeśli ci nie przeszkadza, że trochę się spóźnimy...

Paula uśmiechnęła się szeroko. Kiedy stawała na swoim, zawsze się rozpromieniała.

- Nic nie szkodzi. To się nazywa mieć dobre wejście - wyjaśniła mu wesoło.



Rozdział dwudziesty czwarty

Kiedy Paula była już ubrana i gotowa do wyjścia, poszła do pokoju dziecinnego, żeby powiedzieć Harriet dobranoc. Dziewczynka leżała już w łóżeczku. Włosy wciąż miała wilgotne po kąpieli, a buzię zaróżowioną. Jeszcze nie spała, więc Paula usiadła na brzegu łóżka i położyła główkę dziecka na zielonym jedwabiu sukni, tam

gdzie niby grecka szata zakrywał jej drobne piersi, odstaniając jedno ramię.

- Ładnie pachnie - zamruczała Harriet i z zadowoleniem zmarszczyła nos.

Paula uśmiechnęła się. Bliskość małego, sprężystego ciała wywoływała w niej uczucia macierzyńskie. Wiedziała, że szybko by ją opuściły, gdyby nie mogła zostawić Harriet pod opieką niani, kiedy tylko przyszła jej na to ochota.

- Mamusia idzie na przyjęcie. Podoba ci się ta sukienka?

- Ładna! - pochwaliła Harriet i przysunęła się bliżej. Nagle Paulę ogarnął strach, że dziecko zaślini materiał albo poplamy go paluszkami.

- Pora spać, Harriet - oznajmiła i odsunęła się. - Mamusia musi już iść. - Zawsze z angielska wymawiała słowo „mamusia”. Nie używała amerykańskiego „mama”.

Przez chwilę Harriet nie chciała jej puścić, ale niania szybko wkroczyła do akcji.

- No, Harriet, bądź grzeczną dziewczynką i pozwól mamie odejść.

- Nie! - zaszlochało dziecko.

- Tak - nalegała surowo niania.

Paula odsunęła od siebie koszmarną wizję pulchnych ramionek i lepkich, wydętych ust, które na zawsze zatrzymują ją w tym pokoju. Szybko ruszyła do drzwi.

- To niezbyt dobry pomysł, żeby o tej porze wybijać małą z ustalonego rytmu dnia - powiedziała z naganą niania, krocząc za Paulą. - O tej godzinie powinna już spać jak większość dzieci.

- Ale ona nie jest taka jak większość dzieci, prawda? - odparła Paula.

Prawie zamknęła już za sobą drzwi, kiedy usłyszała, że niania odcięła:

- Nie jest pani zbyt dobrą matką. Przychodzi tu pani, kiedy chce się pani popisać, i tylko niepokoi pani dziecko.

Paula zamarła. Od dawna już nie słyszała takich złośliwych szeptów, więc miała nadzieję, że ludzie przestali o niej mówić. Teraz niania znowu

zaczęła. Paula szybko otworzyła drzwi, spodziewając się, że znajdzie ją tuż za progiem, ale ku własnemu zdziwieniu zobaczyła, że kobieta stoi przy łóżku Harriet i poprawia pościel.

Co za spryciara - pomyślała Paula. Musiała uciec spod drzwi jak błyskawica. Domyśliła się, że ją usłyszałam.

Zdenerwowana zeszła na dół, żeby poczekać na męża. Kiedy wkroczyła do wychodzącego na ogród pokoju, zatrzymała się jak wryta. Serce zaczęło jej mocno uderzać. W drzwiach na taras spostrzegła sylwetkę mężczyzny w smokingu.

- Greg! - zawołała ochryłym z podniecenia i nagłego strachu głosem. - Co tutaj robisz?

Odwrócił się do niej i leniwie uśmiechnął.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem. Służąca mnie wpuściła. Wstąpiłem do was, żeby zapytać, czy nie pojechalibyśmy razem na to przyjęcie.

Paula nie wiedziała, co powiedzieć. Jak on to robi - w jego obecności zmieniała się z pewnej siebie kobiety w zagubioną, niezdarną nastolatkę.

- Pewnie jesteś teraz sam, kiedy twoja dziewczyna wyjechała do Paryża? - zapytała bezmyślnie i natychmiast tego pożałowała.

- Nigdy nie jestem sam, chyba że z wyboru - odparł patrząc na nią z rozbawieniem. - Myślałem, że się ucieszysz na mój widok.

- Tak, oczywiście, cieszę się. Ale jeszcze nie wychodzimy na przyjęcie. Hugo poszedł na kolację do swojej matki. Dzisiaj są jej urodziny.

- Wiem. Rozmawiałem z nim rano w pracowni. - Uśmiech Grega wytrącał ją z równowagi.

- Aha! Więc dlaczego... - Urwała. Policzki jej płonęły. Już wiedziała, po co się tu zjawił.

- Przyszedłem się z tobą zobaczyć, Paula. Prawie nigdy nie spotykamy się sam na sam.

Kolana się pod nią ugięły. Drżała na całym ciele. Wiedziała, że Greg nie raz już to mówił, ale nigdy dotąd nie byli sami w domu, w którym

oprócz nich przebywały tylko służąca, niania i małe dziecko. On wiedział, że nie zastanie Hugona, przed chwilą to przyznał. Może tym razem...

- Nalać ci drinka? - zapytała. Głos jej się trząsał; miała nadzieję, że Greg nie zauważy jej zdenerwowania i obojętnego podniecenia.

- Drinka? Dlaczego nie. Bardzo chętnie.

Podeszła do barku, a on podążył za nią wzrokiem. Przestraszyła się, że nie zapanuje nad dłońmi i napełniając szklanki rozleje alkohol.

- Nalej sobie sam - powiedziała. - A dla mnie przygotuj dzin z tonikiem.

Patrzyła, jak przyrządza drinki. W świetnie skrojonym smokingu prezentował się tak wspaniale. Pod materiałem dostrzegła zarysy mięśni i znów poczuła się tak, jakby miała za chwilę zemdleć. Kiedy podał jej szklankę, szybko wypita łyk, trzymając ją mocno w dłoniach, jakby się bała, że wypadnie jej na dywan.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz, Paula. - Prowokacyjnie szacował ją wzrokiem. - Ale przecież to u ciebie normalne. Czy już ci mówiłem, że jesteś najbardziej fascynującą kobietą, jaką znam?

- Greg... - Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Słowa więzły jej w gardle.

- Fascynująca - powtórzył. Odstawił szklankę na szeroki gzyms kominka i uśmiechnął się do niej, leniwie i zniewalająco. - Chodź tutaj, Paula.

Przez chwilę spoglądała na niego nie wierząc własnym uszom. Nie mogła złapać tchu. Ze strachu zrobiło jej się słabo.

Tak często przeżywała w wyobraźni ten moment, a nawet to, co miało za chwilę nastąpić. Nie raz się zastanawiała, jak by to było czuć na sobie jego usta, nie krótko i przelotnie, jak przy powitaniu, ale w namiętnym, władczym pocałunku. Chciała czuć jego ciało, całkowicie do niego należeć. W swoim tajnym świecie, gdzie tak często uciekała, żeby marzyć, przeżywała takie chwile nie raz. Ale czy zdarzą się one w rzeczywistości. Czy sen stanie się realny? Czy chciała, żeby to się dopełniło?

Kiedy tak stała niezdecydowana, sparaliżowana strachem, Greg

uśmiechnął się jeszcze szerzej, a jego oczy rozkazywały bardziej dobitnie niż słowa.

- Powiedziałem, chodź tutaj.

Jakby była marionetką, której sznurki znajdują się w jego rękach, poczuła, że idzie w jego stronę.

Nie poruszył się, dopóki nie stanęła tuż obok, tylko patrzył hipnotyzującym wzrokiem, który przesywał Paulę na wylot. Potem objął ją w talii. Dłonie Grega paliły ją przez cienki jedwab jak suchy lód, parząc skórę i przyprawiając o dreszcze.

Pocałował ją mocno, niemal brutalnie. Nikt jeszcze nie całował jej tak władczo i nonszalancko. Chłodna uroda Pauli onieśmiała jej partnerów - włącznie z Hugonem - więc zawsze traktowali ją z respektem, nawet w chwilach największej pasji. W pocałunku Grega nie było żadnego respektu. Na tyle długo ją drażnił, by wiedzieć, że te gierki rozbudziły w niej dzikie pożądanie. Przesunął dłońmi po plecach Pauli, chwycił za pośladki i z całej siły przycisnął do siebie. Poczowała twardą męskość i znów zrobiło się jej słabo. Bała się, że jeśli ją teraz puści, nogi się pod nią ugną i upadnie na podłogę. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

Chwycił zielony materiał i zerwał go z jej ramienia. Usłyszała trzask pękającego jedwabiu, ale nie przejęła się tym. Była teraz naga aż do talii. Drapieżne dłonie Grega chwyciły drobne piersi i zacisnęły się tak mocno, że Paula miała ochotę krzyczeć. Kiedy nie mogła tego już dłużej znieść, puścił ją, odnalazł suwak na plecach sukni i zręcznie rozpiął. Miękki jedwab osunął się w dół wzdłuż nóg. Pod spodem miała tylko skąpe jedwabne majteczki, złożone z trójkąta materiału i dwóch tasiemek - każda inna bielizna byłaby widoczna pod cienkim materiałem. Nie założyła rajstop, bo nogi wciąż jeszcze były opalone na brąz. Greg chwycił jedną z tasiemek i szarpnięciem zdarł z Pauli majteczki. Potem odsunął ją od siebie.

Bezwolnie odrzuciła głowę w tył i cicho załkała. Cała płonęła z pożądania.

Wolno, z namysłem ułożył ją na dywanie. Skręcała się z niecierpliwości i podniecenia, kiedy stał nad nią wciąż ubrany. Potem

uklął, rozpiął spodnie i znalazł się w niej jednym szybkim pchnięciem.

Wygięła się, nie myśląc o niczym, oprócz zaspokojenia własnej namiętności. Nigdy jeszcze nikt nie posiadał jej tak absolutnie i do końca. Wszystko skończyło się zbyt szybko. Zsunął się z niej niedbale, jakby to, co przed chwilą zrobił, nie miało większego znaczenia niż zgaszenie niedopałka papierosa. Wstał i zapiął spodnie, więc po chwili Paula, zawstydzona własną nagością, chociaż wciąż targana najróżniejszymi emocjami, również się podniosła, wzięła sukienkę i się nią zakryła.

- Greg. - Błagalnie wyciągnęła do niego rękę. Właściwie nie wiedziała, czego chce - czułości, pocieszenia czy kolejnej porcji namiętności. Jednak on wcale nie chciał jej dotykać. Patrzył na nią niemal pogardliwie.

- Lepiej się ubierz, jeśli nie chcesz, żeby mąż cię tak zastał.
- Ale...
- Zapomniałaś, że idziemy na przyjęcie?
- Och... tak... - Zupełnie o tym zapomniała.

Nagle wysunął ramię, chwycił Paulę za nadgarstek i znowu przyciągnął ją do siebie.

- Zapamiętaj sobie, że teraz jesteś moja - powiedział cicho. Zobaczyła tuż przed sobą jego uśmiechniętą twarz, ale nie był to miły uśmiech.

- Kiedy się znowu spotkamy? - wyszeptała.
- Dam ci znać. - Pocałował ją jeszcze raz, jakby pieczętując swoją własność. W pocałunku nie było ciepła ani czułości. Paula zdawała sobie z tego sprawę, ale jej własne ciało ją zdradziło i przywarła do Grega jak dziecko, które przy bramie szkoły nie chce rozstać się z matką. - Na litość boską, ubierz się - powiedział szorstko i wyswobodził się.

Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko wypełnić jego polecenie. Zobaczyła, że suknia jest rozdarta od ramienia aż do talii.

- Nie mogę tego włożyć...
- Więc idź na górę i się przebierz.

Podniosła majtki z podłogi i pobiegła do garderoby. Na szczęście po drodze nie spotkała nikogo ze służby, a drzwi Harriet były zamknięte.

Włożyła podartą suknię na dno szuflady i wyjęła inną, ze srebrnej lamy. Potem weszła do łazienki i na trzęsących się nogach usiadła na bidencie. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak bardzo ryzykowała. Kochała się z Gregiem we własnym domu, przy otwartych drzwiach. Na myśl, że w każdej chwili ktoś mógł tam wejść, zrobiło się jej zimno. Ale niczego nie żałowała. Greg powiedział, że teraz należy do niego. Znów zdrząły jej kolana. Woląta nie pamiętać, że odnosił się do niej bez czułości i troski. Zbyt długo czekała na ten moment - wiedziała, że przybiegnie na każde skinienie Grega.

Kiedy wracała na dół, usłyszała, że Hugo wraca do domu. Serce zakotało w piersi. Czy czegoś się domyśli z jej wyglądu? Jednak nic nie zauważył, tylko uśmiechnął się do żony od drzwi.

- Jesteś gotowa?

- Tak. Zabrało mi to trochę czasu. Przyszedł Greg... - Słyszała, że jej głos brzmi trochę dziwnie, ale Hugo nie zwrócił na to uwagi:

- Greg? To dobrze. Możemy pojechać razem.

- Jak się miewa matka? - zapytała, żeby opóźnić chwilę ponownego spotkania z Gregiem;

Hugo zdziwił się. Paula nigdy nie zadawała takich pytań.

- Czuje się coraz gorzej. Serce mi pęka, kiedy na nią patrzę. Zawsze była taką silną kobietą. Ale urodzinowa kolacja sprawiła jej przyjemność. Kochanie, przykro mi, że to wypadło akurat dzisiaj, ale...

- Nic nie szkodzi - powiedziała przemykając się obok męża. Nie chciała, żeby dotykał jej ciała, które przed chwilą należało do Grega. - Dobrze, że już wróciłeś.

Greg ze szklanką w dłoni stał przed kominkiem, tam gdzie go zostawiła. Ani jednym gestem nie zdradził, że coś między nimi zaszło. Tylko kiedy Hugo się odwrócił, spojrzał Pauli prosto w oczy rozbawionym, znaczącym wzrokiem.

Paula sama nie wiedziała, jak jej się udało wytrwać na przyjęciu. Chyba działała jak automat, mechanicznie powtarzając ruchy, które zawsze wykonywała na imprezach towarzyskich. Wciąż nie mogła zebrać myśli, a nogi miała jak z waty. Rozmawiała ze znajomymi, śmiała się,

tańczyła, jadła małe kanapki z kawiozem i wędzonym łososiem i trochę za szybko piła szampana, ale wciąż rozglądała się za Gregiem i za każdym razem, kiedy go dostrzegła, czuła się tak, jakby osiągnęła orgazm. Krążył wśród gości, gawędził z jakąś znaną kobietą, tańczył z hollywoodzką aktorką, a Paulę zżerała zazdrość. Czy przez cały wieczór będzie ją ignorował? Kiedy już straciła wszelką nadzieję, podszedł, wyjął jej kieliszek z ręki i uśmiechnął się do Hugona.

- Czy mogę zatańczyć z twoją piękną żoną?
- Oczywiście - odparł beztrudnie Hugo, o nic nie podejrzewając

starego przyjaciela.

Greg poprowadził ją na parkiet i ich ciała zaczęły poruszać się w rytm muzyki, jakby parodiując nie tak dawną zmysłową ekstazę.

- Przyjdź do mnie jutro. Będę w domu o trzeciej - powiedział, przyciskając biodra Pauli do swoich, jednocześnie odchylając od niej tors i głowę, żeby zachować pozory przyzwoitości.

Niedostrzegalnie skinęła głową. Nie potrafiłaby odmówić. Wiedziała, że poruszy niebo i ziemię, żeby przyjść na spotkanie. Kiedy taniec się skończył, Greg odprowadził ją do męża.

- Powinieneś częściej zabierać żonę na przyjęcia - pouczył.
- Praca jest ważniejsza, przyjacielu.
- Praca i matka, i wiele innych spraw. Wiem. - Greg uśmiechał się swobodnie. - Ale Paula potrzebuje rozrywki. Możesz mnie zatrudnić jako jej eskortę.

- Kogoś takiego, jak Jeny Zipkin? - Hugo roześmiał się, spoglądając ponad głowami tańczących na niedużego, krągłego człowieka, który był ulubioną jednoosobową agencją towarzyską nowojorskiej socjety. Bawił właśnie damę, której dzisiaj towarzyszył. - Nie wiedziałem, że masz takie ambicje, Greg.

- Bo nie mam, przynajmniej jeśli chodzi o te przesadnie wystrojone paniusie.

- Przesadnie wystrojone? Uważaj, bo mówisz o moich kreacjach!
- Przepraszam, to przejęzyczenie. Masz rację, ich suknie są w porządku. Nie mogę tylko znieść ich twarzy. Skórę mają taką napiętą jak

na... - Zanim dokończył, z łobuzerskim błyskiem w oku zerknął na Paulę -... jak rękawiczka na dłoni chirurga.

Hugo się roześmiał, zupełnie nieświadomy toczącej się tu gry.

- Widziałem, że masz powodzenie nie tylko u wyfiokowanych babć. Jeśli się nie mylę, widziałem cię dzisiaj z kilkoma prawdziwymi pięknosciami. Nie mam zamiaru ci współczuć!

Paula nie śmiała podnieść wzroku. Czują, że cała pokrywa się rumieńcem. Serce tłukło się w niej jak oszalone, a krew tętniła w żyłach. Jutro... jutro... Sama nie wiedziała, czy uda jej się doczekać.

Przez następne miesiące romans rozwijał się równie niepewnie i burzliwie, jak pierwsze spotkanie.

Dlaczego teraz - zastanawiała się Paula, kiedy udawało się jej na chwilę oprzytomnieć. Dlaczego czekał tak długo, a potem tak nagle ją posiadł? Pewnie dlatego, że zerwał znajomość z teksańską pięknosciami. Wolą jednak zbyt głęboko się nad tym nie zastanawiać. Po prostu rozkoszowała się wspólnymi chwilami, szalonym, gwałtownym romansiem. Od tego pierwszego razu, który zdaniem Pauli został starannie przez Grega zaplanowany, jak wszystko co robił, kochali się gdzie i kiedy tylko mogli - w jego mieszkaniu, w łazience podczas przyjęcia w jakimś domu, pod jej własnym dachem. Niebezpieczeństwo działało na Grega jak afrodyzjak, a Paulę prawie już nie obchodziło, czy ktoś ich zdemaskuje czy nie. Gdyby Hugo się dowiedział, to przynajmniej mogliby otwarcie być razem. Skończyłyby się te dni, kiedy znikał bez wyjaśnienia i w ogóle się z nią nie kontaktował. Nie mogła ich znieść. Była tak opętana namiętnością do Grega, że o niczym innym nie myślała, tylko o tym, kiedy go znów zobaczy, a jednak mu nie ufała. Pragnęła jej, co do tego nie miała wątpliwości. Posiadł ją na więcej sposobów, niż mogła sobie kiedyś wyobrazić, jednocześnie był panem jej i samego siebie. Czasami odsuwał się od Pauli, wykazując doskonałą samokontrolę, innym razem ignorował ją jak kiedyś, aż miała ochotę krzyknąć z pożądania. Czekwała choćby na jeden uśmiech albo gest, którym by dowiódł, że o niej pamięta.

Żyła jak zawieszona na skraj przepaści. Przybiegała na każde jego

skinienie - ona, wokół której mężczyźni zawsze tańczyli tak, jak im zagrała. Cierpiała, ale właśnie ta niepewność podsyciała jej uczucia. Zdawała sobie z tego sprawę tylko w tych rzadkich chwilach, kiedy była w stanie rozsądnie myśleć, ale i wtedy cierpiała, czekając na jakiś znak od Grega. Obchodziło ją wyłącznie to, kiedy znowu ją weźmie, doprowadzi do słodkiej ekstazy, którą tylko on potrafił wywołać, a która nigdy nie zaspokajała jej do końca. Zawsze chciała więcej. Nawet strach, który prześladował ją od czasu samobójstwa Chrisa Connelly'ego, został zepchnięty gdzieś w zakamarki świadomości. Gdyby Zachary zamierzał ją wydać, już by to zrobił. Zresztą dlaczego miałby się na to zdecydować? Nie przedstawiła się, więc nawet jeśli rozpoznał jej głos, nie śmiałby tego rozgłosić, bo nie miał żadnego dowodu. Nikt postronny nie powinien się domyślić, że to Paula była informatorką, ponieważ nie tylko ona знаła ten sekret. Inni z pewnością też coś wiedzieli. Nie, Hugo nigdy się nie dowie, że to ona zdradziła tajemnicę jego asystenta i przyjaciela. Ale pozostawało jeszcze niebezpieczeństwo, że odkryje inne jej występki.

Podczas dokuczliwej nowojorskiej zimy matka Hugona coraz bardziej podupadała na zdrowiu. Syn bezskutecznie próbował ją nakłonić, żeby przenieść się w cieplejszy klimat. Twierdziła, że całe życie mieszkała w Nowym Jorku i tutaj zamierza umrzeć. Zmartwiony Hugo coraz więcej czasu spędzał z matką, co tylko cieszyło Paulę - miała dużo swobody i mogła biec na każdy telefon Grega. Czasami mąż stawał się ich nieświadomym współnikiem, kiedy pozwalał przyjacielowi towarzyszyć żonie na jakimś przyjęciu, na które sam nie mógł pójść. Jeśli Paulę dręczyło jakieś poczucie winy, to bardzo nikłe. Uznała, że Hugo sam jest sobie winien, skoro nie dostrzega w jej zachowaniu nic podejrzanego.

Marta Varna umarła w styczniu i jej pogrzeb wyrył się w pamięci Pauli, ponieważ tego dnia Greg poszedł za nią do łazienki i posiadał ją z niewiarygodną szybkością. Stwierdził potem ironicznie, że kiedy widzi ją w żałobie, ma na nią największą ochotę. Potem wyjechał gdzieś w interesach i nie widziała go ani nie dostała od niego żadnej wiadomości przez niemal sześć tygodni.

Romans toczył się równie burzliwie, kiedy nadeszło lato.

- W tym roku musicie oboje spędzić trochę czasu na moim jachcie - oznajmił Greg. - Odmowy nie przyjmuję do wiadomości.

Ku radości Pauli, Hugo się zgodził i we trójkę polecili do Włoch. Spędzili tam razem trzy tygodnie, opalając się na wyszorowanym do białości pokładzie, popijając szampana i rozmawiając do późnej nocy. Te wakacje okazały się dla Pauli torturą. Być tak blisko Grega i nie móc się z nim połączyć! Przeżywała prawdziwe piekło na ziemi. Jacht, chociaż luksusowy, był mały, skonstruowany tak, żeby mogła go prowadzić jedna osoba - Greg często żeglował bez załogi i raczej wolał przenosić się z wyspy na wyspę niż wypływać na pełne morze. Niewielkie rozmiary jachtu uniemożliwiały spotkania sam na sam. Greg chyba nie był tym zmartwiony. Zdawało się, że z przyjemnością znosi narzucony sobie celibat i bawią go cierpienia Pauli. W końcu nie mogła tego dłużej znieść. Uprosiła męża, żeby o kilka dni skrócili wakacje; tłumaczyła się tęsknotą za Harriet.

- Kiedyś kupię duży jacht - obiecał Greg, jak zwykle nadając słowom podwójne znaczenie. - Wtedy może będziesz chciała spędzić ze mną dłuższe wakacje, Paula.

- Interesy tak dobrze ci idą, że pewnie niedługo będziesz mógł kupić nas wszystkich - powiedział Hugo.

Greg nie wrócił do Stanów. Twierdził, że ma coś we Włoszech do załatwienia. Zamierzał się spotkać z producentami tkanin, którzy chcieli założyć kartel gromadzący ludzi związanych z modą. Greg, Włoch z pochodzenia, zapalił się do tego pomysłu.

- Może i tobie będę mógł pomóc, Hugo - oznajmił. Hugo uśmiechnął się.

- Wygląda mi to na jakąś mafię, ale z przyjemnością zostawiam ci wolną rękę w interesach. Umiesz to robić lepiej ode mnie. Ja się zajmę projektowaniem, bo w tym jestem dobry.

Paula nie odezwała się. Mogła dodać, że jest jeszcze kilka dziedzin, w których Greg jest jeszcze lepszy niż w interesach. Ale o takich rzeczach się nie mówi.

RRS

Rozdział dwudziesty piąty

Hugo nie był tak niczego nieświadomy, jak sądziła Paula. Kochał ją zbyt głęboko, żeby nie zauważyć światła, jakie od niej biło, kiedy znalazła się w pobliżu Grega. Nie przyszło mu jednak do głowy, żeby dopatrywać się w tym czegoś groźnego. Hugo znał kobiety i

je lubił - właśnie dlatego jego kreacje cieszyły się takim powodzeniem - Hugo Varna chciał, żeby kobiety dobrze w nich wyglądały, i wiedział, w czym najlepiej się czują. Instyktownie rozumiał, że kobiety mają własne marzenia; wykorzystywał to w swojej pracy i nie miał im tego za złe. Jeśli Greg zaspokajał jakieś tęsknoty Pauli, których on nie potrafił zaspokoić, i wprowadzał nieco romantycznej mgiełki w stateczne małżeńskie życie, to nikomu to nie zaszkodzi. Tutaj Hugo popełnił fatalny błąd, ponieważ jak prawdziwy Amerykanin, wierzący w przyjaźń, zaufał Gregowi. To był przecież jego wspólnik i stary kumpel, nie mógł go oszukać. To prawda, że miał opinię kobieciarza - często przy kieliszku obaj dowcipkowali na temat jego podbojów - ale przecież nie napaskudziłby w swoje własne gniazdo, jak to się czasem niezbyt ładnie określa. Hugo był o tym przekonany, dlatego pobłażliwie odnosił się do żony i jej kapryśków. Co więcej, Greg nigdy nie wykazywał najmniejszego zainteresowania Paulą, owszem, uważał ją za piękną kobietę, ale przede wszystkim żonę przyjaciela. Przez długi czas Hugo właśnie tak widział ich stosunki, a kiedy nawiedziły go pierwsze wątpliwości co do osoby Grega, wcale nie dotyczyły Pauli, ale finansowych pociągnięć człowieka, któremu powierzył kierowanie swoją firmą. Krążyły plotki, na razie cicho szeptane, że niektóre interesy Grega wcale nie są takie uczciwe, jak być powinny. Kiedy pogłoski dotarły do uszu Hugona, był wstrząśnięty. Z początku zupełnie w nie nie wierzył, jak zwykle lojalny wobec przyjaciela. Od dawna podejrzewał, że Greg ryzykuje bardziej, niż to jest konieczne, ale czyż tak nie postępuje większość tak zwanych finansistów? To dzięki śmiałym poczynaniom Greg zbił fortunę i trudno było uwierzyć, żeby wmieszał się w jakieś ciemne interesy. Ale plotki stawały się coraz głośniejsze i po raz pierwszy Hugo zwątpił w uczciwość wspólnika. Dowiedział się, że Greg poświęca wielkie sumy na finansowanie zawodowego startu jakiegoś młodego włoskiego projektanta.

Chociaż firma Hugona Varna świetnie się rozwijała i Hugo zdawał sobie sprawę, że nie on jeden ma talent, to jednak zaskoczyło go i uraziło, że Greg nic mu nie wspomniał o swoim nowym przedsięwzięciu.

- Słyszałem, że zajmujesz się teraz włoską modą - zagadnął wspólnika, kiedy wybrali się razem na lunch. - Stany są już dla ciebie za małe?

Greg uśmiechnął się, odstawiając śnieżnobiałe zęby.

- Zarabiam pieniądze, gdzie tylko mogę, stary, i mam przecucie, że jeśli dobrze to rozegram, we Włoszech trafię na prawdziwą żyłę złota. Poza tym nie zapominaj, że jestem w połowie Włochem.

- A więc kim jest ten projektant i co to za interes?

- Nazwiska pewnie jeszcze nie znasz. Ale zapewniam cię, że wkrótce o nim usłyszysz. Układ jest prosty. Ja mam przekonać wielkiego przemysłowca, producenta tkanin, żeby finansował mojego protegowanego. Wyłoży pieniądze na pierwsze kolekcje i będzie zatrzymywał większość dochodów, dopóki projektant nie zarobi na zwrot długu.

- A jaką ty będziesz miał z tego korzyść? - zapytał Hugo, starając się stłumić nedorzeczne poczucie, że Greg go zdradził.

Wspólnik roześmiał się i znacząco stuknął palcem w bok swojego nosa.

- Coś mi mówi, że na tym nie stracę. Pośrednicy zawsze wychodzą na swoje.

- Tak - odparł cierpko Hugo. Chociaż to on był sławnym projektantem, Gregowi powodziło się znacznie lepiej.

Nazajutrz opowiedział o tej rozmowie Laddiemu i ze zdziwieniem zauważył, że asystent ma ponurą minę.

- To, co ostatnio słyszałem o Gregu, bardzo mnie zaniepokoiło - zwierzył się Laddie.

- Przyznaję, że te nowiny są denerwujące - zgodził się Hugo.

- Ale przecież początkujący włoski projektant nie może wiele nam zaszkodzić. My tworzymy głównie na amerykański rynek.

- Nie o to mi chodzi. - Laddie przecesał ręką krótko przystrzyżone włosy, które całkiem posiwiały przez jedną noc po samobójstwie Chrisa.
- Sprawy, o których słyszałem, dotyczą nas bezpośrednio. Nie chciałem ci nic mówić, bo wiem, że Greg to twój przyjaciel, a poza tym

dowiedziałem się o tym w największym zaufaniu. - Głos mu zamarł i Hugo domyślił się, że Laddie uzyskał te informacje od jednego ze swych przyjaciół homoseksualistów, prawdopodobnie wysoko postawionego i ukrywającego prawdziwe preferencje seksualne. - To dotyczy operacji finansowych - ciągnął po chwili. - Mam nadzieję, że to nieprawda, ale podobno wszczęto już dochodzenie.

- Chryste! - Hugo siedział spokojnie, ale w środku wszystko w nim wrzało. Co, u diabła, Greg kombinuje? A jeśli rzeczywiście wdał się w ciemne interesy, jaki to będzie miało wpływ na niego i na firmę?

Wkrótce po tej rozmowie zauważył, że stan Pauli się pogorszył. Często zapadała w ponure, pełne napięcia milczenie, żeby zaraz potem wpaść w niemal histeryczne podniecenie. Kiedyś obudził się w środku nocy, bo wydawało mu się, że usłyszał, jak ktoś kręci się po domu. Zszedł na dół i zobaczył żonę krążącą po pokoju jak lunatyczka.

- Kochanie, co się stało? - zapytał z niepokojem. Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, jakby zobaczyła ducha.

- Co ci jest? - nie ustępował.

- Nic mi nie jest! Zostaw mnie w spokoju! Dlaczego wszyscy się mnie czepiają? - wrzasnęła Paula.

- Nikt się ciebie nie czepia - uspokajał ją. - Ale jest czwarta nad ranem. Nie możesz zasnąć?

- Nie, nie mogę. Czy to takie dziwne? - Wybuchnęła płaczem, ale kiedy próbował ją objąć, zaczęła okładać go pięściami.

- Kochanie, nie wiem, co się z tobą dzieje, i nie będę mógł ci pomóc, jeśli mi nie powiesz, co cię gnębi - powiedział zniecierpliwiony i niespokojny. - Na litość boską, wracaj do łóżka. Rano wszystko wyda ci się prostsze.

Namówił ją, żeby wróciła na górę, chociaż szlochała tak głośno, że się obawiał, by nie obudziła Harriet, nie mówiąc już o niani i reszcie służby. Trzęsa się jak osika, zziębnięta i wystraszona, więc położył ją do łóżka, przyniósł kieliszek brandy, usiadł obok i dopilnował, żeby wypita chociaż łyk.

- Miałaś jakiś zły sen? - zapytał łagodnie, kiedy się trochę uspokoiła. Przemawiał do niej jak do dziecka.

Potrząsnęła głową, ale nadal nie potrafiła wytłumaczyć, co ją tak wytrąciło z równowagi. Dał żonie dwie tabletki nasenne i został przy niej, dopóki nie zaczęły działać. Kusilo go, żeby położyć się obok i mocno ją przytulić, ale obawiał się, że to tylko pogorszy sytuację. Z Paulą nigdy nic nie wiadomo, w dodatku miała tak silny uraz do miłości fizycznej.

Postanowił, że rano porozmawia z Busterem. Poprosi go, żeby zbadał żonę. Zaraz jednak zmienił zdanie. Paula upierała się, że nic jej nie dolega, więc jak wytłumaczy, o co mu chodzi. Już dawniej nie potrafił tego zrobić, kiedy dziwne zachowanie Pauli można było usprawiedliwić porodem. Teraz jednak Harriet miała już prawie cztery lata. Hugo musiał sam przed sobą przyznać, że żona po prostu nie znosi jego bliskości. Ta świadomość uderzyła w samo sedno jego męskiej dumy. Ciało Hugona pragnęło Pauli, a serce przepętnione było miłością. Miał tak wielkie nadzieje, kiedy przywiózł ją do Nowego Jorku, i tak bardzo pragnął ją uszczęśliwić. Oddał jej wszystko, co miał, ale ona i tak nie była zadowolona. Uwielbiał ją, niemal otaczał czcią i był w stanie przymknąć oko na to, że nie jest najlepszą żoną i matką, żeby tylko przy nim została. To jednak nie wystarczyło. Oddalała się od niego duszą i ciałem.

W szary poranek Hugo siedział w jedwabnej piżamie na brzegu łóżka i trzęsąc się z zimna patrzył na śpiącą żonę. Jej twarz, teraz rozluźniona, była tak piękna jak dawniej. Jasne włosy rozsypały się po poduszce. Hugo położył rękę na twarzy żony, obwiodł palcami podbródek i dotknął gardła.

Jak łatwo byłoby ją zabić podczas snu - wziąć poduszkę i przycisnąć do twarzy albo owinąć jedną z pończoch Pauli wokół delikatnej szyi i mocno zacisnąć!

Gdyby ją teraz zabił, odebrałaby mu ją tylko śmierć, a nie inny mężczyzna, który być może potrafiłby bardziej ją uszczęśliwić niż on...

Po raz pierwszy uświadomił sobie, że ktoś może mu ją odebrać. Jednak sądząc po tym, jak łatwo mu to przyszło, już dawno musiał gdzieś w głębi duszy zdawać sobie sprawę z takiej możliwości.

Nigdy nie kochała mnie tak mocno jak ja ją - pomyślał. Może gdzieś istnieje ktoś, kto potrafi ją rozbudzić i spełnić jej oczekiwania... ale nigdy nie pozwolę jej odejść i odszukać tego kogoś. Gdyby do tego doszło, najpierw bym ją zabił...

Znowu zaczął drzeć, trochę z zimna, a trochę dlatego, że wstrząsały nim tak silne emocje. Nie mogąc dłużej ufać samemu sobie, wstał, cicho wyszedł z sypialni żony i wrócił do swojego pokoju. Nie mógł zasnąć. Świt zamienił się w dzień, a Hugo leżał z otwartymi oczami - udręczony jak Pandora, kiedy zobaczyła, co znajdowało się w puszcze, którą otworzyła - nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Jakim ja byłem głupcem - myślał - głupcem i marzycielem. Wierzyłem, że mogę na zawsze zatrzymać swoją lodową księż-niczkę w wieży z kości słoniowej. Tak się kończy romantyzm. Zbyt silna miłość czyni głuchym na argumenty rozumu i każe odwracać oczy od niewygodnych faktów.

Teraz, nagle i niespodziewanie, spadły mu z oczu klapki. W końcu musiał stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością, którą dotychczas odrzucał, i pogodzić się z faktem, że odtąd nic już nie będzie takie samo.

Paula przeżywała istne męki. Upłynęły długie tygodnie, teraz już miesiące, od kiedy ostatni raz spotkała się z Gregiem, i w najczarniejszych chwilach bała się, że już nigdy go nie zobaczy.

Taka możliwość była nie do zniesienia. Wisiąca nad nią jak wielka czarna chmura, rzucając cień na każdą chwilę dnia i zamieniając sny w koszmary. Nie chciała jeść; jedzenie miało kwaśny smak i żołądek nie przyjmował go. Nie potrafiła prowadzić normalnej rozmowy; część jej świadomości cały czas była zajęta sekretnymi lękami. Greg chyba nie odszedł na dobre? A może? Dawniej też często ją opuszczał, ale zawsze wracał. Jednak teraz trudno było nie zauważyć faktów. Nawet kiedy przebywał w Nowym Jorku, nie dzwonił do niej, a gdy raz przyszedł do ich domu, odwiedzić Hugona, w ogóle jej nie zauważał. Przez całą wiosnę i początek lata czekała na niego, dręczona niepokojem i sfrustrowana. Wiedziała, że Hugo ją o coś podejrzewa, od czasu gdy spotkał ją w środku nocy, jak zdenerwowana krążyła po domu, ale nie miała energii, żeby się tym zajmować.

Nic nie miało znaczenia, nic nie było istotne, oprócz tego, żeby znowu zobaczyć się z Gregiem, być przy nim, kochać się z nim - jeśli można tak nazwać ten namiętny, ale bezosobowy seks, który ich łączył.

Nastał czerwiec. Sześć miesięcy bez Grega. Może jest jakaś inna przyczyna jego nieobecności? Ale jaka? W Nowym Jorku zachowywał się tak samo jak dawniej. Bywał na przyjęciach, widywano go w towarzystwie wielu kobiet. Ale przecież często wyjeżdżał za granicę. Poza tym być może jego nowy romans był równie sekretny jak ich związek. Jednak Paula była pewna, że wszystkiego by się domyśliła. Jeśli Greg postępował z kimś innym tak samo jak z nią, zaraz by to zauważyła. Dobrze znała ten rodzaj okrucieństwa.

Letnie upały wcześniej spadły na miasto. W domu przy Wschodniej Siedemdziesiątej dzięki klimatyzacji w pokojach dawało się wytrzymać, ale na zewnątrz kurz osiadał na liściach drzew, a rozgrzane powietrze drżało nad szarym asfaltem jezdni i chodników.

W biurach i salach konferencyjnych temperatura również się podniosła, ale nie miało to wiele wspólnego z pogodą. Często powtarzano nazwisko Grega Martina i łączono je z takimi określeniami, jak szarlatan, naciągacz i oszust. Inwestorzy, którzy powierzyli mu swoje pieniądze, zaczęli się niepokoić.

W końcu strapiiony Hugo wezwał Grega na rozmowę. Niestety, spotkanie nie rozproszyło jego obaw. Wręcz przeciwnie, beztrioskie, wymijające odpowiedzi współnika przekonały go, że coś jest nie w porządku.

- Wiem, że on coś kręci - powiedział żonie przy kolacji. Nie zamierzał z nią rozmawiać o zawodowych kłopotach, ponieważ spodziewał się, że Paula nie będzie nimi zainteresowana i może znów popaść w depresję. Jednak tak bardzo się martwił, że nie mógł się powstrzymać od rozmowy, i ku jego zaskoczeniu Paula wykazała zainteresowanie tematem.

- Greg? Dlaczego miałby coś kręcić? Hugo potrząsnął głową.
- Nie wiem. Ale jeśli w krążących plotkach jest trochę prawdy, znajdziemy się w bardzo trudnej sytuacji. Bardzo trudnej. W grę wchodzi

tu wszystko, co osiągnąłem.

- Dlaczego?

- Ponieważ to właśnie Greg wyłożył pieniądze, żebym mógł rozpocząć działalność. Teraz zaczynam się zastanawiać, skąd je miał. Firma jest moja, dzięki Bogu nigdy nie podpisaliśmy oficjalnej umowy, więc mam nadzieję, że nic jej nie grozi. Ale jeśli pieniądze, które w nią włożył, należą do inwestorów, wtedy może się zdarzyć, że będę musiał w bardzo krótkim czasie zdobyć kilkadziesiąt tysięcy dolarów. To by nas zrujnowało.

- A co z Gregiem? - Oczy Pauli spoglądały jasno i twardo.

- Nie wiem, kochanie. Naprawdę nie wiem. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że akurat teraz postanowił zrobić sobie urlop. Możesz w to uwierzyć? Mówi, że od dawna to planował i nie odwoła wyjazdu tylko dlatego, że na Wall Street wybuchła jakaś nedorzeczna panika.

Nagle Paula zdwoiła czujność.

- Dokąd jedzie? - zapytała z napięciem.

- Oczywiście do Włoch, tam gdzie zawsze. Wyobrazasz to sobie? Ot tak, po prostu wyjeżdża, jak gdyby nigdy nic.

Paula nic nie odpowiedziała, ale na jej szyi zaczął drgać jakiś drobny nerw. Przypomniała sobie rozmowę, jaką kiedyś odbyła z Gregiem.

Zbankrutował właśnie znany nowojorski biznesmen. Leżąc w łóżku w wykwintnie urządzonej mieszkanie Grega, Paula zapytała kochanka:

- A co ty byś zrobił, gdybyś wszystko stracił? Roześmiał się i obwiodł palcem jej drobne piersi.

- Nie martw się, nie stracę.

- Skąd wiesz? - naciskała. - Ciągle ktoś bankrutuje, nawet ci, którzy się tego zupełnie nie spodziewają.

- To prawda. Ale ja jestem przygotowany na każdą okoliczność. Zapewniam cię, że nie wyszedłbym z tego jako biedak.

- Jak możesz się przed tym zabezpieczyć?

Przeciągnął palcem po obojczyku, szyi, brodzie Pauli i lekko stuknął ją w nos.

- Możesz pytać, *cara mia*, ale odpowiedź znam tylko ja. Powiem ci

tylko, że na pewno nie zostałbym tutaj, żeby dać się upokorzyć. Uciekłbym gdzieś, gdzie mógłbym znowu wygodnie żyć.

W tym momencie palec Grega zawisł nad jej ustami, więc żartobliwie usiłowała schwytać go w zęby. Znowu zaczęli miłosną zabawę i Paula zapomniała o rozmowie. Teraz jednak z przerażającą jasnością wszystko sobie przypomniała. Zadygotła, ponieważ domyśliła się najgorszego.

Greg miał kłopoty, więc postanowił uciec - nie miała co do tego wątpliwości. Urlop to tylko zastona dymna, żeby wyjechać z kraju, wydobyć pieniądze, które z pewnością gdzieś miał odłożone, i na kilka lat zniknąć z horyzontu. Spodziewał się, że coś takiego może go spotkać, i był przygotowany. Podziwiałaby jego spryt, gdyby nie była tak przerażona, że nigdy więcej już go nie zobaczy.

- Kochanie, obawiam się, że będę musiał wyjść - powiedział Hugo, kiedy skończyli kolację.

- Na spotkanie z Gregiem? - zapytała.

- Tym razem nie, chociaż właśnie o niego tu chodzi. Przykro mi, kochanie, bo wiem, że nie lubisz samotnych wieczorów...

- Och, nic nie szkodzi - odparła, starając się ukryć radość. Właśnie o tym marzyła - żeby Hugo wyszedł - ponieważ przez cały czas snuła plany...

Kiedy tylko za mężem zamknęły się drzwi, podniosła słuchawkę i wykręciła numer Grega. Modliła się, żeby go zastać w domu.

W końcu się odezwał. Zauważyła, że jego głos brzmi trochę nerwowo, i uśmiechnęła się do siebie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy znowu czuła, że ma władzę. Wspaniałe uczucie.

- Greg? Cześć. To ja, Paula.

- Paula! - zawołał zdziwiony.

- Nie cieszysz się, że mnie słyszysz? - zapytała niemal bez troski. - Tak dawno ze sobą nie rozmawialiśmy. Słyszałam, że wybierasz się na wakacje.

- Zgadza się - odparł szorstko.

- A więc, kochanie, ponieważ od tak dawna się nie widzieliśmy, może byś mnie ze sobą zabrał?

Zapadło chłodne milczenie.

- Zwariowałaś? - zapytał po chwili.

- Nie. Tylko mam już dość tego, że mnie ignorujesz. Tak bardzo mi cię brakuje i jestem pewna, że ty też za mną tęsknisz. Może wyjedziemy razem?

- Przykro mi, ale nie mogę cię ze sobą zabrać. Uśmiechnęła się.

Poczucie władzy stawało się coraz silniejsze,

- Ależ możesz, możesz! Chyba że wolisz, żebym powiedziała wszystkim, co wiem.

Usłyszała, jak Greg gwałtownie wciągnął powietrze. Kiedy znowu się odezwał, starannie kontrolował głos.

- A co takiego wiesz?

- Na przykład to, kochanie, że wcale nie zamierzasz wracać. Z tego, co słyszałam, domyślam się, że wielu ludzi nie ucieszyłoby się taką wiadomością. Być może nawet staraliby się cię zatrzymać. A poza tym jest jeszcze twoja tajna skrytka...

- Jaka tajna skrytka?

- Te pieniądze, które odłożyłeś na czarną godzinę...

- Skąd... - Urwał, ale wiedziała, że chciał zapytać, skąd ona o tym wie. Czy przeszukiwała mieszkanie podczas jego nieobecności?

Oczywiście, że nie. Wiedziała tylko tyle, co wywnioskowała z tamtej rozmowy, ale reakcja Grega upewniła ją, że poszła właściwym tropem.

- Szkoda by było wszystko to stracić, prawda? - ciągnęła słodkim głosem.

Przez chwilę panowała kompletna cisza.

- Może masz rację, Paula - odezwał się wreszcie. - Bardzo by mi cię brakowało.

- Och, z pewnością.

- Dobrze. W takim razie przyjedź tu jutro z samego rana. Tylko pamiętaj, że po prostu wyjeżdżamy na wakacje. Nic więcej nikomu nie mów, bo wszystko zepsujesz. Zrozumiałaś?

- O, tak! - Wpadła w uniesienie. Wygrała!

- Jeśli szepniesz komuś chociaż słowo, nie zabiorę cię. Czy mogę ci

zaufać?

- Oczywiście, że możesz. Przecież nie byłabym taka głupia. W końcu nie chodzi tu tylko o twoją przyszłość, ale także moją.

Odłożyła słuchawkę i spłótła ramiona na piersiach. Była tak podniecona, że ledwie mogła usiedzieć na miejscu. Wyjedzie z Gregiem. Nie tylko na wakacje, ale na całe życie. Już nigdy nie będzie mógł traktować jej obojętnie. Nie teraz. Po raz pierwszy to ona miała go pod kontrolą, tak jak tego zawsze pragnęła. Zamieszkają razem i będą mieli pieniądze, które Greg odłożył gdzieś w Południowej Ameryce albo na koncie w szwajcarskim banku. Cudownie! Cudownie!

Odrzuciła głowę i zaśmiała się z maniacką niemal radością.

Kiedy znowu się uspokoiła, poprosiła Doris, żeby spakowała jej walizki. Wyjaśniła, że wybiera się na krótkie wakacje. Gdy powiedziała, co chce ze sobą zabrać, zdziwiona Doris uniosła brwi, ale nic nie odrzekła - przyzwyczaiła się już do dziwactw pracodawczyni. Ale po co jej tyle rzeczy na krótki wyjazd?

Filozoficznie doszła do wniosku, że lepiej po prostu wypełnić polecenie. Z panią Varna nie warto się kłócić.

Paula krążyła po domu, zbyt podniecona, żeby zatrzymać się na dłużej w jednym miejscu. Kiedy położono już Harriet do łóżka, poszła do dzieciennego pokoju, żeby ucałować córkę na dobranoc. Dziecko przyłgnęło do niej kurczowo, wyczuwając, że coś jest inaczej. Paula uścisnęła ją, położyła z powrotem do łóżka, ale zaraz znowu przytuliła, zatapiając twarz w jasnych, miękkich włosach dziecka. Na chwilę zalała ją fala macierzyńskiej miłości. Czy mogłaby zabrać Harriet ze sobą? Nie, to po prostu nie byłoby praktyczne wyjście. Dziecko mogłoby wszystko popsuć. Może pewnego dnia, gdy mała będzie starsza, Paula sprowadzi ją do siebie.

- Dobranoc, dziecinko - wyszeptwała. Do oczu napłynęły jej łzy, wywołane bardziej teatralną manifestacją miłości niż prawdziwym uczuciem. Nagle ze wszystkich kątów pokoju zaczęły ją dobiegać niepokojące szept: „Nigdy nie była dobrą matką, prawda? Zupełnie się do tego nie nadaje. Ale czego innego można się po niej spodziewać?”

Paula uniosta głowę i spojrzała w mrok.

- Bądźcie cicho! Zostawcie mnie w spokoju!

Szepty przycichły. Już nie rozumiała, co mówią, słyszała tylko cichy, oskarżycielski pomruk.

Jeszcze raz pocałowała Harriet, otuliła ją kołderką i zeszła na dół. Było już prawie wpół do dziesiątej, kiedy limuzyna przywiozła Hugona do domu. Miał za sobą bardzo ciężki dzień i był zmęczony.

Najpierw lunch z Johnem Fairchildem, wszechpotężnym prezesem Fairchild Publications, który przekształcił „Womens Wear Daily” z nudnego, branżowego pisma w najatrakcyjniejszą gazetę dla każdego, kto interesował się modą. Hugo świetnie się czuł w jego towarzystwie i dlatego nieco przeciągnął spotkanie i wypił trochę więcej, niż zwykle pijał w ciągu dnia. John był takim wspaniałym kompanem, że chociaż Hugo, jak wszyscy w świecie mody, żywił zdrowy respekt dla człowieka, który jednym zdaniem mógł zniszczyć lub wyglansować projektanta, firmę odzieżową albo kogoś z eleganckiego towarzystwa, to zawsze dobrze się bawił, podziwiając jego niekonwencjonalny sposób bycia i nienaganny smak. Jednak kiedy wrócił do biura, zastał tam Jasona Hearsta, swojego prawnika, który czekał z ponurą miną, przygnębiony plotkami o Gregu Martinie. Po rozmowie z nim Hugo miał jeszcze tysiąc innych rzeczy do zrobienia, zanim mógł się spakować i wrócić do domu.

Żona była w ogrodzie i jedno spojrzenie wystarczyło, żeby się domyślić, że znów pograżyła się w jakimś dziwnym nastroju. Sally mawiała w takich przypadkach, że siostra jest „naładowana”. Paula miała zarumienioną twarz i błyszczące oczy. Widać było, że piła. Hugo postanowił traktować ją normalnie. Nalał sobie whisky i usiadł w fotelu, ale Paula do niego nie dołączyła. Miotła się po pokoju jak uwięziony motyl, który wyrывa się na wolność. Nagle zaniosta się wysokim, krótkim chichotem. Hugo spojrzał na nią zdziwiony.

- Co się stało, kochanie?

Uniosta brodę i bawiąc się kolczykiem patrzyła na męża z dziwnym uśmiechem, w którym widać było podniecenie i satysfakcję.

- Mam ci coś do powiedzenia, Hugo. Jutro wyjeżdżam z Gregiem.

Przez chwilę czuł w głowie absolutną pustkę.

- Co takiego?

- Jadę z Gregiem do Włoch. Pomyślałam sobie, że powinieneś się o tym dowiedzieć.

Patrzył na nią, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- O czym ty mówisz?

Znow wybuchnęła piskliwym, nerwowym śmiechem.

- Wyjeżdżam z Gregiem do Włoch. Czy to tak trudno pojąć? Och, Hugo! Nie bądź taki zaskoczony! Na pewno o nas wiedziałeś. Nawet ty nie mogłeś być taki ślepy. To trwa już od dawna.

- Co trwa już od dawna?

- Greg i ja. Kochamy się, i to od wielu lat. A teraz z nim odchodzę. Jutro. Wszystko ustalone.

Nagle poczuł mdłości. Wino, które wypił podczas lunchu, podeszło mu do gardła.

- Paula, na miłość boską... - Zbliżył się do niej o krok. Cofnęła się, jakby się bała jego dotyku.

- Przestań, Hugo. Nie próbuj mnie zatrzymać.

- Nie wierzę - odparł, wciąż oszołomiony. - Nic między wami nie było. Przecież czegoś bym się domyślił. To wszystko twoja wyobraźnia. Nie czujesz się dobrze. Jesteś chora.

- Chciałbyś tego. Jesteś taki sam jak oni. Wszyscy jesteście przeciwko mnie. Wszyscy, oprócz Grega.

- Nie opowiadaj głupot! Nikt nie jest przeciwko tobie. Trzeba ci pomóc. Naprawdę jesteś chora. Rano porozmawiam z Busterem.

Załatwi ci dobrego psychoanalityka.

- Nie!

- Kochanie, potrzebujesz pomocy.

- Nie. Potrzebuję Grega. - Jej oczy spoglądały teraz dziko, a usta drżały, jakby za chwilę miała znowu wybuchnąć śmiechem. Podniosła histerycznie głos. - Nadal mi nie wierzysz, prawda? Wydaje ci się, że zmyślam. Ale to prawda, Hugo. Jesteśmy kochankami, i to od lat. Pierwszy raz wziął mnie właśnie w tym pokoju, tego wieczoru, kiedy

byłeś na urodzinach matki.

- Na urodzinach...

- Nie pamiętasz? Poszedłeś tam sam. Potem mieliśmy jechać na przyjęcie. Greg przyszedł do nas. Kochał się ze mną. Tutaj... -

Zachichotała bezwiednie. - Na dywanie. Właśnie tu, gdzie teraz stoisz.

Hugo skamieniał. Coś w tonie głosu i wyrazie jej twarzy przekonało go, że choć słowa brzmią tak nieprawdopodobnie jak bełkot szaleńca, to jednak Paula mówi prawdę. Ciągle jednak nie mógł i nie chciał w to uwierzyć. To było zbyt potworne.

- Nie kłam! - krzyknął. - Nie kłamię!

- Greg by tego nie zrobił... Wiem, że to babiarz, ale... Nie, nie tutaj, nie w moim domu...

Paula zacisnęła usta w twardą linię. Te słowa brzmiały dla niej tak, jakby Hugo twierdził, że Greg jej nie kocha.

- Jeśli mi nie wierzysz, pokażę ci dowód!

Wypadła z pokoju. Usłyszał, jak biegnie na górę. Stał bez ruchu, przeczesując palcami rzednące włosy. Pot spływał mu po twarzy. Żołądek zaciskał się nerwowo.

Po kilku minutach, kiedy Paula nie wracała, wpadł w popłoch. W takim stanie była zdolna do wszystkiego. Ruszył za nią, przeskakując po dwa stopnie. Z jej pokoju wydobywało się światło. Otworzył drzwi.

Paula wkładała właśnie wieczorową suknię z zielonego jedwabiu. Spojrzała na niego wyzywająco, nasunęła cienki materiał na jedno ramię i sięgnęła do tyłu, żeby zapiąć suwak.

- Widzisz? Widzisz? - zapytała. Nagle zrozumiał, o co chodzi.

Suknia była zmięta, ponieważ od długiego czasu leżała na dnie szuflady, tam gdzie Paula schowała ją tamtego wieczoru. Ale jego uwagę zwrócił rozdarty szew. Paula zachichotała z wycięsko.

- Miałam w niej iść na przyjęcie. Nie zastanowiło cię, dlaczego się przebrałam? Wiedziałeś przecież, że to moja ulubiona suknia. Nigdy nie spytałeś, dlaczego jej nie włożyłam. Teraz już wiesz. Greg rozdarł ją w pośpiechu. Nie mógł się doczekać, kiedy ją zdejmę. I ja też nie!

Hugo miał wrażenie, że coś eksploduje w środku jego głowy. Poczł

rozrywający ból w skroniach. Rzadko się denerwował, ale teraz zupełnie stracił panowanie.

- Ty dziwko! - krzyknął i zobaczył strach w oczach żony. - Ty cholerna dziwko! Uwielbiałem cię, czciłem jak boginię. Wszystko bym dla ciebie zrobił. A ty... O, Boże... Powinienem cię zabić!

Cofnęła się o krok. Strach stawał się coraz bardziej paralizujący. Rozdarta suknia osunęła się z ramion. Podciągnęła ją i przytrzymała na piersiach.

- Powinienem cię zabić - powtórzył. - Byłem taki cierpliwy, ty zimna rybo! Nie sypiałem z tobą, bo myślałem, że boisz się ciąży, a tymczasem ty...

Paula zamarta z przerażenia. Wierzyła, że mąż za chwilę ją zabije. Kiedy rzucił się na nią, usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

- Dziwka! Suka! Pieprzyłaś się z nim, kiedy ja... Dobrze, teraz będziesz się pieprzyła ze mną. Jestem twoim mężem i za chwilę tak ci dogodzę, że przez tydzień nie będziesz mogła chodzić.

Oczy mu się zapadły, ale wargi nabiegły krwią. Zdarł z niej sukienkę, odstaniając drobne piersi, szczupłe ciało i długie, opalone nogi. Odskokczyła, ale on ją chwycił i podniósł z podłogi. Furia dodawała mu sił. Rzucił żonę na łóżko z takim rozmachem, że aż podskoczyła. Szlochając usiłowała wyczołgać się z pokoju, ale znowu złapał ją za ramię i wykręcił je nad głową, niemal wrywając ze stawu.

- Hugo, proszę! To boli!

Nie zwracał uwagi na jej błagania. Nie była już jego ukochaną żoną, ale przedmiotem. Ogarnęło go pożądanie, ale nie było ono wyrazem miłości, tylko chęcią zdominowania jej, upokorzenia, ukarania. Wszedł w nią brutalnie, a ona skręcała się i łkała. Ostry ból przeszywał jej ramię, a między nogami czuła żywy ogień.

Za chwilę było już po wszystkim, chociaż Pauli wydawało się, że trwało to całe wieki. Zwinęła się w kłębek, dla ochrony zasłaniając się ramionami.

- Nienawidzę cię... nienawidzę... Jak mogłeś?

Spojrzał na nią i przez moment nawiedził go cień dawnej miłości,

zabarwiony straszliwym poczuciem winy. Jednak rana, jaką mu zadała, była zbyt bolesna. Takiej zdrady się nie wybacza. Nawet ten pozbawiony miłości akt seksualny nie zmazał jej winy.

- Idź do niego - powiedział Hugo niskim, groźnym głosem.
- Jeśli tego właśnie pragniesz, odejdz z nim. Życzę mu dużo szczęścia z tobą. Jesteś najbardziej samolubną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Nie odpowiedziała; leżała szlochając.

- Gdybym mógł, rzuciłbym ci do stóp cały świat - ciągnął.
- Dałbym ci wszystko, czego byś zażądała. Ale tobie to nie wystarczyło. Nie będę już więcej o ciebie zabiegał. Idź do niego, i to jeszcze dzisiaj. Nie chcę spędzić ani jednej nocy więcej pod tym samym dachem co ty. Idź do niego. Mam nadzieję, że przy nim w końcu odnajdziesz spokój.

Żadne z nich nie zauważyło drobnej sylwetki stojącej w drzwiach. Obudzona krzykami Harriet wymknęła się z pokoju dziecinnego. Nie rozumiała, co się dzieje, ale wiedziała, że zaszło coś strasznego. Stała na progu, skamieniała z przerażenia. Kiedy Hugo skierował się do drzwi, wpadła w popłoch. Może ją też skrzywdzi, tak jak skrzywdził mamusię? Trzęsąc się ze strachu, uciekła w bezpieczny mrok swojego pokoju. Kiedy Hugo doszedł do drzwi, jej już nie było.

Paula odeszła bez pożegnania.

Hugo już nigdy w życiu jej nie zobaczył.

Cześć piąta

Rozdział dwudziesty szósty

Odwiozłszy Harriet na lotnisko, Tom skręcił w East Point Road. Gdyby wszystko między nim a Harriet dobrze się układało, odłożyłby wizytę u Vanessy McGuigan do następnego dnia. Odsunąłby zawodowe obowiązki o jeszcze kilka godzin, żeby być z kobietą, która fascynowała go jak żadna dotąd. Ale nie ułożyło się tak, jak sobie życzył. Pogmatwał wszystko, a zanim zdążył wyprostować sprawy, Harriet dostała wiadomość, że ojciec jest w stanie krytycznym, i natychmiast wsiadła do samolotu odlatującego do Stanów.

- Uważaj na siebie - powiedział, odstawiając ją do sali odlotów. - Będę w kontakcie.

Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem, niepokój o ojca sprawił, że zapomniała o całym świecie. Wydała mu się obca, chłodna, grzeczna, choć odrobinę wroga, i wcale nie przypominała ciepłej, podniecającej kobiety, którą ledwie ubiegłego wieczoru trzymał w ramionach.

To zrozumiałe zresztą. Ostatniej nocy poczuła się urażona. Była wściekła, przekonana, że chciał się nią tylko posłużyć w śledztwie. Wiedział, że sam jest sobie winny. Dziś ślepy los wziął sprawy w swoje ręce. Być może, gdyby nie te zatrważające wiadomości o ojcu, zdołałby ją przekonać, że niesłusznie go podejrzewa. Ale taka szansa nie była mu dana. Nie mógł się teraz nadziwić, że to wszystko tyle dla niego znaczy.

A niech to wszyscy diabli! Kobieta jak kobieta - powtarzał sobie w duchu. Na świecie jest pełno takich. A jednak ciężar, jaki czuł w sercu, przeczył tym lekkim spostrzeżeniom. Istniała tylko Harriet. Tylko jej pragnął.

To dobrze, że wyjechała - przekonywał sam siebie, przyjmując nową taktykę. Masz w końcu odwalić tu robotę - myślał - a dziewczyna tylko by ci przeszkadzała. Miłosne uniesienia zawsze przeszkadzają. Dlatego jest tak doskonałym detektywem, że nigdy nie angażował się uczuciowo. Nie miał żadnych randek, których nie sposób odwołać, nikt nie czekał na niego z niepokojem i nie utyskiwał na samotne wieczory ani zbyt późne posiłki. A przede wszystkim nic nie odciągało jego myśli od spokojnych, logicznych rozważań niezbędnych w fazie śledztwa. Z łatwością koncentrował się na kolejnym zadaniu, poświęcał mu całą

uwagę, gdy trzeba, i wszystko to, czego w danej chwili wymagała praca. Mógł sobie spokojnie myśleć o kolejnej sprawie i kładąc się do łóżka bez przeszkód zastanawiać się nad przesłankami. A potem budził się rano odświeżony, nierzadko z właściwą odpowiedzią, którą przez noc podsunęła mu podświadomość. Jeśli się śpi z kobietą, która jest czymś więcej niż przelotnym romansem, to wszystko jest niemożliwe. Myśl odrywa się od roboty. Ale przy Harriet rzeczy wyglądały jeszcze ze sto razy gorzej. Była w końcu wplątana w tę sprawę, i tak mocno skomplikowaną. Wyczuwał przez skórę istnienie utajonych intryg, faktów, które jeszcze nie wyszły na jaw. Być może obciążą one ludzi, których Harriet kocha, i będzie to dla niej bolesne. Czy gdyby sprawy przyjęły taki obrót, nie byłby czasem skłonny, ze względu na nią, przemilczeć pewnych rzeczy? A wtedy oszukałby ludzi, którzy mu płacą. Jeśli natomiast poszedłby na całość, niczego nie przemilczając, doszłoby do gorzkich wyrzutów między nim a Harriet i wszystko by się gruntownie popsuło. Incydent z ostatniego wieczoru był zaledwie kaszką z mlekiem w porównaniu z tym, co Harriet czułaby do niego, gdyby wyciągnął na jaw jakieś stare tajemnice rodzinne, albo co gorsza, gdyby się miało okazać, że właśnie te tajemnice przyczynią się do hańby, jaka okryje Harriet i jej bliskich. Tak, dobrze się stało, że wróciła do Stanów. Dzięki temu będzie mógł dalej prowadzić śledztwo, nie zaprzatając sobie głowy żadnymi trudnymi decyzjami.

Deszcz padał ciężką, szarą chmurą wilgoci, kiedy Tom jechał East Point Road. Mgła przesłaniała wody Fannie Bay tak, że tropikalne krzewy, obramowujące krawędzie skał, mogły równie dobrze stanowić już krawędź świata. Czuł lepkie gorąco, koszula kleiła mu się do pleców. Nic dziwnego, że Vanessa postanowiła sprzedać dom. Dziewczyna nawykła do balsamicznego klimatu Południa tę porę roku musiała odczuwać jak prawdziwe piekło.

Zaparkował przed bungalowem i spojrzał na dom. W ogrodzie nie dostrzegł staruszka - nie można przycinać gałęzi w takim deszczu. Ale na utwardzonym podejściu stał biały sportowy Mercedes. Tom poczuł przyptyw energii. Odsunął na bok wszelkie myśli o Harriet i wbiegł na

ganek.

Niemal natychmiast drzwi otworzyły się gwałtownie. Smukła, elegancka dziewczyna stojąca w progu niemal dorównywała mu wzrostem. Miała na sobie różowy sarong, a długie, gęste jasne włosy związane na karku dobraną kolorem przepaską. Za przyciemnionymi rzęsami zobaczył nieco kokieteryjnie rozszerzone błękitne oczy o barwie kwiatów kukurydzy. Zmrużyła je po chwili.

- Panna McGuigan, jak się domyślam - powiedział Tom niespiesznie.

- Tak. - Przechyliła głowę w bok, a długi ogon jej włosów ciężko opadł na ramię. - Pan pewnie przyszedł obejrzeć dom. Ktoś z Abbot i Skerry pana przysłał? Powinni mnie uprzedzić telefonicznie. No cóż, proszę do środka.

Tom wszedł do holu. Dopiero kiedy bezpiecznie przekroczył próg, wyjaśnił, co go sprowadza.

- Nie przyszedłem tu w sprawie domu, panno McGuigan. Szukam Rolfa Michaela.

Na chwilę zamarła. W jej błękitnych oczach dostrzegł jakiś błysk niepokoju.

- Mojego narzeczonego? Przykro mi, ale nie ma go, panie...?

- O'Neill. Tom O'Neill. - Wyciągnął wizytówkę i podał ją dziewczynie. Ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Uważnie przyjrzała się wizytówce.

- Detektyw towarzystwa ubezpieczeniowego! A po co panu Mike?

Zapamiętał to sobie. Nazwała Grega Mike'em. Albo dlatego, że był to skrót od nazwiska, albo dlatego, że znała go też jako Michaela Trafforda.

- Jest coś, o czym chciałbym z nim porozmawiać - odparł bez zająknienia. - Czy mogłaby mi pani pomóc go odnaleźć?

- Niestety, nie. Nie ma go w mieście. Mike jest bardzo zajęty.

- Nie wątpię - powiedział Tom sucho. No jasne! Już pomijając prowadzenie interesów, samo żonglowanie trzema tożsamościami musi zajmować czas. - Ale wie pani pewnie, gdzie go można łąpać?

Jej twarz, teraz pozbawiona wyrazu, nic nie zdradzała.

- Przykro mi, ale nie. A nawet gdybym wiedziała, dlaczegoż to

miałabym panu mówić, panie O'Neill?

Przesunęła się w kierunku drzwi, jakby odprowadzając go do wyjścia. Tom nie dał się wymanewrować.

- W świetle pewnych okoliczności przypuszczałem, że może będzie pani wolała rozmawiać ze mną niż z policją - powiedział swobodnie.

Jej ręka zamarta na klamce. Z satysfakcją wyczuł raczej niż zobaczył ogarniającą ją panikę. Był na dobrej drodze. Chwilę później, gdy odwróciła się od drzwi, jego podejrzenia ugruntowały się ostatecznie. W obronnym ruchu uniosła wyżej brodę i spojrzała na niego jakby wyzywająco.

- Nie wiem, czy będę mogła panu pomóc, ale proszę wejść dalej, to porozmawiamy. - Zaprowadziła go do saloniku, wyjęła papierosa z leżącej na stoliku paczki i zapaliła. Widział, że lekko drżą jej palce.

- Jeszcze raz pana pytam, o co właściwie chodzi.

- Pani nie wie? - zapytał i patrzył na nią uważnie.

- Czy inaczej pytałabym pana? - Miała doskonale niewinny wyraz twarzy.

Albo jest świetną aktorką, albo rzeczywiście żyje w nieświadomości - pomyślał Tom.

- Jak pani już wiadomo z mojej wizytówki, jestem detektywem towarzystwa ubezpieczeniowego. Teraz pracuję nad sprawą, w której chodzi o bardzo dużą kwotę. Przypuszczam, że pani narzeczony mógłby mi pomóc w śledztwie, odpowiadając na kilka pytań. Kiedy się go pani spodziewa? Po raz pierwszy dostrzegł, że się waha. Ale krótko to trwało.

- Pewnie najpierw do mnie zadzwoni. Powiem mu, że chce go pan widzieć.

- A nie, nie ma takiej potrzeby - zaprotestował Tom szybko. Za nic na świecie nie chciał spłoszyć Martina. - Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie go mogę znaleźć, a nie będę już pani zawracał więcej głowy.

- Naprawdę nie wiem. I chyba jest mi pan winien jakieś wyjaśnienia. Jakiego rodzaju sprawę ma pan na myśli?

- Odszkodowanie za śmierć. Dwie śmierci, ściślej mówiąc. Zbladła.

- W Sydney? - spytała bez zastanowienia.

Radar Toma wyłapał właściwy sygnał. Maria Vincenti. Ona sądzi, że coś się przydarzyło Marii Vincenti, i myśli, że to robota Martina. A zatem w twierdzeniach Marii, że Martin chce ją zabić, było jednak coś z prawdy - skonstatował w duchu.

- Nie, nie w Sydney - odparł. - Chodzi o wybuch na jachcie u wybrzeży Włoch. Sprawa sprzed dwudziestu lat.

Niemaskowany wyraz twarzy, z jakim słuchała jego wyjaśnień, powiedział mu więcej niż słowa. Najpierw ujrzał ulgę, potem zaskoczenie, wreszcie konsternację. A potem znowu nic. Roześmiała się wysokim, drżącym śmiechem.

- Dwadzieścia lat temu! Toż to już chyba historia, prawda?

- Nie dla mnie - odrzekł ponuro. - Ani dla towarzystwa, które wypłaciło odszkodowanie za śmierć Grega Martina.

- Grega Martina? Nie znam nikogo takiego.

- Myślę, że tak. Tak samo, jak zna pani Michaela Trafforda. Zdusiła papierosa i odwracając się do Toma, spojrzała na niego złowrogo. Przestała się pilnować i już wiedział, że nie jest tak niewinna, jak dotąd udawała.

- To wszystko przez tę kobietę, prawda? - rzuciła ostro. - To ona za tym stoi! Jej głupie kłamstwa i chora wyobraźnia! Gotowa wszystko powiedzieć, żeby go tylko odzyskać! Zazdrosna krowa! Nie może znieść tego, że rzucił ją dla młodszej. Ale co w tym dziwnego? Szkoda, że pan jej nie widział! Zniszczona i ciągle pijana. I taka chce utrzymać przy sobie Mike'a!

- A więc przyznaje pani, że pani narzeczony, Rolf Michael, i Michael Trafford to jedna i ta sama osoba?

- A po co miałabym się zapierać? Pan, jak widzę, dobrze odrobił swoje lekcje. Mike zmienił nazwisko tylko po to, żeby uwolnić się od niej i jej złośliwości. Ale ta historia z Gregiem Martinem jest po prostu wytworem chorej wyobraźni. Bóg jeden wie, skąd to wygrzebała! Pewnie przeczytała coś w starej gazecie, którą wyścieliła sobie półki w szafach!

- Nie przypuszczam, żeby Maria Vincenti należała do kobiet, które

wykładają szafy gazetami - zauważył sucho. - A jednak wie pani to i owo, panno McGuigan.

Zapaliła następnego papierosa.

- Jak mogłabym nie wiedzieć? Głośno tu o tym było. Ale zapewniam pana, panie O'Neill, że Mike nie jest tym dawnym finansistą pół-Włochem. Chyba nie sądzi pan, że gdyby tak było, żyłby tu sobie na świeczniku przez dwadzieścia lat, co?

- Zdarzały się i dziwniejsze rzeczy.

- No cóż, skoro pan mi nie wierzy...

- Chętniej uwierzyłbym słysząc to od Mike'a, jak go pani nazywa. - Spojrzała na niego twardo, a on postanowił uciec się do szantażu. - W przeciwnym razie będę musiał podzielić się moimi podejrzeniami z policją w Darwin. Chyba wpadnę na komisariat w powrotnej drodze do miasta.

- Niech pana...! - krzyknęła. Jej twarz nabrała lisiego wyrazu, rysy się zaostriły. Tom pomyślał, że teraz wcale nie wygląda pięknie. - No dobrze, pojutrze tu będzie.

- O której?

- Jakoś po południu. Zabiera mnie na kolację. Powinien być między czwartą a piątą.

- Dobrze - mruknął, myśląc, że nic a nic nie ufa tej dziewczynie i będzie zatem musiał najbliższe półtorej doby spędzić gdzieś pod jej bungalowem, żeby mieć na oku pannę McGuigan i jej wycieczki do miasta. Będzie też musiał ją śledzić żeby dowiedzieć się, dokąd jeździ i z kim się spotyka. Może mówiła prawdę... ale skąd miał wiedzieć? Tak czy owak wywabi Grega Martina z ukrycia, a potem go dopadnie.

- I nie ma już potrzeby zawiadomiania policji? - spytała.

- Żadnej potrzeby, jeśli pani nie kłamie. - Uśmiechnął się z wdziękiem.

- Jest pan człowiekiem bez serca, panie O'Neill - zdążyła powiedzieć, gdy przenikliwie zadzwonił telefon. W jej oczach znów pojawiła się czujność. - Przepraszam pana, muszę odebrać.

Kiedy wyszła z bawialni, podszedł pod drzwi i nasłuchiwał. Jeśli to

dzwonił Martin, a ona go właśnie ostrzegła, Tom wolałby o tym wiedzieć. Ale z podsłuchiwanej rozmowy szybko domyślił się, w czym rzecz. Dzwonił ktoś z Abbot i Skerry, agencji handlu nieruchomościami. Umawiali termin oględzin domu - widocznie znalazł się klient.

Tom domknął drzwi i skorzystał z okazji, żeby rozejrzeć się swobodnie po bawialni. Nic nie wskazywało na to, żeby tego dnia jakiś mężczyzna kręcił się po domu - wszystko wyglądało mniej więcej tak jak wtedy, gdy był tu z Harriet. Ale na małym stoliku obok paczki papierosów zauważył teraz folder linii lotniczych. Otworzył go błyskawicznie i zacisnął usta. Znalazł w nim dwa bilety towarzystwa lotniczego Qantas z rezerwacją na następny dzień na lot do Stanów! A więc panienska robiła go w konia! Opowiadając mu, że Greg przyjedzie pojutrze, grała na czas i myślała, że go oszuka. Gdyby jej głupio uwierzył i przyszedł za dwa dni na spotkanie z Martinem, ta dwójka gołąbków zdążyłaby już tymczasem na dobre wywiać z kraju. Niezły klient z tego Grega Martina i, jak widać, zawsze potrafi sobie zorganizować do pomocy jakąś piękną kobietę.

Usłyszał brzęknięcie telefonu towarzyszące odkładanej słuchawce i szybko położył bilety na miejsce. Zanim Vanessa wróciła do salonu, Tom zdążył już stanąć tam, gdzie go zostawiła. Wpatrywał się zawzięcie w jakieś zapiski w notesie.

- No cóż, nie sądzę, żebyśmy zdołali posunąć dziś sprawę naprzód, panno McGuigan - powiedział lekko. - Przyjadę pojutrze. Mam nadzieję, że pani narzeczony pomoże mi rozwiązać zagadkę.

Kiwnęła głową. Miał wrażenie, że w jej błękitnych oczach pojawił się błysk triumfu.

- Z całą pewnością, panie O'Neill.

Po powrocie na Telford Top End Tom zadzwonił do Roberta Gascoyne w Sydney. Nie lubił podawać obcym zdobytych przez siebie informacji ot tak, na talerzu, ale tym razem nie miał wyboru. Jeśli Martin i Vanessa mieli zamiar wyjechać z Australii, trzeba ich było zatrzymać, a tego mogła dokonać wyłącznie policja. Pod warunkiem że Gascoyne ma do tego wystarczające podstawy.

Z ulgą stwierdził, że Gascoyne tym razem wykazał żywsze

zainteresowanie Martinem niż podczas rozmowy w Sydney.

- Dobra robota, O'Neill. Zaoszczędził mi pan kupę pracy. Wygląda na to, że w FBI wygrzebali rozmaite sprawy z kartoteki Martina i dlatego zwrócili się do nas, żeby wszcząć śledztwo. Szukają go za nadużycia finansowe popełnione w Stanach. O ile, rzecz jasna, żyje.

- O tak, jak najbardziej żyje - zapewnił go Tom. - I właśnie szykuje się do powrotu na stare śmieci.

- Kusi mnie, żeby go puścić, i niech się sami huśtają z tą historią - mruknął Gascoyne. - Ale wygląda na to, że wykorzystam pańskie informacje i zdejmę go z lotniska. No to co? Robota zakończona? Złapał pan faceta i zaoszczędził swoim klientom kupę forsy, co?

- Nie, dla mnie to jeszcze nie koniec - odparł Tom. - Można powiedzieć, że w pewnych sprawach jestem dopiero na początku drogi.

- Jak to?

Tom zacisnął szczęki. W tej chwili wyglądał jak człowiek, któremu obca jest wszelka litość.

- Moja praca zostanie zakończona dopiero wtedy, kiedy ustalę, co się stało z panią Paulą Varna.

Rozdział dwudziesty siódmy

Sally przyjechała do szpitala pół godziny po telefonie od Harriet. Weszła do poczekalni otulając się ciasno futrem, zupełnie jakby mimo gorąca panującego wewnątrz budynku nadal było jej zimno.

- Jak on się czuje, Harriet?
- Jakoś się trzyma. Ale z tego, co wiem, wszystko wisi na włosku. -

Harriet czuła, że ma zupełnie zeszywniała twarz. Z trudem ruszała ustami, ale cieszyła się, że wreszcie nie jest sama.

- Co się właściwie stało? - zapytała Sally.
- No... dostał kolejnego ataku. Byłam przy nim. To okropne...
- Głos jej się załamał, wyteżyła siły i opanowała emocje.
- Straszne. Tak źle wyglądał, Sally... A ta cholerna maszyna

zawodziła jak potępieniec...

Sally zakryła dłonią oczy. Była blada, zmęczona i Harriet domyśliła się, że nie zdążyła jeszcze pewnie zasnąć, kiedy telefon wezwał ją znów do szpitala. A mimo to miała bezbłędnie zrobiony makijaż i elegancko ufryzowane włosy. Harriet zastanawiała się, czy Sally zawsze wygląda jak spod igły? Pewnie na własnym pogrzebie będzie robić wrażenie, że właśnie idzie na bal.

Gdy drzwi się otworzyły, obie drgnęły nerwowo. Do poczekalni weszła ubrana na biało pielęgniarka. Stały napięte do granic wytrzymałości. Spodziewały się, że zaraz pewnie usłyszą... Ale kobieta ledwie dostrzegalnie pokręciła głową i zaproponowała im kawę. Harriet z wdzięcznością popijała czarny płyn - kawa zwilżała jej wyschnięte gardło. Sally odstawiła nietkniętą filiżankę na mały biały stolik, tuż obok sterty błyszczących kolorowych czasopism.

- Nic z tego nie rozumiem. Kiedy stąd wyjeżdżałam, był już w lepszej formie... Może za bardzo przeżył powitanie z tobą?

- Może... Mówił dziwne rzeczy, jak w malignie... Był bardzo zdenerwowany... - Urwała. Tyle pytań kołatało jej się po głowie. Instynktownie czuła, że na niektóre z nich Sally zna odpowiedź. Ale ani to czas, ani miejsce... Porozmawiają później, kiedy już będzie jasne, że ojciec z tego wyjdzie.

Sally nerwowo spacerowała po poczekalni, chodziła od okna do drzwi, jak pantera w klatce. Jej charakterystyczne opanowanie zniknęło. Harriet podeszła do niej. Objęła ją - całe życie traktowała ją jak matkę.

- Usiądź, Sally. Jeszcze i ty się rozchorujesz, a to nie pomoże nikomu.

Sally przycisnęła dłonie do ust. Czubki palców, zakończone szkarłatnymi paznokciami, odcisnęły białe plamy na twarzy.

- On musi wyzdrowieć, Harriet! Nie zniostabym tego, gdyby umarł. O Boże, tak bardzo go kocham!

Harriet uścisnęła ją lekko.

- Wiem.

Sally obsesyjnie potrząsała głową, niczym ogarnięte bólem zwierzę.

- Nie, ty tego nie rozumiesz, Tyle lat z tym żyłam, a teraz spada to na mnie jak kara... To było podłe z mojej strony... Wiem, że źle zrobiłam, ale tak bardzo go kochałam. Nie mogłam znieść myśli, że go stracę. Nie mogę go stracić teraz!

- Nie stracisz go na pewno - uspokajała ciotkę udając, że nie ma żadnych wątpliwości. - W tacie jest ogromna wola życia, a poza tym ma tu świetną opiekę.

W duchu jednak zadawała sobie rozmaite pytania. O czym, do licha, Sally mówi? Najpierw te niejasne słowa ojca, a teraz znów Sally zadrećza się nie wiadomo czym... Jest coś, o czym nie wiem - myślała. Coś, co ukrywano przede mną tyle lat.. ale dowiem się, co to takiego! Tata mógł po prostu mówić o tamtym wieczorze sprzed lat, lecz Sally? Nie miała z tym przecież nic wspólnego, nawet nie było jej w Stanach... Nie, Sally mówi o czymś zupełnie innym niż ojciec, o czymś, co prześladowało ją przez te wszystkie lata. Zrobiła coś „podłego”, coś „złego”.

- Tak się bałam, że odkryje prawdę -jęczała Sally. - Jeszcze w zeszłym tygodniu powtarzałam sobie w duchu, że zrobię wszystko, byle się nigdy nie dowiedział. A teraz, kiedy zachorował... Jeśli umrze, to naturalnie nigdy się nie dowie. Tylko że nie ma to już dla mnie znaczenia. Ważne jest tylko jedno: żeby wyzdrowiał.

- Wyzdrowieje. Na pewno wyzdrowieje!

- Na pewno? Nie wiem. Przez wszystkie te wspólne lata nie był naprawdę mój. Nie w pełni. Ukradłam go, Harriet. Skradłam go jej, a teraz ona mi go odbiera...

- Na litość boską, przestań już, Sally! - wybuchnęła Harriet. - Wpadłaś w histerię. Nie wiem, o czym ty mówisz, ale nie mogłaś ukraść go mamie, bo wtedy już nie żyła! Jeszcze niedawno nie chciałam w to wierzyć, ale teraz wierzę. Mama już wtedy nie żyła, Sally. Nie żyje od dwudziestu lat!

Ramiona Sally drżały, zdawało się, że cała jej postać tonie w olbrzymim futrze.

- Nie, nie! Nie od dwudziestu lat...

Harriet zrobiło się zimno. Poczwała lodowate igły na plecach. Spojrzała na ciotkę twardym, pustym wzrokiem.

- O czym ty mówisz?

Ktoś otworzył drzwi. Odwróciły się obie. W progu stał doktor Clavell. Miał poważną minę. Harriet znów miała serce w gardle.

- Doktorze, czy tata...? - Nie mogła skończyć.

- Nie, nie przynoszę najgorszych wiadomości. - Uśmiechnął się blado. - Wygląda na to, że kryzys minął. Na razie.

- To znaczy, że wyzdrowieje? - Sally, obejmując się ciasno ramionami, siedziała cały czas bez ruchu.

- Nie mogę zapewnić pani o tym z całą mocą. Na to jeszcze za wcześnie. Trudno jest prognozować cokolwiek w takich przypadkach i nie chciałbym budzić w paniach fałszywych nadziei. Serce ludzkie ma swoją wytrzymałość i pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć. Ale tymczasem wydaje się, że panujemy nad sytuacją. Chciałybyście go panie teraz zobaczyć?

- A można? - zapytała Harriet.

- Pod warunkiem że nie będzie się denerwował ani przeżywał niczego nadmiernie. - Doktor Clavell patrzył na nią ponuro. - Proszę pamiętać, że to bardzo chory człowiek.

- Zdajemy sobie z tego sprawę.

Spojrzała na Sally. Ciotka miała wciąż nieprzytomne oczy i była

bardzo blada, ale w jej rozchylonych ustach czaiła się nadzieja.

Harriet objęła ją ramieniem. Jeśli nawet dzieliły je ciemne tajemnice, nie było co się teraz w nie zagłębiać. Jak Sally sama przed chwilą powiedziała - chodziło o to, żeby ojciec wyzdrowiał.

- Chodź, Sally - szepnęła.

Lekarz zaprowadził je do pokoju Hugona.

Kiedy szofer, Danny, zawiózł wreszcie Sally i Harriet do domu przy Central Park South, był już późny wieczór. Kucharka, Jane, przygotowała im kolację na zimno i domową zupę z rzeżuchy. I chociaż Harriet wiedziała, że zupa jest pyszna jak zawsze, nie miała ochoty na jedzenie. Wiedziała też, że i Sally nie ma apetytu.

- Muszę się czegoś napić. - Podeszła do barku, nalała sobie dużą porcję wódki i wychyliła ją do dna. - Co ci podać, Sally?

Ciotka potrząsnęła głową. Harriet nalała jej brandy.

- Wypij, na litość boską. Dobrze ci to zrobi.

Kiedy Sally popijała trunek, na jej policzki wypląnął blady rumieniec. Teraz znów zamknęła się w sobie. Siedziała taka cicha, odcięta od świata, że Harriet niemal zwątpiła, czy rzeczywiście na własne uszy słyszała ten nieoczekiwany wybuch emocji w szpitalnej poczekalni. Z niewyspania kręciło jej się w głowie i wszystko zdawało się bardzo mało realne, ale wiedziała, że teraz nie zaśnie. Była nazbyt spięta, a mózg pracował na zwiększonych obrotach. Musi się dowiedzieć, co Sally miała na myśli, tam w szpitalu. Tylko jak ją o to spytać, kiedy siedzi taka zrozpaczona?

Nagle Sally dopiła brandy i gwałtownie wyrwała się z odrętwienia.

- Co ci tata mówił, kiedy nadszedł ten drugi atak serca? - zapytała niskim, pewnym głosem.

Harriet umknęła wzrokiem. Nie chciała powtarzać jego pełnych bólu wyrzutów.

- Nic takiego. Nie bardzo mogłam zrozumieć. Ale myślę, że czuje się winny śmierci mamy.

- Tak, też tak sędzę - przyznała Sally. - Oczywiście nie ma żadnych powodów. Był cudownym mężem, szczodrym i kochającym. Dawał Pauli

czego tylko zapragnęła i gotów był wybaczyć jej wszystko. No, prawie wszystko... - Urwała. Odptynęła gdzieś wzrokiem, a po chwili, kiedy się znów odezwała, mówiła już tak cicho, że Harriet z trudem wyłapywała słowa. - Na tym właśnie polegało nieszczęście. Sądziłam... tak, sądziłam, że gotów ją w każdej chwili przyjąć z powrotem. Nawet po tym, co mu zrobiła, po tym, jak bardzo go zraniła. Nawet, Boże dopomóż nam wszystkim, nawet w tym stanie, w jakim była... Sądziłam, że ją przyjmie, i nie mogłam znieść tej myśli. Ani ze względu na siebie, tak bardzo go kochałam... ani ze względu na niego. Jak wyglądałoby wtedy jego życie? Życie nas wszystkich?

Harriet pochyliła się do ciotki, mocno ściskając kieliszek, który zaczął drżeć w jej dłoniach. Nie wiedziała, jak sprowokować Sally do mówienia, ale teraz ciotka sama wróciła do wspomnień. Zupełnie jakby fakt, że Hugo znalazł się jedną nogą w grobie, otworzył groblę na tamie zamkniętej od dwudziestu lat. Ale te urywane, pełne męki zdania nadal nie układały się w sensowną całość.

- Sally, czy ja dobrze rozumiem? Chcesz powiedzieć, że mama tak samo jak Greg Martin, wcale nie zginęła?

Grymas bólu wykrzywił twarz ciotki. A potem Sally ledwie dostrzegalnie skinęła głową. Serce Harriet waliło tak mocno, że mało jej nie zadusiło.

- To znaczy, że mama żyje?

- Nie, teraz już nie żyje.

- Ale nie zginęła w wypadku?

- Nie.

- I wiedziałaś o tym? Wszystkie te lata wiedziałaś? O Boże! Czy tata też wiedział?

- Nie. - Sally mocno potrząsnęła głową. Zdawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem. - On nie może się o tym dowiedzieć, Harriet. Nie może! Dlatego tak strasznie się przestraszyłam, kiedy wyszło na jaw, że Greg Martin żyje, i kiedy się zjawił ten detektyw. Wszystko się teraz wyda, prawda? O Boże, on mnie znenawidzi...

- Dlaczego, Sally? - Harriet naciskała, choć elementy łamigłówki

zaczynały układać się w całość, której być może wcale nie chciała zobaczyć. - Dlaczego miałby cię zniechęcić?

- Bo wiedziałam, że ona żyje, i nic mu nie powiedziałam.

Pozwoliłam mu żyć ze świadomością, że umarła. Ukryłam to przed nim. Zatrzymałam tę wiedzę dla siebie. Tak, wmawiałam sobie, że tak będzie lepiej. Że chronię i jego, i ciebie przed bólem. Ale w gruncie rzeczy działałam z egoistycznych pobudek. Zawsze uważałam, że to Paula jest egoistką, ale w końcu okazałam się dokładnie taka sama jak ona, a może i jeszcze gorsza. Ona przynajmniej niczego nie tajiła, obnosiła ten swój egoizm publicznie, a ja działałam z ukrycia, podstępnie.... Oszukałam was wszystkich, Harriet, niech mi Bóg wybaczy!

Uniosła kieliszek do ust, ale nie było w nim już ani kropli. Odrzuciła głowę w tył; z jej gardła dobył się szloch. Harriet podeszła do barku i przyniosła butelkę. Napełniła kieliszek ciotki i swój. Chciała się napić. Pewnie jeszcze nie raz będzie miała ochotę na coś mocniejszego, zanim dojdą do końca zagadki. Czuła to przez skórę.

Sally siedziała na samym brzeżku antycznego krzesła; Harriet przyniosła jej puf. Była rozdygotana, ale dziwnie spokojna, zupełnie jak oko cyklonu.

- Chyba opowiesz mi teraz wszystko, Sally, prawda? Ciotka odtajała, jakby stawiała już czoło najgorszemu i cudem ocalała. Po tylu latach lodowa pokrywa wreszcie pękła. Teraz wszystko, co Sally mogła zrobić, to wyjaśnić Harriet do końca tajemnice i mieć nadzieję, że dziewczyna zrozumie. Ale nawet gdyby nie rozumiała, cóż to za ulga móc wreszcie pozbyć się sekretu, który tak ciąży od lat! Koniec z kłamstwami i oszustwami. Teraz przynajmniej Harriet będzie w końcu wiedziała, z kim ma do czynienia.

- Od czego mam zacząć? - spytała.

Harriet pociągnęła brandy i spojrzała ciotce prosto w oczy.

- Od samego początku.

- Dobrze. Zapowiadała się długa noc.

Przyjechałam do nowego Jorku, jak tylko dostałam wiadomość o wypadku - zaczęła Sally. - Hugo, twój ojciec, zadzwonił do mnie. Był w

straszonym stanie. Z początku utrzymywał, że Paula wyjechała na wakacje z Gregiem i wypadek zdarzył się podczas zwykłego urlopu. Ale czułam, że Hugona dręczy coś więcej. Spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy dla Marka i dla siebie i wyleciałam z Londynu pierwszym możliwym samolotem. Sama byłam okropnie wstrząśnięta, jak możesz sobie wyobrazić, i ciągle myślałam tylko, żeby jak najszybciej znaleźć się już przy was. Przy tobie i Hugonie. Solidarność rodzinna była wtedy dla mnie najważniejsza. Musieliśmy być razem, żeby się wspierać w nieszczęściu. Potem, kiedy już się tu znalazłam, Hugo opowiedział mi całą historię. Opowiedział mi o romansie Pauli z Gregiem i o tym, jak mu w przeddzień wyjazdu do Włoch zakomunikowała, że od niego odchodzi. Oczywiście, zaczął wtedy szaleć. Wyrzucił ją z domu i powiedział, żeby nie wracała. Poleciała z Gregiem do Włoch, a następnego dnia wyłynęli jachtem w morze. Jacyś żeglarze widzieli ich tego dnia samych na pokładzie. Tyle już i ja wiedziałam, rzecz jasna. Gazety rozpisywały się na ten temat, przytaczały szczegóły eksplozji. I jeśli o mnie chodzi, na tym się sprawa kończyła. Hugo był w strasznej formie. Wciąż się obwiniął o śmierć Pauli, chociaż zupełnie bezpodstawnie. Zgodziłam się zostać z nim w Nowym Jorku, żeby go wspierać i zająć się tobą. - Urwała i spojrzała na Harriet. - Z początku tylko to mną kierowało, naprawdę. Ale z czasem wszystko zaczęło się komplikować. Zakochałam się.

- W tacie - uzupełniła Harriet cicho. Sally skinęła głową.

- Tak. Zawsze mi się podobał. Uważałam, że Paula jest głupia, że go nie docenia. A ból i smutek bardzo nas z Hugonem zbliżyły. To cudowny człowiek. Nie muszę ci zresztą tego mówić, sama wiesz... A wtedy był całkiem załamany. Nie wiem, czy zwrócił się do mnie dlatego, że przypominałam mu Paulę, czy dlatego, że akurat byłam pod ręką... A może z innych, głębszych powodów? Nie wiem. To, co zaczęło się między nami, nabrało może zbyt dużego tempa, ale tak się po prostu stało, i już. Gwałtownie... I nagle, po raz pierwszy w życiu, byłam nie tylko szaleńczo szczęśliwa z mężczyzną, ale też czułam, że jestem przy nim bezpieczna.

Przerwała i zaczęła odtwarzać w myślach, co czuła, kiedy się

zorientowała, że Hugo odwzajemnia jej miłość. Raptem okazało się, że ten wspaniały mężczyzna właśnie jej potrzebuje. Ile czasu minęło, zanim do tego doszło? Nie wiedziała. Ale kiedy zrozumiała, że Hugo ją kocha, uczucie wybuchnęło z siłą, która omal nie zbiła jej z nóg.

Przypomniała sobie ten wieczór. Siedzieli w ogrodzie. Dzieci leżały już w łóżkach. Nagle Hugo w geście pełnym rozpaczony zatopił twarz w dłoniach.

- Gdzie zrobiłem błąd? - zapytał, a ona podeszła i go objęła.

- Nie zrobiłeś żadnego błędu, Hugo. Wierz mi, że to nie twoja wina. To cała Paula. Zawsze taka sama. Taka była, i już.

- To była chora kobieta, Sally. Wiedziałem o tym i powinienem był zorganizować jej pomoc.

- Hugo, przestań się wreszcie torturować. Na pewno zrobię wszystko, co w twojej mocy.

- Robiłem, co mogłem. - Niemal namacalnie czuła cierpienie Hugona; fale bólu wstrząsały jego ciałem. - Myślałem, że uda mi się sprawić, że mnie pokocha, ale się nie udało. To moja największa porażka.

- Paula nie była zdolna do miłości - powiedziała Sally, głaszcząc go po włosach. - Była piękna i pociągająca, ale nie potrafiła kochać.

- Kochała Grega.

- Nie sądzę. - Sally czuła, że trafia w sedno prawdy. - Szalała za nim, bo go nie mogła mieć. Paula zawsze wyciągała ręce po to, czego nie mogła dostać.

- Och, Boże, dlaczego choć trochę nie przypominała ciebie? - wyrwało mu się z głębi serca.

Poczuła wtedy, jak coś ukuło ją mocno, ale i słodko zarazem. Przez dłuższą chwilę trwali tak w bezruchu - ona, pocieszycielka, i on - udręczony człowiek. A potem, nieomal niepostrzeżenie, odczuła przenikający ją prąd. Z początku chciała go stłumić. Mówiła sobie, że nie wolno jej fizycznie pragnąć męża siostry. Ale kiedy odwrócił twarz i wtulił w jej piersi, a później ostrożnie przesunął dłonią po plecach, nie bez zdziwienia uświadomiła sobie, że nie jest osamotniona w tych

pragnieniach. Przytuliła się mocniej. Zapomniała o wszystkim, myślała tylko o tym, jak cudownie mieć go tak blisko. Podniósł głowę, a ona usiadła przy nim tak, że mogli teraz patrzeć sobie prosto w oczy. I patrzyli tak, patrzyli bez końca, zaglądając sobie głęboko w dusze.

Nawet teraz, po latach, tak wyraźnie pamiętała tę chwilę - zapach róż w nagrzanym powietrzu, stłumione odgłosy miasta i Hugona... Patrzył na nią jak jeszcze nikt w życiu...

- Sally.... - Westchnął głęboko, a potem drżąc objął ją i przytknął wargi do jej ust. - Sally, Sally, Sally...

Ich pragnienie zrodziło się z nie zaspokojonych tęsknot. Przywarli do siebie jak dzieci w czasie burzy i odnaleźli w sobie dopełnienie, jakiego istnienia w ogóle dotąd nie podejrzewali. Tam, w odizolowanym od świata ogrodzie, na wyspie bólu i rozpaczy, zrodziła się nowa miłość. I wszystko w niej od razu było: uniesienia i zagrożenie. Miłość pełna i wszechogarniająca. Bez słowa, jak pijani, weszli do domu, a potem schodami na górę...

W sypialni nie było żadnych rzeczy Pauli. Bo niby jak? Od dawna spał w niej tylko Hugo. Ale nawet gdyby się okazało inaczej, Sally i tak nie zwróciłaby na to uwagi. Od czasu Stuarta nie miała nikogo. Nie chciała nikogo. A teraz, przy Hugonie, wszystko inne natychmiast przestało się liczyć.

Potem, leżąc w jego ramionach, zaczęła się bać. Może będzie nią teraz gardził? Może potrzebował jej tylko po to, żeby przynieść sobie chwilową ulgę? Ale nie. Traktował ją równie szarmancko jak Paulę - zaskoczyło ją to i wprawiło w wielką radość. A tak jej kiedyś tego zazdrościła... Oczywiście, w stosunku Hugona do niej nie znajdowała tego szaleńczego uwielbienia, jakim obdarzał siostrę. Może było na to jeszcze za wcześnie, a może do takich porywów zdolny był tylko raz w życiu? Zdarzały się też chwile, kiedy widziała, jak Hugo wzrokiem pełnym bólu patrzy gdzieś w dal, lecz w jego oczach nie dostrzegała już rozpaczy. Cieszyła się tym, była dumna z tego, że dzięki niej i przy niej stanął w końcu na nogach.

Z biegiem tygodni stawali się sobie coraz bliżsi. Mimo upływu lat ten

ciepły blask, którego doświadczała wtedy, nadal ją rozgrzewał. Oplotła kolana ramionami i wspominała. Och, jakże im było cudownie! Miłość, bezpieczeństwo i szczęście splecione w całość. Pławiła się w tej bezpiecznej, pewnej miłości, którą przestroniła jej wszystko to, czego dotąd zaznała, miłości mężczyzny, który - nie wątpiła w to ani przez chwilę - nigdy jej nie zawiedzie.

- Sally? - Głos Harriet przerwał wspomnienia; spojrzała nieprzytomnie, jakby wracała z dalekiej podróży.

- Tak?

- Nie powiedziałaś mi, co się stało. Przepraszam, ale muszę wiedzieć.

- Tak. Tak, chyba musisz. No więc, jak ci mówiłam, zakochałam się w twoim ojcu i sądziłam, że on zakochał się we mnie. Oczywiście, musieliśmy zachować dyskrecję. Ludzie powiedzieliby, że to za wcześnie, że nieprzyzwoicie, ale to wcale tak nie było. Hugo ani trochę nie przestał kochać Pauli, wiedziałam o tym. Nic, co się między nami zdarzyło, nie umniejszało jego miłości do niej. Ale ona umarła, a ja żyłam. I byłam mu potrzebna. Lato dobiegało końca i nadeszła pora mojego powrotu do Anglii. Mark zaczynał szkołę. Nie mogłam o tym myśleć. Hugo poprosił mnie jednak, żebym z nim została. „Straciłem Paulę, nie chcę też stracić ciebie” - powiedział. No więc zostałam. Dlaczego nie? Hugo chciał mnie mieć przy sobie, ty też. Byłaś roztrzęsiona po zniknięciu Pauli, choć nigdy, prawdę mówiąc, nie poświęcała ci wiele uwagi. Być może udzieliła ci się atmosfera panująca w domu? Tylko ja potrafiłam cię uspokoić, kiedy nikt sobie z tobą nie radził. Poza tym, nie chciałam cię skazywać na kolejne nianie, zwłaszcza gdyby twój ojciec znów popadł w depresję. No i dla Marka pozostanie w Stanach też się zapowiadało korzystnie. Niełatwo mi go, było wychowywać zupełnie samej przy tak skromnych dochodach. Dotychczas korzystałam z dochodzących opiekunek albo z przedszkola. Z biegiem czasu albo musiałby biegać po ulicach z kluczem na szyi, albo trzeba by zrezygnować z tych drobnych luksusów, na które mogłam sobie pozwolić z mojej marnej pensji. A i tak nie doświadczała ich wielu. Tu, w Stanach, miał szansę żyć w zamożnym

domu i cieszyć się wszystkim, co się z tym wiąże. A ja? Już ci powiedziałam, że nigdy w życiu nie czułam się jeszcze tak szczęśliwa. Był to dla mnie po prostu raj na ziemi. A potem bomba wybuchła.

- Co? - zapytała Harriet. Gardło miała ściśnięte, ledwie mogła oddychać.

- Nadszedł list. Z Włoch. Adresowany do twojego ojca, ale on akurat wyjechał z miasta na pokaz. Otworzyłam. Po dziś dzień nie wiem, co mną kierowało. Nie mam zwyczaju otwierać cudzych listów. Ale jakiś szósty zmysł mi podpowiadał, że ten list jest ważny. Wiesz, że otwierając go, myślałam, że zemdleję? Jakbym wiedziała, że za chwilę gruchnie coś, co wstrząśnie moim światem.

- List był od mamy?

- Nie. O, nie. Rozpoznałabym jej pismo. Nie, list nadszedł od siostry Marii Teresy.

- A kim była siostra Maria Teresa?

- Zakonnica. Należała do pewnego zakonu, który prowadził szpital na małej wysepce u brzegów Sycylii. Bardzo szczególny szpital, trzeba stwierdzić.

- I...?

- W liście siostra Teresa pisała, że jest u nich Paula. Wcale nie umarła. Żyje. - Urwała. Jej oczy znów zasły mgłą. Miała uczucie, że patrzy na ten list, list, który zapowiadał koniec nowo odnalezionego szczęścia.

Nie było to aż tak proste, oczywiście. Z początku ogarnęła ją radość, że Paula żyje. I niedowierzanie. Ale potem - ze wstydem musi przyznać - zorientowała się, co to, niestety, dla niej znaczy. Skoro Paula żyła, to Hugo nie był wolny. Ani prawnie, ani emocjonalnie. Sally doskonale wiedziała, że bez względu na to, kim się dla niego stała, nie może konkurować z Paulą. Wszystkie doświadczenia dzieciństwa i młodości wskazywały na to, że przy siostrze zawsze grała tylko drugie skrzypce. Nikt nie wynosił jej nigdy ponad Paulę. I Hugo też by tego nie zrobił. Zwłaszcza że niegdyś tak Paulę uwielbiał. Zadrzała zupełnie tak jak wtedy. Znów zobaczyła marzenia rozsypujące się w proch. Nienawidziła

się za ten egoizm, ale nie potrafiła go zwalczyć.

- Sally? - Głos Harriet znowu sprowadził ją na ziemię. - Co powiedziałaś? Że mama została ranna w czasie wybuchu i że leżała w szpitalu u sióstr?

- Ranna? Nie. O tym nie było ani słowa.

- No więc co robiła w szpitalu? I dlaczego nikt dotąd nie wiedział, że tam jest? Ile to czasu minęło od wypadku? Parę miesięcy? Przecież zakonnice musiały to zgłosić na policję.

- Jak widać nie. Nie wiedziały, kim jest.

- Ale musiały trafić na wzmianki w gazetach!

- Nie czytały prasy. To bardzo mała wysepka. Odseparowana od świata, prymitywna. Zakonnice żyją tam niemal w pełnej izolacji.

Harriet potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Skoro mama żyła i nie była ranna, dlaczego sama nie powiedziała im, jak się nazywa? Dlaczego sama nie próbowała się z nami skontaktować?

Sally przez chwilę milczała. Jakiś cień okrył jej twarz. Splotła dłonie i mocno je zacisnęła. Potem spojrzała Harriet prosto w oczy.

- Nie była ranna ani chora w potocznym znaczeniu tego słowa.

Obawiam się, Harriet, że twoja matka zapadła na ciężką chorobę psychiczną.

Harriet zamarła. Zdrętwiała z wrażenia.

- Co powiedziałaś?

Sally przełknęła ślinę. W jej oczach Harriet ujrzała współczucie, wstyd i cierpienie.

- Przykro mi, ale taka jest prawda. Symptomy objawiały się wcześniej, tylko nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, jak poważna choroba się za nimi kryje. Zamykała się w sobie, miała urojenia, często wycofywała się w swój własny, wewnętrzny świat. Widziałam to w części, kiedy przyjechałam do nich w odwiedziny dwa lata przed wypadkiem. Hugo też się tym gryzł od pewnego czasu. Ale wiesz, jak to jest. Człowiek ma nadzieję, że to nie to, że się myli. Teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, mam wrażenie, że był to wczesny etap

schizofrenii. Kto wie, jak by się wszystko potoczyło, gdyby ją wcześniej leczyć? Może nie doszłoby do tego... Ale po tym, jak wyjechała z Gregiem do Włoch, najwyraźniej zdarzyło się coś, co spowodowało nasilenie choroby. Kiedy siostry napisały list, Paula była już bardzo chora i nikt nie mógł jej pomóc, choć poddawano ją wszelkim możliwym wówczas kuracjom. Pogrążyła się w swoim świecie. Nie wiedziała nawet, kim jest.

- Nie rozumiem. - Pierwszy kataleptyczny szok minął i Harriet zaczęła drżeć. - Skoro mama nie wiedziała, kim jest, jakim cudem zakonnice zdobyły adres taty? A poza tym, co mama robiła na tej wyspie? Przecież płynęła razem z Martinem. Są na to świadkowie.

- Może nigdy nie dowiemy się prawdy? Tylko Greg mógłby ją nam wyjawić, jeśli wie. Mogę ci powtórzyć jedynie to, co powiedziała mi siostra Maria Teresa. Jacyś rybacy znaleźli Paulę w małej, miotanej falami łódeczce. Twoja matka była ledwie żywa ze strachu. Nie wiedzieli, kim jest. Jak ci już mówiłam, wysepka jest niemal odizolowana od świata. Zresztą nawet jeśli docierały tam jakieś gazety, nie wiem, czy rybacy w ogóle umieli czytać. Zrobili jedyną rzecz, jaka im przyszła do głowy. Zabrali ją do szpitala. A tam zajęły się nią zakonnice.

- Nie mogę w to uwierzyć, że nikt nie zgłosił tego na policję i nie próbował dociec, kim mama jest! To przecież istne szaleństwo! Ktoś musiał zasięgać języka!

- Ludzie, którzy żyją w takich zbiorowościach, sami stanowią prawo. Może siostry uznały, że lepiej zatrzymać ją tam na pewien czas, zanim oddadzą ją światu, który ją wpędził w chorobę? Nie wiem. Mogę ci tylko opowiedzieć, Harriet, co się wtedy zdarzyło.

- Jeszcze nie wyjaśniłaś mi, jak doszło do tego, że wreszcie zdobyły adres taty. Mama nie wiedziała, kim jest, a zakonnice nie zadały sobie trudu, żeby ustalić jej tożsamość.

- Któregoś dnia zaczęła widać składowiej mówić i podała im nazwisko i adres twojego ojca, a one uznały za swój obowiązek do niego napisać. Tylko że to ja otworzyłam ten list.

- O Boże! - szepnęła Harriet. Wzięła butelkę, nalała sobie kolejnego

drinka i wypita alkohol duszkiem. - I co zrobiłaś? - zapytała po chwili.

- Pojechałam do Włoch - odparła Sally. - Pojechałam zobaczyć Paulę.

- Nic nie mówiąc tacie?

Sally zmieniła się na twarzy; zamknęła oczy, potem je otworzyła.

- Tak. Wiem, że źle zrobiłam. Ale wtedy mówiłam sobie, że zanim go tym zdenerwuję, sama muszę zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Wiedziałam, że bardzo to przeżyje, i chciałam mu tego oszczędzić. Ale jeśli mam być całkiem szczerą, nie tylko to mną wtedy kierowało. Nie chciałam, żeby się dowiedział, że Paula żyje, Harriet. Niech mi Bóg wybaczy. Chciałam zatrzymać go dla siebie, najdłużej jak się da. Naturalnie, powiedziałabym mu o tym, gdyby istniała szansa, że twoją matkę da się uratować. Nie mogłabym żyć, wiedząc, że można jej pomóc, a ja nic nie robię. Ale kiedy spojrzałam na Paulę, od razu wiedziałam, że nie ma dla niej nadziei. Nie była tą Paulą, którą znaleźliśmy i kochaliśmy wszyscy. Tamta dziewczyna odeszła na zawsze, a zamiast niej pojawił się bełkoczący, patrzący tępym wzrokiem stwór. Nic więcej. Mamrotała coś pod nosem i patrzyła w pustkę. No więc po co właściwie miałam mu o tym mówić? Przeżywałby katusze, gdyby ją taką zobaczył.

- Ale miał prawo wiedzieć - zauważyła Harriet ochryptym głosem. - Jak mogłaś to przemilczeć, Sally? Przecież, na litość boską, to była jego żona! I moja matka!

Jakiś czas Sally milczała, a kiedy przemówiła, jej głos był przesycony bólem.

- Myślisz, że tego nie wiem, Harriet? Myślisz, że nie myślałam o tym bez przerwy, przez całe dwadzieścia lat? Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Mogłabym powiedzieć, że zrobiłam to wyłącznie dla niego, choć Bóg mi świadkiem, że i dla niego też. Pomyśl, jak wyglądałoby jego życie? Żyłby uwięzany przy kobiecie, która zupełnie i bezpowrotnie straciła rozum. Nie zostawiłby jej. To nie byłoby w jego stylu. Poświęciłby się jej, póki by żyła. I po co?

I tak by tego nie doceniła. Czy byłby przy niej, czy nie, nie miałyby dla niej zupełnie żadnego znaczenia. Tam, na wyspie, było jej tak samo

dobrze, jak w każdym innym miejscu. O tobie też wtedy myślałam. Wycierpiałaś już swoje, Harriet. Chciałam oszczędzić ci tej koszmarnej świadomości, że twoja matka jest w domu wariatów. A w przyszłości niepokojów, że ty też być może nosisz w sobie chorobę i kto wie, czy nie przekazesz jej dzieciom.

Harriet bezradnie potrząsnęła głową. Ostatnie zdanie Sally w ogóle do niej nie dotarło. Myślała tylko o tym, że matka, zagubiona, przestraszona i chora, spędzała długie lata pośród obcych ludzi na jakiejś odległej wyspie.

- Jak mogłaś to zrobić, Sally? - zapytała. - Trudno mi uwierzyć, że po prostu ją tam zostawiłaś!

- Proszę cię, nie mów tak, Harriet! - Sally zaczęła płakać. - Miała tam dobrą opiekę i śliczne otoczenie. Przynajmniej czuła ciepłe słońce. Wiesz, że zawsze uwielbiała słońce, jeśli akurat na chwilę zapomniała, że od słońca robią się jej zmarszczki. Nie mów tak, Harriet! Proszę cię... Nie zniosę tego. Wystarczy już, że sama się w kółko obwiniam, ale jeśli i ty... Przecież zawsze byliśmy sobie tak bliskie, Harriet. Zawsze myślałam o tobie jak o własnym dziecku...

Wyciągnęła rękę do siostrzenicy, rozpaczliwie szukając pociechy, ale Harriet cofnęła się - w tej chwili nie była w stanie ucisnąć dłoni ciotki. Ta Sally, która siedziała przed nią teraz, nie była już tą kobietą, którą znała i kochała, ale kimś obcym, podstępny i bezlitosny. Jeśli mówiła prawdę - a co do tego Harriet nie miała wątpliwości - to znaczy, że skazała siostrę na wegetację pośród obcych ludzi, a swoim najbliższym pozwoliła wierzyć w jej śmierć. Potworne, zupełnie niewiarygodne... Harriet czuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

- I jak, twoim zdaniem, tata to teraz zniesie, co? - zapytała ostro.

- Och, nie chcę, żeby się o tym dowiedział! - Sally łkała. - Jest i tak bardzo poważnie chory. To by go zabiło!

Harriet ukryła twarz w dłoniach. Poraził ją zbrodniczy postępki Sally. Ale to prawda, że w tym stanie ojciec nie przeżyłby takiego wstrząsu. Nawet jej zrobiło się zimno i drżała jak osika, a przecież cieszyła się znakomitym zdrowiem. Nic dziwnego, że ciotka tak się zdenerwowała,

kiedy sprawa Grega Martina ożyła po latach. Nic dziwnego, że błagała ją, by nie grzebała się w tej historii. A jednak to tylko nieczyste sumienie Sally położyło kres wieloletniemu oszustwu i tajemnicom.

- Naprawdę nie rozumiem, jak mogłaś to zrobić. Jak mogłaś milczeć tak długo? Jak mogłaś z tym żyć?

- Nie opuściłam jej, Harriet. - Sally błagała teraz o wybaczenie. - Póki żyła, wysyłałam pieniądze, żeby wspomóc szpital.

- Kiedy umarła?

- Pięć lat po wypadku.

Pięć lat. Harriet zamknęła oczy. Kiedy miałam osiem lat, moja matka żyła, choć nic o tym nie wiedziałam - myślała. Kiedy poszłam do szkoły, kiedy dostałam pierwszego kucyka, kiedy spadłam z drzewa w ogrodzie i złamałam rękę... Co wtedy robiłaś, mamó? Jeśli wierzyć Sally, to chyba niewiele. Ale żyłaś, gdy ja tymczasem wierzyłam, że już cię po prostu nie ma.

- Chryste, Sally! - Gwałtownie podniosła głowę. - Naprawdę sądziłaś, że ci to ujdzie na sucho? Że któregoś dnia prawda nie wyjdzie na jaw?

Sally kiwnęła głową i ciałniej objęła się ramionami.

- Chyba nie. Ale kiedy człowiek zrobi coś takiego, nie może potem znaleźć właściwego momentu, żeby położyć temu wreszcie kres. Tak, masz rację. Bałam się, ale kłamstwo osacza jak pułapka i nie ma z niego wyjścia. Nie potrafiłam pójść do twojego ojca i powiedzieć mu, że go oszukałam. Nie zniósłabym jego wzroku. Kiedy Paula umarła, myślałam, że będę już mogła o tym wszystkim zapomnieć, ale nie potrafiłam. Nigdy nie zapomniałam. Twoja matka jest przy mnie bez przerwy, jak cień. Nigdy nie udało mi się pogrzebać jej ducha.

Przez kilka chwil siedziały w milczeniu, aż wreszcie Harriet spytała:

- Jak się nazywa ta wyspa, gdzie umarła mama?

- Savarelli. Jedna z Wysp Liparyjskich.

Wyspy Liparyjskie. No jasne! G tym właśnie mówiła asystentka Toma. Sally wybrała się tam w kilka miesięcy po wypadku. Harriet próbowała je sobie wyobrazić. Wysmagane wiatrem skały, pośród których matka

spędziła ostatnie pięć lat życia. Nie starczało jej wyobraźni. Ale pomocnica Toma wspomniała jeszcze o wypadach Sally do Londynu. Czyżby Sally jeździła do domu? Możliwe. Ale nie brała ze sobą Marka. To pewnie jest całkiem bez znaczenia, lecz...

- Sally, powiedziałaś mi już dzisiaj wszystko, prawda? - Nie bardzo wiedziała, co właściwie sprowokowało ją do tego pytania. Zadała je wiedzona intuicją, ale - o zgrozo! - na twarzy ciotki dostrzegła tłumiony przestach.

- Oczywiście, że wszystko! Dlaczego miałabym kłamać? Powiedziałam ci więcej niż komukolwiek na świecie. - Jej głos brzmiał nieco agresywnie i Harriet pomyślała, że to na pewno nie koniec tej historii, że jest jeszcze coś, co Sally wciąż przed nią ukrywa... Hm, istnieje jeden sposób, żeby poznać prawdę, skonstatowała w duchu. Postanowiła, że tak właśnie zrobi.

- Jadę na Savarelli - oznajmiła.
- Nie! Po co? Tyle lat już minęło...

Ale Harriet dostrzegła w oczach ciotki lęk, a to umocniło ją tylko w podjętej decyzji.

- Wszystko, co mogę teraz zrobić, to oddać hołd temu miejscu, gdzie moja matka spędziła ostatnie lata życia. Pojadę jutro.
- Ależ, Harriet, nie możesz! Tata jest taki chory...
- Zadzwoń rano do szpitala. Jeśli stan ojca jest w miarę stabilny, pojadę na dwa dni. Lepiej, żebym wybrała się teraz, kiedy leży w szpitalu i nie może mi zadać trudnych pytań, nie sądzisz?
- Nie... Harriet, nie chcę, żebyś w ogóle tam jechała!

Po raz pierwszy od chwili, gdy Sally odkryła swoją tajemnicę, Harriet wyciągnęła rękę i uścisnęła jej szczupłą, zziębniętą dłoń.

- Przykro mi, Sally. Nie chcę cię denerwować, ale chyba wiesz, co teraz muszę zrobić.

Schodziła po schodach - w jednej ręce ściskając torbę podróżną, drugą trzymając się balustrady - kiedy zadzwonił telefon. Na moment zamarła. Może to ktoś ze szpitala? Dzwoniła już tam z samego rana i zapewniono ją, że ojciec spokojnie przespał noc, a jego stan chwilowo

się ustabilizował. Wiedziała jednak, że w każdej chwili grozi mu kolejny atak, i zadręczała się w myślach, czy nie powinna jednak odłożyć tej swojej odysei na później. A jeśli ojciec dostanie ataku, gdy jej akurat nie będzie? Nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Ale za późno teraz na zmiany planów. Miała zarezerwowane miejsce w samolocie i już podjęła decyzję.

Kiedy zeszła na parter, czekała na nią Jane.

- Telefon do pani.
- Do mnie?
- Tak.

Harriet wyrwała jej słuchawkę i usłyszała głos Toma O'Neilla.

- Cześć, Harriet! Co u ciebie słychać? Jak się czuje ojciec?
- Kiepsko, ale teraz na szczęście jest już trochę lepiej. Miał wczoraj drugi atak, ale się jakoś wyciągnął.

- To dobrze. - Zawahał się. - Dzwonię, bo chciałbym cię informować o wszystkim na bieżąco. Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

Już i tak wiem o wiele za dużo - pomyślała.

- Co takiego?
- Sądzę, że przyspiliłem już Grega Martina. Widziałem się z Vanessą. Robiła wszystko, żeby mnie wyprowadzić w pole, ale na stoliku w jej salonie leżały dwa bilety lotnicze. Pomyślałem, że oboje pewnie chcą dać nogę, więc zaalarmowałem policję. Jeśli dopisze nam szczęście, policja zdejmie ich z lotniska w Darwin.

- O...
- Nie ucieszyłaś się zbyttnio.

Przygryzła wargę. Wczoraj te wieści sprawiłyby jej radość, dziś wszystko wyglądało inaczej. Jeśli Greg Martin zostanie schwytany, cała historia jej matki wyjdzie na jaw. Nikt nie mógł przewidzieć, jak zareaguje tata.

- Dziękuję za wiadomość - powiedziała.

Nagle poczuł, że nie chce, by odłożyła słuchawkę. Szukał pretekstów, że tylko przedłużyć rozmowę.

- To co będziesz robić? Zostaniesz w Nowym Jorku, póki ojciec nie

stanie na nogach?

- Chyba tak - skłamała, zerkając na torbę, zapiętą już i gotową do podróży. Chciałaby podzielić się z nim prawdą. Ale niby dlaczego? Bardzo dobrze się składa, że zadzwonił dzisiaj, udając, że gra z nią uczciwie. W Australii też ją przekonywał, że powinna mu ufać, a mimo to niektóre swoje posunięcia utrzymywał w głębokiej tajemnicy i usiłował się nią posłużyć. Może właśnie dlatego przekazywał jej teraz informacje - żeby ją ciągle szachować?

- Trzymaj się, Harriet. Będę w kontakcie.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę poczuła się strasznie samotna. Może tak sobie jeszcze długo wmawiać, że go nienawidzi, że nie zależy jej na tym, jak ją traktuje. Ale Tom poruszył w niej struny, których dotąd żaden mężczyzna nawet nie potrącił. Co więcej, wciąż miała uczucie, że na nim może polegać. To oczywiście tylko czysta iluzja, ale utrata Toma nie stała się przez to ani odrobinę mniej bolesna.

Harriet gwałtownie chwyciła torbę. A niech to wszyscy diabli! Pojedzie do Włoch. Może jak pozna całą prawdę, wreszcie odnajdzie spokój?

Rozdział dwudziesty ósmy

Wysepka Savarelli wyglądała jak małe zielone wybrzuszenie na tle błękitnych wód Morza Śródziemnego. Oglądając ją pierwszy raz z pokładu poduszkowca, którym przyплыła tu z Reggio Calabria, Harriet poczuła gwałtowny, dławiący przyплыw emocji. Czy to naprawdę tutaj matka przeżyła ostatnie lata życia i, jeśli wierzyć Sally, tutaj umarła? Wysepka zdawała się taka odcięta od świata, samotna, zagubiona, wysmagana wiatrem i obmywana wzburzonym morzem. Harriet miała wrażenie, że silniejszy wiatr mógłby ją z powodzeniem zdmuchnąć z powierzchni ziemi. Dowiedziała się, że mieszka tu stu pięćdziesięciu mieszkańców, nie licząc sióstr zakonnych. Ale stąd, z morza, trudno to sobie było wyobrazić. Savarelli wyglądała na bezludną wyspę. Prawdziwy raj dla ptaków, lecz nie dla ludzi - a zwłaszcza nie dla osoby tak światowej jak Paula.

Kiedy podплыли bliżej, Harriet dostrzegła pierwsze ostre skały pod kopułą zieleni i terasy marszczące co łagodniejsze stoki. W życiu nie widziałam czegoś takiego - pomyślała. Skały wyrzeźbione w fantastyczne kształty na wyspie, którą wybuchy wulkanów wyniosły z dna morza jak zabawkę! Savarelli stanowiła teraz przyczółek ziemi pośród podwodnych wirów, powodujących, że woda wokół wyspy kipiła jak w kotle.

Poduszkowiec zatrzymał się w pewnej odległości od brzegu - na wyspie nie było przystani, dlatego na dalszą część podróży Harriet musiała się przesiąść do zwykłej łódki. Kiedy stawiała nogę na dnie malutkiej i rozkołysanej łupinki, myślała o tym, jak też by się czuła, gdyby wokół właśnie szalały wiatry - ludzie z poduszkowca mówili, że morze jest dziś wyjątkowo spokojne. Kiedy łódź zabierała ją na wyspę, poduszkowiec odплыwał do następnego portu i niezależnie od tego, co miało się za chwilę wydarzyć, w tym momencie dla Harriet nie było już odwrotu.

Plaża była wąska i skalista - leżały na niej kamienie w różnych kolorach, które swoje kalejdoskopowe barwy zawdzięczały działalności fumaroli. W jednym z miejsc gorąca para spod ziemi unosiła się nad plażą jak dym na wietrze. Jakiś krępy młody wieśniak czekał już na Harriet z parą mułów; siedział na dużym głazie i wymachiwał nogami.

Tylko jedna droga prowadziła z plaży do jedyne go hotelu na wyspie - wąska kręta ścieżka pomiędzy skałkami. Czy to na tę plażę rybacy wyciągnęli matkę? - zastanawiała się w duchu. I tędy ją wieźli na górę, tym stromym szlakiem, po którym pięły się muły?

Hotel, biały jak lukier na weselnym torcie, stanowił centralny punkt we wsi. Wokół niego, pośród zielonych tarasów, stały rozrzucone biało-różowe domki - wyglądały jak palce rozczapierzonej dłoni. Tu, w hotelu, znajdował się jedyny na wyspie telefon oraz jedyny bar, gdzie zbierali się wieśniacy, żeby pogwarzyć przy winie z miejscowej winnicy. Ale wieś nie została jeszcze zelektryfikowana - cywilizacja nie dotarła aż tak daleko.

Harriet dostała mały pokój, wyposażony tylko w najniezbędniejsze rzeczy, za to pedantycznie czysty. Ściany były z nie gładzonego kamienia, a posadzka z polerowanej kostki, ułożonej we wzór przywodzący na myśl Kretę i wpływy kultury minojskiej. Czekał już na nią posiłek - pomidory, papryka i oliwki we wspaniałym sosie oraz aragosta, rodzaj miejscowego homara. Harriet stwierdziła ze zdziwieniem, że wraca jej apetyt. Proszę, co może zdziałać morskie powietrze! Ale to powietrze wywoływało w niej również nieprzepatą senność. Postanowiła zaczekać ze swym śledztwem do następnego dnia.

Zamknęła drewniane okiennice, położyła się na dość twardym, nakrytym kolorową narzutą łóżku i zanim jeszcze zdążyła obmyślić plan na następny dzień, już mocno spała.

Tom O'Neill uznał, że nie ma właściwie po co wybierać się na lotnisko w Darwin. Sprawa już i tak nie leżała w jego rękach. Wiedział, że kiedy pojawi się tam Greg z Vanessą, żeby odlecieć do Stanów, koledzy Roberta Gascoyne'a zatrzymają ich w całym majestacie prawa. Miał nadzieję, że policja pozwoli mu na zadanie Martinowi kilku pytań, choć prawdę powiedziawszy, w obliczu tak międzynarodowej afery jak ta i tak szerokich skutków prawnych, nie wierzył w to zbyt. Tak czy inaczej, maszyna prawa została rozkręcona i mógł już uznać, że przynajmniej połowę zadania wykonał. Ustalił ponad wszelką wątpliwość, że Greg Martin żyje. Ale w przypadku Pauli Varna sprawa wyglądała inaczej.

Odkrycie tego, co się z nią stało przed dwudziestoma laty, może być znacznie trudniejsze. Trudno liczyć na to, żeby Martin chciał wziąć na siebie odpowiedzialność za jej śmierć. Nie zechce chyba do rozmaitych swoich przestępstw dodawać jeszcze morderstwa. Jest zatem wielce prawdopodobne, że będzie utrzymywał, że Paula Varna żyje, i tym samym postawi Toma przed prawie niemożliwym zadaniem odszukania tej kobiety.

Czy rzeczywiście niemożliwym? Tom zaciął usta, przypominając sobie swój telefon do Stanów z poprzedniego wieczoru. Po rozmowie z Harriet poszedł do baru, a kiedy wypił kilka drinków, zebrał w sobie odwagę i postanowił zakręcić do niej jeszcze raz. Tyle było między nimi nieporozumień. Dość już chodzenia ogródkami. O wiele lepiej jest wyłożyć kawę na ławę i powiedzieć po prostu, że niezależnie od faktu, jak to wyglądało, naprawdę mu na niej zależy i nie ma to nic wspólnego z zawodowym zbieraniem informacji. Wiedząc, że w Nowym Jorku jeszcze nie minęło południe, wybrał numer. Jakże się zdziwił, gdy powiedziano mu, że wyjechała. W dodatku do Włoch! Z początku nie uwierzył; upierał się, że to jakaś pomyłka. Ale pokojówka rozmawiała z nim uprzejmie, stanowczo i bardzo wiarygodnie. Pani Harriet Varna wyjechała przed godziną. Nie, nie wiadomo, kiedy wróci, ale owszem, jej podróż miała prawdopodobnie związek ze sprawą Grega Martina. Ta informacja otrzeźwiła Toma natychmiast. Rozmawiał z Harriet nie dalej jak dwie godziny temu i mówiła mu, że na razie zostaje w Stanach, gdy tymczasem siedziała już na walizkach! Dlaczego? O tylu rzeczach nie miał jeszcze pojęcia, a Harriet stanowiła jedną z licznych zagadek. Fakt, że pojechała do Włoch, kiedy jej ojciec leży chory w szpitalu, i z całą premedytacją ukryła tę podróż przed Tomem, dowodził tego dobitnie. Czyżby cały czas tylko mydliła mu oczy? Nie chciał w to wierzyć. Wyszedłby na zupełnego kretyna, i to nie tylko jako detektyw! Zaczynał jednak, mimo wszystko, podejrzewać, że po raz pierwszy w zawodowej karierze ktoś go zrobił w konia.

Tom O'Neill, zaprawiony w bojach detektyw, jeden z najlepszych w branży, dał się podejść ładniutkiej dziewczynie. To bolało, och, jak

bolało! Zaciśnął zęby. No cóż, teraz już nic nie mógł właściwie zrobić, poza tym że powinien wyciągnąć nauczkę na przyszłość. Zresztą tyle razy to sobie wcześniej powtarzał: nie mieszaj roboty z osobistym życiem. Długo i intensywnie myślał o tej sprawie i teraz, zastanawiając się, jak dopaść Paulę - o ile jeszcze żyje - doszedł do wniosku, że porażka na polu prywatnym daje mu fory na polu zawodowym. Jeśli Harriet rzeczywiście wie, gdzie przebywa jej matka, może go do niej doprowadzić. Teraz już nie będzie musiał mieć wyrzutów sumienia ani obiekcji, że się nią posługuje. Bo jeśli jest tak, jak myśli, to właśnie ona jego wykorzystuje z jakiegoś wciąż niejasnego powodu. Załatwiła go najstarszym chwytem pod słońcem. Teraz więc kolej na krok z jego strony. Teraz Harriet się dowie, jak niebezpieczną grę rozpoczęła. A tymczasem...

A tymczasem postanowił pojechać na lotnisko w Darwin i zobaczyć, jak łąpią Martina. Z jednej strony ciekawiło go, jak naprawdę wygląda Greg Martin, z drugiej - chciał być świadkiem smutnego końca tego drania.

Zamówił wczesne śniadanie do pokoju - kawę, bułki i dżem - a potem z dużym zapasem czasu wyruszył na lotnisko. Zaparkował i wszedł do wnętrza hali. Nawet o tej porze kręciło się tu sporo ludzi. Ponieważ jednak budynek był znacznie mniejszy, niż to zazwyczaj bywa na lotniskach, Tom bał się nieco, że zostanie rozpoznany. Jego twarz oczywiście nic by nie powiedziała Martinowi, ale Vanessie - tak. Kupił sobie kawę i gazetę, usadowił się dyskretnie w kącie, skąd mógł swobodnie obserwować halę i nie być widzianym, i postanowił czekać. Szary świt wpełzał już przez okna. Podróżni ziewali, pili kawę, przerzucali walizki z lewej na prawą, a Tom planował swój następny krok. Powinien jeszcze szukać kontaktu z Harriet, czy może od razu ruszyć stąd do Włoch? Karen Spooner, jego asystentka, odwaliła kawał żmudnej roboty, żeby wykryć eskapadę Sally w tamten rejon świata dwadzieścia lat temu, ale po tylu latach byłoby prawie niemożliwe ustalić, dokąd Sally naprawdę pojechała. Wytropienie śladów Harriet po upływie zaledwie kilku dni będzie o wiele prostszym zadaniem. Tak, tylko do

tego potrzebna mu jej fotografia. Przeklął się w duchu za to, że nie wyłudził od niej choćby jednego zdjęcia - nie byłoby to żadną sztuką tam, w Katherine. Sam mógłby je nawet zrobić, gdyby miał przy sobie aparat. Ale w Katherine zdjęcia były ostatnią rzeczą, jaką zaprzętał sobie głowę.

Do hali weszli dwaj mężczyźni. Tom skrzywił się kwaśno, lekko rozbawiony. Choć byli ubrani zwyczajnie, w lekkie marynarki i jakieś jasne spodnie, tak wyraźnie widać było, kim są, jakby na czole mieli wypisane: „policja”. Zamienili kilka słów z dziewczyną przy odprawie paszportowej. Dziewczyna potrząsnęła głową, a oni stanęli w rogu naprzeciwko Toma i pałac, ukradkiem obserwowali drzwi.

Tom trochę się zaniepokoił. Pomyślał, że na miejscu Grega natychmiast dostrzegłby całą trójkę - to znaczy siebie i dwóch policjantów. Miał wrażenie, że wśród podróżnych po prostu rzucają się w oczy. Ale wstać teraz i wyjść znaczyło zwrócić na siebie uwagę. Poza tym mógłby się nadziać na Vanessę i Grega w drzwiach budynku.

Chwilę później błogostawił w myślach swoją intuicję, bo do hali weszła Vanessa McGuigan. Tom podniósł gazetę, żeby zasłonić twarz. Zerkał na nią znad swojego parawanu, ale dziewczyna nawet nie spojrzała w jego stronę. Ubrana była z równą dyskrecją i elegancją jak przedtem. Miała na sobie luźne spodnie, skrojone jak dół piżamy, i lekką pelerynkę. Ciągnęła walizkę na kółkach. Była sama.

Tom zobaczył, jak dwaj policjanci po drugiej stronie hali sprężają się i pełnym napięciem wzrokiem odprowadzają ją do stanowiska kontroli biletów.

Chwileczkę, panowie, chwileczkę! - ostrzegał ich w myślach. Nie zróbcie tylko falstartu. To nie o nią wam chodzi. Ona jest tylko dekoracją, niczym więcej.

Vanessa podała bilet dziewczynie za biurkiem; jej walizka została już zdjęta z wagi. Nawet z tak odległego miejsca Tom zobaczył, jak stewardesa wymienia porozumiewawcze spojrzenie z dwoma policjantami. Na litość boską! - zrywał się zirytowany. Dlaczegoż nie wywiesicie transparentu, że dziewczyna jest pod waszym nadzorem?

Ale Vanessa zupełnie nie zdawała sobie sprawy z dramatu, jaki się wokół niej rozgrywa. Podeszła spokojnie do plastikowych krzesłek i usiadła na jednym z nich. Wyglądała tu dziwnie nie na miejscu - pasowałaby do poczekalni pierwszej klasy. No właśnie, Tom zaczął się nad tym zastanawiać. Dlaczego lecą klasą turystyczną? Hm, pewnie wymyślili, że jako turyści nie będą tak bardzo zwracać na siebie uwagi.

Tylko gdzie, do cholery, jest Martin? Nawet jeśli nie przyjechali razem na lotnisko, powinien już tu być! Ale minuty mijały, a nikt nie podchodził do eleganckiej blondynki. Co gorsza, dziewczyna nie była tym w najmniejszym stopniu zaniepokojona. Zazwyczaj ludzie czekający na kogoś okazują pewne zdenerwowanie - nawet jeśli jest jeszcze dużo czasu, niespokojnie zerkają na zegarek i spoglądają na drzwi. Ale Vanessa nic takiego nie robiła. Siedziała sobie spokojnie przeglądając pismo - chłodna, pięknie upozowana, czekała, aż wywołają jej lot.

Coś tu nie gra - skonstatował Tom w duchu. Coś jest nie tak. Musieli zmienić plany. Choć do odlotu zostało jeszcze dwadzieścia minut, wyraźnie czuł to przez skórę - Greg Martin nie przyjdzie.

Niespokojnie wiercił się na krześle, złapany w kącie w potrzask. Bał się, że jeśli wstanie, Vanessa go zobaczy. Kończysz się, stary - pomyślał. Ten cholerny drań wystawił cię do wiatru. Tom widział, że policjanci zaczynają się denerwować. Za chwilę podejda do Vanessy i schrzanią całą sprawę. Choć to i tak bez znaczenia. I tak już jest schrzanią.

Informacja o locie do Stanów pojawiła się na tablicy świetlnej na chwilę przed tym, jak stewardesa zapowiedziała go przez megafon. Pasażerowie odlatujący do Stanów byli proszeni o wyjście na płytę lotniska. Vanessa wstała. Była idealnie opanowana. Nie spieszyła się i ani razu nie rozejrzała się po hali. Jeden z policjantów poszedł za nią, drugi wyszedł na zewnątrz - pewnie sprawdzał, czy nikt spóźniony nie biegnie w kierunku lotniska. Kiedy zbliżała się do bramki prowadzącej na płytę, policjant zrównał się z nią, dotknął jej ramienia i coś powiedział. Tom nie słyszał słów, ale wyobrażał sobie jak to się odbywa. „Pani McGuigan, czy zechciałaby pani towarzyszyć mi do...”

Dostrzegł zdumienie na twarzy dziewczyny; przez ułamek sekundy jej

postać wyrażała strach. Potem Vanessa uniosła wysoko brodę, przybrała wyniosłą minę i pewnie spytała, czego w ogóle od niej chce i dlaczego nie puszca jej do samolotu, w którym wykupiła miejsce. Rozmowa toczyła się nadal, teraz dodatkowo okraszona gestami równie wymownymi jak słowa. „Mój bagaż za chwilę odleci do Stanów!”. Tom miał wrażenie, że słyszy protesty dziewczyny.

Policjant był grzeczny, ale stanowczy. Po chwili oboje wyszli z hali dworca lotniczego - policjant delikatnie trzymał ją za łokieć.

Tom wstał; pasażerowie odlatujący do Stanów siedzieli już w samolocie. Zbierała się następna grupka znudzonych podróżnych.

Na zewnątrz padał deszcz w oparach ciepłej, gęstej mgły. Tom widział, jak jeden z policjantów pomaga Vanessie wsiąść do samochodu, drugi, stojący bliżej, z postawionym kołnierzem, spod zmrużonych powiek rozgląda się z rezygnacją. Ani śladu Grega Martina, ani kogokolwiek, kto ewentualnie mógłby nim być.

Tom zaklął pod nosem siarczyście i czym prędzej ruszył do wynajętego samochodu, zanim policjanci mieliby szansę go zauważyć i obwinić o fiasko akcji.

Zakon Najświętszej Panny przykucnął na najbardziej stromym stoku wyspy Savarelli. Klasztor był stary, surowy, a prowadziły do niego wykute w skale kamienne schodki.

W przeszłości dawał schronienie chorym - cierpiącym zwłaszcza na zaburzenia psychiczne - oraz pełnił rolę kryjówki przed światem, ale już od dawna nie służył tym celom. Tak powiedziano Harriet, gdy zasięgała na ten temat języka w hotelu. Współczesna medycyna i specjalistyczne instytucje zajmujące się tego rodzaju chorobami na lądzie sprawiły, że ta działalność prowadzona przez siostry nie była już potrzebna. Nieliczne zakonnice, które wciąż mieszkały na wyspie, spędzały dni oddając się religijnym obrządkom i zajęciom związanym z codziennym bytowaniem.

Szkoda - pomyślała Harriet, ponieważ zakon otaczał kojący klimat spokoju i niemal każdy kamień tchnął atmosferą dobra, jakiej z biegiem lat nabiera uświęcona od stuleci ziemia.

Harriet zatrzymała się na stopniach i spojrzała na morze. Dziś było

szare i wzburzone. Zastanawiała się, czy matka też tu niegdyś stawała. Czy zdawała sobie sprawę z tego, co ją otacza? Czy może zbyt głęboko zapadła w świat koszmarów, żeby w ogóle zważać na krajobraz?

Jakaś zakonnica pojawiła się na szczycie schodów. Pewnie szła do wsi po świeże ryby na obiad. Czekala ją długa kręta droga, ta sama, którą Harriet przed chwilą pokonała - ścieżka wiła się stromo po zboczu. Zakonnica spojrzała pytająco na Harriet i dziewczyna z bólem uświadomiła sobie, że jej znajomość włoskiego jest szalenie skąpa.

- Chciałabym porozmawiać z siostrą, która była tu w czasach, kiedy zakon jeszcze prowadził szpital - wyjaśniła.

Na twarzy zakonnicy odmalowało się zakłopotanie. Patrzyła na Harriet przenikliwie błękitnymi oczami. Jej jasna, nie skalana makijażem twarz nie zdradzała wieku właścicielki.

- *Mi dispiacio, non capisco...* Harriet nerwowo wertowała rozmówki.

- *Parla qualcuno qui inglese?*

Wiedziała, że jej wymowa jest mocno niedoskonała, a zakonnica patrzyła na nią zdziwiona.

- *Non lo so...* - Nagle jej twarz rozświetliła się słodkim, niemal dziecięcym uśmiechem. - *Si! Si!* - Siostra odwróciła się od Harriet i gestem nakazała jej iść za sobą. Prowadziła ją brukowanym kamieniami przejściem, przez dziedziniec klasztoru, nad którym wisały krużganki w neoromańskim stylu, do tej części budynku, gdzie, jak sądziła Harriet, dawniej znajdował się szpital. Podłogi wykładane tu były polerowanymi kamiennymi płytami, ściany odmalowane na biało. Zakonnica zastukała do ciężkich solidnych drzwi z ciemnego drewna i słysząc zachętę z drugiej strony, nacisnęła klamkę.

Pokój był bardzo skromnie umeblowany ciężkimi, starymi meblami, które wyglądały tak, jakby zrobiono je dokładnie z tego samego drewna co drzwi. W rogu, na piedestale, stał posążek Matki Boskiej, uśmiechającej się słodko do trzymanego w ramionach Dzieciątka, a na ścianie, dokładnie na wprost wejścia, wisił stareńki i pewnie bezcenny tryptyk - lśnił głębokimi kolorami, które nie zbladły w ciągu minionych

stuleci. Przy dużym, zastawionym rozmaitymi przedmiotami biurkiem, pracowała zakonnica. Kiedy wchodzący do środka, oderwała wzrok od papierów, poprawiła małe, okrągłe okulary na nosie i kornet. Harriet spostrzegła ze zdumieniem, że choć na twarzy siedzącej za biurkiem siostry nie widać było zmarszczek, kobieta musiała być dużo starsza od tej spotkanej na schodach. Młodsza zakonnica zwróciła się do starszej po włosku, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Harriet czekała cierpliwie. Nagle siedząca za biurkiem zakonnica zwróciła się do niej po angielsku z silnym amerykańskim akcentem.

- Zdaje się, że szuka pani kogoś, kto mówi po angielsku? - Reakcją na zdumienie Harriet był przewrotny błysk w ukrytych za okularami oczach. - Jestem siostra Anna. Czym mogę służyć?

Harriet wyciągnęła do niej rękę.

- Harriet Varna. Chciałabym porozmawiać z kimś, kto był tutaj dwadzieścia lat temu, kiedy zakon prowadził szpital. Powiedziano mi, że moja matka przebywała tu jako pacjentka. Czy siostra może była tu w tym czasie?

Siostra Anna potrząsnęła głową.

- Jestem tu zaledwie szósty rok. Nie minęło jeszcze dziesięć lat, odkąd złożyłam śluby. Można powiedzieć, że późno się nawróciłam. Czasami sądzę, że Bóg powołał mnie po to, żebym wykorzystała tu te skromne umiejętności, jakich nabyłam w zwykłym świecie codziennych ludzkich spraw. Byłam w Bostonie księgową w firmie prawniczej.

- Być może więc słyszała siostra coś o mojej matce - powiedziała Harriet z ożywieniem. - Paula Varna. A mój ojciec nazywa się Hugo Varna, jest projektantem mody.

- Varna, tak... Nie interesuję się zbytnio modą, jak się pani zapewne domyśla. - Znowu ten błysk w oku. - Ale mam wrażenie, że słyszałam już to nazwisko. I mówi pani, że mama była naszą pacjentką?

- Dwadzieścia lat temu. Podobno cierpiała na jakieś załamanie nerwowe.

- Tak. - Siostra Anna posmutniała. - Przypuszczam, że tak. Wszyscy

nasi pacjenci mieli podobne kłopoty. Niektórzy z nich przyjeżdżali tu, żeby odnaleźć spokój. Mam nadzieję, że Bóg był litościwy wobec nich i znaleźli u nas to, czego szukali. Niektórych przywoziły rodziny. Można powiedzieć, że chciały się pozbyć problemu, kiedy ich chorzy stawiali się kłopotliwi bądź krępujący na co dzień. Bardzo to smutne, niemniej wydaje mi się, że dobrze wykonywałyśmy swoje obowiązki. Stwarzałyśmy chorym jak najlepsze warunki, otaczałyśmy ich miłością, by mogli odnaleźć spokój w Bogu. Cóż, władze uznały jednak, że nie mamy kwalifikacji, żeby prowadzić taką placówkę, mimo że przez bardzo wiele lat prowadziłyśmy tę działalność z dobrym skutkiem. Zamknięto nam szpital. Mówię „my”, choć wszystko to działo się na długo przedtem, zanim się tu znalazłam.

Harriet skinęła głową. Wzmianka siostry Anny o rodzinach, które „chciały się pozbyć problemu”, wywołała w niej falę zdenerwowania i smutku. Przecież to właśnie zrobiła Sally!

- Jak się teraz czuje pani matka?

Harriet mocno przycisnęła palce do blatu wielkiego biurka. Spojrzała na swoje ręce.

- Moja matka nie żyje.

- Tak mi przykro...

- Przynajmniej tak myślę. Przyjechałam tu, żeby się dowiedzieć.

Zakonnica, zaintrygowana, przekrzywiła głowę. Zza okularów patrzyły czujne, bystre oczy. Harriet zdecydowanym ruchem - broniąc się przed tym spojrzeniem - wetknęła pasmo włosów za ucho.

- Wiem, że to dziwnie brzmi. To długa historia.

Siostra Anna spojrzała na młodszą zakonnice, powiedziała jej coś po włosku, a potem łagodnie uśmiechnęła się do Harriet.

- Poprosiłam, żeby przyniosła nam kawę. Przypuszczam, że chętnie się pani napije. Proszę usiąść.

Harriet z ulgą usiadła.

- A teraz może zechce mi pani powiedzieć wszystko od początku, a ja spróbuję pomóc pani w miarę możliwości.

W pokoju panował cudowny spokój. Przez okna wpadało ciepłoszare

światło i tylko odległy dźwięk dzwonu zakłócał idealną ciszę. Nagle okazało się, że opowiadanie o Pauli wcale nie jest trudne. Harriet ze zdziwieniem stwierdziła, że z łatwością może się dzielić swymi wątpliwościami i lękiem z tą cichą, łagodną kobietą. Druga zakonnica przyniosła im kawę w dużych śniadaniowych filiżankach z prostego białego fajansu, ale Harriet swojej nie tknęła, dopóki nie skończyła.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że siostra Anna przygląda się jej ze współczuciem i ze smutkiem.

- Biedne dziecko...

Harriet poczuła, że nagle ma ogromną ochotę po prostu się rozpłakać. Od lat nikt nie przemawiał do niej tak czule, a chyba nikt w życiu nie nazwał jej „biednym dzieckiem”.

- Czy siostra może mi pomóc? - Muszę poznać prawdę, nawet najstraszniejszą.

Zakonnica w zamyśleniu skinęła głową.

- Wszystkie dawne dokumenty złożone są w magazynie, ale sądzę, że będziemy mogły je stamtąd wydobyć. Mam jednak lepszy pomysł. Większość siostr wyjechała z klasztoru, żeby gdzie indziej nieść ludziom ulgę. Dwie jednak zostały na wyspie, ze względu na podeszły wiek. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Zakonnica do ostatnich dni pozostaje w zakonnej służbie, ale nadchodzi czas, kiedy nie może już pełnić obowiązków pielęgniarki. Dwie siostry zostały tu z nami.

Harriet poczuła, że coś ją ściska za gardło.

- Siostra Maria Teresa?

W małych bystrych oczkach pojawił się czujny błysk.

- A skąd ty wiesz o tym, moje dziecko?

- To ona właśnie napisała list do taty. Jest teraz w klasztorze?

- Tak, jest. Nie wiem jednak, czy będzie ci mogła pomóc. Ostatnio miewa już kłopoty z pamięcią; ma ponad osiemdziesiąt lat. Ale bywają dni, kiedy jej umysł pracuje równie sprawnie jak nasz. Poza tym wielu starszych ludzi lepiej pamięta wydarzenia z przeszłości od tego, co się wydarzyło wczoraj.

Harriet czuła, szalone pulsowanie krwi w skroni. Przytknęła tam

mocno palce.

- Czy mogłabym z nią porozmawiać?
- Poczekaj tu, kochanie. Zobaczę, co się da zrobić.

Stukanie laski o kamienną podłogę korytarza zapowiedziało nadejście obu zakonnicy. Słyszając otwierane drzwi, Harriet odwróciła się od biurka.

- To jest siostra Maria Teresa.

Siostra Maria Teresa była drobna i krucha jak ptak, a jej pomarszczona twarz przypomniła Harriet maleńką brązową małpiatkę. Choć mocno oparta na lasce, ruszała się szybko, energicznie, a jej żywe oczy tryskały bystrością. Siostra Anna przyciągnęła jej krzesło, ale przez chwilę Maria Teresa, zastygła w miejscu i wpatrywała się w Harriet z pełnym niedowierzania zdumieniem.

- A więc jesteś córką Pauli. *Si*, widać to jak na dłoni. - Mówiła słabym angielskim, silnie zabarwionym włoskim akcentem. Mimo to Harriet rozumiała ją bez trudu. - Wyglądasz jak ona.

- Harriet chce poznać prawdę o matce - powiedziała siostra Anna głośno, wiedząc widocznie, że stara zakonnica ma kłopoty ze słuchem. - Pamiętasz Paulę?

- *Si... Si...* Pewnie, że pamiętam. Przecież to ja, Maria Teresa, się nią zajmowałam. Mówię trochę po angielsku, dlatego dostałam ją w opiekę. Ale Paula nie mówiła dużo i nie wiem, czy słyszała, co do niej mówię.

- Proszę mi o niej opowiedzieć, *per favore*.
- Hm? - Maria Teresa przechyliła głowę pytająco i spojrzała na Annę.

Annę.

- Możesz jej opowiedzieć? - zapytała siostra Anna głośnie.
- *Inglese?* Nie mówię dobrze po angielsku. Jestem za stara...

- Mówisz po angielsku jak zawsze doskonale, ale jeśli ci będzie wygodniej, opowiadaj po włosku. Będę tłumaczyć - zaproponowała Anna i szepnęła do Harriet: - Będzie jej łatwiej, jeśli nie będzie musiała dobierać angielskich słów.

- Kiedy po raz pierwszy siostra zobaczyła moją mamę? - zapytała Harriet, gdy Maria Teresa usiadła na krześle.

- *Quando?* Och, nie pamiętam roku, ale było to latem. W czerwcu,

albo w lipcu. Nie pamiętam kiedy. Przyprowadzili ją do nas rybacy. Była w strasznym stanie. Przez co przeszła ta biedna kobieta! Zupełnie przemoczona, wygłodzona, spragniona, spalona słońcem i wysmagana wiatrem. Zrobiliśmy, co się tylko dało. Dałyśmy jej wszystko, czego potrzebowała, wyleczyliśmy jej ciało. Ale nie chciała mówić. Nie chciała, albo nie mogła, powiedzieć nam kim jest. Chyba jednak nie chciała... Czasem, gdy była sama, słyszałam, jak z kimś rozmawia, z kimś, kogo tylko ona mogła usłyszeć. Na nasze pytania nie chciała odpowiadać. Postanowiliśmy nie zmuszać jej do rozmowy. Pytania tylko niepotrzebnie ją denerwowały, a w końcu i tak była bardzo chora, jej umysł był chory. Kilka razy usiłowała targnąć się na życie. Musiałyśmy jej pilnować w dzień i w noc. Bardzo się nią martwiłam i co noc modliłam się o nią. Nagle któregoś dnia moje modlitwy zostały wysłuchane. Paula wyrwała się ze swoich urojeń. „Dlaczego Hugo mnie nie odwiedza?” - spytała zupełnie przytomnie. „A kto to jest Hugo?” - zapytałam wtedy. „No jak to? Mój mąż. Nie wiecie?” „Nic nie wiem i nie będę wiedzieć, jeśli mi sama nie powiesz” - odparłam. Podała mi wtedy adres w Nowym Jorku. Radziłam się matki przełożonej, co zrobić, a ona pozwoliła mi napisać list do tego Hugona, choć Paula znów odeszła w świat, do którego nikt z nas nie miał wstępu. Miałam nadzieję, że kiedy zobaczy męża, choroba się w niej przełamie, ale teraz sędzę, że nic by to nie dało. Tak czy owak, ten Hugo nie przyjechał. Zamiast niego zjawiała się jakaś pani. Bardzo piękna pani. Rozpłakała się na widok Pauli. Mówiła, że jest jej siostrą. Paula tylko siedziała i patrzyła przed siebie. Zapytałam tę panią, co teraz zrobimy. Powiedziała, że Paula powinna zostać z nami w szpitalu, bo u nas jest bezpieczna. Obiecała przysyłać nam pieniądze. I rzeczywiście dostawałyśmy od niej co miesiąc pewną sumę, aż do śmierci Pauli. Wtedy nadeszła nam duża kwota, na potrzeby szpitala. Od tamtej pory nie miałam z nią kontaktu. To wszystko, co wiem.

Harriet siedziała sztywno, ściskając ręce splecione na kolanach, i uważnie słuchała każdego słowa, skrupulatnie tłumaczonego przed siostrę Annę. A więc było dokładnie tak, jak mówiła Sally! Ale tyle pytań pozostawało wciąż bez odpowiedzi.

- Jak mama umarła?

- Na zapalenie płuc. Choć w jej stanie mogła umrzeć na wszystko. Pewnego dnia oddaliła się od klasztoru. Wiało wtedy mocno, jak to często tutaj. W dodatku było zimno i padał deszcz. Zanim ją znalazłyśmy, zdążyła już przemoknąć i zmarznąć. Umarła tydzień później. Uznałyśmy, że to szczęście, bo przynajmniej jej dusza została zbawiona.

- Co to znaczy, siostrzo?

- Tyle razy próbowała odebrać sobie życie, biedactwo... A gdyby się to udało... To przecież śmiertelny grzech... Tak, myślę, że litościwy Pan Bóg wysłał ją w tę zawieruchę. Widział, że dość już wycierpiała na tym świecie, i postanowił zakończyć jej męki.

W jej głosie słychać było błagalną nutę, zupełnie jakby i ona czekała już na znak od Boga.

- Czy to już wszystko? - spytała siostra Anna żwawo. - Nic więcej nie możesz już powiedzieć Harriet?

Staruszka potrząsnęła głową. Na jej zniszczonej twarzy widać było tęskne zamyślenie.

- Coś takiego... - powiedziała cicho. - Nigdy nie sądziłam, że dożyję tego dnia. Maleństwo drogiej Pauli...

- Nie takie znowu maleństwo - żywo przerwała jej Anna. - Harriet miała cztery lata, kiedy straciła matkę.

- Cztery lata? - Zdziwiła się staruszka. Poruszyła ustami, widać było, że szybko o czymś myśli. - To znaczy, że nie jesteś...?

- Kim? - zainteresowała się Anna.

- Tym małym dzieciątkiem. Naszym małym dzieciątkiem? Mówi od rzeczy - pomyślała Harriet. Odplynęła gdzieś do innych spraw. Ale siostra Anna nie dała za wygraną.

- Jakim dzieciątkiem? O czym ty mówisz, Mario?

- O małym dzieciątku. O dziecku, które urodziło się tu, w naszym szpitalu. Nie mówiłam tego? Kiedy przyniesiono nam Paulę, była w odmiennym stanie. Z początku nie wiedziałyśmy o tym, to były ledwie pierwsze tygodnie ciąży. Ale kiedy urósł jej brzuch, połapałyśmy się w czym rzecz. I ona też wiedziała, jestem tego pewna, choć udawała, że

nie wie. Wyglądało na to, że nienawidzi tej ciąży. Za każdym razem, gdy spoglądała w lustro, jej stan się pogarszał. Zaczynała krzyczeć i płakać, szarpała brzuch. Bardzo się o nią bałam. Myślałam sobie, że kiedy to biedne *bambino* przyjdzie już wreszcie na świat, Paula dojdzie do siebie. Ale niestety. Nigdy nie wyzdrowiała. Jej stan poprawiał się tylko na bardzo krótko.

Harriet tak mocno wbijała palce w dłonie, że odcisnęła na nich półksiężycy paznokci. W uszach dudniła jej gwałtownie pulsująca krew. To niemożliwe! Ale dlaczego ta stara kobieta miała by się mylić? Wszystko do tej pory pamiętała zupełnie bezbłędnie. Jak wcześniej wspomniała siostra Anna, starzy ludzie pamiętają odległą przeszłość lepiej niż to, co zdarzyło się wczoraj. Ale małe dziecko...?!

- Co się stało z tym dzieckiem? - zapytała. Usłyszała swój piskliwy, zdenerwowany głos,

- To była mała dziewczynka. Dlatego właśnie myślałam...

- Ale co się z nią stało?

- Sally, siostra Pauli zabrała ją z wyspy. Załatwiła jej gdzieś adopcję.

Nigdy więcej nie widziałyśmy tej małej...

- A Paula nie była przez to nieszczęśliwa?

- O nie. Nie chciała w ogóle zbliżyć się do małej. Usiłowałam raz wsunąć jej dziecko w ramiona. Krzyknęła wtedy: „Weźcie je ode mnie! Nienawidzę go! Nie chcę go oglądać! Nigdy!”. To był jeden z tych nielicznych dni, kiedy mogłam nawiązać z nią kontakt. „Nie wolno ci tak robić” - tłumaczyłam - dziecko cię potrzebuje”. Ale ona krzychała tylko: „Nie! To nie moje dziecko! Nie chciałam go! On wiedział, że nie chcę dziecka, i zrobił mi je specjalnie! Nienawidzę go i nienawidzę dziecka! Zabierzcie je ode mnie, bo je zabiję!” Jak widzisz, nic się nie dało zrobić.

- Nazwała jakoś tego mężczyznę?

- Nie, nie padło żadne imię. Przypuszczałam, że to ten Hugo, który się nie pokazał u nas ani razu. Może właśnie przez niego była w takim stanie? Jeśli tak, nigdy mu nie wybaczę. Wiem, wiem, że powinnam być szlachetna i kochać wszystkie stworzenia boże, niezależnie od tego, kim są, ale jestem już stara i słaba i pewnych rzeczy przebaczyć nie mogę.

Piękna z niej była dziewczyna i jakiś mężczyzna wpędził ją w straszną chorobę...

- No już dobrze, dobrze, Mario, nie denerwuj się. - Siostra Anna położyła kojącą dłoń na chudym ramieniu staruszki. - To wszystko było bardzo dawno temu.

- Dawno temu? Wydaje się jakby wczoraj. Żyję przeszłością. Paula wciąż jest przy mnie. - Spojrzała na Harriet. - Myślałam, że jesteś Paulą, całą i zdrową. Ale nie...

- Nie, nie jestem. Ale siostra ma rację. Przeszłość wciąż żyje. I dziecko mamy też. Żyje gdzieś...

- To prawda? Ta mała żyje gdzieś? - Twarz staruszki rozpogodziła się nagle. - Niech Bóg błogosławi tę małą owieczkę.

- Chcesz, żebym poszukała w dokumentach jakiegoś potwierdzenia tego? - zapytała siostra Anna. - Nie przypuszczam, żebyśmy znalazły informację, kto adoptował dziecko, ale może jednak czegoś się dowiemy.

- Czy to możliwe, że dziewczynka została adoptowana we Włoszech? - zapytała Harriet.

- Nie, nie! - ostro zaprotestowała Maria Teresa. - Dziewczynkę zabrała siostra Pauli. Tyle wiem. Mówiła, że bierze ją do Anglii.

- Dziękuję - Harriet zwróciła się do obu zakonnice: - Zajęłam siostrom i tak dużo czasu. Muszę sama dalej szukać prawdy. Ale wierzcie mi, że jestem wam bardzo wdzięczna.

Podeszła do staruszki i złożyła lekki pocałunek na jej policzku.

- Zwłaszcza siostrze jestem bardzo wdzięczna. I chcę podziękować za serce okazane mamie i za miłość. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek poza tobą, siostrzo, naprawdę ją kochał. A przecież nawet w tym jej ciężkim stanie... siostra o nią dbała. Niech siostrze Bóg błogosławi.

- A, luie już to zrobił - odparła po włosku. - I to bardziej, niż się domyślasz.

Kiedy Harriet wychodziła z klasztoru, od morza wiał silny wiatr, ale prawie tego nie zauważyła. Przyjechała do Włoch, żeby poznać prawdę, a teraz nie wiedziała, co z nią zrobić. Jedna myśl wciąż tłukła się jej po

głowie do rytmu z bolesnym pulsowaniem w skroniach.

Matka rzeczywiście nie żyje, ale gdzieś na tym szerokim świecie żyje dziecko, które powiła tutaj, w strachu, bólu i ciężkiej chorobie.

Mam siostrę - myślała. I nic o tym dotąd nie wiedziałam.

Mimo chaosu myśli ta świadomość była dla niej jak krzyk radości.

RRS

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Kiedy Harriet weszła do trójpoziomowego mieszkania przy Central Park South, dom wydał jej się całkiem pusty. Rzuciła torbę w holu i poszła do kuchni.

Mijając gabinet, za ścianą usłyszała ruch.

- Mamo, to ty? - Chwilę potem drzwi otworzyły się gwałtownie i zobaczyła Marka. - Harriet! Myślałem, że jesteś we Włoszech.

- Byłam. Niedługo zamieszkam w samolotach na stałe - powiedziała lekko, ale w jej głosie słychać było zmęczenie. Trudy ostatnich dni zaczynały jej się dawać we znaki. - Królestwo za tyk herbaty! Chodź, pomożesz mi zrobić, Mark.

- Chyba zdrowo podpadłem! - zażartował, ale grzecznie za nią poszedł.

W kuchni nie zastali nikogo. Jane miała akurat wolne popołudnie. Mark przysiadł na stołku; Harriet nastawiła czajnik i opadła na ławę przy stole.

- Jak tata?

- Trochę lepiej, z tego, co mi wiadomo. Sally jest u niego. Posiedzi przy nim pewnie do wieczora.

- Tak. Sally... - mruknęła z goryczą. - Spojrzał na nią zdziwiony.

- Hej, co się stało?

Wzruszyła ramionami i przygryzała czubek kciuka. Nie czuła się na siłach, żeby już teraz o tym mówić.

- No, Pchełko, co tam matka narozrabiła, że masz śmierć w oczach?

Spojrzała na niego i otworzyła już usta, żeby mu powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Kochała Marka jak przyjaciela i brata, a Sally jest w końcu jego matką. Nie chciała doprowadzać do konfliktu między nimi.

- A co ty tu robisz? - zapytała.

- Powiedzmy, że wziąłem sobie kilka dni urlopu i postanowiłem posiedzieć z wami trochę, dopóki Hugo nie wyzdrowieje. Interesy idą gładko i spokojnie, ja już od dawna nie miałem wakacji, a mama jest w takim stanie, że... Krótko mówiąc, uznałem, że się jej przydam, gdyby

coś nagle wyskoczyło.

Kiwnęła głową. Cały Mark! Nikt nie mógłby nazwać go maminsynkiem - zbyt dobrze dawał sobie radę w życiu zupełnie samodzielnie - ale pojawiał się zawsze wtedy, kiedy był potrzebny.

Woda zawrzała w czajniku; Harriet zrobiła herbatę. Zaparzyła earl greya tak, jak lubiła.

- Napijesz się? - zapytała Marka.

- Tego perfumowanego obrzydlistwa? Dziękuję ci bardzo. Wezmę sobie piwo.

Wyjął puszkę z lodówki i otworzył ją z trzaskiem. Sally zemdlałaby na ten widok - pomyślała Harriet kwaśno.

Herbata działała orzeźwiająco, ale nie postawiła jej od razu na nogi.

- Chyba jesteś zmęczona, Pchełko - zauważył.

- Jestem. Nawet bardzo. A ty byś nie był?

- Pewnie tak. O, właśnie sobie przypomniałem! Ktoś do ciebie dzwonił. Niejaki Tom O'Neill.

- Nie! Czego chciał?

- Nie wiem. Nie mówił. Chciał z tobą rozmawiać. Powiedziałem mu, że jesteś we Włoszech, na co on, że już dzwonił wcześniej i usłyszał to samo od pokojówki, tylko myślał, że się pomyliła. Wyjaśniłem więc, że wcale się nie pomyliła i że naprawdę jesteś we Włoszech. Potem zaległa martwa cisza i wreszcie spytał, co tam właściwie robisz.

- Nie jego interes! - krzyknęła, choć to nie była prawda. To był jak najbardziej jego interes, niestety.

- A co tam właściwie robiłaś?

- Ani twój interes.

- Pchełko, co się właściwie z tobą dzieje? - Mark przygwoździł ją twardym spojrzeniem.

- Nic.

- Nie wciskaj mi kitu. Coś tu jest przecież grane. I nie chodzi o to, że martwisz się ojcem. Trafiałaś na coś?

- Na co?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. I właśnie to cię tak gryzie. Jest w

tym wszystkim coś więcej, niż widać gołym okiem, co?

Co mogła mu powiedzieć? Była za bardzo zmęczona, żeby zaprzeczać i kręcić, a poza tym prędzej czy później i tak musiał się przecież dowiedzieć. Kiwnęła głową.

- Tak.

- O co chodzi? Paula przecież nie żyje, prawda? Nie siedziała chyba cały czas w Australii u boku Grega Martina?

- Nie, rzeczywiście nie żyje. Ale nie zginęła w wybuchu na jachcie. Umarła w czymś w rodzaju szpitala psychiatrycznego na wyspie Savarelli.

- Co?!

- Zwariowała, Mark. Moja mama umarła jako wariatka. - I nagle wszystko zaczęło się z niej wylewać niepowstrzymaną falą. Opowiadała mu zdarzenia po kolei, a łzy ciekły jej po twarzy. Otoczył ją ramieniem, a ona oparła głowę na jego barku. Bezgłośny szloch wstrząsał ciałem Harriet. W końcu Mark odsunął ją od siebie i podał wyjętą z kieszeni chusteczkę.

- Biedna Paula... Ale jakim sposobem znalazła się w tej łódce?

- Nie wiem. Przypuszczam, że Greg Martin wie coś na ten temat. Myślę o tym bez przerwy, na okrągło, i tylko jedno przychodzi mi do głowy. Martin musiał maczać w tym palce. Sądzę, że mama stanowiła zagrożenie dla jego drobiazgowo ułożonego planu, więc postanowił się jej pozbyć. Zresztą, cokolwiek wtedy zrobił, najwyraźniej wystarczyło, żeby ją wpędzić w chorobę. Nigdy nie wyzdrowiała, ani fizycznie, ani psychicznie. Jest jeszcze jedna rzecz, Mark. - Wydmuchała nos, otarła oczy, przeciągnęła palcami po policzkach. - Kiedy to się zdarzyło, mama była w ciąży.

- Z Martinem?

- Chyba nie. Dziecko przyszło na świat, niemal dokładnie w dziewięć miesięcy od eksplozji. Z tego, co Sally mówiła, wynika, że mama nie widywała się z Gregiem do wyjazdu do Włoch. Nie było go wtedy w mieście. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że dziecko jest taty, Nie wiem, jak ci o tym powiedzieć, Mark, ale coś się zdarzyło między nimi

ostatniego wieczoru przed jej odejściem... Tata zgwałcił mamę. Widziałam to.

Urwała. Znow ogarnęły ją dreszcze, podobne do tych, które nią wstrząsały, gdy stała w uchylonych drzwiach do ich sypialni i drżała ze strachu. Wtedy, słuchając ich podniesionych głosów, sądziła, że ojciec fizycznie znęca się nad matką, i w pewnym sensie miała rację. Ale na tym się nie skończyło. Kiedy dorosła, potrafiła już zinterpretować tę scenę zapamiętaną z dzieciństwa. Nigdy nie przyszło jej jednak do głowy, że właśnie wtedy została poczęta jej siostra.

- Och, Pchełko, wielki Boże... - Teraz już i Mark nie wiedział, co powiedzieć; był wstrząśnięty, zawstydzony, zupełnie jakby to on, a nie ona podglądał zakazaną scenę.

Znow zaczęło kapać jej z nosa, chociaż już nie płakała. Zupełnie jak gdyby łzy zabłąkały się gdzieś po drodze.

- Właśnie... Okropne, prawda? Tyle lat nosiłam to w sobie jak jakiś koszmar. Tylko nie wiedziałam... - Urwała, gwałtownie mnąc w dłoni chusteczkę. - Mam ochotę nigdy więcej ich już nie oglądać.

Przez chwilę milczeli w dziwnej, trudnej, niewygodnej ciszy.

- Co się stało z dzieckiem? - zapytał wreszcie.

- Dziewczynka została adoptowana, gdzieś w Anglii. Tak powiedziała siostra Maria Teresa. Sally wywiozła ją do adopcji. Nie wiem, co się z nią dotąd działo, ale powinna mieć teraz jakieś dwadzieścia trzy lata.

Zerknęła na Marka. Znieruchomiał, jego twarz zastygła w wyrazie absolutnego szoku.

- Mark? - rzuciła zaniepokojona.

Teraz uczucia, jeszcze przed chwilą sparaliżowane, zaczęły się nawzajem prześcigać. Niemal widziała, jak ścigają się jego myśli, ale nie potrafiła ich zinterpretować ani zrozumieć.

- Mark, co się stało?! - krzyknęła przestraszona. - Co ja takiego powiedziałam?

Spojrzał na nią nie widzącym wzrokiem i odwrócił oczy, a potem ukrył twarz w dłoniach.

- Teresa... - Zabrzmiało to jak szloch.

RS

Cześć szósta

Rozdział trzydziesty

Kiedy tylko dorosła na tyle, żeby to zrozumieć, powiedziano jej, że została adoptowana. Być może już wcześniej o tym wiedziała, bo wcale się nie przejęła tą wiadomością.

- Jesteś kimś wyjątkowym, Tereso - powiedziała jej matka, przytulając dziewczynkę razem z puchatym misiem. - Większość mam i tatusiów nie wybiera sobie dzieci. Z nami było inaczej. Myśmy ciebie wybrali. Właśnie dlatego jesteś taka niezwykła.

Teresa uśmiechnęła się, ssąc palec. Wyjątkowa, niezwykła, jedyna w swoim rodzaju - tak, właśnie za taką się uważała. Była kimś wyjątkowym dla taty, który nazywał ją pierożkiem i codziennie się z nią bawił, zanim poszła spać. Była kimś niezwykłym dla mamy, która często ją całowała i tuliła, dawała łyżkę, żeby Teresa mogła sobie wybrać resztki ciasta z miski i nigdy się nie gniewała, gdy dziewczynka podczas prania chowała się w koszu z bielizną. Pokój Teresy też był jedyny w swoim rodzaju. Na suficie przylepiono gwiazdki, które świeciły, kiedy zaciągnięto zasłony, i paliła się tylko mała różowa nocna lampka, ponieważ dziewczynka trochę bała się ciemności. Rodzice często jej czytali bajki, a ona siedziała wygodnie na ich kolanach, patrząc na kolorowe obrazki i słuchając bliskiego, ukochanego głosu. Nie miała rodzeństwa, ale to jej nie martwiło. Przez to czuła się jeszcze bardziej wyjątkowa.

Kiedy dorosła, czasami się zastanawiała, kim naprawdę jest. Może jej prawdziwa matka jest księżniczką albo gwiazdą piosenki? A może wcale nie jest normalną kobietą, tylko przybyszem z innego świata? Miło było snuć takie marzenia. Jednak ani przez chwilę Teresa nie chciała mieć innej mamusi, oprócz tej, która cały czas była przy niej, podnosiła ją z ziemi i ocierała łzy po upadku, siedziała przy łóżku i podawała jej lody na łyżeczce po wycięciu migdałków. Ta mamusia była prawdziwa. Tamta druga... cóż, przypominała postać z jakiejś bajki.

Kiedy Teresa skończyła czternaście lat, zadała rodzicom kilka pytań, a oni powiedzieli jej wszystko, co wiedzieli - chociaż nie było tego wiele.

Jako osiemnastoletnia dziewczyna złożyła podanie do głównego urzędu w Somerset House o pełny odpis aktu urodzenia, częściowo z ciekawości, a częściowo dlatego, żeby otrzymać „prawdziwy” dokument, a nie tylko jego skrót, pochodzący z dnia jej adopcji. Nie zamierzała korzystać z informacji, które w nim znalazła. Jej stosunek do tego problemu od dzieciństwa nie zmienił się ani na jotę - Les i Doreen Arnoldowie byli prawdziwymi rodzicami, kobieta z dokumentu tylko ulotnym cieniem. Teresie raczej nie zależało na tym, by ją poznać. Co by na tym zyskała, oprócz rozczarowania? Poza tym zraniłaby Lesa i Doreen, a przecież bardzo ich kochała i nie chciała przysparzać im cierpień.

Uważnie przeczytała akt urodzenia, zastanowiła się nad zawartymi w nim informacjami - oraz nad tym, czego tam nie znalazła - i odłożyła go do szuflady, w której trzymała książeczkę zdrowia, bony premiowe i fotografię Sadie, swojego psa mieszańca. Ułynęło wiele czasu, zanim znowu spojrzała na ten dokument.

Od wczesnego dzieciństwa Teresa interesowała się modą. Lubiła się przebierać, paradować w butach matki i zakładać różne stroje, które Doreen wkładała do jej „skrzynki skarbów”. Z lalek Teresa najbardziej lubiła Cindy, ponieważ miała najwspanialszą garderobę. Nigdy nie bawiła się w mamę i lalki przypominające małe bobaski leżały zapomniane w kącie. Natomiast w pobliskim sklepie z zabawkami wydawała całe kieszonkowe na kupno nowych ubranek dla Cindy z zapierającej dech kolekcji.

Oprócz zainteresowania modą Teresa wykazywała niezwykły talent artystyczny. Bardzo szybko nauczyła się szycia. Kiedy miała dwanaście lat, o wiele lepiej radziła sobie z maszyną do szycia niż Doreen, więc matka, która zawsze gubiła bębenek, plątała nitkę lub łamała igłę, przekazała jej ten sprzęt na wyłączny użytek.

- Ja to zrobię, mamó - mówiła z pobłażliwym rozbawieniem, patrząc, jak Doreen zмага się z guzikiem albo odprutą zakładką.
- Mamó! Przecież to nie tak! Zobacz, jakie to proste!
- Może dla ciebie - odparowywała matka, wdzięczna, że ktoś

wykona za nią tę pracę. Zawsze wtedy myślała, że jedną z zalet wychowywania adoptowanego dziecka jest to, że nigdy nie wiadomo, w czym przejawia się jego zdolności. Nie było przecież wiadomo, jakie cechy posiadali jego rodzice.

Mimo to była bardzo zaskoczona, kiedy Teresa oznajmiła, że zamierza zostać projektantką mody. To z pewnością nie jest zawód, który najczęściej wybierają dziewczęta z przeciętnych domów, wykształcone w miejscowej szkole zbiorczej.

- Nie lepiej byłoby pomyśleć o jakimś normalnym zawodzie?

- przekonywała córkę Doreen. - Zawsze możesz szyć dla przyjemności. Wiele na tym nie zarobisz. Szycie zabiera dużo czasu, a ludzie nie chcą za nie wiele płacić.

- Nie zamierzam szyć, przynajmniej nie osobiście - tłumaczyła cierpliwie Teresa. - To będą robić inni. Ja zajmę się projektowaniem.

Matka wyrozumiale pokiwała głową. Uważała, że córka kiedyś wróci na ziemię. Ale czas mijał, a Teresa nie zmieniała zamiarów. Ku zaskoczeniu Doreen, nauczyciele również popierali jej pomysł. W wieku szesnastu lat zdała małą maturę i dostała z robót ręcznych i wychowania plastycznego najlepsze oceny. Zanim jeszcze ogłoszono wyniki egzaminów końcowych w szkole średniej, dostała się do pobliskiej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie przyznano jej stypendium.

- Tylko uważaj, z kim się będziesz zadawała - ostrzegła córkę Doreen. Jej zdaniem studenci sztuk pięknych byli co najmniej dziwni i wszyscy zażywali narkotyki.

Teresa tylko się śmiała.

- Będę zbyt zapracowana, żeby się bawić w takie rzeczy - zapewniła matkę i po jakimś czasie Doreen przestała się zamartwiać. Rzeczywiście, Teresa pracowała bardzo ciężko. Ludzie, którzy myślą, że studia artystyczne to beztrudne życie, bardzo się mylą - myślała Doreen, gdy widziała, jak córka codziennie przesiaduje długo w noc nad jakimś projektem.

Ten rok byłby dla Teresy bardzo szczęśliwy, gdyby nie położył się na nim cień nagłej śmierci ojca. To, co brał za niestrawność, okazało się

ostrzegawczymi objawami choroby serca. Pewnego wieczoru, kiedy Doreen wyjechała do Londynu na przedświąteczne zakupy, Teresa wróciła z uczelni i znalazła ojca leżącego na podłodze w kuchni. Do końca życia nie zapomni tej przerażającej chwili. Jak zwykle wróciła obciążona teczkami pełnymi rysunków i ciężką torbą, zawierającą wszystko, czego potrzebowała do następnego projektu - miała to być duża zabawka dla dzieci. Weszła do ciepłej kuchni, wołając „hej, jest tam kto?” Pomieszczenie wydało jej się dziwnie puste. Nagle zobaczyła nogi ojca, wystające zza dużego fotela.

- O, mój Boże! Tato! - krzyknęła. Wstrząśnięta i wystraszona, rzuciła się na kolana obok nieruchomego ciała. Najpierw spróbowała oddychania usta-usta - w szkole nauczyła się zasad pierwszej pomocy. Potem zadzwoniła po pogotowie i znów próbowała sama przywrócić ojca do przytomności. Ale już podczas tych zabiegów, choć trzęsa się ze zdenerwowania, tak że nie potrafiła odliczać pomiędzy oddechami, zrozumiała, że nic już nie da się zrobić. Kilka minut później - wydawało jej się, że upłynęły całe wieki - kiedy przyjechała karetka, z wyrazu twarzy lekarza Teresa odgadła, że jest za późno. Później dowiedziała się, że ojciec zmarł co najmniej godzinę przed jej powrotem, i chociaż nieco pocieszała ją świadomość, że gdyby na jej miejscu znajdował się najlepszy specjalista, i tak nic by nie pomógł, to jednak w pewnym sensie czuła się jeszcze bardziej winna. Gdyby nie została do późna na uczelni, gdyby wróciła wcześniejszym autobusem, gdyby postanowiła tego wieczora pracować w domu i zrezygnowała z udziału w przygotowaniach świątecznych dekoracji, wtedy może byłaby w stanie uratować ojca.

Te święta wyryły się w pamięci Teresy jako najniezwyklejsze dni jej życia. Razem z matką przygotowywały się do nich jak co roku, ponieważ Doreen twierdziła, że tego życzyłby sobie ojciec, ale świątecznie przybrany dom wydawał się z nich kpić, a choinka bez światełek przypominała, że tego roku nie miał ich kto założyć, bowiem odkąd Teresa sięgnęła pamięcią, zawsze robił to ojciec. Upiękły indyka i przygotowały sos chlebowy, jak zwykle o tej porze ugotowały brukselkę

i upiekły kasztany na świąteczny obiad, ale żadna z nich nie miała apetytu. W końcu nie były już w stanie dłużej udawać. Wypiły butelkę brandy, żeby zagłuszyć smutek, wyłączyły telewizor, który nadawał obowiązkowo radosne programy, i wcześniej poszły spać. Taki był smutny koniec przygnębiającego dnia. Leżąc bezsennie w łóżku, z głową ciężką od wypitego alkoholu, Teresa doszła do wniosku, że święta nigdy już nie będą dla niej takie same jak dawniej.

Jednak życie toczyło się dalej, teraz trochę bardziej samotne i o wiele skromniejsze z powodu trudności finansowych. Teresa doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo matka się poświęca, żeby umożliwić córce pozostanie na wyższej uczelni. Obiecała sobie, że pewnego dnia wynagrodzi jej to z nawiązką. Pragnienie, żeby kiedyś umożliwić matce korzystanie ze wszystkich tych drobnych wygod, na które tak bardzo zasługiwała, dodawało Teresie skrzydeł. Ciałem i duszą rzuciła się w wir pracy. Wygrała nawet ogólnokrajowy konkurs, zorganizowany przez znanego producenta tkanin. Jej kolekcja strojów dziennych i wieczorowych zdobyła najwyższe uznanie. Wszyscy wykładowcy z uczelni byli zgodni - Teresa Arnold ma talent.

Wiosną tuż przed dyplomem Teresa zaczęła szukać pracy. Wielu kolegów i koleżanek z roku zamierzało podróżować przed podjęciem jakiegoś zajęcia. Jedni wybierali się do Paryża, inni do Włoch, jeszcze inni do Stanów. To bardzo dobry pomysł, jeśli się ma pieniądze - myślała Teresa. Żałowała, że ona nie może sobie na to pozwolić, ale nie zazdrościła rówieśnikom. Tak bardzo chciała jak najszybciej dotrzeć do wyznaczonego sobie celu, że nawet nie przyszło jej do głowy, żeby dla przygody zboczyć z drogi. Kłopot polegał na tym, że zbyt późno zabrała się do poszukiwań, zmylona niefrasobliwym podejściem do życia, jakie wykazywali inni studenci. Wiele dużych firm, takich jak Marks and Spencer, wymagało, żeby podania o pracę składać jeszcze przed świętami, i o tej porze miało już więcej zgłoszeń niż potrzeba. Teresa poświęcała całe weekendy na pisanie podań i życiorysów (jak to się stało, że praktycznie wszyscy oprócz niej mieli dostęp do komputera?). Wysyłała mnóstwo listów, ale odpowiedzi nie były zachęcające.

Niektóre firmy odmawiały wprost, inne obiecywały, że rozpatrzą jej podanie w późniejszym terminie, a to jej nie satysfakcjonowało, gdyż potrzebowała pracy już za trzy miesiące. Przywiedziona do ostateczności wysuwała resztkę stypendium i zaprenumerowała czasopismo „Draper's Record”, które zamieszczało ogłoszenia z branży odzieżowej. Większość pracodawców poszukiwała kogoś z doświadczeniem.

Jak mam zdobyć doświadczenie, kiedy nie mogę znaleźć pierwszej pracy - zastanawiała się Teresa.

Już myślała, że będzie musiała przerwać poszukiwania do czasu, kiedy skończy szkołę i będzie mogła osobiście jeździć do interesujących ją firm, kiedy spostrzegła ogłoszenie. Światowej sławy firma z zachodniej Anglii, zajmująca się projektowaniem odzieży, poszukiwała asystentki kierownika działu zakupów. Zapewniała odpowiednie przeszkolenie i nie wymagała doświadczenia. Taka praca nie była dla Teresy wymarzona, ale przynajmniej dawała jakiś start.

Natychmiast odpowiedziała na anons, odbyła rozmowę ze specjalistą z agencji do spraw zatrudnienia, a potem dostała zaproszenie do głównego biura firmy na drugą, decydującą rozmowę.

Postanowiła ubrać się w strój, który sama zaprojektowała. Włożyła żakiet i spódnicę z brązowopomarańczowej wełny, a do tego kamizelkę z brązowego jedwabiu - zestaw dość elegancki jak na taką okazję, ale wystarczająco niekonwencjonalny, żeby dowieść jej talentu i polotu. Główna siedziba firmy znajdowała się z dala od miasta i Teresa wzięła taksówkę, żeby wyglądać schludnie i świeżo po przybyciu na miejsce. Fundusze nie pozwalały jej na powrotną podróż taksówką do Bristolu, skąd miała pociąg do domu. Postanowiła, że wróci do miasta autostopem.

Kiedy wyszła z eleganckiego nowego biurowca, było już dobrze po południu. Późnowiosenne słońce zmieniało prostą, wysadzaną drzewami drogę w srebrną wstążkę. W krzewach uwijały się ze świergotem ptaki, a kwiaty głogu tworzyły jasne plamy na tle młodej zieleni liści. W oddali na pastwiskach pały się krowy. Wokół było pięknie i spokojnie, ale Teresa czuła się spięta i przygnębiona. Nie była

pewna, jakie wrażenie wywarła na kobiecie, z którą rozmawiała, ale w głębi serca przeczuwała, że nie dostanie tej posady.

Głównej specjalistce do spraw zakupów nie spodobało się, że Teresa jest przede wszystkim projektantką. Nawet włożenie kostiumu własnego pomysłu okazało się błędem.

- Sama zaprojektowałaś ten strój? - zapytała ta nieskazitelnie ubrana kobieta, a kiedy Teresa potwierdziła, zapytała: - Jesteś pewna, że interesuje cię praca w dziale zakupów?

- O, tak. Chciałabym poznać i tę stronę działania przemysłu mody - przytaknęła z zapalem Teresa i natychmiast zdała sobie sprawę, jaki błąd popełniła. Pomyślała sobie, że traktuję tę posadę jako tymczasowe zajęcie, szczebel do dalszej kariery. Prawdę mówiąc, będą mieli rację.

Na drodze minęło ją kilka samochodów, ale żaden się nie zatrzymał, chociaż patrzyła na nie z nadzieją. Wspaniale - pomyślała. Do pełni szczęścia brakuje mi tylko dwudziestokilometrowego spaceru. Buty na wysokim obcasie, które włożyła, żeby podkreślić wszystkie zalety kostiumu, już obtarły piętę. Kiedy usłyszała warkot kolejnego samochodu, podniosła rękę bez większych nadziei, ale uradowana zobaczyła, że zwolnił i zatrzymał się tuż przy niej. Był to stary, ale doskonale utrzymany ciemnoniebieski TR6 z podniesionym dachem. Drzwi się otworzyły i Teresa ujrzała przed sobą najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziała.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytał chłopak. Miał miły, beztroski głos.

- Do Bristolu. W zasadzie wracam do Londynu, ale z Bristolu mam pociąg.

- Wskakuj - powiedział. - Masz szczęście. Tak się składa, że jadę prosto do Londynu.

Na chwilę się zawahała. Traf wydał się jej zbyt szczęśliwy. A jeśli ten chłopak to jakiś zboczeniec, który chce zwabić ją do samochodu? Przecież taki wcale nie musi przypominać potwora. Niektórzy z nich wydają się zupełnie normalni i godni zaufania. Zdradza ich tylko spojrzenie.

Teresa zerknęła na niebieskie oczy nieznanego, ocienione długimi,

niemal dziewczęcymi rzesami. Zobaczyła, że są jasne, uczciwe i wesołe. Zdecydowała się. Ten młody człowiek z pewnością nie jest zbrojeńcem. Prawdę mówiąc, wydał się jej wyjątkowo przystojny. Usiadła na niskim, wygodnym fotelu obok kierowcy tak wdzięcznie, na ile pozwalała krótka spódnica.

- To niewiarygodne - powiedziała. - Naprawdę jedziesz do samego Londynu?

- Tak, nawet nie zahaczam o Bristol. Najbardziej lubię jechać bocznymi drogami, aż do Chippenham, gdzie wyjeżdżam na autostradę M4. Nie powinno mi to zająć więcej niż trzy godziny, w zależności od ruchu. Do jakiej dzielnicy Londynu chcesz się dostać?

- W zasadzie do Beckenham, ale gdziekolwiek mnie dowieziesz, będę zadowolona. Kiedy wrócę do cywilizacji, dojadę do domu bez problemu.

- Powrót do cywilizacji! To znaczy, że nie jedziesz tam na wakacje. No tak, przecież nie masz bagażu.

- Wracam właśnie z rozmowy w sprawie pracy. - To dziwne, jak łatwo się z nim rozmawiało. - Jeszcze studiuje - wyjaśniła. Zdziwiony podniósł brew.

- Nie wyglądasz na studentkę.

- Specjalnie włożyłam taki elegancki kostium, żeby zrobić dobre wrażenie. Zwykle ubieram się inaczej.

- Co studiujesz?

- Projektowanie odzieży.

- Aha! To wiele tłumaczy - odparł domyślnie. - I jak się udała ta rozmowa?

- Niezbyt dobrze. Chyba moja osoba nie bardzo im odpowiada. Spojrzał na nią tak, jakby chciał powiedzieć, że każdego, komu

Teresa się nie podoba, uważa za wariata, ale był zbyt inteligentny, żeby wygłosić tak banalną uwagę.

Jechali przez piękną okolicę, mijając wioski i miasteczka rozrzucone wzdłuż drogi jak paciorki naszyjnika. Za rzędami żywopłotów rozciągała się szachownica zielonych pól, czasami urozmaicona żółtą polacją

kwitnącego rzepaku.

Kiedy dotarli do autostrady, mieli wrażenie, że są starymi przyjaciółmi. Teresa dowiedziała się, że chłopak nazywa się Mark Bristow i pracuje w reklamie. Nie wyjaśnił jednak, co robił tak daleko od Londynu, a ona nie pytała, ponieważ zadziwił ją niezwykley zbieg okoliczności. Jego nazwisko brzmiało dokładnie tak samo jak nazwisko jej prawdziwej matki.

Jak zwykle w piątek po południu, na drodze panował duży ruch, ale Mark prowadził szybko i pewnie. Wyprzedzał inne pojazdy skrajnym pasem, potem znów szybko chował się na środkowy. Jazda jego samochodem, choć tak małym, była przyjemna. Teresa słyszała gardłowy pomruk silnika, a lekkie drżenie nadwozia wywoływało przyjemne dreszcze. Kątem oka zerknęła na towarzysza - ładny, czysty profil, gęste jasne włosy, koszula polo i dobrze skrojona tweedowa marynarka. Teresa poczuła, że przebiega ją lekki dreszczyk, ale tym razem nie miał on nic wspólnego z jazdą samochodem.

Spotykała się z wieloma chłopcami. Miała przyjacielską, otwartą naturę, a jednocześnie potrafiła się otoczyć leciutką mgiełką tajemnicy, chociaż jej znajomi nie mogli wytłumaczyć, skąd się to bierze. Być może miało to związek z jej niezwykley twarzą o wysokich kościach policzkowych i lekko spłaszczonych rysach, jakby płynęła w niej kropla obcej krwi. A może wrażenie tajemniczości wywoływała łatwość, z jaką Teresa przechodziła z wesołego ożywienia do spokojnej zadumy, jakby pogrążała się we własnym świecie, żeby czerpać z niego energię, która pchała ją do dalszego działania. Zwykle jednak przyjaciele nie starali się jej rozszyfrować, nie leżało to w ich naturze. Byli artystami, nie psychologami, dostrzegali raczej barwę i formę, a nie zawitości charakteru. W pewnym sensie te przyjaźnie były bardzo powierzchowne, zawierane dla zabawy. Była już kiedyś zakochana, tak przynajmniej jej się wydawało, ale nigdy naprawdę się nie odstończyła i nigdy nie żądała od przyjaciół więcej, niż chcieli jej dać. Patrzyła teraz na nieznajomego i czuła, że coś się w niej budzi.

- Mam wrażenie, jakbym cię znała od dawna - rzekła i natychmiast

pomyślała, że to niezbyt mądre zdanie.

Mark przez chwilę nie odpowiadał. Skupił uwagę na wyprzedzaniu wielkiej ciężarówki.

- Dziwne, że powiedziałaś to akurat teraz - odparł, wróciwszy na środkowy pas. - Właśnie myślałem o tym samym.

Zaskoczył ją.

- Chcesz powiedzieć, że masz takie samo uczucie? Ale przecież nigdy się nie spotkaliśmy, prawda?

Roześmiał się.

- Chyba nie.

Nigdy bym tego nie zapomniał - dodał w myślach... Potem przez kilka minut milczeli niezręcznie. W ich słowach było zbyt wiele intymności jak na taką krótką znajomość.

- Co robisz w wolnym czasie? - zapytał w końcu Mark.

- W wolnym czasie? Nie mam go zbyt dużo. Studiowanie sztuk pięknych to bardzo pracochłonne zajęcie. Nieczęsto możemy sobie pozwolić na studenckie rozrywki. Czasami sobie myślę, że powinnam wybrać jakieś łatwiejsze studia, na przykład inżynierię albo filologię.

- Hmm. - Zastanawiał się, czy nie opowiedzieć jej o Hugonie, ale doszedł do wniosku, że mogłaby to wziąć za przechwałki.

- To takie denerwujące - ciągnęła. - Wszystkim się wydaje, że studiowanie sztuki to łatwizna. Zapewniam cię, że tak nie jest. Przed wszystkim, stale nas oceniają. Stopnie za poszczególne projekty mają wpływ na końcowy wynik. Trzeba też napisać pracę. Skończyłam swoją już zeszłego lata, więc mam to z głowy, ale kiedy przedstawiamy projekty, wykładowcy czepiają się najmniejszych szczegółów. Wydałam już fortunę na letraset i oprawę szkiców, a jeszcze nie przystąpiłam do właściwej pracy. To dopiero będzie kosztowało. Jeśli nie używasz dobrych tkanin, projekt nie wypadnie tak, jak powinien. A materiał na czternaście albo więcej kreacji nie jest tani.

- Domyślam się - odparł, a jego lekki ton znów wprowadził ją w zakłopotanie.

- Przepraszam, zanudzam cię - powiedziała. - Ale czasami nachodzi

mnie zwątpienie. Bardzo chcę, żeby mi się udało, pracuję do upadłego, a i tak dostaję niższe stopnie od tych, którzy prawie nic nie robią, ale stać ich na lepszą prezentację swoich projektów.

- Tak, to okropne. - Mark, któremu od młodości niczego nie brakowało, zobaczył drugą stronę życia, dopiero kiedy rozpoczął interesy na własny rachunek.

- Trudno - powiedziała z wymuszoną beztróską. - I tak skończę studia. Na moim wydziale praktycznie wszyscy zdają, a to już jakaś pocięcha, nawet jeśli to znaczy, że przez dwa tygodnie przed końcowym pokazem nawet nie zmruję oka.

Mark chciał już powiedzieć, że ci, którzy znaleźli się na szczycie drabiny sukcesu, prowadzą podobne życie, ale się powstrzymał.

- Więc nie znajdziesz czasu, żeby się kiedyś wybrać ze mną na drinka? - zapytał tylko.

W Teresie zadrżało serce. Krew zatętniła jej mocniej.

- Czy to jest zaproszenie?

- No, tak.

- Jeden zarwany wieczór chyba nie sprawi mi różnicy - odparła. Pomyślała, że umówi się z nim, nawet jeśli to oznacza, że będzie musiała więcej nocy poświęcić na pracę.

Zakochała się do szaleństwa, przepadła z kretesem, i właśnie to było cudowne. Od początku go ostrzegała, że ostatnie miesiące studiów zostawiają niewiele czasu na rozrywki. Zresztą i on wiódł bardzo pracowite życie; zabiegał o klientów, pracował po godzinach nad nowymi pomysłami i ciągle kursował między Nowym Jorkiem a Londynem. Jednak cieszyli się i tym krótkim czasem, który mogli ze sobą spędzić. Czasami Mark zapraszał Teresę do eleganckiej restauracji lub do teatru, czasami szli z przyjaciółmi na drinka do jakiegoś swojskiego baru albo po prostu oglądali film na video, siedząc z podwiniętymi nogami na kanapie, popijając piwo z puszek i jedząc chińskie potrawy na wynos. Zdarzało się, że Mark sam przygotowywał zaskakująco dobre spaghetti po bolońsku albo kurczaka w sosie curry. Ostatniego wieczoru przed oddaniem do oceny końcowej pracy wspierał Teresę swoją

obecnością; kiedy odchodziła od zmysłów, bojąc się, że nie zdąży na czas, podawał jej werniks do ostatnich szkiców, które chciała dołączyć do portfolio, i zbierał zaśmiecające podłogę ścinki. Robił dla niej kawę, kiedy przyszywała guziki, obrębiała zakłady i rozprasowywała szwy. Miał w pogotowiu chusteczkę, kiedy wybuchnęła płaczem, zirytowana wypustką, która nie chciała się prosto układać, chociaż poprawiała ją niezliczoną ilość razy. Chusteczka przydała się również, kiedy się okazało, że dostała drugą ocenę w swojej grupie.

- To wspaniale! Jesteś bardzo zdolna! - pogratulował jej.
- Nie jestem. Chciałam być pierwsza. Tak ciężko na to pracowałam!
- szlochła. Była tak zmęczona, że na wszystko reagowała zbyt emocjonalnie.
- Przecież to nie jest ważne. Liczy się, że skończyłaś studia i dostałaś dyplom. Najważniejsze są twoje projekty, a wszystkie wyglądają wspaniale - pocieszał ją.
- Widocznie komisja egzaminacyjna była innego zdania.
- Ta komisja to sami kretyni. Gdyby zobaczyli twoje kreacje na wybiegu, na modelkach, a nie na wieszaku, dopiero wtedy by się przekonali, jakie są dobre. To jest świetna kolekcja i z łatwością ją sprzedasz.
- Mam nadzieję. Muszę odzyskać trochę pieniędzy, które na nią wydałam, a raczej wydała je moja mama!
- Przekonasz się, że ci się uda.

Oczywiście, okazało się, że miał rację. Po finałowym pokazie do Teresy zwróciło się kilka osób, zainteresowanych kupnem pojedynczych sztuk, i pewna sieć butików, która chciała nabyć całą kolekcję na pniu, z zastrzeżeniem, że dostarczy im dodatkowe egzemplarze i zaprojektuje nowe stroje na przyszły sezon wiosenny.

- Widzisz? Co ci mówiłem? - Mark z radości chwycił Teresę w ramiona i wirował po pokoju. - Teraz jesteś już w branży. Zapomnij o tych pojedynczych zamówieniach i zajmij się tym najważniejszym. Załóż własną firmę!

- Nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć...

- Najpierw znajdź sobie jakąś małą pracownię, zatrudnij kilku pracowników i zdaj się na swój talent.
- W twoich ustach brzmi to tak prosto, ale ja się nie znam na prowadzeniu interesów...
- A twoja przyjaciółka, Linda George? Przecież właśnie skończyła szkołę handlową. Ona by ci w tym pomogła. Ty byś się zajmowała projektowaniem, a ona robieniem interesów.
- A skąd miałabym wziąć kapitał na założenie własnej firmy?
- Porozmawiaj z dyrektorem swojego banku. Przecież właśnie po to założono te instytucje.
- Mark, boję się...
- Myślałem, że chcesz zostać słynną projektantką.
- Bo chcę.
- W takim razie bierz się na odwagę i spróbuj!

Wzięła głęboki oddech. Spojrzała na niego ze stanowczym błyskiem w oku.

- Chyba masz rację. Jeśli nie zaryzykuję, nic nie osiągnę, prawda? Pocałował ją.
- Jestem z ciebie bardzo dumny.

Chociaż Mark i Teresa bardzo się kochali, nie mówili o sobie wszystkiego, każde z innego powodu.

Mark nie wspomniał, że jego matka wyszła za mąż za Hugona. Powiedział tylko, że jego rodzina mieszka w Stanach, a ojczym prowadzi interesy. Nie miał w sobie nic ze snoba i nie chciał się chwalić, że bogactwo i sława ojczyma tak bardzo ułatwiły mu życiowy start. Poza tym wciąż mu się wydawało, być może niesłusznie, że przyznanie się do osobistego związku z tak słynną postacią ze świata mody, podczas gdy Teresa zaczynała dopiero się wspinać po drabinie sukcesu, mogło być przez nią odebrane jako przechwałki i wywyższanie się.

Teresa nawet w momentach największej bliskości nie zdradziła Markowi, że ją adoptowano. Częściowo dlatego, że sama o tym tak rzadko myślała, a częściowo kierowało nią poczucie lojalności wobec Doreen. Kiedy mówiła o przeszłości, zawsze trzymała się faktów i nie

pozwalala sobie na spekulacje, co by bylo, gdyby jej zycie zaczelo sie inaczej. Byla Teresa Arnold, corka Doreen Arnold, jej ojciec zmarl, a wychowala sie w Beckenham - oto cala historia.

Jednak kiedy postanowila zalozyc wlasny biznes, po raz pierwszy przekonala sie, jak wielkie znaczenie ma dla niej fakt, ze jest dzieckiem adoptowanym.

Tak jak poradzil jej Mark, Teresa umowila sie na rozmowe z dyrektorem banku. Zainteresowal sie jej propozycja i podszedl do niej dosc zyczliwie, ale zadal jakiegoz dodatkowego zabezpieczenia pozyczki. Uslyszawszy o tym warunku, Doreen ani chwili sie nie wahala. Niezwykle dumna z Teresy, chciala jej jak najbardziej ulatwic start zawodowy, wiec zaproponowala swoj dom jako zabezpieczenie. Terese, chociaz byla matce wdzieczna, sparalizowal strach przed ogromna odpowiedzialnoscia i mozliwoscia klaski calego przedsiwzięcia.

- Chyba nie moge sie na to zgodzic - powiedziala Markowi. - Zbyt wiele bym zadala.

- Nic nie zadalas. Matka sama ci to zaproponowala - zauwazyl Mark.

Jedli wlasnie kolacje w mieszkaniu Marka, ale Teresa nie przetknela jeszcze ani jednego kesa curry, tylko przesuwala widelcem ryz po talerzu.

- Wiem, ze to wyszlo od niej, ale nie o to chodzi. Co bedzie, jezeli mi sie nie uda?

- Uda ci sie. Jedz kolacje.

- Moze mi sie nie poszczescic, a wtedy mama wszystko straci. Co innego, gdyby ojciec jeszcze zyly. Nie zostawil jej wiele. Ten dom jest wszystkim, co ma. Co by bez niego zrobila? Nie moge jej pozwolic na takie ryzyko.

- Postuchaj. - Mark skonczyly curry i odsunaly talerz. - Po pierwsze, wszystko bedzie dobrze. Po drugie, bank zada gwarancji, a ty nie masz wielkiego wyboru. Pomoglbym ci, ale juz i tak mam obciazona hipoteke. Po trzecie, ona bardzo chce ci pomoc. Matki juz takie sa.

- Ale ona juz tyle dla mnie zrobila. Nie potrafię ci nawet opisać, jak

się poświęcała. Najwyższy czas, żebym zaczęła jej to wynagradzać, a nie odbierała ostatni grosz.

- Jeśli ten pomysł wypali, wszystko jej zwrócisz - przekonywał Mark.
- Będziesz mogła zapewnić jej luksusowe życie aż do końca jej dni... -
Urwał i pomyślał o Hugonie, który nie tylko mógł rozpieszczać Martę wszelkimi dobrami materialnymi, ale dał jej największą radość, jaka może spotkać matkę - mogła być dumna ze swojego syna. - Uwierz mi. Powinnaś jej na to pozwolić. Trzeba ryzykować, żeby zdobyć to, czego się pragnie. Nie zaryzykujesz, nie zarobisz, jak to się mówi.

- Wiem, wiem, ale... - Zawahała się. - Zrobiła dla mnie tak wiele, a... Jest coś, o czym ci nie powiedziałam. Ona nie jest moją rodzoną matką. Zostałam adoptowana jako dziecko.

- No i co? - Był zaskoczony, ale nie zaszokowany.
- Czuję się podwójnie odpowiedzialna.
- Dlaczego?
- Bo nie chcę sprawić jej zawodu. Kto wie, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby rodzice mnie nie adoptowali. Dali mi wszystko - miłość, wspaniały dom, wszystko. Nie chcę jej odplącić, pozbawiając ją wszystkiego co ma.

Wziął ją za rękę. Choć w mieszkaniu panowało miłe ciepło, dłoń Teresy jak zwykle była zimna i trochę zeszywniała. Delikatnie ją rozmasował.

- Ciągle ci powtarzam, kochanie, żebyś bardziej uwierzyła w siebie. Uda ci się. Potrafisz tego dokonać. Mówiłaś, że nie chcesz jej rozczarować. To bzdura. Matka już jest z ciebie dumna, a będzie jeszcze dumniej sza!

Przyciągnął Teresę do siebie, pocałował we włosy, oczy, a wreszcie w usta. Wciąż jeszcze się martwiła, więc dopiero po chwili zareagowała. Bliskość Marka jak zawsze podziałała na nią jak magia. Zapomniała o troskach i zapragnęła go całą sobą.

Mark był szczodrym i troskliwym kochankiem, zawsze na nią czekał i pociągał za sobą na szczyty, których nie osiągnęła z innymi chłopcami, dbającymi tylko o własną przyjemność. Kiedy już było po wszystkim,

leżeli w swoich ramionach, odprężeni i zaspokojeni. Problemy codziennej walki o przetrwanie wydawały się bardzo odległe.

Niekiedy w takich chwilach Mark zapalał papierosa. Tak zrobił teraz. Siedział wspierając się na poduszkach, a Teresa oparła mu głowę na ramieniu. Dotknęła nosem jego skóry, od której bił łagodny zapach świeżego potu i mydła, wymieszany z wonią unoszącego się w powietrzu dymu papierosowego. Teresa była senna i szczęśliwa. Cieszyła się, że cztery miesiące temu pojechała aż za Bristol w poszukiwaniu pracy, mimo że jej nie zdobyła. Inaczej nie spotkałaby Marka. Nie do pomyślenia! Po tak krótkim czasie miała wrażenie, że znają się od zawsze. Kiedy zagadnął ją teraz o adopcję, była zadowolona, że nie ma już między nimi tajemnic.

- To, że zostałam adoptowana, nie ma dla mnie większego znaczenia - wyjaśniła. - Bardzo rzadko o tym myślę.

- Czy wiesz coś o swoich prawdziwych rodzicach? - zapytał łagodnie.

Kierowała nim zwykła ciekawość. Nic nie zapowiadało, że to, co za chwilę usłyszy, odmieni życie ich obojga.

- Prawie nic. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, zażądałam odpisu świadectwa urodzenia, ale w żaden sposób go nie wykorzystałam. Nie chciałam prowadzić śledztwa. Tak jak mówiłam, uważam Doreen i Lesa za swoich prawdziwych rodziców. To oni zawsze przy mnie byli. - Zawahała się i przesunęła palcem po jasnych włosach na piersi Marka. - Śmieszny zbieg okoliczności. Moja rodzona matka nosi takie samo nazwisko jak ty, Bristow.

- Naprawdę. To dziwne. Zawsze sądziłem, że to rzadkie nazwisko.

- No, właśnie. Nazywała się Sally, Sally Margaret Bristow, i podała, że mieszka w Kensington. Imienia ojca nie znam. W formularzu wpisano „ojciec nieznany”.

Wyczuła, że Mark zeszywniał.

- Co się stało?

- Nic. Zupełnie nic. - Ale jednak odsunął ramię, wstał i włożył spodnie. - Wrócimy do salonu? Zaraz się zacznie ciekawy film w

telewizji.

- Dobrze. - Zauważyła, że się od niej oddalił. Zdziwiło ją to i uraziło. Nie wiedziała, co się stało, ale odgadła z jego zachowania, że nie ma zamiaru nic jej tłumaczyć. Nie wiadomo dlaczego, w ciągu ostatnich minut wyrosła między nimi jakaś bariera, której przedtem nigdy nie było. Nagle nawiedziło ją złe przeczucie. Całe ciało stało się chłodne i sztywne, jak to często zdarzało się z jej dłońmi.

Chciała powiedzieć Markowi, że go kocha, w nadziei, że te słowa w cudowny sposób przywrócą bliskość, jaka ich łączyła przed... przed czym? Jednak nic nie powiedziała, tylko wstała z łóżka, ubrała się i poszła za Markiem do salonu.

Mark Bristow nalał sobie jeszcze jedną szkocką - od wyjścia Teresy trzecią - i stał kołyszając płynem w szklance. Mały zegar na kominku wskazywał za dwadzieścia druga, ale Mark nie zamierzał iść spać. Wiedział, że nie mógłby zasnąć, a nie ma nic gorszego niż bezsenne przewracanie się w pościeli. Poza tym skóra mu cierpła na myśl, że miałby się położyć w łóżku, w którym niedawno się z nią kochał.

Chryste wszechmogący, co za bagno! Ze złością upił łyk alkoholu. Trudno w to uwierzyć - pomyślał, ale jeśli się nie mylę, to kochałem się z własną siostrą.

Żołądek zacisnął mu się kurczowo, a pot kroplący się na czole spłynął strużkami na szyję. Rzecz jasna, nic o tym nie wiedział, nie podejrzewał nawet, że istnieje takie prawdopodobieństwo, ale to nie zmniejszyło szoku, jaki nim do głębi wstrząsnął. Nic nie zmieni tego, co się stało, żadne tłumaczenie ani usprawiedliwienie. Poszedł do łóżka z własną siostrą. Co gorsza - zakochał się w niej, a ona w nim. Nic dziwnego, że od samego początku czuli się tak bliscy sobie! Whisky podeszła do gardła jak żółć. Nic dziwnego. To potworne, zbyt potworne, żeby wyrazić słowami.

Ale skąd miał wiedzieć? Nie mógł się domyślić. Nie wiedział nawet, że została adoptowana, a już z pewnością nie miał pojęcia, że jego matka urodziła -i oddała do adopcji - drugie dziecko.

Zastanawiał się, co ją, u diabła, do tego przywiodło. Irracjonalnie

zwrócił gniew przeciwko matce. Wiedział, że jest nieślubnym dzieckiem. Matka nigdy tego nie ukrywała, chociaż kiedy wyszła za męża, Hugo traktował go jak syna. I tak zresztą nie mogłaby tego zataić. Był już wystarczająco duży, by zapamiętać, że mieszkał sam z matką w Londynie - w Kensington. Chodził już do przedszkola, kiedy wyrwano go ze znanego mu środowiska i wywieziono do Stanów. Musiała wtedy już być w ciąży. Dokonał szybkich obliczeń, szacując na oko wiek Teresy. Dziwne. Coś tu się chyba nie zgadza, ale być może Teresa jest starsza, niż przypuszczał. Tak, z pewnością. Nie ma innego wytłumaczenia. Sally Margaret Bristow z Kensington była jego matką, to pewne. Istnieje najwyżej jedna szansa na tysiąc, że w tym samym czasie na tak niewielkim obszarze mieszkały dwie dziewczyny o takim samym imieniu i nazwisku.

Ponownie napełnił szklanekę i próbował sobie wyobrazić, jak to wszystko mogło wyglądać. Kiedy Paula zniknęła, Sally znowu była w ciąży. Bóg wie, dlaczego drugi raz wpędziła się w taką samą sytuację. Można by przypuszczać, że po tym, co musiała przejść, żeby go wychować, następnym razem będzie ostrożniejsza, zwłaszcza że szalone lata sześćdziesiąte dobiegały już końca. Jednak nie była i pewnie nie miała odwagi drugi raz narażać się na podobne trudności. Poza tym, jak przypuszczał Mark, straciłaby wtedy szansę na małżeństwo z Hugonem. Zatem tym razem zdecydowała się oddać dziecko do adopcji. A tym dzieckiem była Teresa.

Czy mieli wspólnego ojca? A może jej ojcem jest Hugo?

W metryce Marka znajdowała się ta sama zawstydzająca adnotacja - ojciec nieznan. Nie rozumiał tego. Wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, ale układanka była już niemal gotowa. Mark pomyślał ze strachem, że do całej prawdy ma już tylko krok.

Znał tylko jeden sposób, żeby się upewnić. Szybko wyliczył, która jest teraz godzina w Ameryce, i zadzwonił do Sally. Kiedy się odezwała, jej głos w słuchawce brzmiał tak lekko i radośnie, że na chwilę obudziła się w Marku nadzieja.

- Cześć, mamó.

- Mark! Co za wspaniała niespodzianka! Jak się miewasz? Nie odpowiedział na jej pytanie, tylko zadał swoje.

- Mamo, czy oddałaś w Londynie dziecko do adopcji? W późnych latach sześćdziesiątych albo wczesnych siedemdziesiątych?

Zapadła cisza. Nawet biorąc pod uwagę opóźnienie spowodowane wielką odległością, trwała zbyt długo. W końcu matka odpowiedziała trochę zdyszany, wystraszonym głosem.

- Jak się tego dowiedziałeś?

A więc to prawda. Nie ma już wątpliwości; i nie ma nadziei. Nie potrafił się zdobyć na żadną odpowiedź, nie mówiąc już o rozmowie na ten temat. Bez słowa odłożył słuchawkę i długo patrzył na telefon.

A więc to prawda. Teresa jest jego siostrą. Niech Bóg ma ich oboje w opiece. To było obrzydliwe, ohydne. Co gorsza, nawet teraz, wiedząc wszystko, nie przestał jej kochać i pragnąć.

Oczywiście, nie może się z nią więcej spotykać. Nie chce, żeby dowiedziała się prawdy. Przynajmniej tego jej oszczędzi.

Kiedy wstał świt, Mark wziął prysznic, ogolił się i poszedł do biura.

- Myślałem o tej sprawie Hemingwaya - zagadnął swojego wspólnika, Toby'ego Rogersa. - Chyba należałoby sprawdzić, jak wygląda sytuacja w Nowym Jorku.

Toby spojrział na niego zaskoczony. Przez ostatnie tygodnie wiele razy sam to powtarzał, ale wyrwanie Marka z Londynu nie było łatwe, odkąd związał się z tą dziewczyną.

- Zarezerwowałem sobie bilet na popołudniowy samolot - ciągnął Mark. - Jeśli dasz tu sobie radę sam, jeszcze dziś wylecę.

- Oczywiście, ale...

- Nie wiem, kiedy wrócę. To będzie zależało od sytuacji.

- Co powiedzieć, jeśli zadzwoni Teresa? - zapytał Toby, patrząc na niego przenikliwie. - Mam jej podać twój numer?

Domyślił się, że trafił w czuły punkt, kiedy zobaczył zaciętą minę kolegi. Mark wyglądał dzisiaj okropnie - blada, ziemista twarz, jak stare płótno, i przekrwione oczy.

- Nie. Powiedz jej... cholera, powiedz jej, co chcesz. Tylko trzymaj ją

z dała ode mnie.

- Jak sobie życzysz, stary - odparł ugodowo Toby. Był dobrym przyjacielem i wiedział, kiedy nie należy zadawać pytań.

W Nowym Jorku Mark zatrzymał się w mieszkaniu przyjaciela na East Side. Nie mógł się zmusić, żeby zamieszkać z matką pod jednym dachem. Zresztą nie był to już jego dawny dom. W zeszłym roku Hugo i Sally przeprowadzili się do nowego mieszkania na południe od Central Parku. Urządzili je dokładnie według życzeń Sally, w końcu usuwając ostatnie ślady Pauli.

Zastanawiał się, jak będzie się czuł, kiedy znowu zobaczy matkę, i tak jak przewidywał, z początku nie mógł zwalczyć niechęci i skrepowania. Spodziewał się, że poruszy temat dziecka, zapyta, jak się o tym dowiedział, i być może spróbuje coś wyjaśnić, ale ku jego niewystowionej uldze Sally tego nie zrobiła. Gniew Marka zaczął ustępować.

„Nie sądzicie, żebyście nie byli sążeni”. Kochał Sally bezgraniczną miłością, jaką większość młodych mężczyzn żywi do matek i być może ze względu na te dawne lata, które spędzili tylko we dwoje, ich związek był silniejszy niż inne. Kto to może wiedzieć, czym kierowała się Sally w tamtych ciężkich czasach? To nie jej wina, że Mark spotkał Teresę i ją pokochał. Nie powinna się o tym dowiedzieć.

Poza tym, gdyby Mark zaczął zadawać jakieś pytania, sam musiałby się tłumaczyć, a tego nie chciał. To, co się zdarzyło, powinien zachować dla siebie jako ciemny sekret, ukryty na dnie duszy. Tylko w ten sposób będzie kiedyś mógł o tym zapomnieć. Tak więc nigdy nie rozmawiali o tajemniczym dziecku, a Mark odkrył, że potrafi stopniowo wybaczyć matce ból, jaki mu bezwiednie zadała, i odnosić się do niej tak jak dawniej. Teraz był nawet jeszcze bardziej opiekuńczy.

Nie potrafił tylko zapomnieć o Teresie. Nie umiał wyrzucić tej dziewczyny z serca, chociaż bardzo go to zawstydzalo. Nie spotykał się z nią, nie odpowiadał na telefony i wmawiał sobie, że tak jest najlepiej. Jeśli z nią zerwie bez żadnych wyjaśnień, przynajmniej ona nie będzie miała sobie nic do zarzucenia.

Rzucił się w wir pracy. Jak najwięcej czasu spędzał poza Anglią i nigdy z nikim nie rozmawiał o swoich najskrytszych myślach i uczuciach. Może pewnego dnia minie ten straszny, dojmujący ból, który męczył go, kiedy tylko myślał o Teresie. Zapewne kiedyś znajdzie się ktoś, kto pomoże mu o niej zapomnieć, ale na razie jeszcze nikogo takiego nie spotkał.

A teraz zjawiała się Harriet i opowiedziała mu tę niewiarygodną historię. Nagle znalazły się fragmenty układanki, których istnienia nawet nie podejrzewał, i wszystko złożyło się w jasną całość.

To nie Sally w tajemnicy urodziła dziecko, lecz Paula, którą wszyscy uznali za zmarłą. Teresa nie jest jego siostrą, nawet przyrodnią. Można ją nazwać kuzynką, a takie związki są przecież dopuszczalne.

Spojrzał na Harriet, która jak zwykle przybiegła do niego, kiedy potrzebowała pocieszenia, ale potrafił myśleć tylko o tym, że bez żadnego powodu wyrzekł się miłości.

Dziecko, dziecko Pauli i Hugona, które odziedziczyło talent ojca i niektóre jego rysy. - Mark wiedział teraz, dlaczego wydawała mu się dziwnie znajoma - dziecko, które wyrosło na najwspanialszą kobietę, jaką w życiu spotkał.

Emocje wzięły górę. Ukrył twarz w dłoniach.

- Teresa - wyszeptał.

Część siódma

Rozdział trzydziesty pierwszy

Sally wróciła ze szpitala tuż po siódmej.

Słyszając, jak wchodzi do domu, Harriet i Mark spojrzeli na siebie z niepokojem. Żadne z nich nie miało ochoty uczestniczyć w tym, co zaraz miało nastąpić. Całe popołudnie próbowali poskładać elementy łamigłówki i wymyślić, co w tej sytuacji należy zrobić. Teraz, gdy stanęli wobec nieuchronnej sceny zakomunikowania Sally, że znają jej tajemnicę, tyle lat skrywaną przed światem, oboje zadrżeli.

Sally, widząc w holu rzeczy Harriet, zawahała się lekko, ale gdy weszła do salonu, była już, jak zawsze, doskonale opanowana. Tylko jej oczy zdradzały niepokój - zachmurzone i czujne. Harriet i Mark razem! Co mu zdążyła powiedzieć? Co chciała mu powiedzieć?

- Harriet, już jesteś! - rzuciła zdyszana.

Udaje, że nic się nie stało - pomyślała Harriet ponuro.

- Jak minęła podróż?

Dziewczyna zlekceważyła pytanie i ciotki.

- Jak tata?

- Całkiem nieźle. Dzisiaj wygląda dużo lepiej, dzięki Bogu, Pytał o ciebie.

- Pojadę do niego jutro.

- Tak, bardzo się ucieszy. Kochani, muszę wziąć kąpiel przed kolacją.

- Dajmy spokój z kolacją - powiedział Mark, wstając z fotela. -

Musimy porozmawiać, mamó.

Patrząc na syna, wiedziała już, o czym będzie rozmowa, ale nie chciała tego przyjąć do wiadomości.

- Nie można z tym zaczekać? Muszę się wykąpać, bo nie znoszę zapachu szpitala. Co jest w tym zapachu? Wsiąka we wszystko, człowiek ma wrażenie, że go przenika na wskroś...

- Mamó! - Mark spojrzał groźnie.

Sally wytrzymała jego wzrok, ale pod warstwą makijażu zbladła.

- O co chodzi? Co się stało?

- Myślę, że dobrze wiesz - stwierdził surowo. - Nie ma co dłużej udawać. Harriet opowiedziała mi wszystko.

- To znaczy, że opowiedziała ci o...? - Imię siostry nie mogło jej przejść przez gardło. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozplakać, jakby za chwilę miała stracić nad sobą panowanie.

- Tak, mam. Jak mogłaś to zrobić?

Sally zmieniła się na twarzy; nerwowo szarpała palce.

- Mówiłam już Harriet. Potrzebna jej była cisza i spokój. Tylko to jej zostało...

- Ale decyzja nie należała do ciebie. Hugo był jej mężem. Miał prawo wiedzieć, do licha! Zwłaszcza w tych okolicznościach...

- Okolicznościach...?

- To, że zostawiłaś Paulę w szpitalu u sióstr, nie jest najgorszą rzeczą, jaką wtedy zrobiłaś, prawda?

- Nie wiem... o czym mówisz...

- Dowiedziałam się o dziecku - wtrąciła Harriet cicho. Sally zachwiała się. Mark błyskawicznie znalazł się przy matce i ją podtrzymał.

- Usiądź, wiem, że to dla ciebie duży wstrząs. Tak, jak i dla nas zresztą. Ale wiem też, że nie ma sensu dłużej o tym milczeć. Paula urodziła dziecko. To córka Hugona, prawda?

Sally potrząsnęła głową, niezdolna wydusić z siebie choćby jednego słowa.

- Nie wiem - powiedziała po chwili. - Nigdy nie pytałam.

Zakładałam, że to dziecko Martina. Nie widziałam powodu, żeby jeszcze bardziej ranić Hugona. I tak wyrzuciła mu już dość krzywd! Chciałam, żeby zapomniał o niej i o tym, jak go traktowała. Chciałam, żeby był szczęśliwy! Wiedziałam, że potrafię zadbać o jego szczęście. I był przy mnie szczęśliwy!

- Oczywiście - zgodził się Mark. - Ale nie rozumiesz, że podejmując na własną rękę tak ważne decyzje postąpiłaś źle? Zapomnijmy na moment o Hugonie, pomyślmy o tym dziecku! Pozbawiłaś tę dziewczynkę praw, jakie się jej zgodnie z urodzeniem należą!

- Nie. Postarałam się, żeby trafiła do bardzo dobrego domu.

Adoptowali ją dobrzy, mili ludzie. Wiecie przecież, że ośrodki adopcyjne bardzo przebierają... - Spojrzała na Harriet zaskoczonym, otumanionym wzrokiem - Jak to odkryłaś po tylu latach?

- Wiesz, że pojechałam do Włoch. - Harriet tłumaczyła cierpliwie, choć wszystko się w niej gotowało. - Rozmawiałam z zakonnica, która opiekowała się mamą, z siostrą Marią Teresą. Przypuszczam, że to po niej dziewczynka dostała imię.

- Tak. Musiałam jakoś nazwać to dziecko. Tuż po jej narodzinach zabrałam ją do Londynu i tam zarejestrowałam.

- Jako swoje dziecko.

- Nie mogłam zarejestrować jej jako dziecka Pauli, skoro Paula oficjalnie już nie żyła. Nie trafiłam na żadne trudności. W magistracie siedziała znudzona urzędniczka. Bez mrugnięcia okiem przyjęła wszystko, co jej powiedziałam. - Zmrużyła oczy. - Ale skąd wiecie, jak nazwałam dziecko? Siostra Maria Teresa nie mogła ci tego powiedzieć, Harriet. Nikt o tym nie wiedział, poza mną.

- Ja wiedziałem - odezwał się Mark.

Sally popatrzyła na niego w osłupieniu. W jej oczach czaił się strach. To nie był jej syn - powściągliwy, czarujący, dowcipny. Przed sobą miała gniewnego i nieugiętego młodego mężczyznę.

- Wiedziałeś? - szepnęła bezradnie.

- Tak, ja wiedziałem. Opowiem ci coś, Sally. Opowiem ci historię o chłopaku, który poznał piękną dziewczynę, Teresę Arnold. Zakochał się w niej bez pamięci, myślał już o małżeństwie. - Jego usta ułożyły się w twardą linię; nie spuszczał z matki wzroku. - Sypiał z nią. A tu któregoś dnia ta jego ukochana wyjawia mu, że jest adoptowanym dzieckiem i tak naprawdę jej nazwisko brzmi: Bristow. Nie zna swojego ojca, ale wie, że matka nazywa się Sally Margaret Bristow i kiedyś mieszkała w Kensington. Czy coś ci to mówi, mammo?

Sally zbladła jak ściana. Od jej nagle pozbawionej koloru twarzy ostro odcinały się uróżowane policzki i uszminkowane usta. Schyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła wydusić z siebie słowa.

- Nie muszę ci chyba mówić, kim jest ten młody mężczyzna? To ja.

Przeszedłem przez piekło, kiedy Teresa podała mi nazwisko z metryki. Nie miałem wątpliwości i wyciągnąłem oczywisty wniosek. Uznałem, że Teresa jest twoją córką, a zatem moją siostrą. Boże, co za sytuacja! - Na samo wspomnienie na jego czole zalśniły kropelki potu. - Natychmiast z nią zerwałem.

Roztrzęsiona Sally głęboko wciągnęła powietrze.

- Nie mówiłeś jej o swoich... podejrzeniach?

- A skąd! Jak mógłbym jej coś takiego powiedzieć? Wystarczy, że sam odchodziłem od zmysłów, że popełniłem kazirodztwo! Ale jak widać, to nieprawda, co? Teresa nie jest twoim dzieckiem, tylko dzieckiem Pauli.

- Tak... - szepnęła Sally. Milczała i starała się zebrać myśli. - Jak to się stało, że właśnie ją spotkałeś? Tyle jest w Anglii dziewcząt...

- Spotkałem ją w Somerset, kilka kilometrów od miejsca, gdzie ty i Paula spędziłyście dzieciństwo. Byłem z wizytą u babci Bristow. Teresa szukała pracy w tamtych okolicach. A ja, wracając do Londynu, zatrzymałem się, żeby wziąć autostopowicza. Tym autostopowiczem była właśnie ona.

- Jaka jest? - spytała Sally, nie mogąc powściągnąć ciekawości. - Doszła do czegoś w życiu?

- Chyba już ciut za późno, żebyś nagle zaczęła się o nią troszczyć, nie uważasz? Ale niezależnie od naszych spraw, trzeba przyznać, że to wspaniała dziewczyna. Miała cudowne dzieciństwo, kochających rodziców, którzy ją wprost uwielbiali i z którymi czuła się dobrze i bezpiecznie. Wprawdzie kiedy skończyła osiemnaście lat, wystąpiła o wydanie jej metryki, ale na szczęście dla ciebie nie miała nawet ochoty poznawać naturalnej matki. Spotkaliśmy się tuż po tym, jak skończyła studia wzornictwa przemysłowego, a ściślej mówiąc wydział projektowania odzieży. Teraz próbuje rozkręcić swój zakład i sprzedawać ubrania pod własnym nazwiskiem. W końcu to córka Hugona. Jest podobna do niego i ma jego talent. Myślę, że nadeszła już pora, żeby poznała prawdę.

- Och, Mark! Mark! - Sally kiwała się na krześle, ukrywając twarz w

dłoniach. - Nie możesz jej powiedzieć. Nie wolno ci tego robić!

- Dlaczego?

- Pomyśl, ile kłopotów pociągnęłoby to za sobą! Naprawdę strasznie mi przykro, że tak cię to uderzyło. Rozumiem, że jesteś wstrząśnięty. Ale wyobraź sobie, co przeżyłby Hugo!

- Trzeba się było nad tym zastanawiać dwadzieścia lat temu! Przecież musiałś brać pod uwagę, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw.

- Nie wiem... Miałam nadzieję, że nie. Powtarzałam sobie w duchu, że nikt się o tym nie dowie. - Zawiesiła głos, nie chciała się przyznać, że groźba wykrycia oszustwa prześladowała ją od lat. - Robiłam to dla dobra nas wszystkich. Chciałam, żebyśmy stworzyli szczęśliwą rodzinę. Sama zmagalam się z tą tajemnicą. Chroniłam was przed konsekwencjami tego, co zrobiła Paula. - Teraz odważnie patrzyła synowi prosto w oczy. Harriet pomyślała sobie, jak przerażającą postać może przybrać działanie w imię dobra, jak może wykrzywić obraz świata i tłumaczyć każdy, nawet najbardziej wypaczony postępek.

- A co powiesz o Teresie? - zapytał Mark, - Czy kiedy oddawałaś ją do adopcji, to też działałaś w jej najlepiej pojętym interesie?

- Tak! - krzyknęła Sally z całą mocą. - Jakie miałyby tu z nami życie? Jeśli to Greg był jej ojcem, a tego się domyślałam, Hugo by ją odtrącił. Oglądanie jej dzień w dzień przypominałoby mu, jak bardzo Paula go oszukała. Jak traktowałby wtedy to dziecko? I jeszcze jedno. Dziewczynka musiałaby rosnać ze świadomością, że jej matka skończyła w szpitalu dla wariatów.

To duże obciążenie dla każdego dziecka. Na pewno zastanawiałaby się, czy i jej to nie spotka...

- Dziękuję ci bardzo! - sucho wtrąciła Harriet.

Sally, nie zważając na uwagę siostrzenicy, usprawiedliwiała się przed Markiem.

- I okazało się, że dobrze zrobiłam, prawda? Dziewczynka miała szczęśliwe dzieciństwo i z tego, co rozumiem, jest dobrze przygotowaną do życia, młodą kobietą. Po co to wszystko niszczyć?

- Bo ja ją kocham - wyjaśnił Mark. - Zachowujesz się, jakbyś nie rozumiała, że przez to wszystko od niej odszedłem!

- Ale nie musisz jej mówić prawdy! - krzyknęła Sally. - Zaczynij się z nią spotykać, jeśli chcesz. Już wiesz, że nie jest twoją siostrą, więc po co jej opowiadać o wszystkim? Przecież się nie domyśla, co podejrzewałeś?

- Nie. Chryste, nie! Nie chciałem sprawić jej więcej bólu, niż to konieczne.

- Więc po co ma teraz Wiedzieć? - upierała się Sally. - Czemu to ma służyć? Nie mów jej, Mark. Nie ma żadnej potrzeby. Po co...

Mark zaciął usta.

- Bo ja, w odróżnieniu od ciebie, mam, nie mogę żyć w kłamstwie. Zachwiała się, jakby ją uderzył, a on ciągnął spokojniej:

- Postępuj... Nawet nie wiem, czy zechce mnie przyjąć z powrotem. Mogła już przecież sobie znaleźć kogoś innego. Kto wie? Ale jeżeli jakimś cudem wciąż do mnie czuje to, co ja do niej, mam zamiar się z nią ożenić. A przecież nie mogę wprowadzić jej do rodziny, nie mówiąc o nas prawdy. Po pierwsze, kiedy pozna ciebie, zorientuje się, że jesteś tą Sally Margaret Bristow, która mieszkała w Kensington. Nie jest głupia, więc od razu wyciągnie te same wnioski co ja. I dokąd to nas zaprowadzi? Poza tym, jak już mówiłem, nie mógłbym żyć w kłamstwie. Możesz mieć na ten temat inne zdanie, mam, ale ja uważam, że oszukiwanie partnera jest wobec niego zniewagą. Mam na myśli poważne sprawy, które się przemilcza. Zwłaszcza jeśli dla pozostałych członków rodziny nie są już tajemnicą.

- Zawsze uważałam, że jesteś rycerski, Mark - odcięła się Sally. - Nie sądziłam jednak, że masz skłonności do samodestrukcji.

Nie odpowiedział. Najwyraźniej filozofia życiowa Sally uniemożliwiła jej zrozumienie ugruntowanych poglądów syna.

- Nic nie mówisz, Harri - Sally zwróciła się do siostrzenicy. - Przecież ty to rozumiesz, prawda? Przemów mu do rozsądku i powstrzymaj od zrobienia głupstwa.

- Nie mogę - powiedziała Harriet cicho.

- Dlaczego? Dlaczego zmówiliście się przeciwko mnie? - Głos Sally

zabrzmiął histerycznie.

- Bo wygląda na to, że o jednej rzeczy zapominasz, Sally. - Harriet mówiła spokojniej niż Mark. Mimo wszystko współczuła ciotce. Sally nie była w końcu złą kobietą, tylko zbłądziła. Być może, rzeczywiście wierzyła, że jej działania miały na celu dobro wszystkich zainteresowanych. Harriet jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby Sally komukolwiek chciała wyrządzić krzywdę, a już na pewno nie tym, których kochała. Spojrzała na nią teraz ze współczuciem. Widziała przed sobą kobietę, która nie szczędziła wysiłku, żeby przez wszystkie lata jak najlepiej ułożyć najbliższym życie, kobietę, która spędzała całe dnie i noce przy łóżku chorego męża. I proszę, jej życie niemal w jednej chwili rozsypało się jak domek z kart. Lecz mimo wszystko...

- Zapominasz o jednym, Sally - powtórzyła Harriet łagodniej.
- O czym?
- Teresa jest moją siostrą.

Cisza przedłużała się w nieskończoność. Na twarzy Sally odmalowało się głębokie zdumienie, jakby nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy z tak oczywistego faktu. Widziała Teresę jako noworodka, w dodatku tylko przez kilka godzin - raptem tyle, ile trwa lot z Włoch do Londynu. Nigdy dotąd nie myślała o niej jako o osobie. Dziecko stanowiło wyłącznie problem, z którym należy się uporać. Teraz przeżyła wstrząs, zdając sobie sprawę z tego, że Harriet ma rację. Przecież to są siostry! Tak samo jak siostrami były ona i Paula! Dzieli je pewnie wychowanie - w końcu wyrosły po dwóch różnych stronach Atlantyku, jedna, mając to, czego zapragnęła, druga, walcząc o wszystko - ale to siostry! I to nie przyrodnie, jeśli wierzyć Markowi - jego prawdomówności nigdy nie kwestionowała - ale najprawdziwsze siostry, z tego samego ojca i matki!

- Mark ma rację, Sally - ciągnęła Harriet cicho. -. Nie możemy już dłużej milczeć. Sama widzisz, że na jednym kłamstwie zaraz wyrasta następne. To oszustwo staje się coraz potężniejsze, pęcznieje bez końca... A pewnego dnia ta misterna budowla i tak runie z hukiem.

Sally patrzyła na swoje dłonie, wciąż mocno zaciśnięte na kolanach. Już dawno temu matka jej mówiła, że kłamstwo jest jak pajęczna sieć.

Tak, to prawda. Sieć rozrosła się i splątała. Jakąż ulgę odczułaby, gdyby wreszcie mogła się z niej wyrwać! Ale trzeba wziąć różne sprawy pod uwagę. Świetnie jest nagle urządzić sobie seans prawdy. Pysznie jest wiedzieć, że nareszcie nie trzeba już kłamać. Ale od pewnych problemów nie da się uciec tak po prostu i Sally wiedziała, że ujawniając prawdę zawali cały swój świat. Co powiedzą na to przyjaciółki? Zastosują zapewne wobec niej ostracyzm; zostanie napiętnowana jako podła kobieta, i to przez tych, którzy wcale nie zadadzą sobie trudu, żeby ją zrozumieć. Ale nie to będzie najgorsze. Najgorsze będzie to, co pomyśli o niej człowiek, dla którego to wszystko zrobiła. Poczła chłód na plecach na myśl o tym, jak Hugo zareaguje, kiedy pozna prawdę. Nawet gdyby był zdrowy i silny... Ale teraz?

- A co będzie z ojcem? - zwróciła się do Harriet. Siostrzenica milczała, więc Sally w przypiływie odwagi ciągnęła: - To go zabije. Chyba o tym wiesz.

- To rzeczywiście problem - przyznała Harriet. - Rozmawialiśmy o tym z Markiem po południu. Oczywiście nie można mu mówić teraz. Za bardzo by się zdenerwował i pewnie nie przeżyłby tego. Ale kiedy już stanie na nogach, zastanowimy się, jak mu o tym powiedzieć.

- Nie! Nie! - Sally przytknęła do ust zaciśnięte pięści, jakby chciała stłumić szloch. Bezskutecznie. - Hugo nie może się dowiedzieć! Nie może!

- Harriet i ja jesteśmy zdania, że ta sprawa musi poczekać, dopóki stan Hugona nie poprawi się zdecydowanie - powiedział Mark stanowczo. - Tymczasem pojedę do Londynu zobaczyć się z Teresą.

- Mark, przemyśl to bardzo gruntownie! - błagała Sally. - Nie wiesz, jak ona zareaguje. Co będzie, jeśli zrobi z tego aferę i wszystko wygada prasie? Może zechce rozdmuchać tę sprawę? To go przecież zabije! Na pewno go zabije!

- Teresa nic nie rozdmucha - stwierdził stanowczym tonem.

- Skąd wiesz? Sam mówisz, że jest projektantką. To dla niej świetna okazja, jeśli ogłosi publicznie, że jest córką Hugona! Nie możesz być pewien, co rzeczywiście zrobi.

- Owszem, jestem pewien. Znam, ją. - Umilkł. Do tej pory sądził, że zna też swoją matkę. A przecież Sally znał całe swoje życie, podczas gdy Teresę raptem kilka miesięcy. Ale na czym miałby się oprzeć, jeśli nie na zaufaniu do najbliższej osoby? - Jeżeli popełniam błąd, to z góry przepraszam. Ale myślę, że się jednak nie mylę. Zresztą - dodał z goryczą - być może w ogóle nie będzie chciała mnie widzieć. Odszedłem od niej bez słowa wyjaśnienia. Pomyśl, mamó, nie wszystko jeszcze stracone!

Podniosła na niego oczy pełne cierpienia.

- Tak bardzo mnie nienawidzisz, Mark? Potrząsnął głową ze znudzeniem.

- Nie, tylko nie rozumiem, jak mogłaś to zrobić.

Ja też nie - pomyślała Harriet, choć mogę się domyślać.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli cokolwiek jeszcze omawiać z jakimś sensownym skutkiem - zauważyła. - Będziemy tylko powtarzać to samo na okrągło. Jeśli nadal chcesz wziąć kąpiel, Sally, to zaczekamy z kolacją.

- Tak - odparła Sally. - Chcę się wykąpać. Muszę zmyć z siebie nie tylko zapach szpitala. Słuchając was, mam wrażenie, że jestem jak Poncjusz Piłat; do końca życia będę myła ręce, a plamy i tak nie zejną.

Wstała i podeszła do drzwi. Miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, że to tylko sen. Tyle lat pilnowała tajemnicy, żyła ze świadomością, że kiedyś sekret się wyda... No cóż, teraz to już minęło. Sprawa jest zakończona.

Zatrzymała się i spojrzała na Marka, najmilszego syna; na Harriet, którą kochała jak rodzoną córkę, i na portret męża nad kominkiem.

Mam za sobą dwadzieścia wspaniałych lat - myślała. Dwadzieścia lat miłości i szczęścia, o jakim w ogóle nie śniłam. Cokolwiek się stanie, nikt mi już tego nie odbierze.

A gdyby miała jeszcze raz przeżyć życie, wiedząc to, co już wie dzisiaj, zrobiłaby dokładnie to samo.

Rozdział trzydziesty drugi

Maria Vincenti siedziała sama w domu w Darling Point. Jak zwykle pociągała od rana z butelki, ale nie była pijana. To dziwne, jaką odporność na alkohol rozwinął jej organizm - mogła teraz chłonąć wódkę jak gąbka, a i tak coraz trudniej jej było osiągnąć stan zapomnienia, dzięki któremu jakoś jeszcze funkcjonowała.

Wstała z niskiego trzcinowego fotela i niespokojnie chodziła po salonie. Nastawiła płytę, żeby tę przejmującą ciszę pustego domu wypełnić głębokim głosem Pavarottiego. Zaciągnęła zasłony, by nie widzieć ciemności zapadającej nocy. Przynajmniej dziennikarze nareszcie się zmyli. Choć sama ściągnęła ich sobie na głowę, nie mogła znieść, gdy przesiadywali przed domem i całą dobę nie spuszczała z nich oka.

Wszarze! - pomyślała. Wstrętne, krwiożercze gnidy! Nienawidziła ich z całego serca. Niemal tak samo jak Grega Martina i Pauli. I tych wszystkich, którzy doprowadzili jej życie do ruiny. Na dobrą sprawę o nikim na świecie Maria nie myślała z sympatią.

Samotna łza spłynęła po jej policzku i wpadła do wódki. I co się ze mną stało? Kiedyś przecież byłam szczęśliwa. Byłam radosnym dzieckiem zamożnej włoskiej rodziny, rozpieszczanym i noszonym na rękach - myślała. Jakże to dawno temu! Wielkie przyjęcia rodzinne, wakacje nad jeziorem Como, wyjazdy na narty w Alpy - to wszystko wydawało jej się tylko snem. Ojciec rzadko jeździł razem z nimi - zajmowały go interesy - ale było tam tylu ludzi, że rzadko za nim tęskniła. Wspaniale się wtedy bawiła. Jak cudownie mogłoby być teraz... Miałyby dzieci, a może i wnuki? Kuzynki i kuzynów, i wielu innych krewnych. Ale to wszystko odrzuciła dla miłości do tego nic niewartego łobuza, Grega Martina. Tak bardzo go kochała, że kiedyś oddałaby za niego życie. Teraz ją jednak zdradził i została sama. I nikomu na świecie już na niej nie zależało. Co gorsza, wiedziała, że Greg próbował ją zabić. Tylko po to, żeby mu zeszła z drogi i nie przeszkadzała w obmyślonych planach. Bez trudu na to wpadła. Od wielu lat wiedziała, do czego jest zdolny. Przecież zawsze podejrzewała, że Greg przyczynił się do śmierci Pauli. Ale Paula była głupią dziwką i dostała to, na co zasłużyła! Maria

oszukiwała się wtedy, że zrobił to dla niej, tylko po to, żeby być z nią, bo kochał ją tak, jak ona kochała jego. Teraz inaczej na to patrzyła. Ją też potraktował jak śmieć. Zestarzała się, straciła urodę, więc postanowił się jej pozbyć. Wymienić na nowszy model, tak samo jak samochód. Ale chciał też zatrzymać jej pieniądze, dzięki którym przez wszystkie te lata mógł robić co dusza zapagnie.

Nalała sobie następną porcję wódki. A niech go jasny szlag trafi! Niech diabli wezmą ich wszystkich! W żyłach kipiła jej gorąca krew, podbechtując do odwetu, we Włoszech zwanego wendetą. Jeśli go jeszcze zobaczy, to go zabije! Za to, co już jej zrobił. Żeby nie wspomnieć o tym, co jej robi jeszcze!

Moje życie jest już skończone - myślała. Jak miło byłoby zabrać Grega ze sobą!

W butelce już nic nie zostało; Maria mruknęła coś pod nosem i wyrzuciła ją do kosza na śmieci. Zrzuciła buty i wyciągnęła się na niskiej sofce. Sufit wirował trochę przed oczami, pokój widziała jak za mgłą, a gdy zamknęła oczy, czuła, że żołądek podchodzi do gardła. Ale i tak nie uniosła powiek i już po chwili spała.

Nie wiedziała, jaki dźwięk ją obudził, ale czuła, że się coś stało, bo nagle została gwałtownie wyrwana ze snu, a jej ociężałe członki drżały. Głęboki głos Pavarottiego wciąż wypełniał pokój.

Leżała w bezruchu i nasłuchiwała. Nic. Aż nagle, kiedy już znów miała przysnąć, usłyszała skrzypnięcie drewna - tuż nad głową.

Natychmiast wybudziła się na dobre i otrzeźwiała. Ktoś chodził na górze. Była tego pewna. Och, każdy budynek trochę skrzypi i trzeszczy, ale tyle lat przeżyła w tym domu, że dobrze знаła wszystkie jego odgłosy. Opuściła nogi na podłogę i wstała z kanapy. Serce waliło jej jak oszałałe. Podeszła do telefonu i uniosła słuchawkę, żeby zadzwonić na policję, ale się zawahała. Nie uwierzą jej. Ten drań, Gascoyne, powie, że znów coś wymyśliła albo jej się przywidziało. A może i tak? W domu panowała cisza. Pavarotti już też odśpiewał ostatnią pieśń. Kiedy radiowóz przyjedzie na sygnale i policjanci nikogo tu nie znajdą, kolejny raz wyjdzie na idiotkę.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do biurka. Otworzyła małą skrytkę. W tajnej szufladce leżało jej zabezpieczenie - nieduży, ale śmiercionośny pistolet z uchwytem wysadzonym klejnotami. Przywiozła go dawno temu z Włoch, schowany pod bielizną. Nikt o nim nie wiedział, nawet Greg. Ale mając broń przy sobie, czuła się bezpieczniej. Teraz zacisnęła pulchną, drżącą dłoń na małym uchwycie i palcem odwiodła dźwignię bezpiecznika. Jeżeli po domu kręci się jakiś intruz, niech się lepiej ma na baczności! W tym nastroju gotowa była na wszystko.

Na palcach przeszła przez salon i ukradkiem otworzyła drzwi. Cisza. Hol był pusty, drzwi wejściowe zamknięte. Weszła na schody. Jej bose stopy sunęły bezszelestnie po grubym dywanie.

Na szczycie schodów zatrzymała się, ciężko dysząc. Pod drzwiami dawnego pokoju Grega dostrzegła smugę światła. Zacisnęła dłoń na pistolecie. Podeszła do drzwi i otworzyła je gwałtownie. Sapnęła ze zdziwienia.

- Greg...

Nachylał się nad biurkiem, szukając czegoś w szufladzie. Słyszając głos, spojrzał na nią zaskoczony - na czoło opadł mu kosmyk włosów. A potem jego zniszczoną, lecz wciąż przystojną twarz, przeciął leniwy uśmiech.

- No, no - naigrywał się. - Sądziłem, że o tej porze nie zbudzi cię nawet tajfun, moja droga.

- Co tu robisz? - spytała ostro.

Wyciągnął z teczki w szufladzie jakiś dokument, złożył go na pół i bezczelnie wsunął do kieszeni.

- Potrzebuję kilku rzeczy. Jak pamiętasz, wychodziłem stąd w dużym pośpiechu. Nie denerwuj się, już sobie idę. Mam to, o co mi chodziło.

Zatrzymał się w pół kroku, kiedy groźnie wyciągnęła pistolet.

- Stój!

Był absolutnie zaskoczony; Maria przez chwilę rozkoszowała się swoją władzą. Potem Greg wybuchnął śmiechem.

- A co ty tam trzymasz?

- Pistolet - odparła. - I nie jest to zabawka. Ani kroku, Greg, bo będę strzelać! - ostrzegła.

Znów się roześmiał, tym razem trochę nerwowo.

- Przecież nie umiesz się z tym obchodzić! Jesteś pijana, Mario.

- Nie jestem. A w każdym razie nie na tyle, żeby cię nie móc zastrzelić, jeśli spróbujesz mnie dotknąć.

- Wcale cię nie chcę dotykać. Po co miałbym to robić, do diabła?

- Już próbowałaś mnie zabić. Nie zaprzeczaj.

- Nie mam zamiaru cię teraz zabijać. Po pierwsze niepotrzebne mi pieniądze, już dawno leżą bezpiecznie na koncie w Ameryce Południowej, a po drugie, nie będę sobie brudził rąk. Pozwól mi wyjść, do cholery! Nie możesz mnie tu trzymać całą noc!

Zrobił kolejny krok w jej stronę, a ona wymierzyła pistolet dokładnie w jego pierś. Widział, jak drżą jej ręce. Marię było stać na wszystko...

- No dobrze, dobrze - mruknął uspokajająco.

Czego chciała? Sama nie była pewna. Nie chciała już Grega, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, choć jego widok dziwnie ją poruszył. Och, Greg, Greg, mogliśmy być tacy szczęśliwi...

- Gdzie byłeś?

Jakiś mięsień drgnął w jego twarzy. Miała wrażenie, że Greg się z niej naśmiewa.

- Kręciłem się po Darwin, skoro już musisz wiedzieć. Przyleciałem tu po południu. Mówiłem ci, potrzebne mi są pewne papiery.

- Ona tu jest?

- Kto?

Zawahała się. Chciała powiedzieć Paula, ale to przecież bez sensu. Od ponad dwudziestu lat nikt o niej nie słyszał. Co prawda niedawno szukała jej policja, pewien przystojny detektyw z towarzystwa ubezpieczeniowego i ta dziewczyna... Kto to był? Córka Pauli? Maria z trudem zbierała myśli, miała ciężką głowę. Nie potrafiła już tego ogarnąć.

- Co z nią zrobisz?

- Z kim? - Miał naprawdę zdziwioną minę, ale ona odebrała to jako

wybieg.

- Z Paulą. Z Paulą Varna.

- Z Paulą?!

- Tak. Wszyscy o to pytają. Ja też chciałabym wiedzieć. Ja chcę wiedzieć!

- Chryste, Mario, to było ponad dwadzieścia lat temu!

- Wszystko jedno. Chcę wiedzieć, i już. Jesteś mi to winien. -

Groźnie wymachiwała pistoletem. - Pomagałam ci wtedy, pamiętasz jeszcze? To ja przyjechałam po ciebie na plażę, kiedy wysadziłeś łódź. A może już zapomniałeś? I dzisiaj chcę wreszcie poznać prawdę o tym, o co zawsze bałam się ciebie spytać. Paula Varna, ta dziwka, była z tobą na jachcie, kiedy wypływałeś w morze. Wszyscy tak zeznali. Ale nie widziałam jej z tobą na plaży - i bardzo dobrze zresztą! - a ty już nigdy o niej nie wspomniałeś. Myślałeś, że może jestem tak głupia, że nawet nie czytam gazet? No więc czytałam. A teraz chcę usłyszeć to z twoich ust: pomogłam ci zamordować Paulę?

Długo milczał. Przez tyle lat nigdy o to nie pytała. Dlaczego teraz chce wiedzieć? Oderwał wzrok od jej udręczonej twarzy i spojrzał na rozdygotaną rękę z pistoletem. Chryste, strasznie ryzykował, przychodząc tutaj! Ale musiał zdobyć dokumenty, nie mógł bez nich wyjechać do Stanów. Sądził, że mając klucz, uda mu się tu wejść cichaczem i wyjść niepostrzeżenie. Spodziewał się, że Maria będzie spała mocnym, pijackim snem. Jak widać, nic z tego. Już nie raz udawało mu się wywinąć z rozmaitych opresji, teraz też sobie poradzi. Maria nie robi mu krzywdy. Wciąż ma nad nią władzę. Przecież zawsze szalała na jego punkcie. Nadal jest tak samo. Ale dziwnie nie podobało mu się jej spojrzenie.

- No więc? Czy można mnie oskarżyć o współudział, Greg? Wzruszył ramionami.

- A skąd mam wiedzieć?

- Przecież płynęła z tobą. Co się z nią stało? Zabiłeś ją? Wahał się.

Chyba nic się nie stanie, jeśli jej teraz powie?

Kto uwierzy takiej pijaczce? Poza tym już za chwilę będą z Vanessą w

Stanach i zaczną nowe życie. Pewnie już odleciała, tak jak się umawiali - on miał dołączyć później. Poleciałby z nią od razu, nawet już miał bilet, ale przypomniał sobie o dokumentach, które w pośpiechu zostawił w Sydney, i postanowił - jak zwykle przekonany, że może wykiwać każdego, kto stanie mu na drodze - wrócić do domu i je zabrać.

Greg był próżnym mężczyzną i zbyt wierzzył w swoją przebiegłość. Dwadzieścia lat temu stanął na progu bankructwa i hańby, a jednak wyszedł z tego cało. Co więcej, zdołał zamienić upadek w wielkie zwycięstwo. Paula Varna omal nie zniszczyła jego przemyślnie ułożonych planów. Groziła mu. Ale wykazał dość silnej woli i zdrowego rozsądku, żeby się jej pozbyć. Tyle czasu nie mógł nikomu o tym powiedzieć, a teraz czuł przemożną chęć pochwalenia się swoją zimną krwią.

Czy to mi nie zaszkodzi? - zastanawiał się. Nie. Zbyt odległa przeszłość.

- Odłóż ten pistolet, to ci powiem.. Nie będę nic mówił pod lufą choćby najładniejszego pistoletu.

Patrzyła na niego mętnym wzrokiem, doszukując się śladów podstępny. Potem opuściła broń i włożyła ją do kieszeni, ani na chwilę nie zdejmując palca ze spustu.

- No więc - ponagliła go. - Gadaj. Swobodnie odszedł od biurka.

- Nie zabiłem Pauli. Jak ci mówiłem, nie lubię sobie brudzić rąk.

- To co się z nią stało?

- Kiedy ostatni raz ją widziałem, siedziała w małej łódce na Morzu Śródziemnym. Nie sądzę, żeby mogła długo przeżyć. Morze w okolicach Wysp Liparyjskich jest na ogół bardzo wzburzone, a ona miała tylko małą szalupę. Ale naturalnie, trudno jest wszystko przewidzieć.... - Uśmiechnął się. Nie był to miły uśmiech, tylko taki, w którym sadyzm miesza się z samozadowoleniem.

- Jakim cudem znalazła się w tej łódce? - zapytała Maria, choć właściwie znała już odpowiedź.

- Ja ją tam wsadziłem. Powiedziałem jej, że coś się zepsuło i musimy zejść z jachtu. Obiecałem, że zaraz do niej dołączę. Tymczasem uruchomiłem silniki i pełną parą odpłynąłem z powrotem w stronę lądu.

Tam wyszedłem na plażę, ustawiłem zapalnik czasowy ładunku wybuchowego, włączyłem pilota automatycznego i posłałem jacht w morze. Sprytne, co? Gdyby ktokolwiek znalazł Paulę, potwierdziłaby, że mieliśmy kłopoty i zanim wsadziłem ją do łódki, ostrzegłem ją o możliwości wybuchu. Gdyby nikt nie miał jej znaleźć, no cóż... Wszyscy uznaliby, że oboje zginęliśmy w wypadku.

- Ty sukinsynu! - rzuciła Maria cicho. Wzruszył ramionami.

- Sama była sobie winna. Próbowwała mnie szantażować. Mówiła, że nie pozwoli mi wyjechać ze Stanów, jeśli nie wezmę jej ze sobą. I poza tym wiedziała o moich kłopotach finansowych, Musiała szperać u mnie w mieszkaniu. Albo blefowała. Ale nie mogłem ryzykować. A zatem uznałem, że najprostszym rozwiązaniem będzie wziąć ją ze sobą, a potem się jej pozbyć. I tak właśnie zrobiłem.

- A gdyby tak ktoś ją rzeczywiście znalazł na morzu, tam gdzie ją zostawiłeś?

- Nikt by jej nie uwierzył - odparł z niezachwianą pewnością we własną przezorność. - Wszyscy by pomyśleli, że zwariowała ze strachu po wybuchu. Doszliby do wniosku, że wsadziłem ją do łódki, żeby uratować jej życie, a sam zostałem na pokładzie. Przypuszczaliby, że coś tam naprawiałem, aż w końcu było za późno. Zadbalem o to, żeby jacht znaleziono w jakimś nie podpadającym rejonie. Bardzo dobrze wyliczyłem czas eksplozji i wysyłając łódź w morze wziąłem nawet pod uwagę kierunek i szybkość prądów. Ale to i tak było bez znaczenia. Nikt Pauli nie odnalazł. Mogę się tylko domyślać, że zginęła na morzu. Ale pewności nie mam.

- Ty obrzydliwa świnio! Lepiej było ją zabić! Przynajmniej szybko miałaby spokój!

Wzruszył ramionami.

- Nie miałeś odwagi, co? Nie miałeś odwagi zrobić tego szybko i czysto! Nie! Wolałeś ją zostawić w łódce na wzburzonym morzu! - Szybkim ruchem wyjęła z kieszeni pistolet. Dłoń jej już nie drżała. - Ja się tak nie boję, Greg. Zasługujesz na śmierć i zginiesz z mojej ręki!

Coś w wyrazie jej twarzy ostrzegło go, że Maria nie żartuje, Zbladł.

- Nie wygłupiaj się, Mario. Patrzyła na niego chłodno.
- Powinnam była to zrobić już dawno temu.
- Chcesz skończyć w więzieniu? Oddaj tę broń! - Próbował się do niej zbliżyć, a ona, nie spuszczać z niego celownika pistoletu, cofnęła się o krok.
- Nie zależy mi. W ogóle na niczym mi już nie zależy, Greg. Moje życie jest i tak skończone. To ty je zniszczyłeś. Zabiłeś Paulę... wszystko mi jedno, jak to sobie nazwiesz... i mnie też próbowałeś zabić. Postaram się, żebyś nikogo więcej już nie zabił.
- Mario! - Rzucił się do niej i w tej samej chwili Maria objęła mocniej palcem spust i nacisnęła. Zatrzymał się w miejscu; jego twarz wykrzywił strach i zdziwienie, a ona strzeliła jeszcze raz i jeszcze raz. Potknął się. Upadł. Maria cofnęła się pod drzwi, nadal ściskając teraz już pusty pistolet. Wszędzie była krew - plamiła przód jego koszuli na czerwono, wyciekła mu bąbelkami z ust. Greg skręcał się na podłodze, z trudem łapał powietrze, krztusił się.
- Stała nad nim i patrzyła, jak umiera. Czuła tylko triumf i jakiś wewnętrzny spokój.
- Bóg wie, że zasłużył sobie na śmierć, a ona tylko wykonała wyrok. Po raz pierwszy czuła, że panuje nad czymś w tym swoim bezużytecznym, zmarnowanym życiu. Po raz pierwszy zrobiła coś dla innych.
- Kiedy wreszcie znieruchomiał, zeszła na dół i sięgnęła po słuchawkę. Wybierała numer ochlapanymi krwią palcami.
- Mówi Maria Vincenti z Darling Point - powiedziała, kiedy odezwał się dyżurny policjant. - Myślę, że ktoś powinien tu jak najszybciej przyjechać. Przed chwilą zastrzeliłam Grega Martina.

Rozdział trzydziesty trzeci

co my, na litość boską, zrobimy, Pchełko? - zapytał Mark.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Było bardzo późno, ale nie mieli ochoty kłaść się spać, choć Sally, blada i wstrząśnięta, poszła do siebie zaraz po kolacji. Harriet i Mark zawsze byli sobie bardzo bliscy, a ta sprawa zbliżyła ich jeszcze bardziej. Czuli się ze sobą tak związani, jak rzadko które rodzeństwo.

- Myślisz, że Hugo kiedyś się wzmocni na tyle, że zniesie prawdę? Bezradnie potrząsnęła głową.

- Kto to może wiedzieć? Z pewnością, kiedy się dowie, że Sally trzymała przed nim w tajemnicy tak ważną rzecz, będzie to dla niego potworny wstrząs. I tak źle by to zniósł, nawet gdyby był zdrowy. Coś takiego podważa przecież wszystko, co ich dotąd łączyło! Ale w tym stanie... - Urwała, myśląc o ojcu. Tak blado i krucho wyglądał. - Sally pewnie ma rację, że to by go zabiło. Ale życie w kłamstwie jest też nie do zniesienia. My wszyscy wiemy, tylko on nie... To jak zniewaga, prawda?

Mark skinął głową.

- Tak to odbieram. - Gwałtownie łupnął pięścią o poręcz fotela. - Jak mogła to zrobić, Pchełko? Zupełnie nie rozumiem.

- A ja chyba tak - odparła Harriet. - Myślę, że było dokładnie tak, jak mówiła. Naprawdę uważała, że tak będzie lepiej. I bardzo się bała, że wszystko straci. Zawsze żyła w cieniu mojej matki, od samego początku. Nie wyobrażała sobie, że tata mógłby jej nadal pragnąć, wiedząc, że Paula żyje. I nie mogła znieść myśli, że od niej odejdzie. I w pewnym sensie miała rację, jak sądzę. Gdyby tata wiedział, że mama nie umarła, na pewno sprowadziłby ją do domu. Pewnie umieściłby ją w jakimś amerykańskim szpitalu, ale nigdy nie byłby wolny. Kto wie czy nie żyłaby tak długie lata, bez kontaktu ze światem? A on cały czas czułby się zobowiązany do wierności wobec niej... bo taki już jest. Poza tym bardzo ją kochał.

- Mimo wszystko... - Mark jakoś nie mógł wybaczyć tego matce.

- Nie przypuszczam, żeby Sally była z tym szczęśliwa - zauważyła Harriet. - Nie jest złym człowiekiem. Nie jest przecież twarda i okrutna,

może trochę słaba...? Musiała się tym bardzo dręczyć. Ale im dłużej taki stan trwa, tym trudniej się z niego wycofać. Na pierwotną winę nakładają się lata milczenia.

- Co za galimatias! Straszny, potworny galimatias! I znów stoimy przed zasadniczym pytaniem: co dalej?

- Z tatą? Nic. Na razie. Nic nie możemy zrobić. Będziemy to rozgrywać z wyczuciem. Ale co z Teresą?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem. Choć to zupełnie wbrew moim przekonaniom, czuję, że do pewnego stopnia Sally ma rację. Teresie nie zależy na tym, żeby dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Dobrze jej i nie ma powodu, żeby miała sobie czymś takim w ogóle zaprzętać głowę. Więc może nie rozgrzebywać całej tej historii od nowa?

- Ale sam mówiłeś...

- Wiem. Gdyby nie fakt, że ją kocham, może uznałbym, że lepiej ją zostawić w błogostawionej niewiedzy. Ale kocham ją i jak powiedziałem Sally, nie jestem w stanie żyć w kłamstwie. Poza tym... - Wstał, wyjął papierosa z paczki na stole i zapalił.

- Poza tym przydałaby się jej pomoc finansowa. I myślę, że tyle jesteśmy jej winni. To utalentowana projektantka, Pchełko.

Najwyraźniej odziedziczyła talent Hugona. I ciężko jej teraz. Potrzebuje natychmiastowego wsparcia. Drobną część tego, co zgodnie z prawem przysługuje jej z racji urodzenia, postawiłaby ją na nogi. Wtedy Teresa mogłaby się skupić na tym, w czym jest naprawdę dobra. Hugo też miał przecież takie wsparcie. Najpierw ze strony Grega - uchowaj Boże od takich jak on! - a potem ze strony Kurta Eklunda. Gdyby nie oni, nie stałby się tym, kim jest dzisiaj. Teresie należy się coś podobnego, tylko że ona nie wie, dokąd się zwrócić o pomoc.

- Może Sally...?

- Na pewno by to zrobiła - przytaknął Mark z goryczą. - Z całą pewnością ofiarowałaby jej pieniądze, choćby tylko po to, żeby oczyścić sumienie. Zwłaszcza gdybyśmy jeszcze obiecali nic Teresie nie mówić. Ale nie wyobrażam sobie, jak ta dziewczyna miałaby przyjąć gotówkę od

kogoś obcego, nie wiedząc, co się za tym gestem kryje. Być może nie przyjęłaby nawet, gdyby znała jakiś powód. To nie tego typu dziewczyna. Jest dumna. Chciałaby wiedzieć, czy ktoś wspomaga ją w uznaniu dla jej talentu, czy z jakiejś innej przyczyny.

- Rozumiem. Pamiętam, jakie to było dla mnie ważne, wybić się w fotografii... - Zamilkła. - Cholera!

- Co się stało?

- Miałam przygotować Nickowi następny reportaż! Dziwię się, że mnie jeszcze nie ściga. No tak, ale przecież nie wie, gdzie jestem! W tym wszystkim zupełnie o nim zapomniałam.

- Jaki to miał być reportaż? - zapytał Mark, z radością zmieniając temat.

- Historyjka w zdjęciach. Nie miałam okazji zrobić nic specjalnego, ale pstryknęłam kilka nietypowych ujęć w Australii. Kilku aborygenów, ciemne typki w barze w Darwin, takie tam... może mu się przydadzą. Na dobrą sprawę - powiedziała w zamyśleniu - gdybym miała czas na właściwe wykadrowanie i ułożenie sekwencji, wyszłaby z tego całkiem niezła rzecz. Byłaby to bez wątpienia inna Australia niż ta, którą się ogląda w cukierkowych przewodnikach turystycznych. Widać tam miejsca, do których chciałabym kiedyś wrócić, choć pewnie nigdy już tam nie pojedę.

- Dlaczego?

Uśmiechnęła się smutno, przywołując w pamięci magiczną atmosferę, panującą wśród dzikiej przyrody Terytorium Północnego. Nawet teraz, kiedy już wiedziała, że Tom chciał się nią tylko posłużyć, wspomnienie dni, które spędzili razem, rozgrzewało jej serce ciepłem, jakiego dotąd jeszcze nie zaznała. Nawet świadomość zdrady nie mogła tego przytłumić. Ale gdyby miała tam kiedyś jeszcze wrócić... Nie, bez Toma wszystko byłoby inne.

- Powinna wystać te zdjęcia Nickowi - powiedziała. - Przypomnij mi, żebym wybrała się jutro na pocztę.

Mark zdusił niedopałek w popielniczce.

- Lepiej to załatwimy - oznajmił. - Zabiorę je ze sobą.

- Jedziesz do Londynu? Skinął głową.
- Tak. Bóg jeden wie, jak jej to powiem. Ale muszę się spotkać z Teresą. I ze względu na siebie, i na nią.

Po rozmowach trwających do wczesnych godzin rannych Harriet i Mark spali długo. Z sypialni położonej wysoko, bo aż na trzeciej kondygnacji, nie mogła słyszeć dzwonka do drzwi, ale zastanawiała się potem, czy nie obudził jej jednak szósty zmysł, bo kiedy Jane zastukała do sypialni, Harriet nie spała już, tylko po raz kolejny odtwarzała w myślach wydarzenia minionego dnia.

- Panienko Harriet, czy pani już wstała? - pytała pokojówka. - Ktoś do pani przyszedł.

- Ktoś przyszedł? O tej porze?

- Już dziesiąta.

- Niemożliwe! Nie wierzę! - Harriet usiadła gwałtownie. W głowie czuła tępe łomotanie, a ciało miała całkiem zesztyniałe. - Dziesiąta! O Boże!

- Tak, już jest dziesiąta. Nie budziłabym pani, ale on mówi, że to ważne...

- On? - zdziwiła się Harriet, odrzucając kołdrę.

- Jakiś pan O'Neill. Mówi, że jest detektywem towarzystwa ubezpieczeniowego.

Tom! Tutaj! Serce załomotało jej gwałtownie; poczuła bolesne uderzenie krwi w już i tak obolałych skroniach. Czego od niej chce? Przez krótką, upojną chwilę wyobrażała sobie, że przyjechał tu, żeby ją porwać w ramiona. Gdyby tak powiedział: „Harriet, jestem tu, bo cię kocham i nie pozwolę, by kiedykolwiek doszło między nami do głupich nieporozumień”? Jak by wtedy zareagowała? Nie zdążyła się jeszcze wcale nad tym zastanowić, kiedy jej zmysły już podsunęły odpowiedź. Och, Tom, Tom... Czy dlatego tu przyjechałeś? Dlatego, że nie mogłeś beze mnie wytrzymać?

Drżącymi rękami naciągnęła dzinsy i przeczesła szybko włosy, żałując, że nie może lepiej zadbać o swój wygląd. Miała wrażenie, że Tom nigdy nie widział jej w prawdziwie dobrym wydaniu, i nic nie

wskazywało na to, żeby w tej sprawie coś miało się tego ranka zmienić. Spryskała twarz wodą Evian, osuszyła skórę chusteczką z ligniny, i pociągnęła rzęsy tuszem. Oczy co prawda dalej wyglądały ciężko, ale maźnięcie tuszu, powiększało je nieco. Ponieważ róż na wciąż jeszcze wilgotnych nie upudrowanych policzkach dałby dość komiczny rezultat, wyszczypała się zdrowo jak Scarlett O'Hara. A potem zeszła na dół.

Jane wprowadziła gościa do pokoju, który Sally nazywała „wypoczynkowym”. Było to chyba najmniejsze pomieszczenie apartamentu. Stały w nim skórzane meble, telewizor i duży niski stół. Tom, zwrócony plecami do drzwi, przystanął przy półkach z książkami i odczytywał tytuły. Był jakby nawet wyższy, niż go pamiętała. W tym zagraconym pokoju sprawiał wrażenie osoby przeniesionej tu z innego świata. Serce skoczyło Harriet do gardła; niepewnie przystanąła w progu - zawstydzona się własnych marzeń sprzed kilku chwil.

- Tom! - Nie wyszło to tak, jak zamierzała. Jakoś sucho, sztywno.

Odwrócił się.

- Harriet... - Nie rzucił się do niej. Nie porwał jej w ramiona.

- Co tu robisz? - Tego też nie chciała w ten sposób powiedzieć, ale była tak sparaliżowana jego obecnością, że nie panowała nad głosem.

Wydawało jej się, że dostrzegła, jak Tom mocniej zaciska usta.

- Mam dla ciebie wiadomość.

- Wiadomość? - Przecież to nie tak miało być! Jak bardzo się zawiodła! Ależ z niej naiwna idiotka! Że też wyobrażała sobie...! - Co takiego?

- Greg Martin nie żyje.

Te słowa padły ciężko, jak kamienie w wodę. Zdawało jej się, że w przegrzanym małym pokoiku słyszy ich głucho plaśnięcia. Patrzyła na Toma oszołomiona, zapominając o swoich nadziejach.

- Co?! Kiedy to się stało?

- Wczoraj w nocy czasu australijskiego. Pomyślałem sobie, że pewnie zechcesz wiedzieć.

- Tak. Ale... - Myśli galopowały w kółko. - Ale jak to się stało?

- Zastrzeliła go Maria Vincenti. Zgodnie z tym, co twierdzi policja w

Sydney, zrobiła to z całą premedytacją. Martin wrócił do Darling Point po jakieś dokumenty. Nakryła go w nocy w sypialni na górze. Mogła to przedstawić jako samoobronę przed włamywaczem, ale złożyła zeznanie, że zastrzeliła go z zimną krwią, bo na to zasługiwał.

- Bo to prawda! - wykrzyknęła Harriet. - Myślę, że sama też mogłabym to zrobić. - Zamilkła na chwilę, a potem dodała w zamyśleniu: - Ale teraz nigdy się już nie dowiemy, co stało się z mamą.

- Wiemy więcej niż przedtem - powiedział Tom. - Tak się składa, że Greg opowiedział Marii, jak wykiwał Paulę, każąc jej wsiąść do łódki, a potem odpułnął jachtem. Paula została na morzu. Chciał, żeby utonąła, a kiedy nikt więcej już o niej nie słyszał, przyjął, że zginęła. Nie wydaje mi się jednak, żeby to już był koniec tej historii. A ty co o tym myślisz, Harriet?

Serce znów jej załomotało w piersi. Tym razem z zupełnie innych przyczyn.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Postuchaj, Harriet, naprawdę nie chcę cię zdenerwować. Uwierz mi. Ale muszę wykonać zadanie...

- O tak, wcale w to nie wątpię! - Czy kiedykolwiek zdoła przeboleć fakt, że Tom się nią posłużył?

- ...i muszę przyznać, że Wyspy Liparyjskie stanowią ważny punkt w moim śledztwie. Sally pojechała tam kilka miesięcy po wybuchu na jachcie, prawda? I ty dopiero co stamtąd wróciłaś. W każdym razie wybrałaś się do Włoch i nie dałbym pięciu groszy za to, że nie wylądowałaś na Wyspach. Po co tam jeździłaś, Harriet? Powiedz mi, a wszystko sobie wyjaśnimy do końca i będziemy mogli o tym już zapomnieć.

Zaczęła drżeć. A więc to o to mu chodziło! Wywęszył, że była na Wyspach Liparyjskich. Powinna była wpaść na to wcześniej. Cała sprawa za chwilę wyjdzie na jaw i Bóg jeden wie, czy ojciec to przeżyje!

- Tom... czy nie mógłbyś dać temu spokój? Proszę cię... - powiedziała błagalnie.

- Wiesz, że nie mogę.

- Proszę! Zrób to dla mnie! Przecież coś nas łączyło, prawda?

Przynajmniej ja tak sądziłam.

- Owszem.

- Więc błagam cię na wszystko, Tom. Zamknij tę sprawę. Moja matka nie żyje. Przysięgam ci, że nie żyje. Tylko już przestań w tym grzebać. Na litość boską, przestań!

Zmrużył oczy. Za maską obojętności Tom detektyw walczył z Tomem mężczyzną. Tylko skąd Harriet miała o tym wiedzieć?

- Słuchaj, Harriet jest mi autentycznie przykro, ale muszę znać prawdę. Muszę zakończyć robotę - powiedział, a ona zrozumiała, że cała jego siła, która ją tak przyciągała, obróciła się teraz przeciw niej.

- Ty draniu! - szepnęła. - Nic ci nie powiem! Musisz zadać sobie taki sam trud, jaki ja sobie zadałam. Mam tylko nadzieję, że po tych wszystkich podstępach, po tym, jak bardzo zranisz ludzi, po oszustwach, jakimi nie gardzisz, będziesz mógł jeszcze spokojnie spojrzeć w lustro! Wywracasz ludziom życie do góry nogami...

- Zaraz, zaraz! Nie mam zamiaru robić nic z tych rzeczy!

- No cóż, panie detektywie, przecież właśnie to robisz!

- Ranie tylko tych, którzy na to zasługują. Tych, którzy oszukują towarzystwa ubezpieczeniowe. Nie, do diabła, wcale nie towarzystwa, tylko wszystkich ludzi, którzy ubezpieczają się na tę czy inną okoliczność, bo właśnie oni płacą za cudzą nieuczciwość, kiedy towarzystwa podnoszą stawki, żeby wyrównać straty.

- Być może. Ale niewinni ludzie też przy tym obrywają. Na nich ci nie zależy?

- Harriet, uwierz mi, że nie posługiwałem się tobą. Niezależnie od tego, jak to wyglądało...

- Nie myślę teraz o sobie. Myślę o tacie i takich jak on. To dobry człowiek. Nigdy nikogo nie skrzywdził. I z całą pewnością nikomu nie chciał nic ukraść.

- A zatem nie ma się czym martwić.

- No tak! - wybuchnęła. - Dla ciebie wszystko jest czarne albo białe, co? Szare nie istnieje! Nie masz za grosz wyobraźni, na tym polega twój

kłopot! Nie widzisz nic poza tym, do czego akurat dążysz. I tylko jedno się dla ciebie liczy. Fakty, fakty, fakty! Chcesz odkryć prawdę i niech szlag trafi tych, którzy przy tym ucierpią!

- Posłuchaj mnie...

- Pchełko? Czy wszystko w porządku? - zawołał Mark, zaniepokojony podniesionymi głosami.

- Nie, zupełnie nie jest w porządku. Może zechcesz porozmawiać z tym panem w moim imieniu? Powiedz mu...

W tym momencie rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu. Wszyscy zamarli wpatrzeni w aparat, jakby każde z nich miało przeczucie, że to coś ważnego. Po kilku chwilach w progu stanęła pokojówka. Nerwowo spoglądała to na Harriet, to znowu na Marka. Jej niepewność wywoływała w nich najczarniejsze myśli.

- Dzwonią ze szpitala. Chyba będzie lepiej, jeśli to pan podejdzie do telefonu, panie Bristow...

- Naturalnie. - Mark ruszył do drzwi, ale Harriet była szybsza od niego. Jej twarz przybrała ziemistoszary kolor. Wiedziała już, że czekają ją złe wiadomości. Może nawet najgorsze?

- W porządku, Mark. Ja odbiorę.

Dwaj mężczyźni czekali w pełnej napięcia ciszy. Kilka minut później Harriet wróciła do pokoju. Była w szoku. Wyprostowana stanęła w drzwiach, jakby całym wysiłkiem woli panowała nad każdym mięśniem.

- Tata... - odezwała się cichym, zduszonym głosem. - Dzwonili ze szpitala, żeby przekazać nam wiadomość. Tatą umarł dziesięć minut temu.

Rozdział trzydziesty czwarty

Teresa Arnold klęczała na podłodze swojej pracowni, nalewając wrzątek z kapryśnego elektrycznego czajnika do kubka, do którego wsypała łyżeczkę rozpuszczalnej kawy. Kubek był w wesołym niebieskim kolorze. Nad wymalowanym na nim zadowolonym z siebie kotem w pasiastej muszce widniał napis „ Jesteś na fali”. Teresa kupiła ten kubek na straganie targowym, bo się jej podobał, a chytrze uśmiechnięty kot podnosił ją na duchu, nawet wtedy, kiedy świat przybierał najczarniejsze barwy. Ale dziś nawet na kota nie spojrzała. Po prostu ciasno objęła kubek zlodowaciałymi dłońmi. Jeszcze nigdy nie była tak zziębnięta, choć na dworze już się zrobiło ciepło.

Dziś wieczorem miała złożyć wizytę w garsonierze Fergala Hillyarda i na myśl o tym ogarniała ją słabość.

O Boże, jestem niewiele lepsza od prostytutki! - skonstatowała zrozpaczona, bo nie miała najmniejszych złudzeń co do ceny, jaką będzie musiała zapłacić za jego wsparcie finansowe. Hillyard postawił sprawę dostatecznie jasno i za to zresztą była mu bardzo wdzięczna. Przynajmniej nie udawał, że interesuje się nią wyłącznie jak biznesman, by potem, nieoczekiwanie, postawić nowe warunki. Nie, wyłożył kawę na ławę: bądź dla mnie miła, a ja będę miły dla ciebie. I chociaż na samą myśl o tym, co ją czeka, niezmiennie robiło jej się niedobrze, nie widziała innego sposobu, żeby uratować swoją firmę przed bankructwem oraz matkę, która zainwestowała w nią wszystko, co miała.

Nie mogę pozwolić na to, żeby straciła dom - myślała Teresa, sącząc kawę. Gdyby istniał jakikolwiek inny sposób, kazałabym temu Hillyardowi po prostu pójść do diabła! Ale nie mam szans... W ciągu ostatniego tygodnia, od czasu, kiedy Fergal Hillyard złożył jej swoją ofertę, Teresa wciąż ponaglała Lindę, żeby podwoiła wysiłki i znalazła nowe punkty zbytu, ale przyjaciółka - choć spisała się świetnie, organizując spotkanie z Fergalem - teraz jakoś spasowała i mniej angażowała się w pracę, Teresa zaś wstydziła się jej przyznać po pierwsze, jaką ofertę dostała od Fergala, a po drugie, że w ogóle bierze tę jego propozycję pod uwagę. Zresztą, żeby Linda stawiała teraz na

głowie, Teresa nie liczyła na żaden nagły przełom. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, sklepy i butiki biły na alarm i urządziły wyprzedaże; opuszczały ceny, nie licząc już na zysk - wyprzedaże przypadają bowiem w szczycie sezonu - a kierownicy sklepów dwoili się i troili, żeby tylko zepchnąć ciuchy z wieszaków. Przy spadających zyskach w tej branży nikt nie chciał ryzykować, a już na pewno nie chciał zawracać sobie głowy jakąś nieznaną projektantką. Poza tym Teresa gwałtownie traciła wiarę w to, że ona i Linda stanowią zgrany zespół. Kiedyś - myślała - gotowa byłam tyrać jak wół, i to w każdych warunkach, tylko po to, żeby ruszyć interes. Teraz zacięcie Teresy dziwnie się rozmyło, słabło z każdym ciosem, nikt w świetle zmartwień, skąd wziąć pieniądze na opłacenie rachunków i spłat kredytu, jak zorganizować materiały i co robi matka, kiedy zostanie na bruku.

Przez cały tydzień Teresa nie ruszyła z robotą. Darta kartkę za kartką, aż wreszcie zniszczone szkice wypadły z przepelnionego kosza na podłogę. Wreszcie, nie mogąc już myśleć o niczym innym, poddała się i zadzwoniła pod numer, który jej podał Fergal Hillyard. Na dźwięk jego głosu żołądek podszedł jej do gardła. Przypomniała sobie jego oślizgły uśmiech i nieświeży oddech. Zemdlilo ją. Ale trzymała się dzielnie i niczym nie zdradziła wstrętu, jaki do niego czuje. Sprawa już była załatwiona. Umówili się na dzisiejszy wieczór w jego garsonierze. Ale fakt, że w końcu podjęła decyzję, nie poprawił jej jednak nastroju. Tak samo jak nie podniosła jej na duchu refleksja, że nie jest pierwszą kobietą, ani też ostatnią, która oddaje ciało nie dla miłości i nawet nie z namiętności.

Łupnęły drzwi klatki schodowej i Teresa oderwała wzrok od kubka, nasłuchując kroków na schodach. Czyżby Linda z jakimiś wiadomościami, które w ostatniej chwili uratują ją przed Fergalem? Ale kroki dudniły zbyt ciężko i zbyt wolno jak na nią - Linda zawsze tryskała energią i wprost biegła na górę. Może to Weasel albo ktoś z jego paczki? W tych okolicznościach Teresa nie chciała się z nikim teraz widzieć. Nie była w nastroju do towarzyskich rozmów.

Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w drzwi, czekając na ruch

klamki. Tymczasem usłyszała stukanie. Zdziwiła się. Nikt ze znajomych nigdy nie czekał na zaproszenie do środka.

- Proszę! - zawołała.

Drzwi się otworzyły, a ona otumaniona patrzyła na przybysza pełnym niedowierzania wzrokiem.

- Cześć! - powiedział.

- Mark! - szepnęła, ze świstem wciągając powietrze, uradowana i zaskoczona.

Wszedł do pracowni. Wysoki, jasnowłosy, przystojny - w miękkich sportowych butach, dzinsach i czarnej marynarce ze skóry. Krew zaszumiła jej w głowie; Teresa czuła, że słabnie. Tyle razy marzyła o tym, że któregoś dnia Mark przyjdzie, właśnie tak, niezapowiedzianie... Ale nigdy nie wierzyła, że tak się naprawdę stanie. Mężczyźni nie wracają. Przychodzą i odchodzą. Głównie odchodzą, zwłaszcza jeśli komuś tak bardzo zależy jak jej... Nieoczekiwane powroty zdarzają się tylko w romansach...

- Coś takiego! - wykrzyknęła, zastanawiając się, czy Mark dostrzeże, jak bardzo drżą jej ręce. - Co za niespodzianka!

- Tak, przypuszczam, że powinienem cię uprzedzić o tych odwiedzinach, ale bałem się, że nie zechcesz się ze mną zobaczyć.

- A to dlaczego?

- Minęło tyle czasu... Co u ciebie słychać, Tereso? - Był jedynym człowiekiem, poza jej matką, który zwracał się do niej pełnym imieniem. Zawsze to lubiła. Serce zabiło w niej gwałtowniej.

- Jakoś żyję. A co u ciebie?

- Jako tako. - Teraz, kiedy już był przy niej, nie wiedział co powiedzieć. - Może poszlibyśmy na lunch? Chyba że już jadłaś?

Zaśmiała się gardłowo.

- Nie jadam w południe. Nie stać mnie na to. Przed chwilą zrobiłam sobie kawę.

- Pójdziemy?

- Zaraz, zaraz. - To co, że serce bije jej nieco zbyt szybko, to co, że cała drży z emocji! Nie pozwoli już zrobić z siebie kretynki. - Zostawięś

mnie, Mark. Bez słowa wyjaśnienia i bez pożegnania. Sądzisz, że skoro się raczyłeś pofatygować na górę, od razu zechcę z tobą wyjść na lunch?

Twarz mu pochmurniała.

- Wiem, że twoim zdaniem zachowałem się wręcz skandalicznie - mruknął przepaszająco. - Ale naprawdę miałem powód.

- Jaki?

Zawahał się. Trudno by mu było o tym mówić, nawet gdyby panował nad sobą znakomicie. Ale teraz? Patrzył na nią i myślał tylko o tym, że chce ją całować. Jak jej to wytłumaczyć?

- Tereso, jeśli sprawiłem ci ból, przepraszam z głębi serca. Uwierz mi, że chciałem ci zaoszczędzić cierpienia. I właśnie dlatego odszedłem.

- Chyba wszyscy tak mówią, prawda? - zapytała wyniośle. - „Zrobiłem to dla twojego dobra”. Kochałam cię, Mark. A ty się któregoś dnia po prostu ulotniłeś. Bez słowa. Ot tak! - Usiłowała pstryknąć palcami, ale zziębnięte i drżące, odmówiły posłuszeństwa.

Spojrzał na nią uważnie. Powiedziała: „kochałam”. To znaczy, że już nie kocha?

- Jest ktoś inny? - zapytał.

- Nie, ale gdyby nawet był, to nie twój interes. Skrzywił się. Nie ułatwiała mu niczego.

- Tereso, proszę cię, chodźmy na ten lunch. Muszę ci coś powiedzieć.

Jej twarz zastygła w uporze.

- Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, mów tutaj. Najpierw cię wysłucham, a potem zdecyduję, czy wyjdę z tobą, czy nie.

Uniósł kącik ust. Ten grymas przypomniał jej jego dawny zawadiacki uśmiech.

- Zdaje się, że nie mam wyboru.

- Nie masz.

- Kłopot w tym, że nie wiem od czego zacząć.

- Może od początku?

- Nie bardzo wiem, gdzie go szukać. A z całą pewnością nie znam jeszcze końca. Wiem tylko, jakiego zakończenia pragnę.

Ich wzrok na chwilę się zetknął, a potem Teresa całą siłą woli odwróciła oczy.

- Zaczynaj.
- Nikt nam nie przeszkodzi?
- Tego nie mogę obiecać. Ale na razie, Mark, będę cię słuchać w skupieniu.

A zatem - powiedział na koniec - teraz już wiesz wszystko.

Siedziała ze spuszczoną głową, raz po raz obracając w zgrabiących palcach ołówek. Nie przerywała mu, kiedy mówił; oniemiała. Teraz spojrzała na niego wilgotnymi oczami.

- Mój Boże! Nie ma tu żadnej pomyłki?
- Nie ma. Hugo Varna był twoim ojcem.
- Był?
- Umarł w zeszłym tygodniu. Nie czytasz gazet? Potrząsnęła głową. Nie miała czasu choćby rzucić okiem na gazety ani wysłuchać dziennika.

- Zmarł na zawał serca. Być może to, o czym ci mówiłem, przyczyniło się do jego śmierci, ale pewności nie ma. Bardzo ciężko pracował. Do kresu wytrzymałości. - Zamilkł. - Chciałem przyjechać do ciebie od razu, żebyś zdążyła na pogrzeb, gdybyś miała ochotę przyjechać, rzecz jasna. Ale matka bardzo przeżyła jego śmierć. Nie mogłem jej zostawić.

- Wyobrażam sobie.
- Czuje się strasznie winna. Z początku też bardzo ją potępiałem, ale teraz, kiedy się trochę uspokoiłem, zaczynam rozumieć, dlaczego to zrobiła.

Teresa skinęła głową.

- Biedna Sally. Musiała przeżywać piekło.
- Tak. - Miłość do Teresy rozlewała się w nim falą ciepła. Mimo własnych przeżyć ta dziewczyna potrafiła znaleźć w sobie współczucie dla Sally. - Żałuję, że nie było cię z nami na pogrzebie. Jesteś jego córką.

Znów wbiła wzrok w swoje dłonie.

- Tak. To wyjaśnia wiele. Skąd we mnie ten talent, na przykład. Namacalny dowód, że genetyka odgrywa ważną rolę. Nigdy go nie

widziałam, nie znałam, a jednak... W życiu nic innego nie pociągało mnie tak bardzo jak projektowanie ubrań. Ale matka... O Boże! - Wstrząsnął nią dreszcz. - Moja biedna matka! Mam nadzieję, że nie odziedziczyłam jej cech.

- Nie masz powodów do niepokoju - uspokajał Mark. - Jestem pewien, że to tylko konkretny układ wydarzeń sprawił, że zachorowała. Harriet jest zdrowa jak rydz. A w końcu to twoja siostra! Trudno by znaleźć osobę bardziej trzeźwą od Harriet.

- Harriet Varna - powiedziała w zamyśleniu. Słyszałam o niej. Zajmuje się fotografią, prawda?

- Tak. Robi świetne zdjęcia. I nie może się już doczekać spotkania z tobą.

- O! - Teresa przygryzła wargę, nagle przestraszona. - Nie wiem, czy jestem już gotowa, Mark.

- Mam nadzieję, bo mam dla ciebie ofertę. Jesteś utalentowaną projektantką, a teraz, kiedy Hugo Varna nie żyje, jego dom mody czeka na kogoś takiego jak ty. Potrzebny mu projektant o świeżym spojrzeniu i o talencie Hugona. I jakby na to nie patrzeć, ty masz dosłownie ten talent.. Jedź do Stanów, Tereso. Pracuj dla firmy ojca.

- Co? - Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami. - Daj spokój, Mark! Nie umiałabym! Poza tym, nikt mnie tam nie chce!

- Ależ bardzo cię chcą.

- Nie potrafię! - szepnęła przerażona.

- Tereso, widziałem twoje prace i wiem co mówię. Jesteś tak dobra jak Hugo. Jesteś jego nowym wcieleniem, młodym, świeżym, ale masz też w sobie ten nieuchwytny dar, który sprawia, że twoje projekty natychmiast wejdą na rynek. Będziesz musiała zacząć od małych kroczków. Na początek pracowałabyś jako członek zespołu, a Laddie pomógłby ci wpasować się na miejsce. Laddie był asystentem Hugona. Od wielu, wielu lat.

- Dlaczego sam nie pokieruje firmą?

- Laddie nie jest projektantem o twórczych, nowych pomysłach i nigdy nim nie będzie. Brakuje mu iskry bożej. Ale warsztatowo jest nie

do pobicia. Pracowałby z tobą, byłby twoim przewodnikiem, holowałby cię.

- Skąd wiesz, że zechciałby to robić?

- Rozmawialiśmy z nim. Nie masz się czym martwić. Laddie jest stuprocentowo lojalny. Nie piśnie słówka, kim naprawdę jesteś. Chyba że sami upoważnimy go do tego.

Roześmiała się przenikliwie.

- Wygląda na to, że wszystko już rozpracowałeś do najmniejszego szczegółu.

- Mówiliśmy o tym, to prawda. Ale naturalnie ostateczna decyzja należy tylko do ciebie. Może chcesz wyrobić sobie własne nazwisko? Naturalnie jeśli wejdiesz w dom mody „Varna”, z czasem będziesz je miała i tam, ale jeżeli już zaczęłaś odnosić sukcesy i dobrze ci idzie w Londynie, doskonale to zrozumiemy. Wiem, że Hugo też by to świetnie rozumiał, co więcej, nawet by pochwalał.

Przez dłuższą chwilę milczała, wciąż obracając ołówek. Wreszcie podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Prawda jest taka, że wcale nie idzie mi dobrze. Wszystko poszło nie tak, jak trzeba. Straciłam wiarę w siebie. Bóg mi świadkiem, że odrzucenie twojej propozycji byłoby czystym szaleństwem, ale uczciwie mówiąc, nie wiem, czy podołam tej pracy w Stanach. Sześć miesięcy temu, nawet mniej, byłam cudownie pewna siebie. Ale teraz.... Boję się, że jestem tylko rozdętym balonem i wszystko koncertowo spaprzę.

- Tereso! - Ujął jej rękę. Po raz pierwszy jej dotknął. - Nie mogę tego słuchać! Ten stan nie będzie trwał wiecznie! Przeżywasz chwilowy kryzys, to wszystko! Każdemu się to zdarza od czasu do czasu! Na pewno sobie poradzisz. Nie mam wątpliwości. Musisz dać sobie szansę, dziewczyno. Zbierz się na odwagę i spróbuj!

Milczała. To było więcej niż wspaniała okazja. To wprost odpowiedź na jej błagalne modły! Koniec ze zdenerwowaniem, czy przetrwa w tej dżungli świata mody, koniec z zamartwianiem się o matkę i jej dom, koniec z Fergalem Hillyardem! Życiowa szansa! Trzeba tylko mieć odwagę, żeby ją wziąć w ręce.

- No i? - naciskał Mark. - Co powiesz? Uśmiechnęła się blado.
- Chyba mnie namówiłeś - odparła cicho. - Wygląda na to, że nie mam nic do stracenia.
- Nie masz nic do stracenia, a zyskać możesz wszystko.
- A my? - szeptem zadała to najważniejsze z pytań. - Co będzie z nami?
- Możemy zacząć jeszcze raz od początku, jeśli masz ochotę.
- Och, Mark! Przecież wiesz, że tak!

Przygarnął ją do siebie. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

- Myślę, że na lunch jest już trochę za późno. Może więc zjemy wcześniejszą kolację? Z szampanem? Mamy chyba co oblać, kochanie.

Oderwała głowę od czarnej skórzanej marynarki. Przytłaczały ją te rewelacje. Ledwie je ogarniała umysłem. Ale jedno wiedziała na pewno - jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa.

- O tak, Mark! Chyba rzeczywiście marny.

Rozdział trzydziesty piąty

Sally Varna odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Harriet.

- A więc córka Pauli przyjeżdża, żeby pracować w Nowym Jorku. W jej szorstkim głosie słychać było napięcie. Twarz zastęgała ułożona w piękną maskę. Dawniej Harriet nie raz zastanawiała się, co ciotka skrywa pod tą kontrolowaną miną. Teraz wiedziała. Poczucie winy. Może wyrzuty sumienia? Co za przerażająca myśl!

- Przyjęła propozycję? Cieszę się.

- Tak. - Jeśli Sally denerwowała się spotkaniem z dziewczyną, którą oddała do adopcji jako noworodka, nie dawała tego po sobie poznać. Ale czas zwierzeń minął już bezpowrotnie. Znowu skrywała wrażliwość i ból pod chłodnym opanowaniem, wypracowanym przez długie lata. Harriet umiała to zrozumieć. Każdy z nas potrzebuje jakiejś fasady, za którą może się schować - myślała. Sally na pewno szczelniejszej niż inni.

Miały za sobą straszny tydzień. Harriet wciąż nie wierzyła, że ojciec naprawdę nie żyje, chociaż na własne oczy widziała spuszczaną do grobu trumnę. Rzuciła na nią przecież czerwoną różę, która niczym egzotyczny motyl przysiadła na mosiężnej błyszczącej plakietce z nazwiskiem... A mimo to wszystko wydawało jej się jakoś mało realne. Koniec nadszedł tak szybko. Nie była przygotowana... Tak bardzo ją to poraziło, że raz po raz musiała sobie przypominać wydarzenie po wydarzeniu, szczególnie, żeby wreszcie śmierć ojca przyjąć do wiadomości. Umarł. Ta wielka osobowość zniknęła bezpowrotnie. Zginął talent i wielki dar kochania. Serce kurczyło jej się z bólu, a jednocześnie Harriet odczuwała ulgę, że śmierć oszczędziła ojcu wstrząsającego przeżycia. Nie mogliby go uchronić przed prawdą. Teraz, gdy umarł, nie było już takiej potrzeby.

- Kiedy Teresa przyjeżdża?

- Mark mówił, że w przyszłym tygodniu. - Sally zawahała się, obracając pierścionki na palcach. - Myślę, że on ją kocha, Harriet.

- Tak. Też tak myślę.

- Nie jestem pewna, czy to dobrze - zaczęła Sally niepewnie. - To przecież jego kuzynka...

- Ale nie siostra. Biedny Mark, jak strasznie musiał się męczyć!

Przez ułamek sekundy widziała ból na twarzy ciotki.

- No cóż, najważniejsza sprawa, to żeby był szczęśliwy. Tylko tego zawsze dla was pragnęłam.

Harriet uścisnęła jej ramię.

- Wiem, Sally. I Mark też wie. Nie pochwalam tego, co zrobiłaś, ale cię chyba rozumiem. On też to z czasem zrozumie. Mężczyznom trzeba dać więcej czasu, żeby się oswoili z pewnymi faktami.

- Tak. - Sally wyprostowała się. Pięknie i wiotko wyglądała w czarnej sukience. - A co będzie z tobą? Co ty będziesz robić? Wracasz do Londynu?

- Chyba tak. Czeka na mnie praca.

- Nie musisz pracować. Nigdy nie musiałaś. Ale teraz masz już własne pieniądze. Dzięki majątkowi, jaki ojciec zostawił ci w spadku, jesteś bardzo bogata.

- Muszę pracować - odparła Harriet. - Mnie samej to jest potrzebne.

Jak przeżyłaby ten ostatni tydzień, gdyby nie praca? Choć nie zrobiła ani jednego zdjęcia, układała plany na przyszłe reportaże i dzięki temu jakoś te dni przetrwała. Kiedy się zorientowała, że Mark spędzi jeszcze kilka dni w Nowym Jorku, wszystkie filmy wysłała pocztą do Nicka. Nick zadzwonił do niej natychmiast po otrzymaniu klisz. Kipiał entuzjazmem.

- Harriet, te zdjęcia są wspaniałe! Odnalazłaś swój styl! Wiem, że to dla ciebie bardzo trudny okres, kochanie, i nie chcę cię ponaglać, ale im szybciej przyslesz mi następny reportaż, tym lepiej. Jak już wyrobisz sobie markę, przerwy w pracy nie będą tak istotne, ludzie i tak będą czekać na twoje następne zdjęcia. Już cię nie zapomnę.

- Wiem, wiem, straciłam okazję.

- Nie, wcale nie! Ten materiał z Australii jest rewelacyjny! Natychmiast go puszczam. Ale muszę mieć wkrótce coś nowego. Wystarczy, że będziesz mieć aparat pod ręką i pstrykniesz to, na co ci przyjdzie ochota. Masz fenomenalne oko do nietypowych ujęć!

- Postaram się. W tym tygodniu to oczywiście wykluczone. Oboje wiemy, że robienie zdjęć jest dla mnie swoistą terapią i dzięki temu

jakoś się jeszcze trzymam, ale inni tego nie rozumieją. Uznają, że jestem gruboskórna i nieczuła. I wygląda na to, że właśnie te cechy dominują w rodzinie mojej matki, poza skłonnością do chorób psychicznych, rzecz jasna.

- Harriet! - ofuknął ją Nick. - Och, moja kochana... Mocno cię to trafiło, mała? Jesteś w paskudnej formie.

- Przeżyję.

- Wracaj do Londynu. Daj się trochę rozpieścić. Należy ci się po tym, co przeszedłaś w ostatnich tygodniach.

- Jesteś kochany, Nick. - Nie mogła mu powiedzieć, jak głuchym echem odbiła się w niej jego propozycja. Nie mogła mu powiedzieć, że jej nastrój nie jest spowodowany wyłącznie śmiercią ojca i napięciem związanym ze śledztwem... Że jest jeszcze coś, o czym chciałyby zapomnieć przy pracy, ale nie na zastępczym ramieniu.

Dlaczego nie zakochałam się w Nicku? - pytała samą siebie, odkładając słuchawkę. Dlaczego musiałam stracić głowę dla kogoś takiego jak Tom O'Neill?

Nie widziała go od dnia śmierci ojca i nie chciała go już oglądać. Zupełnie bezpodstawnie, w pierwszej chwili właśnie jego była skłonna obwiniać o śmierć ojca - zupełnie jakby to Tom osobiście i z własnej woli otworzył puszkę Pandory. A przecież to nieprawda! Pojawił się na scenie, bo wykonywał pracę. To Maria biła na alarm. Ale to i tak nie zmieniało w niczym samopoczucia Harriet. Jej oburzenie, że chciał ją wykorzystać w śledztwie, przypominało już toczącą się siłą rozpędu lepką kulę - zbierało po drodze wszystkie odpadki i brudy.

A co najdziwniejsze, i tak nie zmieniało uczuć do Toma. To się nazywa obsesja - myślała. Reakcja emocjonalna, która się nie poddaje rozumowi. Wciąż pamiętała dotyk ciała Toma i drżała ze wstrętu na myśl o intymnych kontaktach z kimkolwiek oprócz niego. Co chwilę kłuł ją jakiś słodki ból, a kiedy zaczynała analizować przyczyny swoich odczuć, jedynym wyjaśnieniem tego stanu był zawsze Tom.

- Jest coś, co mógłbym zrobić? - zapytał wówczas, kiedy wróciła od telefonu. Nagromadzony ból, uraza i niechęć wybuchły w niej wtedy z

całą mocą.

- Nie uważasz, że już dość zrobiłeś? - krzyknęła. Wyszedł zaraz potem. Przynajmniej na tyle był przyzwoity, że uszanował ich potrzebę samotności. Następnego dnia przysłał kondolencje. Co za hipokryzja! Harriet miotła się rozsierdzona, a potem wrzuciła je do kosza.

- Czy ty czasem nie za bardzo uwzięłaś się na tego faceta? - zapytał Mark, a ona buńczucznie potrząsnęła głową.

- Jak ty byś się czuł, gdyby ciebie ktoś tak wykorzystał?

- Nie wiesz, czy tak naprawdę było, Pchełko.

- Tylko nie mów mi, co wiem, a czego nie wiem! A wczoraj przyszedł tu wyłącznie po to, żeby dowiedzieć się, dokąd jeździłam.

- Facet musi pracować.

- No właśnie! Ale co to za obrzydliwa praca... - Urwała przypomniawszy sobie, jak kochali się tamtej nocy. Wiedziała, że nawet jeśli Tom istotnie ją wykorzystał, za nic na świecie nie będzie umiała wyjaśnić Markowi swoich uczuć. Pomijając urazę, której nie mogła zapomnieć, czuła się poniżona jak ostatnia idiotka.

- Hm, pewnie masz swoje powody, ale ten gość nie zrobił na mnie najgorszego wrażenia - zauważył Mark.

Pewnie, że nie - pomyślała. Nikt i nic nie wydaje się takie złe, jeśli się świat ogląda przez różowe okulary. Szczęściarz z tego Marka! Wszystko mu się w końcu dobrze ułożyło. Cieszyła się z tego, naturalnie. Właśnie Mark zasługiwał teraz na szczęście. Ale chciałaby, żeby i do niej los się choć trochę uśmiechnął.

No cóż, pobożne życzenia...

Rzecz w tym - myślała - że w ogóle nie pociągają mnie mężczyźni, którzy są łatwą zdobyczą, a ci, na których mnie akurat zależy, nie są zdolni do głębszych związków. Błędne koło. nierozwiązywalny problem. No cóż, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Więc weź się w garść - nakazywała sobie w duchu - i zapomnij o Tomie O'Neillu, bo skończysz tak samo jak matka! To ją miało przywołać do porządku.

Po drugiej stronie miasta, w hotelowym pokoju, Tom pakował walizkę.

Dla niego sprawa już była zamknięta. Miał wyjaśnić, co się stało z Gregiem Martinem i Paulą Varna, i dowiedział się, czego trzeba. Greg Martin zginął, choć dwadzieścia lat później, a Paula Varna...

Mark Bristow zadzwonił do niego następnego dnia po śmierci Hugona.

- Nie chcę, żeby Harriet przeżywała niepotrzebne zdenerwowanie. Ma już dość emocji w związku ze śmiercią ojca. Byli bardzo ze sobą związani. Chciałbym zatem, żeby w trosce o nią, z wszelkimi pytaniami zwracał się pan do mnie. Sądzę, że jestem w stanie odpowiedzieć na każde.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - powiedział Tom, czując ogarniającą go pustkę.

Oczywiście, chciał już zamknąć sprawę, ale wyjaśnienie wszystkiego równało się z tym, że nie będzie już miał pretekstu, by się widzieć z Harriet.

Mark okazał się bardzo życzliwy. Zdradził mu wszystkie znane szczegóły dalszych losów Pauli, opowiedział o wyprawie Harriet do Włoch - teraz dopiero Tom zaczynał rozumieć, dlaczego z takim rozdrażnieniem zareagowała na jego pytanie. Co za historia! Żałował, że nie może nic zrobić, żeby jej ulżyć w bólu; czuł, że dziewczyna odrzuciła oferowaną pomoc. Nie wybaczyła mu jeszcze tego, co zdarzyło się w Australii, i w głębi serca wiedział, że nie bez racji. Przecież z początku planował, że kontakt z nią wykorzysta do celów śledztwa. I już choćby na tym polegała jego winą - nie szkodzi, że bardzo szybko zmienił nastawienie. Nie, teraz nic tu po nim. Harriet wyraźnie dała mu to do zrozumienia. Nie chciała go więcej widzieć.

Pogodził się z tą myślą. Został w Nowym Jorku, żeby przyjść na pogrzeb. Trzymał się z dala od konduktu. Patrzył, jak przybyli na pogrzeb ludzie wysiadają z limuzyn i w kąsającym wietrze i deszczu suną powoli na cmentarz. Wokół grobu zebrali się najbogatsi nowojorczyki, ci, których pieniądze wystarczyłyby na spłacenie państwowego długu. Chłodnym okiem obserwował najpiękniejsze kobiety tego miasta - żadna z nich nie mogła się równać z Harriet.

Jeżeli Paula była hipnotyzującą kobietą, to Harriet niewątpliwie odziedziczyła tę cechę po niej - pośród bogatych i pięknie ubranych dam jaśniała jak pochodnia. Błyszczała nawet złamana głęboką żałobą. Tom widział jej bladą, nieskazitelnie gładką twarz na wpół ukrytą pod krótką czarną woalką i jasne włosy na tle surowego kołnierzyka żakietu. Patrząc, jak rzuca paśową różę na trumnę, poczuł się nagle intruzem w chwili jej największego bólu i, zrozpaczony, dyskretnie odwrócił wzrok.

Spędził jeszcze kilka dni płacząc się po biurach FBI, żeby dopiąć sprawę Grega Martina na ostatni guzik - sporządził dla nich raport. Nie wiedział, czy towarzystwo British and Cosmopolitan kiedykolwiek odzyska pieniądze, które wyłudzano od niego podstępnie, domyślał się tylko, że procedury prawne zajmą dużo czasu i odzyskanie gotówki nie będzie takie łatwe. Ale to już nie było jego zmartwienie. Zakończył swoje zadanie. Nic go nie trzymało w Stanach. Powinien wracać do domu i do następnej roboty.

Chciał w związku z tym wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu, ale bez skutku. Do diabła, wciąż myślał o Harriet! Żadna kobieta nigdy aż tak nie zaprzętała mu głowy. Kto wie, czy w innych okolicznościach nie pożegnałby się ze stanem kawalerskim i nie rozpoczął nowego życia? Nigdy nie rozważał na poważnie myśli o ustatkowaniu się i założeniu rodziny. Najmniejsza wzmianka o tym mroziła go do szpiku kości. Ale teraz, gdy wyobrażał sobie Harriet u swego boku, wszystko zaczęło wyglądać inaczej. Wiedział, że jeśli zdoła ją odzyskać, już nigdy nie pozwoli jej odejść.

To czysta hipoteza - rozmyślał ponuro - bo przecież sam dość gruntownie spalił ten związek. Naturalnie zawsze istniała szansa, że spotka ją w Londynie, kiedy minie dość czasu, by nie sądziła, że nadal chciałby grzebać w historii jej rodziny. Ale wtedy już pewnie będzie dla nich za późno. Niechęć i uprzedzenia Harriet utrwalały się na dobre. No i jest jeszcze ten przeklęty Nick Holmes! Po powrocie do Londynu Harriet z pewnością znów się z nim zwiąże. Na samą myśl o tym żołądek wywracał się Tomowi do góry nogami. Przypomniał sobie ten późny wieczór pod londyńskim mieszkaniem Harriet i zaparkowany na ulicy

samochód - widomy dowód, że Nick Holmes spędza u niej noc. Wtedy nie zrobiło to na nim wrażenia, ale teraz, kiedy wspominał tamten wieczór, ogarniała go szewska pasja. Takiego uczucia do tej pory nie znał.

Podjął decyzję. Do diabła! Nie opuści placu boju bez walki! Zachował się wprawdzie jak ostatni batwan, musi jednak jeszcze raz spróbować. Harriet zapewne każe mu się zabierać jak najprędzej, ale przecież nie mógł zrezygnować z szansy spotkania się z nią choćby ostatni raz.

Podniósł słuchawkę i zamarł, nie wiedząc, co powiedzieć. Gdzież się podziła jego słynna obrotność? Raptem kilka razy w życiu odczuwał tak silny strach.

Tylko raz spróbuje. Tylko jeden raz. Jeśli Harriet nie zechce z nim rozmawiać, pozostanie mu tylko pogodzić się z tym, i już. Ale nie można się poddawać bez walki. Nie teraz, kiedy stawka jest tak wysoka!

Zadzwoił. Telefon odebrała pokojówka.

- Chciałbym rozmawiać z panią Harriet Varna. Mówi Tom O'Neill. Już. Stało się. Pewnie przegrał od razu na starcie. Czekał. Pocił się. Potem usłyszał jej chłodny głos, w którym wyczuł ślad własnej udręki.

- Halo?

- Harriet, wracam już do Londynu. Ale nie mogę wyjechać nie widząc się przedtem z tobą. Wiem, mieliśmy fatalny początek, ale chciałbym, żebyś mi dała szansę wyjaśnienia wszystkiego. Cholera! Nie idzie mi to za dobrze...

Ten ułamek sekundy, kiedy się wahała, wydał mu się wiecznością.

- Kiedy się spotkamy? - zapytała.

Myślał gorączkowo, klnąc w duchu swój brak przygotowania.

- Mogę zaprosić cię na lunch?

- Dobrze. Jadę teraz do salonu wystawowego taty, żeby zrobić tam kilka zdjęć, Spotkajmy się pod pomnikiem Pracownika Przemysłu Odzieżowego za piętnaście pierwsza.

- Będę czekał.

- Tom, tylko żadnych pytań, dobrze?

- Ani jednego.

Kłamca - pomyślał, już kiedy to mówił. Przecież chcesz jej zadać bardzo ważne pytanie. Ale nie dzisiaj. Nie dzisiaj.

Odkładając słuchawkę, Tom O'Neill, nieprzejeđnany agnostyk, zmówił w myślach dziękczynną modlitwę.

Chciał dostać tylko jedną szansę i został wysłuchany. Na razie wszystko szło dobrze. Ale trzeba stąpać ostrożnie. Bardzo ostrożnie. Jeśli teraz się potknie, wszystko będzie stracone.

Zobaczyła go już w drzwiach, wychodząc z salonu. Stał u podnóża pomnika, z podniesionym kołnierzem płaszcza - na dworze szalał wiatr. Serce załomotało jej gwałtownie.

Głupia, głupia Harriet! - myślała. Znów się wystawiasz na cios. I po co? Ale sam widok jego wysokiej postaci w ciemnym płaszczu i wyrazista twarz, jakby wyciosana w kamieniu, stanowiły wystarczającą odpowiedź.

- Cześć! - powiedziała.

Odwrócił się do niej. I mimo wszystkiego, co się wydarzyło, to uczucie, które szalało w nich pośród dzikiej przyrody Australii, ciągle ich łączyło. Nie szkodzi, że byli w Nowym Jorku, że wokół kręcili się ludzie, trąbiły taksówki, a stalowe niebo wisało tuż nad głową i wiatr hulał opętańczo, aż drżeli. To nie miało znaczenia,

- Przepraszam, że sprawiłem ci ból - zaczął. - Musiałem skończyć robotę.

Nie zabrzmiało to najbardziej porywająco, ale i na to nie zważała.

- Chyba byłem zanadto rozdrażniona - przyznała.

- Mamy to już za sobą. Teraz, kiedy poproszę cię o spotkanie, będziesz wiedziała, że chcę widzieć ciebie, a nie grzebać w przeszłości twojej rodziny. Harriet, wiem, że zabrmi to bardzo zuchwale, ale czy nie moglibyśmy zacząć wszystkiego od nowa?

- Nie. Zmrużył oczy.

- Nie? Myślałem... Uśmiechnęła się.

- Nie chcę zaczynać od nowa, bo pewnych rzeczy nie chciałabym za nic zapomnieć. Wiesz, Tom wolałabym, żebyśmy wrócili do punktu, w którym skończyliśmy, i stamtąd ruszyli dalej.

Z uśmiechem skinął głową.

- Zgoda.
- No więc, gdzie pójdziemy na lunch?
- Wiesz, że w ogóle o tym nie myślałem? Byłem przekonany, że wcale nie przyjdiesz.
- Dlaczego?
- Bo cholernie zależało mi na tym, żebyś jednak przyszła - odparł szczerze. - Co proponujesz? To ty znasz Nowy Jork.
- Może poszlibyśmy do jakiejś spokojnej knajpki, gdzie da się zwyczajnie porozmawiać?
- Popieram.

W końcu wszystko okazało się takie łatwe. Gdyby żadna z tych strasznych rzeczy się nie wydarzyła, nigdy nie spotkałabym Toma - przyszło jej nagle do głowy. Ta myśl mało nie zbiła jej z nóg.

Uśmiechnęła się do Toma i wzięła go pod ramię. W mieście zamieszkanym przez osiem milionów ludzi intymność tego dotyku zburzyła ostatnie bariery.

- Znam takie miejsce - powiedziała. - Idziemy?

Ramię w ramię ruszyli Siódmą Aleją i zdawało się, że cień pomnika stąpa tuż za nimi.